

Ian Rankin

Kaskady

Powieść z Inspektorem Rebusem

Przełożył: Lech Żołędziowski

Dla Allana i Euana, którzy dali temu początek

Nie z powodu mojego akcentu – bo ten nie tyle straciłem, ile tuż po zamieszkaniu w Anglii świadomie wytarłem jak buty – ale bardziej z uwagi na mój temperament i typowo szkockie przywary jak kłótność, skłonność do agresji, złośliwość i mroczność zainteresowań, a także, wbrew moim usilnym staraniom, dzięki niezmiennie deistycznym przekonaniom, zawsze byłem i na zawsze zostanę nędznym zbiegiem z muzeum historii nienaturalnej...

Philip Kerr, *The Unnatural History Museum*

1

– Pan myśli, że to ja ją zabiłem, prawda?

Siedział na kanapie mocno pochylony do przodu, z głową opuszczoną na piersi i zwisającymi z niej strąkami długich, rzadkich włosów. Kolana bezustannie chodziły mu tak, że pięty podniszczonych tenisówek ani przez chwilę nie dotykały podłogi.

– Ćpałeś coś, David? – spytał Rebus.

Młodzieniec uniósł wzrok. Oczy miał przekrwione i mocno podkrążone, osadzone w szczupłej, kanciastej twarzy z widoczną szczeciną na nie ogolonej brodzie. Nazywał się David Costello. Nie Dave ani Davy, tylko David, co wyraźnie i zdecydowanie podkreślił. Właściwe imiona, etykiety, szufladki: jakie to wszystko szalenie ważne. Media nazywały go różnie. W ich relacjach był „Jej chłopakiem”, „nieszczęsnym narzeczonym” lub „chłopakiem zaginionej studentki”. Bywał też „Davidem Costello, lat 22” lub „dwudziestokilkuletnim kolegą ze studiów”. Albo „dzielił mieszkanie z panną Balfour”, albo też był „częstym gościem” w jej mieszkaniu, „z którego znikła w tajemniczych okolicznościach”.

Samo mieszkanie też nie było takim sobie zwyczajnym mieszkaniem. Było „mieszkaniem na supermodnym Nowym Mieście” lub „apartamentem za ćwierć miliona funtów, należącym do rodziców panny Balfour”. John i Jacqueline Balfour występowali jako „zrozpaczona rodzina” lub „znany bankier i jego wstrząśnięta żona”. Ich córką była „Philippa, lat 20, studentka historii sztuki na Uniwersytecie Edynburskim”. W relacjach prasowych była dziewczyną „ładną”, „energiczną”, „beztroską” i „pełną życia”.

Oczywiście, zanim nie zniknęła.

Detektyw inspektor John Rebus odsunął się od marmurowego kominka i stanął nieco z boku. David Costello wbił w niego wzrok.

– Lekarz dał mi jakieś prochy – odparł w końcu cicho.

– I zażyłeś je?

Chłopak wolno pokręcił głową, nie spuszczać wzroku z Rebusa.

– Wcale się nie dziwię. – Rebus skinął i wsadził ręce do kieszeni. – Na parę godzin zwalają człowieka z nóg, a i tak niczego nie zmieniają.

Od chwili zniknięcia Philippy – przez przyjaciół i rodzinę nazywanej „Flipą” – minęły już dwa dni. Dwa dni to nie tak długo, tyle że to zniknięcie zupełnie do niej nie pasowało. Jej przyjaciele dzwoniли do niej tamtego wieczoru około siódmej, upewniając się, że zgodnie z umową Flipa w ciągu godziny pojawi się w barze na Stronie Południowej Edynburga. Był to jeden z tych niewielkich, modnych lokali, od których zaroilo się ostatnio w okolicach uniwersytetu, a które korzystały z gospodarczego boomu i wzmożonego popytu na przyciemnione światła i kolorowe alkohole po mocno zawyżonych cenach. Rebus znał ten bar, bo

wielokrotnie przechodził tamtędy w drodze do pracy. Tuż obok, po sąsiedzku, znajdował się znany mu stary pub, w którym wódka z sokiem wciąż kosztowała tylko funta pięćdziesiąt. Nie było w nim modnych stołków barowych, a obsługa lepiej sobie radziła z awanturami niż z mieszaniem koktajli.

Wyglądało na to, że Flipa wyszła z domu o siódmej, może kwadrans po. Jej przyjaciele – Tina, Trist, Camille i Albie – zdążyli już zamówić drugą kolejkę drinków. Wszystkie imiona Rebus sprawdził wcześniej w protokołach. Trist było zdrobnieniem od Tristrama, a Albie od Alberta. Trist był chłopakiem Tiny, a Albie spotykał się z Camille. Flipa powinna przyjść z Davidem, ale jak im zakomunikowała przez telefon, Davida tym razem nie będzie.

– Znowu narozrabiał – oświadczyła tonem, z którego wynikało, że się tym specjalnie nie przejęła.

Przed wyjściem z mieszkania włączyła alarm. To dla Rebusa też było czymś nowym. Mieszkanie studenckie wyposażone w instalację alarmową. W dodatku drzwi zamknęła na zamek Yale i dodatkowo na zasuwę, jakby chciała je dobrze zabezpieczyć. Potem zbiegła jedno piętro po schodach i wkroczyła w ciepłe wieczorne powietrze. Od Princess Street oddzielało ją strome podejście, skąd, po pokonaniu kolejnego wzniesienia, można było wydostać się na Stare Miasto i na Stronę Południową. Na pewno nie miała zamiaru iść piechotą, jednak rejestry rozmów z jej telefonu stacjonarnego i komórkowego nie zawierały numeru żadnej z firm taksówkowych w mieście. Zatem, jeśli pojechała taksówką, musiała ją złapać na ulicy.

Jeśli w ogóle do tego doszło.

– To nie ja – powiedział David Costello.

– Co nie ty?

– Ja jej nie zabiłem.

– Nikt nie twierdzi, że ją zabiłeś.

– Nie? – Znowś spojrzał Rebusowi prosto w oczy.

– Nie – zapewnił go Rebus, bo na tym polegało jego zadanie.

– No bo ten nakaz rewizji... – zaczął Costello.

– To standardowa procedura w tego rodzaju sprawach – wyjaśnił Rebus.

Tak zresztą było naprawdę: w przypadku zniknięcia kogoś w niewyjaśnionych okolicznościach przeszukiwano wszystkie miejsca, w których zaginiony mógłby się znajdować. Należało przy tym trzymać się wymaganej procedury: uzyskiwać podpisy pod nakazami i zgody zwierzchników na wszelkie podejmowane działania. Takim działaniem było też przeszukanie mieszkania chłopaka zaginionej. Rebus mógłby przy tym dodać: „A robimy to dlatego, bo w dziewięciu przypadkach na dziesięć winnym jest ktoś z kręgu znajomych ofiary”. Nie ktoś obcy, ktoś kto przypadkowo natyka się na ofiarę w ciemnościach nocy. Prawie zawsze zabija ktoś z bliskich: współmałżonek, kochanek, syn lub córka. Ukochany wujek lub najbliższy

przyjaciel – ktoś, komu ofiara w pełni ufała. Ktoś, kto cały czas ją oszukiwał albo kogo ona oszukiwała. Bo albo coś wiedziała, albo coś miała. Ktoś był albo zazdrosny, albo odtrącony, albo potrzebował pieniędzy.

Jeśli Flipa Balfour nie żyje, to zapewne wkrótce natkną się na jej ciało. Jeśli zaś żyje, a jedynie pragnie pozostać w ukryciu, to wówczas zadanie staje się trudniejsze. Jej rodzice wystąpili w telewizji, błagając, by się do nich odezwała. Policja siedziała w rodzinnym domu Balfourów i nagrywała wszystkie rozmowy telefoniczne, oczekując, że ktoś się zgłosi z żądaniem okupu. Przeszukała też mieszkanie Davida Costello na Canongate w nadziei, że znajdzie tam jakiś ślad. No i była również tu, w mieszkaniu Flipy Balfour. Davidowi Costello przydzielono policyjną „opiekę”, której zadaniem było niedopuszczanie do niego mediów. Tak Davidowi powiedziano i częściowo była to prawda.

Mieszkanie Flipy przeszukano poprzedniego dnia. Costello miał nawet klucz do systemu alarmowego. Telefon w jego mieszkaniu zadzwonił o dziesiątej wieczorem: dzwonił Trist z pytaniem, czy wie, co się dzieje z Flipą, bo miała przyjść do Shapiro i jak dotąd się nie zjawiała.

– A może jest u ciebie, co?

– Jestem ostatnim, do kogo by chciała przyjść – odpowiedział Costello z wyrzutem.

– Słyszałem, że się poprzytkaliście. O co tym razem poszło? – Głos Trista brzmiał nieco bełkotliwie i z lekka kpiąco.

Costello nie odpowiedział, rozłączył się i zadzwonił na numer komórkowy Flipy. Zgłosiła się poczta głosowa, więc zostawił wiadomość z prośbą o telefon. Policja dokładnie przesłuchiwała to nagranie, doszukując się w jego głosie jakichś niuansów i próbując znaleźć fałsz w jego słowach. Trist ponownie zadzwonił o północy: całym towarzystwem pojechali do mieszkania Flipy, ale nikogo nie zastali. Zaczęli więc wydzwaniać do różnych znajomych, jednak wyglądało na to, że nikt nic nie wie. Poczekali na miejscu, aż Costello przyjedzie i otworzy im mieszkanie. W środku nie było nikogo.

W ich rozumieniu już w tym momencie Flipa była osobą zaginioną, jednak z telefonem do jej matki w rodzinnym domu we Wschodnim Lothian odczekali do rana. Nie tracąc ani chwili, pani Balfour natychmiast zadzwoniła na 999. Po potraktowaniu jej przez policjanta przyjmującego zgłoszenie w sposób, jaki uznała za obcesowy, zadzwoniła do męża, do jego londyńskiego biura. John Balfour był głównym udziałowcem w jednym z prywatnych banków, i nawet jeśli komendant policji okręgu Lothian i Borders nie był jego osobistym klientem, z całą pewnością w policji można było znaleźć kogoś, kto nim był. W ciągu niespełna godziny została powołana ekipa do zbadania całej sprawy, a stało się to na wyraźne polecenie Pałacu, pod którą to popularną nazwą kryła się Komenda Główna Policji na Fettes Avenue.

Na polecenie dwójga detektywów z wydziału śledczego, David Costello otworzył kluczem mieszkanie Flipy. Wewnątrz brak było jakichkolwiek śladów cudzej ingerencji, jak również

czegokolwiek, co mogłoby wskazywać na miejsce pobytu Philippy Balfour, jej koleje losu lub stan umysłu. W mieszkaniu panował ład i porządek: lśniące podłogi i świeżo odmalowane ściany. (Przesłuchano także dekoratorkę wewnątrz). Salon był przestronny, miał dwa okna sięgające aż do samej podłogi. W mieszkaniu znajdowały się dwie sypialnie, z których jedną przekształcono w pokój do pracy. W pełni wyposażona, robiona na zamówienie kuchnia była mniejsza od obłożonej sosnową boazerią łazienki. W sypialni znaleźli mnóstwo rzeczy należących do Davida Costello. Ktoś ułożył je na stertę na jednym z krzeseł, na wierzchu położył kilka książek i kompaktów, a na nich kosmetyczkę z przyborami toaletowymi.

Zapytany, David Costello stwierdził, że to zapewne Flipa tak ułożyła jego rzeczy. Jak stwierdził: „Pokłóciliśmy się i pewnie w ten sposób chciała się na mnie odegrać”. Tak, miewali już kłótnie w przeszłości, ale nie, o ile pamiętał, nigdy przedtem nie składała jego rzeczy na stertę.

John Balfour przyleciał do Szkocji prywatnym odrzutowcem – użyczonym przez współczującego klienta – dzięki czemu pojawił się w mieszkaniu na Nowym Mieście niemal równocześnie z policją.

– No i co? – brzmiało pierwsze zadane przez niego pytanie.

Odpowiedzią Costello było tylko:

– Przykro mi.

Słowa te były później szczegółowo analizowane przez funkcjonariuszy z wydziału śledczego. Awantura z dziewczyną wymyka ci się spod kontroli i nim się obejrzysz, dziewczyna nie żyje. Potem ukrywasz gdzieś jej ciało, ale w obliczu ojca bierze w tobie górę wrodzona uczciwość i wyrzucasz z siebie połowiczne przyznanie się do winy.

„Przykro mi”.

Na ileż różnych sposobów można odczytać te dwa krótkie słowa. Przykro mi, że się pokłóciliśmy; przykro mi, że sprawiłem panu kłopot; przykro mi, że to się stało; przykro mi, że jej nie ochroniłem; przykro mi, że zrobiłem to, co zrobiłem...

Do miasta przyjechali również rodzice Davida Costello. Wynajęli dwa pokoje w jednym z najlepszych hoteli w Edynburgu. Mieszkali na przedmieściach Dublina. Thomasa Costello, ojca Davida, określano jako człowieka „finansowo niezależnego”. Jego matka, Theresa, pracowała jako dekoratorka wewnątrz.

Dwa pokoje w hotelu. W komisariacie na St Leonard’s przez chwilę zastanawiano się, po co im dwa pokoje. Z drugiej strony, równie dobrze można było zapytać, po co im dom z ośmioma sypialniami, skoro David jest ich jedynym synem.

Natomiast znacznie dłużej zastanawiano się nad tym, co łączy ich komisariat ze sprawą z Nowego Miasta. Odpowiedzialny za to terytorium był komisariat na Gayfield Square, jednak sięgnięto też po posiłki z Leith, z Torphichen i z St Leonard’s.

We wszystkich rozmowach przeważała opinia, że „ktoś tu mocno pociągnął za sznurki” i że „trzeba wszystko inne odłożyć, bo zaangażowała się w to jakaś gruba ryba”.

W głębi duszy Rebus musiał się z tym zgodzić.

– Chcesz się czegoś napić – zwrócił się do chłopaka. – Kawy? Herbaty?

Costello przecząco potrząsnął głową.

– A ja mogę...?

Costello spojrzał na niego, wyraźnie nie rozumiejąc. Dopiero po chwili pojął, o co tamtemu chodzi.

– Proszę – powiedział. – Kuchnia jest... – Wyciągnął rękę, ale Rebus mu przerwał.

– Wiem gdzie, dzięki – rzekł. Wyszedł, zamknął za sobą drzwi i przystanął w holu zadowolony, że udało mu się wyrwać z dusznej atmosfery salonu. W skroniach mu pulsowało, a nerwy gałek ocznych wydawały się być naprężone. Z gabinetu dochodziły jakieś dźwięki. Rebus stanął w drzwiach i wsadził głowę do środka. – Idę nastawić czajnik.

– Dobry pomysł. – Mówiąc to, posterunkowa Siobhan Clarke nie oderwała nawet na chwilę wzroku od ekranu komputera.

– I co?

– Herbatę proszę.

– Ale miałem na myśli...

– Na razie nic. Listy do przyjaciół, jakieś prace semestralne. Jest tu do przejrzania tysięcy e-maili. Przydałoby się znać jej hasło.

– Costello twierdzi, że mu go nigdy nie zdradziła.

Clarke odchrząknęła.

– Co to miało znaczyć? – spytał Rebus.

– To, że mnie drapie w gardle – odparła. – Dla mnie z mlekiem i bez cukru, dzięki.

Rebus zostawił ją i poszedł do kuchni. Napełnił czajnik wodą i rozejrzał się za kubkami i herbatą.

– Kiedy będę mógł wrócić do domu?

Rebus odwrócił się i spojrzał na stojącego w drzwiach Costello.

– Byłoby lepiej nie wracać. Wszędzie wokół pełno kamer i reporterów... Nie dadzą ci spokoju, będą dzwonić dniem i nocą.

– Wyłączę telefon.

– Będziesz jak w więzieniu. – Rebus zauważył, że chłopak wzruszył ramionami i powiedział coś, czego nie dosłyszał. – Słucham?

– Nie mogę tu siedzieć.

– A to dlaczego?

– Nie wiem... po prostu... – Znów wzruszył ramionami i odgarnął sobie włosy z czoła. –

Powinna tu być Flipa. To dla mnie zbyt trudne. Ciągle mi się przypomina, że kiedy ostatni raz byliśmy tu razem, doszło do awantury.

– A o co poszło?

Costello zaśmiał się głucho.

– Nawet nie pamiętam.

– To było tego dnia, kiedy zniknęła?

– Tego popołudnia, tak. Wypadłem stąd jak burza.

– To znaczy, że często się kłóciliście? – Rebus starał się zadać to pytanie obojętnym tonem.

Costello, wpatrzony gdzieś w dal, w milczeniu wolno pokręcił głową. Rebus odwrócił się, rozdzielił dwie torebki z herbatą Darjeeling i wrzucił je do kubków. Czy chłopakowi zaczynają puszczać nerwy? Czy Siobhan słucha tego zza drzwi gabinetu? Tak, rzeczywiście „opiekowali się” Costello, a policjanci pełnili przy nim przez całą dobę ośmiogodzinne dyżury. Był jednak także inny powód sprowadzenia go tutaj. Oficjalnie jego zadaniem była identyfikacja nazwisk pojawiających się w korespondencji Philippy Balfour, ale Rebus chciał go tu mieć również dlatego, że mieszkanie mogło być miejscem zbrodni. A może David Costello miał coś do ukrycia? Na St Leonard’s stawiano na niego jeden do jednego, w Torphichen dwa do jednego, ale na Gayfield był wyraźnym faworytem.

– Rodzice powiedzieli, że możesz się przenieść do nich do hotelu – powiedział Rebus, zwracając ku niemu twarz. – Wynajęli dwa pokoje, więc pewnie jeden stoi wolny.

Ale Costello nie dał się złapać. Przez chwilę patrzył jeszcze na Rebusa w milczeniu, potem uchylił drzwi gabinetu i wsadził głowę do środka.

– Znalazła pani coś? – zapytał.

– To może jeszcze trochę potrwać – odparła Siobhan. – Najlepiej spokojnie poczekać.

– Nic tam pani nie znajdzie. – „Tam” oznaczało pamięć komputera. Kiedy nic nie odpowiedziała, lekko się wyprostował i przechylił głowę w bok. – Zna się pani na komputerach?

– Ktoś to musi zrobić. – Powiedziała to cicho, jakby nie chcąc, by ktoś to usłyszał.

Chłopak chciał jeszcze coś dodać, jednak rozmyślił się i wycofał w stronę salonu. Rebus zaniósł kubek z herbatą do gabinetu.

– Pełna kultura – zauważyła Clarke, zerkając na pływającą w kubku torebkę.

– Nie wiedziałem, jak mocną pijesz – wyjaśnił Rebus. – No i co o tym myślisz?

Siobhan przez chwilę się zastanowiła.

– Zabrzmiało to dość szczerze – stwierdziła w końcu.

– A może ty lubisz takich przystojniaczków?

Parsknęła, po czym wyłowiła torebkę i wrzuciła ją do kosza.

– Może – powiedziała. – A ty jak sądzisz?

– Jutro mamy konferencję prasową – przypomniał jej Rebus. – Myślisz, że uda nam się

namówić pana Costello do wygłoszenia publicznego apelu?

Dwóch detektywów z Gayfield Square objęło wieczorną zmianę. Rebus wrócił do domu i napuścił sobie wody do wanny. Miał ochotę się wymoczyć, więc pod kran z gorącą wodą podsunął butelkę z płynem do zmywania naczyń. Pamiętał, że tak właśnie robili jego rodzice, gdy był jeszcze dzieckiem. Kiedy wracał cały ubłocony z boiska, matka robiła mu kąpiel z płynem do zmywania. Nie chodziło o to, że nie było ich stać na płyn do kąpieli. „Pianka do kąpieli to płyn do zmywania dla snobów”, mawiała.

W łazience Philippy Balfour widział kilkanaście różnych balsamów, toników piankowych i aromatycznych olejków do kąpieli. Rebus rozejrzał się po swojej łazience: maszynka i krem do golenia, pasta do zębów z jedną szczoteczką i kawałek mydła. W szafce na lekarstwa plastry, paracetamol i paczka kondomów.

Zajrzał do środka – został jeszcze jeden. Data przydatności opiewała na lato ubiegłego roku. Zamknął drzwiczki szafki i natknął się na swoje odbicie. Szara twarz i także pasemka na ciemnych kiedyś włosach. Lekko obwisłe policzki, nawet po wysunięciu brody do przodu. Spróbował się uśmiechnąć, ale ukazały mu się tylko dawno nie oglądane przez dentystę zęby. Lekarz mu nawet zagroził, że jak tak dalej pójdzie, to skreśli go z kartoteki.

– Weź się za siebie, kolego – mruknął do siebie Rebus, odwrócił się od lustra i zaczął się rozbierać.

Przyjęcie pożegnalne na cześć komisarza „Farmera” Watsona, urządzone z okazji jego przejścia na emeryturę, rozpoczęło się o szóstej. Tak naprawdę było to już trzecie czy czwarte spotkanie z kolei, ale prawdopodobnie ostatnie z serii i stanowiło oficjalne pożegnanie komisarza. Klub Policjanta na Leith Walk przystrojono girlandami, balonikami i wielkim transparentem z napisem: ZA ZASŁUGI W PRACY NA ZASŁUŻONY WYPOCZYNEK. Na parkiecie ktoś położył kostkę słomy i ten farmerski akcent uzupełnił nadmuchiwaną świnia i owcą. Kiedy Rebus dotarł na miejsce, przy barze kłębił się już tłum. W drzwiach minął się z wychodzącymi trzema wyższymi oficerami z Pałacu. Rzucił okiem na zegarek: szósta czterdzieści. Odchodzącemu na emeryturę komisarzowi poświęcili więc całe czterdzieści minut swego cennego czasu.

Wcześniej w ciągu dnia na St Leonard’s odbyła się część oficjalna. Rebusa na niej nie było, bo miał w tym czasie dyżur jako „opiekun”, ale powiedziano mu, że przemówienie wygłosił zastępca komendanta Colin Carswell. Zjawiło się też paru dawnych kolegów Farmera z jego poprzednich komend – niektórzy też już na emeryturze – i ci także wygłosili krótkie przemówienia. Potem zostali, by wziąć udział w wieczornej imprezie i wyglądało na to, że przez całe popołudnie wszyscy zdrowo popijali. Krawaty mieli pozdejmowane lub rozluźnione

i zawadiacko przekrzywione, a twarze spocone od alkoholu. Któryś z nich śpiewał, starając się przekrzyczeć muzykę dobywającą się z głośników.

– Czego się napijesz, John? – zapytał Farmer, który na widok Rebusa wstał od stolika i dołączył do niego przy barze.

– Może małą whisky, panie komisarzu.

– Pół butelki słodowej, jak tylko znajdziesz chwilę czasu – zakrzyknął Farmer w kierunku barmana zajętego napełnianiem kufla piwem. Zmrużył oczy i wbił wzrok w Rebusa. – Widziałeś tych frajerów z Pałacu?

– Minąłem się z nimi w drzwiach.

– Wypili po cholernym soczku pomarańczowym, potem szybki uścisk dłoni i do domciu. – Farmer starał się nie bełkotać, więc w rezultacie mówił trochę zbyt dobitnie. – Właściwie nigdy nie rozumiałem terminu „brzuchopasy”, ale teraz go rozumiem: sztuka w sztukę same brzuchopasy.

Rebus uśmiechnął się i poprosił barmana o ardbega.

– Tylko żeby był podwójny, pamiętaj – dodał Farmer.

– Pan też już sobie coś łyknął, panie komisarzu? – spytał Rebus.

Farmer wydał policzki.

– Paru starych kumpli przyszło mnie pożegnać. – Kiwnął głową w stronę stolika.

Rebus podążył za jego wzrokiem i dostrzegł na stole całą baterię drinków. Pod ścianą stał stół z przekąskami: kanapki, kiełbaski w cieście, chipsy i orzeszki. Rozpoznał wiele znajomych twarzy z różnych komend policji okręgu Lothian i Borders. Macari, Allder, Shug Davidson, Roy Frazer. Bill Pryde zatopiony był w rozmowie z Bobbym Hoganem. Grant Hood stał obok dwóch detektywów z biura kryminalnego, Claverhouse’a i Ormiston, starając się sprawiać wrażenie, że mu na nich wcale nie zależy. George „Hi-Ho” Silvers był z kolei w trakcie dochodzenia do wniosku, że ani posterunkowa Phyllida Hawes, ani sierżant Ellen Wylie nie dadzą się nabrać na jego podryw. Jane Barbour z Pałacu opowiadała o czymś posterunkowej Siobhan Clarke, która kiedyś była czasowo oddelegowana do wydziału przestępstw seksualnych, kierowanego przez Barbour.

– Jakby wiadomość o tym się rozniosła – zauważył Rebus – to by dopiero bandziory miały używanie. Jest ktoś, kto jeszcze dziś pracuje?

Farmer roześmiał się.

– Na St Leonard’s zostały tylko niedobitki, to prawda.

– Prawdziwy spęd. Ciekaw jestem, czy do mnie też tyłu przyjdzie.

– Założę się, że więcej. – Farmer pochylił ku niemu głowę. – Zjawią się wszyscy wodzowie z Pałacu, żeby się upewnić, że im się to nie śni.

Teraz Rebus się roześmiał i uniósł szklanekę w geście toastu za zdrowie. Obaj przez chwilę

smakowali swoje drinki, potem Farmer oblizał wargi i spytał:

– A ile ci jeszcze zostało?

Rebus wzruszył ramionami.

– Nie mam jeszcze trzydziestki.

– Ale chyba dużo ci nie brakuje, co?

– Nie wiem, nie liczę. – Ale nie mówił prawdy: przez większość czasu nie myślał o niczym innym. „Trzydziestka” oznaczała trzydzieści lat służby. Wtedy emerytura osiągała maksymalny pułap i większość oficerów policji czekała na ten moment: emerytura w wieku pięćdziesięciu kilku lat i domek nad morzem.

– Opowiem ci coś, czego często nie opowiadam – odezwał się Farmer. – W pierwszym tygodniu pracy w policji posadzili mnie za biurkiem dyżurnego, na nocną zmianę. Którejś nocy zjawia się chłopczyk – niewiele ponad dziesięć lat – idzie prosto do mnie i mówi: „Potłukłem moją siorę”. – Farmer mówił to z wzrokiem wbitym gdzieś w dal. – Jeszcze dziś go widzę, pamiętam jak wyglądał, dokładnie pamiętam też jego słowa: „Potłukłem moją siorę”. Nie miałem zielonego pojęcia, o co mu chodzi. Okazało się, że zepchnął swoją siostrę ze schodów i ją zabił.

– Przerwał i pociągnął łyk whisky. – To był mój pierwszy tydzień pracy w policji. I wiesz, co mi wtedy powiedział mój sierżant? Powiedział: „Teraz może już być tylko lepiej”. – Zmusił się do uśmiechu. – Do dziś nie jestem pewien, czy miał wtedy rację... – Nagle wyrzucił ramiona w górę, a jego wymuszony uśmieszek przerodził się w radosny śmiech, który rozjaśnił mu twarz. – No, nareszcie! Jest nareszcie! A już zaczynałem myśleć, że mnie wystawiła!

Niemal zgniótł w uścisku starszą inspektor Gill Templer, potem ucałował ją w oba policzki i spytał z niewinnym uśmiechem:

– Czy dajesz tu dziś występ? – Potem z udanym przestraczem uderzył się w czoło. – Toż to seksistowska uwaga! Napiszesz na mnie raport?

– Tym razem ci daruję – powiedziała Gill – ale w zamian za drinka.

– Moja kolej – wtrącił Rebus. – Czego się napijesz?

– Wódka z sokiem.

Bobby Hogan wydarł się, żądając, by Farmer przyszedł rozsądzić jakiś spór.

– Obowiązki mnie wzywają – oznajmił Farmer przepraszająco, po czym ruszył niepewnym krokiem przez parkiet.

– Jego stary numer, co? – domyśliła się Gill.

Rebus wzruszył ramionami. Specjalnością Farmera było recytowanie z pamięci tytułów wszystkich ksiąg Biblii. Jego rekord wynosił niecałą minutę, jednak nie było obawy, by dziś mógł go pobić.

– Wódka z sokiem – powtórzył Rebus do barmana. Potem uniósł szklanekę z whisky i dodał: – I jeszcze dwie takie same. – Dostrzegł wzrok Gill, więc dodał: – Jedna dla Farmera.

– Oczywiście. – Powiedziała to z uśmiechem, który jednak nie dotarł do jej oczu.

– Ustaliłaś już datę swojej imprezy?

– Jakiej imprezy?

– Myślałem, że mianowanie pierwszej w Szkocji kobiety na stanowisko komisarza policji należy uczcić, nie uważasz?

– Wypiłam już jedno babycham – powiedziała Gill, przyglądając się, jak barman zakrapia jej drinka angosturą. – No i co słyhać w sprawie Balfour?

Rebus spojrzał na nią z ukosa.

– Czy to pyta mój nowy szef?

– John...

To zabawne, jak wiele treści można zmieścić w takim jednym krótkim słowie. Rebus nie był pewien, czy dosłyszał wszystkie niuanse, ale wiedział, że usłyszał wystarczająco dużo.

„John, tylko się nie wychylaj”.

„John, wiem, że między nami coś było, ale to już dawno minęło”.

Gill Templer pracowała jak wół, by dojść do tego stanowiska. Mimo to, przyglądano się jej jak przez szkło powiększające i bardzo wielu ucieszyłoby jej niepowodzenie. Zapewne byli wśród nich i ci, których uważała za swych przyjaciół.

Rebus w milczeniu kiwnął głową, zapłacił za drinki i obie whisky zlał do jednej szklanki.

– To tylko dla jego dobra – oznajmił, wskazując głową Farmera, który zdążył już dojść do Nowego Testamentu.

– Zawsze byłeś gotów do poświęceń – odrzekła Gill.

Rozległy się owacje witające koniec występu Farmera. Ktoś zawołał, że to pewnie nowy rekord, ale Rebus wiedział, że to nieprawda. Wiedział, że to tylko gest, taki pożegnalny złoty zegarek czy zegar kominkowy w innej postaci. Whisky miała posmak morskich wodorostów i torfu, jednak Rebus zorientował się, że smak ardbega już zawsze będzie mu się kojarzył z chłopczykiem zjawiającym się nocą na posterunku policji...

Siobhan Clarke ruszyła przez parkiet w ich kierunku.

– Gratulacje – powiedziała.

Obie kobiety uściśniły sobie dłonie.

– Dziękuję, Siobhan – odparła Gill. – Może któregoś dnia to będziesz ty.

– Dlaczego nie? – Siobhan skinęła. – Pałki są po to, żeby nimi rozbijać szklane sufity. – Zamachnęła się pięścią wysoko nad głową.

– Chcesz drinka, Siobhan? – spytał Rebus.

Wymieniły między sobą porozumiewawcze spojrzenia.

– Tylko to im w głowie – stwierdziła Siobhan, puszczając oko. Obie wybuchły śmiechem, a Rebus odwrócił się na pięcie i odszedł bez słowa.

O dziewiątej zaczął się konkurs karaoke. Rebus poszedł do toalety i poczuł jak po plecach spływają mu krople zimnego potu. Krawat już od pewnego czasu spoczywał w kieszeni marynarki, którą zawiesił na oparciu jednego z krzeseł stojących obok baru. Skład uczestników imprezy ulegał stopniowej wymianie, jako że jedni opuszczali klub, by przygotować się do nocnej zmiany, lub byli wzywani do jakichś zajęć wiadomościami otrzymanymi na komórki i pagery; inni zjawiali się przebrani po krótkiej wizycie w domu. Młoda policjantka z działu łączności na St Leonards zjawiała się ubrana w krótką spódniczkę i Rebus pomyślał, że po raz pierwszy widzi jej nogi. Przyszli też hałaśliwi czterej kumple Farmera z czasów jego pracy w Zachodnim Lothian i przynieśli z sobą jego zdjęcia sprzed ćwierć wieku. Wśród autentycznych fotografii przemycili także kilka fotomontaży, na których głowa Farmera doczepiona została do ciał potężnych kulturystów uchwyconych w pozach bardziej niż kompromitujących.

Rebus umył ręce i chlapnął wodą na twarz i kark. Oczywiście w toalecie była tylko elektryczna suszarka, musiał więc wytrzeć się chustką. I właśnie wtedy do toalety wkroczył Bobby Hogan.

– Więc też się kamuflujesz – powiedział, kierując się w stronę pisuarów.

– Słyszałeś mnie kiedyś śpiewającego, Bob?

– Powinniśmy wystąpić w duecie i zaśpiewać *Mam dziurawe wiadro*.

– Pewnie bylibyśmy jedyni na sali, którzy to znają.

Hogan zachichotał.

– Pamiętasz te czasy, kiedy byliśmy jeszcze nieopierzonymi pisklakami?

– Te pisklaki już dawno zdechły – rzekł Rebus, na w pół do samego siebie. Hogan pomyślał, że się przesłyszał, ale Rebus tylko smętnie pokiwał głową.

– To kto następny w kolejce do odlotu? – spytał Hogan, już gotów wracać na salę.

– Ja nie – oznajmił Rebus.

– Nie?

Rebus znów wytarł sobie kark.

– Nie mogę iść na emeryturę, Bobby. To by mnie zabiło.

– To tak jak ja – parsknął Hogan. – Tyle że ta robota też mnie zabija.

Obaj zamilkli i przez chwilę patrzyli na siebie. W końcu Hogan pociągnął za drzwi i wkroczyli do dusznej i hałaśliwej sali klubu. Hogan rozłożył ramiona na powitanie jakiegoś dawno niewidzianego kolegi, a jeden z kumpli Farmera wyciągnął w kierunku Rebusa szklanę z whisky.

– Ardbeg, prawda?

Rebus przytaknął, zlizął parę kropel, które spadły mu na wierzch dłoni, a potem, starając się wyobrazić sobie chłopca, który z czymś takim musi przyjść na policję, uniósł szklanę i wypił ją

do dna.

Wyjął z kieszeni pęk kluczy i jednym z nich otworzył główne drzwi wejściowe do kamienicy. Klucze połyskiwały nowością, bo dorobiono je tego samego dnia. Idąc w kierunku schodów, otarł się ramieniem o ścianę, a wchodząc po schodach musiał przytrzymać się poręczy. Drugim i trzecim kluczem otworzył drzwi do mieszkania Philippy Balfour.

W środku nie było nikogo, alarm nie był włączony. Zapalił światła. Rzucony luźno na podłogę dywanik uparł się, by mu się owinąć wokół stóp. Próbując się z niego uwolnić, musiał się oprzeć o ścianę. Pokoje wyglądały tak jak je zostawił, z tą tylko różnicą, że z biurka w gabinecie zniknął komputer. Zabrano go do komisariatu, ponieważ Siobhan miała nadzieję, że ktoś z serwisu internetowego, z którego korzystała panna Balfour, zdoła im pomóc w obejściu hasła.

Z sypialni ktoś zabrał ułożoną na krześle stertę rzeczy należących do Costello. Rebus pomyślał, że pewnie zrobił to on sam. Oczywiście na to wcześniej trzeba uzyskać zgodę – z mieszkania nie wolno było niczego ruszyć bez wiedzy policji. Najpierw te ubrania musiały zostać sprawdzone przez ekipę kryminologów, którzy być może zdjęli z nich jakieś ślady. Tyle, że zaczynało się już mówić o oszczędnościach. W przypadku takich spraw koszty mogą piąć się w górę niczym dym z ogniska.

W kuchni Rebus nalał sobie dużą szklanicę wody, ruszył do salonu i usiadł mniej więcej tam, gdzie wcześniej siedział Costello. Trochę wody pociekło mu po brodzie. Wiszące na ścianach obrazy – oprawione w ramy reprodukcje malarstwa abstrakcyjnego – bawiły się z nim w kotka i myszkę, wyraźnie sunąc za jego wzrokiem. Pochylił się, by odstawić na podłogę pustą szklankę, i nagle znalazł się na czworakach. Jakiś skurwiel musiał mu coś dosypać do drinków – to jedyne wytłumaczenie. Podniósł się, usiadł i na chwilę przymknął oczy. Osoby zaginione – czasami człowiek niepotrzebnie się martwi, bo albo same się znajdują, albo nie chcą, by je odnaleźć. Tak ich wiele... ich zdjęcia i rysopisy bez przerwy trafiają na policyjne biurka. Zwykle twarze na nich są trochę nieostre, jakby ich właściciele już byli w trakcie odchodzenia w zaświaty. Zmusił się do otwarcia oczu i popatrzył w górę, na sufit bogato zdobiony sztukaterią. Mieszkania na Nowym Mieście były duże i eleganckie, ale Rebus wolał swoją dzielnicę: więcej sklepów i nie tak snobistycznie.

Ten ardbeg... Musieli mu tam czegoś dosypać. Pewnie już go nigdy więcej nie weźmie do ust. Straszylby go tym upiorem. Ciekaw był, co się stało z tym chłopcem i czy zrobił to celowo, czy był to wypadek? Dziś pewnie jest już ojcem, a może nawet dziadkiem. Czy wciąż nawiedza go w snach siostra, którą zabił? Czy zapamiętał młodego, podenerwowanego policjanta po drugiej stronie biurka? Rebus przesunął dłonią po podłodze: była wyłożona parkietem, gładko wyszlifowanym i polakierowanym. Policja jeszcze go nie zerwała. Wyczuł szczelinę między

dwiema klepkami i spróbował wcisnąć w nią paznokcie, jednak nie udało się ich o nic zaczepić. Jakimś cudem przewrócił przy tej okazji szklanę, która zaczęła się toczyć tak głośno, że ten hałas nagle wypełnił cały pokój. Rebus obserwował jej wędrówkę przez pokój, aż do momentu gdy dotarła do otwartych drzwi i zatrzymała się na czyichś butach.

– Co się tu, do diabła, dzieje?

Rebus wstał. Mężczyzna stojący w drzwiach był po czterdziestce, ręce wetknął w kieszenie czarnej wełnianej dyplomatki sięgającej mu do kolan. Mężczyzna zrobił krok do przodu i wypełnił sobą całe wejście.

– Kim pan jest? – spytał Rebus.

Mężczyzna wyciągnął rękę z kieszeni i podniósł ją do ucha. W dłoni trzymał telefon komórkowy.

– Dzwonię po policję – oznajmił.

– Ja jestem z policji – oświadczył Rebus, sięgnął do kieszeni i wyciągnął legitymację służbową. – Detektyw inspektor Rebus.

Mężczyzna uważnie obejrzał legitymację i oddał ją Rebusowi.

– Nazywam się John Balfour – przedstawił się głosem nieco łagodniejszym.

Rebus kiwnął głową; sam się już tego domyślił.

– Przykro mi, jeśli... – Rebus nie dokończył, bo w trakcie chowania legitymacji jego lewe kolano na moment lekko się ugięło.

– Pan jest pijany – powiedział Balfour.

– Przykro mi, niestety tak. Pożegnanie kolegi. Ale nie jestem tu na służbie, ani nic takiego.

– Wobec tego, czy mogę zapytać, co pan robi w mieszkaniu mojej córki?

– Może pan. – Rebus kiwnął głową i rozejrzał się wokół. – Chciałem tylko... znaczy, chodzi mi o to, że... – Zabrakło mu słów.

– Zechce pan stąd wyjść, dobrze?

Rebus lekko się skłonił.

– Oczywiście.

Balfour odsunął się na bok, jakby bojąc się, że Rebus, przechodząc, może się o niego otrzeć. Rebus zatrzymał się w holu i odwrócił, gotów raz jeszcze przeprosić, ale ojciec Philippy Balfour podszedł do okna w salonie i oparłszy dłonie o okiennice, stał zapatrzony w ciemność za szybą.

Rebus zszedł po schodach już na wpół otrzeźwiały i nie oglądając się ani nie zadzierając głowy, by spojrzeć na okna na pierwszym piętrze, zamknął za sobą drzwi wejściowe. Ulice były opustoszałe, a chodniki połyskiwały wilgocią po niedawnym deszczu i odbijającymi się w niej światłami latarni. Jedynym dźwiękiem, jaki było słyhać, był stukot kroków Rebusa, który ruszył w powrotną drogę w górę na Queen Street, potem w stronę George Street, Princess Street i Mostu Północnego. Tu było już więcej ludzi, którzy właśnie wychodzili z pubów, kierując się do

domów i rozglądając za wolnymi taksówkami i zawieruszonymi przyjaciółmi. Rebus skreślił w lewo przy Tron Kirk i ruszył w kierunku Canongate. Przy krawężniku stał policyjny radiowóz z dwiema postaciami w środku: jeden z policjantów czytał, drugi spał. Byli to funkcjonariusze z komisariatu na Gayfield, którzy albo mieli pecha, albo podpadli swojemu szefowi; inaczej trudno było sobie wytłumaczyć to, że przypadła im służba akurat tej nocy. Dla policjanta, który nie spał, Rebus musiał wyglądać na zwyczajnego przechodnia. Policjant trzymał rozłożoną gazetę i starał się ją tak nachylić, by jak najlepiej wykorzystać mizerne oświetlenie. Kiedy Rebus walnął w dach radiowozu, gazeta wyfrunęła mu z rąk i spadła na głowę śpiącego, który szarpnął się gwałtownie, próbując się z niej uwolnić.

Kiedy szyba w oknie po stronie pasażera zjechała na dół, Rebus przechylił się lekko do środka i oświadczył pogodnym tonem:

– Panowie zamawiali budzenie na pierwszą?

– Omal się nie zesrałem – sapnął policjant siedzący na miejscu pasażera, próbując złożyć gazetę.

Nazywał się Pat Connolly i pierwsze kilka lat pracy w wydziale śledczym poświęcił na walkę z nazywaniem go „Paddy”. Jego partnerem był Tommy Daniels, który ze stoickim spokojem zaakceptował – co zwykle robił także w innych sprawach – nadane mu przezwisko „Dalka”. Brało się ono z ciągu logicznego: Tommy – tam-tamy – dalekie dźwięki bębnow, ale mówiło też wiele o jego charakterze. Mimo iż tak brutalnie wyrwano go ze snu, na widok Rebusa zareagował jedynie wzniesieniem oczu ku górze.

– Mogłeś nam chociaż przynieść kawy – powiedział Connolly z wyrzutem.

– Mogłem – zgodził się Rebus. – Albo lepiej słownik – dodał, zerkając na krzyżówkę w gazecie, w której ledwie jedna czwarta kraterka była wypełniona literami, a wokół pełno było bohomasów i przymiarek do haseł. – Spokojna noc?

– Jeśli nie liczyć turystów pytających o ulice, to tak – odparł Connolly.

Rebus uśmiechnął się i rozejrzał wokół. Znajdowali się w samym sercu turystycznej dzielnicy Edynburga. Zaraz za skrzyżowaniem był hotel, a po drugiej stronie ulicy sklep ze szkockimi tkaninami. Sklepy z pamiątkami, kruchymi ciasteczkami i karafkami do whisky. Pięćdziesiąt metrów dalej pracownia krawiecka kiltów. Dom Johna Knoxa, karłowaty i pokraczny na tle sąsiadów, ukryty w ich cieniu. Kiedyś Stare Miasto było całym Edynburgiem, będąc kręgosłupem łączącym zamek z Holyrood, od którego jak powyginane żebra odchodziły na boki wąskie zaułki. A kiedy Stare Miasto zaczęło się dusić od nadmiaru mieszkańców i gór nieczystości, powstało Nowe Miasto, które swą elegancką zabudową z epoki króla Jerzego i zamierzonym snobizmem miało drażnić mieszkańców Starego Miasta i wszystkich, których nie stać było na to, by tam zamieszkać. Rebus uznał za charakterystyczne to, że o ile Philippa Balfour wybrała mieszkanie na Nowym Mieście, David Costello wolał zamieszkać w sercu

Starego Miasta.

– Jest w domu? – spytał.

– Jakby go nie było, to nas by tu też nie było – odpowiedział Connolly, przyglądając się, jak jego partner nalewa sobie z termosu zupę pomidorową. Dalka nieufnie powąchał płyn w kubku, potem pociągnął szybki łyk. – A właściwie to akurat nam się przydasz – dodał. Rebus spojrzął na niego.

– Dopravdy? – powiedział.

– Rozsądź spór. Wages Day zespołu Deacon Blue to ich pierwsza płyta, czy druga?

Rebus uśmiechnął się.

– To rzeczywiście musi być wyjątkowo spokojna noc. – Po czym, po chwili zastanowienia, dodał: – Druga.

– No to wisisz mi dychę – powiedział Connolly do Dalki.

– Pozwolicie, że teraz ja o coś zapytam? – Rebus kucnął i poczuł jak mu kolana trzeszczą z wysiłku.

– Wal – rzucił Connolly.

– Co robicie, jak wam się zachce siusiu?

Connolly uśmiechnął się.

– Jak Dalka śpi, to korzystam z jego termosu.

Łyk zupy niemal eksplodował z nozdrzy Dalki.

Rebus wyprostował się i poczuł pulsowanie krwi w uszach. Było to jak ostrzeżenie pogodowe: zbliża się huraganowy kac o sile 10 w skali alkoholowej.

– Wchodzisz do środka? – spytał Connolly, kiedy Rebus znów spojrzął na kamienicę.

– Tak się właśnie zastanawiam.

– Musielibyśmy to odnotować.

– Wiem. – Rebus pokiwał głową.

– Wracasz z pożegnalnej popijawy u Farmera?

Rebus zwrócił się twarzą do samochodu.

– O co ci chodzi?

– No bo coś sobie wypiełeś, nie? Więc to może nie najlepszy moment na wizyty domowe...
panie inspektorze.

– Pewnie masz rację... Paddy – powiedział Rebus i ruszył w stronę drzwi.

– Pamiętasz, o co mnie pytałeś?

Rebus przyjął z wdzięcznością czarną kawę, wydłubał dwa paracetamole z plastikowych osłonek, wsunął je do ust i popił kawą. Był środek nocy, a mimo to David Costello nie spał. Ubrany był w czarny T-shirt, czarne dżinsy i był boso. Najwyraźniej w którymś momencie

musiał wyskoczyć do monopolowego, bo na podłodze leżała pusta reklamówka, a obok stała otwarta piersiówka whisky Bell's, w której brakowało mniej więcej dwóch solidnych łyków. Więc picie to nie jego domena, pomyślał Rebus. To typowa sytuacja dla człowieka niepijącego, którego spotyka jakiś kryzys: dobrze byłoby napić się whisky, ale najpierw trzeba po nią pójść i kupić. I po co wyrzucać pieniądze na dużą butelkę – na te parę łyków wystarczy piersiówka.

Pokój był niewielki, a do mieszkania wchodziło się spiralnymi schodami, pnącymi się zakolami kamiennych stopni, jak na zamkowej wieży. Tysiące nóg wyżłobiło w stopniach głębokie wklęsłości. Wokół schodów rozmieszczone były maleńkie okna. Dom budowano w czasach, kiedy ciepło stanowiło kosztowny luksus, dlatego im mniejsze okna, tym mniejsze straty ciepła.

Pokój oddzielony był od kuchni jedynie cienką ścianką działową, w której znajdowało się szerokie przejście bez drzwi – znak, że Costello lubi gotować. Na ścianach kuchni na rzeźnickich hakach wisiały różnej wielkości rondle i patelnie. Pokój zawalony był książkami i kompaktami. Rebus rzucił okiem na te ostatnie: John Martyn, Nick Drake, Joni Mitchell – muzyka łatwa, ale nie bezmyślna. Książki wyglądały na lektury i podręczniki z zakresu literatury angielskiej.

Costello siedział na czerwonym futonie; Rebus wybrał dla siebie jedno z drewnianych krzeseł z prostym wysokim oparciem. Pomyślał, że przypominają krzesła wystawiane przed sklepami na Causeway, w których termin „antyki” mógł równie dobrze oznaczać ławki szkolne z lat sześćdziesiątych, jak i zielone regały biurowe wyrzucone na śmietnik podczas ostatniej wymiany mebli.

Costello przeciągnął dłonią po włosach i nie odpowiedział.

– Pytałeś mnie, czy myślę, że to ty ją zabiłeś – odpowiedział sobie Rebus.

– Że co zrobiłem?

– Że zabiłeś Flipę. Zdaje się, że tak to sformułowałeś: „Pan myśli, że to ja ją zabiłem, prawda?”

Costello kiwnął głową.

– No bo to dość oczywiste. Nasze drogi się rozeszły, więc przyjmuję, że musi mnie pan uważać za podejrzanego.

– David, w tej chwili jesteś jedynym podejrzanym.

– Pan naprawdę uważa, że jej się coś stało?

– A ty jak myślisz?

Costello potrząsnął głową.

– Od pierwszej chwili nic innego nie robię, tylko grzebię w myślach.

Przez chwilę zapadło milczenie.

– A właściwie, to co pan tu robi? – zapytał nagle Costello.

– Jak już mówiłem, wpadłem tu w drodze do domu. Podoba ci się na Starym Mieście?

– Tak.

– Trochę tu inaczej niż na Nowym. Nie chciałeś się przenieść bliżej Flipy?

– Do czego pan zmierza?

Rebus wzruszył ramionami.

– Może coś to mówi o was obojgu, wasz wybór dzielnic.

Costello zaśmiał się ironicznie.

– Wy, Szkoci, strasznie lubicie wszystko upraszczać i segregować.

– To znaczy, co?

– Albo Stare Miasto, albo Nowe. Albo katolik, albo protestant. Albo zachodnie wybrzeże, albo wschodnie... A życie potrafi być nieco bardziej skomplikowane.

– Przyciąganie się przeciwieństw, tylko o to mi chodziło. – Znów zapadło milczenie. Rebus rozejrzał się po pokoju. – Widzę, że zbyt nie nabałaganili.

– Kto?

– Ci, którzy przeprowadzali tu rewizję.

– Mogło być gorzej.

Rebus pociągnął łyk kawy i udał, że się nią rozkoszuje.

– Przecież i tak nie zostawiłbyś tu ciała, prawda? Tylko zboczeńcy mogą zrobić coś takiego.

– Costello nie spuszczał z niego wzroku. – Przepraszam, trochę się... Mówię tylko teoretycznie. Nie próbuję ci niczego wmówić. Ale ci szperacze na pewno nie szukali tu ciała. Oni zajmują się czymś, czego ani ty, ani ja nawet nie dostrzegamy. Drobinki krwi, włókienka, pojedyncze włosy.

– Rebus wolno pokiwał głową. – Ławy przysięgłych uwielbiają takie rzeczy. Dawne metody policyjne zostaną niedługo złożone do lamusa. – Odstawił czarny połyskliwy kubek i sięgnął do kieszeni po papierosy. – Pozwolisz, że...?

Costello zawahał się.

– Właściwie, jeśli pan pozwoli, to ja też się poczęstuję.

– Bardzo proszę. – Rebus wyciągnął papierosa, zapalił go, potem rzucił chłopakowi paczkę i zapalniczkę. – Nie krępuj się i zrób sobie skręta – dodał. – To znaczy, jeśli popalasz.

– Nie popalam.

– Wygląda na to, że studenckie zwyczaje bardzo się zmieniły.

Costello wypuścił kłąb dymu i przyjrzał się papierosowi, jakby nie był przyzwyczajony do jego widoku.

– Pewnie tak – odpowiedział.

Rebus uśmiechnął się. Dwóch facetów siedzi, pali i gawędzi. Za oknami głęboka noc, cały świat śpi, nikt nie podsłuchuje – czyli dobra pora na szczerą i zwierzenia. Wstał z krzesła i podszedł do regału z książkami.

– W jaki sposób poznaliście się z Flipą? – spytał, biorąc do ręki pierwszą z brzegu książkę

i kartkując ją.

– Na przyjęciu. Od razu coś między nami zaiskrzyło. Następnego dnia rano po śniadaniu poszliśmy na spacer na cmentarz Warriston. Wtedy po raz pierwszy poczułem, że się w niej zakochałem... To znaczy, że to nie tylko przygoda na jedną noc.

– Interesujesz się filmami? – zapytał Rebus. Zauważył, że całą jedną półkę zajmowały książki o tematyce filmowej.

Costello uniósł głowę i spojrzał na Rebusa.

– Chciałbym kiedyś pisać scenariusze.

– Dobry pomysł. – Rebus wziął do ręki kolejną książkę. Zdawała się w całości zawierać wiersze poświęcone Alfredowi Hitchcockowi. – Więc nie poszedłeś do hotelu? – spytał po przerwie.

– Nie.

– Ale widziałeś się z rodzicami?

– Tak.

Costello zaciągnął się głęboko, jakby chciał wyssać z papierosa życie. Zdał sobie sprawę, że nie ma popielniczki, rozejrzał się więc wokół w poszukiwaniu czegoś w zastępstwie: lichtarze, jeden dla Rebusa, drugi dla siebie.

Odwracając się od regału, Rebus poczuł coś pod nogą: ołowiany żołnierzyk, nie większy niż trzy centymetry. Schylił się, by go podnieść. Muszkiet miał odłamany, a głowę skręconą w bok. Pomyślał, że to chyba nie on go rozdeptał. Ostrożnie ustawił go na półce i wrócił na krzesło.

– To zrezygnowali z tego drugiego pokoju? – zapytał.

– Śpią w oddzielnych pokojach, panie inspektorze. – Spojrzał na Rebusa znad lichtarza, do którego strząsnął popiół. – Ale to nie przestępstwo, prawda?

– Nie jestem w tych sprawach najlepszym sędzią. Żona odeszła ode mnie tak dawno, że już nawet nie pamiętam kiedy.

– Na pewno pan pamięta.

Rebus znów się uśmiechnął.

– Przyłapany na kłamstwie.

Costello położył głowę na oparciu futonu i stłumił ziewnięcie.

– Powinienem już pójść – powiedział Rebus.

– Niech pan chociaż dopije kawę.

Rebus już dawno ją skończył, ale skorzystał z okazji, by skinąć głową. Pomyślał, że nie wyjdzie, póki go stąd nie wyrzucą.

– Może się jeszcze znajdzie. Ludzie czasami robią różne dziwne rzeczy. Na przykład nagle przyszedł jej do głowy pomysł, żeby połączyć po górach.

– Flipa nie była typem turystki.

– Ale może chciała gdzieś na trochę uciec.

Costello pokręcił głową.

– Wiedziała, że czekają na nią w barze. Nie mogła o tym zapomnieć.

– Nie? A powiedzmy, że poznała kogoś innego... Wiesz, na zasadzie reakcji pod wpływem nagłego impulsu, jak w tej reklamie.

– Kogoś innego?

– Jest to możliwe, nie uważasz?

Twarz Costello spochmurniała.

– Nie wiem. Sam się nad tym zastanawiałem, czy jest ktoś inny.

– I odrzuciłeś taką ewentualność?

– Tak.

– Dlaczego?

– Bo gdyby tak było, to by mi o tym powiedziała. Flipa już taka jest: wszystko jedno czy chodzi o wieczorową suknię za tysiąc funtów, czy o bilet na concorde'a zafundowany przez rodziców, musi się tym pochwalić.

– Lubi zwracać na siebie uwagę?

– Tak jak wszyscy, od czasu do czasu.

– Ale nie myślisz, że zrobiła to dla kawału, tylko po to, żeby wszyscy jej szukali?

– Sama wymyśliła swoje zniknięcie? – Costello potrząsnął głową przecząco, potem stłumił kolejne ziewnięcie. – Chyba powinienem się trochę przespać.

– O której jest ta konferencja prasowa?

– Wczesnym popołudniem. Mówili coś, że chcą z tym zdążyć na główne wydanie wiadomości.

– Tylko nie bądź stremowany. – Rebus pokiwał głową. – Bądź sobą.

Costello zdusił niedopałek papierosa.

– A kim mam być, jak nie sobą – powiedział, wyciągając do Rebusa rękę z papierosami i zapalniczką.

– Zatrzymaj je. Nigdy nie wiadomo, kiedy ci się zachce. – Wstał. Mimo paracetamolu krew dudniła mu w głowie. „Flipa już taka jest”. Costello powiedział to w czasie terazniejszym. Czy to tylko uwaga bez znaczenia, czy coś bardziej przemyślanego? Chłopak też się podniósł i uśmiechnął, ale w jego uśmiechu nie było radości.

– No i w końcu nie odpowiedział pan na moje pytanie – rzucił.

– Biorę pod uwagę wszystkie możliwości, panie Costello.

– Naprawdę? – Costello wsunął ręce do kieszeni. – Będzie pan na tej konferencji prasowej?

– Niewykluczone.

– I będzie się pan wsłuchiwał w moje przejęzyczenia i moją intonację? Będzie pan szukał

czegoś, jak ci pańscy szperacze? – Costello zmrużył oczy. – Bo może jestem jedynym podejrzanym, ale nie jestem głupi.

– Wobec tego ucieszy pana zapewne, że stoimy po tej samej stronie... chyba, że pan uważa inaczej?

– Po co pan tu dzisiaj przyszedł? Przecież nie jest pan na służbie, prawda?

Rebus zrobił krok w jego kierunku.

– Wie pan, panie Costello, w co kiedyś wierzono? Wierzono, że w oczach ofiary zostaje zachowany obraz mordercy – twarz, jaką ofiara widziała przed śmiercią. Dlatego niektórzy mordercy wydłubywali swym ofiarom oczy.

– Ale w dzisiejszych czasach nie jesteśmy już tacy naiwni, prawda, panie inspektorze? Nie można się spodziewać, że się kogoś rozpozna, patrząc mu tylko głęboko w oczy. – Costello pochylił się ku Rebusowi i lekko wytrzeszczył oczy. – Ale niech się pan wpatruje, byle szybko, bo niedługo zamykamy wystawę.

Rebus nie odwrócił głowy i spojrzał chłopakowi prosto w oczy. Pierwszy zamrugał Costello, przerywając ten swoisty seans. Potem odwrócił się i oświadczył Rebusowi, żeby już sobie poszedł. Był już przy drzwiach, kiedy Costello go zawołał. Stał, wycierając chustką paczkę z papierosami. Potem zrobił to samo z zapalniczką i rzucił obie w stronę Rebusa. Upadły u jego stóp.

– Myślę, że panu się bardziej przydadzą, niż mnie.

Rebus pochylił się, by je podnieść.

– A ta chusteczka po co? – spytał.

– Ostrożności nigdy za wiele – odparł Costello. – Czasem można trafić na ślady w najdziwniejszych miejscach.

Rebus wyprostował się. Postanowił puścić to mimo uszu. Będąc już w drzwiach, usłyszał Costello mówiącego: „Dobranoc” i dopiero w połowie schodów odpowiedział mu. Zdumiało go to wycieranie chusteczką papierosów i zapalniczki. Przez wszystkie lata pracy w policji nigdy nie spotkał się z tym, by podejrzanym zrobić coś podobnego. Musiało to chyba oznaczać, że Costello liczy się z tym, że ktoś może chcieć go zrobić.

Albo, że zrobił to specjalnie. W każdym razie młody człowiek ukazał mu zupełnie nową twarz – kogoś, kto potrafi chłodno i spokojnie kalkulować. I kto potrafi przewidywać i wybiegać myślą w przyszłość...

2

Był to jeden z tych chłodnych, ponurych dni, które w Szkocji mogą się zdarzyć w czasie co najmniej trzech różnych pór roku. Niebo przybrało kolor ołowiu i wiał wiatr, który ojciec Rebusa nazwałby „wisielczym”. Ojciec opowiadał mu raz – a właściwie wiele razy – jak kiedyś w mroźny zimowy poranek wszedł do sklepu spożywczego w Lochgelly. Sklepiarz stał nad elektrycznym grzejnikiem. Ojciec Rebusa spojrzął na ladę chłodniczą i spytał: „Czy to bekon z Ayrshire?”, na co sklepiarz odparł: „Nie, ręce sobie grzeję”. Ojciec zarzekał się, że opowieść jest prawdziwa, a Rebus – mógł mieć wtedy siedem albo osiem lat – w to wierzył. Potem doszedł jednak do wniosku, że to stara anegdota, którą ojciec gdzieś usłyszał i wykorzystał jako własną.

– Nieczęsto widzę, żebyś się uśmiechał – powiedziała *barista*, przygotowując mu podwójne *latte*. To były jej określenia: *barista* i *latte*. Swój interes prowadziła w adaptowanej budce policyjnej przy Błoniach, i Rebus zatrzymywał się tam niemal codziennie w drodze do pracy. Zamawiał u niej „kawę z mlekiem”, a ona go zawsze poprawiała na *latte*. Potem on dodawał jeszcze „podwójna”, czego nie musiał robić, bo znała jego zwyczaje na pamięć. Robił to jednak, bo wymawianie tego słowa sprawiało mu przyjemność.

– Uśmiechanie się to nie zbrodnia, nie? – odparł, patrząc, jak na kawę nakłada mleczną piankę.

– To już ty wiesz lepiej.

– A twój szef wiedziałby jeszcze lepiej, niż my oboje razem wzięci. – Zapłacił za kawę, a drobne, które mu wydała, wrzucił do pojemnika po margarynie, przeznaczonego na napiwki, i ruszył w stronę St Leonard’s. Nie sądził, by się domyślała, że jest gliniarzem. „Ty wiesz lepiej...”, powiedziała to jednak lekko, bez podtekstu, tylko by podtrzymać rozmowę. Z kolei jego uwaga o jej szefie była aluzją do faktu, że właścicielem całej sieci takich budek był były adwokat. Ale wyglądało na to, że nie załapała aluzji.

Na St Leonard’s Rebus jeszcze przez chwilę został w samochodzie, by do kawy wypalić ostatniego papierosa. Pod tylnym wyjściem z komisariatu stały furgonetki gotowe, by w razie potrzeby zawieść kogoś do sądu. Kilka dni wcześniej Rebus zeznawał w sądzie jako świadek i obiecał sobie, że musi się dowiedzieć o wynik sprawy. Jednak kiedy drzwi się otworzyły, zamiast aresztantów zobaczył tylko Siobhan Clarke. Dostrzegła jego samochód, uśmiechnęła się i pokręciła głową na ten typowy widok. Podeszła, a Rebus opuścił szybę.

– Pożywne śniadanie skazańca – powiedziała.

– Ja też cię witam serdecznie.

– Szef chce cię widzieć.

– I wysłał po mnie psa gończego.

Siobhan nie odpowiedziała, uśmiechnęła się tylko i odczekała, aż Rebus wysiądzie

z samochodu. Byli w połowie parkingu, kiedy się odezwała:

– Jeśli już, to wysłała.

Stanął jak wryty.

– Rzeczywiście, wyleciało mi z głowy – przyznał.

– A przy okazji, jak się czuje twój kac? Bo może jeszcze ci coś wyleciało z głowy?

Otworzyła przed nim drzwi, a on poczuł się jak zwierzę wpuszczane do klatki.

Z gabinetu znikły już fotografie i słynny ekspres do kawy Farmera, a na szafce na akta leżało kilka kartek z życzeniami powodzenia, ale poza tym wszystko było po staremu, łącznie ze stertą papierów w korytku na korespondencję przychodzącą i z samotnym kaktusem w doniczce na parapecie okna. Gill Templer wyglądała w fotelu Farmera na dość zagubioną, zwłaszcza że słusznych rozmiarów postura jej poprzednika wygniotła w fotelu zagłębienia, których jej szczupła sylwetka nie miała szans wypełnić.

– Siadaj, John – powiedziała i po chwili, gdy już podchodził do krzesła, dodała: – I opowiedz mi, o co chodziło wczoraj wieczorem. – Oparła łokcie o biurko i złożyła końce palców. Dokładnie taką samą pozę przyjmował Farmer, kiedy starał się ukryć irytację lub zniecierpliwienie. Albo go podpatrzyła, albo gest ten szedł w parze z awansem na wyższe stanowisko.

– Wczoraj wieczorem?

– W mieszkaniu Philippy Balfour. Znalazł cię tam jej ojciec. – Uniosła głowę i spojrzała na niego. – Najwyraźniej piłeś alkohol.

– Wszyscy pili.

– Ale nie wszyscy tyle, co niektórzy. – Zerknęła na arkusz papieru leżący przed nią na biurku. – Pan Balfour chciałby wiedzieć, co tam robiłeś. A jeśli mam być szczerą, to sama też zachodzę w głowę.

– Wracalem do domu...

– Z Leith Walk do Marchmont przez Nowe Miasto? Wygląda na to, że się chyba zgubiłeś.

Rebus zdał sobie sprawę, że wciąż jeszcze trzyma papierowy kubek z kawą. Bez pośpiechu odstawił go na podłogę.

– Czasami lubię coś takiego zrobić – odpowiedział w końcu. – Lubię jeszcze raz wrócić na miejsce, kiedy już się wszystko uspokoi.

– Dlaczego?

– Tak na wszelki wypadek, gdyby coś przeoczono.

Sprawiała wrażenie, że przez chwilę się nad tym zastanawia.

– Nie jestem pewna, czy tylko o to chodzi.

Rebus wzruszył ramionami i nic nie powiedział. Gill raz jeszcze spojrzała w notatki.

- A potem postanowiłeś jeszcze odwiedzić chłopaka panny Balfour. Dlaczego?
- To już naprawdę było po drodze do domu. Zatrzymałem się, żeby pogadać z Connollym i Danielssem. U Costello się świeciło, więc pomyślałem, że wpadnę do niego i sprawdzę, czy wszystko w porządku.
- Taki z ciebie troskliwy gliniarz? – Umilkła na chwilę. – Więc pewnie dlatego pan Costello uznał za konieczne poinformować o twojej wizycie swojego adwokata.
- Nie wiem, po co to zrobił. – Rebus poprawił się niespokojnie na twardym siedzeniu krzesła, udając, że sięga po kawę.
- Adwokat skarży się, że „nachodzimy” jego klienta. Być może będziemy musieli zdjąć naszych ludzi. – Nie spuszczała z niego wzroku.
- Posłuchaj, Gill – zaczął Rebus. – Znamy się jak łyse konie. Moje metody pracy nie są tajemnicą. Jestem pewien, że Watson przekazał ci całą litanię uwag.
- Tak było kiedyś, John.
- To znaczy, co?
- Ile wczoraj wypiliśmy?
- Więcej niż powinienem, ale to nie była moja wina. – Zobaczył jak brew Gill wędruje do góry. – Jestem pewien, że ktoś mi podłożył świnie.
- Chcę, żebyś poszedł do lekarza.
- O Chryste Panie...
- W sprawie twojego picia, w sprawie sposobu odżywiania się, ogólnie w sprawie stanu twojego zdrowia... Chcę żebyś się zbadał, a to, co powie lekarz, będzie święte, i masz się zastosować do jego zaleceń.
- Glony i sok z marchwi?
- Pójdiesz do lekarza, John. – Powiedziała to tonem polecenia, nie prośby. Rebus skrzywił się, wypił łyk kawy, potem uniósł kubek do góry.
- Z chudym mlekiem – oznajmił.
- Prawie się uśmiechnęła.
- Od czegoś trzeba zacząć.
- Gill, posłuchaj... – Wstał z krzesła i wrzucił kubek do dziewczęco czystego kosza na śmieci.
- Moje picie to nie problem. Nie przeszkadza mi w pracy.
- Wczoraj przeszkodziło.
- Potrząsnął głową, ale jej twarz miała kamienny wyraz. W końcu głęboko westchnęła.
- Tuż przed wyjściem z klubu... pamiętasz, co było?
- Jasne. – Nie wrócił na krzesło. Stał wyprostowany przed jej biurkiem, z rękami opuszczonymi wzdłuż ciała.
- Pamiętasz, co mi powiedziałeś? – Wyraz jego twarzy powiedział jej już wszystko, co

chciała wiedzieć. – Chciałaś, żebym poszła z tobą do domu.

– Przepraszam. – Starał się sobie przypomnieć, ale w głowie miał pustkę. W ogóle nie pamiętał momentu wyjścia z klubu.

– Więc musisz to zrobić, John. Umówię cię z lekarzem.

Odwrócił się i ruszył do drzwi. Już wychodził, kiedy go zawołała.

– Skłamałam – powiedziała z uśmiechem. – Nic mi takiego nie proponowałeś. A teraz możesz mi życzyć powodzenia na nowym stanowisku.

Rebus spróbował przywołać na twarz złośliwy uśmieszek, ale bez rezultatu. Gill uśmiechała się, póki drzwi się za nim nie zamknęły, potem uśmiech zniknął z jej twarzy. Rzeczywiście Watson rozgadał się na temat Rebusa, ale nie powiedział jej niczego, o czym sama by nie wiedziała. „Pewnie trochę za dużo pije, ale to dobry gliniarz, Gill. Tylko lubi sprawiać wrażenie, że potrafi się obejść bez niczyjej pomocy”. Może to na swój sposób prawda, ale może też nadchodzi szybkimi krokami chwila, kiedy John Rebus będzie musiał pogodzić się z tym, że oni też potrafią się obejść bez niego.

Łatwo było rozpoznać uczestników pożegnalnej balangi: apteki w ich sąsiedztwie wyprzedały pewnie cały zapas aspiryny, witaminy C i wszystkich innych sprawdzonych leków na kaca. Wyglądało, że ich głównym problemem jest odwodnienie. Rebusowi rzadko zdarzało się widzieć tyle butelek irn-bru, lucozade i coli ściskanych w tak wielu dygocących dłoniach. Wszyscy nieskacowani – ci, których nie było w klubie albo byli, lecz ograniczali się do napojów bezalkoholowych – teraz triumfowali, głośno pogwizdując i przy każdej okazji z całej siły waląc szufladami i drzwiczkami szafek. Główną salę operacyjną dla śledztwa w sprawie Philippy Balfour urządzono na Gayfield Square – stąd było znacznie bliżej do jej mieszkania – ponieważ jednak przy tak licznej ekipie dochodzeniowej miejsca wciąż brakowało, wydzielono także kąt w wydziale śledczym na St Leonard’s. Tam właśnie siedziała teraz Siobhan, wpatrując się w ekran monitora. Na podłodze obok jej nóg leżał drugi twardy dysk i Rebus zdał sobie sprawę, że Siobhan zмага się z komputerem panny Balfour. Między policzek a ramię wcisnęła sobie słuchawkę telefoniczną i, coś pisząc, jednocześnie rozmawiała.

– Też nic z tego – usłyszał jej głos.

Sam dzielił biurko z trzema innymi policjantami, i dało się to zauważyć. Zgarnął na podłogę resztki chipsów i wyrzucił dwie puszki po fance do najbliższego kosza. Kiedy zadzwonił telefon, podniósł słuchawkę, ale dzwoniono tylko z miejscowej wieczornej gazety, próbując coś przewąchać.

– Proszę rozmawiać z rzecznikiem prasowym – oświadczył Rebus reporterowi.

– Daj pan spokój.

Rebus zastanowił się. Biuro łączności z mediami było do tej pory działką Gill Templera.

Spojrzał w kierunku Siobhan Clarke i spytał:

- Kto się teraz zajmuje kontaktami z prasą?
- Sierżant Ellen Wylie – wtrącił się reporter.

Rebus podziękował mu za informację, po czym rozłączył się. Biuro prasowe byłoby dla Siobhan znaczącym krokiem naprzód – szczególnie w przypadku tak głośnej sprawy. Ellen Wylie była dobrą policjantką, wywodzącą się z Torphichen. Jako specjalistka do spraw kontaktów z mediami, Gill Templer na pewno musiała wydać opinię na temat nowej kandydatki, a być może decyzja wręcz należała do niej. I wybrała Ellen Wylie. Rebus był ciekaw, czy kryje się za tym coś więcej.

Wstał od biurka i zaczął studiować papiery przypięte do tablicy na ścianie. Grafiki służb, faksy, listy adresów i numerów kontaktowych. Przyczepiono też dwa zdjęcia zaginionej dziewczyny. Jedno z nich udostępniono prasie i teraz wisiało na tablicy powielone w wielu egzemplarzach wraz z artykułami na temat jej zaginięcia. Pomyślał, że jeśli jej szybko nie odnajdą całej i zdrowej, to za chwilę na tablicy zabraknie miejsca i trzeba będzie pozbyć się tych wszystkich wycinków prasowych. Treść notatek i tak się powtarzała, a ich autorom bardziej zależało na sensacji niż na dokładności. Rebus przez chwilę zadumał się nad jednym z określeń: „tragiczny narzeczony”. Rzucił okiem na zegarek: jeszcze pięć godzin do konferencji.

W związku z awansem Gill Templer, w wydziale śledczym na St Leonard’s zwolniło się stanowisko starszego inspektora. Chętkę na nie miał detektyw inspektor Bill Pryde, który postanowił wykazać się przy sprawie panny Balfour. Rebus, który dopiero co zjawił się w sali operacyjnej na Gayfield Square, mógł jedynie patrzeć i podziwiać. Pryde zaczął od swego wyglądu – ubrał się w garnitur prosto od krawca, czystą białą koszulę i elegancki krawat. Czarne trzewiki lśniły czystością i wyglądało, że odwiedził też fryzjera. Nie zostało mu wprawdzie zbyt wiele włosów do strzyżenia, ale liczył się wysiłek. Powierzono mu rozdzielanie zadań, a to oznaczało, że wyznaczał funkcjonariuszy do odwiedzania domów i przesłuchiwania ich mieszkańców. Wywiady przeprowadzano z wszystkimi sąsiadami – z niektórymi już po raz drugi lub trzeci – jak i z wszystkimi przyjaciółmi zaginionej, jej kolegami z uczelni i z personelem uniwersyteckim. Sprawdzano też loty i rejsy promów, a jej zdjęcie przefaksowano na dworce kolejowe, do firm komunikacji autobusowej i do komisariatów policji poza okręgiem Lothian i Borders. Komuś musiało przypaść zadanie zbierania danych o wszystkich odnalezionych zwłokach z terenu całej Szkocji, a ktoś inny sprawdzał przyjęcia do szpitali. Do tego dochodziły jeszcze firmy taksówkowe i wypożyczalnie samochodów... Wszystko to wymagało czasu i wysiłku i składało się na publiczne oblicze śledztwa. Po cichu prowadzono także poufną inwigilację najbliższej rodziny i kręgu przyjaciół zaginionej, choć Rebus wątpił, by sprawdzanie środowiska dziewczyny dało jakieś rezultaty. Nie tym razem.

Wreszcie Pryde zakończył odprawę dla zebranej wokół niego grupy. Kiedy funkcjonariusze się rozeszli, dostrzegł stojącego w kącie Rebusa, puścił do niego oko i zbliżając się, potarł sobie czoło dłonią.

– Muszę teraz uważać – powiedział Rebus. – Podobno poczucie władzy deprawuje i tak dalej.

– Przepraszam – rzekł Pryde, ścisząc głos – ale mnie to autentycznie rajcuje.

– To dlatego, że potrafisz sobie z tym poradzić, Bill. To tylko Pałac potrzebował aż dwudziestu lat, żeby na to wpaść.

Pryde pokiwał głową.

– Mówi się, że w swoim czasie nie przyjąłeś awansu na starszego inspektora.

– Plotki, Bill. To tak, jak z tym albumem Fleetwood Mac: najlepiej nie słuchać.

Sala operacyjna przypominała salę ćwiczeń w szkole baletowej. Każdy zajmował się swoim indywidualnym zadaniem. Część wdziewała płaszcze i sięgała po kluczyki i notatniki. Inni podwijali rękawy i rozsiadali się przy komputerach i telefonach. Z jakichś zakamarków budżetu udało się wycisnąć pieniądze na zakup nowych krzeseł – jasnoniebieskich, obrotowych, na kółkach. Ci, którym udało się je zdobyć, poruszali się po sali na siedząco, korzystając z kółek i nie ryzykując pozostawienia ich bez opieki w obawie, że ktoś inny im je podkradnie.

– Koniec z niańczeniem chłopaka – oznajmił Pryde. – Polecenie nowej szefowej.

– Słyszałem.

– Były naciski ze strony rodziny – dodał Pryde.

– Dla budżetu operacyjnego to jeszcze lepiej – zauważył Rebus, przeciągając się. – To jak, jest coś do roboty dla mnie?

Pryde przekartkował notatki przypięte do sztywnej podkładki.

– Trzydzieści siedem telefonów od przedstawicieli społeczeństwa – poinformował.

Rebus wznosił ręce w obronnym geście.

– Na mnie nie patrz. Świry i szaleńcy to dobre dla praktykantów, nie?

Pryde uśmiechnął się.

– Już przydzielone – uspokoił go, wskazując głową dwóch młodych posterunkowych, niedawno awansowanych ze służby mundurowej, którzy z bezradnymi minami przyglądali się stercie leżących przed nimi papierów. Użeranie się z ludźmi dzwoniącymi z miasta należało zawsze do najbardziej niewdzięcznych zadań w śledztwie. Każda nagłośniona przez media sprawa powodowała lawinę fałszywych tropów i zmyślnego przyznawania się do winy. Niektórym tak zależało na rozgłosie, że gotowi byli szukać go nawet za cenę brania na siebie podejrzania o morderstwo. Rebus sam zetknął się z kilkoma tego typu ludźmi z Edynburga.

– Craw Shand już się odezwał? – zapytał.

Pryde postukał w wykaz rozmów.

- Dzwonił już trzy razy, za każdym razem gotów przyznać się do morderstwa.
- Przymknijcie go – powiedział Rebus. – To jedyny sposób, żeby się go pozbyć.
- Wolną ręką Pryde dotknął węzła krawata, jakby upewniając się, że wszystko jest na miejscu.
- Sąsiedzi? – zapytał niepewnie.
- Rebus kiwnął głową.
- Sąsiedzi mogą być.

Rebus zebrał notatki ze wstępnych przesłuchań. Bardziej oddalone odcinki ulicy przydzielono innym wywiadowcom, zostawiając Rebusowi i pozostałej trójce – podzielonym na dwa dwuosobowe zespoły – lokale w bezpośrednim sąsiedztwie mieszkania Philippy Balfour. Było ich trzydzieści pięć, w tym trzy puste, co znaczyło, że mają do sprawdzenia trzydziestu dwóch sąsiadów. Szesnastu na zespół, na każdego sąsiada jakieś piętnaście minut... w sumie po cztery godziny.

Partnerka Rebusa, przydzielona mu do tego zadania, posterunkowa Phyllida Hawes, zrobiła te wyliczanki na klatce schodowej pierwszej z kamienic. Rebus właściwie nie był pewien, czy do bogato zdobionych domów z epoki króla Jerzego, mieszczących na parterze liczne galerie sztuki i salony z antykami pasuje słowo „kamienica”. Spytał Hawes o zdanie.

- Może lepiej apartamentowce? – zastanowiła się i uśmiechnęła.

Na każdym piętrze znajdował się tylko jeden, najwyżej dwa apartamenty, a drzwi wiodące do nich ozdobione były mosiężnymi lub ceramicznymi tabliczkami z nazwiskami. Tylko na kilku drzwiach znajdowały się kartonowe wizytówki przyklejone kawałkami taśmy klejącej.

- Nie jestem pewna czy Cockburn Association [Cockburn Association – najstarsze na świecie, powstałe w 1875 roku, towarzystwo ochrony zabytków architektury i przyrody w Edynburgu. (Wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).] byłoby zachwycone – zauważyła Hawes.

Na jednych z drzwi widniało kilka nazwisk. Pewnie studenci, pomyślał Rebus, i to z mniej zasobnymi portfelami niż Philippa Baliom.

Klatka schodowa była czysta i zadbana. Na podestach leżały wycieraczki i stały skrzynki z kwiatami. Kwiaty rosły również w koszach zawieszonych na balustradzie schodów. Ściany wyglądały na świeżo odmalowane, a schody były dokładnie zamiecione. W pierwszej klatce wszystko poszło jak w zegarku: w pierwszych dwóch mieszkaniach nie było nikogo, wrzucili więc swoje wizytówki w szpary na listy; każde z kolejnych mieszkań zajęło im po piętnaście minut – „Tylko kilka porządkowych pytań...” „Czy chciałaby pani jeszcze dodać coś od siebie...” Mieszkańcy potrząsali przecząco głowami i podkreślali, że wciąż są wstrząśnięci. Taka cicha, spokojna uliczka.

Na wysokim parterze znajdował się tylko jeden apartament, znacznie większy i elegantszy, z westybulem wyłożonym czarno-białą granitową szachownicą i ozdobionym doryckimi

kolumnami. Jego lokator dzierżawił go na podstawie wieloletniego kontraktu i był zatrudniony w „sektorze finansowym”. Rebus zaczynał dostrzegać pewną wyraźną prawidłowość: projektant graficzny, konsultant szkoleń, organizator imprez... a teraz sektor finansowy.

– Czy nikt już nie pracuje w normalnych zawodach? – zwrócił się z pytaniem do Hawes.

– Tu są normalne zawody – odparła.

Stanęli na chodniku i zrobili przerwę na papierosa. Rebus zauważył, że Hawes zerka na niego.

– Masz ochotę?

Potrząsnęła głową.

– Już trzy lata jak nie palę.

– Tylko pozazdrościć. – Rebus rozejrzał się po okolicznych domach. – Gdyby mieszkali tu miłośnicy firanek, to by nas teraz zza nich podglądali.

– Jakby mieli firanki, to nikt by nie mógł zaglądać do środka i zazdrościć.

Rebus zaciągnął się i wypuścił dym przez nos.

– Wiesz, pamiętam, że kiedy byłem młodszy, to wokół Nowego Miasta zawsze unosiła się taka atmosferka rozpusty. Hippisi i haszysz, ciągle imprezy i pełno różnych mętów.

– Dziś już tu nie ma dla nich miejsca. – Hawes pokiwała głową. – A ty gdzie mieszkasz?

– W Marchmont. A ty?

– W Livingston. Wtedy nie było mnie stać na nic więcej.

– Ja kupiłem to mieszkanie już wiele lat temu. Mieliśmy wtedy dwie pensje...

Spojrzała na niego.

– Nie musisz się tłumaczyć.

– Chodziło mi tylko o to, że wtedy ceny jeszcze nie zwariowały. – Starał się, by nie brzmiało to jak usprawiedliwienie. Wszystko przez to spotkanie z Gill i jej żarcik, który miał go zdenerwować. I to, że przez tę jego wizytę u Costello musieli zrezygnować z pilnowania go. Może rzeczywiście powinien z kimś porozmawiać o swoim piciu... Pstryknął niedopałek na jezdnię. Wykonana była z błyszczących, prostokątnych kostek nazywanych brukiem. Kiedy po raz pierwszy przyjechał do miasta, popełnił błąd i nazwał je kocimi łbami. Ktoś z miejscowych go wtedy poprawił. – Jeśli nas w następnym mieszkaniu zaproszą na herbatę, to skorzystamy – zapowiedział.

Hawes skinęła. Miała około czterdziestki i długie do ramion ciemne włosy. Jej twarz była lekko piegowata i pucułowata, jakby nie utraciła jeszcze dziecięcej miękkości rysów. Miała na sobie szary komplet ze spodniami i szmaragdową bluzkę spiętą pod szyją srebrną celtycką broszką. Rebus z łatwością mógł ją sobie wyobrazić na tradycyjnym celtyckim wieczorze, jak wiruje na parkiecie przy szkockiej muzyce ludowej, a na jej twarzy widnieje ten sam wyraz skupienia, z jakim teraz podchodziła do pracy.

Poniżej apartamentu na wysokim parterze mieściło się tak zwane „studio ogrodowe”. Prowadziły do niego spiralne schodki na zewnątrz budynku, a nazwa brała się stąd, że z mieszkania było wyjście na ogród na tyłach domu. Na stopniach schodków stały kolejne skrzynki z kwiatami. Mieszkanie miało dwa okna na poziomie niskiego parteru i dwa dalsze niżej w suterenie – dwupoziomowe studio. Obok wejścia znajdowały się drewniane drzwi do piwnic ciągnących się pod chodnikiem. Mimo iż zapewne już je sprawdzono, Rebus nacisnął klamkę, jednak drzwi były zamknięte na klucz. Hawes sprawdziła swoje notatki.

– Cirant Hood i George Silvers już tam byli przed nami – poinformowała.

– A drzwi były wtedy zamknięte czy otwarte?

– Ja im je otworzyłam – usłyszeli głos za sobą. Odwrócili się i zobaczyli starszą kobietę, stojącą w drzwiach do studia. – Dać państwu klucze?

– Tak, poprosimy – odparła Phyllida Hawes. Kiedy kobieta cofnęła się do środka, Phyllida popatrzyła na Rebusa i złożyła dłonie w literę T, gest trenerów proszących o czas. W odpowiedzi Rebus wystawił oba kciuki w górę.

Mieszkanie pani Jardine było prawdziwym muzeum bibelotów, wszelkiego rodzaju porcelanowych figurek i cacuszek. Narzuta przykrywająca oparcie kanapy musiała kosztować wiele tygodni mozolnego dziergania szydełkiem. Przepraszyła ich za kilkanaście metalowych puszek i rondelków, rozstawionych na podłodze werandy, dodając, iż „jakoś nigdy nie może się zebrać, żeby załatać ten dach”. Rebus zaproponował, by herbatę wypili tutaj: przy każdym ruchu w salonie cierpła mu skóra, że zrzuci coś na podłogę. Jednak kiedy zaczęło padać, rozmowa potoczyła się przy akompaniamencie plusku i dzwonienia spadających kropeł, a rozprysk z rondla stojącego obok nóg Rebusa groził, że wyjdzie stąd równie mokry, jak gdyby stał na zewnątrz.

– Nie znałam tej panienki – rzekła pani Jardine ze smutkiem. – Może, jakbym więcej wychodziła, to bym ją spotkała.

Hawes wyglądała przez okno.

– Ma tu pani porządek w ogrodzie – zauważyła z podziwem i można to było uznać za niedopowiedzenie. Długi i wąski pasek ziemi, cały pokryty na środku trawą i otoczony kwiatowymi rabatami, był idealnie zadbany.

– To zasługa mojego ogrodnika – odparła pani Jardine.

Hawes zajrzała do notatki sporządzonej z poprzedniej wizyty, a potem niemal niedostrzegalnie pokręciła głową. W notatce Silvers'a i Hooda nie było słowa o ogrodniku.

– Czy może nam pani podać jego nazwisko? – spytał Rebus obojętnym tonem. Mimo to staruszka spojrzała na niego zaniepokojona. W odpowiedzi Rebus uśmiechnął się, a kolejna kropla głośno plusnęła. – Tylko dlatego, że może mógłbym też z niego skorzystać – skłamał.

Na koniec sprawdzili piwnice. W jednej widać było staroświecką termę na gorącą wodę, w drugiej tylko pleśń. Pomachali pani Jardine ręką na pożegnanie i raz jeszcze podziękowali za gościnność.

– Niektórym to dobrze – powiedział na ich widok Grant Hood. Czekał na nich na chodniku, z kołnierzem postawionym w osłonie przed deszczem. – Nam nawet godziny nikt nie podał.

Partnerem Hooda był Dalka Daniels. Rebus kiwnął głową na powitanie.

– Co jest, Tommy? Robimy na dwie zmiany?

Daniels wzruszył ramionami.

– Zamieniłem się – powiedział, starając się stłumić ziewanie.

Hawes klepnęła dłonią w plik notatek.

– Za to ty – zwróciła się do Hooda – nawet jednej przyzwoicie nie przepracowałeś.

– Co jest?

– Pani Jardine zatrudnia ogrodnika – wyjaśnił Rebus.

– Za chwilę pewnie jeszcze będziemy rozmawiać ze śmieciarzami – obruszył się Hood.

– Już rozmawialiśmy – oświadczyła Hawes. – I do pojemników też zaglądaliśmy.

Zanosilo się na kłótnię. Rebus zastanawiał się, czy się wtrącić – razem z Hoodem pracował na St Leonard's i w sposób naturalny powinien stanąć po jego stronie – jednak bez słowa zapalił kolejnego papierosa. Twarz Hooda poczerwieniała. Tak jak ona był starszym posterunkowym z tytułem detektywa, ale miał za sobą krótszy od niej staż. Czasami trudno jest się spierać z doświadczeniem, ale to nie znaczy, żeby się od razu poddawać.

– Phillipie Balfour to nie pomoże – rzekł cicho Dalka Daniels i to ich uciszyło.

– Dobrze powiedziane, synu – pochwalił go Rebus.

Tak było istotnie: branie udziału w wielkich i głośnych śledztwach mogło powodować, że człowiek zaczynał zapominać o podstawowej prawdzie. Stając się jedynie maleńką śrubką w potężnej maszynierii, zaczynał się mądrzyć, by utwierdzić się we własnej ważności. Sprawa rozdziału krzesel stała się ważna, bo można było stosunkowo łatwo postawić na swoim. Inaczej niż w przedmiocie śledztwa, które zdawało się rosnać w postępie geometrycznym, powodując, że każdy zajmujący się nim czuł się coraz mniejszy i coraz mniej ważny, aż w końcu zaczynał tracić z pola widzenia prawdę zasadniczą (coś, co mentor Rebusa, Lawson Geddes, nazywał MISJA): to, że ktoś potrzebuje twojej pomocy i na tę pomoc czeka. Zagadkę zbrodni trzeba rozwiązać, a zbrodniarza ukarać. I czasami dobrze jest to sobie uzmysłwić.

W końcu rozeszli się w przyjaźni, a Hood zanotował dane ogrodnika i obiecał, że z nim porozmawia. Nie pozostało im nic innego, jak wrócić do wspinaczek po schodach. Wizyta u pani Jardine trwała niemal pół godziny i wszystkie wyliczenia Hawes wzięły w łeb, raz jeszcze potwierdzając oczywistą prawdę – śledztwo musi się ciągnąć. Było tak, jakby czas wrzucał nagle wyższy bieg, człowiek przestawał panować nad upływem kolejnych godzin, a na koniec dnia nie

mógł zrozumieć ogarniającego go zmęczenia i pozbyć się uczucia niepokoju, że o czymś zapomniał i coś zostawił nie dokończone.

W kolejnych dwóch mieszkaniach nie było nikogo, następne drzwi otworzył im ktoś, kogo twarz wydała się Rebusowi znajoma, ale kogo nie zdołał jednak rozpoznać.

– Chodzi nam o zaginięcie Philippy Balfour – wyjaśniła Hawes. – O ile mi wiadomo, dwóch naszych kolegów już z panem rozmawiało. My chcielibyśmy tylko uściślić kilka spraw.

– Ależ tak, oczywiście. – Lakierowane czarne drzwi uchyliły się nieco szerzej. Mężczyzna spojrzął na Rebusa i uśmiechnął się. – Nie może mnie pan skojarzyć, prawda? Ale ja pana pamiętam. – Uśmiech rozjaśnił mu twarz. – Za to na pewno pamięta pan swoją „dziewiczą” autopsję, prawda?

Mężczyzna wpuścił ich do przedpokoju, poinformował że nazywa się Donald Devlin, i wtedy Rebus go sobie przypomniał. Pierwszą sekcję zwłok, w której uczestniczył jako funkcjonariusz wydziału śledczego, wykonywał właśnie Devlin. Był profesorem katedry medycyny sądowej na Uniwersytecie Edynburskim i w owym czasie jednocześnie głównym miejskim patologiem. Asystował mu wówczas Sandy Gates. Teraz Gates sam był już profesorem medycyny sądowej, a jego „pomocnikiem” był doktor Curt. Ściany przedpokoju pokrywały fotografie przedstawiające Devlina podczas uroczystości wręczania jakichś nagród i odznaczeń.

– Twarz pamiętam, ale nazwiska nie mogę sobie przypomnieć – rzekł Devlin, wprowadzając ich do zagraconego salonu.

– Detektyw inspektor Rebus.

– Wtedy był pan pewnie zwykłym posterunkowym, prawda?

Rebus skinął.

– Szykuje się pan do przeprowadzki? – spytała Hawes, rozglądając się po salonie zavalonym kartonami i czarnymi foliowymi workami. Rebus też się rozejrzał. Wszędzie piętrzyły się sterty papierów, a z szafek sterczały wysunięte szuflady, grożąc wysypaniem zawartości na podłogę. Devlin zachichotał. Był niskim, korpulentnym mężczyzną, na oko dobrze po siedemdziesiątce. Szary wełniany blezer dawno już stracił fason i połowę guzików, a ciemnoszare wymięte spodnie podtrzymywały szelki. W obrzmiałej i pokrytej czerwonymi żyłkami twarzy tkwiły dwa małe niebieskie punkciki oczu ukryte za okularami w stalowej oprawce.

– Pewnie można tak powiedzieć – odparł, odgarniając sobie z oczu kosmyk włosów i próbując go ułożyć na łysinie czaszki. – Powiedzmy, że jeśli kostuchę można uznać za *ne plus ultra* wśród specjalistów od przeprowadzek, to jestem jej nieodpłatnym asystentem.

Rebus przypomniał sobie, że Devlin zawsze tak mówił. Nigdy nie zadowalało go sześć słów tam, gdzie można wypowiedzieć dwanaście, i zawsze kochał kwieciste słownictwo. Pamiętał, że robienie notatek podczas sekcji wykonywanej przez Devlina było koszmarem.

– Przenosi się pan do domu opieki? – domyśliła się Hawes.

Staruszek znów zachichotał.

– Nie, jeszcze się niestety na górę nie wybieram. Pozbywam się tylko kilku niepotrzebnych rzeczy, żeby ułatwić życie członkom mojej rodziny, którzy będą chcieli rozdziobać pozostałości po mnie, kiedy się stąd wyniosę.

– I oszczędzić im trudu wyrzucania wszystkiego?

Devlin popatrzył na Rebusa.

– Bardzo precyzyjna i zwarta reasumpcja stanu rzeczy – rzekł i pokiwał głową z uznaniem.

Hawes sięgnęła do jednego z kartonów i wyciągnęła księgę w skórzanej oprawie.

– I chce pan to wszystko wyrzucić?

– Ależ skąd. – Devlin cmoknął. – Na przykład tę książkę, którą pani trzyma w ręku, wczesne wydanie podręcznika anatomii Donaldsona, mam zamiar przekazać w prezencie Kolegium Lekarskiemu.

– Ma pan wciąż kontakt z profesorem Gatesem? – zapytał Rebus.

– Och tak, Sandy i ja wciąż jeszcze łykamy czasami naszą miksturę. Pewnie on też już niedługo przejdzie na emeryturę i zrobi miejsce młodszemu. Oszukujemy się, że to oznacza cykliczność życia, a to oczywiście wierutna bzdura, no, chyba że jest się praktykującym buddystą. – Uśmiechnął się do tej myśli, uznając ją za zabawną.

– Ale nawet jak się jest buddystą, to nie znaczy wcale, że człowiek musi się odrodzić, nieprawdaż? – powiedział Rebus, sprawiając tą uwagę wyraźną radość staremu. Na ścianie obok kominka zauważył artykuł wycięty z gazety i oprawiony w ramki. Reportaż z procesu o morderstwo z 1957 roku zakończony wyrokiem skazującym. – To pańska pierwsza sprawa, prawda? – domyślił się.

– Rzeczywiście, to prawda. Młoda mężatka zatłuczona na śmierć przez męża. Przyjechali tu w podróż poślubną.

– Świetne na wprawianie się w dobry nastrój – zauważyła Hawes.

– Moja żona też uważała, że to makabryczne – przyznał Devlin. – Ale jak umarła, to artykuł wrócił na ścianę.

– No cóż – zaczęła Hawes, odkładając książkę i bezradnie rozglądając się za czymś, na czym można by usiąść – im wcześniej skończymy, tym prędzej będzie pan mógł wrócić do swoich porządków.

– Zawsze doceniam pragmatyczne podejście do życia – stwierdził Devlin, któremu wyraźnie nie przeszkadzało, że rozmawiają, stojąc pośrodku wielkiego i mocno wytartego perskiego dywanu, i niemal bojąc się ruszyć, by nie spowodować efektu domina.

– Czy to wszystko leży w jakimś określonym porządku, panie profesorze? – spytał Rebus. – Czy moglibyśmy parę z tych pudeł przełożyć na podłogę?

– Myślę, że lepiej będzie jak urządzimy sobie nasze *tete-a-tete* w jadalni.

Rebus skinął głową i ruszył pierwszy. W oko wpadło mu wydrukowane ozdobną czcionką zaproszenie, stojące na marmurowej półce nad kominkiem. Zaproszenie pochodziło od Królewskiego Kolegium Lekarskiego i dotyczyło uroczystego bankietu w Domu Lekarza. Uwaga dopisana na dole przypominała, że obowiązują „stroje wieczorowe dekorowane odznaczeniami”. Rebus jedyne swoje dekoracje trzymał w pudle kartonowym w szafce w przedpokoju i wyciągał je raz do roku na Boże Narodzenie, a i to pod warunkiem, że mu się chciało.

W jadalni dominował długi drewniany stół obstawiony sześcioma twardymi krzesłami o prostych oparciach. W jednej ze ścian znajdował się otwór – coś, co w rodzinie Rebusa nosiłoby nazwę „paśnika” – służący do serwowania dań z kuchni, a pod drugą stał przeszklony kredens pełen zakurzonych szkieł i sreber. Nieliczne oprawione w ramy obrazki wyglądały jak eksperymenty z początków fotografii: upozowane sceny z weneckich kanałów i sceny chyba z Szekspira. Duże dzielone okno wychodziło na ogród na tyłach budynku. Z tej wysokości widać było, że znajdujący się w dole ogród pani Jardine został przez ogrodnika zaplanowany – świadomie lub nie – w kształcie znaku zapytania.

Na stole leżała nie dokończona układanka: fotografia centrum Edynburga zrobiona z lotu ptaka.

– Jeśli komuś przyjdzie coś do głowy – powiedział Devlin, wskazując na układankę – będzie to mile widziane.

– Strasznie dużo tych kawałków – stwierdził Rebus.

– Tylko dwa tysiące.

Hawes, której wreszcie udało się Devlinowi przedstawić, nie mogła sobie znaleźć miejsca na krześle. Spytała Devlina, od jak dawna jest na emeryturze.

– Od dwunastu... nie, od czternastu lat. Czternaście lat... – Pokiwał w zadumie głową, że czas wciąż tak przyspiesza, nawet wówczas, kiedy serce chce już zwalniać.

Hawes zajrzała do notatek.

– Podczas pierwszej rozmowy oświadczył pan, że tamtego wieczoru był w domu.

– Zgadza się.

– I że nie widział pan Philippy Balfour.

– Jak dotąd pani informacje są zgodne z prawdą.

Rebus zrezygnował z siedzenia na krześle, podszedł do okna i założywszy ręce na piersiach, przysiadł na parapecie.

– Ale znał pan pannę Balfour? – zapytał.

– Tak, wymienialiśmy między sobą grzeczności.

– Była pańską sąsiadką prawie od roku, czy tak? – upewnił się Rebus.

– Proszę pamiętać, że to Edynburg, inspektorze Rebus. Mieszkam w tym mieszkaniu od blisko trzydziestu lat – wprowadziłem się tu po śmierci żony. Ale poznawanie sąsiadów wymaga

czasu. I niestety, zanim ma się okazję ich poznać, oni często już się wynoszą. – Wzruszył ramionami. – Więc po jakimś czasie człowiek przestaje nawet próbować.

– To dość smutne – powiedziała Hawes.

– A pani gdzie mieszka...?

– Wróćmy może jednak do naszej sprawy – przerwał Rebus. Odsunął się od okna, podszedł do stołu i opierając na nim ręce, wpatrzył się w nie ułożone kawałki puzzli.

– Oczywiście – odparł Devlin.

– Był pan w domu przez cały wieczór i nie słyszał niczego, co zdałoby się panu nie na miejscu?

Devlin spojrzał na Rebusa z uśmiechem oznaczającym uznanie dla jego doboru słów.

– Niczego – powiedział po krótkim namyśle.

– Ani niczego pan nie widział?

– Jak wyżej.

Hawes sprawiała wrażenie, że nie tylko jest jej niewygodnie na krześle, ale że irytuje ją sposób mówienia Devlina. Rebus usiadł naprzeciwko niej i spróbował ją ściągnąć wzrokiem, jednak ona miała już gotowe pytanie.

– Czy miał pan kiedyś jakąś scysję z panną Balfour?

– A na jakiz to temat miałbym mieć z nią scysję?

– Już nic, nieważne – odparła Hawes zimno.

Devlin spojrzał na nią, potem wrócił wzrokiem do Rebusa.

– Widzę, że zainteresował pana mój stół, panie inspektorze.

Rebus zdał sobie sprawę, że bezwiednie wodzi palcami po jego blacie.

– Pochodzi z dziewiętnastego wieku i został wykonany przez mojego kolegę po fachu, pewnego anatoma. – Znów spojrzał na Hawes, potem na Rebusa. – Coś sobie przypomniałem... to pewnie nic ważnego...

– Tak, panie profesorze?

– Tego człowieka na ulicy.

Rebus czuł, że Hawes szykuje się, by coś powiedzieć, więc postanowił ją uprzedzić.

– I kiedy to było?

– Kilka dni przed jej zniknięciem, i dzień przed też. – Devlin doskonale zdawał sobie sprawę z wrażenia, jakie wywołują jego słowa. Twarz Hawes poczerwieniała i policjantka wyraźnie miała ochotę wrzasnąć coś w rodzaju: „No i kiedy miał pan zamiar nam o tym powiedzieć?!”. Jednak Rebus nie zmienił tonu ani na trochę.

– Na chodniku przed domem?

– Zgadza się.

– Czy zdołał mu się pan dobrze przyjrzeć?

Kolejne wzruszenie ramion.

– Koło dwudziestu lat, krótkie ciemne włosy... nie obcięte na krótko, tylko uczesane.

– Czy mógł to być ktoś z sąsiadów?

– Zawsze jest taka możliwość. Ja wam tylko po prostu mówię, co widziałem. Wyglądało tak, jakby na kogoś albo na coś czekał. Pamiętam, że spoglądał na zegarek.

– Może to jej chłopak?

– O nie, Davida znam.

– Zna pan? – powtórzył Rebus. Wzrok miał wciąż wbity w układanę.

– Tak, rozmawiałem z nim. Spotkaliśmy się parę razy na schodach. Sympatyczny młody człowiek...

– Jak był ubrany? – spytała Hawes.

– Kto? David?

– Ten, którego pan widział.

Devlin zdawał się wręcz napawać wściekłymi spojrzeniami, jakie rzucała w jego stronę.

– W marynarkę i spodnie – powiedział, spuszcżając wzrok na swój blezer. – Nie potrafię nic bliżej powiedzieć. Moda mnie nigdy specjalnie nie interesowała.

Tak było istotnie. Czternaście lat wcześniej nosił takie same blezery pod zielonym fartuchem chirurgicznym, a do nich zawsze lekko przekrzywione muszki. Każdy zapamiętuje swoją pierwszą sekcję zwłok: wszystkie te okropne widoki, zapachy i dźwięki, do których później się przyzwyczajają. Zgrzyt metalu o kość albo szelest skalpela tnącego ciało. Niektórzy patolodzy odznaczali się szczególnie brutalnym poczuciem humoru i „dziewicom” uczestniczącym w sekcji po raz pierwszy urządiali szczególnie drastyczny pokaz. Devlinowi nigdy się to nie zdarzyło. Zawsze poświęcał całą uwagę zwłokom, tak jakby poza nim i denatem na sali nie było nikogo, a wydobywanie na światło dzienne wszystkich intymności ludzkiego ciała odbywało się w nabożnym i niemal rytualnym skupieniu.

– Czy gdyby się pan nad tym zastanowił – zapytał Rebus – gdyby to pan jeszcze raz przemyślał, pozwolił myśli swobodnie poszybować, sądzi pan, że udałoby się jeszcze coś dodać do tego opisu?

– Raczej nie, ale oczywiście, jeśli pan uważa, że to takie ważne...

– Jesteśmy dopiero na początku drogi, panie profesorze. Sam pan wie najlepiej, że nie wolno niczego z góry wykluczać.

– Oczywiście, oczywiście.

Rebus przyjął taktykę traktowania Devlina jako kolegi-zawodowca i dawało to rezultaty.

– Może moglibyśmy nawet podjąć próbę sporządzenia portretu pamięciowego – ciągnął Rebus. – Dzięki temu, gdyby się okazało, że to ktoś z sąsiadów, można by go od razu wyeliminować.

– Brzmi to całkiem rozsądnie – potwierdził Devlin.

Rebus wyciągnął telefon komórkowy, zadzwonił na Gayfield Square i umówił spotkanie na następnego dnia rano. Potem spytał Devlina, czy ma przysłać po niego samochód.

– Myślę, że sobie poradzę. Nie jest jeszcze ze mnie taki zupełny sklerotyk. – Jednak kiedy powoli podnosił się z miejsca, by ich odprowadzić do drzwi, widać było jak walczy z zeszywniałymi stawami.

– Raz jeszcze dziękuję, panie profesorze – powiedział Rebus, ściskając mu dłoń na pożegnanie.

Devlin kiwnął tylko głową, unikając kontaktu wzrokowego z Hawes, która wyraźnie nie miała zamiaru składać podziękowań. Idąc schodami na następne piętro, mruknęła coś pod nosem, czego Rebus nie dosłyszał.

– Słucham?

– Powiedziała: cholerne chłopy. – I po przerwie dodała: – O obecnych się nie mówi. – Rebus nie zareagował, bo chciał, by to z siebie wyrzuciła. – Jak sądzisz, czy gdyby przyszły do niego dwie kobiety, to wydusiłby z siebie choć jedno słowo?

– Myślę, że zależałoby to od tego, jak by się z nim obeszły.

Hawes spojrzała na niego rozgniewionymi oczami, podejrzewając, że może z niej pokpiwa, jednak niczego w jego twarzy nie zauważyła.

– W naszym zawodzie musimy stwarzać pozory – dodał Rebus – że wszystkich ogromnie lubimy i udawać, że wszystko, co nam mają do powiedzenia, szalenie nas interesuje.

– Tylko że on...

– Irytował cię? Mnie też. Jest trochę pretensjonalny, ale już taka jego uroda i nie można dać mu tego odczuć. Ale masz rację: nie jestem pewien, czy miał zamiar nam coś powiedzieć. On to uznał za nieistotne. Jednak potem nagle się otworzył tylko po to, żeby tobie zrobić na złość. – Rebus uśmiechnął się. – Udało się. I nieczęsto się zdarza, żeby to mnie przypadła rola „tego dobrego”.

– Nie chodzi mi tylko o to, że mnie irytował – oznajmiła Hawes.

– A co jeszcze?

– Poczulałam, jak mi ciarki chodzą po plecach.

Rebus przyjrzał się jej.

– A to nie to samo?

Potrząsnęła głową.

– Zirytowała mnie trochę ta komedia pod hasłem: „My starzy kumple”, którą odegraliście, bo nie mogłam się włączyć. Ale ten wycinek z gazety...

– Ten na ścianie?

Kiwnęła głową.

– Od tego poczułam dreszcze.

– Jest z zawodu patologiem – powiedział Rebus – a oni mają dużo grubsze skóry, niż większość z nas.

Przez chwilę nad tym myślała, potem lekko się uśmiechnęła.

– Z czego się śmiejesz? – spytał Rebus.

– Och, nic takiego – stwierdziła. – Tylko, że jak wstawałam od stołu, to zauważyłam na podłodze pod stołem jeden kawałek tej układanki...

– I leży tam nadal? – domyślił się Rebus i też się uśmiechnął. – No to, jak jesteś taka spostrzegawcza, jeszcze zrobimy z ciebie detektywa...

Nacisnął dzwonek przy drzwiach i wrócili do pracy.

Konferencję prasową zorganizowano w Pałacu, uruchamiając łącze telewizyjne do sali operacyjnej na Gayfield Square. Ktoś zajął się wycieraniem chusteczką ekranu monitora ze śladów palców i plam, inni starali się pozaciągać zasłony przed niespodziewanymi promieniami popołudniowego słońca. Wszystkie krzesła były zajęte i funkcjonariusze po dwóch, trzech usiedli też na biurkach. Niektórzy kończyli jeszcze spóźniony lunch składający się z kanapek i bananów. Na biurkach stały kubki z kawą lub herbatą i butelki soku. Rozmawiano ściszymi głosami. Operator kamery policyjnej w Pałacu poddany został druzgocącej krytyce.

– Zupełnie jak mój ośmiolatek z kamerą wideo...

– Widać za często oglądał *Blair Witch*...

Prawdą było, że kamera zdawała się kiwać i skakać, pokazując obecnych do połowy albo tylko ich nogi, bądź puste oparcia krzesel.

– Transmisja się jeszcze nie zaczęła – odezwał się jakiś głos rozsądku, i to też było prawdą. Profesjonalne kamery telewizyjne dopiero ustawiano, a zaproszeni przedstawiciele mediów – reporterzy z nieodłącznymi komórkami przy uchu – jeszcze się mościli. Trudno było dosłyszeć, co kto mówi. Rebus stanął pod ścianą na końcu sali, trochę zbyt daleko od monitora, ale nie miał zamiaru walczyć o inne miejsce. Obok niego stał Bill Pryde, wyraźnie wyczerpany i równie wyraźnie próbujący to ukryć. Tulił do piersi plik notatek przypiętych do sztywnej podkładki i od czasu do czasu do nich zerkał, tak jakby jakimś cudem mogło się w nich pojawić coś nowego. Przez zaciągnięte zasłony strzelały pojedyncze promienie światła, rozświetlając mrok panujący w sali i wydobywając z niego niewidoczne gołym okiem drobiny kurzu. Rebusowi przypomniało to wyprawy do kina z lat dzieciństwa, ten nastrój wyczekiwania na moment włączenia projektora i na rozpoczęcie seansu.

Na ekranie widać było zgromadzony tłumek. Rebus znał tę salę – pozbawione charakteru audytorium, z którego korzystano, urządzając różne seminaria i konferencje, takie jak ta. Z przodu ustawiono długi stół, za którym na prowizorycznym ekranie widniał ogromny herb

policej okręgu Lothian i Borders. Kamera policyjna obróciła się i ukazała rządę osób wkraczających do audytorium, a panujący na sali gwar gwałtownie przycichł, tak że słychać było szum pracujących kamer. Salę rozświetliły błyski fleszów. Pierwsza szła Ellen Wylie, za nią Gill Templer, dalej David Costello i John Balfour.

– To on! – zawołał ktoś siedzący przed Rebusem w chwili, gdy kamera zrobiła zbliżenie na twarz Costello.

Cała czwórka zasiadła za stołem, a przed nią zaroilo się nagle od mikrofonów. Kamera pozostała na twarzy Costello, odjeżdżając jedynie na tyle, by pokazać go od pasa, ale pierwsza odezwała się Wylie i w głośniku słychać było jak nerwowo odchrząkuje.

– Dzień dobry państwu. Dziękuję za liczne przybycie. Zanim zaczniemy, chciałabym poinformować o planie i zasadach naszej...

Siobhan siedziała na biurku obok Hooda, na lewo od Rebusa. Hood miał wzrok wbity w podłogę. Może koncentruje się na głosie Wylie, pomyślał Rebus. Pamiętał, że kilka miesięcy wcześniej tych dwoje ściśle ze sobą współpracowało przy sprawie Grieve'a. Siobhan zwrócona była twarzą w stronę ekranu, jednak jej wzrok błędził gdzie indziej. Trzymała w ręku butelkę wody mineralnej i uporczywie skubała etykietę.

To ona marzyła o tym stanowisku, pomyślał Rebus, a teraz pewnie jest jej przykro. Próbował ściągnąć ją wzrokiem, by ją pocieszyć uśmiechem, wzruszeniem ramion, czy choćby porozumiewawczym kiwnięciem głowy, ale jej wzrok powrócił już do ekranu monitora. Wylie skończyła swój wstęp i teraz przyszła kolej na Gill Templer, która krótko podsumowała i uaktualniła dotychczas zebrane wiadomości w sprawie. Miała bogate doświadczenie w prowadzeniu konferencji prasowych i można to było poznać po jej głosie. Rebus usłyszał, jak gdzieś w tle Wylie znów nerwowo odchrząkuje i odniósł wrażenie, że Gill to trochę spieszyło.

Jednak kamera nie wykazywała zainteresowania żadną z obu policjantek. Głównym obiektem był dla niej David Costello i – w znacznie mniejszym stopniu – ojciec Philippy Balfour. Obaj mężczyźni siedzieli obok siebie i kamera pokazywała to jednego, to drugiego. Właściwie były to tylko krótkie migawki na Balfoura i powrót na dłużej do Costello. Automatyczna ostrość kamery zdawała się dopóty spełniać swe zadanie, dopóki kamerzysta nie próbował używać zoomu. Wtedy obraz tracił ostrość i dopiero po kilku sekundach ją odzyskiwał.

– To on – powtórzył ten sam głos.

– A chcesz się założyć? – zawołał ktoś z tyłu.

– Zachowajmy wszyscy ciszę – burknął Bill Pryde i na sali zrobiło się cicho. Rebus bezgłośnie dał mu brawo, ale Pryde znów zajęty był przeglądaniem notatek. Potem podniósł głowę i spojrzał na ekran, na którym David Costello właśnie zaczynał mówić. Nie ogolił się i wydawało się, że jest w tym samym ubraniu, co ostatniej nocy. Rozłożył i wygładził przed sobą kartkę papieru, jednak mówiąc, ani razu nie zajrzał do notatek. Jego wzrok przez cały czas

błądził wśród kamer, jakby nie wiedział, na co ma patrzeć. Mówił głosem pozbawionym emocji i nieco piskliwym.

– Nie wiemy, co się stało z Flipą, i bardzo chcemy się tego dowiedzieć. My wszyscy, jej przyjaciele, jej rodzina... – spojrzał na Johna Balfoura. – Wszyscy, którzy ją znamy i kochamy, musimy poznać prawdę. Flipo, jeśli nas teraz oglądasz, błagam, skontaktuj się z kimś z nas. Chcemy tylko wiedzieć, że... że nic ci się nie stało. Strasznie się martwimy. – W jego oczach załśniły wzbierające łzy. Na chwilę przerwał, opuścił głowę, potem znów się wyprostował. Wziął do ręki swoją kartkę, ale najwyraźniej nie było na niej niczego, czego by już nie powiedział. Popatrzył na boki, jakby szukając pomocy. John Balfour wyciągnął rękę i ścisnął młodzieńca za ramię, potem sam zaczął mówić głosem tak dudniącym, że zabrzmiało to niemal jak awaria mikrofonów.

– Jeżeli ktoś przetrzymuje moją córkę, proszę o kontakt. Flipa zna numer mojej komórki. Można do mnie dzwonić o każdej porze dnia i nocy. Kimkolwiek jesteście, chcę z wami porozmawiać i dowiedzieć się, o co wam chodzi. A jeśli jest ktoś, kto zna miejsce pobytu Flipy, to pod koniec na ekranie pokaże się numer telefonu. Chcę tylko wiedzieć, że Flipa jest cała i zdrowa. Zwracam się do wszystkich oglądających ten program, żeby poświęcili chwilę czasu i dobrze przyjrzeni się jej zdjęciu. – Kiedy Balfour podniósł do góry zdjęcie córki, znów rozległo się pstrykanie aparatów fotograficznych. Powoli obracał nim tak, by było dobrze widoczne dla wszystkich kamer. – Nazywa się Philippa Balfour, ma zaledwie dwadzieścia lat i jest moją córką. Jeśli ją widzieliście, albo tylko tak wam się wydaje, bardzo proszę o kontakt. Dziękuję.

Reporterzy byli gotowi do zadawania pytań, ale David Costello zerwał się na nogi i ruszył do wyjścia. Znów dał się słyszeć głos Wylie.

– To nie jest właściwy moment... chciałabym wszystkim podziękować za pomoc i zrozumienie... – Ale jej głos utonął w powodzi pytań. Kamera wróciła teraz do Johna Balfoura. Wyglądał na zupełnie opanowanego, złożył przed sobą ręce na stole i bez mrugnięcia patrzył wprost w lampy błyskowe, które co chwilę rzucały jego cień na ścianę.

– Nie, doprawdy nie uważam...

– Panie Costello! – słychać było krzyki reporterów. – Czy możemy tylko...?

– Sierżant Wylie! – warknął jakiś inny głos. – Czy może nam pani coś powiedzieć na temat ewentualnych motywów porwania?

– Nie mogę... Nie, to znaczy, nie to chciałam powiedzieć...

Na ekranie widać było Johna Balfoura, który próbuje odpowiedzieć na jakieś inne pytanie. Tłumek reporterów zaczął teraz bezładnie napierać na stół.

– To co chciała pani powiedzieć, pani sierżant?

– Ja tylko... Ja nic nie mówiłam na temat...

I wtedy zamiast Ellen odezwała się Gill Templer. Przemówiła głosem donośnym, dobrze

znanym reporterom, których sama знаła równie dobrze.

– Steve – powiedziała dobitnie – wiesz doskonale, że w takich sprawach nie wolno nam spekulować. Jeżeli chcesz coś nazmyślać po to, żeby twoja gazeta sprzedawała parę egzemplarzy więcej, to twoja sprawa, ale nie oczekuj, żebyśmy to uznali za poczucie odpowiedzialności wobec rodziny i przyjaciół Philippy Balfour.

Na wszystkie dalsze pytania odpowiadała już Gill, żądając jednak, by przedtem zaprowadzono na sali porządek. Ellen nie było widać na ekranie, ale Rebus wyobraził sobie jak tam teraz siedzi i cała się w sobie kurczy. Siobhan zaczęła nagle wymachiwać stopą, jakby poczuła nagły przypływ adrenaliny. John Balfour wtrącił się, oświadczając, że w kilku kwestiach chciałby się wypowiedzieć sam. Zrobił to, budując zdania spokojnie i klarownie, a potem konferencja zaczęła powoli przygasać.

– Twardy zawodnik – powiedział Pryde, i przystąpił do przegrupowania swych sił, jako że przyszła pora wrócić do prawdziwej pracy.

Do Rebusa podszedł Grant Hood.

– Proszę mi przypomnieć. W którym komisariacie dają największe przebicie za postawienie na chłopaka?

– W Torphichen – odparł Rebus.

– No to obstawię u nich. – Spojrzał na Rebusa, oczekując jego reakcji, a kiedy się nie doczekał, dodał: – No, panie inspektorze, przecież miał to wyraźnie wypisane na twarzy!

Rebusowi przez chwilę stanęła przed oczyma nocna wizyta u Costello... To patrzeć sobie prosto w oczy i to, co mu wtedy David Costello powiedział: „Niech się pan przygląda, byle szybko...”

Hood pokręcił głową z niedowierzaniem i ruszył dalej. Zasłony na oknach już rozsunięto, ale krótka chwila słońca też się już skończyła, a na niebie znów znalazły się ciężkie szare chmury. Rebus wiedział, że nagranie z apelem Costello trafi teraz do policyjnych psychologów, którzy będą je rozkładali na czynniki pierwsze w poszukiwaniu jakichkolwiek wskazówek. Nie był przekonany, by coś im się udało znaleźć. Podeszła Siobhan.

– Ciekawe było, prawda? – zapytała.

– Nie sądzę, żeby Wylie się do tego nadawała.

– Jej tam w ogóle nie powinno być. Sprawa tej wagi na pierwszy raz? Praktycznie rzucono ją lwom na pożarcie.

– Więc nie podobało ci się? – spytał Rebus przewrotnie.

Spojrzała na niego przeciągle.

– Nie przepadam za sportami, w których leje się krew – oznajmiła i już miała odejść, ale zatrzymała się i spytała: – A co ty naprawdę o tym myślisz?

– Myślę, że masz rację, mówiąc, że to było ciekawe. Zwłaszcza gramatycznie.

Uśmiechnęła się.

– Więc też to zauważyłeś?

– Costello cały czas mówił „my”, ojciec powtarzał „ja”.

– Tak jakby matka Flipy w ogóle się nie liczyła.

Rebus zamyślił się.

– Ale może to też oznaczać tyle, że pan Balfour ma nadmiernie rozdęte poczucie własnej wartości. – Zawiesił głos. – Zupełnie niespotykane wśród szefów banków kupieckich, prawda? A jak ci idzie z tymi nagraniami na komputerze?

– Zdobyłam już jej hasło – powiedziała z uśmiechem. Nazywanie tego „nagraniami na komputerze” dawało dość trafne wyobrażenie o wiedzy Rebusa na temat twardych dysków i im podobnych.

– To znaczy?

– To znaczy, że teraz będę mogła sprawdzić jej najświeższe e-maile... Jak tylko uda mi się dotrzeć do biurka.

– Czy to znaczy, że do starszych nie mamy dostępu?

– Starsze już przejrzałam. Oczywiście, nie możemy wiedzieć, czy coś z nich nie zostało wcześniej wykasowane. – Zamilkła na chwilę. – To znaczy, o ile mi wiadomo, nie możemy.

– Nie są przechowywane gdzieś w jakimś centralnym komputerze?

Roześmiała się.

– Mylą ci się szpiegowskie filmy z lat sześćdziesiątych i komputery zajmujące całe pomieszczenia.

– A to przepraszam.

– Nie przepraszaj. Jak na kogoś, dla kogo wejście USB kojarzy się tylko z interwencją Urzędu do Spraw Bezpieczeństwa, to i tak nieźle.

Wyszli z sali i stanęli na korytarzu.

– Wracam na St Leonard's. Podwieźć cię?

Potrząsnęła głową.

– Mam tu swój samochód.

– W porządku.

– Słyszałam, że nam podłączają HOLMESA. [(Home Office Large Major Enquiry System) – w wolnym tłumaczeniu:

Baza Danych Ministerstwa Spraw Wewnętrznych.]

Był to nowy system informatyczny, o którym Rebus rzeczywiście niewiele wiedział poza tym, że pomaga zbierać, przesiewać i systematyzować duże zbiory danych. Udostępnienie tego systemu oznaczało, że zniknięcie Philippy Balfour było rzeczywiście traktowane jako sprawa najwyższej wagi.

– Zabawnie będzie, jak za chwilę wróci po nagłym napadzie sklepomanii – zamyślił się

Rebus.

– Nie byłoby zabawnie, tylko wspianiale – oznajmiła Siobhan uroczyście. – Niestety obawiam się, że szanse na to są niewielkie, a ty co sądzisz?

– Pewnie nie – powiedział Rebus cicho. Potem ruszył do wyjścia i pomyślał, że po drodze do biura zatrzyma się gdzieś, by coś zjeść.

Zasiadł przy biurku i zaczął raz jeszcze przeglądać zebraną dokumentację, szczególnie koncentrując się na historii rodziny Balfourów. John Balfour reprezentował trzecie już pokolenie bankierów w rodzinie. Jego dziadek otworzył bank na Charlotte Square w pierwszych latach XX stulecia. W latach czterdziestych przekazał zarządzanie nim swemu synowi, a dziadkowi Philippy, a ten zaprzestał czynnej działalności dopiero w latach osiemdziesiątych, kiedy to stery rodzinnej firmy przejął John Balfour. Jedną z jego pierwszych decyzji było uruchomienie biura w Londynie i przeniesienie tam podstawowej działalności firmy. Philippa uczęszczała wtedy do prywatnej szkoły w Chelsea. Do Szkocji rodzina wróciła pod koniec lat osiemdziesiątych, po śmierci ojca Johna, kiedy to Philippa rozpoczęła naukę w szkole w Edynburgu. Ich rodzinny dom o nazwie Jałowce był prawdziwie magnackim pałacem stojącym na szesnastu akrach terenu, gdzieś pomiędzy Gullane a Haddington. Rebus był ciekaw, jak z tym wszystkim radzi sobie żona Johna, Jacqueline. Jedenaście sypialni i pięć sal recepcyjnych w pałacu... i mąż w Londynie przez co najmniej cztery dni w tygodniu. Oddziałem w Edynburgu, mieszczącym się wciąż w swej oryginalnej historycznej siedzibie na Charlotte Square, zarządzał wieloletni przyjaciel Johna Balfoura, Ranald Marr. Poznali się jeszcze w czasie studiów na Uniwersytecie Edynburskim i potem razem wybrali do Stanów na studia podyplomowe MBA. Rebus nazwał firmę Balfoura bankiem kupieckim, ale w rzeczywistości był to niewielki prywatny bank specjalizujący się w obsłudze elitarniej grupy zamożnych klientów, którym oferował doradztwo inwestycyjne, zarządzanie majątkiem i prestiż wynikający z posługiwania się oprawną w skórę książeczką czekową banku Balfour.

W trakcie przesłuchania Balfoura główny nacisk położono na ewentualność porwania dla okupu. W rezultacie założono podsłuch nie tylko na prywatnej linii w domu Balfourów, ale także w biurach w Edynburgu i w Londynie. Przejmowano też całą przychodzącą korespondencję na wypadek, gdyby żądanie okupu nadeszło pocztą. Chodziło o to, że im mniej będzie odcisków palców do sprawdzenia, tym lepiej. Jednak jak dotąd nadeszło jedynie kilka listów od pomyślników. Innym rozpatrywanym motywem był jakiś interes, który nie wypalił, i zemsta ze strony zawiedzionego klienta. Balfour z całą mocą podkreślił wprawdzie, że nie ma żadnych wrogów, odmówił jednak udostępnienia ekipie śledczej wykazu swych klientów.

– Ludzie ci darzą mnie zaufaniem. Bez ich zaufania bank przestanie istnieć.

– Ale panie prezesie, z całym szacunkiem, jednak los pańskiej córki może zależeć od...

– W pełni zdaję sobie z tego sprawę!

Po tej wymianie zdań przesłuchanie już do końca naznaczone było lekką nutką antagonizmu.

Reasumując: według konserwatywnej wyceny firma warta była około stu trzydziestu milionów funtów, z czego osobisty majątek Johna Balfoura wynosił mniej więcej pięć procent tej wartości. Oznaczało to sześć i pół miliona powodów dla profesjonalistów, by zorganizować porwanie. Tylko czy profesjonalisci już by się do tej pory nie odezwali? Rebus nie był pewien.

Jacqueline Balfour z domu Gil-Martin była córką dyplomaty oraz właściciela ziemskiego, którego włości zajmowały okazały kawałek hrabstwa Perthshire, rozciągając się na blisko dziewięćset akrach ziemi. Ojciec Jacqueline już nie żył, a jej matka przeniosła się z dworu do małego letniego domku na terenie majątku. Całym majątkiem zarządzał bank Balfour, a dwór o nazwie Laverock Lodge był miejscem organizacji licznych konferencji i innych dużych zgromadzeń. Podobno sfilmowano tam także jeden ze spektakli teatru telewizji, choć tytuł sztuki nic Rebusowi nie mówił. Jacqueline nie zawracała sobie głowy studiami uniwersyteckimi, bo od wczesnej młodości pełniła różne funkcje, głównie osobistej sekretarki znanych biznesmenów. Sprawując funkcję zarządcy majątku Laverock, przy okazji wizyty w banku prowadzonym przez ojca Johna Balfoura, poznała Johna. Pobrali się rok później, a po dwóch latach urodziła się Philippa.

Philippa była jedynaczką, podobnie jak John Balfour, Jacqueline zaś miała jeszcze dwie siostry i brata, z których aktualnie żadne nie mieszkało w Szkocji. Brat Jacqueline poszedł w ślady ojca i przebywał na placówce w Waszyngtonie, wysłany tam przez MSZ. Rebusowi przyszło do głowy, że dynastia Balfourów znalazła się w niebezpieczeństwie, ponieważ trudno było sobie wyobrazić, by Philippa przejęła firmę po ojcu, pomyślał więc, że to dziwne, iż państwo Balfour nie postarali się o syna.

Zapewne nic z tego nie miało żadnego związku ze śledztwem, jednak ten fragment dochodzenia sprawiał Rebusowi zawsze szczególną przyjemność: próba rekonstruowania sieci wzajemnych powiązań, zagłębienie do życia innych ludzi, spekulowanie i stawianie pytań...

Przeszedł do notatek z przesłuchania Davida Costello. Urodził się i skończył szkołę średnią w Dublinie, po czym na początku lat pięćdziesiątych rodzina Costello przeniosła się w okolice Dalkey, na południe od Dublina. Wyglądało na to, że ojciec Davida, Thomas, nie przepracował ani jednego dnia w całym swoim życiu, żyjąc z kapitału zgromadzonego w funduszu powierniczym przez jego ojca, miejscowego dewelopera nieruchomości. Dziadek Davida był właścicielem kilku prestiżowych nieruchomości w centrum Dublina i dzięki nim jego wnuk przez całe życie opływał w dostatki. Był także właścicielem kilku koni wyścigowych i ostatnimi laty cały swój czas poświęcał tej właśnie pasji.

Matka Davida, Theresa, była kimś zupełnie odmiennym. Jej pochodzenie można było, w najlepszym razie, uznać za dolne warstwy klas średnich. Matka Theresy była pielęgniarką,

ojciec nauczycielem. Ich córka zaczęła naukę w liceum plastycznym, jednak go nie ukończyła i rozpoczęła pracę zawodową, praktycznie całkowicie przejmując na siebie obowiązek utrzymania rodziny, kiedy jej matka zachorowała na raka, a ojciec zupełnie się rozkleił. Najpierw pracowała jako ekspedientka w domu towarowym, potem zajmowała się dekorowaniem wystaw sklepowych, następnie projektowaniem wnętrz – początkowo tylko sklepowych, ale później również na indywidualne zamówienia bogatych klientów. Tak właśnie poznała Thomasa Costello. Zanim się pobrali, jej rodzice już nie żyli. Po ślubie Theresa zapewne nie musiała już pracować, jednak pracy nie przerwała, aż roczne dochody jej jednoosobowej firmy urosły do kilku milionów funtów, a personel wzrósł do pięciu osób, nie licząc jej samej. Zdarzali się też klienci z zagranicy, a ich lista wciąż się wydłużała. Obecnie miała pięćdziesiąt jeden lat i nic nie wskazywało na to, że ma zamiar zwolnić. Jej mąż, o rok od niej młodszy, nadal prowadził bujne życie towarzyskie. Wycinki z irlandzkich gazet pokazywały go na wyścigach konnych, letnich przyjęciach ogrodowych i licznych imprezach towarzyskich. Na żadnym ze zdjęć nie było obok niego Theresy. W edynburskim hotelu wynajęli dwa oddzielne pokoje... Ale jak powiedział ich syn, to przecież nie przestępstwo.

David zwlekał z rozpoczęciem studiów i po szkole najpierw spędził rok na podróżach po świecie. Obecnie był na trzecim roku wydziału anglistyki i literatury angielskiej. Rebus przypomniał sobie te wszystkie książki w jego mieszkaniu: Milton, Wordsworth, Hardy...

– Podziwiasz widoki, John?

Rebus otworzył oczy.

– Zamyśliłem się, George.

– Twierdzisz, że nie drzemałeś?

– A skąd. – Rebus obrzucił go ponurym spojrzeniem.

Kiedy Hi-Ho Silvers odczepił się, podeszła Siobhan i przysiadła na biurku.

– No to o czym tak dumałeś?

– Zastanawiałem się, czy Rabbie Burns mógł zamordować jedną ze swoich kochanek. –

Patrzyła na niego, nie reagując. – Albo czy mógł to zrobić ktoś czytający poezje.

– Nie rozumiem, dlaczego nie. Czyż jeden z komendantów obozów zagłady nie spędzał wieczorów na słuchaniu Mozarta?

– Bardzo mnie pocieszyłaś.

– Zawsze do usług, jeśli tylko mogę ci służyć promykiem radości. Ale przysługa za przysługę.

– Jakże mógłbym odmówić.

Podawała mu kartkę papieru.

– Powiedz mi, co to może znaczyć.

Temat: Piekliko

Data: 5/9

Od: Quizmaster@PaganOmerta.com

Do: Flipaja1223@HXRmail.com

Jak przeżyłaś Piekliko? Czas ucieka.

Rygory czekają.

QuiM

Rebus spojrział na Siobhan.

– Podpowiesz mi coś?

Wzięła od niego kartkę i stuknęła w nią palcem.

– To jest wydruk e-maila. Philippa miała w poczcie kilka nieodebranych wiadomości, wszystkie datowane po dniu jej zniknięcia. I poza tym jednym, wszystkie były adresowane na jej drugie imię.

– Jakie jej drugie imię?

– Prowajderzy – zawahała się – to znaczy ci, którzy dostarczają usługi internetowe, zwykle pozwalają abonentom na używanie kilku różnych haseł adresowych, na ogół pięciu lub sześciu.

– Dlaczego?

– Myślę, że w ten sposób można być kilkoma różnymi osobami. Flipaja 1223 to trochę tak jak pseudonim. Jej cała pozostała poczta szła na adres Flipa-kropka-Balfour.

– Więc co to wszystko znaczy?

Siobhan westchnęła.

– Właśnie się nad tym zastanawiam. Może to znaczy, że miała drugą osobowość, o której nic nie wiemy. W jej skrzynce nie ma ani jednej zachowanej wiadomości odebranej albo wysłanej pod hasłem Flipaja 1223. A to by oznaczało, że albo je wszystkie natychmiast usuwała, albo przyszło to do niej przez pomyłkę.

– Na pomyłkę mi to nie wygląda – orzekł Rebus. – Ta Flipaja brzmi zbyt podobnie do Flipy.

– Piekliko, Rygory, PaganOmerta...

– Omerta to hasło mafii oznaczające milczenie – popisał się Rebus.

– No i ten Quizmaster – dodała Siobhan. – Podpisuje się QuiM [Quim (ang.) – slangowe słowo oznaczające żeński organ płciowy.]. Trochę w tym szczeniackiego poczucia humoru.

Rebus raz jeszcze przyjrzał się kartce.

– Nie mam zielonego pojęcia, Siobhan. Co chcesz, żebym z tym zrobił?

– Chciałabym się dowiedzieć, kto to wysłał, ale to nie będzie łatwe. Jedyne, co mi przychodzi do głowy, to na to odpowiedzieć.

– I poinformować nadawcę, że Philippa zniknęła?

Siobhan zniżyła głos.

– Nie, raczej żeby mu odpowiedzieć jako ona.

Rebus zamyślił się.

– Sądysz, że to mogłoby się udać? I co byś mu napisała?

– Jeszcze się nie zdecydowałam. – Ze sposobu, w jaki założyła ręce na piersiach Rebus wiedział, że już podjęła decyzję.

– Wspomnij o tym komisarz Templer, jak się tu pojawi – powiedział, a ona kiwnęła głową i ruszyła do wyjścia, jednak Rebus ją zawołał. – Studiowałaś na uniwerku. Powiedz mi, miałaś tam do czynienia z takimi jak Philippa Balfour?

Prychnęła pogardliwie.

– Oni należą do innego świata. Nie chodzą na wykłady, nie ma ich na ćwiczeniach. Niektórych po raz pierwszy spotykałam na egzaminach. I wiesz, co ci powiem?

– No?

– Te łajzy zawsze zdawały.

Tego wieczoru Gill Templer zorganizowała babski wieczorek w Sali Palmowej hotelu Balmoral. W rogu, odziany w smoking pianista grał na fortepianie. W wiaderku chłodziła się butelka szampana, a na stoliku stały miseczki z chrupiącymi przegryzkami.

– Tylko nie zapomnijcie zostawić sobie miejsca na kolację – przypomniała gościom Gill. Na ósmą trzydzieści miały zamówiony stół u Hadriana. Właśnie mijała siódma trzydzieści, kiedy w drzwiach pojawiła się ostatnia z zaproszonych.

Wyplątując się z płaszcza, Siobhan przeprosiła za spóźnienie. Zjawił się kelner i zabrał od niej okrycie. Inny kelner już nalewał szampana.

– Zdrowie – powiedziała, siadając i unosząc kieliszek do góry. – I gratulacje.

Gill Templer uniosła swój kieliszek i pozwoliła sobie na uśmiech.

– Myślę, że na nie zasłużyłam – stwierdziła, wywołując tym entuzjastyczne potakiwanie obecnych.

Siobhan знаła dwie z pozostałych trzech kobiet. Były pracownicami prokuratury i z obiema Siobhan miała już okazję współpracować. Harriet Brough zbliżała się do pięćdziesiątki, na głowie miała trwałą z czarnych (być może farbowanych) włosów, a jej obfite kształty maskowały liczne warstwy tweedu i grubej bawełny. Diana Metcalf była po czterdziestce i miała krótkie popielatoblond włosy i głęboko osadzone oczy, co zamiast tonować, podkreślała jeszcze mocnymi cieniami. Zawsze ubierała się w żywe kolory, dodatkowo uwydatniając trochę niedożywioną, kościstą posturę.

– A to jest Siobhan Clarke – przedstawiła ją Gill ostatniej uczestniczące spotkania – detektyw

z mojego komisariatu. – „Mój komisariat” zabrzmiało tak, jakby go przejęła na własność, a Siobhan pomyślała, że to pewnie nie takie znów dalekie od prawdy. – Siobhan, przedstawiam ci Jean Burchill. Jean pracuje w muzeum.

– Oo, a w którym?

– W Muzeum Szkocji – odparła Burchill. – Była tam pani kiedyś?

– Byłam kiedyś na kolacji w Wieży.

– To niezupełnie to samo – powiedziała Burchill i zamilkła.

– Nie, nie, chodziło mi o to, że... – Siobhan chciała jakoś dyplomatycznie wybrnąć – ...byłam tam na kolacji tuż po otwarciu. I mężczyzna, z którym tam byłam... No cóż, niezbyt mile go wspominam, więc trochę to mnie zniechęciło.

– To zrozumiałe – kiwnęła głową Harriet Brough, tak jakby za każde niepowodzenie w życiu winę ponosiła pleć przeciwna.

– No cóż, dzisiaj jesteśmy same, więc możemy się rozluźnić – powiedziała Gill.

– Chyba, że się później wybierzemy do jakiegoś nocnego lokalu – dodała Diana Metcalf i oczy jej rozblęły.

Gill uchwyciła wzrok Siobhan.

– Wysłałaś tego e-maila? – spytała.

– O pracy nie rozmawiamy – cmoknęła z naganą Jean Burchill.

Obie panie z prokuratury skwapliwie przytaknęły, ale Siobhan i tak kiwnęła głową na znak, że wiadomość poszła. Czy ktoś da się na to nabrać, to już zupełnie inna sprawa. Dlatego zresztą spóźniła się na to spotkanie. Zbyt długo siedziała nad korespondencją Philippy, czytając jej e-maile do różnych przyjaciół i starając się uchwycić jej ton, słownictwo i składnię, tak by to, co napisze, mogło zabrzmieć przekonująco. Potem napisała kilka różnych wersji wiadomości, aż w końcu zdecydowała się na możliwie najprostszą treść. Tyle że niektóre e-maile Philippy miały formę długich, gawędziarskich opowieści, więc co będzie, jeśli jej poprzednie wiadomości pisane do Quizmastera też takie były? Jak on, czy ona, zareaguje na zupełnie odmienną w charakterze wiadomość? *Mam problem. Musimy porozmawiać. Flipaja.* I na końcu numer telefonu, numer komórki Siobhan.

– Widziałam dziś w telewizji waszą konferencję prasową – powiedziała Diana.

Jean jęknęła.

– Co ja przed chwilą mówiłam?

Metcalf zwróciła na nią swe duże, ciemne zmęczone oczy.

– To nie rozmowa o pracy, Jean. To rozmowa o czymś, o czym wszyscy rozprawiają. – I zwracając się do Gill, dodała: – Nie sądzę, żeby to ten jej chłopak, a ty?

Gill wzruszyła tylko ramionami.

– Widzisz – stwierdziła Burchill – Gill też nie chce o tym rozmawiać.

– Już prędzej jej ojciec – wtrąciła Harriet. – Mój brat chodził z nim do jednej szkoły. Bardzo zimny i wyrachowany. – Powiedziała to tonem nie znoszącym sprzeciwu, który pasował do jej zawodu. Siobhan pomyślała, że pewnie już w przedszkolu chciała studiować prawo. – A gdzie się podziała matka? – zwróciła się do Gill.

– Nie czuła się na siłach – odparła Gill. – Ale była zaproszona.

– Na pewno nie wypadłaby gorzej od tych dwóch – oznajmiła Brough, wybierając nerkowce z miseczki z orzeszkami.

Wyglądało na to, że Gill jest już tym znużona, więc Siobhan postanowiła zmienić temat i spytała Jean Burchill, czym się zajmuje w muzeum.

– Jestem starszym kustoszem – wyjaśniła Jean. – Specjalizuję się głównie w wieku osiemnastym i dziewiętnastym.

– Ty to się głównie specjalizujesz w śmierci – wtrąciła Harriet.

Burchill uśmiechnęła się.

– To prawda. Kompletuję eksponaty na podstawie dostępnych danych i...

– Ścisiej mówiąc – znów przerwała jej Brough ze wzrokiem utkwionym w Siobhan – kompletujesz trumny i zdjęcia martwych dzieci z epoki wiktoriańskiej. Ile razy odwiedzam to twoje któreś tam piętro, to czuję, jak mi ciarki chodzą po plecach.

– Czwarte – powiedziała Burchill cicho.

Siobhan pomyślała, że Jean jest bardzo atrakcyjną kobietą. Drobna i szczupła, z prostymi brązowymi włosami obciętymi na pazia. Miała dołeczek w brodzie i delikatnie ukształtowane policzki, których naturalna różowość była dobrze widoczna nawet w przyciemnionym oświetleniu Sali Palmowej. Siobhan nie dostrzegła na jej twarzy ani śladu makijażu, ale pomyślała, że chyba go nie potrzebuje. Cała była w stonowanych pastelach: ubrała się w żakiet i spodnie w kolorze, który w sklepie nazywano zapewne ochrą. Pod żakiet włożyła jasnopolielaty kaszmirowy sweterek z rdzawym szalem z koziej wełny upiętym na ramieniu broszką od Rennie Mackintosh. Moda z końca lat czterdziestych, pomyślała Siobhan, i nagle zdała sobie sprawę, że jest w tym towarzystwie najmłodsza, i to o dobre piętnaście lat.

– Jean i ja chodziłyśmy razem do szkoły – wyjaśniła Gill. – Potem straciłyśmy kontakt i wpadłyśmy na siebie jakieś cztery, pięć lat temu.

Burchill uśmiechnęła się na to wspomnienie.

– Ja bym wołała nie spotykać żadnej z mojej szkoły – powiedziała Harriet z ustami pełnymi orzeszków. – Same kłepy.

– Czy można paniom dolać szampana – spytał kelner, wyciągając butelkę z wiaderka.

– No nareszcie – mruknęła Brough.

Między deserem a kawą Siobhan poszła do toalety. Wracając, w korytarzu natknęła się na

Gill.

– Wyższe sfery – powiedziała Gill z uśmiechem.

– Pyszna kolacja, Gill. Czy jesteś pewna, że nie powinnam...

Gill położyła jej rękę na ramieniu.

– Ja zapraszałam. Niecodziennie mam okazję obchodzić coś takiego. – Uśmiech zniknął z jej twarzy. – Myślisz, że z tym e-mailem ci się uda? – Siobhan wzruszyła ramionami, a Gill pokiwała głową, jakby zgadzając się z jej oceną. – A co myślisz o konferencji prasowej?

– Jak zwykle dżungla pełna dzikusów.

– Ale czasami coś z tego wychodzi. – Gill zamyśliła się. Do wypitego wcześniej szampana dodała jeszcze trzy kieliszki wina przy kolacji, jednak jedynym objawem wypitego alkoholu było lekkie przechylenie głowy i nieco ciężkie powieki.

– Mogę coś powiedzieć? – spytała Siobhan.

– Nie jesteśmy na służbie, Siobhan. Mów, co ci się żywnie podoba.

– Nie powinnaś brać do tego Ellen Wylie.

Gill obrzuciła ją spojrzeniem.

– Powinnam wziąć ciebie, co?

– Nie to miałam na myśli. Powierzenie tego komuś, kto nigdy przedtem nie miał do czynienia z mediami...

– Ty byś to zrobiła lepiej?

– Tego nie powiedziałam.

– To co chcesz powiedzieć?

– Chcę powiedzieć, że to była dżungla, a ty wpuściłaś ją do niej, nie dając mapy.

– Uwważaj, co mówisz, Siobhan. – Z głosu Gill wyparowały nagle przyjazne tony. Na moment się zamyśliła, potem pociągnęła nosem. Kiedy znów się odezwała, jej oczy czujnie rozejrzały się po korytarzu. – Ellen Wylie od paru miesięcy suszyła mi głowę. Bardzo chciała zostać rzeczniczką, więc kiedy nadarzyła się okazja, to jej to dałam. Chciałam się przekonać, czy jest tak dobra, jak o sobie myśli. – Jej wzrok spoczął na Siobhan. Stały na tyle blisko siebie, że Siobhan wyraźnie czuła od niej woń wina. – No i zawałiła.

– I jak się wtedy poczułaś?

Gill uniosła ostrzegawczo palec.

– Nie przeciągaj struny. Mam wystarczająco dużo innych kłopotów. – Przez chwilę zdawało się, że chce jeszcze coś dodać, ale pogroziła jej tylko palcem i zmusiła się do uśmiechu. – Porozmawiamy kiedy indziej – rzekła, przeciskając się obok Siobhan i kierując w stronę toalety. Potem jednak zatrzymała się. – A Ellen już nie jest rzeczniczką. Pomyślałam, żeby to zaproponować tobie... – Drzwi do toalety zamknęły się za nią.

– Bez łaski – powiedziała Siobhan pod nosem do zamkniętych już drzwi. Wyglądało na to, że

z dnia na dzień Gill zmieniła się w kogoś znacznie bardziej bezwzględnego, a okazja, by upokorzyć Ellen Wylie, stała się pierwszym przejawem jej nowej władzy. Prawdą było, że Siobhan bardzo chciała przejść do biura prasowego, ale jednocześnie czuła do siebie wstręt za satysfakcją, jaką poczuła, obserwując konferencję prasową. Satysfakcję z porażki Wylie.

Kiedy Gill wyszła z toalety, zastała Siobhan siedzącą na krześle w korytarzu. Zatrzymała się i spojrzała na nią.

– Uczta z duchami – stwierdziła, odwracając się.

3

– Myślałem, że to będzie jakiś chodnikowy rysownik – powiedział Donald Devlin.

Rebus pomyślał, że profesor jest ubrany dokładnie w te same rzeczy, które miał podczas ich poprzedniego spotkania. Stary patolog siedział przy biurku obok komputera i obok jedyne na Gayfield Square policjanta, który umiał obsługiwać program Facemaker. Program był bazą danych poszczególnych fragmentów twarzy jak oczy, uszy, nosy i usta, z możliwością płynnego zestawiania ich ze sobą i łączenia w jeden obraz. Rebus pomyślał, że teraz już wie, jak kolegom Farmera udało się nasadzić jego głowę na korpusy kulturystów.

– Czasy się trochę zmieniły – zauważył skromnie na uwagę Devlina. Miał przed sobą kubek kawy z miejscowego bufetu, której jakości nawet nie próbował porównywać do kawy od jego *baristy*, ale i tak była lepsza niż to, co wypluwał z siebie automat na korytarzu. Miał za sobą ciężką noc, w środku której przebudził się na fotelu w pokoju, zlany potem i dygocący. Męczyły go senne koszmary. Obojętnie, co mówią lekarze, sam wiedział, że serce ma w porządku – czuł, jak mu wali i pompuje krew.

Kawa z trudem pomagała mu opanować ziewanie. Detektyw siedzący przy komputerze skończył już komponowanie twarzy i uruchomił wydruk.

– Coś... coś tu jest nie tak – powiedział Devlin, zresztą nie po raz pierwszy. Rebus wziął do ręki wydruk. Patrzyła na niego anonimowa twarz, taka, jaką się natychmiast zapomina. – To równie dobrze mogłaby być kobieta – dodał Devlin – a ja jestem zupełnie pewien, że to był on, nie ona.

– A może coś takiego? – spytał detektyw i kliknął myszką. Twarz na ekranie obrosła bujną brodą.

– Ależ skąd, to bzdura – zaperzył się Devlin.

– To tylko poczucie humoru posterunkowego Tibbeta, panie profesorze – rzekł Rebus przepraszająco.

– Staram się, jak mogę, panowie.

– Doceniamy to, panie profesorze. Zdejmij tę brodę, Tibbet.

Policjant usunął brodę.

– Czy jest pan pewien, że to nie mógł być David Costello? – zapytał Rebus.

– Znam Davida. To nie był on.

– Jak dobrze go pan zna?

Devlin zamrugał.

– Rozmawialiśmy parę razy. Spotkaliśmy się kiedyś na schodach i spytałem go o książkę, którą trzymał pod pachą. Milton, *Raj utracony*. I wtedy zaczęliśmy rozmawiać.

– To fascynujące, panie profesorze.

– I rzeczywiście tak było. Ten chłopak ma dobrze poukładane w głowie.

Rebus na moment się zamyślił.

– A sądzi pan, że mógłby kogoś zabić?

– Zabić? David? – Devlin roześmiał się. – Uważam, inspektorze, że nie uznałby tego za czyn godny swego intelektu. – Zrobił przerwę i dodał: – A co, wciąż jest jeszcze podejrzany?

– Wie pan, profesorze, jak to jest w pracy policyjnej. Cały świat jest podejrzany, dopóki dowody temu nie zaprzeczają.

– A mnie się zdawało, że jest odwrotnie: niewinny, póki nie udowodni się winy.

– Obawiam się, że myli pan nas z adwokatami. Mówił pan, że Philippy tak naprawdę pan nie znał, czy tak?

– Parę razy minęliśmy się na schodach. Różnica między nią a Davidem polegała na tym, że ona nigdy nie miała ochoty się zatrzymać.

– Zadzierała trochę nosa?

– Nie wiem, czy aż tak. Ale istotnie dorastała w nieco specyficznej atmosferze, nie uważa pan? – Po chwili dodał: – Nawiasem mówiąc, korzystam z usług banku Balfour.

– Czy miał pan kiedyś okazję poznać jej ojca?

Devlin zamrugął.

– Boże święty, skąd! Nie zaliczam się do ich ważnych klientów.

– A tak przy okazji, to jak tam pańska układanka? Jakies postępy?

– Niewielkie. Ale przecież między innymi na tym polega atrakcyjność tej zabawy, prawda?

– Puzzle nigdy mnie nie pasjonowały.

– Ale zagadki pan lubi. Wczoraj wieczorem rozmawiałem z Sandym Gatesem. Wszystko mi o panu opowiedział.

– No to pewnie znacznie zasililiście panowie kasę telekomunikacji.

Wymienili się uśmiechami i wrócili do pracy.

Po następnej godzinie prób Devlin uznał, że poprzedni obraz był jednak bliższy prawdy. Na szczęście Tibbet wgrzywał do pamięci wszystkie kolejne wersje.

– Tak – potwierdził Devlin. – To jest jeszcze dalekie od ideału, ale myślę, że można to uznać za zadowalające... – Zaczął się zbierać do odejścia.

– Zanim pan nas opuści, panie profesorze... – Rebus sięgnął do szuflady i wyciągnął z niej gruby plik fotografii. – Chcielibyśmy prosić, żeby pan rzucił okiem na kilka zdjęć.

– Zdjęć?

– Fotografii sąsiadów panny Balfour, jej kolegów z uniwersytetu...

Devlin wolno pokiwał głową, jednak bez widocznego entuzjazmu.

– Chodzi o proces eliminacji, tak?

– Gdyby zdołał pan nam pomóc, panie profesorze...

– Na wzmożenie koncentracji przydałaby się filiżanka słabej herbaty – zasugerował Devlin z westchnieniem.

– Myślę, że słabą herbatę możemy zorganizować. – Rebus rzucił spojrzenie na Tibbeta, który wciąż jeszcze jeździł myszką po ekranie. Przyjrzał się bliżej i dostrzegł na ekranie twarz z dość dobrze uchwyconym podobieństwem do Devlina, jeśli nie liczyć wyrastających z głowy rogów. – Posterunkowy Tibbet się tym zajmie – dodał.

Przed wstaniem od komputera Tibbet nie omieszkął zapisać obrazu na dysku.

Rebus wrócił na St Leonard's i dowiedział się o przeprowadzonej właśnie kolejnej dyskretnej rewizji, tym razem dokonanej w garażu na Calton Road, gdzie David Costello trzymał swoje sportowe MG. Włączyła się w nie ekipa kryminologów z Howdenhall, jednak nie znaleziono niczego ciekawego. Wiadomo było z góry, że odciski palców Flipy Balfour będą w całym samochodzie. Niespodzianką nie było również to, że w samochodowym schowku znaleziono należące do niej drobiazgi: szminkę i okulary słoneczne. Sam garaż okazał się zupełnie czysty.

– I nie było nawet wielkiej zamrażarki zamkniętej na kłódkę? – zdziwił się Rebus. – Ani zapadni w podłodze, wiodącej do komory tortur?

Dalka Daniels potrząsnął głową. Pełnił rolę gońca wożącego dokumentację pomiędzy Gayfield a St Leonard's.

– Student jeżdżący MG – mruknął i znów potrząsnął głową.

– Samochód to nic – powiedział Rebus. – Ale za ten garaż pewnie płaci więcej niż ty za całe swoje mieszkanie.

– Kurczę, pewnie masz rację.

Wymienili się kwaśnymi uśmiechami. Wszyscy wokół byli mocno zajęci. W wieczornych wiadomościach pokazano fragmenty wczorajszej konferencji prasowej z wyciętym występem Ellen Wylie. Teraz trzeba było posprawdzać wszystkie informacje napływające od widzów, którzy dzwonili, mówiąc, że widzieli zaginioną studentkę. Oznaczało to mnóstwo rozmów telefonicznych...

– Inspektor Rebus? – Rebus odwrócił się w kierunku głosu. – Proszę do mojego gabinetu.

I rzeczywiście, był to już jej gabinet, bo nadała mu swój osobisty charakter. Albo za sprawą kwiatów stojących na szafce na akta, albo użyła jakiegoś sprayu, ale powietrze w gabinecie było dużo świeższe. Rozłożysty fotel Farmera też już zniknął i został zastąpiony dużo praktyczniejszym fotelem na kółkach. Farmer miał zwyczaj siedzieć przygarbiony nad biurkiem, Gill siedziała wyprostowana, jakby w każdej chwili gotowa zerwać się na równe nogi. Trzymała kartkę papieru, żeby ją więc dosięgnąć, Rebus musiał się unieść z krzesła dla gości.

– Jakies Kaskady – oznajmiła. – Wiesz, gdzie to jest? – Wolno pokręcił głową. – Ja też nie – przyznała.

Rebus z uwagą przeczytał treść. Była to notatka z rozmowy telefonicznej informująca, że w Kaskadach znaleziono lalkę.

– Lalkę? – upewnił się.

– Tak. I chcę, żebyś się tym zajął.

Rebus parsknął śmiechem.

– Nabierasz mnie – wykrztusił, ale kiedy na nią spojrział, na jej twarzy nie znalazł cienia uśmiechu. – Czy to ma być kara?

– Kara, za co?

– Bo ja wiem? Może za to spotkanie z Balfourem na bańce.

– Nie jestem aż tak małostkowa.

– Właśnie zaczynam mieć wątpliwości.

Wbiła w niego wzrok.

– No, proszę, słucham.

– Ellen Wylie.

– Co Ellen Wylie?

– Nie zasłużyła na to.

– A więc jesteś jej wielbicielem?

– Nie zasłużyła na to.

Przyłożyła dłoń do ucha.

– Czy mi się zdaje, czy tu się odzywa echo?

– Będę to powtarzał tak długo, aż zaczniesz słuchać.

W pokoju zapadło milczenie, a oni patrzyli sobie prosto w oczy. Kiedy zadzwonił telefon, przez chwilę wyglądało na to, że Gill nie ma zamiaru go odebrać. W końcu wyciągnęła rękę po słuchawkę, nie spuszczając jednak wzroku z Rebusa.

– Tak? – Przez chwilę słuchała. – Tak, panie komendancie, już jadę. – Oderwała wzrok od Rebusa, by odłożyć słuchawkę, i ciężko westchnęła. – Muszę jechać – powiedziała. – Mam spotkanie z zastępcą komendanta. Proszę, żebyś pojechał do Kaskad, dobrze?

– Nie chciałbym ci się sprzeciwiać, ale...

– Ta lalka leżała w trumnie, John. – W jej głosie słychać było zmęczenie.

– Jakies szczeniackie żarty – stwierdził.

– Być może.

Raz jeszcze zajrzał do notatki.

– Piszą tu, że Kaskady leżą we Wschodnim Lothian. Niech się tym zajmą w Haddington, albo gdzieś tam.

– Chcę, żebyś ty się tym zajął.

– Nie mówisz tego poważnie. To jest jakiś kawał, tak? Tak jak wtedy, kiedy mi wmawiałaś,

że cię podrywałem. Albo kiedy mi kazałaś iść do lekarza.

Potrząsnęła głową.

– Kaskady to nie tylko Wschodnie Lothian, John. To również miejsce, gdzie mieszkają Balfourowie. – Odczekała moment, aż to do niego dotrze. – A spotkanie z lekarzem czeka cię i tak, prędzej czy później...

Wyruszył z Edynburga szosą A1. Ruch był niewielki, a jasno świecące słońce wisiało nisko nad horyzontem. Wschodnie Lothian kojarzyło mu się przede wszystkim z nadmorskimi polami golfowymi i kamienistymi plażami, z płaskimi połaciami pól uprawnych i miasteczkami, których mieszkańcy dojeżdżają do pracy w Edynburgu, ale jednocześnie zazdrośnie strzegą swej lokalnej odrębności. Rejon ten krył też pewne ponure tajemnice – głównie w związku z polami kempingowymi wykorzystywanymi jako kryjówki przez edynburski świat przestępczy – jednak w zasadzie można go było uznać za spokojną okolicę, będącą celem jednodniowych wycieczek lub też miejscem, do którego zbaczało się w drodze na południe, do Anglii. Miasteczka takie jak Haddington, Gullane czy North Berwick jawiły mu się zawsze jako zamożne enklawy, gdzie małe sklepiki zaopatrywały lokalnych mieszkańców odnoszących się z niechęcią do zakupów w centrach handlowych dominujących w pobliskiej stolicy. A jednak bliskość Edynburga odciskała się również i tu: ceny domów w stolicy powodowały, że coraz więcej ludzi wynosiło się z miasta, a w otaczający je pierścień zieleni coraz bardziej wgryzały się nowe osiedla mieszkaniowe i centra handlowe. Rodzimy komisariat Rebusa mieścił się przy jednej z głównych arterii wylotowych z miasta w kierunkach południowym i wschodnim, i w ciągu ostatnich mniej więcej dziesięciu lat Rebus był świadkiem ogromnego wzrostu liczby pojazdów, które w godzinach szczytu ustawiały się w smętne konwoje pragnących dostać się do miasta lub się z niego wydostać.

Miejscowości Kaskady nie było łatwo znaleźć. Zdając się bardziej na instynkt niż na mapę, Rebus przegapił właściwy skręt i wylądował w Drem. Zatrzymał się tam na tyle długo, by kupić dwie torby chipsów i puszkę irn-bru, po czym urządził sobie mały piknik bez wysiadania z samochodu, jedynie przy otwartym oknie. Wciąż jeszcze miał wrażenie, że wysłano go tu tylko po to, by mu coś udowodnić – mianowicie to, że powinien znać swoje miejsce w szeregu. Widać w przekonaniu jego nowej szefowej takim miejscem była dziura o nazwie Kaskady. Kiedy Rebus skończył przekąskę, zaczął pogwizdywać ledwo znaną melodyjkę, piosenkę mówiącą o kimś mieszkającym w pobliżu wodospadu. Jeśli go pamięć nie myliła było to coś, co mu kiedyś Siobhan przegrała na taśmę w ramach edukacji z muzyki późniejszej niż z lat siedemdziesiątych. Drem składało się praktycznie z jednej tylko głównej ulicy, na której też panował zupełny spokój. Od czasu do czasu przejeżdżał jakiś samochód osobowy lub ciężarówka, a chodniki były zupełnie puste. Sprzedawczyni próbowała go wciągnąć w rozmowę, ale Rebus nie miał nic do

dodania do jej uwag na temat pogody, a także nie chciał pytać o drogę do Kaskad, by nie być uznanym za cholernego turystę.

Wyciągnął atlas samochodowy i znalazł miejscowość Kaskady zaznaczoną najmniejszą z możliwych kropek. Ciekaw był, skąd się wzięła ta nazwa. Znał nieco lokalne zwyczaje i wcale by się nie zdziwił, gdyby się okazało, że tę nazwę miejscowi wymawiają dziwacznie jako Kuskudy albo Kakadu, albo coś w tym rodzaju. Nim dotarł na miejsce, spędził dziesięć minut, jadąc krętą drogą, która wciąż albo się pięła do góry, albo opadała w dół, i przywodziła na myśl tor kolejki górskiej w wesołym miasteczku. Potrwałoby to o wiele krócej, gdyby nie traktor, którego nie dawało się wyprzedzić z powodu ciągłych wzniesień, przez co niemal całą drogę włókł się na dwójce.

Kaskady nieco go zaskoczyły. Środkiem biegł krótki odcinek głównej szosy zabudowany po obu stronach domami. Wszystkie domy w głębi prezentowały się schludnie i otoczone były zadbanymi ogrodami. Wzdłuż wąskiego chodnika przy szosie ciągnął się rząd parterowych chat. Na jednej z nich widniała drewniana tablica ze słowem CERAMIKA wymalowanym wprawną ręką. Jednak na końcu wioski – a właściwie osady – znajdowało się coś, co podejrzenie przypominało osiedle mieszkaniowe z lat trzydziestych, składające się z ponurych, szarych bliźniaków z połamanymi płotami i porzuconymi trójkołowymi rowerkami na środku drózek. Osiedle to oddzielał od głównej drogi pas trawnika, na którym dwóch chłopców beznamytnie i bez entuzjazmu kopało do siebie piłkę. Kiedy Rebus przejeżdżał obok nich, obaj podnieśli głowy i zaczęli mu się przyglądać jak niezwykle mu zjawisku.

A potem zabudowa urwała się równie nagle, jak się zaczęła, i Rebus znalazł się znów w szczerym polu. Zatrzymał się na skraju drogi. W oddali widać było coś, co mogło być stacją benzynową, jednak z tej odległości trudno było się zorientować, czy jest otwarta. Z tyłu nadjechał traktor, ten sam, który wcześniej udało mu się w końcu wyprzedzić, minął go, zwolnił i zaczął się szykować do wjazdu na wpół zaorane pole. Kierowca traktora w ogóle nie zwracał na Rebusa uwagi. Z szarpnięciem zatrzymał traktor i wyskoczył z kabiny, a Rebus usłyszał dobywający się z jej wnętrza ryk radia.

Rebus otworzył drzwi samochodu, wysiadł i zatrzasnął je za sobą. Rolnik w dalszym ciągu nie zwracał na niego najmniejszej uwagi. Rebus oparł dłonie na sięgającym mu do pasa murku ułożonym z kamieni.

- Dobry – odezwał się.
- Dobry – odparł rolnik, grzebiąc coś przy pługu doczepionym z tyłu.
- Jestem z policji. Czy wie pan, gdzie mógłbym znaleźć Beverly Dodds?
- Pewnikiem w domu.
- A ten dom, to gdzie?
- Widział pan tablicę z ceramiką?

– Widziałem.

– No to tam. – Mężczyzna mówił to wszystko zupełnie obojętnym tonem i ani razu nie spojrzał na Rebusa, cały czas grzebiąc coś przy pługu. Był masywnie zbudowany, miał czarne kręcone włosy i czarną gęstą brodę okalającą twarz całą w zmarszczkach i krzywiznach. Przez chwilę Rebusowi stanęły przed oczyma dziwaczne twarze z komiksów z czasów dzieciństwa, które można było obracać do góry nogami, a one wciąż miały wygląd twarzy. – Pewno w sprawie tej durnej lalki, co?

– Tak.

– Cholerna głupota, żeby z tym do was łączyć.

– Uważa pan, że to nie ma związku z zaginięciem panny Balfour?

– Jasne, że nie. Smarkacze z Błonia i nic więcej.

– Pewnie ma pan rację. Błonia to osiedle bliźniaków, tak? – Kiwnął głową do tyłu. Stąd nie widać było chłopców z piłką – jak cała osada skryli się za zakrętem – ale Rebusowi zdawało się, że wciąż dochodzą do niego odgłosy kopania.

Rolnik kiwnął głową.

– Więc mówię, nic tylko strata czasu. Ale to pana czas, nie mój, więc co mi tam... moje tylko podatki.

– Zna pan tę rodzinę?

– Znaczą którą?

– Balfourów.

Rolnik pokiwał głową.

– Do nich należy ta ziemia... znaczy, przynajmniej częściowo.

Rebus rozejrzał się i po raz pierwszy zdał sobie sprawę, że poza stacją benzynową nigdzie, jak okiem sięgnąć, nie widać żadnych zabudowań.

– Myślałem, że do nich należy tylko pałac i teren wokół – powiedział.

Rolnik potrząsnął w milczeniu głową.

– A tak przy okazji, to gdzie jest ten ich pałac?

Po raz pierwszy wzrok mężczyzny spoczął na twarzy Rebusa. Widać skończył już prace przy pługu, bo wyprostował się i wytarł dłonie o spłowiałe drelichowe spodnie.

– Droga w bok na tamtym końcu miasta – poinformował.

– Będzie około półtora kilometra w tamtą stronę. Stoi taka wielka brama, więc nie da się przegapić. Kaskada też w tamtą stronę, tak gdzieś połowę bliżej.

– Kaskada?

– No, wodospad. Chyba chcesz pan to zobaczyć, nie?

Teren wprawdzie lekko wznosił się do góry, jednak trudno było wyobrazić sobie tu wzniesienie wystarczająco wysokie, by tworzyło wodospad.

– Nie mogę marnować pieniędzy z pańskich podatków na turystykę po okolicy – rzekł Rebus z uśmiechem.

– Tylko że to nie żadna turystyka, nie?

– A co?

– Pieprzona wizja lokalna, nie? – Do głosu rolnika wkradła się wyraźna irytacja. – W tym waszym Edynburgu to już wam w ogóle nic nie mówią...?

Wąska dróżka w bok od wioski wiała się lekko pod górę. Każdy przejeżdżający obok podróżny uznałby, podobnie jak Rebus, że to ślepa odnoga wiodąca donikąd, najwyżej do czyjejs zagrody. Jednak w pewnym miejscu droga się rozszerzała i tam właśnie Rebus zatrzymał swego saaba. Rolnik uprzedził go, że będzie tam bramka. Rebus zamknął samochód na klucz – miejskie przyzwyczajenie trudne do zwalczenia – i wszedł na pole, na którym pasły się krowy. Wykazały mu mniej więcej tyle samo zainteresowania, co rolnik z traktorem. Czuł ich woń, słyszał ich parskanie i chrzęst trawy. Idąc w kierunku linii drzew, starał się za wszelką cenę nie wdepnąć w krowi placek. Drzewa wyznaczały bieg strumienia i tam właśnie znajdował się wodospad. I to tam poprzedniego dnia rano Beverly Dodds znalazła niewielką trumienkę z lalką w środku. Kiedy dotarł do wodospadu, od którego miejscowość wzięła swą nazwę, wybuchnął głośnym śmiechem. Próg, z którego spadała woda, miał około metra wysokości.

– Niagara to z ciebie nie jest, co? – mruknął Rebus, klękając obok progu.

Nie wiedział, gdzie dokładnie znaleziono lalkę, ale i tak postanowił się rozejrzeć. Miejsce było urokliwe i zapewne popularne wśród miejscowych, o czym świadczyło trochę rozrzuconych puszek po piwie i opakowań po słodyczach. Podniósł się z kolan i rozejrzał wokół. Uroczym, pustom i nigdzie ani śladu ludzi. Wątpił, by ktokolwiek mógł widzieć tego, kto tę lalkę tu podrzucił, zakładając oczywiście, że sama nie przypląnęła z nurtem strumienia. Tyle, że nie bardzo miała skąd przypląnąć. Strumyk wiał się po zboczach wzgórz i Rebus wątpił, aby wyżej znajdowało się cokolwiek poza nie zamieszkałą gęstwiną zarośli. Na jego mapie tego strumyka nawet nie zaznaczono, był więc pewien, że powyżej nie ma żadnych osad ludzkich, tylko wzgórz, po których można błędzić, całymi dniami nie spotykając żywego ducha. Zastanowił się przez chwilę, gdzie może się mieścić siedziba Balfourów, jednak zaraz wyrzucił tę myśl z głowy. A cóż to ma za znaczenie? Najwyraźniej nie przyjechał tu, by szukać lalek, wszystko jedno z trumnami czy bez, przyjechał tu, by szukać wiatru w polu...

Znów przyklęknął i zanurzył dłoń w strumyku. Woda była zimna i czysta. Nabrał jej trochę do dłoni i patrzył jak ścieka między palcami.

– Nie radzę jej pić – usłyszał głos za plecami.

Podniósł głowę i zobaczył postać kobiecą wynurzającą się z zarośli. Miała na sobie długą muślinową suknię, okrywającą jej wiotką sylwetkę. Stała pod słońcem i przez materiał sukni widać

było wyraźnie zarys jej ciała. Podeszła bliżej, odgarniając z oczu długie, kręcone blond włosy.

– Farmerzy – wyjaśniła. – Wszystkie te ich chemiczne nawozy przenikają z pól do strumienia i zatrują wodę. Jakies organiczne fosforany i Bóg wie, co jeszcze. – Aż się wzdrygnęła na samą myśl.

– Nigdy nie biorę tego do ust – odparł Rebus, wycierając dłoń o rękaw i podnosząc się. – Czy może pani Dodds?

– Wszyscy mówią na mnie Bev – odparła, wyciągając szczupłą dłoń z samej skóry i kości. Jak u kurczaczka, pomyślał Rebus, uważając, by jej zbyt mocno nie ścisnąć.

– Detektyw inspektor Rebus – przedstawił się. – Skąd pani wiedziała, że tu jestem?

– Zauważyłam samochód. Patrzyłam przez okno, a kiedy zobaczyłam, że tu jedzie, od razu się domyśliłam. – Wspięła się na palce, wyraźnie dumna ze swego sprytu. Sylwetką i zachowaniem przypominała nastolatkę, i tylko jej twarz mówiła co innego. Wokół oczu miała sieć zmarszczek, a skóra na policzkach nieco jej obwisła. Musiała już być po pięćdziesiątce, choć czuło się od niej młodzieńczą werwę.

– Przyszła pani na piechotę?

– O tak – potwierdziła, spoglądając na swoje obute w sandaiki stopy. – Zdziwiłam się, że nie przyszedł pan najpierw do mnie.

– Chciałem się tylko rozejrzeć. W którym dokładnie miejscu znalazła pani tę lalkę?

Wskazała ręką próg wodny.

– Tuż u stóp wodospadu, na samym brzegu. Ale była zupełnie sucha.

– Skąd ta uwaga?

– Bo wiem, że będzie się pan zastanawiał, czy nie przyplłynęła tu z góry.

Rebus nie dał po sobie poznać, że już się nad tym zastanawiał, ale zdaje się, że i tak to wyczuła, bo znów się wspięła na palce.

– I leżała na widoku – dodała. – Nie sądzę, żeby ją tam ktoś zgubił. Gdyby tak było, to by się zorientował i wrócił po nią.

– Myślała pani kiedyś o pracy w policji, pani Dodds?

– Proszę mi mówić Bev – cmoknęła z naganą w głosie. Nie odpowiedziała na jego pytanie, ale widać było, że sprawiło jej przyjemność.

– Nie wzięła jej pani przypadkiem z sobą?

Potrząsnęła energicznie głową, tak że jej włosy znów się rozsypały po twarzy i ponownie musiała je odgarnąć.

– Nie, ale mam ją w domu.

– Od dawna tu pani mieszka, Bev?

Uśmiechnęła się.

– Wciąż jeszcze nie opanowałam do końca akcentu, co?

– Jeszcze daleka droga przed panią – przyznał.

– Urodziłam się w Bristolu, potem, wolę nie pamiętać ile lat, mieszkałam w Londynie, a po rozwodzie uciekłam i zatrzymałam się dopiero tu.

– Jak dawno?

– Pięć, sześć lat temu. Wciąż jeszcze mój domek nazywają „chałupą Swanstonów”.

– To rodzina, która tam mieszkała przed panią? – domyślił się.

– Kaskady to już takie miejsce, panie inspektorze – przytaknęła. – Dlaczego się pan uśmiecha?

– Bo nie byłem pewien, jak się to wymawia.

Wyglądało, że rozumie, o co mu chodzi.

– To zabawne, prawda? Chodzi mi o to, że jest tylko ten jeden malutki wodospadzik, a nazywa się Kaskady. I zdaje się, że nikt nie wie dlaczego. – Zrobiła przerwę i dodała: – Kiedyś tu była osada górnicza.

– Kopalnia węgla? – Zmarszczył czoło. – Tutaj?

Wyciągnęła rękę na północ.

– Jakieś półtora kilometra w tamtą stronę. Ale niewiele z tego wyszło. To było w latach trzydziestych.

– I to wtedy zbudowano Błonia?

Kiwnęła głową.

– Ale teraz już tu nie ma górnictwa?

– Już od czterdziestu lat. O ile wiem, większość mieszkańców Błoni jest bez pracy. Wie pan, teraz ten teren to tylko dzikie chaszcze, ani śladu łąki. Kiedy zaczęli budowę, rozciągały się tam prawdziwe łąki, ale potem potrzebne było miejsce pod coraz więcej domów... więc wszystko zabudowali. – Znów się wzdrygnęła i zmieniła temat. – Myśli pan, że uda się tu zawrócić?

Kiwnął głową potakująco.

– No to niech się pan zbytnio nie spieszy – powiedziała, ruszając z powrotem. – Pójdę pierwsza i nastawię wodę na herbatę. Do zobaczenia w chacie Pod Kołem, panie inspektorze.

Koło w nazwie domu nawiązywało do koła garncarskiego, jak wyjaśniła, nalewając wody do czajniczka.

– Zaczęłam się tym zajmować w celach terapeutycznych – ciągnęła dalej. – Po moim rozstaniu. – Przerwała i po chwili znów podjęła wątek. – Ale okazało się, że mi to zupełnie nieźle idzie. Myślę, że wielu spośród moich dawnych znajomych byłoby bardzo zaskoczonych. – Rebus pomyślał, że jej ton świadczy dobitnie, iż ci wszyscy dawni znajomi nie mają już miejsca w jej nowym życiu. – Więc może to „koło” oznacza również toczące się koło życia – dodała, biorąc tacę i prowadząc go do pomieszczenia, które nazwała swoim „salonikiem”.

Był to niewielki, niski pokój pełen różnobarwnych szmatek. Stało tam również kilka wyrobów ceramicznych, które, jak się domyślał, były jej produkcji: błękitne kamionkowe naczynia pokryte glazurą w kształcie talerzy i wazonów. Dopilnował, by zauważyła, że zwrócił na nie uwagę.

– W większości moje wczesne prace – powiedziała, przybierając lekceważący ton. – Trzymam je tu tylko ze względów sentymentalnych. – Uniosła rękę, by znów poprawić sobie włosy, a kilka bransoletek z brzękiem zsunęło jej się do łokcia.

– Są bardzo ładne – zapewnił ją. Nalała herbatę i podała mu dużą, masywną filiżankę ze spodkiem w takim samym błękitnym kolorze. Rozejrzał się po pokoju, jednak nigdzie nie widać było lalki ani trumienki.

– U mnie w pracowni – poinformowała, znów zdając się czytać w jego myślach. – Mogę przynieść, jak pan chce.

– Poproszę – odparł, a ona wstała i wyszła z pokoju. Pokoik działał na niego niemal klaustrofobicznie. Herbata wcale nie była herbatą, tylko jakąś ziołową namiastką i przez chwilę rozważał nawet, czy nie wylać jej do któregoś z wazonów. W końcu dał spokój i wyciągnął komórkę, by sprawdzić wiadomości. Wyświetlacz telefonu był czysty, bez śladu sygnału. Może to przez te grube kamienne ściany, pomyślał. Albo ściany, albo Kaskady są poza zasięgiem. Wiedział z doświadczenia, że we Wschodnim Lothian jest wiele takich miejsc. W pokoju stała tylko jedna niewielka etażerka z książkami, w większości poświęconymi sztuce i rękodziełu, oraz kilkoma tomikami *Czarów*. Rebus wziął jeden z nich do ręki.

– Biała magia – usłyszał głos za sobą. – Wiara w potęgę sił natury.

Rebus odłożył tomik na miejsce i odwrócił się.

– Oto ona – rzekła.

Trzymała trumienkę tak, jakby uczestniczyła w jakimś uroczystym obrzędzie. Rebus zrobił krok do przodu, a kobieta ją ku niemu wyciągnęła. Wziął trumienkę z jej rąk z namaszczeniem, tak jak tego zapewne po nim oczekiwała, i jednocześnie przez głowę przemknęła mu myśl: Ani chybi baba jest walnięta... To pewnie wszystko jej wymysł! Jednak jego uwagę przyciągnęła teraz sama trumienka. Zrobiono ją z ciemnego drewna, być może z sezonowanego dębu, i zbito czarnymi gwoździkami w rodzaju tych, jakie używa się do mocowania wykładzin dywanowych. Deszczułki zostały dokładnie przycięte i spasowane, a ich krawędzie wygładzone papierem ściernym, jednak poza tym zostawione w stanie surowym. Całość miała około dwudziestu centymetrów długości i wyraźnie nie była dziełem zawodowego stolarza. Nawet Rebus, który do takich spraw miał dwie lewe ręce, potrafił to poznać. A potem kobieta zdjęła wieko. Patrzyła na niego szeroko otwartymi, nieruchomymi oczami, w oczekiwaniu na jego reakcję.

– Było przybite gwoździami – wyjaśniła. – Sama je oderwałam.

Wewnątrz leżała ubrana w strzępy muślinu mała drewniana laleczka z rękami ułożonymi

wzdłuż ciała i z główką zaokrągloną, ale pozbawioną rysów twarzy. Ktoś ją wyrzeźbił z kawałka drewna, lecz dość niestarannie, bo widać było głębokie zadziory po dłucie. Rebus spróbował ją wyjąć, jednak jego palce okazały się zbyt grube i nie zmieściły się w szparze między lalką a ścianką trumienki. W końcu odwrócił pudełko i laleczka wypadła mu na dłoń. Pierwszą jego myślą było porównanie jej odzienia z materiałami zalegającymi salonik, jednak nie znalazł żadnego oczywistego podobieństwa.

– Ta jej sukienka jest zupełnie nowa i czysta – szepnęła, a on kiwnął głową. Najwyraźniej trumienka nie przebywała zbyt długo na wolnym powietrzu, bo nie miała czasu ani się pobrudzić, ani zamoknąć.

– Widywałem już różne dziwne rzeczy, Bev... – powiedział Rebus, i głos mu tajemniczo zamarł. – Nic tam więcej nie było? Nic niezwykłego? – dodał.

Wolno potrząsnęła głową.

– Chodzę tamtędy co tydzień. To – dotknęła dłonią trumienki – było tam jedyną rzeczą nie na swoim miejscu.

– A jakieś ślady stóp...? – zaczął Rebus i przerwał. Pomyślał, że wymaga od niej zbyt wiele. Ale ona miała już gotową odpowiedź.

– Żadnych nie zauważyłam. – Oderwała wzrok od trumienki i spojrzała na niego. – A rozglądałam się, bo wiedziałam, że nie mogło to tam spaść z nieba.

– Czy w wiosce jest ktoś, kto zajmuje się drewnem. Może jakiś stolarz...?

– Najbliższy stolarz mieszka w Haddington. Tak na pierwszy rzut oka nie znam nikogo, kto... kogoś, kto świadomie zrobiłby coś takiego.

– Ale założę się – powiedział Rebus z uśmiechem – że jednak trochę pani nad tym myślała.

– Myślę nad tym cały czas, panie inspektorze. To znaczy, być może w zwykłych okolicznościach aż tak bardzo nie zawracałabym sobie tym głowy, ale jak się weźmie pod uwagę to, co się stało z panną Balfour...

– Tymczasem nic nam nie wiadomo, żeby coś się stało – uznał za stosowne jej przypomnieć.

– Ale to na pewno ma jakiś związek, prawda?

– Co nie znaczy wcale, że nie mamy do czynienia z jakimś pomyłką. – Mówiąc, nie spuszczał z niej wzroku. – Z tego, co wiem, w każdej wiosce jest jakiś miejscowy głupek.

– Chce pan przez to powiedzieć, że to ja... – Przerwała na dźwięk samochodu podjeżdżającego pod dom. – Oho – powiedziała, wstając – to na pewno ten reporter.

Rebus poszedł za nią do okna. Zza kierownicy czerwonego forda focusa gramolił się właśnie młody człowiek. Siedzący obok fotoreporter był w trakcie zakładania obiektywu na aparat fotograficzny. Kierowca przeciągnął się i zatarł dłonie, jakby miał za sobą długą podróż.

– Już tu kiedyś byli – wyjaśniła Bev. – Zaraz po zniknięciu panny Balfour. Zostawili mi wtedy wizytówkę, więc teraz jak się to wydarzyło...

Rebus podążył za nią do sieni prowadzącej do drzwi wejściowych.

– To nie było najmądrzejsze posunięcie, pani Dodds. – Rebus starał się nie wybuchnąć.

Trzymając rękę na klamce, odwróciła się w jego stronę.

– Ale przynajmniej oni nie uważają, że jestem pomyłona, panie inspektorze.

Miał ochotę odpowiedzieć: „Jeszcze nic straconego”, jednak pomyślał, że wystarczająco już narozrabiał.

Reporter nazywał się Steve Holly i zatrudniony był w edynburskim biurze brukowca z Glasgow. Był młody, ledwie po dwudziestce, co pozwalało mieć nadzieję, że może pozwoli się zastraszyć. Gdyby wysłali tu jednego ze swych starych wyjadaczy, Rebus nawet by nie próbował.

Holly był niski i miał lekką nadwagę. Włosy nażelował w ząbki, co Rebusowi przypomniało drut kolczasty biegnący u szczytu płotu okalającego pole. W jednej ręce trzymał notes i długopis, drugą podał Rebusowi.

– Chyba się jeszcze nie znamy. – Powiedział to takim tonem, że Rebus był pewien, że jego nazwisko nie jest mu obce. – Ten tu, to Tony, mój genialny artysta. – Fotoreporter parsknął. Na ramieniu dźwigał torbę ze sprzętem. – Wymyśliliśmy, Bev, że zabierzemy cię do wodospadu, a ty nam tam pokażesz, jak podnosisz trumnę z ziemi.

– Tak, oczywiście.

– I nie będziemy musieli zawracać sobie głowy robieniem zdjęć w środku – ciągnął dalej Holly. – To znaczy, Tony nie miałby nic przeciwko, tylko że jak się go wpuści do środka, to się w nim od razu zaczyna budzić kreatywny artysta.

– Doprawdy? – Popatrzyła na fotoreportera z podziwem.

Rebus zdusił w sobie uśmiech: najwyraźniej słowa „kreatywny” i „artysta” znaczyły zupełnie co innego dla Bev niż dla reportera. Holly też się szybko zorientował, bo dodał:

– Oczywiście mogę go później tu przysłać, jakbyś chciała, zrobiłby ci jakiś ładny portrecik, może w twoim studio.

– To nie jest znowu takie studio – odparła Bev, skrobiąc się palcem w szyję, wyraźnie mile połączona. – Po prostu pokój, w którym mam koło i trochę rysunków. Do ścian przypięłam białe ekrany, żeby było lepsze światło.

– A skoro mowa o świetle – wtrącił Holly, zerkając znacząco na niebo – to chyba lepiej już chodźmy, co?

– Bo teraz światło jest idealne – wyjaśnił fotoreporter, zwracając się do Bev. – Ale długo tak nie będzie.

Bev też spojrzała w niebo i ze zrozumieniem pokiwała głową, jak jeden artysta do drugiego. Rebus musiał przyznać, że Holly jest niezły.

– Chce pan tu sam zostać na gospodarstwie? – zwrócił się teraz do Rebusa. – Bo nam to zajmie najwyżej piętnaście minut.

– Muszę wracać do Edynburga. Mogę dostać pański telefon, panie Holly?

– Gdzieś tu powinienem mieć wizytówkę. – Zabrał się do przeszukiwania kieszeni, znalazł portfel, a w nim wizytówkę.

– Dzięki – powiedział Rebus, chowając ją. – I gdybym mógł zamienić z panem słówko...?

Odchodząc z reporterem kilka kroków na bok, widział, jak Bev wdzięczy się do fotografa, pytając, czy jest właściwie ubrana. Pomyślał, że pewnie tęskni do pokrewnej artystycznej duszy w wiosce. Odwrócił się do nich plecami, by nie mogli wiedzieć, co chce powiedzieć.

– Widział pan tę lalkę? – zapytał Holly.

Rebus potwierdził, a Holly zmarszczył nos.

– Chyba tracimy tu czas, nie? – Powiedział to konfidencyjnym tonem, co miało zachęcić do szczerzej odpowiedzi.

– Niemal na pewno – odpowiedział Rebus, wbrew własnemu przekonaniu, wiedząc, że kiedy Holly zobaczy dziwną figurkę, też w to nie uwierzy. – Ale była okazja, żeby się na trochę wyrwać z miasta – dodał z udaną beztroską.

– Nienawidzę wsi – oświadczył Holly. – Jak na mój gust, za mało tu tlenu węgla. Ale dziwi mnie, że wysłali aż inspektora ze śledczego...

– Musimy do wszystkich poszlak podchodzić jednakowo poważnie.

– Jasne że tak, rozumiem. Tylko że ja bym wysłał posterunkowego albo najwyżej sierżanta z dochodzeniówki.

– Jak już powiedziałem... – zaczął, ale Steve Holly już się odwrócił, gotów wrócić do swych obowiązków. Rebus chwycił go za ramię. – Zdaje pan sobie sprawę, że jeżeli uznamy to za materiał dowodowy, to być może będziemy chcieli to wyciszyć?

Holly kiwnął głową i dla lepszego efektu spróbował przybrać akcent amerykański.

– To niech wtedy wasi dryndną do naszych – powiedział. Uwolnił się z uchwytu i wrócił do pozostałej dwójki. – Posłuchaj, Bev – zaczął – jeśli chodzi o to, co masz na sobie, to pomyślałem, że jest tak ładnie, że może wygodniej by ci było w jakiejś krótszej spódniczce...

Rebus znów pojechał tą samą drogą, ale tym razem nie stanął przy bramce i pojechał dalej. Po około ośmiuset metrach droga rozszerzyła się w wyłożony czerwonym żwirem podjazd, który doprowadził go do potężnej bramy z kutego żelaza. Rebus zatrzymał się i wysiadł z samochodu. Na bramie wisiała masywna kłódka, a przez pręty widać było drogę ciągnącą się dalej i niknącą wśród drzew zasłaniających widok na dom. Nie było żadnej tablicy, ale nie miał wątpliwości, że to Jałowce. Po obu stronach bramy sterczał wysoki kamienny mur, który jednak kawałek dalej obniżał się i wyglądał na możliwy do pokonania. Rebus przeszedł wzdłuż muru około stu metrów, potem wspiął się na niego i zeskoczył po drugiej stronie. Wokół były zarośla i obawiał się, że puszczenie się na przelaj może się skończyć długim błędzeniem po lesie, wrócił

więc wzdłuż muru do wyżwirowanej drogi i ruszył nią w nadziei, że zbytnio się nie wije.

Okazało się, że właśnie tak było i zza jednego zakrętu wyłaniał się następny. Idąc, rozmyślał smętnie, jak oni tu rozwiązują sprawę dostaw zaopatrzenia albo jak sobie z tym radzi listonosz. Tyle że pewnie takie drobiazgi nie zaprzatają myśli komuś takiemu jak John Balfour. Dom ukazał się Rebusowi w oddali dopiero po pełnych pięciu minutach marszu. Była to dość ponura, dwupiętrowa, rozległa gotycka budowla zakończona po obu stronach wieżami, której mury z wiekiem przybrały barwę ciemnoszarą. Rebus nie miał zamiaru podchodzić za blisko, zresztą nie wiedział, czy ktoś jest w domu. Zakładał, że dom jest pod obserwacją – jakiś policjant siedzący przy telefonie – ale jeśli tak było, to nie rzucało się to w oczy. Przed domem rozciągał się wypielęgnowany trawnik, obrzeżony rabatami kwiatowymi. Z boku domu widać było coś, co przypominało zagrodę dla koni, Rebus nie zauważył natomiast żadnych samochodów, garaży ani zabudowań gospodarczych. Pomyślał, że pewnie znajdują się za domem. Nie wyobrażał sobie, by ktoś mógł się dobrze czuć, mieszkając w takim ponurym otoczeniu. Miało się niemal wrażenie, że dom z grymasem niezadowolenia na swym obliczu zniechęca wszystkich do okazywania radości. Był ciekaw, czy matka Philippy nie czuje się w nim trochę jak eksponat muzealny. A potem w jednym z okien na piętrze pojawiła się twarz, zanim jednak zdążył się jej przyjrzeć, twarz znikła. Pomyślał, że to może zjawia strasząca w starym domu, ale chwilę później drzwi frontowe otworzyły się i wybiegła z nich postać kobieca. Zbiegła po schodach, wbiegła na zwirowy podjazd i z rozwianymi włosami opadającymi jej na twarz zaczęła biec w jego kierunku. Nagle potknęła się i upadła. Rebus ruszył, by jej pomóc, jednak ona, widząc to, szybko zerwała się na nogi. Nawet nie spojrzała na zadrapane kolana z przylgniętymi kawałkami żwiru. Z dłoni wysunęła się jej słuchawka telefonu bezprzewodowego, ale zaraz ją podniosła.

– Nie zbliżać się! – krzyknęła. Odgarnęła sobie włosy z twarzy i wtedy Rebus rozpoznał w niej Jacqueline Balfour. Jednak zreflektowała się i uniosła w górę obie ręce w geście pojednania. – Niech pan słucha, przepraszam. Tylko... proszę nam tylko powiedzieć, czego od nas chcecie.

I dopiero wtedy Rebus zdał sobie sprawę, że stojąca przed nim kobieta bierze go za porywacza swej córki.

– Proszę pani – powiedział, też unosząc obie ręce w geście poddania – jestem z policji.

W końcu udało jej się opanować szloch. Siedzieli na stopniach schodów wiodących do drzwi wejściowych, jakby wołała nie wracać do mrocznego wnętrza domu. Kilkakrotnie powtórzyła, że przepraszam za swoje zachowanie, a Rebus odparł, że to on ją powinien przepraszac.

– Po prostu nie przyszło mi do głowy – rzekł. – To znaczy nie pomyślałem, że ktoś może być w domu.

Nie była w nim zresztą sama. W drzwiach zjawiła się umundurowana policjantka, ale pani

Balfour zdecydowanym tonem poleciła jej, żeby ją zostawiła. Rebus spytał, czy on też ma ją zostawić, ale przecząco pokręciła głową.

– Czy przyszedł pan, żeby mi coś zakomunikować? – spytała, oddając mu nasiąkniętą łzami chusteczkę.

Łzy: ciągle doprowadza kogoś do łez. Powiedział, żeby ją zatrzymała, a ona skrupulatnie ją złożyła tylko po to, by po chwili znów rozłożyć i zacząć wszystko od nowa. Zdawało się, że nie zauważyła nawet zadrapań na kolanach. Siedziała z rąbkiem spódnicy upchniętym między nogi.

– Nie mamy żadnych wiadomości – powiedział cicho, a widząc, jak wyraz nadziei spływa z jej twarzy, dodał: – Ale może natrafiliśmy na jakiś ślad w wiosce.

– W wiosce?

– W Kaskadach.

– Jaki ślad?

I nagle pożałował, że w ogóle się odezwał.

– Na razie nie wolno mi nic mówić. – Stara policyjna wymówka, która jednak w tej sytuacji nie mogła zdać egzaminu. Wystarczy, że powie o tym mężowi, a ten natychmiast złapie za telefon i zażąda wyjaśnień. A nawet jeśli nie, nawet jeśli uda mu się ukryć przed nią wiadomość o dziwnym znalezisku, media na pewno nie będą takie taktowne. – Czy Philippa kolekcjonowała może lalki? – spytał po namyśle.

– Lalki? – Bawiła się słuchawką, obracając ją w dłoni.

– Bo ktoś znalazł drewnianą laleczkę obok wodospadu.

Potrząsnęła głową.

– Nie miała lalek. – Powiedziała to cicho, jakby w poczuciu winy, że w życiu Philippy powinny być lalki, a ich brak źle świadczył o niej jako matce.

– Pewnie i tak nie ma to żadnego znaczenia – stwierdził Rebus.

– Pewnie nie – zgodziła się.

– Czy pan Balfour jest w domu?

– Będzie później. Teraz jest w Edynburgu. – Popatrzyła na słuchawkę. – Nikt nie zadzwoni, prawda? Wszystkich partnerów i klientów Johna uprzedziliśmy, by tu nie dzwonili, żeby cały czas linia była wolna. To samo powiedzieliśmy rodzinie. Nie dzwońcie, bo może tamci będą chcieli się dodzwonić. Ale nie będą, ja już wiem, że nie.

– Nie wierzy pani w to, że córka została porwana?

Potrząsnęła głową.

– Wobec tego co?

Popatrzyła na niego oczami zaczerwienionymi od płaczu i podkrążonymi z niewyspania.

– Ona nie żyje. – Powiedziała to niemal szeptem. – Pan też tak uważa, prawda?

– Jest o wiele za wcześnie, żeby tak myśleć. Znam przypadki osób zaginionych, które

odnajdują się po tygodniach, czasami po miesiącach.

– Tygodnie, miesiące? Nawet nie chcę o tym myśleć. To już wolałabym wiedzieć... mieć pewność w jedną albo w drugą stronę.

– Kiedy widziała pani córkę po raz ostatni?

– Jakies dziesięć dni temu. Byłyśmy razem na zakupach w Edynburgu, w naszych stałych sklepach. Nawet nie miałyśmy nic szczególnego do kupienia. A potem poszłyśmy coś zjeść.

– Czy często tu bywała?

Jacqueline Balfour potrząsnęła głową.

– On ją zatruł.

– Słucham?

– David Costello. Zatruił jej wspomnienia, wmawiał jej, że pamięta jakieś zdarzenia, takie, które nigdy nie miały miejsca. Ten ostatni raz, kiedy się widziałyśmy... Flipa wypytywała mnie o swoje dzieciństwo. Twierdziła, że była bardzo nieszczęśliwa, że ją ignorowaliśmy, że wcale jej nie chcieliśmy. Zupełne bzdury.

– I to Costello jej to wmówił?

Wyprostowała się i głęboko zaczerpnęła powietrza.

– Tak uważam.

Rebus zamyślił się.

– Ale dlaczego miałby coś takiego robić? – spytał po chwili.

– Dlatego, że jest tym, kim jest – rzuciła. Dzwonek telefonu wdarł się nagle w panującą ciszę. Nerwowo próbowała odnaleźć właściwy przycisk. – Halo? – Potem twarz jej trochę złagodniała. – Dzień dobry, kochanie, o której będziesz w domu...?

Rebus odczekał, aż skończy rozmawiać. Przypomniał sobie konferencję prasową i to ciągle „ja” zamiast „my” w jego ustach, tak jakby jego żona nie przeżywała tego na równi z nim, jakby jej w ogóle nie było...

– Dzwonił John – powiedziała, a Rebus kiwnął głową.

– Mąż dużo czasu spędza w Londynie, prawda? Nie czuje się pani wtedy samotna w tym domu?

Spojrzała na niego z ukosa.

– Mam przecież przyjaciół.

– Ani przez chwilę w to nie wątpiłem. Często jeździ pani do Edynburga?

– Raz, dwa razy w tygodniu.

– A często spotyka się pani ze współnikiem męża?

Znów go obrzuciła spojrzeniem.

– Z Ranaldem? On i jego żona to nasi najbliżsi przyjaciele... Dlaczego pan pyta?

Rebus znacząco podrapał się w głowę.

– Właściwie to sam nie wiem. Pewnie dla podtrzymania rozmowy.

– To niech pan tego nie robi.

– Mamy nie rozmawiać?

– Nie lubię tego, czuję się jakby wszyscy wokół zastawiali na mnie sidła. To samo jest na tych wszystkich służbowych przyjęciach, John mnie wiecznie ostrzega, żeby się pilnować i z niczym się nie wygadać, bo nigdy nie wiadomo, kto i kiedy stara się wyciągnąć coś o banku.

– Ale my to nie konkurencja, proszę pani.

Pochyliła lekko głowę.

– Oczywiście, że nie. Przepraszam. Tylko że...

– Nie ma za co przepraszać – powiedział Rebus, wstając. – Jesteśmy w pani domu i obowiązują tu pani reguły. Czyż nie tak?

– No cóż, jeśli chce pan to tak ująć... – Wydawało się, że odrobinę się rozchmurzyła. Mimo to Rebus pomyślał, że gdy jej mąż jest w domu, obowiązują tu pewnie tylko jego reguły...

W środku było dwoje policjantów siedzących wygodnie w salonie. Policjantka przedstawiła się jako Nicola Campbell, a policjant okazał się funkcjonariuszem biura kryminalnego z centrali na Fettes. Nazywał się Eric Bain, jednak powszechniej znany był jako „Bania”. Bain siedział przy biurku, na którym leżał aparat telefoniczny, notes z długopisem i urządzenie nagrywające, a obok telefon komórkowy podłączony do laptopa. Po upewnieniu się, że dzwoni pan Balfour, Bain zsunął z uszu słuchawki i zawiesił je sobie wokół szyi. Popijał truskawkowy jogurt wprost z pojemniczka i kiwnął Rebusowi głową na powitanie.

– Nieźle wam się powodzi w tym luksusie – powiedział Rebus, rozglądając się po wnętrzu.

– Pozwolisz, że cię poprawię i powiem: nie powodzi, tylko nudzi – odparła Campbell. A ten laptop po co?

– Żeby Bania mógł sobie pogadać ze swoimi durnymi koleśkami.

Bain pogroził jej palcem.

– To nowa technika telekomunikacyjna służąca do namierzania i lokalizowania rozmów. – Zajęty wygrzebywaniem resztek jogurtu nie zauważył, że Campbell robi do Rebusa minę i bezgłośnie wymawia: „Palant”.

– To na pewno wspaniała technika – powiedział Rebus – oby tylko było co namierzać.

Bain pokiwał smętnie głową.

– Na początku było mnóstwo telefonów z wyrazami współczucia od przyjaciół i rodziny. Dzwoniło zdumiewająco mało pomyleńców. Pewnie pomogło trochę to, że numer jest zastrzeżony.

– Tylko musicie pamiętać – ostrzegł ich Rebus – że ten, którego szukamy, też może być pomyleńcem.

– Świrów tu nigdzie nie brakuje – oświadczyła Campbell, zakładając nogę na nogę. Siedziała na jednej z trzech stojących tu kanap, z rozłożonymi egzemplarzami „Caledonii” i „Scottish Field”. Na stoliku obok leżała sterta innych czasopism. Rebus odniósł wrażenie, że oboje czuli się tu jak w domu i że Campbell już co najmniej raz przeczytała te wszystkie pisma.

– Co masz na myśli?

– Byłeś już w wiosce? Widziałeś tych wszystkich albinosów na drzewach, brzdąkających na banjo?

Rebus uśmiechnął się, ale Bain wyglądał na zaskoczonego.

– Nie widziałem żadnego – powiedział.

Wzrok Campbell, którym go obrzuciła, mówił wyraźnie: „To dlatego, że w jakimś innym równoległym świecie ty tam siedzisz razem z nimi...”

– Słuchajcie – odezwał się Rebus. – Na konferencji prasowej pan Balfour wspomniał coś o swoim telefonie komórkowym...

– Nie powinien był tego robić – odparł Bain, kręcąc głową. – Specjalnie prosiliśmy, żeby tego nie robił.

– Chodzi o to, że nie tak łatwo namierzyć rozmowę na komórkę?

– Bo komórki są znacznie bardziej elastyczne niż linie naziemne.

– Ale wciąż możliwe do namierzenia?

– Tylko do pewnego stopnia. Przede wszystkim na rynku jest mnóstwo lewych komórek. Może się zdarzyć, że namierzemy kogoś tylko po to, żeby się dowiedzieć, że mu w zeszłym tygodniu ukradli telefon.

– No więc sam widzisz, jak to jest – powiedziała Campbell, zwracając się do Rebusa i tłumiąc ziewanie. – Sensacja goni sensację...

Wracał do miasta, zbytnio się nie spiesząc i obserwując narastający ruch samochodowy w przeciwną stronę. Zaczynała się godzina szczytu i z miasta wyjeżdżały dyrektorskie limuzyny, kierując się do wiejskich rezydencji ich właścicieli. Słyszał, że są tacy, którzy codziennie dojeżdżają do Edynburga z tak oddalonych miejscowości jak Borders, Fife czy Glasgow. Winę za to zrzucali na ceny mieszkań w Edynburgu. Połowa bliźniaka z trzema sypialniami w przyzwoitej części miasta potrafiła kosztować od ćwierć miliona funtów w górę. Za takie pieniądze można było kupić duży wolnostojący dom w Zachodnim Lothian albo pół ulicy gdzieś w Cowdenbeath. Z drugiej strony Rebus wciąż był nagabywany przez potencjalnych nabywców i dostawał listy adresowane do „Pana Właściciela”, zawierające oferty kupna. Bo tak wyglądała druga strona mieszkaniowego medalu w Edynburgu: jakby ceny nie rosły, wciąż znajdowali się chętni do kupna. W przypadku Marchmont byli to często właściciele nieruchomości szukający okazji, by powiększyć swoje zasoby, lub zamożni rodzice, których dzieci chciały mieszkać w pobliżu

uniwersytetu. Rebus mieszkał tu już od dwudziestu kilku lat i obserwował zachodzące wokół zmiany. Spotykało się coraz mniej rodzin z dziećmi i ludzi starszych, a coraz więcej studentów i młodych, bezdzietnych małżeństw. Grupy te zdawały się nie integrować i żyły obok siebie. Ludzie, którzy mieszkali całe życie w Marchmont, patrzyli, jak ich dzieci wynoszą się gdzieś daleko, bo nie stać ich na kupno czegoś w pobliżu. Rebus nie znał już nikogo z sąsiadów mieszkających w jego kamienicy ani w pobliskich kamienicach. Z tego, co wiedział, był już ostatnim lokatorem-właścicielem mieszkania w całej kamienicy. Co gorsza, wyglądało też, że jest jej najstarszym mieszkańcem. A oferty kupna wciąż przychodziły i ceny wciąż rosły.

I dlatego postanowił się stąd wyprowadzić. Nie zdecydował się jeszcze na kupno czegoś nowego, zastanawiał się bowiem, czy nie wrócić do wynajmowania mieszkania. W ten sposób miałby dużo większą swobodę: rok w domku na wsi, potem rok gdzieś nad morzem i rok albo dwa w pobliżu jakiegoś pubu... Zdawał sobie sprawę, że to mieszkanie jest dla niego o wiele za duże. Nikt nigdy nie korzystał z dodatkowych sypialni, a jemu samemu często zdarzało się usnąć na fotelu w pokoju dziennym. Wystarczyłaby mu właściwie kawalerka; wszystko ponad będzie już zbytkiem.

Mijał jadące z naprzeciwka i wracające do domów duże volva, BMW i sportowe audi. Rebus zastanawiał się, czy sam też chciałby dojeżdżać. Z Marchmont mógł spacerkiem dojść do pracy. Zajmowało mu to piętnaście minut i stanowiło jego jedyny ruch na powietrzu. Nie chciałby na przykład dojeżdżać codziennie do pracy z Kaskad. Kiedy był tam rano, drogi były puste, przypuszczał jednak, że teraz ta dość wąska szosa jest zatłoczona samochodami.

Zaczął szukać miejsca do zaparkowania i to mu dało jeszcze jeden powód, by się stąd wyprowadzić. W końcu postawił saaba na żółtej linii i wszedł do miejscowego sklepu po wieczorną gazetę, mleko, bułki i bekon. Zadzwoił do komisariatu z pytaniem, czy jest potrzebny i usłyszał, że nie. W mieszkaniu wyjął z lodówki puszkę piwa i zasiadł w swym fotelu pod oknem. W kuchni panował większy bałagan niż zwykle. Na czas robót elektrycznych musiał tu przenieść część rzeczy z przedpokoju. Nie pamiętał już, kiedy ktoś ostatni raz zaglądał do instalacji elektrycznej i podejrzewał, że nikt tego nawet nie tknął od czasu kupna mieszkania. Umówił też malarza, który po skończeniu robót elektrycznych miał całość trochę odświeżyć. Ostrzegano go, by nie szaleć z remontem, bo i tak ten, kto to kupi, będzie chciał wszystko zrobić na nowo po swojemu. Więc tylko elektryka, malowanie i na tym koniec. Na giełdzie nieruchomości powiedziano mu, że nie sposób przewidzieć, ile może dostać za swoje mieszkanie. W Edynburgu był zwyczaj oferowania domów i mieszkań na sprzedaż za „cenę od”, i to co ponad „od” mogło czasami osiągnąć trzydzieści lub czterdzieści procent ceny podstawowej. Według ostrożnej wyceny jego puste mieszkanie przy Arden Street miało wartość od 125 000 do 140 000 funtów. Hipoteka mieszkania była czysta, więc ta gotówka mogła się znaleźć bezpośrednio na koncie bankowym.

– Z taką kasą możesz od razu iść na emeryturę – zauważyła Siobhan.

No, może. Przypuszczał, że będzie się musiał podzielić pieniędzmi ze swoją byłą żoną, mimo iż rozliczył z nią jej część mieszkania bezpośrednio po rozstaniu. I oczywiście część z tej gotówki przeznaczyłby dla swojej córki, Sammy. Sammy stanowiła jeszcze jeden dodatkowy powód, by się stąd wynieść, przynajmniej tak sobie wmawiał. Uwolniła się wreszcie od wózka inwalidzkiego, na który trafiła po wypadku, ale wciąż poruszała się o kulach. Pokonanie dwóch ciągów schodów bez windy to wysiłek ponad jej możliwości... choć trudno ją było nazwać częstym gościem, nawet w czasach przed wypadkiem.

W ogóle niewielu gości go odwiedzało, jako że nie był z niego zbyt dobry gospodarz. Właściwie nigdy nie udało mu się zapełnić pustki, jaka tu została po wyprowadzeniu się jego byłej żony, Rhony. Ktoś kiedyś nazwał jego mieszkanie „pieczarą” i było w tym sporo prawdy. Stanowiło dla niego schronienie i na tym właściwie kończyła się jego rola. W mieszkaniu studentów za ścianą grała jakaś wrzaskliwa muzyka, trochę przypominająca złego Hawkwinda sprzed dwudziestu lat, co pewnie znaczyło, że jest to nagranie jakiejś nowej, modnej kapeli. Przejrzał własną kolekcję, natknął się na taśmę, którą nagrała dla niego Siobhan i wsadził ją do odtwarzacza. Zespół Mutton Birds: trzy numery z jednego z ich albumów. Pochodzili z Nowej Zelandii, czy skądś tam, a jeden z instrumentów dograno tu, w Edynburgu. I mniej więcej tyle mogła mu o nich powiedzieć. Druga z kolei piosenka nosiła tytuł *Kaskady*.

Wrócił na swój fotel. Na podłodze obok stała butelka. Talisker, czysty, wysublimowany smak. Nalał go do stojącej obok szklanki i wzniosłszy toast do swego odbicia w oknie, wypił. Potem zamknawszy oczy, rozsiadł się wygodnie w fotelu. Tego pokoju nie kazał odświeżać. Nie tak dawno sam go własnoręcznie pomalował z pomocą przyjaciela i sojusznika, Jacka Mortona. Jack już nie żył i dołączył do i tak zbyt licznej gromady jego upiorów przeszłości. Rebus był ciekaw, czy kiedy się stąd wyniesie, jego upiory podążą za nim. Obawiał się, że pewnie niestety tak. Zresztą tak naprawdę, chyba by mu ich brakowało.

Wszystkie piosenki mówiły o traceniu czegoś i próbach odzyskania tego czegoś. Zmieniają się miejsca, a wraz z nimi ludzie, ich marzenia zaś stają się coraz mniej możliwe do spełnienia. Rebus nie sądził, by było mu przykro żegnać się z Arden Street. Przyszła pora na zmiany.

4

W drodze do pracy Siobhan nie mogła się uwolnić od myśli o Quizmasterze. Nikt nie zadzwonił do niej na komórkę, zastanawiała się więc, czy nie wysłać mu jeszcze jednej wiadomości.

Jemu lub jej. Wiedziała, że w tej sprawie nie wolno niczego pochopnie przesądzać, jednak podświadomie Quizmaster jawił się jej jako osobnik płci męskiej. „Rygory”, „Pieklisko” – wszystko to miało dla niej bardziej męskie brzmienie. No i cały ten pomysł gry rozgrywanej komputerowo... Całość pasowała do jakiegoś pryszczatego wyrostka, nudzącego się w swoim pokoju. Jej pierwsza wiadomość *Mam problem. Musimy porozmawiać. Flipaja* pozostała bez odpowiedzi, postanowiła więc, że dziś skończy z udawaniem. Wyśle do niego e-maila jako ona, poinformuje go, że Flipa zniknęła i poprosi o kontakt. Przez całą noc trzymała komórkę przy łóżku, budząc się co godzinę i sprawdzając, czy nie przespała wiadomości, jednak nic nie przyszło. W końcu o świcie ubrała się i poszła na spacer. Mieszkała koło Broughton Street, w dzielnicy szybko się starzejącej. Nie było tu tak modnie jak na Nowym Mieście, z którym rejon ten sąsiedował, ale przynajmniej blisko centrum. Cała jej uliczka zdawała się obstawiona kontenerami na gruz i wiedziała, że rankiem zjawia się tu furgonetki budowlańców, którzy zaczną z sobą walczyć o każdy skrawek wolnego miejsca do zaparkowania.

Zrobiła sobie przerwę na śniadanie w knajpce otwartej już od świtu: fasolka w sosie na toście i kubek herbaty tak mocnej, że obawiała się, iż może się zatruć taniną. Potem ruszyła dalej w górę na Calton Hill, gdzie zatrzymała się, by spojrzeć na miasto budzące się do kolejnego dnia. W dole za Leith widać było stojący na redzie kontenerowiec. Wzgórza Pentland ciągnące się na południu otulone były warstwą niskich chmur jak ciepłą pierzynką. Na Princess Street nie zaczął się jeszcze poranny ruch – na razie jeździły głównie autobusy i taksówki. Najbardziej lubiła Edynburg o tej właśnie porze, zanim zacznie się codzienny zgiełk. Jednym z górujących budynków był hotel Balmoral. Siobhan przypomniła sobie babskie spotkanie zorganizowane tam przez Gill Templer... i to, co jej Gill wtedy powiedziała, że ma wystarczająco dużo kłopotów. Siobhan była ciekawa, czy chodziło jej o śledztwo, czy o sprawy dotyczące awansu. Problemem związanym z awansem była na pewno konieczność użerania się z Rebusem, który stał się teraz jej kłopotem, a nie Farmera. W biurze mówiło się, że Rebus już jej zdążył podpaść: przyłapano go pijanego w mieszkaniu zaginionej. Nieraz ostrzegano Siobhan, że zbyt się na nim wzoruje i przejmuje od niego zarówno jego zalety, jak i wady. Jej zdaniem wcale tak nie było.

„Nie, oczywiście, że to nieprawda...”

Droga w dół doprowadziła ją do Waterloo Place. Jeśli teraz skręci w prawo, za pięć minut będzie w domu. Jeśli skręci w lewo, za dziesięć minut znajdzie się w pracy. Skręciła w lewo, weszła na Most Północny i poszła dalej.

W komisariacie na St Leonard's panowała cisza. W pomieszczeniach wydziału śledczego panował zaduch: całymi dniami przesiaduje tu zbyt wielu ludzi. Otworzyła okna, nalała kubek słabej kawy i zasiadła przy biurku. Na komputerze Flipy nie było żadnych wiadomości. Postanowiła się nie rozłączać i napisać nową wiadomość. Już po napisaniu kilku pierwszych słów otrzymała komunikat, że ktoś jest na linii. Wiadomość pochodziła od Quizmastera i brzmiała po prostu: *Dzień dobry*. Kliknęła odpowiedź i zapytała: *Skąd wiedziałeś, że tu jestem?* Odpowiedź była natychmiastowa.

Flipaja nie musiałaby pytać. Kim jesteś?

Siobhan pisała tak pospiesznie, że nie miała czasu poprawiać literówek. Jestem policjantką z Edynburga. Prowadzimy śledztwo w sprawie zniknięcia Philippy Balfour. Czekanie na odpowiedź trwało pełną minutę.

Kogo?

Hasło Flipaja – napisała.

Nie ujawniła prawdziwego nazwiska. Takie są reguły.

Reguły gry? – napisała Siobhan.

Tak. Ona była z Edynburga?

Była tu studentką. Czy możemy porozmawiać? Masz mój numer komórkowy.

Czekanie na odpowiedź zdawało się znów ciągnąć w nieskończoność.

Wolę tak.

Okej – napisała Siobhan. Możesz mi coś powiedzieć o Pieklisku?

Musiałabyś zagrać w grę. Podaj mi imię, odezwę się.

Nazywam się Siobhan Clarke. Jestem detektywem w policji okręgu Lothian i Borders.

Wygląda to na twoje prawdziwe nazwisko, Siobhan. Złamałaś jedną z podstawowych reguł.

Jak się to wymawia?

Siobhan poczuła, jak jej krew uderza do głowy.

Tu nie chodzi o grę, Quizmasterze.

Dokładnie o to chodzi. Jak się wymawia twoje imię?

Szii-won.

Nastąpiła dłuższa przerwa i już chciała ponownie wysłać wiadomość, kiedy nadeszła odpowiedź.

Odpowiadam na twoje pytanie. Pieklisko to jeden z poziomów gry.

Flipaja uczestniczyła w grze?

Tak. Rygory to następny poziom.

Co to za gra? Czy mogła wpaść w jakieś tarapaty?

Później.

Siobhan przez chwilę wpatrywała się w to słowo.

Co przez to rozumiesz.

Porozmawiamy później.

Potrzebna mi twoja pomoc.

To naucz się cierpliwości. Mogę się zaraz wyłączyć i nigdy mnie nie znajdziesz. Czy jesteś tego świadoma?

Tak. Siobhan chętnie by walnęła pięścią w ekran.

Później.

Później – odpisała.

I na tym się skończyło. Żadnych dalszych wiadomości. Albo się wyłączył, albo przestał się odzywać, więc pozostało jej tylko czekać. A może jednak nie? Weszła w Internet i sprawdziła hasła Quizmaster i PaganOmerta we wszystkich dostępnych wyszukiwarkach. Hasło Quizmaster dało jej kilkanaście adresów, ale czuła, że żaden z nich nie jest tym, o który jej chodzi. Hasło PaganOmerta nie dało wyniku, choć po rozdzieleniu go na dwa oddzielne słowa [Pagan (ang.) – poganin, pogański.] dostała dosłownie setki adresów, w większości witryn oferujących wierzenia spod znaku New Age. Pod adresem PaganOmerta.com też nie było niczego, zresztą hasło wyglądało bardziej na adres mailowy niż na witrynę internetową. Zrobiła sobie następną kawę. W sali zaczęli się pojawiać koledzy z porannej zmiany. Kilku z nich powiedziało jej: „Cześć”, jednak ona nawet tego nie usłyszała. Przyszło jej do głowy coś nowego. Usiadła przy biurku z książką telefoniczną i książką firm, przysunęła bliżej notes i wzięła do ręki długopis.

Zaczęła od sklepów komputerowych, aż wreszcie ktoś ją skierował do sklepu z komiksami na Moście Południowym. Komiksy kojarzyły się Siobhan z Beano czy Dandy, choć kiedyś spotykała się z chłopakiem, którego obsesja na punkcie Roku 2000 przynajmniej po części przyczyniła się do ich rozstania. Jednak ten konkretny sklep był zupełnie inny. Na półkach leżały tysiące tytułów książek z dziedziny science fiction, T-shirty i mnóstwo innych rzeczy. Przy kontuarze nastoletni sprzedawca spierał się z dwoma uczniakami na temat zalet Johna Constantine’a. Nie miała pojęcia czy Constantine to postać z komiksu, jego autor, czy może rysownik. W końcu chłopcy zauważyli ją, stojącą cierpliwie i czekającą, aż skończą. Emocje z nich opadły i stali się ponownie niezgrabnymi, tyczkowatymi dwunastolatkami – może nie przywykli rozmawiać w obecności kobiet. Pomyślała, że pewnie jeszcze w ogóle nie przywykli do kobiet.

– Słuchałam waszej rozmowy – powiedziała – i pomyślałam, że może będziecie mi mogli pomóc. – Żaden z trójki nie odezwał się ani słowem, a nastoletni sprzedawca potarł sobie policzek ze śladem po młodzieńczym trądziku. – Grywacie czasem w jakieś gry w Internecie?

– Znaczą takie jak na Dreamcast? – Popatrzyła na nich pustym wzrokiem. – No ta konsola Sony... – wyjaśnił sprzedawca.

– Chodzi mi o takie gry, którymi ktoś zarządza i kto e-mailami wysyła grającym zadania do wykonania.

– Znaczy chodzi o gry interaktywne – wyjaśnił jeden z chłopców i popatrzył na pozostałych, szukając u nich potwierdzenia.

– Graliście kiedyś w taką grę? – spytała Siobhan.

– Nie – przyznał sprzedawca. Okazało się, że żaden z pozostałych też nie.

– Tak gdzieś w połowie Leith Walk jest sklep z grami komputerowymi – poinformował sprzedawca. – Specjalizują się w D&D, ale może będą mogli pani pomóc.

– Co to jest D&D?

– *Dungeons and dragons* – lochy i smoki, duchy i czary, i takie tam.

– A ten sklep jakoś się nazywa? – spytała Siobhan.

– U Gandalfa – wykrzyknęli chórem wszyscy trzej.

Sklep U Gandalfa był od zewnątrz niepozorną wąską kłitką wciśniętą między salon tatuażu a frytkarnię. Jeszcze bardziej zniechęcająco wyglądała zamknięta na kłódki stalowa krata zakrywająca okno wystawowe. Kiedy otworzyła drzwi, rozległ się donośny dźwięk dzwonek zawieszonych tuż nad nimi. Najwyraźniej sklep Gandalfa dawniej zajmował się czymś innym – był chyba antykwariatem – a zmiana branży nie pociągnęła za sobą żadnych zmian w wystroju. Na półkach leżały dziesiątki gier planszowych i pionków przypominających nieco surowe, nie pomalowane żołnierzyki, sterty instrukcji i podręczników z pozaginаныmi rogami. Plakaty na ścianach przedstawiały wizje Armagedonu. Pośrodku sali stał składany stolik z czterema krzesłami i rozłożoną na nim planszą do gry. Nie było kontuaru ani kasy. Skrzypnęły drzwi z zaplecza i stanął w nich mężczyzna około pięćdziesiątki. Miał posiwiałą brodę i włosy związane z tyłu w kucyk. Wydatny brzuch opinała koszulka z nazwą zespołu Grateful Dead.

– Wygląda pani strasznie oficjalnie – odezwał się ponurym głosem.

– Wydział śledczy policji – odparła Siobhan, wyciągając legitymację.

– Za czynsz zalegam dopiero osiem tygodni – mruknął. Poczłapał w kierunku stolika, a Siobhan zauważyła, że na bosych stopach ma sandały, po których widać było, że tak jak ich właściciel niejedno już przeszły. Przyjrzał się rozstawieniu pionków na planszy i nagle zapytał: – Ruszała tu pani coś?

– Nie.

– Na pewno?

– Na pewno.

– No to Anthony ma przesrane, przepraszam za mój francuski. – Uśmiechnął się i spojrzał na zegarek. – Będą tu za godzinę.

– Kto taki?

– Gracze. Musiałem wczoraj zamknąć budę, zanim skończyli. Anthony musiał się wkurzyć, kiedy tak próbował wykończyć Willa.

Siobhan spojrzała na planszę. Rozmieszczenie pionków nic jej nie mówiło. Brodacz postukał w karty wyłożone obok planszy.

– Bo wszystko zależy od tego – powiedział ze złością.

– Aha – kiwnęła głową Siobhan. – Tylko obawiam się, że się na tym nie wyznaje.

– Pewno, że nie.

– Co pan chciał przez to powiedzieć?

– Nic takiego.

Jednak Siobhan była niemal pewna, że wie, o co tamtemu chodzi. Najwyraźniej był to prywatny klub, tylko dla mężczyzn, i jak wszystkie takie bastiony męskości był bardzo pod tym względem ortodoksyjny.

– Myślę, że nie będzie mi pan mógł pomóc – powiedziała, rozglądając się dookoła i starając opanować chęć podrapania się. – Interesują mnie sprawy nieco bardziej zaawansowane technicznie.

Słyszając to, wyraźnie się oburzył.

– Znacząco?

– Gry komputerowe z podziałem na role.

– Interaktywne? – Oczy mu rozbłysły. Siobhan skinęła głową, a on znów spojrzał na zegarek, potem poczłapał do drzwi wejściowych i zamknął je na klucz. Już zaczęła się szykować do odparcia ataku, ale on przeszedł obok niej obojętnie i skierował się ku drzwiom na zaplecze. – Tędy – powiedział, a Siobhan, czując się niczym Alicja u wejścia do tunelu, podążyła za nim.

Zeszła kilka schodków w dół i znalazła się w zatęchłym pomieszczeniu bez okien, oświetlonym tylko jedną żarówką umieszczoną pod sufitem. Pod ścianami leżały sterty pudeł z gramami planszowymi i ich akcesoriami, w rogu był zlew, a na suszarce obok stał czajnik i parę kubków. Za to w drugim rogu stał najnowszy model komputera z ogromnym płaskim i cienkim monitorem. Siobhan spytała gospodarza, jak mu na imię.

– Gandalf – odparł pogodnie.

– Pytam o pańskie prawdziwe imię.

– Wiem. Ale tutaj to jest moje prawdziwe imię. – Usiadł przy komputerze i rozpoczął wędrówkę myszką po ekranie, nie przestając przy tym mówić. Dopiero po chwili Siobhan zauważyła, że myszka jest bezprzewodowa. – W sieci jest mnóstwo różnych gier. Gracze łączą się w grupy i walczą albo z programem, albo między sobą. Istnieją już całe ligi. – Stuknęła palcem w ekran. – Widzi pani? To jest na przykład liga Doom. – Spojrzał na nią. – Wie pani, co to Doom?

– Gra komputerowa.

Skinął twierdząco.

– Tyle że w niej gracze współpracują ze sobą w walce ze wspólnym wrogiem.

Przebiegła wzrokiem po liście drużyn.

– Na ile to wszystko jest anonimowe? – spytała.

– To znaczy, co?

– To znaczy, czy poszczególni gracze orientują się, kto jest z nimi w jednej drużynie, a kto w drużynie przeciwnej?

Poskrobał się po brodzie.

– W większości przypadków posługują się wojennymi pseudonimami.

Siobhan pomyślała o Philippie i jej specjalnym haśle e-mailowym.

– I wszyscy mogą mieć po kilka pseudonimów, czy tak?

– O tak – potwierdził. – Można obrać kilkanaście różnych ksywek. Potem spotyka się kogoś, z kim się rozmawiało setki razy, a człowiek nawet nie wie, że już go zna, bo tamten występuje pod nowym imieniem.

– Więc można na swój temat kłamać?

– Jeśli tak chce to pani nazwać. Rozmawiamy o świecie wirtualnym. W tym świecie nic nie jest „prawdziwe” jako takie. Dlatego ludzie mogą sobie wymyślać wirtualne życiorysy, jakie im się żywnie podobają.

– W sprawie, którą się teraz zajmuję, mamy do czynienia z taką grą.

– Jaką grą?

– Tego nie wiem. Ale są w niej poziomy o nazwie Piekliko i Rygory. Wygląda na to, że grą zarządza ktoś imieniem Quizmaster.

Znów podrapał się po brodzie. Założył okulary w stalowej oprawce i gdy odwrócił się do komputera, obraz z ekranu odbijający się w soczewkach skutecznie zasłaniał mu oczy.

– Nie znam – powiedział w końcu.

– Aż czym się to panu kojarzy?

– Wygląda mi to na grę typu RPG, czyli fabularną z podziałem na role, w której Quizmaster wymyśla pytania lub stawia zadania. Może w to grać jedna albo kilkadziesiąt osób.

– Ma pan na myśli drużyny?

Wzruszył ramionami.

– Trudno powiedzieć. W jakiej to witrynie?

– Nie wiem.

Spojrzał na nią.

– Specjalnie dużo to pani nie wie.

– To prawda – przyznała.

Westchnął i spytał:

- A na ile poważna jest ta pani sprawa?
- Zaginęła młoda kobieta, która grała w tę grę.
- I nie jest pani pewna, czy te dwie sprawy się z sobą łączą?
- Właśnie.

Złożył ręce na brzuchu.

- Popytam – powiedział. – Zobaczymy, czy uda nam się znaleźć dla pani tego Quizmastera.
- Gdybym chociaż wiedziała, czego ta gra dotyczy... Kiwnął głową, a ona przypomniała sobie swój dialog z Quizmasterem.

Spytała go o Piekliko, a on jej wtedy powiedział: *Musiałabyś zagrać w grę...*

Wiedziała, że czekanie na przydział służbowego laptopa będzie się ciągnęło w nieskończoność, a nawet jeśli go wybląga, to i tak nie będzie podłączony do sieci. W drodze powrotnej na komisariat zajrzała więc do jednego ze sklepów komputerowych.

- Najtańszy, jaki mamy, kosztuje około dziewięciuset funtów – oświadczyła sprzedawczyni. Siobhan aż się wzdrygnęła.

- A jak długo potrwałoby podłączenie go do sieci?

- To już zależy od pani serwera – odparła sprzedawczyni.

Siobhan podziękowała i wyszła ze sklepu. Wiedziała, że zawsze może użyć komputera Philippy Balfour, jednak z różnych względów nie chciała tego robić. A potem nagle ją olśniło i sięgnęła po komórkę.

- Grant? Cześć, tu Siobhan. Chciałabym cię prosić o przysługę...

Posterunkowy Grant Hood kupił sobie laptopa z tych samych powodów, z jakich kupił też odtwarzacz minidysków, DVD i cyfrową kamerę wideo. Wszystko to był sprzęt, a sprzęt to coś, co się kupuje, żeby zaimponować innym. I rzeczywiście, za każdym razem, kiedy przynosił na St Leonard's nową zabawkę, przez pięć czy dziesięć minut znajdował się w centrum zainteresowania – a ściślej mówiąc nie on, tylko jego sprzęt. Jednocześnie Siobhan zauważyła, że Grant chętnie te cuda techniki pożycza każdemu, kto o to poprosi. Sam ich właściwie nie używał, a jeśli nawet, to nudziły mu się po kilku tygodniach. Może brało się to stąd, że nigdy nie udało mu się doczytać do końca instrukcji obsługi. Instrukcja do kamery cyfrowej była większa i grubsza od samej kamery.

Tak więc Grant z chęcią wyskoczył do domu i wrócił z laptopem. Siobhan uprzedziła go, że będzie go używać do poczty elektronicznej.

- Jest podłączony i gotowy do dzieła – oznajmił Grant.
- Będzie mi potrzebny twój adres e-mailowy i hasło.
- Ale to znaczy, że będziesz miała dostęp do mojej poczty – zasepił się.

- Powiedz mi, kochany, ile e-maili dostajesz tygodniowo?
 - Trochę – odparł wymijająco.
 - No to nic się nie martw. Wgram ci je do pamięci... i obiecuję, że nie będę czytać.
 - To pozostaje jeszcze tylko kwestia mojego honorarium – rzekł Grant.
- Spojrzała na niego zdumiona.
- Twojego czego?
 - Kwestia do dyskusji. – Twarz rozjaśnił mu uśmiech.
- Skrzyżowała ręce na piersiach.
- Więc, czego sobie życzysz?
 - Jeszcze nie wiem. Muszę to przemyśleć...

Uznawszy negocjacje za zakończone, Siobhan wróciła do swojego biurka. Miała kabelek do podłączenia komórki do laptopa, jednak wcześniej sprawdziła, czy w komputerze Philippy nie ma jakichś wiadomości od Quizmastera. Nie było niczego. Podłączenie laptopa do sieci zajęło jej tylko kilka minut. Zaraz potem wysłała wiadomość do Quizmastera i podała mu adres e-mailowy Granta.

Może zdecyduję się zagrać. Kolej na ciebie. Siobhan.

Po wysłaniu wiadomości nie rozłączyła się i pozostała w sieci. Miała świadomość, że za następny rachunek za komórkę przyjdzie jej zapłacić fortunę, ale odpędziła tę myśl od siebie. Jak dotąd ta gra była jej jedynym śladem i nawet jeśli nie miała zamiaru w nią zagrać, to i tak chciała się o niej dowiedzieć czegoś więcej. Widziała jak w drugim końcu sali Grant z grupką kolegów o czymś rozmawiają i co chwilę zerkają w jej stronę. Niech sobie gadają, pomyślała.

Rebus siedział na Gayfield Square, gdzie nic się nie działo. Co oznaczało, że w sali operacyjnej było gwarno jak w ulu, tylko cały ten gwar i ruch nie mógł zagłuszyć narastającego uczucia bezsilności. Pofatygował się do nich sam zastępca komendanta, któremu raport o postępach w śledztwie złożyła zarówno Gill Templer, jak i Bill Pryde. Obojgu dał do zrozumienia, że oczekuje „szybkiego dotarcia do konkluzji”. Ponieważ później oboje powtórzyli to sformułowanie, nie trudno było się domyślić, co im powiedział.

– Detektyw inspektor Rebus? – spytał jeden z mundurowych, stając przy jego biurku. – Szefowa chce z panem porozmawiać.

Gdy do niej wszedł, poleciła mu zamknąć za sobą drzwi. W pomieszczeniu było ciasno, a powietrze przesiąkło wonią ludzkiego potu. W całym komisariacie było krucho z miejscem i Gill musiała dzielić pokój z dwoma detektywami pracującymi na inne zmiany.

– Może powinniśmy zacząć adaptować cele w areszcie – powiedziała, zbierając z biurka kubki i zostając z nimi w ręku, kiedy się okazało, że nie ma ich gdzie odstawić. – Na pewno nie byłoby gorzej niż tu.

– Nie rób sobie kłopotu – odparł Rebus. – Długo tu nie posiedzę.

– Masz rację, nie posiedzisz. – Ustawiła kubki na podłodze i niemal natychmiast przewróciła jeden nogą. Usiadła za biurkiem, nie zwracając uwagi na rozlaną kawę. Rebus został na stojąco, bo tak wynikało z regulaminu, jak i z faktu, że w pokoju nie było ani jednego wolnego krzesła. – Jak ci poszło w Kaskadach?

– Szybko dotarłem do konkluzji.

Wbiła w niego wzrok.

– A mianowicie?

– Że będzie z tego dobry temat dla brukowców.

– Tak. – Kiwnęła głową. – Widziałam coś we wczorajszej popołudniówce.

– Ta baba, która znalazła lalkę – przynajmniej tak twierdzi – wciągnęła w to prasę.

– Przynajmniej tak twierdzi?

W odpowiedzi wzruszył tylko ramionami.

– Myślisz, że może być w to zamieszana?

Wsunął ręce do kieszeni spodni.

– Kto to może wiedzieć?

– Jest ktoś taki, komu się zdaje, że coś wie. Moja przyjaciółka nazwiskiem Jean Burchill.

Myślę, że powinieneś z nią porozmawiać.

– A kto to taki?

– Jest kustoszem w Muzeum Szkocji.

– I twierdzi, że wie coś na temat tej lalki?

– Niewykluczone – Gill zawiesiła głos. – Twierdzi, że to nie pierwszy taki przypadek.

Rebus przyznał się Jean Burchill, że nigdy wcześniej nie był w tym muzeum.

– Parę razy byłem z córką w starym muzeum, kiedy była jeszcze dzieckiem.

Burchill cmoknęła z naganą.

– To muzeum to coś zupełnie innego, panie inspektorze. Świadczy o tym, kim jesteśmy, o naszej historii i kulturze.

– Czyli że nie ma w nim wypchanych zwierząt i totemów?

Uśmiechnęła się.

– O ile mi wiadomo, nie ma.

Opuścili ogromny, wymalowany na biało, hol wejściowy i szli przez sale wystawowe na parterze. Dotarli do niewielkiej windy i w oczekiwaniu na nią, Burchill stanęła do niego twarzą i zmierzwiwszy Rebusa wzrokiem, oświadczyła:

– Gill opowiadała mi o panu. – Potem drzwi windy się otworzyły i oboje weszli do środka.

– Mam nadzieję, że same dobre rzeczy – powiedział, starając się, by zabrzmiało to lekko.

Burchill spojrzała na niego rozbawiona. Mimo swego wieku sprawiała wrażenie młodej dziewczyny, u której nieśmiałość miesza się z pewnością siebie, strach z ciekawością.

– Jedziemy na czwarte piętro – oznajmiła, a kiedy drzwi windy znów się otworzyły, znaleźli się w wąskim korytarzu pełnym przedmiotów i obrazów kojarzących się ze śmiercią. – To jest dział dotyczący wierzeń – poinformowała niemal szeptem. – Czary, gusła, ceremonie pogrzebowe i zbezczeszczone groby.

Jednym z eksponatów był czarny karawan gotów zawieść kolejne zwłoki na jakiś wiktoriański cmentarz, obok zaś leżała ogromna metalowa skrzynia. Rebus nie mógł się powstrzymać, by jej nie dotknąć.

– To grzebalna kasetta – wyjaśniła, a widząc, że nie rozumie, dodała: – Przez pierwsze sześć miesięcy rodziny zmarłych trzymały trumnę ze zwłokami w takiej kasecie, żeby zniechęcić Rezurekcjonistów.

– Chodzi o złodziei zwłok, tak? – Akurat ten fragment historii był mu znany. – Takich jak Burke i Hare, którzy wykradali zwłoki i sprzedawali je uniwersytetowi?

Jean Burchill popatrzyła na niego wzrokiem nauczycielki karcącej uczniaka.

– Burke i Hare nie wykradali żadnych zwłok. Na tym cała sprawa polegała, że sami zabijali, a potem sprzedawali zwłoki do badań anatomicznych.

– Prawda – przyznał Rebus.

Przeszli obok kolejnych pogrzebowych eksponatów, a wśród nich fotografii martwych dzieci, by zatrzymać się przy ostatniej gablocie.

– Oto jesteśmy – oświadczyła Burchill. – Trumny z Arthur's Seat.

Rebus przyjrzał się. W gablocie leżało osiem trumienek. Wszystkie długie na około piętnaście centymetrów, były starannie wykonane i miały wieczka nabite ćwiekami. W trumienkach leżały małe drewniane laleczki, niektóre ubrane, inne nie. Jedna z nich odziana była w strój w zielono-białą kratkę.

– Kibicka Hibsów – mruknął Rebus.

– Kiedyś wszystkie były ubrane, ale na niektórych materiał zbutwiał. – Wskazała fotografię umieszczoną w gablocie. – W tysiąc osiemset trzydziestym szóstym roku dzieci bawiące się na zboczu Arthur's Seat odnalazły ukryte wejście do jaskini. Wewnątrz znajdowało się siedemnaście małych trumienek, z których przetrwało tylko te osiem.

– Musiały się nieźle wystraszyć – stwierdził Rebus, przyglądając się fotografii i próbując zgadnąć, w którym miejscu rozległego wzgórza mogła się znajdować ta jaskinia.

– Przeprowadzone badania wskazują, że trumienki wykonano w latach trzydziestych dziewiętnastego wieku.

O tym samym informowały wywieszki na eksponatach w gablocie. Obok leżały też wycinki z gazet z tamtych czasów, z których wynikało, że lalkami posługiwały się czarownice pragnące

za ich pomocą rzucić urok na wybrane osoby. Inna popularna teoria głosiła, że lalczki były talizmanami na szczęście chowanymi tam przez marynarzy wyruszających w dalekie rejsy.

– Marynarze na Arthur's Seat? – zadumał się Rebus. – To by był dość niezwykły widok.

– Czyżbym wyczuwała animozje w pańskim głosie, inspektorze?

– Nie – potrząsnął głową. – Tylko że to kawał drogi od przystani, nic więcej.

Przyjrzała mu się uważnie, ale z jego twarzy niczego nie można było wyczytać.

Rebus wrócił do oględzin trumienek. Jako bukmacher ustaliby niewielkie przebicie dla chcących obstawić istnienie związku między tymi eksponatami a znaleziskiem z Kaskad. Był pewien, że ten, kto wykonał i podrzucił trumienkę przy wodospadzie, musiał znać te muzealne eksponaty i z jakiegoś powodu postanowił je skopiować. Rozejrzał się po licznych innych dowodach śmiertelności człowieka zebranych tu w postaci eksponatów.

– Pani to wszystko skompletowała?

Przytaknęła.

– Musi to być pani ulubiony temat spotkań towarzyskich.

– Aż by się pan zdziwił – odparła spokojnie. – Bo jak się tak zastanowić, to czy wszyscy nie są ciekawi tego, czego się obawiają?

Zjechali na dół do starej części muzeum i usiedli na ławce wyrzeźbionej w kształcie wielorybich żeber. W sadzawce obok pływały ryby, a oblegające ją dzieci wyciągały ku nim ręce i niemal ich dotykały, by jednak w ostatniej chwili z piskiem i śmiechem cofać ręce i chować za siebie. Jeszcze jeden przykład dziecięcej mieszaniny ciekawości i strachu.

Na końcu ogromnego holu umieszczono potężnych rozmiarów zegar, którego mechanizm zbudowany był ze sztucznych szkieletów i gargulców. Naga postać kobieca zdawała się być opleciona drutem kolczastym. Rebus pomyślał, że są tam pewnie jeszcze inne sceny tortur, tylko z jego miejsca niewidoczne.

– To nasz Zegar Milenijny – wyjaśniła Burchill. Rzuciła okiem na zegarek i dodała: – Za dziesięć minut będzie bił.

– Ciekawy pomysł – powiedział Rebus. – Zegar pełen cierpienia.

Spojrzała na niego.

– Nie każdy to od razu kojarzy...

Rebus wzruszył ramionami i rzekł:

– Tam na górze była wzmianka, że te lalczki wiążą się w jakiś sposób z nazwiskami Burke i Hare, prawda?

Potwierdziła ruchem głowy.

– Pogrzeb ofiar na niby. Uważa się, że mogli sprzedać do prosektorium aż siedemnaście zwłok. To była straszliwa zbrodnia. Bo widzi pan, pokrojone na kawałki ciało nie będzie potem

mogło powstać w dniu sądu ostatecznego.

– Pewno, bo by mu się flaki mogły rozsypać – stwierdził Rebus, ale ona to zignorowała.

– Burke’a i Hare’a aresztowano i postawiono przed sądem. Hare zeznawał przeciwko swojemu kompanowi i tylko William Burke trafił na szubienicę. Jak pan myśli, co się później stało z jego ciałem?

Odpowiedź wydała mu się oczywista.

– Trafił do prosektorium?

– Zgadza się. Jego zwłoki trafiły do Starego Kolegium tą samą drogą, jaką przebyła większość, a może wszystkie jego nieszczęsne ofiary, i zostały wykorzystane na zajęciach z anatomii. Było to w styczniu tysiąc osiemset dwudziestego dziewiątego.

– A pani trumienki pochodzą z początku lat trzydziestych – zamyślił się Rebus. Czy ktoś kiedyś nie przechwalał się przed nim, że ma pamiątkę wykonaną ze skóry Burke’a? – A co się potem stało z jego ciałem?

Jean Burchill spojrzała na niego.

– W Sali Medycyny w muzeum znajduje się notes – powiedziała.

– Oprawiony w jego skórę?

Znów skinęła głową.

– Właściwie to mi go nawet żal. Był człowiekiem wielce pomysłowym i przedsiębiorczym. Zjawił się tu jako migrant podróżujący po kraju w poszukiwaniu pracy, któremu nędza i nadarzająca się sposobność podsunęły pomysł pierwszej transakcji. Jakiś wędrowiec zmarł w tym samym domu, nie spłaciwszy długu. Burke wiedział, że w Edynburgu zaistniał kryzys na wydziale medycyny, który cieszył się wielką popularnością, a który nie dysponował wystarczającą liczbą zwłok do prowadzenia zajęć z anatomii.

– Czy to znaczy, że ludzie żyli wtedy dłużej?

– Wręcz przeciwnie. Ale jak już powiedziałam, pokrojone na kawałki ciało nie mogło trafić do nieba. Studenci mieli do dyspozycji jedynie zwłoki straconych przestępców. I dopiero Ustawa o Anatomii z roku tysiąc osiemset trzydziestego drugiego położyła kres procederowi okradania grobów...

Zamilkła. Zdawało się, że przez chwilę krążyła myślami wokół spływającej krwią przeszłości Edynburga. Ale i Rebus podążył tam za nią myślami. Rezurekcyjniści i portfele z ludzkiej skóry... czary i publiczne egzekucje skazańców. Na czwartym piętrze widział prócz trumienek także liczne przykłady przedmiotów używanych do czarów: specjalnie ułożone kości ludzkie i zasuszone serca zwierząt z wbitymi szpilami.

– Trafiło nam się niezłe miejsce, co?

Miał na myśli Edynburg, ale ona odniosła to do swego miejsca pracy.

– Od dziecięcych lat – powiedziała – czułam się tu lepiej i spokojniej niż gdziekolwiek

w mieście. Pozornie może się wydawać, że grzebię się w ponurych sprawach, ale zapewniam pana, inspektorze, że niewielu zamieniłoby się na to, co pan robi.

– Celny strzał – potwierdził.

– A te trumny mnie interesują, bo tkwi w nich tyle tajemnic. Zasadą pracy w muzeum jest identyfikowanie i klasyfikowanie wszystkiego. Czasami możemy mieć wątpliwości co do daty lub miejsca pochodzenia jakiegoś eksponatu, ale niemal zawsze wiemy na pewno, z czym mamy do czynienia: szkatuła, klucz, pozostałości rzymskiego cmentarzyska i tak dalej.

– Natomiast w przypadku tych trumien nie jesteście pewni, co one oznaczają, czy tak?

– Właśnie. – Uśmiechnęła się. – A dla kustosa to sytuacja szalenie deprymująca.

– Znam to uczucie – potwierdził. – Czuję się tak samo, kiedy nie udaje mi się rozwiązać jakiejś sprawy. Strasznie mnie to wtedy prześladowuje.

– Więc człowiek cały czas o tym myśli... szuka coraz to nowych teorii...

– Albo nowych podejrzanych.

Spojrzeni na siebie z nowym zainteresowaniem.

– Może mamy więcej ze sobą wspólnego, niż myślałam – stwierdziła.

– Bardzo możliwe – przyznał Rebus.

Zegar zaczął bić, choć jego wskazówka nie dotarła jeszcze do dwunastej.

Pod zegarem zebrała się grupka zwiedzających, a dzieci z otwartymi ustami wpatrywały się w ozywające nagle złowrogie postacie. Rozbrzmiały dzwony i odezwała się złowieszczo brzmiąca muzyka organowa. Wahadło miało lustrzany połysk i patrząc na nie, Rebus zdołał dojrzeć, jak przez ułamek sekundy odbija się w nim on sam, jak i cały tłumek gapiów.

– Warto się temu przyjrzeć z bliska – powiedziała Jean.

Podnieśli się z ławki i wmieszali w tłum pod zegarem. Rebusowi zdało się, że rozpoznaje wyrzeźbione w drzewie figurki Hitlera i Stalina. Obaj stali pochyleni i przerzynali coś zębatą piłą.

– A to jeszcze nie wszystko – usłyszał głos Jean Burchill. – Były jeszcze inne lalki, znalezione gdzie indziej.

– Co takiego? – Oderwał wzrok od zegara, by spojrzeć na nią.

– Najlepiej będzie, jak panu wyślę wszystko, co mam na ten temat...

Resztę piątku Rebus spędził na czekaniu na koniec zmiany. Zdjęcia z garażu Davida Costello powieszono na jednej ze ścian sali operacyjnej, dokładając je do wiszącej już mozaiki innych fotografii. Jego MG było w kolorze granatowym i miało otwierany dach. Ekipie nie pozwolono zdjąć odcisków palców z karoserii i opon, co nie powstrzymało ich od dokładnych oględzin. Samochód nie był ostatnio myty. Gdyby było inaczej, na pewno nie omieszkaliby zapytać Costello dlaczego. Udało się zdobyć kolejne fotografie przyjaciół i znajomych Philippy i okazać

je profesorowi Devlinowi. Przemyciono wśród nich kilka zdjęć Davida, co skończyło się tym, że profesor z oburzeniem zarzucił im stosowanie „podstępnych i godnych pogardy chwytów”.

Minęło już pięć dni od tamtej niedzieli i jej zniknięcia. Im się Rebus wnikliwiej przyglądał mozaice na ścianie, tym mniej z niej wynikało. Pomyślał przy tej okazji o Zegarze Milenijnym, z którym było dokładnie odwrotnie: im dłużej mu się przyglądał, tym więcej dostrzegał szczegółów, wypatrując kolejne drobne figurki w tłumie innych. Całość wydała mu się pomnikiem ku czci tych, którzy odeszli w zapomnienie. Na swój sposób ściana w sali operacyjnej – te wszystkie zdjęcia, faksy, wykresy i rysunki – też była jak pomnik. Tyle że w pewnym momencie – i to bez względu na to, jak się sprawa potoczy – pomnik ten zostanie zdjęty i przeniesiony do jakiegoś pudła w archiwum, czas jego życia bowiem określony jest przez czas trwania akcji poszukiwawczej.

Takie pomniki bywały tu już wcześniej – z innymi twarzami i z innymi sprawami, nie zawsze doprowadzając do rozwiązania w pełni zadowalającego. Starał się tym zbytnio nie przejmować, chcąc zachować obiektywizm, tak jak mu to wiecznie kładziono do głowy podczas szkoleń i seminariów, ale nie było to łatwe. Farmer wciąż jeszcze wspominał chłopca ze swego pierwszego tygodnia służby, a i Rebus miał własne wspomnienia tego typu. I dlatego punktualnie z końcem zmiany udał się do domu, wziął prysznic i przebrał się, po czym zasiadł na godzinkę w swym ulubionym fotelu ze szklaneczką Laphroaig w rękę i płytą Rolling Stonesów na gramofonie: *Beggars Banquet*. Szklaneczek miało być zresztą więcej niż jedna. Po obu stronach fotela leżały dywany zrolowane i przeniesione tu z holu i z sypialni. Na podłodze zwalono materace i ustawiono szafy i komody... Pokój przypominał wyglądem skład ze starzyzną. Ale zostawiono mu wolne przejście od drzwi do jego fotela i od fotela do wieży hi-fi, a nic mu więcej nie było potrzebne. Płyta Stonesów skończyła się, kiedy szklaneczka była jeszcze do połowy pełna, nastawił więc następny album, tym razem *Desire* Boba Dylana, a z niego utwór *Hurricane* będący skargą na niesprawiedliwość i fałszywe oskarżenia. Wiedział, że czasami takie rzeczy dzieją się z rozmysłem, czasami przypadkowo. Zetknął się już ze sprawami, w których wszystkie zebrane dowody zdawały się wskazywać na jednego podejrzanego, i wtedy nagle zjawiał się ktoś zupełnie inny i przyznawał się do winy. I jednocześnie w przeszłości – bardzo odległej przeszłości – zdarzyło się raz czy drugi, że jakiegoś kryminalistę świadomie oskarżono o przestępstwo, tylko po to, by się go pozbyć z ulic miasta lub by zaspokoić społeczne oczekiwanie, że kogoś spotka kara. Zdarzały się też sytuacje, że wiadomo było niemal na pewno, kto jest winien, ale nie było szansy na udowodnienie tego przed prokuratorem. Paru gliniarzom zdarzyło się wtedy przeciągnąć strunę.

Wzniósł za nich niemy toast i dojrzał swoje odbicie w szybie okiennej. Wzniósł więc drugi toast za siebie, a potem chwycił słuchawkę i zadzwonił po taksówkę.

Dokąd kurs? Do pubu.

W barze Oxford wdał się w rozmowę z jednym ze stałych bywalców i wspomniał o swej wycieczce do Kaskad.

– Nigdy przedtem nie słyszałem o takiej miejscowości – przyznał.

– Zaraz, moment – zastanowił się jego rozmówca. – Słyszałem już o Kaskadach. Czy nie stamtąd przypadkiem pochodzi Mały Billy?

Mały Billy też był stałym bywalcem baru Oxford. Po sprawdzeniu okazało się, że Małego Billy’ego jeszcze tu dziś nie było, ale dwadzieścia minut później zjawił się, wciąż jeszcze odziany w strój szefa kuchni, którą to funkcję pełnił w pobliskiej restauracji. Ocierając pot z czoła, przecisnął się do baru.

– Już po robocie? – zapytał ktoś ze stojących przy barze.

– Przerwa na szluga – odparł, rzucając okiem na zegarek. – Nalej mi jedno duże, Margaret.

W czasie, gdy barmanka zajęła się nalewaniem, Rebus dopił resztę swojego piwa, wyciągnął ku niej kufel po następne, oświadczając, że płaci za oba.

– Dzięki, John – powiedział Billy, nieprzywykły do takich gestów. – Jak tam twoje bandziory?

– Byłem wczoraj w Kaskadach. To prawda, że stamtąd pochodzisz?

– Jasne, prawda! Tylko, że już wieki tam nie byłem.

– To znaczy, że nie poznałeś Balfourów?

Billy potrząsnął głową.

– To już nie moje czasy. Zanim się tam wprowadzili, ja już byłem w college’u. Dzięki, Margaret. – Uniósł kufel. – Twoje zdrowie, John.

Rebus podał barmance pieniądze, uniósł kufel i patrzył, jak Billy trzema łapczywymi haustami opróżnia połowę zawartości.

– O Jezu, od razu lepiej – westchnął.

– Dużo pracy? – spytał Rebus.

– Nie więcej niż zwykle. To ty się zajmujesz sprawą Balfourów?

– Podobnie jak wszyscy inni gliniarze w całym mieście.

– Jak ci się podobały Kaskady?

– Wielkie nie są.

Billy uśmiechnął się i sięgnął do kieszeni po bibułki i tytoń.

– Pewnie od moich czasów trochę się tam zmieniło.

– Jesteś chłopakiem z Błoni?

– Skąd wiedziałeś? – zapytał Billy, zapalając skręta.

– Udało mi się zgadnąć.

– Górnicze pochodzenie, oto ja. Dziadek całe życie przepracował na dole. Ojciec poszedł w jego ślady, ale go potem zwolnili.

– Ja też się wychowałem w miasteczku górniczym – powiedział Rebus.

– No to wiesz, jakie to uczucie, kiedy likwidują kopalnię. Do tego momentu Błonia były fajne. – Billy przeniósł się myślą do obrazów z młodości.

– Osiedle wciąż tam stoi – rzekł Rebus.

– Tak, wiem, ale to już nie to samo... to już nie może być to samo. Tak jak wtedy, kiedy wszystkie mamy szorowały schodki, żeby były bielsze niż białe. A ojcowie strzygli trawniki. I wszyscy chodzili do wszystkich na ploteczki albo żeby coś pożyczyć. – Przerwał i zamówił jeszcze dwa piwa. – Słyszałem, że ostatnio Kaskady zrobiły się modne wśród yuppies. Dla miejscowych wszystko poza Błoniami było zbyt drogie, żeby mogli coś kupić. Więc młodzi dorastali i wynosili się, tak jak ja. A opowiadali ci o kamieniołomie?

Rebus potrząsnął głową i nastawił uszu.

– To było ze dwa, może trzy lata temu. Powstał pomysł uruchomienia kamieniołomu tuż koło wioski. Miało być mnóstwo pracy dla miejscowych i w ogóle. I wtedy nagle pojawiła się ta petycja. Tyle że nikt na Błoniach jej nie podpisywał ani jej nawet nie widział na oczy. Ale wystarczyła, żeby kamieniołom nie powstał.

– Robota yuppies?

– Wszystko jedno, jak ich tam nazwiesz. W każdym razie mieli dość siły przebicia. Może i pan Balfour też się do tego dołączył. Kaskady... – Potrząsnął ze smutkiem głową. – To już nie to, co kiedyś, John. – Skończył palić skręta i zdusił niedopałek w popielniczce. A potem nagle coś sobie przypomniał. – Zaraz, z ciebie jest przecież miłośnik muzyki, nie?

– Zależy jakiej.

– Lou Reed. Daje występ w Playhouse. Mam dwa wolne bilety.

– Zastanowię się, Billy. Masz czas na jeszcze jedno? – Wskazał głową żalodne resztki w kuflu Billy'ego.

Kucharz spojrział na zegarek.

– Muszę wracać. Może następnym razem, co?

– Następnym razem – skinął Rebus.

– I daj mi znać, co z tymi biletami.

Rebus ponownie przytaknął i patrzył, jak Billy rusza do drzwi i wychodzi na dwór. Lou Reed: oto nazwisko związane ze wspomnieniami. *Walk on the Wild Side* to jeden z jego najukochańszych utworów wszech czasów. I solówka basowa grana przez tego samego faceta, który napisał Grandad dla aktora z serialu *Dad 's Army*. Czasami jest tak, że do głowy ciśnie się zbyt dużo informacji.

– Jeszcze jedno, John? – spytała barmanka.

Potrząsnął głową.

– Słyszę, jak mnie też wzywają na stronę – powiedział, zsuwając się ze stołka i ruszając ku

drzwiom.

5

W sobotę poszedł z Siobhan na mecz. Stadion przy Easter Road był zalany słońcem i biegający gracze rzucali długie cienie na murawę. Rebus złapał się na tym, że przez dłuższą chwilę obserwował ten taniec cieni na trawie z większym zainteresowaniem niż samą grę. Czarne marionetki o kształtach niezbyt przypominających ludzkie, grające w coś zupełnie nie przypominającego piłki nożnej. Trybuny były pełne, tak jak tylko podczas lokalnych derby lub gdy do miasta przyjeżdżała drużyna z Glasgow. Tym razem chodziło o mecz z Rangersami. Siobhan miała kartę wstępu na cały sezon, a Rebus siedział obok niej dzięki temu, że inny posiadacz karty sezonowej nie mógł dzisiaj przyjść.

– Jakiś twój znajomy? – spytał Rebus.

– Wpadliśmy na siebie parę razy w pubie po meczu.

– Sympatyczny?

– Sympatyczny i żonaty – roześmiała się Siobhan. – Kiedy wreszcie przestaniesz mnie swatać?

– Tak tylko spytałem – odparł z uśmiechem. Zauważył, że na stadionie pracują kamery telewizyjne. Oczywiście koncentrują się na graczach na boisku, a publiczność stanowi dla nich tylko rozmazane tło lub sposób na wypełnienie przerw. Jednak Rebusa głównie interesowali kibice. Ciekaw był ich osobistych losów, tego, co robią poza chodzeniem na mecze. Nie był w tym odosobniony. Wokół niego było mnóstwo widzów, którzy zdawali się interesować zachowaniem tłumu w równym stopniu, co grą na boisku. Inaczej niż Siobhan, która zaciskając zbielałe z wysiłku palce na końcach szalika w klubowych barwach, obserwowała grę z takim samym skupieniem, z jakim podchodziła do swej pracy w policji. Wykrzykiwała rady i słowa zachęty pod adresem zawodników i wyklócała się o decyzje sędziego z kibicami siedzącymi obok. Mężczyzna siedzący po drugiej stronie Rebusa zdawał się równie przejęty grą. Był otyły i miał czerwoną twarz zroszoną kropelkami potu. Rebus pomyślał, że wygląda tak, jakby za chwilę miał dostać zawału. Mruczał coś pod nosem z rosnącym zaciętrzewieniem. W pewnej chwili zaczął wściekle warczeć, potem nagle zdał sobie z tego sprawę, zamilkł i popatrzył na boki z wyrazem zawstydzenia na twarzy. Po chwili cały cykl zaczął się od nowa.

– Spokojnie... mówię ci, spokojnie synku – mruczał właśnie pod adresem jednego z graczy.

– Masz jakieś nowości w sprawie? – spytał Rebus, zwracając głowę ku Siobhan.

– Dziś mam wolne, John – odparła, nie odrywając wzroku od boiska.

– Wiem, tak tylko spytałem...

– Teraz spokojnie... i do przodu, synku, ruszaj do przodu. – Grubas kuczowo uchwycił się oparcia krzeselka przed nim.

– Możemy po meczu wstąpić na drinka – zaproponowała Siobhan.

– Spróbuj mnie od tego powstrzymać – odparł Rebus.

– Tak jest, synku, i o to chodzi! – Głos grubasa wzbierał niczym fala morska.

Rebus wyciągnął kolejnego papierosa. Słonecznie może jest, pomyślał, ale na pewno nie za ciepło. Znad Morza Północnego wiał zimny wiatr i w jego porywach nawet mewy nad ich głowami musiały walczyć, by się nie dać porwać.

– I dawaj teraz! – Grubas już wrzeszczał. – No, dawaj, wal w tego tłustego szkopskiego drania! – A potem popatrzył na boki i uśmiechnął się przeprasząco.

Rebusowi udało się w końcu zapalić papierosa i teraz wyciągnął paczkę w stronę grubasa, jednak ten przecząco potrząsnął głową.

– Wie pan, jak krzyczę, to mi trochę emocje opadają – powiedział.

– Niech panu opadają na zdrowie, kolego – odparł Rebus, a potem wszystko utonęło w jednym potężnym wrzasku, jaki podniosła Siobhan wraz z tysiącem innych na znak jednomyślnego i w pełni obiektywnego protestu wobec jakiegoś przewinienia na Hibsach, którego Rebus – podobnie jak sędzia na boisku – w ogóle nie zauważył.

Jej stały pub pękał w szwach, a wciąż przybywali następni. Rebus zerknął do środka i zaproponował, żeby poszli gdzie indziej.

– To tylko pięć minut stąd, a będzie dużo spokojniej.

– No dobrze – powiedziała, jednak w jej tonie słychać było zawód. Drink po meczu wspomagał analizę przebiegu gry, a wiedziała, że na niego nie ma co liczyć.

– I zdejmij już ten szalik – zarządził. – Nigdy nie wiadomo, kiedy się możesz nadziać na niebieskich.

– Nie tutaj – powiedziała z przekonaniem i pewnie miała rację.

Policja licznie otaczająca stadion ze znajomością rzeczy kierowała tłumy kibiców Hibsów wzdłuż Easter Road, a wszystkich przyjezdnych z Glasgow wysyłała pod górę, w stronę dworca autobusowego i kolejowego. Siobhan podążyła za Rebusem, który przeciął Lorne Street i przedostał się na Leith Walk, skąd ostatni wymęczeni zakupami przechodnie rozchodzili się już do domów. Pub, o który mu chodziło, był dość niepozornym lokalem ze stożkowatymi oknami i ciemnoczerwonym dywanem upstrzonym licznymi plamami i śladami po papierosach. Z telewizora dobywały się wybuchy entuzjazmu publiczności oglądającej jakiś teleturniej, z rogu sali zaś słychać było serię przekleństw, jakimi obrzucali się dwaj wiekowi kompani od kieliszka.

– Ty to rzeczywiście wiesz, jak uhonorować damę – zachnęła się Siobhan.

– A dama ma ochotę na bacardi breezer? A może na Moskiewskiego Muła?

– Dużego pilsa – odpowiedziała Siobhan wyzywającym tonem.

Dla siebie Rebus zamówił duże eighty i małą słodową whisky. Kiedy usiedli przy stoliku, Siobhan pomyślała, że Rebus zna wszystkie najgorsze puby w całym mieście.

– Dzięki – kiwnął głową, a w jego tonie nie było śladu ironii. – No to – uniósł swoją szklanicę – co nowego słyhać w komputerze Philippy Balfour?

– Okazuje się, że uczestniczyła w jakiejś grze. Niewiele o niej wiem. Grę prowadzi ktoś o pseudonimie Quizmaster. Nawiązałam z nim kontakt.

– No i co?

– No i – westchnęła – czekam, żeby się ze mną skontaktował. Jak dotąd wysłałam do niego kilkanaście maili, ale bez rezultatu.

– Nie ma jakiegoś innego sposobu, żeby go znaleźć?

– Ja takiego sposobu nie znam.

– A co to za gra?

– Nie mam zielonego pojęcia – przyznała, zabierając się do swego piwa. – Gill zaczyna już przebąkiwać, że to ślepa uliczka. Kazała mi zamiast tego zająć się przesłuchiwaniami studentów.

– To tylko dlatego, że sama byłaś na studiach.

– Wiem. Jeśli można się do czegoś przyczepić u Gill to do tego, że bywa nieco zbyt dosłowna.

– Ona się bardzo dobrze wyraża o tobie – powiedział Rebus uroczyście i zarobił kuksańca w ramię.

Siobhan uniosła kufel, a jej twarz nagle spoważniała.

– Zaproponowała mi stanowisko rzeczniczki – oznajmiła.

– Tak myślałem. I co, przyjmiesz je? – spytał, a ona potrząsnęła głową przecząco. – Z powodu tego, co się przydarzyło Ellen Wylie?

– Właściwie to nie.

– No to dlaczego?

Wzruszyła ramionami.

– Jeszcze chyba nie jestem gotowa.

– Na pewno jesteś gotowa – rzekł z przekonaniem Rebus.

– Ale to już nie będzie wtedy prawdziwa robota policyjna, prawda?

– Ale za to będzie to krok w górę.

Wpatrzyła się w zawartość kufła.

– To, to ja wiem – powiedziała.

– A kto pełni tę funkcję teraz?

– Chyba sama Gill – odparła, i po chwili dodała: – Odnajdziemy chyba ciało Flipy, jak myślisz?

– Może.

Spojrzała na niego.

– Sądysz, że ona wciąż żyje?

– Nie – odpowiedział posepnie. – Nie sędzę.

Tego wieczoru Rebus odwiedził jeszcze kilka innych barów, początkowo krążąc w pobliżu domu, jednak później, po wyjściu od Swany's złapał taksówkę i kazał się zawieść na Young Street. Próbował zapalić, ale taksówkarz poprosił go, by tego nie robił, i dopiero wtedy zauważył tabliczkę PROSZĘ NIE PALIĆ.

Niezły ze mnie detektyw, powiedział do siebie w duchu. Starał się teraz jak najwięcej czasu spędzać poza domem. Ekipa dokonująca wymiany instalacji elektrycznej przerwała pracę w piątek o piątej, zostawiając zerwaną do połowy klepkę podłogową i liczne zwoje przewodów. Zerwano również listwy maskujące ze ścian, odsłaniając gołe mury. Elektrycy pozostawili u niego wszystkie swoje narzędzia, żartując, że „tu będą bezpieczne”, co miało być aluzją do jego zawodu. Powiedzieli, że może wpadną jeszcze w sobotę rano, ale nie wpadli. Tak więc na weekend jego mieszkanie zostało w stanie niemal nie nadającym się do użytku, z połową podłogi zerwaną lub ruszającą się pod stopami i ze zwojami kabli, o które wiecznIE się potykał. Śniadanie zjadł w pobliskiej kafejce, lunch w pubie, a teraz marzyła mu się na kolację porcja haggis [szkocka potrawa z podróbek baranich, gotowanych w owczym żołądku.] uzupełniona kawałkiem wędzonej kielbasy. Jednak najpierw należało zaliczyć bar Oxford.

Wcześniej spytał Siobhan o jej plany.

– Gorąca kąpiel i dobra książka – odparła. Wiedział jednak, że kłamie, ponieważ Grant Hood nie omieszkał poinformować połowy komisariatu o tym, że się z nią umówił na wieczór, co miało stanowić honorarium za pożyczenie laptopa. Jednak nie zdradził się przed nią, że coś wie. Uznał, że jeśli nie chce się przyznać, to jej sprawa. Wiedząc jednak, co się święci, nawet nie próbował jej namawiać na kolację u Hindusa czy na kino. Dopiero kiedy się rozstawali przed pubem na Leith Walk przyszło mu do głowy, że może to jednak nieelegancko z jego strony. Byli parą ludzi nie mających żadnych konkretnych planów na sobotni wieczór, więc czy nie byłoby rzeczą naturalną, że jej zaproponuje, by wspólnie go spędzili? I czy nie poczuje się urażona, jeśli tego nie zrobi?

– Życie jest zbyt krótkie – zamruczał pod nosem i zapłacił za taksówkę. Myśl ta towarzyszyła mu jeszcze, kiedy wszedł do środka i zobaczył znajome twarze. Poprosił barmana Harry'ego o książkę telefoniczną.

– Weź se sam – odparł Harry, usłużny jak zwykle.

Rebus zaczął przerzucać stronicę, jednak nie mógł znaleźć szukanego numeru. A potem przypomniał sobie, że przecież dała mu swoją wizytówkę. Znalazł ją w kieszeni. Dopisała na niej ołówkiem numer domowy. Wyszedł na zewnątrz i uruchomił swoją komórkę. Na palcu nie miała obrączki, tego był pewien. Telefon dzwonił i dzwonił. Sobota wieczór, pewnie gdzieś wyszła...

– Halo?

– Pani Burchill? Mówi John Rebus. Przepraszam, że niepokoję w sobotni wieczór.

– Nie szkodzi. Czy coś się stało?

– Nie, nie, nic... Pomyślałem tylko, że może moglibyśmy się spotkać. Bardzo mnie pani zaciekawiła tą tajemniczą uwagą o innych lalkach.

Zaśmiała się.

– I chce się pan teraz ze mną spotkać?

– Nie, ale pomyślałem, że może jutro. Wiem, że to dzień wypoczynku i tak dalej, ale może udałoby się nam połączyć przyjemne z pożytecznym. – Aż się sam skrzywił na dźwięk tych słów. Powinien to sobie wszystko wcześniej przemyśleć i przygotować – co jej powie i jak.

– I jak pan to sobie wyobraża? – spytała tonem, w którym usłyszał rozbawienie. W tle słychać było muzykę: jakaś klasyka.

– Może lunch?

– Gdzie?

No rzeczywiście, gdzie? Już nie pamiętał, kiedy ostatni raz zapraszał kogoś na lunch. Chciał, żeby miejsce zrobiło na niej wrażenie, żeby to było gdzieś, gdzie będzie...

– Zgaduję – powiedziała – że w niedziele lubi pan wyskoczyć na smażeninę. – Było niemal tak, jakby wyczuła jego zmieszanie i próbowała mu pomóc.

– Tak łatwo mnie przejrzeć?

– Wręcz przeciwnie. Jest pan do szpiku kości wzorem szkockiego samca. Ja natomiast lubię coś prostego, świeżego i zdrowego.

Rebus roześmiał się.

– Czyli na pierwszy rzut oka widać brak zgodności.

– Niekoniecznie. Gdzie pan mieszka?

– Marchmont.

– No to zjedzmy lunch w Fenwick's – oświadczyła. – Idealnie pasuje.

– Wspaniale – odpowiedział. – Wpół do pierwszej?

– Już się cieszę. Dobranoc, panie inspektorze.

– Mam nadzieję, że nie będzie mnie pani przez cały lunch męczyła tym inspektorem.

Zdało mu się, że w ciszy, jaka nastąpiła, słyszy, jak się uśmiecha.

– Do zobaczenia jutro, John.

– Życzę miłej reszty wie... – Nie dokończył zdania, bo odłożyła już słuchawkę.

Wrócił do pubu i znów wziął do ręki książkę telefoniczną. Fenwick's na Salisbury Place. Niecałe dwadzieścia minut spacerkiem od jego mieszkania. Musiał tamtędy przejeżdżać dziesiątki razy. Pięćdziesiąt metrów od tego miejsca Sammy miała wypadek, pięćdziesiąt metrów dalej morderca próbował go ugodzić nożem. Jutro postara się, by się od tych wspomnień uwolnić.

– Jeszcze raz to samo, Harry – powiedział, wspinając się na palce.

– Poczekaj na swoją kolej, jak wszyscy – burknął Harry, ale Rebus wcale się tym nie przejął.

Nic a nic go to nie obeszło.

Przyszedł dziesięć minut za wcześnie.

Ona wkroczyła do środka pięć minut po nim, czyli też była przed czasem.

– Ładnie tu – powiedział na przywitanie.

– Prawda?

Miała na sobie dwuczęściowy czarny kostium i popielatą jedwabną bluzkę. Tuż nad lewą piersią połyskiwała krwistoczerwona broszka.

– Mieszkasz gdzieś w pobliżu? – zapytał.

– Niezupełnie. W Portobello.

– Ależ to szmat drogi stąd! Trzeba było powiedzieć.

– Dlaczego? Lubię tu przychodzić.

– Często jadasz na mieście? – Wciąż próbował się oswoić z myślą, że chciało jej się przyjechać na lunch aż do Edynburga.

– Kiedy tylko mam okazję. Jedną z dodatkowych zalet mojego doktoratu jest to, że kiedy dzwonię w sprawie rezerwacji, to proszę o stół dla „doktor Burchill”.

Rebus rozejrzał się wokół. Poza nimi, zajęty był tylko jeszcze jeden stół w przedniej części sali. Wyglądało to na jakąś rodzinną fetę: dwoje dzieci i sześcioro dorosłych.

– Dziś nie zrobiłam rezerwacji. Tu w porze lunchu nigdy nie ma tłumów. No to co zamawiamy?

Myślał początkowo o przystawce i drugim daniu, jednak ona zdawała się być przekonana, że naprawdę ma ochotę na smażeninę, więc ją zamówił. Ona zdecydowała się na zupę i kaczkę. Uzgodnili, że jednocześnie zamówią wino i kawę.

– Prawdziwy brunch [(ang.) – połączenie późnego śniadania z lunchem] – rzekła. – Typowo niedzielny.

Pomyślał, że istotnie. Powiedziała mu także, że jeśli chce, może palić, jednak on nie skorzystał. Przy rodzinnym stole troje paliło, ale na razie nie czuł jeszcze przymusu.

Zaczęli rozmowę od Gill Templer, znajdując w niej wspólny lemat. Pytania Jean były dociekliwe.

– Czasami trochę ją ponosi, nie uważasz?

– Robi to, co do niej należy.

– Między wami coś kiedyś było, prawda?

Otworzył szeroko oczy.

– Ona ci to powiedziała?

– Nie. – Jean zawiesiła głos i wygładziła sobie serwetkę na kolanach. – Ale domyśliłam się

z tego, jak kiedyś o tobie opowiadała.

– Kiedyś?

Uśmiechnęła się.

– W końcu to było dawno temu, prawda?

– W czasach prehistorycznych – potwierdził niechętnie. – A ty?

– Mam nadzieję, że ja nie należę do prehistorii.

Uśmiechnął się.

– Chodziło mi o to, żebyś mi coś opowiedziała o sobie.

– Urodziłam się w Elgin. Oboje rodzice byli nauczycielami. Skończyłam uniwersytet w Glasgow. Grzebałam się w archeologii. Potem zrobiłam doktorat na uniwersytecie w Durham, a następnie studia podyplomowe za granicą – Stany i Kanada – ze specjalizacją w dziewiętnastowiecznych migracjach. Zaczęłam pracę jako kustosz w muzeum w Vancouver, potem, kiedy nadarzyła się okazja, wróciłam tutaj. Przez prawie dwanaście lat pracowałam w starym muzeum, teraz przeszłam do nowego. – Wzruszyła ramionami – Mniej więcej tyle.

– Skąd znasz Gill?

– Przez kilka lat w szkole byliśmy najlepszymi przyjaciółkami. Potem na jakiś czas straciłyśmy kontakt...

– Nigdy nie byłaś mężatką?

Wbiła wzrok w talerz.

– Byłam. Krótko, w Kanadzie. Zmarł młodo.

– Przykro mi.

– Bill zapił się na śmierć, choć jego rodzina nigdy w to nie uwierzyła. Myślę, że głównie dlatego wróciłam do Szkocji.

– Dlatego że zmarł?

Potrząsnęła głową.

– Gdybym tam została, musiałabym uczestniczyć w tworzeniu mitu, który oni postanowili zbudować.

Rebus pomyślał, że chyba wie, o co jej chodzi.

– A ty masz córkę, prawda? – odezwała się nagle, wyraźnie chcąc zmienić temat.

– Samanthę, tak... Ma już dwadzieścia parę lat.

Jean roześmiała się.

– Ale nie wiesz dokładnie ile?

Starał się uśmiechnąć.

– To nie to. Miałem zamiar powiedzieć, że jest inwalidką. Ale to cię pewnie specjalnie nie interesuje.

– Och... – Zamilkła na chwilę, a potem spojrzała na niego i dodała: – Ale musi to być ważne

dla ciebie, bo inaczej nie byłaby to pierwsza myśl, jaka ci w związku z nią przychodzi do głowy.

– To prawda. Ale jej stan się polepsza i już zaczyna chodzić. Z pomocą takiego balkonika, jak używają starzy ludzie.

– No to chwała Bogu – powiedziała.

Kiwnął głową. Nie miał ochoty opowiadać jej całej historii, a i ona nie paliła się, by go wypytywać.

– Jak zupa?

– Bardzo dobra.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu, potem zaczęła go rozpytywać o pracę w policji. W jej pytaniach znów była nie obowiązująca ciekawość, jaką okazuje się komuś nowo poznanemu. Zazwyczaj Rebus czuł się skrepowany, kiedy musiał opowiadać o swojej pracy. Nigdy nie był pewien, czy ludzi to naprawdę interesuje. A nawet jeśli tak, to był przekonany, że nie chcą słuchać o tych wszystkich brutalnych i odrażających szczegółach związanych z samobójstwami i krojeniem zwłok, o banalnych niesnaskach i chwilach załamań, które prowadzą ludzi za kratki. O domowych kłótniach i zabójstwach kuchennymi nożami, o sobotnich wieczorach, które wymknęły się spod kontroli, o zawodowych bandziorach i narkomanach. Zawsze bał się, że kiedy zacznie o tym wszystkim mówić, brzmieniem głosu zdradzi swą pasję do zawodu. Mógł mieć bowiem wiele wątpliwości co do metod i ewentualnych rezultatów, natomiast sama praca w policji wciąż dostarczała mu dreszczyku emocji. Czuł, że ktoś taki jak Jean Burchill zdoła przebić się przez zewnętrzną skorupę, zajrzeć głębiej do środka i znaleźć tam dużo więcej. I zdać sobie sprawę, że jego umiłowanie do tej pracy jest w rzeczywistości przejawem chęci grzebania się w cudzych sprawach i wyrazem jego tchórzostwa. Wgryzał się w szczegóły życia innych ludzi i w ich problemy po to, by nie musieć się zastanawiać nad własnymi wadami i klęskami.

– Masz zamiar to wreszcie zapalić? – zapytała Jean z rozbawieniem w głosie.

Spojrzał w dół i stwierdził, że trzyma nie zapalonego papierosa. Roześmiał się, wyciągnął z kieszeni paczkę i wsunął do niej papierosa.

– Naprawdę mi to nie przeszkadza – zapewniła go.

– Wyciągnąłem go zupełnie odruchowo – powiedział, a potem, by pokryć zmieszanie, dodał: – Miałś mi opowiedzieć o tych innych lalkach.

– Po jedzeniu – oświadczyła zdecydowanym tonem.

Jednak po jedzeniu poprosiła o rachunek i stanęło na tym, że zapłacą go po połowie. Potem wyszli na dwór, gdzie popołudniowe słońce starało się wszelkimi siłami zwalczyć panujący wcześniej chłód.

– Przejdźmy się na spacer – zaproponowała, wsuwając mu rękę pod ramię.

– Dokąd?

– Na Błonia? – zaproponowała i tak zrobili.

Promienie słoneczne zwabiły wielu ludzi na okolone drzewami trawiaste place i boiska. W powietrzu fruwały frisbee, a biegacze i rowerzyści przemykali obok. Młodzi chłopcy pozdejmowali T-shirty i leżeli na trawie, obłożwszy się puszkami z cydrem. Jean zaczęła mu opowiadać historię tego miejsca.

– O ile wiem, był tu kiedyś staw – mówiła. – Natomiast na pewno w Bruntsfield mieściły się kamieniołomy, a Marchmont było farmą.

– Teraz bardziej to przypomina zoo – wtrącił.

Spojrzała na niego z ukosa.

– Bardzo się starasz popisywać swoim cynizmem, prawda?

– Jeśli go nie ćwiczę, to rdzewieje.

Doszli do Jawbone Walk i tam postanowiła, że przejdą na drugą stronę i ruszą w górę Marchmont Road.

– To gdzie ty dokładnie mieszkasz? – spytała.

– Na Arden Street, boczna od Warrender Park Road.

– To niedaleko stąd.

Uśmiechnął się, próbując uchwycić jej wzrok.

– Czy to znaczy, że przymawiasz się, żeby cię zaprosić?

– Jeśli mam być szczerą, to tak.

– Mam straszliwy bałagan.

– Byłabym okropnie zawiedziona, gdyby było inaczej. Ale mój pęcherz mówi mi, że nie powinnam wybrzydzać...

Gorączkowo próbował choć trochę uporządkować pokój, kiedy usłyszał szum spuszczonej wody w łazience. Rozejrzał się i pokręcił głową. Jego starania były jak ścieranie kurzów po wybuchu bomby i w równym stopniu bezowocne. Machnął więc ręką i poszedł do kuchni, by nasypać kawy do dwóch kubków. Mleko w lodówce było z czwartku, ale wciąż nadawało się do użytku. Jean stanęła w drzwiach i obserwowała go.

– Dzięki Bogu mam na ten cały bałagan wytłumaczenie – powiedział.

– Parę lat temu u mnie też zmieniali instalację. – Kiwnęła głową ze zrozumieniem. – Myślałam wtedy o sprzedaży. – Uniosła głowę i poczuła, że trafiła w dziesiątkę.

– Idzie na sprzedaż – przyznał.

– Masz jakiś konkretny powód?

Powinien powiedzieć, że z powodu upiórów przeszłości, jednak wzruszył jedynie ramionami.

– Chcesz zacząć od nowa? – domyśliła się.

– Może. Cukier? – Podał jej kubek z już dolanym mlekiem.

– Mleka też nie – pokręciła głową.

– O Boże, przepraszam. – Spróbował zabrać jej kubek, ale mu nie dała.

– Może być tak, jak jest – powiedziała. Potem się roześmiała i dodała: – Niezły z ciebie detektyw. Dopiero co przy tobie wypiliśmy dwie kawy w restauracji.

– I w ogóle nie zwróciłem uwagi. – Pokiwał głową.

– Jest w pokoju jakieś miejsce, gdzie da się usiąść? Teraz, jak się już troszkę lepiej poznaliśmy, pora pokazać ci te lalki.

Zrobił miejsce na stole, a ona zdjęła torebkę z ramienia i wyjęła z niej folder.

– Chcę cię uprzedzić – powiedziała – że to, co usłyszysz, może ci się wydać nieco dziwaczne, mam więc nadzieję, że podejdziesz do tego bez uprzedzeń. Może właśnie dlatego chciałam cię najpierw troszkę lepiej poznać...

Podawała mu folder, a on wyciągnął z niego kilka wycinków prasowych. Słuchając jej, zaczął je rozkładać na stole.

– Po raz pierwszy usłyszałam o nich, kiedy ktoś napisał list do muzeum. To było parę lat temu. – Uniósł list do góry, a ona kiwnęła głową. – Niejaka pani Andersen z Perth usłyszała gdzieś o trumienkach z Arthur's Seat i uznała za swój obowiązek poinformować nas, że coś podobnego znajduje się też w pobliżu Huntingtower.

Wycinek przyczepiony do listu pochodził z „Couriera”, był zatytułowany „Tajemnicze znalezisko w pobliżu miejscowego hotelu” i opisywał znalezienie drewnianego pudełka w kształcie trumny i leżącego obok kawałka materiału. Pudełko znalazł ktoś pod liśćmi w niewielkim zagajniku, podczas spaceru z psem. Znalazca zaniósł pudełko do hotelu, myśląc, że to może być zabawka, jednak nikt się do niego nie przyznał. Było to w 1995 roku.

– Ta kobieta, pani Anderson, interesowała się szczególnie miejscową historią i dlatego zachowała ten wycinek.

– Ale lalki nie było?

Jean potrząsnęła głową.

– Może wywlokło ją jakieś zwierzę – stwierdziła.

– Może – zgodził się Rebus. Rzucił okiem na drugi wycinek. Ten pochodził z 1982 roku, z wieczornej gazety wydawanej w Glasgow. Jego tytuł głosił: „Kościół potępia bluźniercze wygłupy”.

– O tym też dowiedziałam się od pani Anderson – wyjaśniła Jean. – Trumienkę znaleziono tym razem na przykościelnym cmentarzu, tuż obok jednego z grobów. W środku była laleczka, a właściwie zwykły drewniany kołek przewiązany wstążeczką.

Rebus przyjrzał się fotografii zamieszczonej w gazecie.

– Wygląda to jak kołek wycięty z drewna balsowego, czy czegoś w tym rodzaju – powiedział w zamyśleniu.

Kiwnęła głową.

– Pomyślałam sobie wtedy, że to niezwykle zbieg okoliczności, i od tamtej pory już sama

szukałam kolejnych przypadków.

Rozłożył dwa ostatnie wycinki.

– I jak widzę, znalazłaś.

– Jeżdżę dużo po kraju z prelekcjami z ramienia muzeum. Za każdym razem pytam, czy ktoś słyszał o czymś podobnym.

– I udało się?

– Jak dotąd doniesiono mi o dwóch takich przypadkach. W tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym siódmym w Nairn i w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym drugim w Dunfermline.

Wycinki wspominały o dwóch tajemniczych znaleziskach. Trumienkę w Nairn znaleziono na plaży, w Dunfermline w miejscowym wąwozie. W jednej była laleczka, w drugiej nie. Również i w tym przypadku mogło ją zabrać jakieś zwierzę albo dziecko.

– No i co o tym wszystkim sądzisz? – zapytał.

– Czy to nie ja powinnam o to zapytać? – odparła. Rebus nie odpowiedział i wrócił do wycinków. – Myślisz, że to się może wiązać z tym, co teraz znaleziono w Kaskadach?

– Nie wiem. – Spojrzał na nią. – Ale spróbujmy się dowiedzieć.

Niedzielny ruch trochę ich spowolnił, choć większość samochodów zmierzała w kierunku przeciwnym, wracając już do miasta po dniu na łonie natury.

– Myślisz, że może ich być więcej? – zapytał.

– Możliwe. Tyle, że lokalne koła miłośników historii są wyczulone na takie osobliwości, a w dodatku zwykle odznaczają się dobrą i długą pamięcią. Całe to towarzystwo zna się wzajemnie i wszyscy wokół wiedzą, że się tym interesuję. – Oparła głowę o szybę w oknie. – Więc myślę, że coś bym usłyszała.

Kiedy minęli tablicę z napisem witającym przyjezdnych w Kaskadach, Jean uśmiechnęła się.

– Miejscowość bliźniacza z Angoisse – powiedziała.

– Słucham?

– Mówię o tej tablicy. Wynikało z niej, że Kaskady są wioską bliźniaczą z miejscowością o nazwie Angoisse. To musi być gdzieś we Francji.

– Skąd wiesz?

– Obok nazwy była mała flaga francuska.

– No to rzeczywiście.

– Ale również samo słowo jest francuskie. *Angoisse* po francusku znaczy „udręka”. Wyobraź sobie, że mieszkasz w miejscowości o nazwie Udręka...

Po obu stronach drogi stały zaparkowane samochody, co powodowało, że była niemal zakorkowana. Rebus pomyślał, że pewnie nie znajdzie tu miejsca, wjechał więc w boczną dróżkę

i zaparkował. Idąc w kierunku chaty Bev Dodds, natknęli się na dwóch mieszkańców zajętych myciem samochodów. Obaj mężczyźni byli w średnim wieku, ubrani w sztruksowe spodnie i sweterki wycięte pod szyją w serek. Poruszali się w tym ubraniu jak w obowiązkowym mundurze. Rebus był gotów się założyć, że w ciągu tygodnia na chwilę nawet nie zdejmują z siebie garnituru i krawata. Przyszły mu na myśl wspominki Małego Billy'ego o matkach szorujących do białości schody przed domami. Miał przed sobą ich współczesny odpowiednik. Na ich widok jeden z mężczyzn zawołał: „Cześć”, drugi powiedział: „Dzień dobry”. Rebus kiwnął głową i zapukał do drzwi Bev Dodds.

– Podejrzewam, że poszła na swój obowiązkowy spacer – powiedział jeden z mężczyzn.

– Ale długo to nie potrwa – dodał drugi.

Żaden z nich ani na chwilę nie przerwał przy tym pucowania swego samochodu. Przez moment Rebus pomyślał, że może ze sobą rywalizują. Wprawdzie nie okazywali specjalnego pośpiechu, ale wyraźnie czuło się u nich atmosferę współzawodnictwa i wielkie skupienie.

– Chcą państwo kupić ceramikę? – zapytał pierwszy, zabierając się do czyszczenia kratki z przodu swego BMW.

– Nie, chciałem tylko rzucić okiem na tę jej lalkę – odparł Rebus i włożył ręce do kieszeni.

– Chyba się panu nie uda. Z tego, co wiem, podpisała kontrakt na wyłączność z pańską konkurencją.

– Jestem z policji – rzucił Rebus.

Właściciel rovera skwitował pomyłkę sąsiada parsknięciem.

– No, to co innego – powiedział, śmiejąc się.

– Dziwna historia, prawda? – zapytał Rebus tonem zachęcającym do podjęcia rozmowy.

– Takich tu nie brakuje.

– Jak to?

Właściciel BMW wycisnął wodę z gąbki.

– Najpierw, parę miesięcy temu, mieliśmy tu serię kradzieży, a potem ktoś wysmarował drzwi do kościoła.

– To dzieciaki z osiedla – wtrącił lekceważąco właściciel rovera.

– Może i tak – zgodził się jego sąsiad. – Ale dziwne, że przedtem nigdy nic takiego się tu nie działo. A potem jeszcze zniknięcie tej dziewczyny od Balfourów...

– Czy któryś z panów zna tę rodzinę?

– Czasami ich widuję – przyznał właściciel rovera.

– Dwa miesiące temu urządzili proszoną herbatkę. Otworzyli dom w ramach jakiejś akcji charytatywnej, już nie pamiętam jakiej. Oboje wydawali się bardzo sympatyczni: John i Jacqueline. – Wymawiając te imiona, właściciel BMW wymownie spojrzął na swego sąsiada, a Rebus pomyślał, że to kolejny ruch w grze, jaką stało się ich życie.

– A ich córka? – spytał.

– Zawsze trzymała się na dystans – dorzucił pośpiesznie właściciel rovera, który nie miał zamiaru pozwolić wyrzucić się poza nawias. – Trudno było nawiązać z nią kontakt i porozmawiać.

– A ja z nią rozmawiałem – oświadczył rywal od BMW. – Kiedyś długo gawędziliśmy na temat jej studiów.

Właściciel rovera obrzucił go wściekłym spojrzeniem. Rebus oczyma duszy widział już szykujący się pojedynek: rzut mokrą irchą na dwadzieścia kroków.

– A pani Dodds? – zapytał. – Sympatyczna sąsiadka?

– Cholerne skorupy – warknął jeden z nich.

– Ale pewnie ta lalka pomoże jej w biznesie.

– Bez wątpienia – oświadczył właściciel BMW. – Jeśli ma odrobinę oleju w głowie, to na pewno to wykorzysta.

– Promocja to jak życiodajne soki dla każdego nowego biznesu – dodał sąsiad od rovera. Rebus pomyślał, że zapewne obaj wiedzą, o czym mówią.

– Drobnie gesty mogą tu zdziałać cuda – zadumał się ten od BMW. – Filiżanka herbaty, domowe ciasteczka... – Obaj przerwali mycie samochodów i zamyślili się.

– Tak mi się właśnie zdawało, że to pański samochód stoi tam na dróżce – powiedziała Bev Dodds, podchodząc do nich.

Bev zajęła się przygotowaniem herbaty, a Jean spytała, czy w tym czasie może obejrzeć jej ceramikę. Dobudówka z tyłu chaty mieściła zarówno kuchnię, jak i drugą sypialnię przerobioną na pracownię. Jean pochwaliła misy i talerze, ale Rebus czuł, że tak naprawdę jej się nie podobają. Potem, kiedy Bev Dodds z pobrzękiwaniem podciągnęła sobie na rękach liczne kółka i bransoletki, Jean je też pochwaliła.

– Sama je robię – oświadczyła Bev z dumą.

– Naprawdę? – zdziwiła się Jean.

Bev wyciągnęła ramię, by Jean mogła je lepiej obejrzeć.

– To z miejscowych kamyków. Myję je i lakieruję. Wydaje mi się, że oddziałują trochę tak jak kryształy.

– Dostarczają pozytywnej energii? – domyśliła się Jean. Rebus już się trochę pogubił i nie wiedział, czy wciąż udaje, czy jest rzeczywiście zainteresowana. – Czy mogłabym coś takiego kupić?

– Ależ naturalnie – powiedziała Dodds z uśmiechem. Włosy miała nieco rozwiane przez wiatr, a policzki zarumienione od świeżego powietrza. Zsunęła z ręki jedną z bransoletek. – Jak się pani ta podoba? To jedna z moich ulubionych i tylko za dziesięć funtów.

Usłyszawszy cenę, Jean zamilkła na moment, potem jednak uśmiechnęła się i podała jej banknot dziesięciofuntowy, który Dodds schowała do kieszeni.

– Pani Burchill pracuje w muzeum w Edynburgu – powiedział Rebus.

– Doprawdy?

– Jestem kustoszem – dodała Jean, przesuwając bransoletkę przez dłoń.

– Jakież to wspaniałe zajęcie. Ile razy jestem w mieście, zawsze staram się wygospodarować choć trochę czasu na odwiedzenie muzeum.

– Słyszała pani o trumienkach z Arthur's Seat? – spytał Rebus.

– Steve mi o nich wspominał – powiedziała Dodds, a Rebus pomyślał, że pewnie chodzi o tego reportera, Steve'a Holly'ego.

– Pani Burchill się nimi zajmuje – ciągnął – i chciałaby obejrzeć tę, którą pani znalazła.

– Ależ oczywiście. – Dodds wysunęła jedną z szuflad i wyciągnęła z niej trumienkę.

Jean podeszła do niej z pietyzmem i najpierw ułożyła ją ostrożnie na kuchennym stole, nim zabrała się do oględzin.

– Jest dobrze wykonana – powiedziała. – Bardziej przypomina trumienki z Arthur's Seat niż te inne.

– Jakie inne? – spytała Bev Dodds.

– Czy to kopia którejs z nich? – spytał Rebus, ignorując pytanie Dodds.

– Nie, nie dokładna kopia – odparła Jean. – Inne gwoździe i trochę odmienna konstrukcja.

– Ale mógł to zrobić ktoś, kto widział eksponaty w muzeum?

– To całkiem możliwe. W sklepiku w muzeum można kupić pocztówki z wizerunkiem tych trumienek.

Rebus spojrzał na Jean.

– Czy ktoś ostatnio wykazywał szczególne zainteresowanie tymi eksponatami?

– A skąd ja mogę wiedzieć?

– Może jakiś badacz, naukowiec albo ktoś taki?

Potrząsnęła głową.

– W zeszłym roku mieliśmy jedną doktorantkę... ale już wróciła do Toronto.

– Istnieje jakiś związek? – spytała Dodds, otwierając szeroko oczy. – Między ekspozycją w muzeum a tym porwaniem?

– Nic mi nie wiadomo, żeby kogoś porwano – mruknął Rebus.

– No, ale mimo wszystko...

– Pani Dodds... Bev... – Rebus przyszpilił ją wzrokiem. – To bardzo ważne, żeby ta rozmowa została tylko między nami.

Kiedy niechętnie kiwnęła głową, Rebus pomyślał, że bez wątpienia w ciągu paru minut od ich wyjścia zadzwoni do Steve'a Holly'ego. Jego nietknięta herbata została w kubku.

– Powinniśmy już uciekać. – Jean podjęła jego sygnał i odstawiła kubek na suszarkę. – Pyszna, dziękuję.

– Bardzo proszę. A ja dziękuję za kupno bransoletki. To już moja trzecia sprzedaż dzisiaj.

Na dróżce minęły ich dwa samochody. Jednodniowi wycieczkowicze w drodze do wodospadu, pomyślał Rebus. A potem być może zatrzymają się przy chacie z tablicą CERAMIKA i poproszą o pokazanie słynnej trumienki. I pewnie też coś kupią...

– O czym myślisz? – spytała Jean, wsiadając do samochodu i oglądając w świetle kupioną bransoletkę.

– O niczym – skłamał.

Postanowił przejechać przez wioskę. BMW i rover suszyły się teraz w popołudniowym słońcu. Pod chatą Bev Dodds zatrzymała się para z dwójką dzieci. Ojciec rodziny trzymał kamerę wideo. Rebus przepuścił kilka samochodów jadących główną drogą, potem skręcił w kierunku Błoni. Na trawie przed domami trzech chłopców – być może byli wśród nich ci dwaj, których widział tu poprzednio – grało w piłkę. Rebus zatrzymał się, opuścił szybę i zawołał. Podnieśli głowy i spojrzeli na niego, nie kwapiąc się, by przerwać zabawę. Oświadczył Jean, że zajmie mu to tylko sekundę i wysiadł z samochodu.

– Cześć, chłopaki – powiedział.

– Coś pan za jeden? – Pytający był chudy jak szczapa, z wystającymi żebrami i kościstymi rękami zakończonymi zaciśniętymi w pięści dłońmi. Włosy miał ogolone przy skórze i kiedy tak patrzył, mrużąc oczy pod słońce, całe jego metr czterdzieści było czystą skondensowaną agresją i nieufnością.

– Jestem z policji.

– Nic nie zrobiliśmy.

– To gratuluję.

Chłopak z całej siły kopnął piłkę. Rąbnęła jednego z pozostałych chłopców w udo, co u trzeciego z nich wywołało wybuch śmiechu.

– Ciekaw jestem, czy wiecie może coś o tych kradzieżach, o których mi mówiono?

Chłopak spojrzał na niego spode łba.

– Czep się pan – powiedział.

– Z przyjemnością, synu. Gdzie chciałbyś, żebym się czepił? Za twój kark czy może za jaja?

– Chłopak starał się pogardliwie uśmiechać. – A może opowiecie mi coś o wandalach, którzy wysmarowali drzwi w kościele?

– Nie – odparł chłopak.

– Nie? – Rebus wydawał się zdziwiony. – Dobra, no to jeszcze jedna, ostatnia próba... A jak to było z tą znalezioną trumienką?

– Znaczy, o co chodzi?

– Widzieliście ją?

Chłopak potrząsnął głową.

– Chick, powiedz mu, żeby spadał – poradził mu jeden z kumpli.

– Chick? – Rebus pokiwał głową na znak, że zapamiętuje sobie to imię.

– W ogóle jej nie widziałem – oświadczył Chick. – W życiu bym tam do niej nie poszedł.

– Dlaczego?

– Bo jest, kurwa, walnięta – zaśmiał się Chick.

– W jakim sensie walnięta?

Chick powoli tracił cierpliwość. Jednak dał się wmanewrować w rozmowę i odpowiedzi na pytania, choć wcale mu się to nie podobało.

– Walnięta jak wszystkie.

– Wszystkie to kupa pojebców – dodał kolega, przychodząc mu w sukurs. – Dawaj, Chick, odpalamy. – Chłopcy odbiegli, zabierając z sobą po drodze piłkę i trzeciego kolegę. Przez chwilę Rebus patrzył za nimi, ale Chick się nie odwrócił. Wrócił do samochodu i zobaczył, że okno po stronie Jean jest otwarte.

– No dobra – powiedział – więc nie jestem mistrzem w przepytывaniu uczniów.

Uśmiechnęła się.

– Co on miał na myśli, mówiąc, że to kupa pojebców?

Rebus włączył zapłon i popatrzył na nią.

– Chciał powiedzieć, że im się wszystkim w głowach... – Nie musiał dodawać ostatniego słowa, bo Jean i tak już wiedziała, co chciał powiedzieć.

Tego samego dnia późnym wieczorem poszedł pod dom Philippy Balfour. Wciąż jeszcze miał w kieszeni pęk kluczy do jej mieszkania, ale po tym, co się wydarzyło, nie miał zamiaru wchodzić do środka. Ktoś zamknął okiennice w jej sypialni i salonie, i za dnia w mieszkaniu musiało być zupełnie ciemno.

Mijał tydzień od jej zniknięcia i na ten wieczór zaplanowano rekonstrukcję wydarzeń. Młodą policjantkę o wyglądzie zbliżonym do zaginionej studentki ubrano w rzeczy, jakie Flipa mogła mieć na sobie tamtego wieczoru. W jej szafie brakowało kupionego niedawno T-shirta Versace, policjantka włożyła więc taki sam. Miała wyjść z kamienicy na ulicę i zostać obfotografowana przez czekających pod domem reporterów, potem szybkim krokiem przejść do końca uliczki i wsiąść do czekającej taksówki, specjalnie w tym celu sprowadzonej; potem z niej wysiąść i ruszyć piechotą pod górę w kierunku centrum. Podczas całej tej drogi mieli jej towarzyszyć fotoreporterzy i mundurowi policjanci, których zadaniem było zatrzymywanie przechodniów i przejeżdżających samochodów i zadawanie im wcześniej przygotowanych pytań. Policjantka miała w ten sposób przejść, aż do baru na Stronie Południowej...

Dwie ekipy telewizyjne – jedna z BBC i druga z telewizji szkockiej – szykowały się do sfilmowania rekonstrukcji zdarzeń, by móc potem pokazać migawki w wiadomościach.

Wszystko to było trochę na siłę, by pokazać, że policja jednak coś w tej sprawie robi.

I nic więcej.

Rebus napotkał wzrok Gill Templer stojącej po drugiej stronie ulicy, co potwierdziła lekkim wzruszeniem ramion, po czym wróciła do rozmowy z zastępcą komendanta, Colinem Carswellem. Wyglądało, że zastępca komendanta pragnie osobiście dopilnować paru szczegółów. Rebus nie miał wątpliwości, że przynajmniej raz padną słowa o „szybkim dotarciu do konkluzji”. Z dawnych czasów wiedział, że Gill Templer objawia irytację nerwowym przebieraniem w sznurze pereł, który czasami nosiła. Dziś też je miała na szyi i widział, że wsunęła pod nie palec i przesuwa nim tam i z powrotem. Przypomniały mu się bransoletki Dodds i słowa chłopaka imieniem Chick, że jest, kurwa, walnięta”... Tomiki *Czarów* na etażerze w pokoju nie będącym pokojem, tylko „salonikiem”. Przypomniał sobie piosenkę Stonesów *Spider and the Fly* umieszczoną na stronie B singla z *Satisfaction*. Bev mogła być pająkiem, a jej salonik pajęczyną. Z jakiegoś powodu obraz ten, choć dość dziwaczny, zapadł mu w pamięć...

6

W poniedziałek rano Rebus zabrał do pracy wycinki prasowe od Jean. Na biurku leżały trzy karteczki z wiadomościami o telefonach od Steve'a Holly'ego i odręczna notka napisana ręką Gill Templer, że wizytę u lekarza ma umówioną na godzinę jedenastą. Poszedł do jej gabinetu w nadziei, że coś jeszcze wytarguje, ale kartka na drzwiach informowała, że cały dzień spędzi na Clayfield Square. Wrócił do biurka, wziął papierosy i zapalniczkę, i ruszył w stronę parkingu. Ledwie udało mu się zapalić pierwszego, gdy podjechała Siobhan Clarke.

– Udało się? – zapytał.

Siobhan machnęła trzymanym w rękę laptopem.

– Wczoraj wieczorem – powiedziała.

– Opowiadaj.

Popatrzyła na papierosa i mruknęła.

– Jak skończysz to świństwo i przyjdiesz na górę, to ci pokażę.

Drzwi za nią zamknęły się z impetem. Rebus spojrzął na papierosa, raz jeszcze pociągnął i pstryknął go na ziemię.

Kiedy dotarł do sali wydziału śledczego, Siobhan siedziała już nad włączonym laptopem. Któryś z kolegów zawołał, że dzwoni Steve Holly, ale Rebus przecząco pokręcił głową. Wiedział aż za dobrze, czego tamten chce: Bev Dodds doniosła mu o ich wizycie w Kaskadach. Uniósł w górę palec i poprosił Siobhan, by jeszcze na moment się wstrzymała, potem podszedł do biurka i zadzwonił do muzeum.

– Z doktor Burchill proszę – powiedział i chwilę odczekał.

– Halo? – odezwał się jej głos.

– Jean? Tu Rebus.

– John, właśnie chciałam do ciebie zadzwonić.

– Możesz nic nie mówić: prześladują cię, tak?

– Może nie aż tak, ale...

– Naprzykrza ci się reporter nazwiskiem Steve Holly i chce rozmawiać o lalkach, zgadza się?

– Do ciebie też już trafił?

– Najlepsza rada, jaką mogę ci dać, Jean, to nic nie mów. Nie odbieraj jego telefonów, a jeśli i tak do ciebie dotrze, to mu powiedz, że nie masz nic do powiedzenia. I to niezależnie od tego, jak mocno będzie cię przyciskał...

– Jasne. To znaczy, że Bev Dodds wszystko wypaplała?

– Moja wina. Powiniennem wiedzieć, że nie umie trzymać języka za zębami.

– Nie przejmuj się. Potrafię sobie poradzić.

Pożegnali się i odłożył słuchawkę. Potem podszedł do biurka Siobhan i odczytał wiadomość

na ekranie.

Ta gra to nie gra. To wyzwanie. Potrzebna jest siła i wytrwałość, nie mówiąc o inteligencji. Ale nagroda będzie wspaniała. Czy nadal chcesz zagrać?

– Odpowiedziałam mu, że jestem zainteresowana, ale spytałam, jak długo ta gra potrwa. – Siobhan błędziła palcem po klawiaturze. – Odpisał, że może potrwać albo kilka dni, albo kilka tygodni. Potem zapytałam, czy będę mogła zacząć od Piekliśka. Odpowiedział natychmiast, że Piekliśko to czwarty poziom, a grać trzeba od początku. Odpisałam, że zgoda, i wtedy o północy przyszło to.

Na ekranie pojawiła się nowa wiadomość.

– Do jej wysłania użył jakiegoś innego adresu – powiedziała Siobhan. – Bóg raczy wiedzieć, ile on ma tych różnych adresów.

– Chodzi mu o to, żeby go było trudniej namierzyć? – domyślił się Rebus i przeczytał wiadomość na ekranie: *Skąd mam wiedzieć, że jesteś tym, za kogo się podajesz?*

– Chodzi mu o mój nowy adres e-mailowy – wyjaśniła Siobhan. – Przedtem używałam adresu Philippy, teraz Granta.

– I co mu odpowiedziałas?

– Odpowiedziałam, że będzie mi musiał zaufać. A jak nie, to zawsze możemy się spotkać.

– Ucieszył się?

– Niespecjalnie. Ale wtedy przysłał mi to. – Nacisnęła kolejny klawisz.

Sevenfins high is king. This queen dines well before the bust. [W dosłownym tłumaczeniu: *Siedem pletw*

w górę czyni króla. Ta królowa jada dobrze przed wpadką.]

– I to wszystko?

Siobhan kiwnęła głową.

– Brzmi to bez sensu, więc spytałam, czy może mi coś podpowiedzieć. W odpowiedzi po raz drugi wysłał mi to samo.

– Pewnie dlatego, że w tym już zawarta jest podpowiedź.

Siobhan rozczesała sobie włosy palcami.

– Przez pół nocy nie spałam. Pewnie tobie też się to z niczym nie kojarzy?

Potrząsnęła głową.

– Musisz znaleźć kogoś, kto lubi zagadki. Czy przypadkiem młodzieniec Grant nie bawi się krzyżówkami z kodowanymi hasłami.

– Naprawdę? – Siobhan spojrzała w drugi koniec sali, gdzie Grant Hood rozmawiał właśnie przez telefon.

– Najlepiej spytaj go sama.

Siobhan stanęła nad Grantem i poczekała, aż skończy rozmawiać.

– Jak się sprawuje mój laptop? – zapytał.

– W porządku. – Podała mu kartkę. – Słyszałam, że lubisz zagadki.

Wziął kartkę do ręki, ale nawet na nią nie spojrział.

– Jak się bawiłaś w sobotę? – spytał.

– Fajnie – kiwnęła głową.

I rzeczywiście tak było. Najpierw wypili parę drinków w pubie, potem zjedli kolację w sympatycznej knajpce na Nowym Mieście. Rozmowa głównie obracała się wokół pracy, jako że nie mieli wielu innych wspólnych tematów. Ale i tak było sympatycznie móc się trochę pośmiać i powspominać. Zachował się jak dżentelmen i po kolacji odprowadził ją do domu. Nie zaprosił go na górę na kawę, a on oświadczył, że na Broughton Street złapie taksówkę.

Grant uśmiechnął się i kiwnął głową. „Fajnie” całkowicie go zadowalało. Potem spojrział na kartkę i przeczytał głośno:

– Siedem pletw w górę czyni króla. A co to niby ma znaczyć?

– Miałam nadzieję, że ty mi to powiesz.

Raz jeszcze przyjrzał się tekstowi na kartce.

– Może to jakiś anagram. Ale mało prawdopodobne, bo jest zbyt mała różnorodność samogłosek. Same tylko „i” i „e”. Jada dobrze przed wpadką – może chodzi o jakąś wpadkę narkotykową? – Siobhan wzruszyła jedynie ramionami. – Może byłoby łatwiej, gdybyś mi nieco więcej powiedziała – dodał.

Siobhan kiwnęła głową.

– No to chodźmy na kawę – zaproponowała.

Rebus patrzył z daleka, jak wychodzą, potem wziął do ręki pierwszy wycinek. Z boku słysząc było czyjaś rozmowę, coś na temat następnej konferencji prasowej. Rozmawiający byli tego samego zdania, że jeśli komisarz Templer życzy sobie, by się tym zająć, to znaczy, że nie popuści. Rebus nagle zmrużył oczy. Natrafił na zdanie, które musiał przegapić za pierwszym razem. Znajdowało się w wycinku z 1995 roku opisującym znalezienie przez psa trumienki z kawałkiem materiału w pobliżu hotelu Huntingtower koło Perth. Pod koniec notatki zacytowano wypowiedź anonimowego pracownika hotelu, który miał powiedzieć: „Trzeba uważać, bo inaczej Huntingtower może sobie zdobyć złą sławę”. Rebusa zaniepokoiło, co to mogło znaczyć. Chwycił słuchawkę, by zadzwonić do Jean – może ona będzie coś wiedziała – ale po chwili ją odłożył. Nie chciał, żeby sobie pomyślała, że... że właściwie co? Mile wspominał wczorajszy dzień i miał wrażenie, że jej też było miło. Odwiózł ją do domu do Portobello, ale z zaproszenia na kawę nie skorzystał.

– Już i tak zabrałem ci dziś zbyt dużo czasu – powiedział, a ona nie zaprzeczyła.

– To może kiedy indziej – odparła.

Wracając do Marchmont, Rebus miał uczucie, jakby coś im umknęło. Niewiele brakowało, by do niej wieczorem zadzwonił, jednak w końcu włączył telewizor i zaczął oglądać jakiś

program przyrodniczy, z którego, jak się później okazało, nic nie pamiętał. Siedział tak, póki nie przypomniał sobie o zaplanowanej na ten wieczór rekonstrukcji zdarzeń, wtedy wstał i wyszedł.

Jego dłoń wciąż spoczywała na słuchawce, więc ją podniósł, wybrał numer do hotelu Huntingtower i poprosił o połączenie z menedżerem.

– Przykro mi – odparła recepcjonistka – ma teraz spotkanie. Czy chce pan zostawić wiadomość?

Rebus wyjaśnił, kim jest, i dodał:

– Chciałbym porozmawiać z kimś, kto pracował w hotelu w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym piątym roku.

– A jak nazwisko? – spytała recepcjonistka.

Nieporozumienie trochę go rozbawiło.

– Nie, proszę pani, nie chodzi mi o nikogo konkretnego. To może być ktokolwiek.

– No cóż, ja tu pracuję już od tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego trzeciego roku.

– Zatem może pamięta pani historię ze znalezieniem trumienki koło hotelu?

– Jak przez mgłę.

– Mam tu przed sobą wycinek z gazety, w którym jest mowa o tym, że hotelowi grozi zła sława.

– A dlaczego?

– Nie jestem pewna. Może chodziło o tę amerykańską turystkę.

– Jaką turystkę?

– No tę, która zniknęła.

Przez chwilę go zamurowało, a potem poprosił ją, by to jeszcze raz powtórzyła.

Rebus udał się do filii Biblioteki Narodowej na Causewayside. Z biura na St Leonard's był to zaledwie pięciominutowy spacer. Kiedy wylegitymował się i wyjaśnił, czego mu potrzeba, posadzono go przy biurku z ustawionym na nim czytnikiem mikrofilmów. Był to właściwie duży podświetlony ekran zaopatrzony w dwie szpule. Na jedną z nich zakładało się mikrofilm i przewijało na drugą. Rebus miał już kiedyś do czynienia z takim urządzeniem, jeszcze w czasach, gdy archiwum prasy znajdowało się w głównym budynku na wiadukcie Jerzego IV. Uprzedził bibliotekarkę, że jego zadanie kwalifikuje się jako „nie cierpiące zwłoki”, jednak minęło niemal dwadzieścia minut, nim ktoś z obsługi przyniósł mu pudełka z mikrofilmami. „Courier” był dziennikiem wydawanym w Dundee i rodzice Rebusa czytali go regularnie. Pamiętał, że jeszcze do niedawna gazeta utrzymywała tradycyjny wygląd płachty z ogromnymi płatnymi ogłoszeniami na całej pierwszej stronie. Nie było na niej żadnych zdjęć ani żadnych wiadomości. Opowiadano też, że wiadomość o zatonięciu Titanica ukazała się z nagłówkiem: „Mieszkaniec Dundee ginie na morzu”. Ale oczywiście gazeta wcale nie była zaściankowa, nic

podobnego.

Rebus wziął ze sobą wycinek dotyczący hotelu Huntingtower i tak długo przewijał taśmę mikrofilmu, aż dotarł do daty o cztery tygodnie wcześniejszej. Tam, na jednej z wewnętrznych kolumn znalazł notatkę zatytułowaną: „Tajemnicze zniknięcie turystki. Policja nic nie wie”. Kobieta nazywała się Betty-Anne Jesperson, miała trzydzieści osiem lat i była zamężna. Przyjechała jako uczestniczka grupowej wycieczki ze Stanów, odbywającej się pod hasłem „Mistyczna wyżyna Szkocji”. Zamieszczone w gazecie zdjęcie Betty-Anne pochodziło z jej paszportu. Widać na nim było kobietę o nalanej twarzy w okularach w grubej oprawie, z trwałą ondulacją na głowie. Mąż imieniem Garry oświadczył, że żona miała zwyczaj zrywać się wcześnie rano i jeszcze przed śniadaniem chodzić na spacer. Nikt w hotelu nie zauważył jej wyjścia. Przeszukano okolicę hotelu, po czym policja uzbrojona w odbitki jej zdjęcia zabrała się do przeszukiwania całego Perth. Kiedy Rebus przewinął taśmę o tydzień do przodu, informacje o prowadzonych poszukiwaniach ograniczały się już tylko do kilku akapitów. Po następnym tygodniu notatka była już jedynie krótką wzmianką złożoną z paru linijek i zainteresowanie całą sprawą rozplątało się w powietrzu równie skutecznie, jak sama Betty-Anne.

Recepcjonistka hotelu wcześniej poinformowała go, że w ciągu pierwszego roku od zniknięcia, Garry Jesperson jeszcze kilkakrotnie pojawiał się w okolicy, a w rocznicę przyjechał nawet na cały miesiąc. Później jednak Garry związał się z kimś i według ostatnich posiadanych przez recepcjonistkę informacji przeniósł się z New Jersey do Baltimore.

Rebus przepisał wszystko do notesu, a potem przez długą chwilę siedział, postukując palcami w zapisaną stroniczkę notatnika. Trwało to tak długo, aż jeden z użytkowników czytelnicy chrząknął ostrzegawczo, dając do zrozumienia, że zachowuje się zbyt głośno.

Rebus wrócił więc do biurka bibliotekarki i złożył zamówienie na kolejne tytuły prasowe: „Dunfermline Press”, „Glasgow Herald” i „Inverness Courier”. Okazało się, że tylko „Herald” istnieje w postaci mikrofilmu, zaczął więc od niego. Wycinek o laleczce na cmentarzu był z 1982 roku. Pamiętał, że na początku tego właśnie roku Van Morrison nagrał *Beautiful Vision*. Rebus przyłapał się nagle na tym, że nuci pod nosem temat *Dweller on the Treshold*, przerwał więc, przypominając sobie, gdzie się znajduje. W 1982 roku był detektywem w stopniu sierżanta i prowadził śledztwa wraz z innym sierżantem nazwiskiem Jack Morton. Obaj pracowali wtedy w komisariacie przy Great London Road, nim jeszcze wybuchł tam pożar. Kiedy wreszcie doniesiono mu mikrofilm z „Heraldem”, niecierpliwie założył go na czytnik i zabrał się do pracy. Dni i tygodnie sunęły przez ekran błękitną smugą. Wszyscy jego ówcześni szefowie z Great London Road albo już nie żyją, albo są na emeryturze. Z żadnym z nich nie utrzymywał kontaktów. A teraz Farmera też już nie ma. I czy mu się to podoba, czy nie, niedługo przyjdzie kolej na niego. Pomyślał, że chyba nie odejdzie cicho i potulnie. Będą go musieli wyrzucać siłą, a on będzie kopał i gryzł...

Lalkę na cmentarzu znaleziono w maju, zaczął więc poszukiwania od początku kwietnia. Oczywiście problem polegał na tym, że Glasgow to duże miasto, więc i przestępstw było w nim więcej niż w Perth. Obawiał się, że nawet jeśli coś takiego było, może to przeoczyć. A czy w ogóle takie sprawy, jak czyjeś zaginięcie, trafiają tu do gazet? Rocznie znikają tysiące ludzi i zdarzają się zniknięcia, których nikt nawet nie zauważa, na przykład bezdomnych lub ludzi samotnych bez rodziny i przyjaciół. W tym kraju mogło się zdarzyć, że czyjś trup siedział w fotelu przy kominku tak długo, że dopiero smród alarmował sąsiadów.

Do końca kwietnia nie znalazł żadnej wzmianki o czyimś zaginięciu, znalazł natomiast sześć przypadków nagłej śmierci, z których dwie dotyczyły kobiet. Jedną z nich zabito nożem po prywatce, a policja przesłuchiwała pewnego mężczyznę. Rebus pomyślał, że zapewne towarzyszącego jej partnera. Wiedział, że w jednym z dalszych numerów znajdzie się informacja, że mężczyznę postawiono w stan oskarżenia i skierowano sprawę do sądu. Druga śmierć dotyczyła utonięcia w jakiejś rzeczce, o której Rebus nigdy wcześniej nie słyszał: White Cart Water. Ciało znaleziono przy jej brzegu na południowych krańcach Rosshall Park. Ofiara nazywała się Hazel Gibbs i miała dwadzieścia dwa lata. Wcześniej opuścił ją mąż, zostawiając z dwójką dzieci. Znajomi zeznali, że spowodowało to u niej depresję i że dzień wcześniej widziano ją pijaną i wałęsającą się bez opieki dzieci.

Rebus wyszedł na zewnątrz, wyciągnął komórkę i zadzwonił do Bobby'ego Hogana z wydziału śledczego w Leith.

– Bobby, cześć, tu John. Znasz troszkę Glasgow, prawda?

– Troszkę.

– Słyszałeś kiedyś o White Cart Water?

– Chyba nie.

– A Rosshall Park?

– Przykro mi.

– A znasz tam kogoś na dzikim zachodzie?

– Mogę podzwonić.

– To podzwoń, proszę. – Rebus raz jeszcze powtórzył nazwy i rozłączył się. Zapalił papierosa i stał, zerkając na nowy pub, który niedawno otwarto na przeciwległym rogu. Uznał, że jeden drink mu nie zaszkodzi, potem jednak przypomniał sobie, że ma wizytę u lekarza. Cholera, no więc pan doktor będzie musiał poczekać. Zawsze może się z nim umówić na inny termin. Hogan wciąż nie dzwonił, Rebus wrócił zatem do czytelnicy i zaczął przeglądać numery z maja 1982 roku. Kiedy zadzwoniła jego komórka, zarówno obsługa, jak i użytkownicy czytelnicy popatrzyli na niego z nie ukrywanym oburzeniem. Rebus zaklął pod nosem i przytknął telefon do ucha, jednocześnie wstając i ruszając ku wyjściu.

– To ja – odezwał się głos Hogana.

– Mów – szepnął Rebus, już niemal w drzwiach.

– Rosshal Park leży w Pollok, na południowy zachód od centrum. White Cart Water to rzeczka płynąca wzdłuż jego północnej granicy.

Rebusa zamurowało.

– Jesteś tego pewien? – Jego głos już wcale nie przypominał szeptu.

– Tak mi powiedziano.

Rebus zawrócił i usiadł na swym miejscu. Wycinek z „Heralda” leżał pod wycinkiem z „Couriera”. Wyciągnął go i dla pewności raz jeszcze przeczytał.

– Dzięki, Bobby – powiedział i rozłączył się. Wszyscy wokół psykali na niego wściekle, ale on nawet tego nie zauważył. „Kościół potępia bluźniercze wygłupy”. Trumienkę znaleziono na przykościelnym cmentarzu należącym do kościoła przy Potterhill Road.

W dzielnicy Pollok.

– Pewnie nie masz zamiaru się tłumaczyć – powiedziała Gill Templer.

Rebus podjechał na Gayfield Square i poprosił o pięciominutowe spotkanie. Siedzieli w tym samym zagraconym i zapylonym biurze.

– Kiedy po to tu właśnie przyjechałem – oświadczył Rebus. Przyłożył sobie dłoń do czoła. Czuł, że twarz mu płonie.

– Miałeś być dziś u lekarza.

– Ale coś się wydarzyło. Chryste, wprost nie uwierzysz.

Gill postukała palcem w gazetę rozłożoną na biurku.

– A wiesz może, skąd ten Steve Holly się o tym dowiedział?

Rebus obrócił gazetę ku sobie. Najwyraźniej Holly pisał to w pośpiechu, ale udało mu się sklecić wiadomość, w której zmieścił trumienki z Arthur’s Seat, powołał się na „opinię miejscowego eksperta z Muzeum Szkocji”, wspomniał o trumience z Kaskad i o „krążących plotkach, że są jeszcze inne trumienki”.

– O co mu chodzi z tymi „innymi trumienkami”? – spytała Gill.

– To ci właśnie próbuję powiedzieć.

No i opowiedział jej wszystko, ze szczegółami. W zakurzonych, oprawionych w skórę rocznikach „Dunfermline Press” i „Inverness Courier” znalazł dokładnie to, czego szukał i czego się obawiał. W lipcu 1977 roku, niecały tydzień przed znalezieniem trumienki na plaży w Nairn, sześć kilometrów dalej morze wyrzuciło na brzeg zwłoki Pauli Gearing. Nie udało się ustalić okoliczności zgonu i śmierć uznano za „nieszczęśliwy wypadek”. W październiku 1972, na trzy tygodnie przed znalezieniem trumienki w wąwozie Dunfermline, zgłoszono zaginięcie nastolatki. Caroline Farmer była uczennicą czwartej klasy liceum w Dunfermline. Ostatnio rzucił ją chłopak, z którym chodziła od kilku lat, i jedynym wytłumaczeniem było, że skłoniło ją to do ucieczki

z domu. Rodzina oświadczyła, że nie spocznie, póki jej nie odnajdzie. Rebus wątpił, by im się to udało...

Gill Templer wysłuchała całej opowieści, przez cały czas nie odzywając się ani słowem. Kiedy skończył, przejrzała wycinki i notatki, jakie porobił w bibliotece. W końcu spojrzała mu prosto w oczy.

– Bardzo to wszystko cieniutkie, John – powiedziała.

Rebus zerwał się z miejsca. Czuł potrzebę ruchu, jednak brak miejsca w pokoju mu to uniemożliwiał.

– Ale Gill, to jest... w tym coś jest.

– Morderca, który w pobliżu miejsc zbrodni zostawia trumienki? – Wolno pokręciła głowę. – Jakoś tego nie widzę. Masz tu dwa trupy bez śladu udziału osoby trzeciej i dwa zaginięcia. Z tego nie wynika jeszcze prawidłowość.

– Trzy zaginięcia, jeśli doliczymy Philipę Balfour.

– No i znowu: trumienkę w Kaskadach znaleziono w niecały tydzień od jej zniknięcia. Więc też się nie zgadza.

– Myślisz, że fantazjuję?

– Może.

– Ale czy mogę to przynajmniej pociągnąć trochę dalej?

– John...

– Daj mi jednego, najwyżej dwóch ludzi. I parę dni, żebyśmy cię mogli przekonać.

– I tak już nam brakuje ludzi.

– Brakuje do czego? Przecież błądzimy zupełnie po omacku i tylko czekamy, że albo się nagle pojawi, albo zadzwoni do domu, albo że znajdziemy jej ciało. Daj mi tylko dwóch ludzi.

Wolno pokręciła głowę.

– Najwyżej jednego. I góra trzy, cztery dni. Jasne?

– Jasne. Z kim mam pracować?

Templer zamyśliła się.

– A kogo chcesz?

– Daj mi Ellen Wylie.

Przyjrzała mu się uważnie.

– Czy jest jakiś szczególny powód, że prosisz akurat o nią?

Wzruszył ramionami.

– Jako prezenterka telewizyjna kariery nie zrobi, ale gliniarz z niej dobry.

Templer przez chwilę wpatrywała się w niego w milczeniu.

– Dobrze – powiedziała wreszcie. – Biercie się do roboty.

– A czy mogłabyś trzymać Holly'ego z dala od nas?

– Mogę spróbować – kiwnęła głową i znów stuknęła palcem w gazetę. – Rozumiem, że ten „miejscowy ekspert” to Jean, tak? – Odczekała, aż przytaknie, potem westchnęła. – Powinnam to przewidzieć, zanim was z sobą spiknęłam... – Zaczęła rozcierać sobie czoło, a Rebus pomyślał, że Farmer robił dokładnie to samo, kiedy, jak mawiał, Rebus zalazł mu za skórę...

– To czego my właściwie mamy szukać? – spytała Ellen Wylie. Została oddelegowana na St Leonard’s i nie wyglądało, by była zachwycona perspektywą pracy we dwójkę z Rebusem.

– Przede wszystkim musimy ustalić podstawowe fakty – odparł – a to znaczy, że w pierwszej kolejności trzeba sprawdzić, czy te zaginione osoby nigdy się nie odnalazły.

– Czyli rozmowy z rodzinami? – podchwyciła Wylie, robiąc sobie notatki.

– Tak jest. A jeśli chodzi o odnalezione zwłoki, to trzeba się ponownie przyjrzeć wynikom sekcji i upewnić, że niczego wtedy nie przegapiono.

– Tysiąc dziewięćset siedemdziesiąty siódmy i osiemdziesiąty drugi? Nie sądzisz że dokumentację już zniszczono?

– Mam nadzieję, że nie. A nawet jeżeli, to patolodzy mają dobrą pamięć.

Znów sobie coś zanotowała.

– Zapytam jeszcze raz: czego my właściwie szukamy? Uważasz, że jest jakiś związek między tymi kobietami a trumienkami, i my to mamy udowodnić?

– Sam nie wiem – odparł, ale wiedział, o co jej chodzi, zupełnie co innego być o czymś przekonany, a co innego móc i o udowodnić, szczególnie przed sądem. – Może przynajmniej będę mógł się od tego uwolnić – dodał po dłuższej chwili.

– A wszystko zaczęło się od trumienek znalezionych na Arthur’s Seat?

Przytaknął, czując, że sceptycyzm mocno przebija przez jego entuzjazm.

– Posłuchaj – powiedział. – Jeśli to wszystko tylko sobie wymyśliłem, będziesz miała okazję wyprowadzić mnie z błędu. Ale najpierw trzeba w tym trochę pogrzebać.

Wzruszyła ramionami i znów coś zapisała.

– Prosiłeś o mnie, czy ci mnie narzucono? – spytała.

– Prosiłem.

– I komisarz Templer się zgodziła?

Rebus kiwnął głową.

– A co, masz coś przeciwko?

– Nie wiem. – Przez chwilę dumiała nad jego pytaniem, potem dodała: – Nie, chyba nie.

– Świetnie. No to do roboty.

Opisanie wszystkiego na maszynie zajęło mu blisko dwie godziny. Postanowił stworzyć katalog, który będzie podstawą do ich dalszej pracy. Spisał daty i numery stron notatek

prasowych i dołączył kserokopie uzyskane z biblioteki. W tym czasie Wylie zajęła się obdzwanianiem komisariatów w Glasgow, Perth, Dunfermline i Nairn, w każdym prosząc o pomoc w odnalezieniu dokumentacji i o nazwiska patologów. Słyszając jej śmiech, od razu wiedział, że po drugiej stronie ktoś mówi coś w rodzaju: „Tylko tyle? Nie masz, cholera, innych zmartwień?” Tłukąc w klawisze, podsłuchiwał jednocześnie, jak sobie radzi. Wiedziała, kiedy się przymilić, kiedy warknąć, a kiedy wdać w niewinny flirt. W jej głosie ani razu nie usłyszał znudzenia widocznego na twarzy, kiedy musiała kolejny raz powtarzać to samo.

– Bardzo dziękuję – powiedziała po raz nie wiadomo który i odłożyła słuchawkę. Potem zapisała coś w notatniku, spojrzała na zegarek i dopisała godzinę. Była rzeczywiście bardzo skrupulatna. – Jak dotąd same obietnice.

– Lepsze to niż nic.

– Pod warunkiem, że ich dotrzymają. – Potem podniosła słuchawkę, głęboko westchnęła i zabrała się do kolejnej rozmowy.

Rebusa zastanawiały długie przerwy pomiędzy kolejnymi przypadkami: 1972, 1977, 1982, 1995. Pięć lat, pięć lat, trzynaście lat. No i teraz, być może, znów pięć lat. Te pięcioletnie odstępy tworzyłyby może jakąś regularność, ale burzyła ją ta cisza między 1982 a 1995. Mogły jednak istnieć różne wytłumaczenia: sprawca, kimkolwiek był, mógł ten czas spędzać gdzie indziej, na przykład w więzieniu. A kto powiedział, że trumienki występują tylko w Szkocji? Może więc warto szerzej zarzucić sieć i sprawdzić, czy zjawisko to nie wystąpiło też gdzie indziej? Jeśli sprawca przebywał w więzieniu, to warto by sprawdzić dokumentację więzienną. Trzynaście lat to długi wyrok, więc pewnie za morderstwo.

Istniała też oczywiście inna możliwość: że sprawca nigdzie się stąd nie ruszał, tylko z jakichś powodów przestał zostawiać trumienki albo że zostawionej przez niego trumienki nie odnaleziono. W końcu to tylko małe, drewniane pudełeczko... Pierwszy lepszy pies mógł je zgryźć na miazgę albo jakieś dziecko zabrać do domu. Ktoś mógł je też po prostu wyrzucić, uznając za niesmaczny żart. Rebus wiedział, że zwrócenie się z apelem do społeczeństwa mogłoby pomóc, jednak nie sądził, by Templer wyraziła na to zgodę. Najpierw musiałby ją przekonać.

– Nic? – zapytał, kiedy Wylie odłożyła słuchawkę.

– Nikt nie odbiera. Może się już rozniosło, że jakaś wariatka z Edynburga zawraca wszystkim głowę.

Rebus zmiął w dłoniach kartkę i rzucił ją przez ramię w kierunku kosza.

– Może zaczynamy się gubić – stwierdził. – Zróbmy sobie przerwę.

Wylie poszła do piekarni po pączka, Rebus postanowił się przejść. Okolice wokół St Leonard's nie dawały pod tym względem wielkiego wyboru. Można było albo zapuszczać się w osiedla mieszkaniowe, albo spacerować po Holyrood Road wśród pędzących samochodów,

z Salisbury Crags w tle. Rebus zdecydował się wkroczyć w labirynt wąskich uliczek między St Leonard's a Nicolson Street. Po drodze wstąpił do sklepiku, kupił puszkę irn-bru i, popijając, kluczył po zaułkach. Zwykle pił to jako skuteczne lekarstwo na kaca, tym razem miało mu pomóc zwalczyć ochotę na prawdziwego drinka: piwo i whisky w jakimś zadymionym wnętrzu, z telewizorem za barem nastawionym na relację z wyścigów konnych... Wszystko to czekało na niego w barze Southsider, jednak by uniknąć pokusy, na wszelki wypadek przeszedł na drugą stronę ulicy. Na chodniku szalały grupki dzieci, głównie pochodzenia azjatyckiego. Wyszyły już ze szkoły i teraz roznosiła je energia i dziecięca pomysłowość. Zastanowił się, czy i jego zbytnio nie ponosi wyobraźnia... Bo tak też mogło być: doszukuje się spisku tam, gdzie go w ogóle nie ma. Wyciągnął z kieszeni telefon komórkowy i karteczkę z zapisanym numerem.

Kiedy ktoś odebrał, poprosił o połączenie z Jean Burchill.

– Jean? – Zatrzymał się. – Tu John Rebus. Niewykluczone, że dzięki tym twoim trumienkom natrafiliśmy na ważny ślad. – Przez chwilę słuchał. – Teraz nie mogę rozmawiać. – Rozejrzał się. – Jestem w drodze na spotkanie. Jesteś wolna dziś wieczór? – Znów przez chwilę słuchał. – No to szkoda. A może tak na jednego przed snem? – Rozpromienił się. – O dziesiątej? W Portobello, czy na mieście? – Kolejna przerwa. – Tak, skoro masz spotkanie, to rzeczywiście na mieście będzie lepiej. Potem cię odwiozę do domu. To o dziesiątej w muzeum? W porządku, na razie.

Rozejrzał się. Był na Hill Square i na płocie obok zauważył tablicę informacyjną. Wynikało z niej, że stoi przed tylnym wejściem do Domu Lekarza. Niepozornie wyglądające drzwi prowadziły do części budynku mieszczącej stałą Wystawę Historii Medycyny im. Sir Julesa Thoma. Sprawdził podane godziny otwarcia i rzucił okiem na zegarek. Do zamknięcia zostało jeszcze dziesięć minut. A niech tam, pomyślał, i pchnął drzwi.

Znalazł się na typowej klatce schodowej. Na pierwszym piętrze był wąski podest z dwojgiem drzwi naprzeciwko siebie. Wyglądało to tak, jakby mieściły się za nimi prywatne mieszkania, poszedł więc piętro wyżej. Kiedy wkroczył na teren wystawy, dzwonek alarmowy przy drzwiach dał znać obsłudze, że pojawił się nowy gość.

– Był pan już kiedyś u nas? – spytała pracownica, a on zaprzeczył ruchem głowy. – Więc tak: czasy współczesne znajdują się piętro wyżej, a tu po lewej jest dział dentystyczny...

Podziękował jej, a ona zostawiła go w spokoju. Poza nim w sali nie było nikogo, w każdym razie nikogo nie było widać. Spędził pół minuty w dziale dentystycznym, myśląc, że w ciągu tych kilkuset lat technika dentystyczna wcale się tak bardzo nie zmieniła. Główna ekspozycja muzealna zajmowała dwa piętra i była bardzo bogata. Większość eksponatów umieszczono w dobrze oświetlonych szklanych gablotach. Zatrzymał się chwilę przed modelem będącym repliką starodawnej apteki, potem podszedł do naturalnej wielkości figury przedstawiającej doktora Josepha Listera pochylonego nad listą wprowadzonych przez siebie innowacji, wśród których najbardziej znane były metody dezynfekcji rozpylonym karbolem i zastosowanie

sterylnego katgut. Nieco dalej natrafił na gablotę z portfelem zrobionym ze skóry Burke'a. Przypomniało mu się oprawione w skórę podręczne wydanie Biblii, które jako dziecko dostał w prezencie urodzinowym od jednego z wujków. Obok portfela leżał odlew gipsowy głowy Burke'a – z wciąż widocznymi na szyi śladami po katowskim sznurze – i głowy jednego z jego współników, Johna Brogana, który pomagał mu transportować zwłoki. O ile głowa Burke'a wyglądała normalnie, miała włosy przyczesane i twarz spokojną, o tyle na twarzy Brogana widać było wyraz cierpienia. Skórę na dolnej szczęce miał ściągniętą, a jego pękata różowa czaszka była niekształtna.

Obok znajdował się portret patologa Knoxa, który przyjmował od nich jeszcze ciepłe zwłoki.

– Biedny ten Knox – odezwał się głos za plecami. Rebus obejrzał się i zobaczył stojącego tuż za nim starszego mężczyznę w pełnej wieczorowej gali, łącznie z muszką, szerokim czarnym pasem i lakierkami. Chwilę potrwało, nim go rozpoznał: profesor Devlin, sąsiad Flipy. Devlin przesunął się bliżej gabloty, nie odrywając wzroku od wystawionych eksponatów. – Długo się zastanawiano, ile on naprawdę wiedział.

– To znaczy, czy wiedział, że Burke i Hare są mordercami?

Devlin kiwnął głową.

– Osobiście nie mam cienia wątpliwości, że musiał wiedzieć. W owym czasie niemal wszystkie ciała trafiające do anatomopatologów były już od dawna zimne. Zwożono je do Edynburga z całej Wielkiej Brytanii – niektóre przyływały Union Canal. Rezurekcjoniści, jak zwano złodziei zwłok, na czas transportu peklowali ciała w whisky. Był to całkiem dochodowy biznes.

– A potem jeszcze ktoś to whisky wypijał?

Devlin parsknął.

– Poczucie oszczędności nakazywałoby, by tak – powiedział. – Jak na ironię losu, zarówno Burke, jak i Hare przybyli do Szkocji za chlebem w ramach migracji zarobkowych. Zatrudniono ich przy budowie Union Canal. – Rebus przypomniał sobie, że Jean mówiła mu coś podobnego. Devlin przerwał i wetknął palec za pas na brzuchu. – No, ale biedny ten Knox... Był na swój sposób geniuszem. Nigdy nie udowodniono mu współudziału w morderstwach. Natomiast potępił go Kościół i to była jego tragedia. Proszę pamiętać, że dla Kościoła ciało ludzkie było nietykalną świątynią. I dlatego znaczna część kleru występowała przeciwko jakimkolwiek badaniom, uznając je za świętokradztwo. No i zaszczuli biednego Knoxa.

– I co się z nim stało?

– Według pisemnych przekazów, zmarł na apopleksję. Hare, który na procesie zeznawał jako świadek koronny, musiał uciekać ze Szkocji. Ale nawet poza Szkocją nie był bezpieczny. Oblano go wapnem i dokończył żywota jako ślepy żebrak na ulicach Londynu. O ile mi wiadomo, w Londynie jest nawet pub Pod Ślepym Żebrakiem, ale nie wiem, czy to ma jakiś związek...

– Szesnaście morderstw – zadumał się Rebus – i to na tak niewielkim terenie jak Port Zachodni.

– Trudno sobie wyobrazić, żeby coś takiego mogło się zdarzyć w dzisiejszych czasach, prawda?

– W dzisiejszych czasach dysponujemy laboratoriami kryminologicznymi, rozwiniętą patologią...

Devlin wyciągnął palec zza pasa i uniósł go teatralnym gestem.

– Otóż to – powiedział. – A gdyby nie działalność Rezurekcyjistów i takich ludzi jak Burke i Hare, to do dziś nie mielibyśmy pojęcia o patologii.

– Czy stąd się bierze pańska dzisiejsza wizyta? Żeby ich uhonorować?

– Może – odparł Devlin, a potem dodał: – O siódmej mamy na górze bankiet, więc pomyślałem, że przyjdę wcześniej i trochę się pokręcę wśród eksponatów.

Rebus przypomniał sobie zaproszenie na kominku u Devlina i te „stroje wieczorowe dekorowane odznaczeniami”...

– Przepraszam, panie profesorze – zawołała skądś pani kustosz – ale już zamykamy.

– Nic nie szkodzi, Maggie – odkrzyknął Devlin, a potem, zwracając się do Rebusa, dodał: – Chciałby pan zobaczyć resztę ekspozycji?

Rebus pomyślał, że pewnie Ellen Wylie dawno już wróciła do pracy.

– Właściwie to powinienem...

– Niech pan da spokój, inspektorze – oznajmił Devlin z emfazą. – Nie można być w Domu Lekarza i nie odwiedzić Czarnego Muzeum...

Pani kustosz przeprowadziła ich wewnętrznymi przejściami, specjalnie dla nich otwierając drzwi zamknięte na klucz, aż dotarli do głównej, frontowej części budynku. Korytarze, udekorowane portretami słynnych przedstawicieli profesji lekarskiej, wyglądały szacownie i dostojnie. Devlin pokazał Rebusowi, gdzie mieści się biblioteka, a potem zatrzymał się w okrągłym holu z marmurową posadzką i wyciągnął rękę do góry.

– Tam mamy bankiet. Będzie mnóstwo profesorów i docentów w pełnej gali i pyszne kurczaki z gumy.

Rebus spojrział w górę. Hol zwieńczony był szklaną kopułą, a na wysokości pierwszego piętra biegła wokół balustrada, za którą widać było drzwi.

– A co to za okazja? – spytał.

– Bóg raczy wiedzieć. Po prostu, ile razy dostaję zaproszenie, wysyłam im czek i tyle.

– Czy Curt i Gates też tu będą?

– Pewnie tak. Wie pan przecież, że Sandy Gates nie przepuści okazji do wyzerki.

Rebus przyjrzał się imponującym drzwiom wejściowym. Widział je już wielokrotnie, ale zawsze od zewnątrz, od strony Nicolson Street, kiedy nią przejeżdżał lub przechodził. Zrobił

uwagę, że nie pamięta, by je kiedykolwiek widział otwarte.

– Dziś wieczorem je otworzą – zapewnił go Devlin. – Goście wchodzą tędy do holu, a potem schodami prosto na górę. Proszę, chodźmy.

Minęli kolejne korytarze i weszli na górę służbowymi schodami.

– Pewnie będzie otwarte – powiedział Devlin, podchodząc do następnych ogromnych drzwi. – Goście, którzy tu przychodzą na przyjęcia, lubią po jedzeniu trochę pozwiedzać. I większość trafia właśnie tutaj. – Nacisnął klamkę i okazało się, że się nie mylił. Drzwi ustąpiły i weszli do dużej sali wystawowej. – Oto Czarne Muzeum – poinformował Devlin, rozkładając ramiona.

– Słyszałem o nim – rzekł Rebus – ale nigdy nie miałem powodu, by go zwiedzać.

– Jest zamknięte dla publiczności – wyjaśnił Devlin. – Właściwie nigdy nie rozumiałem dlaczego. Gdyby je udostępniono turystom, to Kolegium Lekarskie mogłoby zarobić na tym niezły grosz.

Oficjalna nazwa sali wystawowej brzmiała Playfair Hall i Rebus pomyślał, że ekspozycja nie jest aż tak ponura, jakby to mogło wynikać z jej potocznej nazwy. Obejmowała stare narzędzia chirurgiczne, z wyglądu bardziej pasujące do sali tortur niż do sal operacyjnych. W gablotach leżały kości, a organy ludzkie pływały w słojach z mętnym płynem. Kolejne wąskie schody zaprowadziły ich na półpiętro, gdzie stały następne słoje.

– Nie zazdroszczę nieszczęśnikowi, do którego obowiązków należy dolewanie do nich formaliny – powiedział Devlin, sapiąc z wysiłku.

Rebus zatrzymał się przed jednym ze szklanych cylindrów. Patrzyła na niego twarz niemowlęcia, jednak jakoś dziwnie zniekształcona. Dopiero po chwili uzmysłowił sobie, że odchodzą od niej dwa zupełnie oddzielne korpusy. Bliźnięta syjamskie połączone wspólną głową, po połowie należąca do dwóch oddzielnych ciał. Rebus, który widział już niejedno okropieństwo, patrzył na potworka z ponurą fascynacją. Wokół było więcej podobnych eksponatów: płodów na różne sposoby zniekształconych. Na ścianach wisiały obrazy, głównie z dziewiętnastego wieku, przedstawiające żołnierzy straszliwie okaleczonych pociskami armatnimi lub z muszkietów.

– A to mój ulubiony obraz – oświadczył Devlin.

W otoczeniu wszystkich brutalnych i krwawych scen obraz był jak oaza spokoju i przedstawiał portret młodego, uśmiechniętego mężczyzny. Rebus przeczytał podpis:

– Doktor Kennet Lovell, luty, tysiąc osiemset dwadzieścia dziewięć.

– Lovell był jednym z anatomów, którym powierzono sekcję zwłok Williama Burke'a. Prawdopodobnie to on właśnie stwierdził zgon Burke'a po zdjęciu go z szubienicy. Portret namalowano niecały miesiąc później.

– Wygląda na całkiem zadowolonego ze swego losu – zauważył Rebus.

Oczy Devlina rozbliły.

– Prawda? Kennet był też przy okazji rzemieślnikiem. Zajmował się stolarką, podobnie jak

diakon William Brodie, o którym na pewno pan słyszał.

– Dżentelmen za dnia, włamywacz nocą – kiwnął głową Rebus.

– I być może pierwowzór dla Dr Jekylla i Mr Hyde’a Stevenson. Jako dziecko, Stevenson miał w swoim pokoju szafę wykonaną przez Williama Brodiego...

Rebus uważnie przyjrzał się portretowi. Lovell miał głęboko osadzone, ciemne oczy, dołek w brodzie i obfite czarne pukle na głowie. Rebus był pewien, że malarz jak zwykle upiększył nieco swego modela i pewnie odjął mu trochę lat i kilogramów. Ale biorąc nawet tę poprawkę, należało stwierdzić, że był to przystojny mężczyzna.

– Ciekawa sprawa z tą panną Balfour – powiedział Devlin, a ta nagła zmiana tematu nieco Rebusa zaskoczyła. Spojrzał na starego profesora, który przestał już sapać i stał ze wzrokiem wbitym w portret.

– Co mianowicie? – spytał.

– No, te trumny znalezione na Arthur’s Seat... i to, jak prasa znów tę sprawę odgrzała. – Odwrócił głowę i spojrzał na Rebusa. – Jedna z teorii głosi, że upamiętniają ofiary Burke’a i Hare’a...

– Tak, wiem.

– A teraz ta następna trumna wydaje się upamiętniać pannę Balfour.

Rebus przeniósł wzrok na portret.

– Lovell robił coś z drewna?

– Na przykład stół w mojej jadalni. – Devlin się uśmiechnął. – To jego dzieło.

– I dlatego pan go kupił?

– To taka mała pamiątka z lat, kiedy rodziła się patologia. Historia medycyny, inspektorze, to historia Edynburga. – Pociągnął lekko nosem i westchnął. – Wie pan, czasami mi tego brakuje.

– Mnie by tam chyba nie brakowało.

Odwrócili się od portretu i ruszyli dalej.

– Na swój sposób czułem się uprzywilejowany – mówił Devlin. – Wieczna fascynacja i zdumienie tym, co ta cielesna powłoka potrafi w sobie kryć. – Dla lepszego efektu klepnął się w klatkę piersiową, a Rebus uznał, że nie ma nic do powiedzenia. Jego zdaniem ciało to ciało, i tyle. Kiedy ciało umiera, wszystko, co w nim było ciekawego, umiera razem z nim. Był nawet gotów powiedzieć to głośno, jednak wiedział, że nie ma szans w dyskusji z profesorem.

Wrócili do głównego holu i Devlin powiedział:

– Inspektorze, naprawdę myślę, że powinien pan się tu zjawić wieczorem. Ma pan jeszcze mnóstwo czasu, żeby wpaść do domu i się przebrać.

– Nie sędzę – odpowiedział Rebus. – Wszyscy i tak tu będą tylko rozmawiać o sprawach zawodowych, sam pan mówił. – A przebrać się nie mam w co, dodał w duchu, bo nie dysponuję smokingiem, nie mówiąc już o całej reszcie.

– Myślę, że spodobałoby się panu – nalegał Devlin. – Szczególnie w nawiązaniu do naszej rozmowy.

– W jakim sensie? – spytał Rebus.

– Na bankiecie przemawiać będzie ksiądz katolicki. Ma mówić o dychotomii ciała i ducha.

– Sam temat wystarczy, żebym się poczuł zagubiony.

Devlin uśmiechnął się pobłaźliwie.

– Sądzę, inspektorze, że pan umyślnie udaje mniej rozgarniętego niż pan jest w rzeczywistości. Pewnie w pańskiej pracy się to przydaje.

Rebus ograniczył się do wzruszenia ramionami.

– A ten mówca – spytał – to nie przypadkiem ojciec Conor Leary?

Devlin spojrzał na niego zaskoczony.

– Zna go pan? To tym bardziej powinien pan do nas dołączyć.

– No, może na jednego drinka przed kolacją – stwierdził Rebus, kiwając głową w zamyśleniu.

Po powrocie na St Leonard's dostrzegł naburmuszoną minę Ellen Wylie.

– Zdaje się, że twoje rozumienie słowa „przerwa” trochę się różni od mojego – powiedziała zaczepnie.

– Natknąłem się na kogoś – wyjaśnił.

Wylie nie ciągnęła dalej tematu, ale widział, że jest zła. Twarz jej zastygła i sprawiała wrażenie, że sięgając po słuchawkę, robi to z wściekłością. Wyraźnie oczekiwała od niego czegoś więcej: przeprosin, a może też pochwały za jej pilność. Odczekał jeszcze chwilę, a kiedy znów z furią natarła na telefon, zapytał:

– Czy to przez tę konferencję prasową?

– Co takiego? – rzuciła słuchawkę na aparat.

– Ellen – powiedział – nie chodzi o to, że...

– Tylko, kurwa, nie waż się mnie pouczać!

Uniósł ręce w geście poddania.

– Okej, zatem koniec ze stosunkami familiarnymi. Żałuję, sierżant Wylie, że zostało to przez was odebrane jako pouczanie.

Patrzyła na niego wściekłym wzrokiem, potem wyraz jej twarzy raptownie złagodniał. Zmusiła się do cienia uśmiechu i roztarta sobie oba policzki.

– Przepraszam – powiedziała.

– I ja też. – Spojrzała na niego pytająco. – Za to, że mnie tak długo nie było. Powiniennem zadzwonić. – Wzruszył ramionami. – Ale za to poznałaś moją straszną tajemnicę.

– To znaczy?

– Żeby zmusić Johna Rebusa do przeprosin, trzeba najpierw pastwić się nad telefonem.

Tym razem głośno się roześmiała. Choć nie był to śmiech płynący z głębi serca i pobrzmiwały w nim tony historyczne, pozwolił jej dojsć do siebie. Oboje znów zajęli się pracą.

Na koniec dnia przyszło im uznać, że właściwie nie osiągnęli niczego. Starając się ją pocieszyć, powiedział, by się nie martwiła, bo z góry było wiadomo, że początki będą trudne. Nakładając płaszcz, spytała, czy wybiera się może gdzieś na drinka.

– Jestem już umówiony – pokręcił głową. – Może kiedy indziej.

– Jasne – powiedziała, jednak z tonu wynikało, że nie bardzo w to wierzy.

Wstąpił samotnie na drinka, ale tylko jednego z uwagi na późniejszą wizytę w Domu Lekarza. Zamówił whisky Laphroaig z kropelką wody, by odrobinę stępić jej ostrość. Wybrał pub, którego Wylie nie mogła znać. Nie miał ochoty na nią wpaść, po tym jak jej odmówił, a zdobyć się na szczerą rozmowę o konferencji prasowej mógłby dopiero po znieczuleniu się kilkoma solidnymi drinkami. Chciał jej powiedzieć, że się myli i że jedna nieudana konferencja prasowa nie oznacza końca kariery. Gill Templer na pewno czuje się zawiedziona, to oczywiste, ale jednocześnie nie jest przecież osobą głupią i mściwą, by rozpoczynać wojnę. Wylie była dobrą policjantką i inteligentnym pracownikiem wydziału śledczego. Jeszcze trafi jej się inna szansa. Gdyby teraz Templer chciała się na niej odegrać, odbiłoby się to rykoszetem na niej samej.

– Jeszcze jedną? – spytał barman.

Rebus spojrział na zegarek.

– Dobra, niech będzie.

Ten rodzaj baru bardzo mu odpowiadał. Niewielki, anonimowy i schowany na uboczu. Na zewnątrz nie było nawet szyldu, ani niczego, co mogłoby go dekonspirować. Mieścił się w bocznej uliczce, tam gdzie trafiali tylko wtajemniczeni. W rogu siedziało dwóch stałych bywalców w podeszłym wieku, obaj sztywno wyprostowani i hipnotycznie wpatrzeni w przeciwną ścianę. Dialog między nimi był oszczędny i prowadzony chrapliwym, gardłowym głosem. Fonia w telewizorze została wyłączona, ale barman i tak wpatrywał się w ekran. Nadawano jakiś amerykański film dziejący się na sali sądowej, a jego bohaterowie miotali się po pomalowanej na szaro sali rozpraw. Od czasu do czasu pokazywano zbliżenie na twarz kobiety, która miała grać bardzo przejętą. Najwyraźniej była niepewna swej mimiki, bo co chwilę dramatycznym ruchem załamywała ręce. Rebus dał barmanowi pieniądze i przelał resztkę z pierwszej szklanki do drugiej, skrupulatnie wytrząsając zawartość do ostatniej kropli. Jeden ze starych bywalców najpierw zakasłał, potem pociągnął nosem. Jego kompan coś powiedział, a on milcząco przytaknął głową.

– O co w tym chodzi? – Rebus nie mógł się powstrzymać, by nie zapytać.

– Co?

– W tym filmie, o co tam chodzi?

– O to co zawsze – odparł barman. Każdy kolejny dzień zdawał się tu upływać według identycznego scenariusza, nawet film na ekranie telewizora. – A co u ciebie? – spytał barman. – Co słyszeć? – Pytania w jego ustach brzmiały nieco wymuszenie, jakby ów scenariusz nie przewidywał pogaduszek z klientami.

Rebus zastanowił się, co mógłby odpowiedzieć. Na przykład, że gdzieś grasuje seryjny morderca i robi to bezkarnie od początku lat siedemdziesiątych. Albo, że zaginiona dziewczyna już prawie na pewno nie żyje. Albo, że bliźnięta syjamskie mogą się urodzić z jedną, potwornie zniekształconą głową.

– Wiesz, jak jest – odpowiedział w końcu, a barman pokiwał głową ze zrozumieniem, jak gdyby takiej właśnie odpowiedzi oczekiwał.

Niedługo potem Rebus wyszedł z baru. Odbił krótki spacer na Nicolson Street i zgodnie z przewidywaniami Devlina drzwi wejściowe do Domu Lekarza stały otworem, a goście już się zaczęli schodzić. Rebus nie miał oczywiście zaproszenia, ale krótka rozmowa poparta legitymacją służbową wystarczyła. Na pierwszym piętrze stali już pierwsi goście z drinkami w dłoniach. Na przykrytych białymi obrusami stołach stały różnorodne kieliszki i inne szkło. Obsługa miała na sobie śnieżnobiałe koszule z muszkami i czarne kamizelki.

– Czym mogę panu służyć?

Rebus chętnie wypiłby jeszcze jedną whisky, wiedział jednak, że po wypiciu trzech czy czterech popłynie. A jeśli popłynie, to najgorsze łupanie w głowie zacznie się wtedy, kiedy przyjdzie czas na spotkanie z Jean.

– Poproszę czysty sok pomarańczowy – powiedział.

– Matko Przenajświętsza, zatem mogę już spokojnie dokonać żywota.

Rebus odwrócił się w stronę mówiącego.

– A to dlaczego? – spytał.

– Bo to znaczy, że zobaczyłem już wszystko, co jest do zobaczenia na naszym cudownym padole. Nalej mu, synu, whisky, i nie skąp przy tym – polecił barmanowi, który zamarł z karafką skoku pomarańczowego w dłoni i spojrzał pytająco na Rebusa.

– Tylko sok proszę. – Rebus był zdecydowany.

– No, przynajmniej czuć od ciebie whisky – powiedział ojciec Conor Leary – więc wiem chociaż, że nie stałeś się nagle abstynentem. Tyle, że z jakiegoś niepojętego powodu chcesz zachować trzeźwość umysłu... – Zamilkł na chwilę, a potem dodał: – Czy to może płeć piękna ma w tym swój udział?

– Marnuje się ojciec jako ksiądz – odpowiedział Rebus z uśmiechem.

Ojciec Conor Leary ryknął śmiechem.

– Chcesz powiedzieć, że byłby ze mnie dobry detektyw? No i niech ktoś temu zaprzeczy. – Spojrzał na barmana i dodał: – Mam nadzieję, że ja nie muszę ci mówić co. – Barman najwyraźniej tego nie oczekiwał, bo odmierzył solidną porcję whisky. Leary z uznaniem pokiwał głową i uniósł szklankę. – *Slainte!*

– *Slainte!* – powtórzył Rebus i pociągnął łyk soku. Conor Leary wyglądał niemal kwitnąco. Kiedy widzieli się ostatnio, stary ksiądz chorował, a w jego lodówce butelki z lekarstwami walczyły o miejsce z butelkami guinnessa.

– Dawno cię nie widziałem – stwierdził Leary.

– Wie ksiądz, jak to jest.

– Wiem, że wam, młodym, zawsze braknie czasu na odwiedzanie słabych i chorych. Zbyt wiele was zajmują uciechy grzesznych ciał.

– Już nawet nie pamiętam, kiedy moje ciało miało okazję popełnić grzech wart wspomnienia.

– A Bóg mi świadkiem, że masz tego ciała pod dostatkiem – powiedział ksiądz i klepnął Rebusa po brzuchu.

– Może na tym właśnie polega mój problem – przyznał Rebus. – Ale za to ksiądz...

– Ach, no tak, myślałeś pewnie, że już szczełłem i ledwo dyszę, co? Nic z tego. Ja tam wolę dobrze zjeść, dobrze wypić i nieważne, co będzie dalej.

Leary ubrany był w granatowe spodnie i wyczyszczone do połysku czarne buty, a koloratka wystawała z popielatego sweterka wyciętego w serek. Istotnie stracił trochę na wadze, ale przez to brzuch i policzki nieco mu obwisły, mocno przerzedzone srebrzyste włosy przypominały jedwabną przędzę, a zapadnięte głęboko oczy otoczone były siateczką zmarszczek. Trzymał szklankę z whisky oburącz, tak jak robotnicy trzymają butelkę.

– Nie jesteśmy ubrani stosownie do okazji – powiedział, rozglądając się wokół po tłumie w smokach.

– Przynajmniej ksiądz jest w uniformie – odparł Rebus.

– Nie do końca – zaprzeczył Leary. – Ja już zakończyłem aktywną służbę. – Mrugnął porozumiewawczo. – Tak czasami jest, że pozwalają nam zdjąć szaty. Tylko że teraz, kiedy przy jakiejś okazji wkładam na siebie starą koloratkę, to od razu wyobrażam sobie, jak jakiś wysłannik papieski rzuca się na mnie z buzdyganem w dłoni i próbuje mi ją zerwać z szyi.

– To trochę tak jak z wystąpieniem z Legii Cudzoziemskiej – uśmiechnął się Rebus.

– Właśnie! Albo jak pozbawienie wojownika sumo warkoczyka, z chwilą gdy przechodzi na emeryturę.

Kiedy podszedł do nich Devlin, obaj jeszcze się śmiali.

– Cieszę się, że udało się panu do nas dołączyć – zwrócił się do Rebusa, nim uściśnął dłoń księdza. – Myślę, że to ksiądz był czynnikiem decydującym w zwabieniu tu inspektora – powiedział, a zwracając się do Rebusa dodał: – A moje zaproszenie jest wciąż aktualne. Jestem

przekonany, że będzie pan chciał posłuchać mowy księdza.

Rebus przecząco potrząsnął głową.

– Ostatnią rzeczą, jakiej potrzebuje taki poganin jak John, jest słuchanie moich nauk o tym, co dla niego dobre, a co nie – powiedział Leary.

– Święta prawda – potwierdził Rebus. – A poza tym jestem pewien, że i tak już to wszystko kiedyś słyszałem. – Popatrzyli na siebie i obu stanęły przed oczyma długie rozmowy, jakie prowadzili kiedyś w księżej kuchni, wspomagając się częstymi wycieczkami do lodówki i barku. Rozmawiali o Kalwinie i o przestępcach, o wierze i o braku wiary. Nawet wówczas, gdy podzielał zdanie księdza, Rebus zawsze starał się odgrywać rolę adwokata diabła, rozbawiając rozmówcę swym uporem. Ich spotkania i rozmowy bywały długie i regularne... aż do chwili gdy pod jakimś pretekstem Rebus zaczął się z nich wymigiwać. Gdyby go dziś Leary zapytał dlaczego, pewnie nie potrafiłby podać powodu. Może powodem było to, że coraz częściej argumentacja księdza zaczynała zawierać prawdy absolutne, a z nimi Rebus nie potrafił sobie radzić. W grze, w której obaj uczestniczyli, Leary starał się cały czas nawracać „poganina”.

– Skoro dręczy cię tak wiele pytań – mawiał – to dlaczego nie pozwalasz, by ktoś ci udzielił na nie odpowiedzi?

– Pewnie dlatego, że wolę stawiać pytania, niż słuchać odpowiedzi – odpowiadał Rebus, a ksiądz w geście rozpaczony rozkładał bezradnie ręce i odbywał kolejny spacer do lodówki.

Devlin spytał księdza o temat jego dzisiejszej mowy i widać było, że profesor już sobie wychylił kilka drinków. Stał z rękami w kieszeniach, a wyraz jego zaróżowionej i uśmiechniętej twarzy był jakby trochę nieobecny. Barman dolewał właśnie Rebusowi soku pomarańczowego, kiedy dołączyli do nich Gates i Curt, dwaj patolodzy ubrani niemal identycznie, przez co jeszcze bardziej niż zwykle sprawiali wrażenie nierozłącznych.

– No i proszę! – wykrzyknął Gates. – Cała banda razem. – Skinął na barmana. – Dla mnie whisky, a dla tego dziewczica czysty tonik.

Curt parsknął śmiechem.

– Nie jestem odosobniony – powiedział, wskazując głową na sok Rebusa.

– Boże Święty, John, powiedz mi przynajmniej, że masz tam w środku gorzałę – zadudnił Gates, po czym dodał: – A w ogóle, to co ty tu, do cholery, robisz? – Jego twarz pokryta była kropelkami potu i miała niemal fioletową barwę, kołnierzyk koszuli zaś wrzynał mu się w szyję. Curt jak zwykle sprawiał wrażenie całkowicie rozluźnionego. Utył parę kilogramów, ale w dalszym ciągu wyglądał szczupłe, a jego twarz nadal miała barwę bladoziemistą. „Bo nigdy nie ogląda słońca” – odpowiadał zwykle, gdy go o to pytano. Wśród policjantów na St Leonard’s zdobył sobie przez to przydomek „Dracula”.

– Bo mam do was sprawę – oznajmił Rebus

– Moja odpowiedź brzmi: nie – odrzekł Gates.

– Ale nie wiesz, o co mi chodzi.

– Wystarczy mi ton twojego głosu. Masz zamiar prosić nas o przysługę. I zaraz powiesz, że nie zabierze nam dużo czasu. I będziesz się mylił.

– Chodzi o protokoły pewnych starych sekcji. Potrzebna mi tylko ich weryfikacja.

– Jesteśmy zawałeni robotą – powiedział Curt przepraszająco.

– A czyje to sekcje? – spytał Gates.

– Jeszcze ich nie mam. Mają mi je przysłać z Glasgow i z Nairn. Może, gdybyś ty o nie wystąpił, to przyspieszyłoby sprawę.

Gates popatrzył na obecnych.

– No i sami widzicie – powiedział.

– Prowadzimy zajęcia na uniwersytecie, John – wtrącił Curt. – Coraz więcej studentów i zajęć, a coraz mniej ludzi do ich prowadzenia.

– Ja to wszystko rozumiem, ale... – zaczął Rebus, jednak Gates odchylił pas na brzuchu i wskazał na ukryty pod nim pager.

– W każdej chwili, nawet dzisiaj, mogą nas wezwać do kolejnych zwłok – oznajmił.

– Coś mi się widzi, że ich nie przekonałeś – zaśmiał się Leary.

Rebus wbił wzrok w Gatesa.

– Mówię poważnie – oświadczył.

– I ja też. Pierwszy od niepamiętnych czasów wolny wieczór, jaki mam, a ty mi zawracasz głowę swoimi sławetnymi „przysługami”.

Rebus uznał, że skoro Gates ma jeden ze swoich „humorów”, nie ma sensu dalej się upierać. Może mają za sobą wyczerpujący dzień w pracy, pomyślał. Ciekawe tylko, czy miewają też inne.

Devlin odchrząknął.

– A może ja bym mógł...?

Leary klepnął go w plecy.

– No i proszę, John. Ofiara sama się zgłasza!

– Wiem, że już od wielu lat jestem na emeryturze, ale myślę, że teoria i praktyka aż tak bardzo się nie zmieniły.

Rebus przyjrzał mu się badawczo.

– Właściwie, najświeższa z tych spraw pochodzi z osiemdziesiątego drugiego roku – powiedział po chwili namysłu.

– W osiemdziesiątym drugim to Donald jeszcze machał skalpelem – przypomniał Gates, a Devlin potwierdził to lekkim ukłonem.

Rebus wciąż się jeszcze wahał. Potrzebny mu był ktoś z werwą, ktoś taki jak Gates.

– Wniosek przyjęto jednogłośnie – oświadczył Curt, wyręczając go w podjęciu decyzji.

Siobhan Clarke siedziała w pokoju i oglądała telewizję. Postanowiła zrobić sobie prawdziwą ciepłą kolację, ale w połowie krojenia papryki odeszła jej ochota, schowała więc wszystko do lodówki i wyciągnęła z zamrażalnika gotowe danie. Pusty pojemnik leżał teraz na podłodze, a ona z podwiniętymi nogami rozsiadła się na kanapie i oparła głowę na zgiętym ramieniu. Laptop leżał na stoliku obok, ale komórka była odłączona, bo nie spodziewała się żadnych wiadomości od Quizmastera. Wzięła do ręki notatnik i raz jeszcze wpatrzyła się w tajemniczy tekst. Na próby rozwikłania zagadki zużyła już kilkadziesiąt kartek papieru, starając się ułożyć z niego anagram i poszukując ukrytych znaczeń. Siedem pletw w górę czyni króla... a potem jeszcze ta wzmianka o „królowej” i „wpadce”. Najbardziej kojarzyło jej się to z grą w karty, ale almanach gier karcianych wypożyczony z Centralnej Biblioteki niczego nie wyjaśnił. Właśnie zmagala się z sobą, czy podjąć jeszcze jedną próbę, kiedy zadzwonił telefon.

– Halo?

– Tu Grant.

Siobhan przyciszyła trochę telewizor.

– Co się dzieje?

– Chyba udało mi się to rozgryźć.

Siobhan spuściła nogi na podłogę.

– Mów.

– Wolałbym ci to pokazać.

Na linii słychać było jakieś hałasy. Podniosła się z kanapy.

– Dzwonisz z komórki? – spytała.

– Tak.

– I gdzie jesteś?

– Stoję pod twoim domem.

Podeszła do okna i wyjrzała na ulicę. Rzeczywiście jego alfa stała pod jej domem na samym środku jezdni. Siobhan uśmiechnęła się.

– No to znajdź sobie jakieś miejsce i włącz na górę. Drugi od góry dzwonek jest mój.

Nim zdążyła złożyć brudne naczynia do zlewu, domofon już zabrzączał. Upewniła się najpierw, że to on, dopiero potem nacisnęła przycisk zwalniający blokadę drzwi wejściowych. Czekala w otwartych drzwiach, aż pokona kilka ostatnich stopni.

– Przepraszam, że tak późno, ale nie mogłem wytrzymać.

– Kawy? – spytała, zamykając za nim drzwi.

– Proszę. Podwójny cukier.

Wzięli kubki z sobą do pokoju.

– Ładnie tu u ciebie – zauważył.

– Mnie też się podoba.

Usiadł obok niej na kanapie i postawił kubek na stoliku. Potem sięgnął do kieszeni i wyciągnął podręczny atlas Londyn od A do Z.

– Londyn? – spytała ze zdziwieniem.

– Przejrzałem notatki o wszystkich królach, jakich pamiętałem z historii, a potem przez wszystko, co się kojarzy ze słowem king. – Położył atlas tylną okładką do góry i wskazał na umieszczoną na niej mapkę londyńskiego metra.

– King's Cross? – domyśliła się.

Kiwnął głową.

– Tak. Zobacz sama.

Wzięła do ręki atlas. Grant ledwo mógł usiedzieć w miejscu.

– *Seven fins high is king* – przypomniał.

– I myślisz że ten king to King's Cross?

Przysunął się do niej bliżej i powiódł palcem po bładoniebieskiej linii przechodzącej przez stację King's Cross.

– Widzisz teraz? – zapytał.

– Nic nie widzę – powiedziała ponuro. – Lepiej sam mi powiedz.

– Przesuń się o jedną stację od King's Cross w górę.

– Highbury i Islington?

– A dalej?

– Finsbury Park... potem Seven Sisters.

– A teraz wróć – powiedział. Był tak podniecony, że aż podskakiwał.

– Tylko się nie posikaj – powiedziała i spojrzała znów na mapkę. – Seven Sisters... Finsbury Park... Highbury i Islington... King's Cross. – I teraz to do niej dotarło. Dokładnie ta sama kolejność, tylko z nazwami w skrócie. – Seven... Fins... High Is... King. – Spojrzała na Granta, a on radośnie potaknął. – O kurczę, niezły jesteś – oznajmiła ze szczerym podziwem, Grant pochylił się ku niej, jakby chciał ją uścisnąć, jednak Siobhan zrobiła unik. Potem zerwał się na nogi i klasnął w dłonie.

– Sam nie mogłem w to uwierzyć – zawołał – kiedy mi się to tak nagle ułożyło. To linia Victoria.

Siobhan kiwnęła głową w milczeniu, bo nic mądrego nie przychodziło jej do głowy. Istotnie wszystkie te stacje leżały na linii Victoria należącej do systemu londyńskiej kolei podziemnej.

– Ale co to wszystko znaczy? – zapytała w końcu.

Znów usiadł obok niej, pochylił się do przodu i oparł łokcie o kolana.

– Teraz właśnie musimy do tego dojść – powiedział.

Przesunęła się po kanapie, nieco się od niego odsuwając, a potem wzięła do ręki notatnik i odczytała: *Ta królowa jada dobrze przed wpadką*. Popatrzyła na niego, ale on tylko wzruszył

ramionami.

– Czy rozwiązanie może tkwić gdzieś w Londynie? – zapytała.

– Nie wiem – odparł. – Pałac Buckingham? Queens Park Rangers? – Znów wzruszył ramionami. – Może i w Londynie.

– A te nazwy stacji metra... Co one znaczą?

– Wszystkie leżą na linii Victoria – powtórzył, bo nic innego nie przyszło mu do głowy.

A potem jednocześnie spojrzeli na siebie.

– Królowa Wiktorii – powiedzieli jednym głosem.

Siobhan miała przewodnik po Londynie, który kupiła, planując kiedyś spędzenie weekendu w tym mieście, do czego zresztą nigdy nie doszło. Chwilę trwało, nim go znalazła. Tymczasem Grant włączył komputer, wszedł do sieci i rozpoczął przeszukiwanie Internetu.

– Może to być na przykład nazwa jakiegoś pubu – powiedział. – Jak w tym serialu *EastEnders*.

– Tak – potwierdziła, zajęta przeglądaniem przewodnika – albo Muzeum Alberta i Wiktorii.

– Nie mówiąc już o dworcu kolejowym Victoria, też zresztą na tej samej linii. Obok jest też dworzec autobusowy. I najgorsza kafeteria w całej Wielkiej Brytanii.

– Mówisz to z własnego doświadczenia?

– Za czasów szkolnych urządziłem sobie parę weekendowych wyjazdów autobusem. Ale nie spodobało mi się. – Przeglądał jakiś tekst na ekranie.

– Nie spodobał ci się autobus, czy nie spodobał ci się Londyn?

– Myślę, że i jedno, i drugie. Czy ta wpadka może twoim zdaniem oznaczać jakąś wpadkę narkotykową?

– Może. Albo jakąś wpadkę na giełdzie. Nie tak dawno było coś takiego, prawda? Nazwali to nawet „czarnym poniedziałkiem”.

Kiwnął głową.

– A może tu nie chodzi o wpadkę, tylko o jakiś pomnik [Angielskie słowo bust ma wiele znaczeń, m.in. akcja policyjna, wpadka, ale także biust, popiersie.] – ciągnęła. – Na przykład pomnik królowej Wiktorii obok restauracji, gdzie się dobrze jada.

Przez chwilę milczeli, szukając czegoś w przewodniku i w Internecie, aż w końcu Siobhan rozbolały oczy i wstała, by zrobić następną kawę.

– Z podwójnym cukrem – przypomniał Grant.

– Pamiętam – mruknęła i spojrzała na niego. Siedział pochylony nad ekranem, a jedna noga bezustannie mu chodziła. Chciała coś powiedzieć o tej jego próbie objęcia jej... jakoś ustalić ich stosunki na przyszłość... wiedziała jednak, że okazja ku temu już minęła.

Wróciła z kuchni z kawami i spytała, czy udało mu się coś znaleźć.

– Tylko typowe atrakcje turystyczne – odparł. Wziął kubek i podziękował jej kiwnięciem

głowy.

– Ale dlaczego Londyn? – spytała.

– Co dlaczego? – Nie odrywał wzroku od ekranu.

– Dlaczego nie gdzieś bliżej domu?

– A może Quizmaster mieszka w Londynie. Przecież tego nie wiemy, prawda?

– Prawda.

– A poza tym, kto powiedział, że Flipa Balfour była jedyną uczestniczką gry. Jestem gotów się założyć, że ta gra ma gdzieś swoją witrynę w Internecie. Albo miała. I każdy, kto chciał się włączyć, mógł z niej skorzystać. Więc na pewno nie wszyscy gracze byli ze Szkocji.

Pokiwała głową.

– Tylko tak się zastanawiam... czy Flipa była na tyle bystra, żeby rozwiązać tę zagadkę?

– Widocznie tak, bo inaczej nie przeszłaby do następnego poziomu.

– A może to jakaś nowa gra – powiedziała Siobhan, a Grant zwrócił ku niej głowę. – Może ta gra jest tylko dla nas.

– Jeśli tylko kiedyś dopadniemy tego bydlaka, to nie omieszkam go zapytać.

Pół godziny później Grant wciąż ślęczał nad listą londyńskich restauracji.

– Nie uwierzysz, ile w tym cholernym mieście jest ulic o nazwach Victoria Road i Victoria Street, a prawie na wszystkich są jakieś knajpy.

Podniósł się, by rozprostować kręgosłup. Sprawiał wrażenie, że cały wcześniejszy entuzjazm go opuścił.

– A nawet nie zaczęliśmy jeszcze pubów – mruknęła Siobhan, przeczesując sobie włosy palcami i odgarniając je z czoła.

– Teraz to właściwie...

– Co właściwie?

– Pierwsza połowa zagadki była pomysłowa. Ale teraz... teraz to już tylko ślęczenie nad wykazami. Czy on oczekuje, że pojedziemy do Londynu i odwiedzimy tam każdą knajpę w nadziei, że obok znajdzie się jakieś popiersie królowej Wiktorii?

– Jeśli na to liczy, to się przeliczy – parsknął Grant, jednak nie wydawał się tym zbytnio rozbawiony.

Siobhan raz jeszcze zajrzała do almanachu gier karcianych. Spędziła już kilka dobrych godzin na jego wertowaniu, ale jak się teraz okazywało szukała nie tam, gdzie trzeba, i nie tego, co trzeba. Ledwo zdążyła do biblioteki, na pięć minut przed jej zamknięciem. Zostawiła samochód na Victoria Street i tylko modliła się w duchu, żeby jej nie wlepili mandatu...

– Victoria Street? – powtórzyła głośno.

– Do wyboru, do koloru. Jest ich dosłownie dziesiątki.

– A niektóre z nich tuż pod nosem.

Spojrzał na nią.

– To prawda – potwierdził.

Zszedł na dół do samochodu i przyniósł wydany przez Wydawnictwa Kartograficzne atlas środkowo-wschodniej Szkocji. Otworzył go na indeksie nazw i przejechał po nim palcem.

– Są Ogrody Wiktorii, szpital królowej Wiktorii w Kirkcaldy... Victoria Street i Victoria Terrace w Edynburgu. – Spojrzał na nią. – Co o tym myślisz?

– Myślę, że na Victoria Street jest parę restauracji.

– A jakieś pomniki?

– Na zewnątrz nie.

Spojrzał na zegarek.

– Pewnie o tej porze wszystko jest już zamknięte, jak myślisz?

Kiwnęła głową.

– Jutro od samego rana – zdecydowała. – Stawiam śniadanie.

Rebus i Jean siedzieli w Sali Palmowej. Ona piła wódkę z sokiem, on delektował się dziesięcioletnią whisky Macallan. Wraz z whisky kelner przyniósł mu niewielki szklany dzbanek z wodą, jednak Rebus nawet do niego nie zajrzał. Już od lat nie był w hotelu Balmoral, a kiedy był tu ostatnio, hotel nazywał się jeszcze North British. Od tamtych czasów trochę się tu zmieniło, jednak Jean nie wydawała się interesować otoczeniem. W każdym razie było tak od chwili, gdy usłyszała opowieść Rebusa.

– To znaczy, że wszystkie mogły zostać zamordowane? – spytała, i twarz jej wyraźnie pobladła. Światła były przyćmione, a z rogu sali dochodziły dźwięki fortepianu. Rebusowi co chwilę wpadał w uszy jakiś znajomy motyw, jednak odnosił wrażenie, że Jean w ogóle nie słyszy muzyki.

– Istnieje taka możliwość – przyznał.

– I całą teorię opierasz tylko na lalkach?

Ich oczy spotkały się, a on pokiwał głową.

– Możliwe, że daję się ponieść fantazji – powiedział. – Ale to trzeba sprawdzić.

– I od czego, na litość boską, masz zamiar zacząć?

– Czekamy na przesyłkę z aktami tych spraw. – Przerwał. – Co ci się stało?

Oczy miała pełne łez. Pociągnęła nosem i sięgnęła do torebki po chustkę.

– To na samą myśl o tym. Pomyśleć, że te wycinki leżały u mnie od tak dawna... Może gdybym je wcześniej przekazała policji...

– Jean. – Wziął jej dłoń w swoje dłonie. – To były tylko lalki i trumienki, nic więcej.

– Pewnie tak – zgodziła się.

– Ale za to może teraz będziesz mogła nam pomóc.

Nie znalazła chusteczki, wzięła więc serwetkę ze stolika i przytknęła ją sobie do powiek.

– W jaki sposób? – spytała.

– Wszystko zaczyna się w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym drugim. Chciałbym wiedzieć, czy ktoś wtedy okazywał specjalne zainteresowanie eksponatami z Arthur's Seat. Czy mogłabyś trochę dla mnie poprzebać?

– Oczywiście.

– Dzięki – powiedział i znów lekko ścisnął jej dłoń. Uśmiechnęła się niepewnie i sięgnęła po drinka. Wysączyła go do końca i dało się słyszeć pobrzękiwanie kostek lodu.

– Jeszcze jednego? – spytał.

Potrząsnęła głową i rozejrzała się.

– Czuję, że to nie jest twój ulubiony typ lokalu.

– Tak myślisz? A jaki jest mój ulubiony?

– Sądzę, że czujesz się znacznie lepiej w małych, zadymionych knajpkach, gdzie jest pełno facetów pokrzywdzonych przez los.

Powiedziała to z uśmiechem, a Rebus wolno pokiwał głową.

– Szybko mnie rozgryzłaś – powiedział.

Przestała się uśmiechać i znów się rozejrzała.

– Byłam tu nie dalej jak w zeszłym tygodniu i to z radoszej okazji... A wydaje się, jakby to było wieki temu.

– A cóż to była za okazja?

– Awans Gill. Jak, twoim zdaniem, jej idzie?

– Gill to Gill. Da sobie radę. – Przerwał i po chwili dodał: – A skoro już mowa o radzeniu sobie, to co z tym reporterem? Wciąż cię napastuje?

Zmusiła się do lekkiego uśmiechu.

– Jest uparty. Dopytuje się o jakich to „innych” mówiłam w kuchni u Bev Dodds. Popelniłam wtedy błąd, przykro mi. – Wydawało się, że nastrój jej się trochę poprawił. – Powinam już wracać. Pewnie znajdę jakąś taksówkę, jeśli...

– Obiecałem, że cię odwiozę do domu. – Kiwnął na kelnerkę i poprosił o rachunek.

Zaparkował saaba na Moście Pomocnym. Wiał przenikliwie zimny wiatr, ale mimo to Jean zatrzymała się, by spojrzeć na roztaczający się stąd widok: pomnik Scotta, zamek, Ogrody Ramsay.

– Jakież to piękne miasto – powiedziała, a Rebus pomyślał, że chętnie by się z nią zgodził, gdyby nie to, że on już tego prawie nie widział. Dla niego Edynburg był już jedynie stanem umysłu, tygłem przestępczych myśli i niskich instynktów. Podobała mu się jego wielkość i zwartość, i podobały mu się jego bary. Jednak jego zewnętrzna fasada już dawno przestała na nim robić wrażenie. Jean otuliła się płaszczem. – Gdzie nie popatrzysz, wszystko kojarzy się

z jakąś legendą, z jakimś fragmentem naszej historii – dodała i spojrzała na niego wyczekująco, a on przytaknął głową i pomyślał o samobójcach, którzy może dlatego skoczyli z Mostu Północnego, że nie dostrzegali tego miasta, które widziała Jean. – Nigdy nie mogę się dość napatrzeć na ten widok – powiedziała, podchodząc do samochodu, a on znów dość nieszczerze pokiwał głową, bo dla niego nie był to widok, a jedynie miejsce dawnych i jeszcze niepełnionych przestępstw.

Kiedy ruszyli, zapytał, czy może nastawić muzykę. Włączył odtwarzacz i samochód zalała lawina dźwięków *In Search Of Space* zespołu Hawkwind.

– Przepraszam – powiedział i wyłączył kasetę. Jean zajrzała do schowka i przejrzała leżące tam kasety. Hendrix, Cream i Stonesi. – Pewnie wszystko to nie w twoim guście – dodał.

Wzięła do ręki kasetę Hendriksa.

– Masz może przypadkiem *Electric Ladyland*?

Rebus spojrzał na nią i uśmiechnął się.

Przez całą drogę do Portobello grał już tylko Hendrix.

– Co cię skłoniło do pracy w policji? – spytała w pewnej chwili.

– A to twoim zdaniem coś niezwykłego?

– To nie jest odpowiedź na moje pytanie.

– To prawda. – Spojrzał na nią i uśmiechnął się, a ona zrozumiałwszy aluzję pokiwała głową i zajęła się słuchaniem muzyki.

Portobello znajdowało się na jego krótkiej liście potencjalnych miejsc, gdzie mógłby zamieszkać po wyprowadzeniu się z Arden Street. Miejscowość leżała w pobliżu plaży, a jej główna ulica obfitowała w niewielkie sklepiki. Kiedyś była modna wśród wyższych sfer odwiedzających ją tłumnie w poszukiwaniu świeżego powietrza i kąpieli w zimnej morskiej wodzie. Czasy tamtej świetności już minęły, ale rynek nieruchomości kreował jej powrót. Wszyscy, których nie stać było na elegancki dom w centrum miasta, zaczęli się przenosić do „Porty”, gdzie wciąż jeszcze można było znaleźć domy z czasów króla Jerzego nie kosztujące majątku. Dom Jean stał na wąskiej bocznej uliczce w pobliżu deptaka.

– To wszystko twoje? – zapytał Rebus, przyglądając się budynkowi przez szybę.

– Kupiłam go wiele lat temu. Wtedy Porty nie było jeszcze takie modne. – Zawahała się. – Czy tym razem masz ochotę wejść na kawę?

Popatrzyli na siebie – on pytająco, ona niepewnie. Potem oboje jednocześnie się uśmiechnęli.

– Z największą przyjemnością – odpowiedział. W chwili, gdy gasił silnik, zadzwonił jego telefon komórkowy.

– Pomyślałem sobie, że chciałby pan wiedzieć – powiedział Donald Devlin. Jego głos, podobnie jak on cały, lekko drżał.

Rebus skinął twierdząco. Stali w Domu Lekarza tuż za jego imponującymi drzwiami wejściowymi. Na górze wciąż jeszcze byli goście, jednak rozmawiali przyciszonymi głosami. Na ulicy stał szary furgon z miejskiej kostnicy, a obok radiowóz policyjny z włączonymi kogutami, które obracając się, co parę sekund rozświetlały na niebiesko fasadę budynku.

– Co się stało? – zapytał Rebus.

– Wygląda na atak serca. Akurat wszyscy stali na górze oparci o balustradę i popijali poobiedni koniak – Devlin pokazał ręką na pierwsze piętro – kiedy on nagle zbladł jak ściana i oparł się o balustradę. Pomyśleliśmy, że pewnie za chwilę będzie wymiotował, ale on jakby zwiotczał, przechylił się i poleciał w dół.

Rebus spojrział na marmurową posadzkę, na której widniała duża plama krwi. Goście stali w grupkach pod ścianami, niektórzy wyszli na zewnątrz na trawnik. Pałac, rozmawiali o przeżytych szoku. Kiedy Rebus znów spojrział na Devlina, ten przyglądał mu się bacznie, jakby był eksponatem pływającym w słoju.

– Dobrze się pan czuje? – spytał, nie spuszczać z niego wzroku. Kiedy Rebus skinął głową, dodał: – Bo zdaje się, że byliście sobie dość bliscy.

Rebus nie odpowiedział. Podeszedł Sandy Gates, ocierając sobie twarz czymś, co wyglądało na serwetkę zabraną ze stołu.

– Straszne – powiedział. – I pewnie nie obejdzie się bez autopsji.

Obsługa furgonu ułożyła na noszach umieszczone w plastikowym worku ciało, okryła je kocem i ruszyła do wyjścia. Rebus przewalczył w sobie chęć, by ich zatrzymać i zażądać otwarcia worka. Pomyślał, że woli, by w jego pamięci ojciec Leary pozostał żywy, taki, z jakim pił tego ostatniego drinka.

– A dopiero co wygłosił fascynującą mowę – powiedział Devlin. – Coś w rodzaju ekumenicznej historii ciała ludzkiego. Było tam wszystko, od świętego sakramentu po Kubę Rozpruwacza w kontekście haruspików.

– Kogo?

– Starożytnych wróżbitów przepowiadających przyszłość na podstawie wnętrzości zwierząt.

Gatesowi odbiło się.

– Ja i tak nie zrozumiałem połowy z tego, co mówił – oświadczył.

– Ale za to drugą połowę przespałeś – zauważył Devlin z uśmiechem. – Całą mowę wygłosił bez żadnych notatek – dodał z podziwem, a potem spojrział w górę, na podest pierwszego piętra.

– A zaczął od upadku człowieka. – Obmacał kieszenie w poszukiwaniu chusteczki.

– Weź to – powiedział Gates, podając mu serwetkę, a Devlin głośno wysmarkał nos.

– Upadek człowieka, a potem on upadł – rzekł Devlin w zadumie. – Może więc Stevenson miał rację.

– W jakim sensie?

– Nazywając Edynburg „przepastnym miastem”. Może zawrót głowy jest wpisany w charakter tego miasta...

Rebus pomyślał, że chyba rozumie, o co mu chodzi. Przepastne miasto... A jego mieszkańcy, wszyscy i każdy z osobna, powoli, niemal niezauważalnie, spadają coraz głębiej w ową przepaść...

– I w dodatku jedzenie też było okropne – zauważył Gates. Zabrzmiało to tak, jakby ubolewał, że Conor Leary nie zjadł przed śmiercią przyzwoitego posiłku. Rebus nie miał wątpliwości, że Leary byłby tego samego zdania.

Jednym z palaczy stojących na zewnątrz był doktor Curt. Rebus dołączył do niego.

– Dzwoniłem do ciebie – powiedział Curt – ale okazało się, że już jesteś w drodze.

– Poinformował mnie profesor Devlin.

– Mówił mi. Zdaje się, że wyczuł, iż z Conorem łączą cię szczególne więzi. – Rebus lekko skłonił głowę. – Wiesz, że był ciężko chory – ciągnął Curt tym swoim charakterystycznie monotonnym głosem, jakby coś dyktował. – Potem, jak wyszedłeś, trochę o tobie opowiadał.

Rebus odchrząknął.

– I co powiedział?

– Powiedział, że czasami uważał cię za swą pokutę. – Curt strząsnął popiół z papierosa, a niebieski błysk z radiowozu na moment rozświetlił jego twarz. – Ale mówiąc to, śmiał się.

– Był moim przyjacielem – powiedział Rebus, a w duchu dodał: A ja mu pozwoliłem odejść. Tylu ludzi oferujących przyjaźń odepchnął od siebie, woląc samotność i fotel pod oknem w mrocznym pokoju. Czasami wmawiał sobie, że w ten sposób wyświadcza im przysługę. Pamiętał, że ludzie, którym w przeszłości pozwolił się do siebie zbliżyć, często z tego powodu cierpieli, czasami wręcz przyplacali to życiem. Ale to nie tak. To przecież wcale nie tak. Pomyślał o Jean i zastanowił się, jak to się może dalej potoczyć. Czy jest już gotów dzielić się sobą z kimś drugim? Gotów tego kogoś dopuścić do mrocznych tajemnic, w których się pławi? Wciąż nie był pewien. Te rozmowy z ojcem Conorem Leary były dla niego niemal jak spowiedź. Odnosił wrażenie, że przed księdzem otworzył swą duszę bardziej niż kiedykolwiek przed kimkolwiek: żoną, córką, kochankami. A teraz już go nie ma... Może poszedł wprost do nieba, choć zapewne wywoła tam niezłe zamieszanie, co do tego Rebus nie miał wątpliwości. Na pewno wda się w dysputę z aniołami w poszukiwaniu zimnego guinnessa i gorącej dyskusji.

– Wszystko w porządku, John? – Curt wyciągnął rękę i dotknął jego ramienia.

Rebus wolno pokręcił głową, nie otwierając oczu. Curt za pierwszym razem nie dosłyszał, więc Rebus musiał jeszcze raz powtórzyć.

– Nie wierzę w niebo.

Na tym polegał jego prawdziwy koszmar. To życie jest jedyne, jakie należy się człowiekowi i po nim nie ma żadnego odkupienia. Nie ma szans, by można było wytrzeć tabliczkę i zacząć od

nowa.

– Wszystko będzie dobrze – odezwał się Curt, wyraźnie nienawykły do roli pocieszyciela. Dłoń, którą próbował uspokajająco ścisnąć ramię Rebusa, zapewne lepiej sobie radziła z martwymi organami w otwartej jamie brzusznej. – Wszystko się jakoś ułoży.

– Tak myślisz? – zapytał Rebus. – Jeśli masz rację, to nie ma na świecie sprawiedliwości.

– O sprawiedliwości wiesz na pewno więcej ode mnie.

– O tak, wiem. – Rebus głęboko zaczerpnął powietrza i ze świstem je wypuścił. Mimo nocnego chłodu, pod koszulą był mokry od potu. – Dam sobie radę – powiedział cicho.

– Jasne, że tak. – Curt skończył palić i wgniół obcasem niedopałek w trawę. – Jak to powiedział Conor: „Wbrew temu, co mówią, jesteś po stronie aniołów”. – Zdjął rękę z ramienia Rebusa. – Czy ci się to podoba, czy nie.

W tym momencie wkroczył Devlin, który chciał zapytać, czy ma już zamawiać taksówkę. Curt spojrzął na niego.

– A co na to Sandy?

Devlin zdjął okulary i z namaszczeniem zaczął je przecierać.

– Powiedział, żebym sobie swój pragmatyzm – cytuję – „w dupę wsadził”.

– Mam tu swój samochód – poinformował Rebus.

– A zdoła pan prowadzić? – zapytał Devlin.

– No jasne, do kurwy nędzy, to w końcu nie był mój ukochany tatuś, nie?! – wybuchnął Rebus, po czym od razu zaczął ich przeproszać.

– Wszyscy jesteśmy podenerwowani – powiedział Devlin, machając uspokajająco ręką. A potem ponownie zdjął okulary i znów zaczął je przecierać, jakby obraz otaczającego go świata wciąż mu się zamazywał.

O siódmej rano we wtorek Siobhan i Grant rozpoczęli obchód Victoria Street. Podjechali od strony wiaduktu Jerzego IV, zapominając oczywiście, że Victoria Street jest teraz jednokierunkowa. Grant zaklął na widok tablicy z zakazem wjazdu i włączył się w sznur samochodów pełną w kierunku świateł na skrzyżowaniu z Lawnmarket.

– Po prostu zaparkuj gdziekolwiek – powiedziała Siobhan, a kiedy Grant przecząco pokręcił głową, spytała: – Dlaczego nie?

– I tak jest już straszny tłok. Nie ma co tego pogarszać.

Roześmiała się.

– Ty tak zawsze? Tylko w zgodzie z przepisami?

Spojrzał na nią zaskoczony.

– O co ci chodzi?

– O nic.

Zamilkł, a kiedy znaleźli się trzy samochody przed światłami, włączył lewy migacz. Siobhan nie mogła powstrzymać uśmiechu. Jeździł szpanerskim samochodem o agresywnym wyglądzie i sportowych osiągnięciach, ale to tylko zewnętrzne pozory – za kierownicą siedział grzeczny i zdyscyplinowany chłopiec.

– Spotykasz się aktualnie z kimś? – spytała, kiedy światła się zmieniły.

Przez moment myślał nad odpowiedzią.

– Aktualnie z nikim – odpowiedział w końcu.

– Bo przez chwilę zdawało mi się, że może ty i Ellen Wylie...

– Pracowaliśmy tylko razem nad jedną cholerną sprawą, nic więcej – nastroszył się.

– Dobra, dobra. Po prostu zdawało mi się, że znaleźliście wspólną płaszczyznę porozumienia.

– Rozumieliśmy się dobrze.

– No i o tym mówię. Więc w czym problem?

Twarz mu poczerwieniała.

– O co ci chodzi?

– Zastanawiałam się, czy może chodziło o różnicę waszych stopni. Bo niektórym mężczyznom trudno się z tym pogodzić.

– Chodzi ci o to, że ona jest sierżantem, a ja posterunkowym?

– Właśnie.

– Więc oświadczam ci, że nie. Nawet mi to nie przyszło do głowy.

Dotarli do ronda wokół Centrum Festiwalowego The Hub, z którego skręt w prawo doprowadziłby ich do zamku. Jednak oni skręcili w lewo.

– Gdzie jedziemy? – spytała Siobhan.

– Pojadę przez Zachodnie Nabrzeże. Przy odrobinie szczęścia znajdziemy gdzieś miejsce na Grassmarket.

– I założę się, że pewnie jeszcze opłacisz parkometr.

– Chyba, że chcesz mnie w tym wyręczyć.

– Ja tam wolę robić za wyrzutka, kolego – parsknęła Siobhan.

Rzeczywiście znaleźli wolne miejsce, a Grant wrzucił monety do parkometru, wyciągnął kwitek i położył go wewnątrz pod szybą.

– Pół godziny nam wystarczy? – zapytał.

– Zależy, co znajdziemy – odparła, wzruszając ramionami.

Przeszli obok pubu o nazwie Ostatnia Kropła upamiętniającej fakt, że kiedyś na szubienicy stojącej kawalek dalej na Grassmarket odbywały się publiczne egzekucje. Victoria Street zakręcała stąd stromym łukiem, wspinając się pod górę na wiadukt Jerzego IV. Wzdłuż ciągnęły się sklepy z pamiątkami i bary, których było tu najwięcej. Tylko jeden z lokali funkcjonował w podwójnej roli kubańskiego baru i restauracji.

– Jak myślisz? – spytała Siobhan.

– Nie sądzę, żeby tam były jakieś popiersia, co najwyżej Fidela Castro.

Przeszli całą długość uliczki po jednej stronie, potem przeszli na drugą i zawrócili. Po tej stronie znajdowały się trzy restauracje, sklep z serami i sklepik oferujący wyłącznie pędzle i sznurki. Pierwszą próbę podjęli w lokalu o nazwie Pierre Victoire. Siobhan zajrzała przez okno i stwierdziła, że wewnątrz jest pustawo i dość skromnie. Mimo to weszli do środka, jednak nawet się nie przedstawili i dziesięć sekund później byli znów na ulicy.

– Jedna z głowy, jeszcze dwie – powiedział Grant, ale w jego głosie brak było entuzjazmu.

Następna była restauracja o nazwie Grain Store i wchodziło się do niej przez bramę i po schodach w górę. W środku już się krzątano, szykując stoły do lunchu. Żadnych popiersi nigdzie nie było.

Kiedy znów znaleźli się na ulicy, Siobhan raz jeszcze głośno powtórzyła treść wskazówki: Ta królowa jada dobrze przed wpadką. Wolno pokręciła głową i powiedziała:

– A może my w ogóle źle się do tego zabieramy?

– Jedyne, co możemy zrobić, to wysłać jeszcze jednego maila do Quizmastera i poprosić o pomoc.

– Nie sądzę, żeby to coś dało.

Grant wzruszył ramionami.

– Proponuję, żebyśmy przynajmniej w następnym miejscu napili się kawy – powiedział. – Nie jadłem dziś śniadania.

Siobhan cmoknęła z naganą w głosie.

– I co by na to mamusia powiedziała?

– Powiedziałyby, że zasnęłam. A ja bym jej wtedy powiedział, że to dlatego, iż przez pół nocy nie zmrużyłem oka, bo siedziałem i próbowałem rozwiązać jedną cholerną zagadkę. – Zawiesił głos. – I jeszcze, że ktoś mi obiecał postawić śniadanie...

Ostatnią była restauracja o nazwie Bleu. Reklamowała się serwowaniem „kuchni światowej”, jednak wewnątrz panowała dość tradycyjna atmosfera: ciasne i mroczne wnętrza z małymi okienkami, urządzone meblami z politurowanego drewna. Siobhan rozejrzała się wokół, nie dostrzegła jednak nawet wazonu z kwiatami. Spojrzała na Granta, który pokazał ręką na prowadzące w górę spiralne schody.

– Jest jeszcze góra – powiedział.

– Czy mogę w czymś państwu pomóc? – zapytał ktoś z obsługi.

– Za moment – odparł Grant i podążył za Siobhan na górę. Na górze było kilka niedużych, połączonych z sobą salek.

Siobhan ruszyła przodem i wszedłszy do drugiej z kolei, nagle głęboko westchnęła. Idący za nią Grant pomyślał, że pewnie znowu nic z tego. Jednak chwilę później usłyszał jej triumfalny okrzyk: „Bingo” i jednocześnie ujrzał stojący wewnątrz pomnik. Było to wykonane z czarnego marmuru prawie metrowej wysokości popiersie królowej Wiktorii.

– O kurcze – powiedział, uśmiechając się. – Udało się!

Zrobił ruch, jakby chciał ją z radości uściskać, jednak Siobhan wymknęła się i podeszła do popiersia. Stało na niskim cokole, podparte po obu stronach kolumnkami. Siobhan obejrzała je dokładnie, ale nie dostrzegła w nim niczego niezwykłego.

– Czekaj, spróbuję je może pochylić – powiedział Grant. Chwycił królową za czepiec i odchylił popiersie do przodu.

– Przepraszam – odezwał się głos za ich plecami. – Czy coś się stało?

Siobhan wsunęła dłoń pod popiersie i wyciągnęła złożoną kartkę papieru. Uśmiechnęła się triumfalnie do Granta, a ten odwrócił się w stronę kelnerki:

– Poproszę dwie herbaty – powiedział.

– Dla niego z podwójnym cukrem – dodała Siobhan.

Usiedli przy najbliższym stoliku. Siobhan trzymała kartkę dwoma palcami za narożnik.

– Myślisz, że mogą być na niej jakieś ślady? – spytała.

– W każdym razie warto sprawdzić.

Wstała, podeszła do stojącego w rogu kredensu ze sztućcami i wróciła z widelcem i nożem. Na widok gościa, który, jak się zdawało, zabiera się do jedzenia kawałka papieru nożem i widelcem, kelnerka omal nie upuściła tacy.

Grant przejął od niej filiżanki, podziękował, a potem zwrócił się do Siobhan.

– No i co tam mamy?

Jednak Siobhan nie spuszczała wzroku z kelnerki.

– Znaleźliśmy to pod figurą – powiedziała, wskazując głową popiersie, a kelnerka kiwnęła głową. – Wie pani może, jak to mogło się tam dostać?

Kelnerka potrząsnęła głową. Przypominała małe, wystraszone zwierzątko. Grant postanowił przyjść jej z odsieczą.

– Jesteśmy z policji – poinformował.

– I chcielibyśmy porozmawiać z menedżerem – dodała Siobhan.

Kiedy kelnerka się oddaliła, raz jeszcze powtórzył pytanie.

– Sam zobacz – odparła Siobhan, obracając arkusz nożem i widelcem w jego stronę.

B4 Scots Law sounds dear. [W dosłownym tłumaczeniu: B4 Prawo Szkotów brzmi drogo.]

– I to wszystko? – spytał.

– Widzisz tyle, co ja.

Podrapał się po głowie.

– No to niewiele, co?

– Poprzednio też było niewiele.

– Ale więcej niż teraz.

Obserwowała w zamyśleniu, jak Grant wrzuca dwie kostki cukru do filiżanki.

– Ale jeżeli to Quizmaster umieścił tu tę kartkę...

– To znaczy, że jest stąd – dorzucił Grant.

– Albo stąd, albo ma tu kogoś, kto z nim współdziała.

– I dobrze zna tę restaurację – dodał Grant, rozglądając się wokół. – Na pewno nie każdy, kto tu zagląda, zadaje sobie trud, żeby wchodzić na górę.

– Myślisz, że może być stałym bywalcem?

Grant wzruszył ramionami.

– Pomyśl tylko, co się mieści w pobliżu, na wiadukcie Jerzego IV. Biblioteka Centralna i Biblioteka Narodowa. A akademicy i mole książkowe uwielbiają zagadki.

– Trafna uwaga. Zresztą do muzeum też niedaleko.

– I do sądów... i do parlamentu... – Uśmiechnął się. – A już przez moment myślałem, że krąg się zacieśnia.

– I może tak jest – odparła i uniosła filiżankę tak, jakby wznosiła toast. – W każdym razie, nasze zdrowie za rozwiązanie pierwszej wskazówki.

– Ile nam jeszcze zostało, nim dojdziemy do Piekliska?

Siobhan zamyśliła się.

– Nie wiem, to pewnie zależy od Quizmastera. Powiedział, że to czwarty poziom. Jak wrócimy do roboty, to wyślę mu maila, żeby go powiadomić. – Schowała kartkę do plastikowej osłonki, a Grant znów przeczytał jej treść. – Coś ci przychodzi do głowy?

– Przypomniałem sobie takie różne głupoty, jeszcze z czasów szkoły podstawowej. Pisało się wtedy w toalecie dla chłopców takie na przykład rebusy. – Wziął serwetkę i napisał: „B4IP”.

Siobhan przeczytała na głos i uśmiechnęła się.

– Fonetycznie *before I pee*, czyli „zanim się wysikam”. Myślisz, że to nasze B4 może oznaczać coś takiego?

– To może być też fragment kodu pocztowego – powiedział, wzduszając ramionami.

– Albo jakieś współrzędne...

Popatrzył na nią.

– Na mapie? – spytał.

– Tylko na jakiej?

– Może to wynika z reszty wiadomości. Jak stoisz ze szkockim prawem?

– Od moich egzaminów minęło już trochę czasu.

– U mnie jak wyżej. A jest może jakieś łacińskie słowo oznaczające *dear*, może coś, co się kojarzy z prawem?

– Zawsze możemy zajrzeć do biblioteki – powiedziała. – Tuż obok mamy wielką księgarnię.

Spojrzał na zegarek.

– Pójdę wrzucić jeszcze trochę kasy do parkomatu.

Rebus siedział za biurkiem, wpatrując się w pięć rozłożonych przed nim kartek papieru. Cała reszta wylądowała na podłodze: teczki z dokumentami, notatki służbowe – wszystko, co leżało na biurku. W biurze było cicho, bo większość pracowników udała się na Gayfield Square, na odprawę. Kiedy wrócą, pewnie nie zachwycą się tym torem przeszkód na podłodze. W przejściu między biurkami postawił też monitor i klawiaturę od komputera, a obok piętrowy koszyk na korespondencję.

Biurko zajęły mu notatki dotyczące pięciu możliwych ofiar. Caroline Farmer, najmłodsza z nich, w momencie zniknięcia miała zaledwie szesnaście lat. Udało mu się w końcu dziś rano dotrzeć do jej matki. Nie była to najłatwiejsza z rozmów.

– O mój Boże, chce pan powiedzieć, że wreszcie są jakieś wiadomości?

Nagły wybuch nadziei zaraz zgasł w wyniku jego odpowiedzi. Ale udało mu się dowiedzieć tego, o co mu głównie chodziło. Caroline nigdy nie dała znaku życia. Zaraz po zniknięciu, kiedy jej zdjęcie ukazało się w gazetach, policja dostała kilka niepotwierdzonych sygnałów, że gdzieś ją widziano. A potem już tylko cisza.

– W zeszłym roku przeprowadziliśmy się – oświadczyła matka Caroline – a to znaczyło, że trzeba było opróżnić jej pokój...

Znaczyło to również, pomyślał Rebus, że przez poprzednie ćwierć wieku pokój Caroline czekał na nią nietknięty, łącznie z plakatami i ciuszkami nastolatki z początku lat

siedemdziesiątych, równiutko ułożonymi w szufladach.

– Wtedy, jak się to stało, to byli nawet tacy, którzy uważali, że to my jej coś zrobiliśmy – ciągnęła matka. – Niech pan pomyśli, jej własna rodzina!

Rebus powstrzymał się od komentarza, że niestety aż nazbyt często zdarza się, że to ojciec ofiary albo jej wujek, albo kuzyn...

– A potem zaczęli się czepiać Ronniego.

– To znaczy jej chłopaka?

– Tak. Był jeszcze dzieciakiem.

– Ale oni się już wcześniej rozstali, prawda?

– Wie pan, jak to nastolatki. – Mówiła to wszystko takim tonem, jakby chodziło o zdarzenia sprzed tygodnia czy dwóch. Rebus nie miał wątpliwości, że równie świeże są jej wspomnienia, prześladowające ją od rana do wieczora, a może też i od wieczora do rana.

– Ale jego udział w końcu wykluczono, tak?

– Tak, dali mu w końcu spokój. Ale on już nigdy nie doszedł do siebie. Jego rodzina wyniosła się stąd, choć jeszcze przez parę lat pisywał do mnie...

– Pani Farmer...

– Nazywam się znowu Colquhoun. Joe mnie zostawił.

– Przykro mi.

– A mnie wcale.

– Czy to miało...? – zaczął i przerwał. – Przepraszam, to nie moja sprawa.

– Nigdy nie chciał o tym rozmawiać – powiedziała tylko, a Rebus pomyślał, że może ojciec Caroline umiał pozwolić jej odejść, czego nie potrafiła zrobić jej matka.

– Moje pytanie może się pani wydać nieco dziwne, pani Colquhoun, ale czy wąż Dunfermline miał dla pani córki jakieś specjalne znaczenie?

– Nie... nie bardzo rozumiem, do czego pan zmierza.

– Ani ja. Chodzi tylko o to, że coś odkryliśmy i chcielibyśmy sprawdzić, czy to może mieć jakiś związek z pani córką.

– A co to takiego?

Pomyślał, że wiązanie znalezionej trumny z zaginięciem córki zbytnio jej nie uraduje, użył więc wyświechtanego wybiegu.

– Niestety w tej chwili nie mogę tego pani zdradzić.

W słuchawce zapadła cisza.

– Lubiła chodzić do wężowu na spacer – powiedziała po chwili.

– Samotnie?

– Jeśli miała na to ochotę. – W jej głosie znów coś zadźwięczało. – Czy właśnie tam coś znaleźliście?

- Nie w takim sensie, jak pani myśli.
- Znaleźliście jej ciało, prawda?
- Absolutnie nie.
- No to co?! – wykrzyknęła histerycznie.
- Niestety nie wolno mi pani...

Odłożyła słuchawkę. Przez chwilę w milczeniu wpatrywał się w swoją, potem też ją odłożył.

Poszedł do toalety i ochlapał sobie twarz wodą. Oczy miał podpuchnięte i podkrążone. Poprzedniej nocy po wyjściu z Domu Lekarza wrócił do Portobello i zaparkował pod domem Jean. Światło w jej oknach było już zgaszone. Otworzył drzwi samochodu i dopiero wtedy się zreflektował. Właściwie, co jej powie? Po co tu przyjechał? Zatrzasnął z powrotem drzwi, starając się to zrobić możliwie jak najciszej, a potem długo siedział z wyłączonym silnikiem i zgaszonymi światłami, słuchając po cichu Hendriksa: *The Burning of the Midnight Lamp*.

Po powrocie na biurku zastał wielkie kartonowe pudło z dokumentacją. Uchylił pokrywę i zajrzał do środka. Pudło nie było pełne nawet w połowie. Wyjął z niego pierwszą z brzegu teczkę z dokumentami i rzucił okiem na wypisaną na maszynie etykietę: „Paula Jennifer Gearing (z d. Mathieson); ur. 10.04.50; zm. 06.07.77”. Ofiara utonięcia z Nairn. Rebus usiadł, przysunął się z krzesłem i zaczął czytać. Jakies dwadzieścia minut później, kiedy robił kolejną notatkę na bloku liniowanego papieru, zjawiała się Ellen Wylie.

– Przepraszam za spóźnienie – rzekła, zrzucając płaszcz.

– Zdaje się, że twoje rozumienie pory przychodzenia do pracy trochę się różni od mojego – powiedział. Zaczerwieniła się, pamiętając swoją wczorajszą uwagę, ale kiedy na niego spojrzała, jego twarz była uśmiechnięta.

- A co tam masz? – spytała.
- Nasi koledzy z północy dotrzykali słowa.
- Paula Gearing?

Rebus skinął głową.

– Miała dwadzieścia siedem lat. Od czterech lat była żoną faceta pracującego na platformie wydobywczej na Morzu Północnym. Ładny bungalow na krańcach miasta. Bezdzietni. Pracowała na pół etatu w lokalnym sklepiku z prasą... pewnie bardziej dla towarzystwa niż dla pieniędzy.

Wylie podeszła do biurka.

– Wykluczono udział osób trzecich?

Rebus postukał palcem w notatki.

– Z tego, co dotąd przeczytałem, wynika, że nikt nie mógł tego zrozumieć. Nie wykazywała żadnych skłonności samobójczych. Sytuację trochę gmatwa fakt, że nikt nie wie, w którym miejscu weszła do wody.

– A protokół sekcji zwłok?

– Jest dołączony. Czy mogłabyś skontaktować się z Donaldem Devlinem i spytać, czy może nam poświęcić trochę czasu?

– Z profesorem Devlinem?

– To jego wczoraj spotkałem. Zgodził się przejrzeć wszystkie protokoły sekcji. – Nie powiedział jej o okolicznościach, w jakich do tego doszło, ani o tym, że Gates i Curt mu odmówili. – Telefon do niego znajdziesz w aktach. Jest jednym z sąsiadów Philippy Balfour.

– Tak, wiem. Widziałeś już dzisiejszą gazetę?

– Nie.

Wyciągnęła egzemplarz z torebki i otworzyła na jednej z wewnętrznych stron. Zamieszczono na niej portret pamięciowy mężczyzny, którego Devlin widział pod domem w dniach poprzedzających zniknięcie Philippy.

– Właściwie mógłby pasować do każdego – powiedział Rebus, a Wylie potwierdziła skinieniem głowy. Mężczyzna na portrecie miał krótkie ciemne włosy, prosty nos, wąsko osadzone oczy i cienką kreskę zamiast ust.

– Zaczynamy gonić w piętę, nie uważasz? – zapytała.

Tym razem Rebus w milczeniu skinął głową. Publikowanie w prasie portretu pamięciowego, szczególnie tak ogólnego jak ten, było przyznaniem się do całkowitej niemocy i szukaniem jakiegokolwiek punktu zaczepienia.

– Zadzwoń do Devlina – dodał po chwili.

– Tak jest, panie inspektorze.

Wzięła gazetę, usiadła przy wolnym biurku i potrząsnęła lekko głową, jakby odganiając zasnuwającą ją mgłę. Potem podniosła słuchawkę i zebrała się w sobie przed następną serią telefonów czekających ją podczas kolejnego długiego i żmudnego dnia pracy.

Rebus zabrał się do czytania akt i w sali zapanowała cisza, a potem z akt rzuciło mu się nagle w oczy nazwisko jednego z policjantów zaangażowanych w śledztwo w Nairn.

Kogoś nazwiskiem detektyw inspektor Watson.

Farmera Watsona.

– Przepraszam, że zawracam panu głowę, panie komisarzu.

Farmer poklepał Rebusa po plecach.

– Możesz już dać sobie spokój z tym „panem komisarzem” – powiedział z uśmiechem.

Ruchem ręki zaprosił Rebusa w głąb mieszkania. Dom przerobiony kiedyś z wiejskiej chałupy mieścił się teraz tuż przy południowej obwodnicy. Ściany w środku pomalowano na bladoseledynowy, a meble pochodziły z lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych. Jedną ze ścian działowych zburzono, dzięki czemu kuchnię od pokoju oddzielał jedynie bufet i przestrzeń jadalna. Stół jadalny aż lśnił czystością, podobnie jak blaty kuchenne i czteropalnikowa

kuchenka. Nigdzie w całej kuchni nie widać było ani jednego brudnego naczynia.

– Masz ochotę na filiżankę czegoś? – zapytał Farmer.

– Herbatę z przyjemnością.

Farmer zachichotał.

– Moja kawa zawsze cię odstręczała, przyznaj się.

– Pod koniec była już coraz lepsza – odparł Rebus wymijająco.

– Siadaj i rozgość się. To długo nie potrwa.

Ale Rebus wolał ruszyć w obchód pokoju. Pod ścianami stały serwantki pełne porcelanowej zastawy i ozdóbek. Na ścianach wisiały oprawione w ramki zdjęcia rodzinne, wśród których Rebus rozpoznał kilka zdobiących do niedawna gabinet Farmera. Dywan był świeżo wyczyszczony odkurzaczem, na lustrze i na ekranie telewizora nie widać było ani jednego pyłku kurzu. Rebus podszedł do wysokich oszklonych drzwi i wyjrzał na zewnątrz, gdzie rozciągał się niewielki ogródek, kończący się stromą skarpą porośniętą trawą.

– Dziś była chyba kobieta od sprzątania, prawda? – zawołał przez ramię.

Farmer znów zachichotał i ułożył tacę z filiżankami na blacie kuchennym.

– Lubię prace domowe – odkrzyknął. – Zwłaszcza, od czasu, kiedy odeszła Arlene.

Rebus odwrócił się i raz jeszcze popatrzył na fotografie na ścianach. Farmer z żoną na czymś ślubie, na jakiejś zagranicznej plaży i w otoczeniu gromadki wnuków. Farmer rozpromieniony, z jak zwykle lekko rozchyłonymi ustami. Jego żona nieco bardziej powściągliwa, o głowę niższa i o połowę szczuplejsza. Zmarła kilka lat temu.

– Może to sposób, by ją pamiętać – powiedział Farmer.

Rebus pokiwał głową: nie pozwolić odejść w zapomnienie. Był ciekaw, czy jej ubiory wciąż jeszcze wiszą w szafach, a na toalecie leży szkatułka z biżuterią...

– A jak tam radzi sobie Gill?

Rebus podszedł w kierunku kuchni.

– Ostro wystartowała – powiedział. – Mnie kazała iść do lekarza, a z Ellen Wylie zrobiła sobie wroga.

– Oglądałem tę konferencję prasową – przyznał Farmer, sprawdzając, czy o czymś nie zapomniał. – Nie pozwoliła Ellen pewnie stanąć na nogi.

– I zrobiła to świadomie.

– Być może.

– Jakoś tak dziwnie jest bez pana. – Rebus położył wyraźny nacisk na tego „pana”. Farmer uśmiechnął się.

– Dzięki za dobre słowo, John. – Podszedł do czajnika, w którym woda zaczynała się gotować. – Ale mimo wszystko domyślałam się, że nie jest to wizyta czysto kurtuazyjna.

– To prawda. Chodzi mi o sprawę, którą zajmował się pan kiedyś w Nairn.

– W Nairn? – Farmer uniósł brwi. – To musiało być ze dwadzieścia parę lat temu. Przenieśli mnie tam z Zachodniego Lothian. Pracowałem w Inverness.

– Zgadza się, ale był pan w Nairn w sprawie utonięcia młodej kobiety.

Farmer zamyślił się.

– A tak – powiedział w końcu. – Jak ona się nazywała?

– Paula Gearing.

– Gearing, tak jest, zgadza się. – Pstryknął palcami, jakby chciał podkreślić, że wciąż ma dobrą pamięć. – Ale cała sprawa była od początku zupełnie jasna i prosta... jeśli czyjaś śmierć w ogóle może taka być.

– No więc właśnie nie jestem tego pewien. – Rebus patrzył, jak Farmer nalewa wrzątku do dzbanka.

– No dobra, to zabierzmy to wszystko do pokoju i tam mi opowiesz, o co chodzi.

I Rebus raz jeszcze opowiedział całą historię: od lalki w Kaskadach, przez tajemnicze znalezisko na Arthur's Seat, aż po serię zaginięć i śmierci w latach 1972 do 1995. Miał ze sobą wycinki prasowe i Farmer wszystkie je przeczytał z uwagą.

– Nie słyszałem nawet o znalezieniu tej lalki na plaży w Nairn – przyznał. – Kiedy ją znaleziono, ja już wróciłem do Inverness. Z mojego punktu widzenia, w tym momencie sprawa śmierci Gearing była praktycznie zamknięta.

– W owym czasie nikt tych dwóch rzeczy nie powiązał. Ciało Pauli morze wyrzuciło sześć kilometrów od miasta. Jeżeli nawet ktoś skojarzył tę trumienkę z jej śmiercią, to pewnie potraktował to jako jej symboliczny pogrzeb. – Zawiesił głos. – Zresztą Gill do dziś nie jest pewna, czy te sprawy są jakoś powiązane.

Farmer pokiwał głową.

– Bo ona na to patrzy z punktu widzenia skierowania sprawy do sądu. Wszystko, czym dysponujesz, to jedynie poszlaki.

– Wiem.

– Ale... – Farmer odchylił się do tyłu. – Trzeba przyznać, że są one dość liczne i mocne.

Rebus wyraźnie odetchnął z ulgą, a Farmer chyba to zauważył, bo uśmiechnął się i powiedział:

– Zły moment, co? Udaje mi się uciec na emeryturę na chwilę przed tym, kiedy tobie udaje się mnie przekonać, że może natknąłeś się na coś ważnego.

– Może mógłby pan porozmawiać z Gill i też ją o tym przekonać.

Farmer pokręcił głową.

– Nie sądzę, by chciała mnie wysłuchać. Teraz ona tam rządzi... i wie, że moja użyteczność dla niej już dobiegła końca.

– Trochę to brutalne, co pan mówi.

Farmer popatrzył na niego przeciągle.

– Ale przecież wiesz, że to prawda. To ją musisz przekonać, a nie mnie, starszego pana kręcącego się w papuciach po domu.

– Jest pan starszy ode mnie o niecałe dziesięć lat.

– Mam nadzieję, John, że tego dożyjesz i będziesz miał okazję samemu się przekonać, że sześćdziesiątka dla mężczyzny to coś zupełnie innego niż pięćdziesiątka. I może ta twoja wizyta u lekarza to nie taki zły pomysł, co?

– Nawet jeśli wiem, co mi powie? – Rebus uniósł filiżankę do ust i dopił herbatę do końca.

Farmer wziął do ręki wycinek z Nairn.

– To czego ode mnie oczekujesz?

– Powiedział pan, że sprawa była zupełnie jasna i prosta. Może mógłby pan ją jeszcze raz przemyśleć i zastanowić się, czy rzeczywiście nic w niej nie zgrzytało – cokolwiek, choćby jakiegoś z pozoru nieistotne drobiazgi. – Po krótkiej przerwie dodał: – I chciałem też zapytać, czy może wie pan, co się później stało z tą lalką.

– Ale teraz już wiesz, że o lalce nic nie wiedziałem.

Rebus skinął.

– Chcesz dotrzeć do tych wszystkich pięciu lalek, prawda? – zapytał Farmer.

Rebus ponownie przytaknął głową.

– To może być jedyny sposób na udowodnienie istnienia między nimi jakiegoś związku.

– Zmierzasz do tego, że ten, kto podrzucił lalkę w siedemdziesiątym drugim roku, podrzucił ją również teraz dla Philippy Balfour?

Rebus raz jeszcze przytaknął.

– Jeśli jest ktoś, kto zdoła to zrobić, to tym kimś jesteś ty, John. Zawsze wierzyłem w twój ośli upór i wrodzony wstręt do podporządkowywania się przełożonym.

Rebus odstawił filiżankę na spodek.

– Traktuję to jako komplement – powiedział. Zbierając się do wyjścia i żegnając się, uprzytomnił sobie nagle, że ten dom jest teraz jedynym obszarem, którym Farmer w pełni zarządza i do którego wprowadził taki sam ład i porządek, jaki za jego czasów panował na St Leonard's. I że jeśli kiedykolwiek straci ochotę lub możliwości, by tak nim zarządzać, zwinie się w kłębek i po prostu umrze.

– To beznadziejne – powiedziała Siobhan Clarke.

Spędzili blisko trzy godziny w Bibliotece Centralnej, a potem w księgarni wydali jeszcze prawie pięćdziesiąt funtów na mapy i przewodniki po Szkocji. Siedzieli teraz w kawiarni Pod Słoniem przy sześćciosobowym stoliku tuż pod oknem na tyłach lokalu i Grant co chwilę zerkał przez szybę na dziedziniec kościoła Franciszkanów i rysujący się w oddali zamek. Siobhan

spojrzała na niego z wyrzutem.

– Całkiem się już wyłączyłeś, co? – spytała.

Nie odrywając wzroku od okna, odparł:

– Czasami tak trzeba.

– No to piękne dzięki za pomoc. – Zabrzmiało to bardziej zgryźliwie, niż chciała.

– To najlepszy sposób – ciągnął dalej, nie przejmując się jej tonem. – Czasami zupełnie utknę nad jakimś hasłem i wtedy nie walczę z krzyżówką na siłę, tylko odkładam na bok i wracam do niej później. I często się okazuje, że jakieś słowa wpadają mi od razu do głowy. Rzecz polega na tym – zwrócił się ku niej – że twój umysł zaczyna funkcjonować według pewnego sztywnego schematu i odrzuca wszelkie inne możliwe rozwiązania. – Wstał, podszedł do kąta, gdzie leżała sterta gazet, i wrócił do stolika z dzisiejszym „Scotsmanem”. – Proszę, Peter Bee – powiedział, składając gazetę tak, by krzyżówka z ostatniej strony znalazła się na wierzchu. – Stosuje zakodowane hasła, ale nie posługuje się, jak niektórzy, anagramami.

Podał jej gazetę, a ona mogła stwierdzić, że Peter Bee to nazwisko autora krzyżówki.

– Dwanaście poziomo – powiedział Grant. – Hasło sugerowało, że chodzi o starożytny rzymski oręż. A potem jednak się okazało, że był to anagram.

– Pasjonujące – stwierdziła Siobhan z przekąsem i rzuciła gazetę na stół, przykrywając nią stertę map i atlasów.

– Próbuję ci tylko wyjaśnić, że czasami trzeba odstąpić od schematu i zacząć wszystko od nowa.

Popatrzyła na niego ze złością.

– Chcesz mi powiedzieć, że właśnie straciliśmy pół dnia na nic?

Wzruszył ramionami.

– No to serdeczne dzięki!

Zerwała się z krzesła i ruszyła w stronę toalet. Stała oparta o umywalkę i wpatrzyła się w jej białą gładź. Złościło ją to, że Grant ma oczywiście rację, tyle że nie potrafiła się zdobyć na jego luz. Chciała tę grę rozpracować, a teraz ją to naprawdę wciągnęło. Była ciekawa, czy Flipa Balfour też się tak dała omotać. I gdyby utknęła, to czy wtedy poprosiłaby kogoś o pomoc?

Siobhan przypomniała sobie, że wciąż jeszcze nie przepytowała rodziny i przyjaciół Flipy w sprawie tej gry. Wprawdzie nikt z nich ani słowem o niej nie wspomniał w trakcie przeprowadzonych przesłuchań, ale właściwie nie mieli ku temu żadnego powodu. Dla nich mogła to być tylko niewinna zabawa, zwykła gra komputerowa. Więc o czym tu mówić...

Gill Templer zaproponowała jej stanowisko rzeczniczki prasowej, ale dopiero po tym, jak świadomie upokorzyła Ellen. Byłoby miło móc powiedzieć, że odrzuca propozycję z uwagi na solidarność koleżeńską, tyle że wcale tak nie było. Bała się, że w większym stopniu był to wpływ Johna Rebusa. Pracowała u jego boku już od dobrych paru lat i nauczyła się dostrzegać jego silne

i słabe strony. I w sumie, podobnie jak wielu kolegów, ceniła jego nieszablonowe i indywidualne podejście do spraw i sama też chciała tak postępować. Tyle że w policji ceniło się co innego. Było w niej miejsce na jednego takiego Rebusa, a tymczasem przed nią otwierała się szansa na awans. To prawda, że przyjmując propozycję, przejdzie w pełni na stronę Gill Templer, a to oznacza słuchanie poleceń, wspieranie w każdej sytuacji szefostwa i nie wychylanie się. Ale też zapewni sobie poczucie bezpieczeństwa i zagwarantuje dalszy awans... Awansuje na inspektora, potem, może jeszcze przed czterdziestką, na starszego inspektora. Teraz dopiero pojęła, że Gill zaprosiła ją wtedy na szampana i kolację, by jej pokazać, jak to się robi. Jak utrzymywać stosunki z odpowiednimi ludźmi i jak ich należycie traktować. Jak zachowywać cierpliwość i zbierać za to nagrody. Lekcję postępowania dostała od niej Ellen i jakże odmienną lekcję otrzymała również ona.

Wróciła do stolika i zobaczyła, że Grant kończy właśnie rozwiązywanie krzyżówki, nonszalancko rzuca gazetę na stół i rozpierając się na krześle, chowa długopis do kieszeni. Udawał przy tym, że nie zwraca uwagi na sąsiedni stolik, przy którym nad filiżanką kawy siedziała samotna kobieta z książką w ręku i wyraźnie zerkała w jego stronę.

Siobhan pochyliła się do przodu.

– Myślałam, że już ją przedtem rozwiązałeś – powiedziała, wskazując głową gazetę.

– Za drugim razem idzie łatwiej. – Powiedział to tak cicho, że nie była pewna, czy się nie przesłyszała. – Dlaczego się tak uśmiechasz?

Kobieta przy sąsiednim stoliku wróciła do czytania książki. Było to coś Muriel Spark.

– Przypomniałam sobie jedną starą piosenkę – odparła Siobhan.

Grant spojrział na nią wyczekująco, ale ponieważ wyraźnie nie miała zamiaru kontynuować, wyciągnął dłoń i położył ją na krzyżówce.

– Wiesz, co to są homonimy?

– Nie, ale brzmi to nieprzyzwoicie.

– To są słowa, które brzmią tak samo, a znaczą co innego. W krzyżówkach jest ich pełno.

W tej dzisiejszej też był jeden i za tym drugim razem zacząłem się zastanawiać.

– Zastanawiać nad czym?

– Nad tą ostatnią wskazówką. *Sounds dear* – brzmi drogo. Pomyśleliśmy od razu o słowie *dear* w znaczeniu drogi, kosztowny, prawda?

Siobhan kiwnęła głową.

– Ale to może być też homonim, o czym może świadczyć słowo *sounds* – brzmi.

– Nic z tego nie rozumiem – stwierdziła, jednak poprawiła się na krześle i pochyliła do przodu, wyraźnie zainteresowana.

– Może ono sygnalizować, że słowo, o które nam chodzi, to nie *dear* – drogo, tylko słowo, które brzmi tak samo, na przykład słowo *deer* – jeleni.

Zmarszczyła brwi.

– I wtedy nasza wskazówka brzmi *B4 Prawo Szkotów jeleni*? Czy ze mną jest coś nie w porządku, czy to brzmi jeszcze bardziej bezsensownie niż przedtem?

Wzruszył ramionami i znów odwrócił się ku oknu.

– Jeśli tak mówisz.

Klepnęła go w nogę.

– No, nie bądź taki.

– Uważasz, że tylko tobie wolno się dąsać?

– Przepraszam.

Spojrzał na nią i zobaczył, że znów się uśmiecha.

– Tak już lepiej – powiedział. – No więc tak... Pamiętam, że jest jakaś legenda o tym, skąd się bierze nazwa Holyrood. O tym, jak któryś z naszych królów w zamierzchłych czasach strzelał z łuku do jelenia, pamiętasz?

– Nie mam o tym pojęcia.

– Przepraszam – odezwał się głos od sąsiedniego stolika – ale mimo woli słyszałam państwa rozmowę. – Kobieta odłożyła książkę i patrzyła na nich. – Chodzi o Dawida Pierwszego z dwunastego wieku.

– Coś takiego – powiedziała Siobhan, ale kobieta zignorowała zaczepkę zawartą w jej głosie.

– Wybrał się na polowanie, podczas którego ogromny byk powalił go na ziemię. Król próbował go chwycić za poroże i wtedy ze zdumieniem stwierdził, że byk zniknął, a on trzyma w ręku krzyż. *Holy rood* to tyle co święty krzyż. Król Dawid uznał to za znak dany mu przez niebiosa i kazał w tym miejscu zbudować opactwo Świętego Krzyża, czyli Holyrood.

– Dziękuję pani – rzekł Grant, a kobieta skinęła głową i wróciła do lektury. – Miło spotkać osobę wykształconą – dodał, patrząc na Siobhan, która zareagowała zmrużeniem oczu i zmarszczeniem nosa. – Więc być może ma to jakiś związek z pałacem Holyrood.

– W którym jedna z sal ma numer B4 – dodała Siobhan. – Jak klasa w szkole.

Zorientował się, że sobie z niego pokpiwa.

– W Prawie Szkockim może być jakaś wzmianka o Holyrood. Byłby to wtedy kolejny ślad królewski, jak ten z Wiktorią.

Siobhan rozłożyła ręce.

– Wszystko jest możliwe – mruknęła.

– Więc teraz musimy znaleźć jakiegoś zaprzyjaźnionego specja od prawa.

– Może być ktoś z prokuratury? Bo jeśli tak, to chyba znam kogoś takiego...

Sąd cywilny, tradycyjnie zwany Sądem Szeryfa, mieścił się w nowej siedzibie na Chambers Street, dokładnie naprzeciwko kompleksu muzealnego. Grant znów popędził na Grassmarket, by

wrzucić do parkomatu porcję monet, mimo iż Siobhan próbowała protestować, przekonując go, że mandat wyjdzie taniej. Sama weszła do budynku sądu i odnalazła Harriet Brough. I tym razem miała na sobie tweedowy kostium, a na nogach szare pończochy i czarne buty na płaskim obcasie. Siobhan zwróciła uwagę na jej zgrabne kostki.

– Drogie dziecko, to wspaniale – powiedziała Brough, chwytając rękę Siobhan i potrząsając nią w górę i w dół, jakby pompowała wodę. – Po prostu wspaniale. – Siobhan pomyślała, że makijaż na jej podstarzałej twarzy jedynie podkreśla zmarszczki i fałdy skóry, nadając jej nieco wulgarny wygląd.

– Mam nadzieję, że nie przeszkadzam – zaczęła Siobhan.

– Ależ nic a nic. – Stały w głównym holu wejściowym do budynku, pełnym kręcących się wokół prawników, pracowników sądu i zatroskanych rodzin. Gdzieś głębiej w trzewiach budynku decydowały się ich losy i zapadały decyzje o tym, kto jest winny, a kto nie. – Przyszedł tu na rozprawę?

– Nie, mam tylko pewien problem i pomyślałam, że może będziesz mogła mi pomóc.

– Z największą przyjemnością.

– Chodzi o znaną notatkę. Może się ona wiązać z jedną ze spraw, ale napisana jest czymś w rodzaju szyfru.

– Ależ to podniecające! – sapnęła prawniczka, szeroko rozwierając oczy. – Znajdziemy sobie jakieś miejsce, usiądziemy i wszystko mi opowiesz.

Znalazły wolną ławkę i usiadły. Brough czytała notatkę, nie wyjmując jej z przezroczystej osłonki, a Siobhan patrzyła, jak w milczeniu porusza wargami i marszczy czoło.

– Przykro mi – odezwała się w końcu. – Może byłoby łatwiej, gdybyś mi objaśniła kontekst...?

– Chodzi o poszukiwania zaginionej osoby – wyjaśniła Siobhan. – Podejrzewamy, że uczestniczyła w grze.

– I żeby przejść do następnego poziomu musisz najpierw rozwiązać to, czy tak? Wszystko to strasznie dziwne.

Zjawił się zadyszany Grant, a Siobhan go przedstawiła.

– No i coś się udało? – zapytał, ale Siobhan potrząsnęła tylko głową. Spojrzał na prawniczkę. – Czy B4 może coś oznaczać w Prawie Szkockim? Jakiś paragraf albo podpunkt?

– Mój drogi chłopcze – roześmiała się Brough. – Takich oznaczeń może być nawet kilkaset, choć raczej w postaci 4B, a nie B4. Obowiązuje generalna zasada, że najpierw są cyfry.

Grant kiwnął głową.

– I wtedy znaczyłoby to „paragraf 4, punkt b”, czy tak?

– Właśnie tak.

– Pierwsza wskazówka miała kontekst królewski, a poszukiwanym hasłem była Wiktorija.

Zastanawialiśmy się, czy z kolei ta nie nawiązuje może do Holyrood – wyjaśniła Siobhan, a Brough znów przyjrzała się notatce.

– No cóż, zdaje się że oboje jesteście ode mnie bardziej domyślni – przyznała po chwili. – Może mój prawniczy umysł podchodzi do wszystkiego zbyt dosłownie. – Wyciągnęła rękę z notatką ku Siobhan, ale ją nagle cofnęła. – Zastanawiam się tylko, czy to określenie *prawo Szkotów* nie prowadzi was świadomie na manowce.

– Jak to? – spytała Siobhan.

– Chodzi mi o to, że skoro wskazówka ma być z założenia mglista, to ten, kto ją pisał, mógł świadomie używać słów o podwójnych znaczeniach.

Siobhan popatrzyła na Granta, ale ten tylko wzruszył ramionami. Brough wskazała na notatkę.

– Pamiętam to jeszcze z czasów moich pieszych wędrówek po górach – powiedziała. – Słowo *law* po szkocku może też znaczyć wzgórze...

Rebus rozmawiał przez telefon z menedżerem hotelu Huntingtower.

– Więc może leży gdzieś w magazynie?

– Nie wiem, nie jestem pewien – odparł menedżer.

– A mógłby pan sprawdzić? Albo popytać, bo może ktoś inny wie?

– Mogła zostać wyrzucona podczas remontu.

– Przepadam za takim pozytywnym podejściem, panie Ballantine.

– A może ten, kto ją znalazł...

– Oświadczył, że ją oddał w hotelu. – Rebus miał już za sobą rozmowę z reporterem z „Couriera”, który wówczas zajmował się tą sprawą. Dziennikarz zaczął go od razu wypytywać i Rebus wyjawiał mu, że w Edynburgu pojawiła się kolejna trumienka, choć z całą mocą podkreślił, że wiązanie tych zdarzeń ze sobą jest „na pograniczu czystej fantazji”. Brakowało mu tylko wścibskich dziennikarzy węszących wszędzie, gdzie się da. Od reportera dostał nazwisko człowieka, którego pies odnalazł wtedy trumienkę. Po kilku dalszych telefonach Rebus dotarł do niego i usłyszał, że zaraz po znalezieniu przekazał trumienkę komuś w hotelu i więcej się tą sprawą nie interesował.

– No cóż – westchnął menedżer – niczego nie mogę obiecać...

– Proszę dać mi znać natychmiast, jak tylko pan ją znajdzie – odparł Rebus i raz jeszcze powtórzył nazwisko i numer telefonu. – To sprawa nie cierpiąca zwłoki, panie Ballantine.

– Zrobię, co będę mógł – jęknął menedżer.

Rebus odłożył słuchawkę i spojrzał na biurko vis a vis, przy którym siedzieli Ellen Wylie i Donald Devlin. Profesor miał na sobie jeden ze swych niezliczonych blezerów, tyle że tym razem nie brakowało w nim guzików. Wspólnie ślęczeli nad dokumentacją z sekcji zwłok ofiary

utonięcia w Glasgow i sądząc z wyrazu twarzy Ellen, nie bardzo im to wychodziło. Devlin ustawił sobie krzesło tuż obok niej i w czasie, gdy rozmawiała przez telefon, co chwilę się ku niej nachylał. Może tylko starał się dosłyszeć, o czym rozmawia, jednak Rebus widział wyraźnie, że ona nie jest tym zachwycona. Próbowwała ukradkiem odsuwać swoje krzesło i tak się na nim wykręcać, by stary miał przed nosem jedynie jej ramię i plecy. Jak dotąd, udawało jej się też unikać wzroku Rebusa.

Zrobił notatkę z rozmowy z menadżerem z hotelu Huntingtower, potem znów chwycił za słuchawkę. Prześledzenie losów trumienki z Glasgow było znacznie trudniejsze. Ktoś, kto się wtedy zajmował tą sprawą, już tu nie pracował, a nikt inny w dziale miejskim niczego sobie nie przypominał. W końcu Rebus zdobył numer telefonu na plebanię i dodzwonił się do pastora Martine'a.

– Czy wiadomo wielebnemu, co się stało z tą trumienką? – zapytał.

– Zdaje się, że zabrał ją ktoś z gazety – odparł pastor Martine.

Rebus podziękował i zadzwonił ponownie do redakcji, gdzie udało mu się ostatecznie dotrzeć do naczelnego, który zażądał najpierw, by mu opowiedzieć całą historię. Rebus zaserwował mu więc opowieść o „edynburskiej trumience” i swoim zaangażowaniu w sprawę z ramienia Wydziału Czystej Fantazji.

– A gdzie dokładnie w Edynburgu znaleziono tę trumienkę?

– W pobliżu zamku – oświadczył Rebus bez wahania i oczyma duszy ujrzał, jak tamten robi notatki i pewnie już planuje wysłanie kogoś na miejsce.

Po następnej minucie oczekiwania ze słuchawką przy uchu, Rebusa przełączono do działu personalnego, gdzie odnaleziono osobę, która wtedy się tym zajmowała. Reporterka nazywała się Jenny Gabriel i obecnie mieszkała w Londynie.

– Pracuje w jednej z tamtejszych ogólnokrajowych płacht – oznajmił Rebusowi szef personelu. – Jenny zawsze o tym marzyła.

Rebus wyszedł więc z biura, kupił kawę, trzy ciastka i cztery londyńskie gazety: „Times”, „Telegraph”, „Guardian” i „Independent”. Przejrzał je wszystkie bardzo uważnie, zwracając szczególną uwagę na nazwiska autorów, nigdzie jednak nie znalazł nazwiska Jenny Gabriel. Niezrażony, zaczął po kolei dzwonić do redakcji i pytać o nią. Przy trzeciej próbie telefonistka kazała mu czekać. Ze słuchawką przy uchu patrzył, jak Devlin posypuje biurko Ellen okruchami z ciastka.

– Łączę – odezwała się wreszcie telefonistka.

Było to chyba najmiłsze słowo, jakie udało mu się dziś usłyszeć. A potem ktoś podniósł słuchawkę.

– Dział miejski.

– Poproszę z Jenny Gabriel.

– Przy telefonie.

Rebus po raz kolejny wygłosił swój tekst.

– Mój Boże! – wykrzyknęła reporterka po wysłuchaniu całej opowieści. – Przecież to było ze dwadzieścia lat temu!

– Mniej więcej – przyznał Rebus. – Więc pewnie już jej pani nie ma?

– Istotnie, nie mam – odpowiedziała, a Rebus poczuł, że serce podchodzi mu do gardła. – Kiedy przenosiłam się na południe, dałam ją w prezencie przyjacielowi. Zawsze był nią zafascynowany.

– Czy może mi pani pomóc w skontaktowaniu się z nim?

– Proszę poczekać, poszukam jego numeru...

Nastąpiła przerwa, którą Rebus wykorzystał na dokładne rozkręcenie całego długopisu. Zdał sobie nagle sprawę, że ma tylko bardzo mgliste pojęcie, jak działa taki mechanizm. Sprężynka, obudowa, wkład... mógł go w całości rozkręcić i złożyć z powrotem, i mimo to nie być ani trochę mądrzejszym.

– Mieszka akurat w Edynburgu – odezwała się Jenny Gabriel i podała numer telefonu. Przyjaciel nazywał się Dominie Mann.

– Bardzo pani dziękuję – powiedział Rebus i rozłączył się.

Pana Manna nie było w domu, ale jego aparat zgłoszeniowy podawał numer komórki, pod którym należało spróbować. Rebus spróbował i ktoś odebrał.

– Halo?

– Czy rozmawiam z panem Mannem...? – Potem Rebus kolejny raz wszystko opowiedział i tym razem się udało. Mann w dalszym ciągu miał tę trumienkę i mógł ją w ciągu dnia podrzucić na St Leonard's.

– Byłbym panu bardzo zobowiązany – oświadczył Rebus. – To zdumiewające, że uchowała się u pana przez tyle lat...

– Miałem zamiar ją wykorzystać w jednej z moich instalacji.

– Instalacji?

– Jestem artystą malarzem. A przynajmniej byłem. Teraz prowadzę własną galerię.

– Ale wciąż pan jeszcze maluje?

– Rzadko. No i całe szczęście, że jej w końcu nie użyłem. Równie dobrze mogłem ją pokryć farbą i owinać bandażami, i teraz tkwiłaby gdzieś u jakiegoś kolekcjonera.

Rebus podziękował malarzowi i odłożył słuchawkę. Devlin skończył jeść swoje ciastko. Ciastko Ellen leżało odsunięte na bok i teraz profesor uporczywie na nie zerkał. Trumienka z Nairn okazała się dużo łatwiejsza do odnalezienia: wystarczyło tylko kilka rozmów, by dotrzeć do celu. Najpierw reporter z gazety powiedział, że musi się rozejrzeć, a potem oddzwonił i podał czyjś numer w Nairn. Ten ktoś też się trochę rozejrzył i w rezultacie odnalazł trumienkę w szopie

u sąsiada.

– Chce pan, żeby ją wysłać pocztą?

– Tak, poproszę – odparł Rebus. – Ekspresem z dwudziestoczworgodzinnyim doręczeniem. – Przez chwilę zastanawiał się nawet, czy nie wysłać po nią samochodu, pomyślał jednak, że może mieć kłopoty z uzasadnieniem kosztu. Od dawna już krążyły różne memoranda na temat niezbędnych oszczędności.

– A kto za to zapłaci?

– Proszę podać wszystkie swoje dane, koszty zostaną panu zwrócone.

Rozmówca przez chwilę się zawahał.

– No dobra – powiedział w końcu. – Będę musiał panu zaufać, nie?

– Jeśli nie można by ufać policji, to komu? – oświadczył Rebus uroczyście. Odłożył słuchawkę i znów spojrzał w stronę biurka Wylie. – No i co? Macie coś? – spytał.

– Posuwamy się do przodu – odpowiedziała poirytowanym głosem.

Devlin wstał z miejsca i strzepując okruszki z kolan, zapytał o „wygódkę”. Rebus wskazał mu kierunek i Devlin ruszył, jednak po drodze zatrzymał się przy jego biurku.

– Nie potrafię nawet wyrazić, jaką mi to sprawia radość – oznajmił.

– Cieszę się, że choć ktoś z nas jest zadowolony, panie profesorze.

Devlin szturchnął palcem w klapę marynarki Rebusa.

– A ja myślę, że pan też jest w swoim żywiole – powiedział z promiennym uśmiechem i wymaszerował z sali.

Rebus podszedł do biurka Wylie.

– Radzę ci zjeść to ciastko, bo inaczej cały się zaślini.

Przez chwilę się wahała, potem przełamała je na pół i jedną część wsadziła sobie do ust.

– Udało się z lalkami – poinformował. – Dwie odnalezione, trzecia bardzo prawdopodobna.

Pociągnęła łyk kawy, by przepłukać sobie usta po lekko słodkim biszkopcie.

– No to idzie ci lepiej niż nam. – Przez chwilę patrzyła na drugą połówkę ciastka, potem chwyciła ją i wrzuciła do kosza. – Bez obrazy – powiedziała.

– Profesor Devlin będzie niepokieszony.

– Na to liczę.

– Pamiętaj, że jest tu, żeby nam pomagać.

Spojrzała na niego przeciągle.

– Od niego śmierdzi.

– Naprawdę?

– Nie zauważyłeś?

– Niczego nie zauważyłem.

Popatrzyła tak, jakby ta jego uwaga wszystko o nim mówiła. A potem opuściła ramiona.

– Dlaczego mnie do tego wzięłeś? Jestem do niczego. Wszyscy widzieli, cały świat, reporterzy, widzowie. I wszyscy o tym wiedzą. Litujesz się nad kaleką, czy jak?

– Moja córka jest kaleką – powiedział cichym głosem.

Twarz jej spłoszyła.

– O Chryste, nie chciałam...

– Ale by odpowiedzieć na twoje pytanie, powiem ci, że jedyną znaną mi osobą, która narzeka na Ellen Wylie jest sama Ellen Wylie.

Potarła dłońmi twarz, jakby chciała wymasować z niej krew.

– Może powiedz to Gill Templer – rzekła w końcu po chwili.

– Gill sama to schrzaniła. Ale to jeszcze nie koniec świata. – Zaczął dzwonić telefon na jego biurku. Rebus, wycofując się tyłem, nie spuszczał z niej wzroku. – Okej? – spytał. Dopiero kiedy kiwnęła głową, odwrócił się i podniósł słuchawkę. Dzwonił menedżer hotelu Huntingtower. Odnaleziono trumienkę na strychu wśród innych przedmiotów zostawionych przez gości w ciągu ostatnich dwudziestu lat: parasoli, okularów, kapeluszy, płaszczy i aparatów fotograficznych.

– Nie chce się wierzyć, jak człowiek widzi, co tam leży – oznajmił pan Ballantine, jednak Rebusa interesowała tylko trumienka.

– Czy może pan to do mnie wysłać ekspresem z dwudziestoczworgodzinnym doręczeniem? Osobiście dopilnuję zwrotu kosztów...

Kiedy Devlin wrócił na salę, Rebus był już w trakcie poszukiwań trumienki z Dunfermline, jednak tym razem natrafił na mur. Nikt – ani miejscowa prasa, ani policja – nic na ten temat nie wiedział. Jedyne, co udało się uzyskać, to obietnice w kilku miejscach, że popytają. Nie wiązał z tym jednak większych nadziei. Od tamtej pory minęło już prawie trzydzieści lat i szansę, by coś można było teraz ustalić, były znikome. Przy biurku naprzeciwko Devlin bezgłośnie zacierał dłonie, a Wylie znów rozmawiała przez telefon. Skończyła i spojrzała na Rebusa.

– Protokół sekcji Hazel Gibbs jest już w drodze – poinformowała.

Rebus przez chwilę patrzył na nią w milczeniu, potem kiwnął głową i uśmiechnął się. Jego telefon znów zadzwonił. Tym razem była to Siobhan.

– Mam zamiar porozmawiać z Davidem Costello – powiedziała. – Więc jeśli nie masz nic lepszego do roboty...?

– Myślałem, że stanowicie zespół z Grantem?

– Komisarz Templer zabrała go na parę godzin.

– Naprawdę? A może chce mu zaproponować stanowisko rzecznika prasowego?

– Nie uda ci się wyprowadzić mnie z równowagi. Więc jak, idziesz czy nie...?

Zastali Costello w mieszkaniu. Ich widok wyraźnie go zaskoczył i wystraszył. Siobhan pośpiesznie go zapewniła, że nie przychodzi z żadnymi złymi wiadomościami, jednak nie

wyglądał na przekonanego.

– Możemy wejść, Davidzie? – zapytał Rebus. Costello dopiero wtedy po raz pierwszy spojrzał na niego i wolno skinął głową. Rebus pomyślał, że jeśli go oko nie myli, na sobie dokładnie to samo, co podczas pierwszej wizyty, a i pokój nie sprawiał wrażenia, by ktoś go od tamtej pory sprzątał. Costello zapuszczał brodę, ale wyraźnie było to dla niego coś nowego, bo co chwilę dotykał zarostu koniuszkami palców.

– A w ogóle są jakieś wiadomości? – zapytał, opadając na futon.

Siobhan i Rebus stali.

– Parę drobiazgów – odparł Rebus.

– Ale pewnie nie wolno ich panu wyjawić, czy tak? – Costello cały czas mościł się na futonie, próbując sobie znaleźć najwygodniejszą pozycję.

– Prawdę powiedziawszy, panie Davidzie – odezwała się Siobhan – to właśnie z tych drobiazgów – w każdym razie z niektórych z nich – bierze się nasza dzisiejsza wizyta. – Podała mu kartkę papieru.

– Co to? – zapytał.

– To pierwsze zadanie z pewnej gry. Gry, w którą, naszym zdaniem, grała Flipa.

Costello wyprostował się i przeczytał wiadomość.

– A co to za gra? – zapytał po chwili.

– Coś co znalazła w Internecie. Prowadzi ją osoba przedstawiająca się jako Quizmaster. Rozwiązywanie kolejnych zagadek pozwala grającemu przechodzić do następnych etapów. Flipa dotarła do poziomu o nazwie Piekłisko i być może zdołała już ten poziom zaliczyć. Tego nie wiemy.

– Flipa? – W głosie Costello pobrzmiwało powątpiewanie.

– Nigdy pan o czymś takim nie słyszał?

Potrząsnął głową.

– Nigdy mi o tym nie mówiła. – Spojrzał w stronę Rebusa, ale ten przeglądał właśnie jakiś zbiorek poezji.

– A czy ona w ogóle interesowała się grami? – spytała Siobhan.

Costello wzruszył ramionami.

– Tylko takimi typowymi, towarzyskimi. Wie pani, jakieś szarady, ewentualnie w detektywa albo w inteligencję.

– Ale nic z dziedziny fantazji? Chodzi mi o gry fabularne.

Powoli pokręcił głową.

– A w Internecie też nic?

Znów pomacał sobie zarost.

– To dla mnie zupełna nowość. – Zawiesił głos i popatrzył najpierw na Siobhan, potem na

Rebusa. – Jesteście pewni, że tu chodzi o Flipę?

– Absolutnie – stwierdziła z naciskiem Siobhan.

– I myślicie, że to ma jakiś związek z jej zniknięciem?

Siobhan uniosła ramiona i spojrzała na Rebusa w nadziei, że może on coś doda, jednak Rebus zagłębiony był teraz we własnych myślach. Przypomniał sobie, co mu o Costello powiedziała matka Flipy, że ją nastawiał przeciwko własnej rodzinie. A gdy Rebus spytał ją dlaczego, odparła, że on już taki jest.

– To ciekawe wiersze – powiedział, machając książeczką. z wyglądu bardziej przypominały satyryczną broszurę w różowej okładce ozdobionej jakimś odręcznym rysunkiem. Potem odczytał z niej dwie linijki. – „Nie dlatego umierasz, boś zasłużył / Umierasz za to, boś akurat pod ręką”. – Rebus zamknął książeczkę i odłożył ją na miejsce. – Nigdy przedtem nie przyszło mi to do głowy – powiedział – ale to prawda. – Przerwał i zapalił papierosa. – Pamiętasz, o czym wtedy rozmawialiśmy? – Zaciągnął się, potem przyszło mu do głowy, by poczęstować Costello, jednak ten przecząco pokręcił głową. Piersiówka po whisky stała pusta, podobnie jak kilka puszek po piwie. Rebus dojrzał je na podłodze w kuchni wśród kubków, talerzy, widelców i pustych opakowań po daniach na wynos. Wcześniej uznał Costello za człowieka nie pijącego, może jednak trzeba będzie tę opinię zrewidować. – Zapytałem cię wtedy, czy Flipa mogła poznać kogoś innego, a ty mi odpowiedziałeś, że by ci o tym powiedziała. Stwierdziłeś też, że nie potrafiła trzymać języka za zębami.

Costello pokiwał potakująco głową.

– A jednak mamy tu grę, w którą grała. I to grę wcale niełatwą, pełną zagadek i podwójnych znaczeń słów. Więc może potrzebowała czyjejs pomocy?

– Ode mnie jej nie miała.

– I nigdy nie wspominała ci o Internecie, ani o kimś imieniem Quizmaster?

Znów potrząsnął głową.

– A w ogóle, to co to za jeden, ten Quizmaster?

– Tego nie wiemy – przyznała Siobhan. Teraz ona podeszła do regału z książkami.

– Ale przecież musi się w którymś momencie ujawnić, nie?

– Bardzo byśmy tego chcieli. – Zdjęła z półki żołnierzyka.

– To też jest z jakiejś gry, prawda?

Costello spojrzał ku niej.

– Tak? Nawet nie wiem.

– To nie pan tym grał?

– Nie mam pojęcia, skąd się to tutaj wzięło.

– Ale musiał już w niejednej bitwie uczestniczyć – zauważyła Siobhan, przyglądając się ułamanemu muszkietowi.

Rebus popatrzył na stojący na biurku komputer – nowy model laptopa – włączony i gotowy do pracy. Obok leżały jakieś podręczniki, a na podłodze stała drukarka.

– Rozumiem, Davidzie, że ty też siedzisz w Internecie.

– A kto nie siedzi?

Siobhan uśmiechnęła się i odłożyła żołnierzyka na miejsce.

– Pan inspektor Rebus ma jak dotąd trudności z opanowaniem elektrycznej maszyny do pisania.

Rebus wiedział, o co jej chodzi: poświęcając go, pragnie rozbroić Costello.

– Dla mnie Internet to jest to, co jest bramce tej drużyny z Mediolanu.

To wywołało uśmiech na twarzy Costello. „Bo on już taki jest...” Tylko jaki naprawdę jest David Costello? Rebusa zaczynało to coraz bardziej intrygować.

– Więc skoro Flipa zachowała tę jedną rzecz w tajemnicy, to być może miała przed panem i inne tajemnice? – zapytała Siobhan.

Costello znów pokiwał głową i znów poprawił się na fotonie, jakby wciąż nie mógł sobie znaleźć miejsca.

– Może ja jej wcale nie znałem – powiedział i raz jeszcze spojrzął na wiadomość na kartce. – A wy wiecie, co to znaczy?

– Siobhan rozwiązała zagadkę – przyznał Rebus – ale doprowadziła ona nas tylko do kolejnej.

Siobhan podała mu kartkę z drugim zadaniem.

– Ta jest jeszcze bardziej idiotyczna niż pierwsza – stwierdził Costello. – Naprawdę nie chce mi się wierzyć, żeby Flipa to rozwiązała. To zupełnie do niej nie pasuje. – Wyciągnął rękę, by zwrócić kartkę.

– A co z jej innymi przyjaciółmi? – zapytała Siobhan. – Czy któreś z nich szczególnie lubi gry i zagadki?

Costello wbił w nią wzrok.

– Myśli pani, że któreś z nich mogło...?

– Ja tylko próbuję dojść, czy Flipa mogła się do kogoś zwrócić o pomoc.

Costello zamyślił się.

– Do nikogo – odpowiedział w końcu. – Nikt taki nie przychodzi mi do głowy. – Siobhan wzięła od niego kartkę. – A to? – zapytał. – Wie pani, co to znaczy?

Spojrziała na treść pewnie już po raz czterdziesty.

– Nie – przyznała. – Jeszcze nie.

Po wyjściu od Costello Siobhan zaproponowała Rebusowi, że go odwiezie na St Leonard's. Przez pierwsze kilka minut milczeli. Ruch był okropny i wyglądało, że wieczorna godzina szczytu z tygodnia na tydzień zaczyna się coraz wcześniej.

– No i co o tym myślisz? – spytała.

– Myślę, że szybciej bym doszedł na piechotę.

Była to w zasadzie odpowiedź, jakiej się spodziewała.

– Te twoje lalki w pudełkach trochę przypominają zabawki, nie uważasz?

– Bardzo dziwne zabawki, jeśli chcesz znać moje zdanie.

– Tak samo dziwne, jak ta internetowa gra.

Rebus pokiwał głową, jednak nic nie powiedział.

– Tylko nie chcę, żeby wyszło na to, że doszukuję się tu jakichś powiązań – zastrzegła się Siobhan.

– Chcesz powiedzieć, że to moja rola? – domyślił się. – Bo jest to istotnie możliwe, prawda?

Teraz z kolei Siobhan pokiwała głową.

– Tak, pod warunkiem, że te wszystkie lalki mają ze sobą jakiś związek.

– Cierpliwości – powiedział Rebus. – A jak na razie, może warto trochę pogrzebać w przeszłości pana Costello.

– Mnie się wydał dość autentyczny. Widziałeś wyraz jego twarzy, kiedy nam otworzył? Był wyraźnie przerażony, że coś się stało. A poza tym już go chyba sprawdzano, prawda?

– To nie znaczy, że czegoś nie przeoczono. Jeśli dobrze pamiętam, zajmował się tym Hi-Ho Silvers, a z niego taki leniwiec, że w dyscyplinie „gnuśność” mógłby startować na olimpiadzie. – Zwrócił się ku niej. – A ty?

– Ja przynajmniej staram się sprawiać wrażenie, że coś robię.

– Pytałem, co zamierzasz teraz robić?

– Teraz myślę, że się udam do domu. Fajrant.

– Tylko uważaj. Pani komisarz Templar lubi, kiedy jej personel pracuje pełne osiem godzin dziennie.

– Jeśli tak, to jest mi winna za masę nadgodzin... tobie zresztą też, tak na marginesie. Kiedy ostatni raz pracowałeś tylko osiem godzin?

– We wrześniu tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego szóstego – oświadczył Rebus poważnie, potem się uśmiechnął.

– Jak tam twój remont?

– Prace elektryczne są już skończone. Teraz wchodzi malarze.

– Znalazłeś już coś nowego?

Potrząsnął głową.

– Trochę cię to dręczy, co? – zapytał.

– Jak się zdecydowałeś sprzedać, to jest to tylko twoja sprawa.

Zrobił kwaśną minę.

– No przecież wiesz, o co mi chodzi.

– O Quizmastera? – Przez chwilę zastanowiła się. – Właściwie to mogłoby mnie to nawet wciągnąć...

– Gdyby nie co?

– Gdybym nie miała poczucia, że on się tym bawi.

– Manipulując tobą?

Siobhan kiwnęła głową.

– A jeżeli robi to ze mną, to to samo robił z Philippą Balfour.

– Cały czas zakładasz, że to jakiś „on” – zauważył Rebus.

– Tylko dla wygody językowej. – Zabrzęczał telefon komórkowy. – To mój – powiedziała Siobhan, widząc, jak Rebus sięga do kieszeni. Jej komórka wraz z zasilaczem przyczepiona była do deski rozdzielczej obok radia. Siobhan nacisnęła guzik, uruchamiając wbudowany mikrofon i głośniczek.

– Głośnomówiący – rzekł Rebus z podziwem.

– Halo? – odezwała się Siobhan.

– Czy to posterunkowa Clarke?

Poznała go po głosie.

– Pan Costello? Czym mogę służyć?

– Tak się właśnie zastanawiałem... nad tym, co pani mówiła o grach i tym wszystkim...

– No i?

– No i znam kogoś, kto w tym siedzi. A dokładniej, Flipa go zna.

– Kto to taki?

Siobhan rzuciła spojrzenie w stronę Rebusa, ale jego notatnik i długopis były już w pogotowiu.

Costello wymienił nazwisko, ale w połowie głos mu się załamał i Siobhan musiała go prosić o powtórzenie. Za drugim razem oboje usłyszeli je głośno i wyraźnie. „Ranald Marr” powtórzyła Siobhan bezgłośnie i zmarszczyła brwi, ale Rebus pokiwał głową. Wiedział, o kogo chodzi. Ranald Marr był współnikiem i partnerem Johna Balfoura, szefem oddziału banku Balfour w Edynburgu.

W biurze panowała cisza. Większość pracowników udała się już do domu, reszta przebywała na Gayfield Square. Patrole wciąż jeszcze chodziły po domach, ale operacja ta właściwie zamierała, bo nie było już kogo przesłuchiwać. Minął kolejny dzień bez jakichkolwiek wiadomości od Philippy Balfour i wciąż nie było wiadomo, czy jeszcze żyje. Jej karty kredytowe i konto w banku pozostawały nietknięte. Nie odezwała się też do nikogo z rodziny ani przyjaciół. Po prostu cisza. Wśród pracowników rozeszły się pogłoski, że Bill Pryde nie wytrzymuje napięcia i posunął się już do tego, że rzucił przez całą salę plikiem notatek wraz z podkładką, tak

że obecni musieli się uchylić, by nie dostać w głowę. Dodatkową presję wywierał John Balfour, który krytykował w mediach brak postępów w śledztwie. Komendant policji zażądał raportu o stanie śledztwa od swego zastępcy, w wyniku czego ten wiecznie siedział wszystkim na karku. Z braku nowych poszlak prowadzono po raz drugi lub trzeci przesłuchania tych samych świadków. Wszyscy chodzili podenerwowani i rozdrażnieni. Rebus próbował się dodzwonić do Pryde'a na Gayfield Square, ale bezskutecznie. Zadzwoił więc do Pałacu i poprosił o połączenie z Claverhousem lub Ormistonem z Sekcji 2 Biura Kryminalnego. Telefon odebrał Claverhouse.

– Mówi Rebus. Potrzebna mi twoja pomoc.

– Co ci strzeliło do głowy, że będę takim frajerem i dam ci się w coś zrobić?

– Czy twoje pytania zawsze są takie dociekliwe?

– Odwal się, Rebus, i wypełnij z powrotem pod swój kamień.

– O niczym innym nie marzę, kolego, ale zabrała mi go twoja mamusia, bo twierdzi, że ma z nim lepiej niż z tobą. – Była to jedyna metoda na Claverhouse'a: ironia i sarkazm posunięte do agresji.

– I ma rację, bo ze mnie zimny skurwiel o kamiennym sercu, a to mi przypomina, że nie odpowiedziałeś na moje pierwsze pytanie.

– To dociekliwe? No więc powiedzmy tak: im szybciej mi pomożesz, tym prędzej będę mógł pójść do pubu i urznąć się w trupa.

– Chryste Panie, człowieku! Dlaczego od razu nie powiedziałaś? Wal!

Rebus uśmiechnął się do słuchawki.

– Potrzebne mi dojsście.

– Do kogo?

– Do *gardai* w Dublinie.

– A to po co?

– Chodzi mi o chłopaka Philippy Balfour. Chcę, żeby pogrzebali w jego przeszłości.

– Postawiłem na niego dychę z wyplątą dwa do jednego.

– No to masz bardzo dobry powód, żeby mi pomóc.

Claverhouse zamyślił się.

– Daj mi piętnaście minut. Tylko siedź przy telefonie.

– Nie ruszę się ani na krok.

Rebus odłożył słuchawkę i odchylił się na krześle. A potem nagle zauważył coś w końcu sali – stary fotel Farmera. Widocznie Gill go tam wystawiła dla kogoś, kto się ma po niego zgłosić. Rebus wstał, przyciągnął go do swojego biurka i rozsiadł się wygodnie. Przypomniał sobie, co powiedział Claverhouse'owi: „...tym prędzej będę mógł pójść do pubu i urznąć się w trupa”. Częściowo wynikało to z przyzwyczajenia, ale w dużej mierze jego organizm po prostu się tego domagał. Tego uczucia mglistej półświadomości, jakie tylko alkohol może zapewnić. Jeden

z zespołów Briana Augera nazywał się Oblivion Express, czyli coś w rodzaju jazdy do utraty świadomości, do zapadnięcia się w nicość. Gdzieś miał nawet ich pierwszą płytę, *A Better Land*. Jak dla niego była nieco zbyt jazzowa. Na dźwięk dzwonka podniósł słuchawkę, jednak dzwonienie nie ustawało. Oczywiście, to komórka. Wyłuskał ją z kieszeni i przystawił do ucha.

– Halo?

– John?

– Cześć, Jean. Miałem do ciebie zadzwonić.

– Możemy teraz rozmawiać?

– Jasne. Ten dziennikarzyna wciąż cię prześladowuje? – Odezwał się telefon na biurku: pewnie Claverhouse. Rebus wstał z fotela, przeszedł przez salę i wyszedł na korytarz.

– Nie aż tak, żebyś sobie nie poradziła – odparła Jean. – Tak jak prosiłeś, pogrzebałam trochę w papierach, ale niestety niewiele udało mi się znaleźć.

– Trudno.

– Spędziłam nad tym cały dzień...

– Jeśli pozwolisz, to rzucę na to okiem jutro.

– Oczywiście, może być jutro.

– Chyba że jesteś wolna dziś wieczorem...?

– Och. – Zawiesiła głos. – Akurat dziś obiecałam przyjaciółce, że ją odwiedzę. Właśnie urodziła dziecko.

– To miłe.

– Przykro mi.

– Nie ma powodu. Zobaczymy się jutro. Może w komisariacie, jeśli nie sprawi ci to kłopotu?

– Dobrze.

Uzgodnili godzinę i Rebus, kończąc rozmowę, wrócił do sali operacyjnej. Odniósł wrażenie, że ucieszyła ją propozycja spotkania dziś wieczorem. Chyba czegoś takiego oczekiwała, jakiegoś sygnału z jego strony, że jest nadal zainteresowany i że nie ogranicza się tylko do spraw służbowych.

A może to tylko jego wyobraźnia?

Wrócił do biurka i zadzwonił do Claverhouse'a.

– Zawiodłeś mnie – powiedział Claverhouse.

– Obiecałem, że się nie ruszę na krok od biurka i słowa dotrzymałem.

– No to dlaczego nie odebrałeś telefonu?

– Bo ktoś mnie w tym czasie dopadł na komórce.

– Ktoś ważniejszy ode mnie? Teraz to już naprawdę mnie zraniłeś.

– Dzwonił mój bukmacher. Jestem mu winien dwieście baniaków.

Przez chwilę w telefonie zapadła cisza, po czym Claverhouse oświadczył:

– No to bardzo mi ulżyło. Dobra, więc twój kontakt w Dublinie nazywa się Declan Macmanus.

Rebus zmarszczył czoło.

– Czy nie tak brzmiało prawdziwe nazwisko Elvisa Costello? – zapytał.

– To widocznie podzielił się nim z kimś w potrzebie – odparł Claverhouse i podał Rebusowi numer telefonu w Dublinie wraz z numerem kierunkowym. – Choć nie sądzę, żeby ci dusigrosze na St Leonard’s pozwolili ci na rozmowę międzynarodową – dodał.

– Rzeczywiście będę musiał wypełnić wniosek – potwierdził Rebus. – I dzięki za pomoc, Claverhouse.

– To idziesz się teraz urząnąć?

– Chyba powinienem. Nie chcę być trzeźwy, kiedy mój bukmacher mnie dorwie.

– I chyba masz rację. No to za wredne konie i pyszną whisky!

– I *vice versa* – dodał Rebus i odłożył słuchawkę. Claverhouse nie mylił się: wszystkie aparaty telefoniczne w całym komisariacie na St Leonard’s miały założone blokady połączeń zagranicznych, Rebus był jednak pewien, że telefon w gabinecie pani komisarz jest „wolny”. Był natomiast inny problem: Gill miała zwyczaj zamykać swój gabinet na klucz. Rebus przypomniał sobie jednak, że Farmer na wszelki wypadek trzymał klucz zapasowy. Kucnął przy drzwiach do gabinetu Gill i odwinął róg wykładziny tuż przy futrynie. Jest – mały kluczyk Yale wciąż jeszcze tam leżał. Wsunął klucz do zamka, wszedł do gabinetu i zamknął za sobą drzwi.

Popatrzył na jej nowy fotel i zdecydował, że lepiej będzie, jak postoi, więc oparł się jedynie o krawędź biurka. Po głowie uporczywie chodził mu wierszyk o trzech niedźwiadkach: „A kto to siedział na mym krześle? A kto to dzwonił z mojego telefonu?”

Telefon odebrano dopiero po kilku dzwonekach.

– Czy mogę rozmawiać z... – przerwał, bo nagle zdał sobie sprawę, że nie zna stopnia Macmanusa – ...z Declanem Macmanusem?

– Kogo mam zameldować? – W głosie kobiety był ten uwodzicielski irlandzki zaśpiew. Wyobraził sobie od razu kruczoczarne włosy i pełne kształty.

– Detektyw inspektor John Rebus, policja okręgu Lothian i Borders w Szkocji.

– Chwileczkę.

W ciągu tej chwileczki pełne kształty przybrały wygląd szklanicy wolno napelniającej się po brzegi guinnessem.

– Inspektor Rebus? – głos był męski i rzeczowy.

– Dostałem pański numer od inspektora Claverhouse’a ze Szkockiego Biura Kryminalnego.

– To szlachetne z jego strony.

– Czasami miewa takie odruchy.

– I czym mogę panu służyć?

– Nie wiem, czy słyszał pan o sprawie, nad którą pracujemy. Chodzi o zaginięcie niejakiej Philippy Balfour.

– Tej córki bankiera? Wszystkie gazety o tym pisały.

– Ze względu na Davida Costello?

– Rodzina Costello jest tu powszechnie znana, panie inspektorze. Można powiedzieć, że stanowi fragment towarzyskiej mozaiki Dublina.

– Pan to oczywiście wie lepiej ode mnie i dlatego zresztą dzwonię.

– Ach tak?

– Chciałbym się dowiedzieć czegoś więcej o tej rodzinie. – Rebus zaczął bezwiednie mazać jakieś bazgrały na kartce papieru. – Jestem pewien, że to ludzie bez skazy, ale byłbym spokojniejszy, gdybym mógł zdobyć na to jakieś dowody.

– Jeśli chodzi o to pańskie „bez skazy”, to ja nie byłbym taki pewien.

– To znaczył

– W każdej rodzinie są jakieś brudy, prawda?

– Pewnie tak.

– Więc może wyślę panu listę brudów rodziny Costello. Co pan na to?

– Byłoby świetnie.

– Ma pan tam jakiś numer faksu pod ręką?

Rebus podał numer.

– Tylko musi pan jeszcze przedtem dodać międzynarodowy numer kierunkowy – uprzedził.

– Myślę, że sobie z tym poradzimy. W jakim stopniu te informacje pozostaną poufne?

– Na tyle, na ile to tylko będzie możliwe.

– Sądzę więc, że będę musiał zawierzyć pana słowu. Interesuje się pan może rugby, inspektorze?

Rebus pomyślał, że chyba lepiej odpowiedzieć twierdząco.

– Niestety jedynie jako kibic.

– Bywam w Edynburgu na turniejach Sześciu Narodów. Może przy następnej okazji wypijemy drinka?

– Z przyjemnością. Proszę sobie zapisać moje telefony. – Podał mu swój numer biurowy i komórki.

– Na pewno się do pana odezwę.

– Koniecznie. Jestem panu winien dużą whisky.

– Nie omieszkam skorzystać. – Zrobił krótką przerwę. – Tak naprawdę, wcale się pan nie interesuje rugby, prawda?

– Nie – przyznał Rebus, a tamten parsknął śmiechem.

– Ale przynajmniej jest pan szczery, a to już coś. Do widzenia, inspektorze.

Rebus odłożył słuchawkę i uzmysłowił sobie, że wciąż nie zna stopnia Macmanusa i właściwie niczego o nim nie wie. Spojrzał na swoje bazgrały i zobaczył, że cała kartka pokryta jest rysunkami trumien. Oczekał dwadzieścia minut na wiadomość od Macmanusa, ale faks milczał jak zaklęty.

Zaczął od Maltings, potem odwiedził Royal Oak, wreszcie dotarł do Swany's. W każdym z pubów wypił tylko po jednym drinku, zaczynając od dużego guinnessa. Dawno już tego nie pił. Smaczne, choć tuczące. Wiedział, że nie może sobie pozwolić na więcej, przeszedł więc na piwo IPA, a zakończył porcją Laphroaig z kropelką wody. Potem wsiadł w taksówkę i kazał się zawieźć do baru Oxford, gdzie spałaszował ostatnią z gablotki bułkę z konserwową wołowiną i ćwikłą i uzupełnił porcją jaja po szkocku. [Scotch egg – popularne w Wielkiej Brytanii danie składające się z jaj na twardo zapiekanych w mielonym i panierowanym mięsie w kształcie rolady, z reguły jedzone na zimno.] Wrócił do piwa IPA, chcąc przepłukać jedzenie.

W pubie było już kilku stałych bywalców. Tylną salkę zajęła grupa studentów i nikt ze stojących przy barze prawie się nie odzywał, jakby dobywające się z głębi wybuchy śmiechu i młodzieńczej radości były tu w jakiś sposób nie na miejscu. Za barem stał Harry, który wyraźnie z utęsknieniem czekał chwili, gdy ci krzykacze się stąd wyniosą. Kiedy któryś z nich zjawiał się przy barze po następną kolejkę, Harry, nalewając, cały czas rzucał uwagi w rodzaju: „Chyba się już zbieracie...” „Pewnie się wybieracie do jakiegoś klubu...” „Wieczór jeszcze przed wami...” Młody człowiek z twarzą połyskującą, jakby była wypolerowana, uśmiechał się głupawo i widać było, że nic do niego nie dociera, a Harry kiwał wtedy głową z rezygnacją. Kiedy młodzieniec, obładowany kufkami wychlapującego się piwa, oddalał się, któryś z bywalców rzucał w stronę Harry'ego uwagę, że traci formę. Wiązanka wyzwisk i przekleństw, wywołana przez tę uwagę, miała świadczyć dobitnie, że jest wręcz przeciwnie.

Rebus przyszedł tu w nadziei, że uda mu się wyrzucić z pamięci tkwiące w niej i nękające go trumienki. Nie potrafił o nich myśleć inaczej niż o dziele jednego i tego samego zabójcy... Zastanawiał się też, czy nie było ich więcej, tyle że gniją gdzieś w zaroślach na zboczach wzgórz lub w jakichś rozpadlinach albo służą znalazcom jako makabryczne ozdoby ich ogrodowych szop... Trumienki z Arthur's Seat, z Kaskad i cztery trumienki Jean. Dostrzegał tu pewną ciągłość i napawało go to lękiem. Po śmierci chcę być poddany kremacji, pomyślał, albo zawieszony gdzieś wysoko na drzewie, tak jak to robią Aborygeni. Byle nie w ciasnocie drewnianego pudła... cokolwiek, tylko nie to.

Kiedy otwarto się drzwi, wszystkie głowy przy barze zwróciły się w stronę przybysza. Rebus aż zeszytywniał, starając się ukryć zdumienie. Do baru weszła Gill Templer. Natychmiast go dostrzegła, uśmiechnęła się, rozpięła płaszcz i ściągnęła z szyi szalik.

– Tak myślałam, że cię tu znajdę – powiedziała. – Próbowałam zadzwonić, ale zgłosiła się

tylko twoja poczta głosowa.

– Czego się napijesz?

– Gin z tonikiem.

Harry usłyszał jej odpowiedź i już sięgał po szklankę.

– Z lodem i cytryną? – zapytał.

– Proszę.

Rebus zauważył, że stojący przy zatłoczonym barze nieco się odsunęli, zostawiając im więcej wolnego miejsca na swobodniejszą rozmowę. Zapłacił za drinka i patrzył, jak Gill pociąga pierwszy łyk.

– To mi było potrzebne – szepnęła.

Rebus uniósł swój kufel, powiedział: *Slainte* i też się napił. Gill patrzyła na niego z uśmiechem.

– Przepraszam – zaczęła – że tak tu cię nachodzę.

– Miałaś ciężki dzień?

– Miewałam lżejsze.

– To co cię tu sprowadza?

– Parę spraw. Po pierwsze, jak zwykle nie zawracasz sobie głowy, żeby mnie informować o postępach w sprawie.

– Bo mam niewiele do przekazania.

– Więc to jednak ślepy zaułek?

– Tego nie powiedziałem. Potrzebuję jeszcze kilku dni. – Znow uniósł kufel.

– Po drugie, ta drobna sprawa twojej wizyty u lekarza.

– Tak, wiem. Zajmę się tym, obiecuję. – Wskazał głową kufel. – Nawiasem mówiąc, to moje pierwsze dzisiaj.

– Aha, akurat – mruknął Harry, zajęty wycieraniem szkła.

Gill uśmiechnęła się, jednak nie oderwała wzroku od Rebusa.

– A jak stoją sprawy z Jean?

Rebus wzruszył ramionami.

– W porządku. Zajmuje się historycznym aspektem sprawy.

– Podoba ci się?

Teraz Rebus obrzucił ją spojrzeniem.

– Chałturzysz jako bezpłatna swatka?

– Byłam tylko ciekawa.

– I przysłałaś tu taki kawał drogi, żeby mnie o to zapytać?

– Jean przeżyła już jeden dramat z alkoholikiem. Jej mąż umarł przez alkohol.

– Tak, opowiadała mi. W tej sprawie możesz być spokojna.

Spojrzała na swoją szklankę.

– A jak ci się układa współpraca z Ellen Wylie?

– Nie narzekam.

– Mówiła coś na mój temat?

– Właściwie to nie. – Rebus opróżnił kufel i zamachał nim, by zwrócić uwagę Harry'ego.

Ten odłożył ścierkę i zabrał się do nalewania. Rebus czuł się trochę skrępowany. Nie podobało mu się, że Gill tak bezceremonialnie tu wtargnęła i go zaskoczyła. Nie podobało mu się również to, że wszyscy bywalcy przy barze wsłuchiwali się w każde ich słowo. Gill chyba wyczuła jego zmieszanie.

– Wolałbyś, żebyśmy porozmawiali w biurze?

Wzruszył ramionami.

– A ty? – spytał. – Jak ci leży to nowe stanowisko?

– Myślę, że sobie poradzę.

– O to jestem spokojny. – Wskazał na jej szklankę i zaproponował powtórkę, ale Gill zaprzeczyła ruchem głowy.

– Nie, powinnam już iść – dodała. – To był tylko krótki przystanek w drodze do domu.

– I ja też – kiwnął głową Rebus i ostentacyjnie spojrzał na zegarek.

– Mam na ulicy samochód, więc może...?

Rebus potrząsnął głową.

– Nie, lubię chodzić, pozwala mi to utrzymać formę.

Zza baru dało się słyszeć parsknięcie Harry'ego. Gill owinęła sobie szyję szalikiem.

– No to ewentualnie do jutra.

– Wiesz, gdzie stoi moje biurko.

Gill popatrzyła wokół – na ściany o barwie zużytego filtra papierosowego, na których wisiało kilka zakurzonych reprodukcji portretów Roberta Burnsa – i kiwnęła głową.

– Tak, wiem. – Potem wykonała pożegnalny gest ręką, który zdawał się być adresowany do całego baru, i wyszła.

– Twoja szefowa? – domyślił się Harry, a kiedy Rebus przytaknął, dodał: – Chętnie się z tobą zamienię – co goście przy barze skwitowali wybuchem śmiechu. Z salki na zapleczu wyszedł student z listą zamówień nabazgroloną na odwrocie koperty.

– Trzy duże IPA – odczytał Harry – dwa lagery, jeden gin z limoną i sodową, dwa becki i jedno białe wytrawne.

Student spojrzał na listę i skinął głową z wyrazem zdumienia na twarzy.

Harry puścił oko do swojej publiczności.

– Studenci studentami, ale to nie znaczy, że nikt tu inny nie umie czytać.

Siobhan siedziała w pokoju wpatrzona w tekst na ekranie laptopa. Była to odpowiedź Quizmastera na jej wcześniejszy e-mail, w którym go poinformowała, że przeszła już do drugiej zagadki.

Zapomniałem powiedzieć, że od teraz działasz na czas. Po dwudziestu czterech godzinach wskazówka traci ważność.

Siobhan zasiadła do klawiatury i napisała: *Uważam, że powinniśmy się spotkać. Mam parę pytań.* Kliknęła „wyślij” i odczekała. Odpowiedź przyszła natychmiast.

Gra odpowie ci na wszystkie pytania.

Nie poddała się i napisała: *Czy Flipie ktoś pomagał? Czy jeszcze ktoś inny gra w tę grę?*

Odczekała kilka minut. Cisza. Stała właśnie w kuchni, nalewając sobie kieliszek czerwonego chilijskiego wina, kiedy usłyszała piknięcie laptopu informujące o nadejściu nowej wiadomości. Tak gwałtownie ruszyła do pokoju, że ochlapała sobie winem całą dłoń.

Cześć Siobhan.

Wpatrzyła się w ekran. Adres nadawcy składał się z szeregu cyfr. Zanim zdążyła zareagować, komputer powiadomił ją, że ma dla niej następną wiadomość.

Jesteś w domu? Widzę, że się u ciebie świeci.

Siobhan zamarła. Zdało jej się, że ekran mruga do niej z wyraźną drwiną. Więc jest gdzieś w pobliżu! Gdzieś pod jej domem! Szybko podeszła do okna i wyjrzała. Na dole pod domem stał samochód z włączonymi światłami.

Alfa należąca do Granta Hooda.

Pokiwał do niej ręką. Siobhan, klnąc pod nosem, wybiegła z mieszkania, zbiegła po schodach i wypadła na ulicę.

– Żarty się ciebie trzymają?! – warknęła.

Hood wygramolił się z samochodu, najwyraźniej zdumiony jej reakcją.

– Akurat miałam Quizmastera na linii – rzuciła. – Więc kiedy się odezwałeś, myślałam, że to wciąż on. – Zmrużyła oczy i przyjrzała mu się podejrzliwie. – A właściwie, to jak ty to zrobiłeś?

Hood uniósł w górę telefon komórkowy.

– Mam w nim WAP – wyjaśnił, skromnie się uśmiechając. – Nowiutki, dziś go dostałem. Można z niego wysyłać e-maile i w ogóle.

Wyszarpnęła mu go z ręki i obejrzała.

– O Jezu, Grant.

– Przepraszam. Chciałem tylko...

Oddała mu aparat. Nie miała wątpliwości, co chciał – chciał się po prostu pochwalić swoją najnowszą zabawką.

– A skąd się tu w ogóle wzięłeś?

– Myślę, że udało mi się to rozwiązać.

Spojrzała na niego.

– Znowu? – Pokręciła głową. – Jak to się dzieje, że czekasz z tym zawsze do późna w nocy?

– Może właśnie w nocy najlepiej mi się myśli. – Spojrzał w stronę domu. – To jak, zaprosisz mnie do siebie, czy będziemy tu dawać bezpłatne przedstawienie dla twoich sąsiadów?

Podążyła za jego wzrokiem. Rzeczywiście w kilku oknach widać było ludzkie sylwetki.

– No dobra, chodź – powiedziała z rezygnacją.

Po wejściu na górę sprawdziła najpierw, czy nie ma czegoś nowego w poczcie, ale Quizmaster już się nie odezwał.

– Pewnie go wystraszyłaś – stwierdził Hood po przeczytaniu dialogu na ekranie.

Siobhan opadła na kanapę i wzięła do ręki kieliszek.

– No to, co masz dla nas dzisiaj, Einsteinie?

– To tak wygląda sławna edynburska gościnność? – zaczął, patrząc wymownie na jej kieliszek.

– Przecież prowadzisz.

– Jeden kieliszek nie zaszkodzi.

Siobhan wstała z miejsca z jękiem niezadowolenia i poszła do kuchni.

Hood sięgnął do torby i zaczął z niej wyciągać mapy i przewodniki turystyczne.

– Coś tam przyniósł? – spytała Siobhan, podając mu kieliszek i napełniając go winem. Sama usiadła, dopiła swoje wino i nalala ponownie, potem odstawiła butelkę na podłogę.

– Jesteś pewna, że ci nie przeszkadzam? – Był to żart mający ją nieco rozchmurzyć, jednak ona wyraźnie nie była w nastroju.

– Mów, co masz do powiedzenia – odparła sucho.

– Więc jeśli jesteś absolutnie pewna, że ci... – Przerwał przygwożdżony jej wzrokiem i wskazał na rozłożone mapy. – Myślałem o tym, co powiedziała ta prawniczka.

– Harriet? – Siobhan zmarszczyła czoło. – Powiedziała, że *law* może znaczyć nie tylko prawo, ale też wzgórze.

Grant kiwnął głową.

– A zatem sformułowanie *Scots Law* – prawo Szkotów – w połączeniu ze słowem *sounds* – brzmi – może oznaczać, że szukamy słowa, które po szkocku brzmi tak samo jak prawo, a znaczy co innego.

– To znaczy...?

Grant rozłożył kartkę papieru i zaczął czytać na głos:

– Wzgórze, pagórek, górka, wzniesienie, skarpa, wierzchołek, zbocze, urwisko... – Odwrócił kartkę w jej stronę. – Słownik pełen jest takich wyrazów bliskoznacznych.

Wzięła od niego kartkę i przebiegła wzrokiem całą listę.

– Ale przecież sprawdziliśmy już wszystkie mapy – powiedziała z pretensją w głosie.

– Tak, ale wtedy nie wiedzieliśmy, czego szukać. Niektóre przewodniki mają na końcu indeks wszystkich wzgórz i wzniesień. Teraz wystarczy tylko na każdej stronie sprawdzić kwadrat B4.

– Szukając czego?

– Wzgórza Jeleni, Bycznego Szczytu, Urwiska Łań...

Siobhan kiwnęła głową.

– Bo zakładasz, że to *sounds dear* oznacza naprawdę deer, czyli jelenia?

Grant pociągnął łyk wina.

– Robię tu wiele różnych założeń, ale lepsze to niż nic.

– I to było takie pilne, że nie mogło poczekać do rana?

– Skoro Quizmaster nagle postanawia grać na czas, to chyba nie mogło.

Hood wziął do ręki pierwszy z brzegu atlas i zajrzał do indeksu nazw.

Siobhan obserwowała go znad kieliszka. Tak, pomyślała, tylko że nic nie wiedziałeś o grze na czas, póki tu nie wszedłeś. Ponadto, wciąż nie mogła się otrząsnąć z wrażenia, jakie zrobił na niej tym mailem wysłanym z telefonu. Zastanowiła się, czy Quizmaster też się może przemieszczać z miejsca na miejsce. Przecież podała mu swoje prawdziwe nazwisko, miasto i miejsce pracy. Ustalenie na tej podstawie jej domowego adresu jest pewnie w dzisiejszych czasach dziecinnie proste. Wystarczy pięć minut pogrzebać w Internecie.

Wydawało się, że Hood nie widzi, iż wciąż mu się przygląda. Może on jest bliżej ciebie, dziewczyno, niż ci się wydaje – pomyślała.

Po pół godzinie włączyła muzykę. Nastawiła EP Mogwai, jedno z bardziej beztrudnych i relaksujących nagrań w historii zespołu. Spytała Hooda, czy ma ochotę na kawę. Siedział na podłodze, oparty plecami o kanapę i z nogami wyciągniętymi przed siebie. Na udach miał rozłożoną mapę Wydawnictw Kartograficznych i wpatrywał się w jeden z kwadratów. Spojrzał na nią i zamrugał, jakby nagle stwierdził, że razi go światło w pokoju.

– Chętnie – odpowiedział.

Kiedy wróciła z kuchni z kubkami, powiedziała mu o Ranaldzie Marr. Twarz mu się wyciągnęła.

– Chciałaś to zachować w tajemnicy, tak?

– Pomyślałam, że to może poczekać do jutra rana.

Wydawał się niezbyt usatysfakcjonowany jej odpowiedzią i przejął od niej kubek, ledwo mruknąwszy słowo podziękowania. Siobhan poczuła, jak znów narasta w niej złość. W końcu to przecież jej dom, jej mieszkanie. Właściwie, to co on tu robi? Do pracy służy biuro, nie jej pokój wypoczynkowy. A dlaczego nie zadzwonił i nie zaproponował, żeby to ona przyjechała do niego? Im więcej o tym myślała, tym bardziej dochodziła do wniosku, że wcale nie zna Granta. Pracowała z nim już przedtem, byli też razem na imprezach, parę razy poszli na drinka i ten jeden

raz na kolację. O ile jej było wiadomo, nigdy nie miał dziewczyny na stałe. Na St Leonard's niektórzy nazywali go nawet Go-Go Gadżet, co było imieniem wziętym z jakiejś kreskówki pokazywanej w telewizji. Był dobrym i sumiennym gliną i jednocześnie częstym obiektem żartów i docinków.

I nie był taki jak ona. A właściwie był zupełnie od niej różny. A mimo to siedziała teraz w domu, dzieliła z nim swój wolny czas i pozwalała, by go znów wypełniał pracą.

Wzięła do ręki kolejny atlas. Podręczny Atlas Drogowy Szkocji. Na pierwszej stronie kwadrat B4 wypadł na wyspie Man. To ją jeszcze dodatkowo spieniło. Przecież wyspa Man nie jest nawet częścią Szkocji. Na następnej stronie kwadrat B4 leżał na Nizinie Yorkshire.

– Jasna cholera – rzuciła głośno.

– Co się stało?

– Ta mapa, to jak z opowieści o Dzielnym Księciu, który poszedł na wojnę. – Na kolejnej stronie w kwadracie B4 leżało Mull of Kintyre, jednak na następnej jej uwagę zwróciła nazwa Loch Fell, oznaczająca jakieś wzgórze nad jeziorem. Przyjrzała się temu miejscu uważniej: w pobliżu leżało miasto Moffat i biegła tędy autostrada M74. Znała Moffat. To takie pocztówkowe miasteczko z conajmniej jednym dobrym hotelem, w którym zatrzymała się kiedyś na lunch. W górnej części kwadratu B4 znajdował się mały trójkącik, oznaczający jakiś szczyt. Szczyt nosił nazwę Hart Fell i miał wysokość 808 metrów. Spojrzała na Hooda. – Słowo *hart* oznacza jakiś gatunek jelenia, prawda?

Wstał z podłogi i usiadł obok niej.

– Tak, *hart* i *hind* to nazwy używane na określenie czerwonego jelenia. *Hart* oznacza samca, *hind* samicę.

– A dlaczego nie po prostu byk i lania?

– O ile wiem, mówi się tak na osobniki starsze.

Przyjrzał się mapie. Jego ramię stykało się z ramieniem Siobhan, a ona starała się nie wzdrygnąć, co nie przychodziło jej łatwo.

– Rany boskie – powiedział – to jest gdzieś na końcu świata.

– Może to tylko zbieg okoliczności – podsunęła.

Pokiwał głową, ale czuła, że już połknął haczyk.

– Kwadrat B4 – szepnął. – Słowo *fell* to jeszcze jeden termin na wzgórze, a słowo *hart* oznacza odmianę jelenia... – Spojrzał na nią i pokręcił głową. – To nie może być zbieg okoliczności.

Siobhan włączyła telewizor i nastawiła telegazetę.

– Co robisz? – spytał.

– Sprawdzam pogodę na jutro. Mowy nie ma, żebyśmy się miała wspinać na Hart Fell w szalejącej burzy.

Rebus wstąpił po drodze na St Leonard's, by zebrać razem wszystkie materiały dotyczące czterech spraw: Glasgow, Dumfermline, Perth i Nairn.

– Wszystko w porządku, panie inspektorze? – spytał jeden z policjantów na służbie.

– Pewno, a co?

Wypił wprawdzie kilka drinków, ale co z tego? Przecież w niczym mu to nie przeszkadza. Pod budynkiem czekała na niego taksówka i już pięć minut później wchodził po schodach do swojego mieszkania. Po dalszych pięciu minutach, z zapalonym papierosem i parującym kubkiem herbaty zabierał się do czytania akt z pierwszej teczki. Siedział w swoim fotelu pod oknem, tej jego oazie spokoju na oceanie chaosu. Z oddali dochodziło wycie syreny – po głosie sądząc, pewnie karetka pędzącej po Melville Drive. W aktach znajdowały się fotografie wszystkich czterech ofiar wzięte z gazet. Obdarzały go swymi czarno-białymi uśmiechami. Przypomnił sobie fragment wiersza z tomiku, który przeglądał u Davida Costello, i pomyślał, że jego treść pasuje do nich wszystkich.

Umarły, bo akurat były.

Zaczął kolejno przyczepiać zdjęcia do wielkiej korkowej tablicy. Miał też pocztówkę kupioną w muzealnym sklepiku z pamiątkami, na której pokazano w zbliżeniu i na czarnym tle trzy trumienki znalezione na Arthur's Seat. Odwrócił pocztówkę i przeczytał objaśnienie: „Wyrzeźbione z drewna figurki, odziane w kawałki materiału i umieszczone w miniaturowych sosnowych trumnach, znalezione wraz z innymi w grocie na północno-wschodnich zboczach Arthur's Seat; czerwiec 1836”. Przyszło mu do głowy, że pewnie w sprawę musiała być zaangażowana ówczesna policja, a to znaczyło, że w archiwum mógł się jeszcze zachować jakiś ślad. Tylko czy w tamtych czasach policja była już na tyle zorganizowana? Wątpił, by istniało wówczas coś na wzór dzisiejszego wydziału śledczego. Pewnie ograniczali się do wpatrywania w oczy ofiar i szukali w nich wizerunku twarzy mordercy. Niezbyt to było odległe od czarów i magii, na jakich opierała się jedna z teorii wyjaśniających genezę figurek. Czy Arthur's Seat było kiedyś miejscem obrzędów czarownic? W dzisiejszych czasach pewnie zaczęłyby od powołania jakiejś Grupy Inicjatywnej Aktywności Zawodowej Pracownic Sektora Czarów.

Wstał i włączył muzykę. Dr John, *The Night Tripper*. Potem wrócił do stołu i przypalił nowego papierosa od niedopałka poprzedniego. Dym gryzł go w oczy, więc je przymknął. Kiedy je znów otworzył, z trudem udało mu się ponownie skupić wzrok, tak jakby zdjęcia czterech kobiet pokrywała gaza. Parę razy zamrugał powiekami i potrząsnął głową, starając się pozbyć uczucia znużenia.

Kiedy obudził się kilka godzin później, stwierdził, że wciąż siedzi przy stole i opiera głowę na splecionych ramionach. Z fotografii nadal patrzyły na niego niespokojne twarze kobiet, które go wcześniej prześladowały we śnie.

– Bardzo chciałbym wam pomóc – powiedział głośno i ruszył do kuchni. Wrócił z kubkiem herbaty, który postawił obok fotela pod oknem. Oto udawało mu się przetrwać kolejną długą noc, dlaczego więc nie odczuwał z tego powodu żadnej satysfakcji?

8

Rebus i Jean Burchill wybrali się na spacer na Arthur's Seat. Był słoneczny poranek, ale wiał zimny wiaterek. Niektórzy uważali, że Arthur's Seat kształtem przypomina lwa szykującego się do skoku, jednak Rebusowi wzgórze przypominało bardziej słonia lub mamuta o ogromnym baniastym łbie z wcięciem na karku i z szerokim, rozłożystym cielskiem.

– Kiedyś to był wulkan – wyjaśniła Jean – podobnie zresztą jak Zamkowa Skała. Później powstały tu farmy, kamieniołomy, a także kaplice.

– Kiedyś traktowano to miejsce jak sanktuarium, prawda? – dodał Rebus, chcąc się popisać wiedzą.

Kiwnęła głową.

– Na przykład nie wpuszczano tu dłużników tak długo, póki nie doprowadzili swoich spraw do porządku. Wielu uważa, że nazwa bierze się od króla Artura.

– Chcesz powiedzieć, że tak nie jest?

Skinęła.

– Jest dużo bardziej prawdopodobne, że wywodzi się od słów *Ard-na-Said*, które w języku gaelickim znaczą „Wzgórze Smutków”.

– Niezbyt pogodna nazwa.

Uśmiechnęła się.

– Pełno tu wszędzie oryginalnych nazw: Ambona, Róg Prochów. – Spojrzała na niego. – A jak ci się podoba Poletko Morderców albo Urwisko Kata?

– A gdzie one są?

– W pobliżu jeziora Duddingston Loch i Niewinnej Kolei.

– Podobno tak ją nazwali, bo używali koni, a nie pociągów?

Znów się uśmiechnęła.

– Możliwe. Ale są też inne teorie. – Wskazała na jezioro. – Żebra Samsona. Rzymianie zbudowali tam swoją twierdzę. – Rzuciła na niego spojrzenie. – Wiedziałeś o tym, że dotarli aż tak daleko na północ?

Wzruszył ramionami.

– Historia nigdy nie była moją mocną stroną. Czy wiemy, gdzie dokładnie znaleziono te trumienki?

– Zapiski z tamtych czasów są dość mgliste. „Na północno-wschodnim zboczu Arthur's Seat”, tak to określono w relacji w „Scotsman”. W jakimś niewielkim zagłębieniu w trudno dostępnej formacji skalnej. – Wzruszyła ramionami. – Schodziłam te tereny wielokrotnie, ale nigdy nie udało mi się tego miejsca odnaleźć. „Scotsman” napisał jeszcze, że trumienki ułożone były w dwóch warstwach po osiem sztuk, a jedna stanowiła początek następnej warstwy.

– Czyli tak, jakby ten, kto je tam ułożył, miał zamiar dołożyć więcej?

Otuliła się żakietem, a Rebus pomyślał, że pewnie uczucie chłodu, jakie ją ogarnęło, nie wzięło się tylko z wiatru. Wcześniejsza rozmowa przypomniła mu o Niewinnej Kolei. Teraz był tam tylko szlak spacerowy i ścieżka rowerowa. Jakiś miesiąc wcześniej kogoś tam napadnięto, nie sądził jednak, by opowiadanie o tym mogło poprawić nastrój jego towarzysze. Mógł też opowiedzieć o popełnianych tam samobójstwach i rzuconych w przydrożne krzaki strzykawkach. Wiedział, że choć kroczą tą samą ścieżką, myślami znajdują się w dwóch różnych światach.

– Obawiam się, że nie mam dla ciebie niczego poza wiedzą historyczną – powiedziała nagle.

– Pytałam wszystkich dookoła, ale nikt sobie nie przypomina, by ktoś kiedyś wykazywał szczególne zainteresowanie tymi trumienkami, jeśli nie liczyć pojedynczych studentów i turystów. Przez jakiś czas trumienki stanowiły prywatną kolekcję, potem przekazano je w darze Towarzystwu Archeologicznemu, które z kolei przekazało je do muzeum. – Wzruszyła ramionami. – Niewiele ci pomogłam, co?

– Jean, w takiej sprawie jak ta, każdy drobiazg może się przydać. Jeżeli nawet nie daje nowej wiedzy, to może pomóc, żeby coś wykluczyć.

– Coś mi się zdaje, że tę kwestię wypowiadałeś już nieraz.

Teraz on się uśmiechnął.

– Może tak, ale to nie znaczy, że nie wierzę w to, co mówię. Masz dziś czas popołudniu?

– A bo co? – Bawiła się nową bransoletką, kupioną od Bev Dodds.

– Bo wybieram się do eksperta w sprawie tych współczesnych trumienek, więc rys historyczny mógłby się przydać. – Przerwał i spojrzał w dół na Edynburg. – Jezu, jakież to piękne miasto, prawda?

Popatrzyła na niego.

– Mówisz tak, bo ci się zdaje, że chcę coś takiego usłyszeć?

– Co?

– Tamtego wieczoru, kiedy staliśmy na Moście Północnym, odniosłam wrażenie, że nie jesteś specjalnie zachwycony widokiem miasta.

– Bo prawda jest taka, że zawsze patrzę, ale nie zawsze widzę. A teraz akurat widzę. – Znajdowali się na zachodnim zboczu wzgórza, mieli więc u swych stóp niecałą połowę miasta. Rebus wiedział, że gdyby wspięli się wyżej, przed ich oczami roztoczyłaby się pełna panorama wokół. Ale nawet stąd widok był już wystarczająco piękny. Na pierwszym planie dominowały iglice wież kościelnych, kominy i kolorowe spady dachów, dalej widać było Wzgórze Pentland na południu i zatokę Firth of Forth na północy, a za nią w oddali linię brzegową Fife.

– Może widzisz – powiedziała z uśmiechem i wspinając się lekko na palce, wychyliła się do przodu i musnęła wargami jego policzek. – Najlepiej mieć to od razu z głowy – dodała cicho.

Rebus pokiwał głową w milczeniu, bo zupełnie nie wiedział, co powiedzieć. Dopiero kiedy

znów ją przebiegły dreszcze i oświadczyła, że robi jej się zimno, odezwał się:

– Na tyłach St Leonard’s jest kawiarnia. Zapraszam i stawiam. I żebyś wiedziała, że wcale nie z przyczyn altruistycznych, tylko dlatego, że chcę cię prosić o pewną wielką przysługę.

Wybuchła śmiechem, potem klepnęła się dłonią w usta i zaczęła przepraszać.

– A co ja takiego powiedziałem? – zapytał.

– Nic, tylko że Gill mnie uprzedzała, że tak będzie. Powiedziała, że jak się będę z tobą zadawała, to muszę być przygotowana na różne prośby o „wielkie przysługi”.

– Naprawdę?

– No i miała rację, prawda?

– Nie do końca. Bo chcę cię prosić nie o zwyczajnie wielką przysługę, tylko o przysługę naprawdę ogromną...

Siobhan ubrała się w podkoszulek, golf i bezrękawnik z czystej wełny. Miała też na sobie stare sztruksowe spodnie z nogawkami wetkniętymi u kostek w dwie pary grubych skarpet. Jej stare traperki po oczyszczeniu i napastowaniu wyglądały jeszcze całkiem znośnie. Już od lat nie miała na sobie nieprzemakalnego skafandra i uznała, że nadarza się idealna okazja, by się z nim przeprosić. Strój uzupełniała czapka z pomponem i plecak, do którego schowała składaną parasolkę, telefon komórkowy, butelkę wody i termos z herbatą z cukrem.

– Jesteś pewna, że masz wszystko co trzeba – roześmiał się Hood na jej widok. Sam ubrany był w dzinsy i adidasy, a jego żółta przeciwdeszczowa peleryna wyglądała jak prosto ze sklepu. Wystawiał twarz do słońca, a promienie odbijały mu się od przeciwsłonecznych okularów.

Zaparkowali samochód w zatoce przy szosie, skąd musieli pokonać płot i ruszyć po polu najpierw łagodnie wznoszącym się w górę, a potem przechodzącym w strome zbocze. Zbocze było zupełnie gołe, jeśli nie liczyć kęp ostów i sterzących tu i ówdzie pojedynczych skałek.

– Jak sądzisz? – spytał Hood. – Do szczytu godzina?

Siobhan zarzuciła plecak na ramiona.

– Jak dobrze pójdzie.

Ich przechodzeniu przez płot przyglądało się stado owiec. Wzdłuż górnej krawędzi płotu biegł drut kolczasty, na którym miejscami widać było kępki szarej wełny. Hood podsadził Siobhan, potem sam przelazł przez płot, chwytając się za pionowy słupek.

– Mamy niezłą pogodę na taką eskapadę – powiedział, kiedy rozpoczęli drogę w górę. – Myślisz, że Flipa mogła ją odbyć całkiem sama?

– Nie mam pojęcia – przyznała Siobhan.

– Bo moim zdaniem to nie było w jej stylu. Myślę, że jakby zobaczyła to zbocze, to już chwilę później siedziałaby z powrotem w swoim golfie GTi.

– Tyle tylko, że ona w ogóle nie miała samochodu.

– Słusznie. To wobec tego, jak się tu dostała?

To też była słuszna uwaga: rzeczywiście znajdowali się w zupełnej głuszy. Jedyne ślady ludzkiej obecności były nieliczne i z rzadka rozrzucone miasteczka widziane po drodze i zdarzające się od czasu do czasu pojedyncze chałupy i zabudowania gospodarcze. Znajdowali się zaledwie około sześćdziesięciu kilometrów od Edynburga, ale z tej perspektywy miasto zdawało się tylko mglistym wspomnieniem. Siobhan pomyślała, że pewnie kursują tu jakieś autobusy i jeśli Flipa rzeczywiście tu była, musiała skorzystać z czyjejś pomocy.

– Może wzięła taksówkę – zastanowiła się.

– Byłby to kurs łatwy do zapamiętania.

– To prawda. – Mimo wystosowania publicznego apelu o pomoc i opublikowania w gazetach wielu zdjęć Flipy, nie zgłosił się żaden taksówkarz. – Więc może jakiś jej kolega, ktoś, na kogo jeszcze nie trafiliśmy?

– Możliwe – rzekł Hood, jednak w jego głosie słychać było powątpiewanie. Zauważyła, że jego oddech stawał się coraz cięższy. Chwilę później zatrzymał się, ściągnął pelerynę i złożony ją, wsadził sobie pod ramię. – Nie mam pojęcia, jak ty wytrzymujesz w tych wszystkich ciuchach – powiedział z rozdrażnieniem w głosie.

Siobhan zdjęła czapkę i rozsunęła suwak skafandra.

– A tak lepiej? – spytała.

Wzruszył tylko ramionami i nic nie powiedział.

Droga pod górę stała się tak stroma, że zaczęli się posuwać na czworakach, podpierając się rękami i szukając stopami punktów oparcia, kamieniste podłoże zaś co chwilę osuwało się pod ich ciężarem. Siobhan zatrzymała się, by odsapnąć. Usiadła, zginając kolana i zapierając się piętami o podłoże, i sięgnęła po butelkę z wodą.

– Co, już spuchłaś? – spytał Hood, zatrzymując się kilka metrów wyżej.

Wyciągnęła ku niemu butelkę, ale on przecząco pokręcił głową i ruszył w dalszą drogę. Widziała, jak we włosach lśni mu kropelki potu.

– To nie wyścig, Grant – zawołała za nim, ale nie odpowiedział. Po upływie niecałej minuty wstała i ruszyła za nim. Grant wyraźnie się od niej oddalał. No i tak wygląda współpraca w zespole, pomyślała. Był jak wielu mężczyzn, których znała wcześniej: ulegający zapałowi, ale nie potrafiący określić przyczyn tego zapału. Wyglądało to jej na samczy instynkt, podstawowy popęd nie mający racjonalnego wytłumaczenia.

Stromizna zaczynała trochę łagodnieć. Hood wyprostował się, podparł pod boki i łapiąc oddech, uniósł głowę, by rozejrzeć się wokół. Siobhan patrzyła, jak się potem pochyła i próbuje splunąć, ale mu się to nie udaje, bo zbyt lepka ślina zwisa mu u ust kleistą nitką i nie chce się oderwać. Wyciągnął z kieszeni chustkę i wytarł usta. Zrównała się z nim i znów podała mu butelkę.

– Napij się – zaproponowała. Przez chwilę wyglądało, że znów odmówi, jednak w końcu pociągnął łyka. – Zaczyna się chmurzyć. – Siobhan z większym zainteresowaniem rozglądała się po niebie niż po okolicy. Zbierające się chmury były ciężkie i ołowiane. Zdumiewające, jak pogoda w Szkocji potrafi się raptownie zmieniać. Także temperatura spadła o dwa lub trzy stopnie, może nawet o więcej. – Chyba pokropi – dodała, a Hood pokiwał głową i oddał jej butelkę.

Spojrzała na zegarek i stwierdziła, że są w drodze już dwadzieścia minut. Zakładając, że zejście w dół pójdzie im szybciej, znaczyło to, że na dojście do samochodu potrzebują około piętnastu minut. Popatrzyła w górę i pomyślała, że do szczytu mają też około piętnastu, dwudziestu minut. Hood ze świstem wypuścił z siebie powietrze.

– Dobrze się czujesz? – zapytała.

– Zdrowe ćwiczenie – powiedział nieco chrapliwie, po czym znów ruszył w górę. Na plecach jego granatowej bluzy widać było ciemne plamy potu. Można było oczekiwać, że mimo psującej się pogody lada chwila zdejmie bluzę i zostanie w samym tylko podkoszulku. Rzeczywiście chwilę później zatrzymał się i ściągnął bluzę przez głowę.

– Robi się zimno – powiedziała Siobhan ostrzegawczo.

– Mnie nie – odparł Grant, zawiązując rękawy bluzy wokół pasa.

– Przynajmniej załóż pelerynę.

– Ugotuję się.

– Nie ma obawy.

Wyglądało przez chwilę, że jest gotów do sprzeczki, jednak zrezygnował. Siobhan już wcześniej zasunęła suwak swojego skafandra. Powietrze wokół nich stawało się coraz mniej przejrzyste. Okoliczne wzgórza zasnuwały nisko wiszące chmury lub mgła, a może padał tam już deszcz.

Pięć minut później zaczęło padać. Najpierw drobna mżawka, po chwili duże i coraz bardziej rześiste krople. Siobhan włożyła na głowę czapkę i patrzyła, jak Hood nakłada pelerynę i stawia kaptur. Robiło się nie tylko coraz chłodniej, ale i coraz wietrzniej, a zimne podmuchy zaczynały ich przeszywać na wskroś. Kamień pod jego stopą osunął się, Grant upadł na kolano i zaklął głośno. Podniósł się i trzymając ręką za kolano, zaczął wyraźnie utykać na jedną nogę.

– Chcesz trochę odczekać? – spytała, wiedząc z góry, że odpowiedzią będzie milczenie.

Padało coraz mocniej, ale w oddali zaczynało się już przejaśniać, więc deszcz nie zapowiadał się na długo. Siobhan miała już przemoczone stopy, a nasiąknięte spodnie przykleiły jej się do nóg. Przy każdym kroku adidas Granta wydawały skrzeczący dźwięk. Musiał swoje wewnętrzne sterowanie przełączyć na auto-pilota, bo wzrok miał szklany, a umysł zaprzętała mu tylko jedna myśl: dotrzeć na szczyt, nieważne jakim kosztem.

Przebrnęli ostatni stromy odcinek i zbocze raptownie stało się płaskie. Byli na szczycie,

a i deszcz przestał już padać. Kilka metrów dalej widniał kopczyk ułożony z kamieni i odłamków skał. Siobhan wiedziała, że po dotarciu na szczyt niektórzy turyści mają zwyczaj upamiętniać swój wyczyn przez dokładanie kolejnego kamienia. Zapewne kopczyk powstał w taki właśnie sposób.

– I co, nawet knajpy nie ma? – zapytał Hood, kucając, by trochę odsapnąć. Deszcz już ustał i spoza chmur przebijały pierwsze promienie słońca, zalewając okoliczne wzgórza dziwną żółtawą poświatą. Dygotał z zimna, jednak deszcz, spływając z peleryny i wsiąkając w bluzę obwiązaną wokół bioder, zupełnie ją przemoczył, więc zakładanie jej teraz nie miało sensu. Jego dżinsy też zmieniły kolor i z niebieskiego przeszły w głęboki, wilgotny granat.

– Mogę ci dać gorącej herbaty, jak chcesz – powiedziała Siobhan, a on kiwnął twierdząco głową. Nalała mu pełny kubek i teraz Grant, siorbiąc ją, przyglądał się kopczykowi.

– Boisz się tego, co tam możemy znaleźć? – zapytał.

– Możemy niczego nie znaleźć.

Przytaknął ruchem głowy.

– Sprawdź – powiedział.

Przykręciła kubek do termosu, potem podeszła do kopczyka i obeszła go wokół. Poza kupką większych i mniejszych kamieni nic więcej nie było widać.

– Nic tu nie ma – stwierdziła. Opadła na czworaki, by móc się lepiej przyjrzeć.

– Musi coś być. – Grant podniósł się i dołączył do niej. – Niemożliwe, żeby nic nie było.

– Więc jeśli jest, to jest dobrze ukryte.

Przyłożył nogę i z całej siły pchnął kopczyk. Opadł na kolana i zaczął rozgrzebywać rozsypane kamienie. Twarz mu znieruchomiała, a ściągnięte wargi obnażyły zęby. Po chwili kopczyk został całkowicie zrównany z ziemią. Siobhan odwróciła się i zaczęła rozglądać w poszukiwaniu innego miejsca, gdzie można by coś ukryć, jednak niczego takiego nie było. Grant wsunął dłoń do kieszeni peleryny i wyciągnął z niej dwie plastikowe torebki stosowane do przechowywania dowodów rzeczowych. Patrzyła, jak je wciska pod największy z kamieni, a potem zaczyna wokół niego odbudowywać kopczyk. Po chwili kopczyk ponownie się rozsypał.

– Zostaw to, Grant – rzekła.

– Cholerne gówno! – wrzasnęła, a Siobhan nie była pewna, kogo lub czego dotyczą te słowa.

– Grant – powiedziała cicho. – Pogoda znów się psuje. Wracajmy.

Wyglądało jednak, że nie spieszy się do powrotu. Usiadł na ziemi z wyprostowanymi nogami i oparł się na rękach wyciągniętych do tyłu.

– Daliśmy dupy – stwierdził to takim tonem, jakby zbierało mu się na płacz. Siobhan popatrzyła na niego w milczeniu i pomyślała, że musi go jakoś zmobilizować do ruszenia w drogę powrotną. Wyglądało, że jest przemoknięty, przemarznięty i mocno zniechęcony. Kucnęła przed nim.

– Musisz się wziąć do kupy, Grant – rzekła, kładąc dłonie na jego kolanach. – Jak się tu teraz przede mną rozkleisz, to koniec. Stanowimy jeden zespół, pamiętasz?

– Zespół – powtórzył, a ona przytaknęła.

– Więc zachowujmy się, jak na zespół przystało – dodała z naciskiem – i zespołowo zabierajmy stąd nasze tyłki.

Grant spojrział na jej dłonie. Potem wyciągnął swoje i oplótł nimi jej ręce.

Siobhan zaczęła wstawać, próbując go za sobą pociągnąć.

– No dalej, Grant, rusz się. – Oboje stali już na nogach, a on wciąż nie spuszczał z niej wzroku.

– Pamiętasz, co wtedy powiedziałas? – zapytał. – Wtedy jak próbowałem zaparkować koło Victoria Street?

– Co takiego?

– Zapytałaś, czyja zawsze tylko w zgodzie z przepisami...

– Grant... – starała się, by jej spojrzenie odczytał jako współczucie, a nie litość – nie psujemy tego. – Spróbowała oswobodzić dłonie z jego uścisku.

– Nie psujemy czego? – zapytał głucho.

– Stanowimy zespół.

– I nic więcej?

Potaknęła ruchem głowy. Potem jeszcze raz kiwnęła głową, a on powoli puścił jej dłonie. Siobhan odwróciła się i ruszyła w dół, jednak nie zdążyła nawet ująć pięciu kroków, kiedy przemknął obok niej, niemal zbiegając po zboczach, jakby go coś goniło. Raz i drugi zachwiał się, tracąc równowagę, ale udało mu się ją odzyskać.

– Chyba to nie grad, co? – zawołał w pewnym momencie, okazało się jednak, że się myli. Drobinę lodu zaczęły siec twarz Siobhan, która starała się za nim nadążyć. Potem jeszcze Grant zaczął peleryną o drut kolczasty na płocie i mocno ją rozdarł. Pomagając Siobhan pokonać płot, stał z twarzą czerwoną z wysiłku i klął pod nosem. Wsiadli do samochodu i przez dobrą minutę siedzieli w milczeniu, starając się uspokoić oddechy. Przednia szyba zaczęła zachodzić parą, więc Siobhan uchyliła okno. Burza gradowa ustała i znów zaczynało się przebijać słońce.

– Pieprzona szkocka pogoda – warknął Grant. – Nic dziwnego, że wszyscy jesteśmy tacy rozdrażnieni.

– A jesteśmy? Bo ja tego nie zauważyłam – powiedziała z uśmiechem.

Prychnął, ale też się uśmiechnął i Siobhan popatrzyła na niego z nadzieją, że wszystko między nimi wróci do normy. Zachowywał się tak, jakby tam na szczycie nic szczególnego się nie wydarzyło. Ściągnęła skafander i rzuciła go na tylne siedzenie. Grant też zdjął pelerynę i podkoszulek zaczął mu aż parować. Siobhan sięgnęła pod fotel, wyciągnęła laptopa, podłączyła telefon komórkowy i załogowała się do sieci. Poziom sygnału na komórce był słaby, ale

wystarczający.

– Napisz mu, że skurwiel z niego – mruknął Grant.

– Na pewno się ucieszy – odparła Siobhan i zaczęła pisać wiadomość. Grant zaglądał jej przez ramię.

Właśnie wracam z Hart Fell. Nie znalazłam żadnej nowej wskazówki. Czy to znaczy, że źle odgadłam poprzednią?

Nacisnęła „wyślij” i czekając, nalała kubek herbaty. Grant próbował odkleić od ciała przemoczone dżinsy.

– Jak tylko ruszymy, włączę ogrzewanie – powiedziała i zaproponowała mu kolejny kubek herbaty, który przyjął bez słowa.

– O której mamy to spotkanie w banku? – zapytał.

Spojrzała na zegarek

– Mamy jeszcze dwie godziny. Zdażymy wstąpić do domu i przebrać się.

Grant popatrzył na ekran.

– Chyba go nie ma, co?

Siobhan wzruszyła ramionami, a Grant uruchomił silnik. Przez chwilę jechali w milczeniu, patrząc jak niebo przed nimi wyraźnie się przejaśnia. Wkrótce stało się jasne, że deszcz, który ich złapał na górze, padał tylko lokalnie i koło Innerleithen droga była już zupełnie sucha.

– Tak się zastanawiam, czy nie powinniśmy byli pojechać drogą A701 – odezwał się Grant. – Może droga na szczyt od zachodu byłaby krótsza.

– Teraz to i tak już bez znaczenia – powiedziała Siobhan. Czowała, że Grant wciąż jeszcze myślami jest na szczycie Hart Fell. Nagle laptop brzęknął, dając znać, że nadeszła nowa wiadomość. Kliknęła na skrzynkę odbiorczą, było to jednak tylko zaproszenie do odwiedzenia jakiejś strony pornograficznej. – To nie pierwsze, jakie przyszło – zauważyła i spojrzała na Granta. – Zaczynam mieć wątpliwości, coś ty wyprawiał z tym swoim komputerem.

– Wysyłają takie reklamy na różne przypadkowe adresy – odparł, ale kark mu poczerwieniał.

– Chyba mają jakiś podgląd, który im mówi, kto jest aktualnie podłączony.

– Już ci idę wierzyć – powiedziała.

– Kiedy to prawda! – odparł podniesionym głosem.

– Dobra, dobra, naprawdę ci wierzę.

– Nigdy bym czegoś takiego nie robił.

Kiwnęła głową i więcej się nie odezwała. Byli już na przedmieściach, kiedy komputer zaanonsował nadejście następnej wiadomości. Tym razem pochodziła od Quizmastera. Grant zjechał na pobocze i zatrzymał samochód.

– Co pisze?

– Zobacz sam. – Siobhan obróciła laptopa ekranem ku niemu. W końcu są przecież jednym

zespołem...

Wystarczyła mi sama nazwa Hart Fell. Nie musiałaś tam wchodzić.

– To skurwiel – syknął Grant.

Siobhan napisała odpowiedź: *Czy Flipa o tym wiedziała? Zapadło kilkuminutowe milczenie, potem ekran znów ożył:*

Jesteś dwa stopnie od Piekłiska. Nowa wskazówka nadejdzie za jakieś dziesięć minut. Masz na jej rozwiązanie dwadzieścia cztery godziny. Czy chcesz kontynuować grę?

Siobhan spojrzała na Granta.

– Powiedz mu, że tak.

– Jeszcze nie. – Kiedy spojrzał na nią pytająco, też na niego spojrzała, po czym dodała: – Myślę, że on nas potrzebuje, tak samo jak my jego.

– Uważasz, że możemy tak ryzykować?

Ale ona już była w trakcie pisania następnej wiadomości.

Muszę wiedzieć: czy Flipie ktoś pomagał? Kto jeszcze grał razem z nią?

Odpowiedź była natychmiastowa.

Pytam po raz ostatni. Czy chcesz kontynuować?

– Ostrożnie, żebyśmy go nie stracili – rzucił Grant.

– On wiedział, że ja pójdę na to wzgórze. Podobnie jak wiedział, że Flipa tego nie zrobi. – Siobhan zagryzła dolną wargę. – Myślę, że możemy go jeszcze trochę potrzymać.

– Do Piekłiska zostały nam już tylko dwa etapy. Czyli tam, gdzie dotarła Flipa.

Siobhan wolno pokiwała głową, potem zaczęła pisać.

Przejdźmy do następnego poziomu, ale proszę, powiedz mi tylko, czy Flipie ktoś pomagał?

Grant odchylił się do tyłu i głośno wciągnął powietrze. Komputer milczał. Siobhan spojrzała na zegarek.

– Powiedział, że za dziesięć minut.

– Lubisz ryzykować, co?

– A czym byłoby życie bez odrobiny ryzyka?

– Czym? Czymś znacznie przyjemniejszym i znacznie mniej stresującym.

Spojrzała na niego.

– I to mówi młody człowiek jeżdżący sportowym samochodem?

Przetarł zaparowaną szybę.

– Tak sobie pomyślałem, że jeżeli Flipa nie musiała się wspinać na Hart Fell, to może w ogóle nie musiała się nigdzie ruszać? Chodzi mi o to, że może wszystko robiła, siedząc spokojnie w domu?

– To znaczy?

– To znaczy, że nie musiała się ruszać tam, gdzie mogłaby popaść w tarapaty.

Siobhan kiwnęła głową.

– Może to wyniknie z następnej wskazówki?

– Jeśli ją w ogóle dostaniemy.

– Trzeba wiarę mieć – powiedziała śpiewnie.

– Dla mnie wiara właśnie do tego się sprowadza: do piosenki George’a Michaela.

Laptop poinformował ich, że nadeszła nowa wiadomość. Grant znów się przechylił przez ramię Siobhan i zaczął czytać:

– *A corny beginning where the mason’s dream ended* [W dosłownym tłumaczeniu: Kukurydziane początki tam, gdzie skończył się sen kamieniarza (lub masona).].

Wciąż jeszcze starali się oswoić z tą nową zagadką, gdy nadeszła nowa wiadomość.

Nie sądzę, by Flipie ktoś pomógł. A tobie, Siobhan, ktoś pomaga?

Bez namysłu napisała „nie” i kliknęła „wyślij”.

– Dlaczego nie chcesz, żeby wiedział? – zapytał Grant.

– Bo mógłby zmienić reguły, albo wręcz się nabzdyczyć. Twierdzi, że Flipa grała sama, więc chcę, żeby to samo myślał o mnie. – Spojrzała na niego. – Czy to ci w czymś przeszkadza?

Grant przez chwilę milczał, potem pokręcił przecząco głową.

– No to, co ta nowa wskazówka znaczy?

– Nie mam zielonego pojęcia. Podejrzewam, że do masonów nie należysz?

Znów zaprzeczył ruchem głowy.

– Jakoś nigdy nie miałem czasu, żeby się zapisać. A ty wiesz, gdzie jakiegoś szukać?

Siobhan uśmiechnęła się.

– W policji okręgu Lothian i Borders? Nie sądzę, żeby to było aż takie trudne...

Na St Leonard’s dotarły trumienki i protokoły autopsji. Pozostawał już tylko jeden problem do rozwiązania: trumienka z Kaskad znajdowała się w rękach Steve’a Holly’ego, któremu Dodds przekazała ją w celu sfotografowania. Rebus uznał, że w tej sytuacji już się nie wymiga od wizyty w biurze Holly’ego. Wziął z oparcia marynarkę i podszedł do biurka naprzeciwko, gdzie Wylie ze znudzoną miną patrzyła, jak Devlin przegląda zawartość cienkiej kartonowej teczki.

– Wychodzę – oznajmił.

– Tobie to dobrze. Może chcesz kogoś do pomocy?

– Zajmuj się profesorem. To długo nie potrwa.

Devlin uniósł głowę.

– Gdzież to zamierza się pan udać?

– Muszę porozmawiać z pewnym reporterem.

– Ach, reprezentantem naszej sławetnej czwartej władzy.

Sposób mówienia Devlina mocno Rebusa irytował, a sądząc po minie Wylie, nie tylko jego.

Odsuwała zawsze swoje krzesło jak najdalej od profesora i Rebus czuł, że gdyby to było możliwe, najchętniej przeniosłaby się na drugą stronę biurka.

– Będę się starał wrócić jak najszybciej – powiedział jakby na pociechę i idąc ku drzwiom, wiedział, że oboje nie spuszczają z niego wzroku.

U Devlina irytujące było jeszcze to, że wykazywał nadmierną gorliwość. To, że znów się czuł do czegoś przydatny, wyraźnie ujęło mu lat. Z namaszczeniem odczytywał protokoły sekcji, powtarzał ich fragmenty na głos i ilekroć Rebus był czymś zajęty lub próbował się nad czymś skupić, można było być pewnym, że Devlin wyskoczy nagle z jakimś pytaniem. Nieraz Rebus przeklinał w duchu Gatesa i Curta. Swoją stosunek do Devlina Wylie zawarła w pytaniu: „Nie wierz przypadkiem, kto tu komu pomaga: on nam, czy my jemu? Bo jakbym chciała pracować jako opiekunka, to zgłosiłabym się do domu starców...”

Jadąc samochodem, Rebus starał się nie zwracać uwagi na liczne puby mijane po drodze.

Biuro tabloidu z Glasgow mieściło się na ostatnim piętrze nowoczesnej plomby przy Queen Street, nieopodal biur BBC. Rebus postanowił zaryzykować i zaparkował na pojedynczej żółtej linii przed budynkiem. Drzwi wejściowe były otwarte, wszedł więc na trzecie piętro i otworzył oszklone drzwi prowadzące do ciasnego pomieszczenia recepcyjnego. Kobieta obsługująca centralkę telefoniczną uśmiechnęła się do niego i jednocześnie odebrała telefon.

– Niestety do końca dnia będzie poza biurem. Czy ma pan jego numer komórkowy? – Miała krótkie blond włosy zatknięte za uszami. Do głowy miała przyczepiony zestaw telefoniczny: słuchawka i mikrofon. – Dziękuję, do widzenia – powiedziała, kończąc rozmowę, i natychmiast zaczęła następną. Nie patrzyła na Rebusa, uniosła jednak palec w górę na znak, że o nim pamięta. Rozejrzał się, gdzie mógłby usiąść, ale w pomieszczeniu nie było niczego poza dość żałośnie wyglądającym fikusem w zbyt małej donicy.

– Obawiam się, że cały dzień go nie będzie. Czy ma pani jego numer komórkowy? – Podała numer i zakończyła rozmowę. – Przepraszam – powiedziała, zwracając się do Rebusa.

– Nic nie szkodzi. Przyszedłem się zobaczyć ze Steve'em Hollym, ale domyślam się, co mi pani powie.

– Niestety, nie będzie go do końca dnia.

Rebus kiwnął głową.

– Ma pan jego...

– Tak, mam.

– Czy spodziewał się pana?

– Nie wiem. Mam od niego odebrać takie drewniane pudełko, jeśli już mu niepotrzebne.

– Ach, to. – Ostentacyjnie się wzdrygnęła. – Dziś rano podłożył mi to na krzesło. Jego poczucie humoru.

– To pewnie się tu pani nie nudzi.

Wyraźnie nie miała nic przeciwko wobec zrobienia koledze psikusa.

– Ma to gdzieś w swoim boksie – powiedziała z uśmiechem.

Rebus kiwnął głową.

– A zdjęcia już zrobione?

– O tak.

– Wobec tego może mógłbym...? – Kiwnął ręką w stronę, gdzie domyślał się boksu Holly'ego.

– Nie widzę przeszkód. – Jej centralka znów się odezwała.

– To ja już nie będę pani przeszkadzał – rzekł Rebus i pewnym krokiem ruszył w głąb biura, jakby znał na pamięć jego rozkład. Biuro było podzielone na cztery boksy, czyli biurka otoczone parawanami. Przy żadnym z nich nie było nikogo. Trumienka leżała obok klawiatury komputerowej, a na niej kilka próbnych polaroidów. Rebus gotów był sobie pogratulować, sprawdził się bowiem najlepszy z możliwych scenariuszy. Gdyby zastał Holly'ego, musiałby się uporać z jego pytaniami, a może nawet walczyć z jego wrogością. Skorzystał z okazji i szybko rozejrzał się po wnętrzu boks. Na ścianie wisiały przyclipowane kartki z numerami telefonów i wycinki z gazet. Pięciodziesięciocentymetrowa figurka Scooby Doo przyclipowana była do narożnika monitora, a na biurku leżał kalendarz Simpsonów otwarty na pokrytych bohomazami stronach sprzed trzech tygodni. Obok leżał dyktafon z otwartą i pustą przegródką na baterie. Do boku monitora przyclipowany był wycięty z gazety tytuł: „Super Cally [Ian Callaghan, słynny piłkarz drużyny Glasgow Rangers.] daje popalić. Celtic daje płamę”. Rebus uśmiechnął się: był to już klasyk gazetowy i dotyczył pewnego meczu piłki nożnej. Może Holly jest kibicem Rangersów, a może tylko spodobał mu się ten tytuł. Już miał opuścić boks, kiedy na ścianie obok biurka zauważył kartkę z nazwiskiem i numerem telefonu Jean. Zerwał ją i schował do kieszeni. Na następnej kartce zobaczył dalsze numery telefonów, a wśród nich własny i Gill Templer. Na kolejnej kartce były następne nazwiska: Bill Pryde, Siobhan Clarke, Ellen Wylie. Reporterowi udało się zdobyć domowe telefony Templer i Clarke. Rebus nie wiedział, czy reporter przechowuje gdzieś kopie, ale na wszelki wypadek postanowił zabrać wszystkie kartki.

Po wyjściu z budynku zadzwonił na numer komórkowy Siobhan, ale usłyszał tylko komunikat, że połączenie nie może być zrealizowane. Za wycieraczką na szybie tkwił mandat, a w pobliżu nie widać było nikogo ze straży miejskiej. Z uwagi na kolor mundurów, strażników nazywano „niebieskie łajzy”. Rebus, który być może jako jedyny widz w całym kinie oglądał *Żółtą łódź podwodną* w stanie nie zamulonym prochami, miał sentyment do tak nazywanych tam stworków, co nie przeszkodziło mu wściec się na widok mandatu. Wetknął go do schowka w samochodzie i paląc papierosa, powlókł się w żółtym tempie z powrotem na St Leonard's. Tak wiele było teraz ulic, którymi nie można było jechać dokąd się chciało. Nie mogąc skręcić w lewo w Princess Street i widząc, że ruch na moście Waverley stoi w miejscu z powodu robót

drogowych, pojechał w końcu przez Mound i skręcił w Market Street. W odtwarzaczu nastawił nagranie Janis Joplin *Buried Alive in the Blues*. Pomyślał, że to na pewno lepsze rozwiązanie niż dogorywanie w edynburskim ruchu ulicznym.

Wrócił do biura i stwierdził, że Wylie wygląda jak zatopiona we własnej wersji tego bluesa.

– Masz ochotę się przejść?

Poderwała głowę.

– A dokąd?

– Pana też zapraszam, profesorze.

– Brzmi to niesłychanie intrygująco. – Dziś wyjątkowo nie miał na sobie blezera, tylko bezrękawnik wycięty w serek, który zwisał mu luźno pod pachami, za to z tyłu był za krótki. – Czy to będzie jakaś wyprawa w nieznanne?

– Niezupełnie. Odwiedzimy pewien zakład pogrzebowy.

Wylie spojrzała na niego ponuro.

– Chyba żartujesz?

Rebus potrząsnął jednak głową i wskazał na trumienki ułożone na biurku.

– Jak się chce uzyskać fachową opinię, to należy się zwrócić do fachowca.

– Rozumie się samo przez się – oznajmił Devlin.

Z St Leonard's do zakładu pogrzebowego był tylko krótki spacer. Po raz ostatni Rebus odwiedził taki zakład, kiedy zmarł jego ojciec. Podszedł wtedy do trumny i dotknął czoła, tak jak go tego ojciec nauczył, kiedy zmarła jego matka. „Jeśli dotkniesz zmarłego, Johnny, to nigdy potem nie musisz się go obawiać”. Gdzieś w jakimś innym zakładzie zapewne kładziono właśnie Conora Leary'ego do pudła. Jedyne przed czym nie da się uciec to śmierć i podatki, mawiali niektórzy. Tyle że Rebus znał kryminalistów, którzy przez całe życie nie zapłacili złamanego grosza. Ale nie szkodzi: kiedy przyjdzie ich pora, od pudła już się nie wykręca.

Jean Burchill już czekała i na ich widok z widoczną ulgą podniosła się z krzeselka w sali recepcyjnej. Pomimo kilku bukietów świeżo ciętych kwiatów panowała tu przytłaczająca atmosfera powagi i przygnębienia. Rebusowi przemknęło przez głowę pytanie, czy i jaki rabat dają dostawcy wieńców. Ściany były wyłożone drewnianą boazerią i całe pomieszczenie lekko pachniało pastą do drewna. Mosiężne okucia lśniły, a marmurowa podłoga z białych i czarnych płytek ułożona była w szachownicę. Rebus przedstawił sobie wszystkich i Devlin, ściskając dłoń Jean, zapytał:

– A od czego dokładnie jest pani kustoszem?

– Specjalizuję się w dziewiętnastym wieku – wyjaśniła. – Wierzenia, stosunki społeczne i tak dalej...

– Pani doktor uzupełnia nasze śledztwo o historyczną perspektywę – dodał Rebus.

– Chyba nie bardzo rozumiem – powiedział Devlin i spojrzał pytająco na Rebusa.

– To ja skompletowałam ekspozycję trumienek z Arthur's Seat – poinformowała Jean.

Brwi Devlina wystrzeliły w górę.

– Och, jakież to fascynujące! – wykrzyknął. – I uważa pani, że istnieją jakieś związki z obecną serią?

– Nie wiem, czy tu w ogóle można mówić o „serii” – wtrąciła się Wylie. – Mamy do czynienia z pięcioma przypadkami w ciągu trzydziestu lat.

Devlin wyglądał na zaskoczonego. Chyba nie przywykł, by ktoś poddawał w wątpliwość jego dobór słów. Popatrzył z wyrzutem na Wylie, potem zwrócił się do Rebusa.

– Ale mamy do czynienia z jakimś kontekstem historycznym, czy tak?

– Tego nie wiemy. I to właśnie próbujemy dziś ustalić.

Otworzyły się wewnętrzne drzwi i stanął w nich jakiś mężczyzna. Miał około pięćdziesiątki i ubrany był w ciemny garnitur, śnieżnobiałą koszulę i srebrzysty krawat. Miał krótko przycięte srebrzyste włosy i bladą, pociągłą twarz.

– Pan Hodges? – zapytał Rebus, a mężczyzna lekko się skłonił. Rebus podał mu rękę. – Rozmawialiśmy telefonicznie. Detektyw inspektor John Rebus – powiedział i przedstawił pozostałych.

– Muszę powiedzieć, że jest to jedna z najbardziej niezwykłych prośb, z jakimi się do mnie zwrócono. – Pan Hodges mówił niemal szeptem. – Niemniej, w moim gabinecie czeka na państwo pan Patullo. Czy mogę zaproponować filiżankę herbaty?

Rebus zapewnił go, że to zbyteczne i poprosił, by ich poprowadził do gabinetu.

– Jak już panu mówiłem przez telefon, panie inspektorze, w dzisiejszych czasach większość trumien montuje się z elementów na czymś w rodzaju taśmy montażowej. Pan Patullo jako stolarz należy do wyjątków. Wykonuje całe trumny na indywidualne zamówienia. Od wielu lat korzystamy z jego usług, w każdym razie od czasu, kiedy ja tu pracuję. – Korytarz, którym szli, był podobnie jak sala recepcyjna wyłożony drewnianą boazerią i pozbawiony dostępu światła dziennego. Hodges otworzył jakieś drzwi i przepuścił ich przodem. Gabinet był przestronny i wolny od wszelkich ozdób. Rebus sam nie wiedział, czego oczekiwać – wzorów kart kondolencyjnych, może fotografii trumien. Jediną oznaką tego, że znajdują się w gabinecie przedsiębiorcy pogrzebowego, był brak jakichkolwiek oznak. Gabinet urządony był z dyskretną prostotą. Klienci nie chcieli, by im przypominać o celu ich wizyty, a przedsiębiorcy pogrzebowemu zapewne nie zależało, by jego klienci co chwilę wybuchali płaczem.

– Zostawię państwa samych – powiedział Hodges, zamykając drzwi.

Mimo iż w gabinecie było dość miejsc siedzących, zastali Patullo stojącego pod oknem z matowymi szybami. Trzymał płaski tweedowy kaszkiet i przebierał palcami po jego krawędzi. Miał kościste palce obciążone skórą wyglądem przypominającą pergamin. Rebus pomyślał, że

stolarz jest dobrze po siedemdziesiątce. Mimo to na głowie miał dość bujną jeszcze siwą czuprynę, a jego oczy patrzyły jasnym, choć czujnym spojrzeniem. Był już jednak mocno przygarbiony, a dłoń, którą podał Rebusowi, lekko drżała.

– Witam pana, panie Patullo – odezwał się Rebus. – Jestem panu szczerze zobowiązany, że zechciał się pan z nami spotkać.

Patullo wzruszył ramionami, a Rebus raz jeszcze przedstawił wszystkich obecnych, po czym poprosił, by usiedli. Miał trumienki w plastikowej torbie i teraz wyjął je i ułożył na lśniącem czystością biurku Hodgesa. Były cztery: z Perth, z Nairn, z Glasgow i ta najnowsza z Kaskad.

– Chciałbym prosić, żeby się pan im przyjrzał – zwrócił się do Patullo – i opowiedział nam, co pan widzi.

– Widzę parę malutkich trumien. – Głos Patullo brzmiał chrapliwie.

– Miałem na myśli standard wykonania.

Patullo sięgnął do kieszeni po okulary, potem podszedł i pochylił się nad biurkiem.

– Jeśli pan chce, proszę je wziąć do ręki – powiedział Rebus, a Patullo posłusznie zabrał się do uważnych oględzin.

– Użył gwoździków tapicerskich i stolarskich – zauważył. – Spoiny są trochę nierówne, ale przy tej skali...

– To znaczy?

– No wie pan, przy tej wielkości trudno oczekiwać spoin na wpusty – powiedział i wrócił do oględzin. – Chce pan wiedzieć, czy te pudełka wykonał trumniarz?

Rebus kiwnął głową, a on odparł:

– Nie sądzę. Zrobił je ktoś znający się trochę na rzeczy, ale nie zanadto. Proporcje są niewłaściwe, kształt jest za bardzo rombowlaty. – Po kolei odwrócił trumienki i przyjrzał się im od spodu. – Widzi pan tu ślady po ołówku, którym obrysowywał sobie kształt?

Rebus potwierdził.

– Najpierw wymierzył, potem przyciął ręczną piłką. To w ogóle nie było heblowane, przetarte tylko papierem ściernym. – Spojrzał na Rebusa znad okularów. – Chce pan wiedzieć, czy wszystkie wyszły spod jednej ręki?

Rebus ponownie przytaknął.

– Ta jest trochę bardziej koślawa – powiedział Patullo, biorąc do ręki trumienkę z Glasgow. – I zrobiona z innego drewna. Cała reszta jest z sosny, ta jest z drewna balsowego. Ale spoiny są takie same, wymiary też.

– Zatem myśli pan, że to ta sama osoba?

– Jeśli nie muszę ręczyć głową, to tak. – Patullo wziął do ręki następną z trumienek. – Na przykład w tej proporcje są inne i spoiny nie są takie dokładne. Więc albo robił to w pośpiechu, albo powiedziałbym, że zrobił ją kto inny.

Rebus sprawdził. Patullo trzymał trumienkę z Kaskad.

– Więc mamy dwóch różnych winowajców? – odezwała się Wylie, a kiedy Patullo twierdząco pokiwał głową, z głośnym sykiem wypuściła powietrze i uniosła oczy ku górze. Dwóch winowajców oznaczało dwa razy więcej pracy i o połowę mniejszą szansę na sukces.

– Może replika? – podsunął Rebus.

– Tego to ja już nie wiem – wzruszył ramionami Patullo.

– No to możemy teraz... – odezwała się Jean Burchill, sięgnęła ręką do torby na ramieniu, wyciągnęła z niej drewnianą szkatułkę i otworzyła ją. Wewnątrz znajdowała się owinięta w bibułkę jedna z trumienek z Arthur's Seat. Rebus wyprosił to u Jean i wyciągając trumienkę ze szkatułki, kobieta spojrzała na niego wymownie. Jej wzrok raz jeszcze poświadczył to, co mu wcześniej powiedziała w kawiarni: że w ten sposób kładzie na szalę swoją pracę w muzeum. Gdyby się wydało, że potajemnie wynosi z muzeum jeden z eksponatów, lub gdyby coś mu się stało... zostałyby z miejsca wyrzucona z pracy. Rebus kiwnął głową na znak, że pamięta, a Jean wstała i położyła trumienkę obok innych na biurku.

– Z tą proszę ostrożnie – ostrzegła Patullo.

Devlin i Wylie podnieśli się z miejsc, by lepiej widzieć.

– O mój Boże – sapnął Devlin. – Czy ja się dobrze domyślam?

Jean kiwnęła głową, a Patullo nie wziął trumienki do ręki, tylko pochylił się nad nią tak nisko, że niemal dotknął jej nosem.

– Chcielibyśmy wiedzieć – odezwał się Rebus – czy pańskim zdaniem trumienki, które pan wcześniej oglądał, stanowią kopie tej.

Patullo potarł sobie policzek.

– Ta ma dużo prostszą budowę. Też jest przyzwoicie zrobiona, ale ścianki są dużo prostsze. Nie ma kształtu, jaki dziś nadaje się trumnom. Wieczko ozdobiono żelaznymi ćwiekami. – Znów potarł sobie policzek, potem wyprostował się i oparł o krawędź biurka. – Tamte nie są kopiami tej. Tylko tyle mogę powiedzieć.

– Nigdy nie widziałem ich inaczej niż przez szybę gabloty muzealnej – oznajmił Devlin, przysuwając się do biurka i zajmując miejsce Patullo. Potem spojrzał na Jean i dodał: – Wie pani, że mam swoją teorię, co do tego, kto je zrobił?

Jean uniosła brwi.

– Mianowicie?

Devlin nie odpowiedział i zwrócił się do Rebusa.

– Pamięta pan ten portret, który panu pokazywałem? Doktora Kenneta Lovella? – Kiedy Rebus przytaknął, Devlin znów zwrócił się do Jean. – Lovell był anatomem, który przeprowadził sekcję zwłok Burke'a. I o ile mi wiadomo, resztę życia spędził z brzemieniem winy z powodu tej całej sprawy.

To Jean wyraźnie zainteresowało.

– Czy to znaczy, że kupował zwłoki od Burke’a?

Devlin potrząsnął przecząco głową.

– Nie ma na to żadnych historycznych dowodów. Jednak pewnie jak większość ówczesnych anatomów kupował zwłoki i nie zadawał zbyt wielu pytań, co do ich pochodzenia. No i właśnie chodzi o to – Devlin oblizał wargi – że nasz doktor Lovell interesował się też stolarką.

– Profesor Devlin – wtrącił Rebus – posiada stół wykonany przez niego.

– Lovell był uczciwym człowiekiem – ciągnął dalej Deblin – i dobrym chrześcijaninem.

– I zostawił trumienki na Arthur’s Seat dla uczczenia ofiar? – spytała Jean.

Devlin wzruszył ramionami i spojrzał po obecnych.

– Oczywiście nie mam na to żadnych dowodów... – zamilkł, jakby dochodząc do wniosku, że takie podniecanie się trochę mu nie przystoi.

– To ciekawa teoria – przyznała Jean, jednak Devlin tylko wzruszył ramionami. Pomyślał pewnie, że go jedynie poklepuje po plecach.

– No więc, jak już mówiłem, jest to całkiem nieźle zrobione – powtórzył Patullo.

– Istnieją też inne teorie – dodała Jean – które głoszą, że trumienki na Arthur’s Seat zostawiły czarownice albo marynarze.

Patullo pokiwał głową.

– Wśród marynarzy bywało wielu dobrych cieśli i stolarzy. Czasami brało się to z konieczności, a czasami służyło do zabicia czasu podczas długich rejsów.

– No cóż – powiedział Rebus – raz jeszcze serdecznie dziękujemy za poświęcenie nam czasu. Czy możemy pana podwieźć do domu?

– Dziękuję, poradzę sobie.

Pożegnali się i Rebus poprowadził całą grupę do kawiarni Metropole, gdzie wszyscy ścieśnili się przy jednym stole i zamówili kawy.

– No to krok do przodu, dwa kroki do tyłu – powiedziała Wylie.

– Dlaczego tak myślisz? – spytał Rebus.

– Bo jeśli nie ma związku między trumną z Kaskad a pozostałymi, to uganiamy się za fantomem.

– Ja tak tego nie widzę – wtrąciła Jean. – Może nie powinnam zabierać głosu, ale wydaje mi się, że ten, kto zostawił trumienkę w Kaskadach, musiał skądś ten pomysł zaczerpnąć.

– Zgoda – potwierdziła Wylie – ale nie sądzi pani, że znacznie bardziej prawdopodobne jest to, że źródłem pomysłu było muzeum?

Rebus popatrzył na Wylie.

– Zmierzasz do tego, że powinniśmy dać sobie spokój z tymi czterema poprzednimi przypadkami, tak?

– Chcę powiedzieć, że zajmowanie się nimi ma sens tylko wtedy, jeśli istnieje jakiś związek między nimi a trumną z Kaskad. Oczywiście przy założeniu, że ta z kolei ma jakiś związek ze zniknięciem Balfour. A przecież nawet tego nie wiemy na pewno. – Rebus otworzył usta, by coś powiedzieć, jednak ona nie dopuściła go do głosu. – I jeżeli teraz pójdziemy z tym do komisarz Templar, tak jak powinniśmy, to ona na pewno powie to samo. Powie, że w naszych działaniach coraz bardziej oddalamy się od sprawy Philippy Balfour. – Uniosła filiżankę do ust i pociągnęła łyk herbaty.

Rebus spojrzał na Devlina.

– A co pan o tym myśli, profesorze?

– Niestety muszę się zgodzić, choć znaczy to oczywiście, że znów zapadnę w mrok samotności starego emeryta.

– Z protokołów sekcji też nic nie wynika?

– Jak dotąd, nic. Wszystko wskazuje na to, że w momencie wpadnięcia do wody obie kobiety żyły. Na obu ciałach znaleziono ślady urazów, ale nie ma w tym nic dziwnego. W rzekach zdarzają się kamienie, więc przebywając w wodzie, ofiara mogła się o nie poobijać. Jeśli chodzi o ofiarę z Nairn, to zarówno przyływy, jak i morska fauna potrafią straszliwie pokiereszować ciało, szczególnie jeśli ofiara przebywa w wodzie przez dłuższy czas. Przykro mi, że nie mogę niczego wniesić.

– Wszystko się może przydać – odezwała się Jean. – Nawet jeżeli nie wnosi się niczego nowego, to można pomóc w wyeliminowaniu czegoś zbędnego.

Spojrzała na Rebusa w nadziei, że ta parafraza jego słów wywoła uśmiech, jednak on myślni był gdzie indziej. Martwiło go to, że Wylie może mieć rację. Cztery trumienki wykonane przez tę samą osobę i jedna zrobiona przez kogoś innego oraz brak związku między tymi dwiema osobami. Czuł przez skórę, że coś je z sobą łączy, tyle że to „coś” nie wystarczy, by przekonać kogoś takiego jak Wylie. Czasami, niezależnie od wszystkiego, trzeba zawierzyć instynktowi. Jego zdaniem tak właśnie było teraz, wątpił jednak, by Wylie dała się przekonać.

I trudno się było dziwić.

– To może na zakończenie zechciałby pan jeszcze raz to przejrzeć.

– Z największą przyjemnością – odparł profesor, skłaniając głowę.

– I może porozmawiać z patologami, którzy wykonywali te sekcje. Mogli coś zapamiętać...

– Absolutnie.

Rebus zwrócił się do Wylie.

– A ty złoż raport komisarz Templar. Opowiedz jej o tym, co zrobiliśmy. Na pewno znajdzie dla ciebie coś do roboty w zasadniczym nurcie śledztwa.

Wyprostowała się.

– Czy to znaczy, że ty się nie poddajesz?

Przez uśmiech Rebusa przebijało zmęczenie.

– Jestem bliski poddania. Ale jeszcze nie przez parę dni.

– I co przez te parę dni będziesz robił?

– Utwierdzał się w przekonaniu, że to ślepy zaułek.

Widział z miny Jean, że chciałyby go jakoś podtrzymać na duchu, trochę pocieszyć – choćby tylko ściskając mu dłoń czy wypowiadając kilka ciepłych słów. Pomyślał, że na szczęście nie są przy stole sami, co uniemożliwia takie gesty. Inaczej mogłoby się zdarzyć, że chlapanąby coś niegrzeczności, na przykład że nie życzy sobie żadnego współczucia.

Chyba że współczucie to to samo, co zapadanie się w nicość.

Picie za dnia miało specyficzny urok. W barze czas przestawał istnieć, a wraz z nim cały zewnętrzny świat. Tak długo jak człowiek siedział w pubie, tak długo czuł się nieśmiertelny i ponadczasowy. A kiedy w końcu wychodził z mroku i zanurzał się w oślepiającym blasku dnia, wtapiając się w tłum przechodniów pędzących za swoimi sprawami, świat nabierał nowego koloru. W końcu wszyscy od wieków robili to samo: alkoholem próbowali zapełniać dziury w swej świadomości. Ale dziś nie... dziś Rebus miał zamiar ograniczyć się tylko do dwóch drinków. Wiedział, że potrafi stąd wyjść po drugim. Zostanie dłużej i wypicie trzeciego lub czwartego oznaczać będzie pozostanie już do zamknięcia albo do stoczenia się na podłogę. Ale dwa drinki... dwa to dobra liczba, bezpieczny numer. Uśmiechnął się na myśl, że dobry, bezpieczny numer może też znaczyć coś zupełnie innego.

Wódka z sokiem z pomarańczy: to nie jego ulubiony drink, ale nie zostawia zapachu. Po wypiciu będzie mógł wrócić na St Leonard's i nikt się nawet nie zorientuje. Tylko jemu świat będzie się wydawał nieco łagodniejszy. Kiedy zadzwoniła komórka, w pierwszym odruchu chciał ją zignorować, jednak jej przenikliwe brzęczenie na tyle przeszkadzało innym gościom, że nacisnął guzik.

– Halo?

– No niech zgadnę – odezwał się głos Siobhan.

– Jeśli ci o to chodzi, to nie jestem w żadnym pubie. – Widać akurat to stwierdzenie potrzebne było młodemu człowiekowi stojącemu przy jednorękim bandycie, by trafić większą wygraną, bo z automatu z ogłuszającym hurkotem posypał się nagle strumień monet.

– Mówiłeś coś?

– Czekam tu na kogoś.

– Miewasz czasami lepsze wymówki?

– A tak w ogóle, to po co dzwonisz?

– Muszę podpytać masona.

Przesłyszał się.

– Podpytać Charlesa Mansona?

– Masona. Wiesz, takiego od dziwnych uścisków dłoni i podwiniętych spodni.

– Nie mogę ci pomóc. Nie przyjęli mnie.

– Ale pewno paru znasz, nie?

Przez chwilę milczał, po czym zapytał:

– O co ci chodzi?

Powtórzyła mu treść ostatniej wskazówki.

– Czekaj, niech pomyślę – powiedział. – Może Farmer?

– A on do nich należy?

– Sądząc po tym, jak ścisła dłoń.

– Myślisz, że się nie obrazi, jak do niego zadzwonię?

– Wręcz przeciwnie. – Zamilkł i po chwili dodał: – Teraz mnie pewnie zapytasz, czy może znam jego domowy numer, więc ci od razu mówię, że masz szczęście. – Wyciągnął notes i odczytał numer.

– Dzięki, John.

– Jak ci idzie?

– W porządku.

Wyczuł w jej głosie lekkie skrępowanie.

– Z Grantem wszystko w porządku?

– Tak, w porządku.

Spojrzał w górę na daszek nad barem.

– Stoi tam teraz obok ciebie, tak?

– Tak.

– Wszystko jasne. Pogadamy później. Ach, zaraz.

– Co jest?

– Czy miałaś kiedyś do czynienia z kimś nazwiskiem Steve Holly?

– A co to za jeden?

– Miejscowy pismak.

– Ach, ten. Rozmawiałam z nim może raz czy dwa razy w życiu.

– Dzwonił kiedyś do ciebie do domu?

– Nie wygłupiaj się. Tego numeru pilnuję jak oka w głowie.

– No to dziwne, bo twój numer wisi u niego w biurze na ścianie. – Po jej stronie zapadło milczenie. – Przychodzi ci do głowy, w jaki sposób mógł go zdobyć?

– Pewnie są na to jakieś sposoby. Nie udzielam mu żadnych informacji, jeśli o to ci chodzi.

– Chodzi mi tylko o to, Siobhan, że trzeba na tego palanta uważać. Jest gładziutki jak pupcia noworodka i tak samo pachnie.

– Urocze. Muszę już kończyć.

– Tak, ja też. – Rebus rozłączył się i dopił swego drugiego drinka. Więc to by było na tyle, trzeba się stąd zbierać. Ale w telewizji akurat zaczynała się następna gonitwa, a on zwrócił szczególną uwagę na kasztanka imieniem Daleki Rejs. Więc może jeszcze jeden nie zaszkodzi... I wtedy znów zadzwonił telefon. Rebus zaklął, pchnął drzwi i wyszedł na oślepiające światło dnia.

– Tak? – warknął.

– To nie było zbyt ładne.

– Kto mówi?

– Steve Holly. Poznaliśmy się w domu Bev.

– Zabawne, bo właśnie o panu rozmawiałem.

– A ja się cieszę, że się wtedy poznaliśmy, bo inaczej mógłbym cię nie rozpoznać z opisu Margot. – Margot to pewnie ta blond recepcjonistka ze słuchawką na głowie. Więc psikus psikus, ale nie omieszkała jednak nadać na niego Holly’emu.

– O co ci chodzi?

– Daj spokój, Rebus. Trumna.

– Słyszałem, że już z nią skończyłeś.

– Więc teraz jest dowodem w śledztwie?

– Nie. Właśnie chciałem ją oddać pani Dodds.

– Już to widzę. Coś dziwnego się tu dzieje.

– Sprytny chłopiec z ciebie. To „coś” to po prostu policyjne śledztwo. A tak przy okazji, to właśnie siedzę w nim po uszy, więc jeśli pozwolisz...

– Bev wspominała coś o jakichś innych trumnach...

– Naprawdę? Może się przesłyszała.

– Nie sądzę. – Holly zawiesił głos, jednak Rebus milczał. – No dobra – rzucił w końcu. – Pogadamy później.

„Pogadamy później”, dokładnie to samo powiedział przedtem Siobhan. Przez ułamek sekundy zastanowił się nawet, czy Holly mógł ich podsłuchiwać. Nie, to przecież niemożliwe. Po skończonej rozmowie dwie rzeczy go zastanowiły. Po pierwsze, Holly ani słowem nie wspomniał o numerach telefonów, które znikły z jego ściany, więc pewnie jeszcze tego nie zauważył. Po drugie, zadzwonił na numer komórkowy Rebusa, a więc go zna. Zwykle Rebus podawał numer swojego pagera, nie komórki. Nie pamiętał jednak, który numer podał Bev Dodds...

Bank Balfour niczym nie przypominał banku. Przede wszystkim mieścił się na Charlotte Square, w jednym z najelegantszych miejsc na całym Nowym Mieście. Na zewnątrz, w hałasie i smrodzie ulicznym, klienci, objuczeni torbami zakupów, z utęsknieniem czekali w kolejkach na

nie nadjeżdżające autobusy, natomiast wewnątrz był inny świat. Na podłodze leżał puszysty dywan, na górę wiodły wspaniałe szerokie schody z wiszącym nad nimi kryształowym żyrandolem, ściany błyszczały olśniewającą bielą po niedawnym malowaniu. W sali operacyjnej nie widać było ani kolejek klientów, ani okienek kasowych. Wszelkie transakcje prowadziło trzech konsultantów przy biurkach rozstawionych w takiej odległości od siebie, by zapewnić dyskrecję rozmów. Konsultanci byli młodzi i elegancko ubrani. Klienci czekający na zaproszenie do jednego z gabinetów siedzieli rozparci w wygodnych fotelach i czytali coś ze stosu gazet i czasopism wyłożonych na niskich stolikach. Panowała atmosfera pełna namaszczenia, było to bowiem miejsce, gdzie pieniądze nie tyle się szanuje, co się do nich modli. Siobhan skojarzyło się to od razu z kaplicą.

– No i co ci powiedział? – zapytał Grant.

Wsunęła telefon komórkowy z powrotem do kieszeni.

– Uważa, że powinniśmy porozmawiać z Farmerem.

– A to jego numer? – spytał Grant, wskazując na kartkę z zapisanym numerem telefonu.

– Tak – potwierdziła i przed numerem dopisała literkę F. F jak Farmer. System ten utrudniłby identyfikację adresów i numerów telefonu zapisanych w notesie w razie, gdyby dostał się w niepowołane ręce. Była poruszona tym, że dziennikarz, którego ledwie kojarzyła, zna jej telefon domowy. Nie obawiała się, że zacznie do niej wydzwaniać, ale zawsze...

– Myślisz, że jest ktoś tu z debetem na koncie? – zapytał Grant.

– Może ktoś z personelu, bo co do klientów, to nie sędzę.

Otworzyły się jedne z drzwi, wyszła z nich kobieta w średnim wieku i cicho je za sobą zamknęła. Potem zaczęła bezszelestnie sunąć w ich kierunku.

– Pan Marr państwa oczekuje.

Spodziewali się, że wejdą przez te same drzwi, jednak ona ruszyła schodami na górę. Szła szybkim energicznym krokiem, cały czas pozostając kilka kroków przed nimi i uniemożliwiając próbę rozmowy. Na końcu korytarza na pierwszym piętrze zatrzymała się przed ogromnymi dwuskrzydłowymi drzwiami, zapukała i poczekała na odzew.

– Wejść!

Wykonała polecenie, otwierając równocześnie oba skrzydła, i ruchem ręki zaprosiła ich do środka.

Gabinet był olbrzymi z trzema dużymi oknami w weneckim stylu, sięgającymi od podłogi do sufitu, na których wisiały lniane zasłony w pastelowym kolorze. Wzdłuż ściany stał ogromny stół konferencyjny z polerowanego dębu z rozłożonymi na nim blokami papieru, długopisami i kilkoma dzbankami z wodą. Mimo swej wielkości zajmował zaledwie jedną trzecią powierzchni gabinetu. W pobliżu telewizora, na którego ekranie widać było aktualne notowania giełdowe, ustawiona była kanapa i fotel. Sam Ranald Marr stał za swym biurkiem, masywnym antykiem

z ciemnego orzecha. Biurko i jego właściciel mieli zbliżoną karnację, a kolor opalenizny Marra wskazywał, iż pochodzi ona z Karaibów, a nie z gabinetu odnowy na Nicolson Street. Marr był postawnym mężczyzną z nienagannie ostrzyżonymi szpakowatymi włosami. Miał na sobie ciemny dwurzędowy garnitur w paseczki, niemal na pewno szyty na miarę. Poruszając się z godnością, wyszedł zza biurka, by ich powitać.

– Randal Marr – przedstawił się, po czym zwracając się do kobiety, dodał: – Dziękuję, Camille.

Zamknęła za sobą drzwi, a Marr zaprosił ich gestem ręki na kanapę. Oboje usiedli, on zaś zasiadł w fotelu pokrytym identyczną skórą i założył nogę na nogę.

– Są jakieś wiadomości? – zapytał, a na jego twarzy pojawił się wyraz zatroskania.

– Śledztwo jest w toku, panie prezesie – oświadczył Grant, a Siobhan siłą się powstrzymała, by nie rzucić mu spojrzenia. „Śledztwo jest w toku...” Ciekawe z jakiego filmu to wziął.

– Powodem naszej dzisiejszej wizyty jest to – zaczęła Siobhan – że Philippa uczestniczyła w jakiejś grze.

– Dobra? – zdziwił się Marr. – A co to ma wspólnego ze mną?

– Doszły nas słuchy, panie prezesie – oświadczył Grant – że pan też lubi grać w takie gry.

– W takie gry...? – Marr klasnął w dłonie. – Och, już wiem, o co wam chodzi. O moich żołnierzyków. – Zmarszczył czoło. – I w to właśnie grała Flipa? Nigdy nie okazywała śladu zainteresowania...

– Tu chodzi o taką grę, w której podaje się zakodowane wskazówki, a gracz musi je odgadywać, by móc przejść do następnego etapu gry.

– Więc to coś zupełnie innego – powiedział Marr, klepnął się w kolana i wstał z fotela. – Chodźcie, pokażę wam. – Podeszedł do biurka i z szuflady wyjął klucz. – Chodźcie za mną – rzucił dość opryskliwie i otworzył drzwi na korytarz. Poprowadził ich z powrotem do schodów, jednak nie zszedł na dół, tylko znacznie węższymi schodami poszedł w górę na drugie piętro. Siobhan zauważyła, że idąc, Marr lekko utyka. Starał się to skrzętnie ukrywać, jednak dało się to zauważyć. Pewnie przydałaby mu się laska, pomyślała Siobhan, jednak próżność nie pozwalała mu jej używać. Idąc za nim, czuła, jak ciągnie za sobą smugę zapachu wody kolońskiej. Na palcu brak było obrączki. Kiedy wyciągnął rękę, by przekręcić klucz, zauważyła, że na przegubie miał na brązowym skórzanym pasku dopasowanym kolorystycznie do opalenizny skomplikowane wyglądający zegarek.

Otworzył drzwi i wszedł do środka pierwszy. Okno wewnątrz zasłonięte było czarną tekturą, zapalił więc lampę na suficie. Pokój był mniej więcej o połowę mniejszy od jego gabinetu, a cały środek zajmowało coś w rodzaju olbrzymiego stołu. Była to plansza z makietą terenu z zielonymi pagórkami i przecinającą go niebieską wstęgą rzeki, o wielkości mniej więcej trzy na sześć metrów. Znajdowały się na niej drzewa i sterczały ruiny jakichś budynków, a większość terenu

zajmowały dwie armie stojące naprzeciwko siebie. W sumie było kilkuset żołnierzy podzielonych na pułki. Figurki miały niewiele ponad dwa centymetry wysokości, natomiast wykonane były z ogromną pieczołowitością.

– Większość z nich sam pomalowałem. Każdemu starałem się nadać jakieś drobne cechy indywidualne, żeby się troszkę między sobą różnili.

– I rozgrywa pan tu bitwy? – spytał Grant, biorąc do ręki armatę. Marr wyraźnie nie dopuszczał intruzów na pole bitwy. Kiwnął głową, dwoma palcami delikatnie wyjął armatę z dłoni Granta i ustawił ją z powrotem na planszy. – Brałem udział w bitwie paintball – powiedział Grant. – Grał pan w to kiedyś?

Marr uśmiechnął się kwaśno.

– Wybraliśmy się kiedyś z całą załogą, ale nie mogę powiedzieć, że bym był zachwycony: strasznie to niechlujne. Ale Johnowi się podobało i nawet się odgraża, że jeszcze tam wrócimy.

– Johnowi, czyli panu Balfourowi – domyśliła się Siobhan.

Półka wisząca na ścianie wypełniona była książkami: część dotyczyła modelarstwa, część poświęcona była opisom słynnych bitew. Inne półki pełne były przezroczystych plastikowych pudełek wypełnionych całymi armiami czekającymi na swą szansę mszenia do boju.

– Zmienia pan czasami rezultaty bitew? – spytała Siobhan.

– Na tym polega cała strategia – wyjaśnił Marr. – Analizuje się, w którym momencie strona pokonana popełniła błąd i próbuje się zmienić bieg historii. – Jego głos znów był pełen pasji.

Siobhan przyjrzała się krawieckiemu manekinowi odzianemu w wojskowy mundur. Wiele innych mundurów – w lepszym lub gorszym stanie – wisiało rozpostartych na ścianach za szkłem jak obrazy. Nigdzie natomiast nie było żadnej broni – tylko żołnierskie ubiory.

– To z wojny krymskiej – wyjaśnił Marr, wskazując na jedną z kurtek oprawioną w oszkloną ramę.

– Czy rozgrywa pan też bitwy przeciwko innym graczom? – wtrącił pytanie Grant.

– Czasami.

– I odwiedzają tu pana?

– Tu nie, nigdy. W garażu przy domu mam znacznie większą makietę.

– To po co panu ta?

Marr uśmiechnął się.

– Zauważyłem, że mnie to odpręża, pomaga myśleć. A czasami udaje mi się na chwilę oderwać od biurka. – Zrobił pauzę i dodał: – Myślicie, że to takie dziecinne hobby?

– Ależ skąd – zapewniła go Siobhan, nie do końca szczerze. Pachniało jej to czymś w rodzaju „zabawki dla dużych chłopców”, znajdując potwierdzenie w zachowaniu Granta, który wpatrywał się w rozstawione armie z dziecinnym zachwytem w oczach. – A grywa pan też jakoś inaczej?

– To znaczy?

Wzruszyła ramionami, jakby chcąc podkreślić, że tak tylko pyta, wyłącznie dla podtrzymania rozmowy.

– Bo ja wiem? Może korespondencyjnie? Słyszałam, że szachiści tak rozgrywają swoje mecze. Albo może przez Internet?

Grant rzucił na nią krótkie spojrzenie, domyślając się do czego zmierza.

– Znam takie witryny internetowe – odparł Marr – tylko że potrzebne jest do tego takie specjalne urządzenie.

– Kamera sieciowa? – odpowiedział Grant.

– O właśnie. I wtedy można grać nawet międzykontynentalnie.

– Ale pan nigdy tego nie robił?

– Nie należę do ludzi szczególnie uzdolnionych technicznie.

Siobhan znów skierowała uwagę na półkę z książkami.

– Słyszał pan kiedyś o Gandalfie?

– O którym Gandalfie? – Siobhan patrzyła na niego w milczeniu. – Bo znam co najmniej dwóch: czarnoksiężnika z *Władcy Pierścieni* i pewnego dziwaka, który prowadzi sklep z grami na Leith Walk.

– Był pan u niego w sklepie?

– Przez te wszystkie lata kupiłem u niego trochę rzeczy. Ale najczęściej kupuję w firmach wysyłkowych.

– I przez Internet?

Marr kiwnął głową.

– Tak, kilka razy. A właściwie, to kto wam o tym wszystkim powiedział?

– O pańskim zamiłowaniu do gier? – spytał Grant.

– Tak.

– Długo pan czekał z tym pytaniem – zauważyła Siobhan.

Popatrzył na nią ze złością.

– Ale się doczekałem i teraz pytam.

– Nie możemy tego niestety ujawnić.

Wyraźnie ta odpowiedź nie była mu w smak, jednak powstrzymał się od dalszych komentarzy.

– Czy słusznie się domyślam – zapytał – że gra, w którą grała Flipa, w niczym nie przypominała tej tutaj?

– W niczym, proszę pana – odparła Siobhan.

Wyglądało, że Marr odetchnął.

– Wszystko w porządku, panie prezesie? – zapytał Grant.

– Wszystko w porządku. Tylko, że... że to nam wszystkim tak bardzo leży na sercu.

– Nie wątpię – rzekła Siobhan. Potem znów się rozejrzała wokół i dodała: – No cóż, dziękujemy, że pokazał nam pan swoje zabawki. Myślę, że nie będziemy pana już dłużej odrywać od pracy... – Ruszyła ku wyjściu, jednak w pół drogi stanęła. – Pewna jestem, że już gdzieś takiego żołnierzyka widziałam – powiedziała, jakby głośno myśląc. – Czy nie przypadkiem w mieszkaniu Davida Costello?

– O ile pamiętam, dałem mu jednego – potwierdził Marr.

– Czy to właśnie od niego... – Przerwał i pokręcił głową. – Zapomniałem. Nie wolno wam przecież ujawnić...

– Otóż to, panie prezesie – kiwnął głową Hood.

Po wyjściu z budynku Grant zachichotał.

– Nie był zachwycony, kiedy nazwałaś jego wojsko „zabawką” – powiedział.

– Wiem i dlatego to zrobiłam.

– W każdym razie lepiej nie próbuj tu otwierać konta. Pewnie by ci i tak odmówili.

Siobhan uśmiechnęła się.

– A ja ci mówię, że on się zna na Internecie. A skoro bawi się w takie gry, to pewnie ma analityczny umysł.

– Quizmaster?

Zmarszczyła nos.

– Sama nie wiem. Tylko po co miałby to robić? Co by z tego miał?

– Może nic specjalnego. – Grant wzruszył ramionami. – To znaczy nic z wyjątkiem kontrolowania banku Balfour.

– Tak, oczywiście, to możliwe – powiedziała Siobhan i wróciła myślami do żołnierzyka w mieszkaniu Davida Costello. Upominek od Ranalda Marra...? Tylko że Costello stwierdził, że nie ma pojęcia, skąd się u niego wziął ten żołnierzyk z ułamanym muszkietem i skręconą głową. A zaraz potem do niej zadzwonił i opowiedział o hobby Marra...

– A nawiasem mówiąc – dodał Grant – ani o krok nie zbliżyliśmy się do rozwiązania naszej zagadki.

To zmieniło jej tok myślowy. Zwróciła ku niemu głowę i powiedziała:

– Grant, tylko musisz mi coś obiecać.

– Co takiego?

– Obiecay mi, że nie zjawisz się znów pod moim domem w środku nocy.

– Mowij mi – odpowiedział Grant z uśmiechem. – Nasz zegar cały czas tyka, pamiętasz?

Popatrzyła na niego i przypomniało jej się jego zachowanie na szczycie Hart Fell, to, jak się wtedy uczeplił jej ręk. Wyglądało, że już się otrząsnął i że cała sprawa – wyścig z czasem i stojące przed nimi wyzwanie – znów go bawi. Może nawet ciut za bardzo.

- Obiecaj – powtórzyła.
 - No dobra – powiedział – obiecuję.
- A zaraz potem zwrócił ku niej twarz i puścił oko.

Po powrocie do komisariatu Siobhan poszła do toalety i usiadła w kabinie. Dłonie jej lekko drżały. To zdumiewające, że człowiek potrafi być od środka rozdygotany, a jednocześnie nie okazywać tego po sobie. Wiedziała jednak, że jej ciało potrafi uzewnętrzniać emocje na różne inne sposoby: czasami była to pokrzywka na skórze, kiedy indziej trądzik na brodzie i szyi albo egzema pojawiająca się na kciuku i palcu wskazującym lewej ręki.

Rozdygotanie brało się stąd, że trudno jej było skupić się na tym, co ważne. A ważne było to, żeby dobrze wykonywać pracę i nie podpaść Gill Templer, ale wiedziała, że nie jest tak gruboskórna jak Rebus. Ważna była sprawa, którą się zajmowała, i być może ważny był Quizmaster, ale męczyło ją to, że nie była tego pewna. Natomiast pewna była jednego: istniała realna groźba, że ta gra ją wciągnie i stanie się jej obsesją. Próbowwała postawić się na miejscu Flipy Balfour i myśleć tak jak ona, jednak nie była pewna, czy i na ile jej się to uda. Do tego wszystkiego dochodził jeszcze Grant, który stawał się coraz bardziej uciążliwy, ale jednocześnie wiedziała, że bez niego nie udałoby się jej dojść tak daleko, więc może trzymanie się go też było ważne. Nie miała nawet pewności, czy Quizmaster jest mężczyzną. Miała za to przeczucie, a jednocześnie wiedziała, że poddawanie się przeczuciom może być niebezpieczne. Wielokrotnie była świadkiem tarapatów, w jakie wpadał Rebus tylko dlatego, że zawierzał swojemu przeczuciu co do czyjejś winy lub niewinności.

Wciąż męczyła ją też sprawa przejścia na stanowisko rzeczniczki prasowej i nie dawała jej spokoju myśl, czy już definitywnie spaliła za sobą mosty. Sukces Gill na tym stanowisku brał się głównie stąd, że potrafiła się przystosować do otaczających ją mężczyzn, takich jak zastępca komendanta Carswell. Pewnie uważała, że w ten sposób wygrywa z systemem, Siobhan podejrzewała jednak, że tak naprawdę było odwrotnie: to system wygrywał z nią, na nowo ją kształtował, zmieniał i wymuszał dostosowywanie się do niego. Stąd brała się konieczność budowania wokół siebie barier i trzymania ludzi na dystans. I dawania innym nauczek, takich, jaka stała się udziałem Ellen Wylie.

Usłyszała najpierw skrzypnięcie drzwi do toalety, a chwilę później delikatne pukanie do jej kabiny.

- Siobhan? Jesteś tam?
- Znała ten głos. Należał do jednej z policjantek mundurowych, Dilys Gemmill.
- O co chodzi, Dilys? – spytała.
 - Chodzi o naszego drinka wieczorem. Chciałam tylko zapytać, czy to wciąż aktualne?
- Był to ich stały zwyczaj. Cztery czy pięć policjantek mundurowych plus Siobhan. Szły do

jakiegoś baru z głośną muzyką na plotki i kilka Moskiewskich Mułów. Siobhan była honorowym członkiem grupy, jako jedyna nie mundurowa uczestniczka, którą zapraszały na te spotkania.

- Dziś chyba nie dam rady, Dilys.
- No daj spokój, dziewczyno...
- Następnym razem już na bank, zgoda?
- Twoja decyzja, twoja strata – rzuciła Gemmill, wychodząc z toalety.
- Jeszcze jedna – mruknęła Siobhan pod nosem, odblokowując drzwi toalety.

Rebus stał po drugiej stronie ulicy i patrzył na kościół. Specjalnie wstąpił do domu, aby się przebrać, ale teraz nie mógł się przemóc, by wejść do środka. Podjechała taksówka i wysiadł z niej doktor Curt. Stał, by zapiąć marynarkę, i zauważył Rebusa. Kościółek był mały, lokalny, taki, jakiego Leary sobie życzył. Podczas ich rozmów wielokrotnie do tego wracał. „Szybko, skromnie i sprawnie – mawiał. – Tylko tak to sobie wyobrażam”.

Choć kościółek był nieduży, przybyły do niego tłumy. Nabożeństwo miał odprawić arcybiskup, który wraz z ojcem Leary uczęszczał niegdyś do Kolegium Szkockiego w Rzymie, a do kościoła przybyło kilkudziesięciu księży i kleryków. Może będzie „sprawnie”, pomyślał Rebus, ale wątpliwe, by mogło się to odbyć „szybko” i „skromnie”...

Curt ruszył przez jezdnię w jego kierunku. Rebus wyrzucił niedopałek i wsunął rękę do kieszeni. Zauważył, że trochę popiołu spadło mu na rękaw, ale nie chciało mu się go czyścić.

– Pogoda jak ulał – zauważył Curt, spoglądając na niebo zakryte ciężkimi ołowianymi chmurami, które wisiały tak nisko nad głowami, że nawet na wolnym powietrzu powodowały uczucie klaustrofobii. Rebus przeciągnął dłonią po tyle głowy i poczuł, że włosy ma wilgotne od potu. W takie dni jak ten czuło się, jakby cały Edynburg był jedną wielką całą otoczoną niewidzialnymi murami.

Przechodząc przez jezdnię, Curt wyciągał sobie mankiety koszuli, tak by odpowiednio wystając, ukazywały srebrne spinki opatrzone wytłoczoną próbą. Miał na sobie ciemnoniebieski garnitur, białą koszulę i gładki czarny krawat. Czarne półbuty aż lśniły. Curt zawsze ubierał się bez zarzutu. Rebus miał świadomość, że jego ubranie, choć najlepsze, jakim dysponował, w porównaniu z tamtym wygląda dość mizernie. Miał go już od pięciu czy sześciu lat i, by dopiąć spodnie, musiał nieźle wciągać brzuch. Marynarki nie próbował już nawet dopinać. Kupił je w sklepie Austin Reed i najwyższa pora, by ich znów odwiedzić. Ostatnio rzadko zdarzały mu się zaproszenia na śluby czy chrzciny, za to z pogrzebami sprawa wyglądała zupełnie inaczej. Koledzy z pracy, kompani od kieliszka... coraz to któryś spadał z grzędy. Nie dalej jak trzy tygodnie temu był w krematorium na pogrzebie policjanta z St Leonard's, który zmarł niecały rok po przejściu na emeryturę. Wtedy po powrocie odwiesił koszulę i krawat z powrotem do szafy. Dziś przed założeniem sprawdził tylko kołnierzyk u koszuli.

– To co, idziemy? – spytał Curt.

Rebus kiwnął głową.

– Idź, nie czekaj na mnie.

– A co jest?

Rebus potrząsnął głową.

– Nic. Po prostu nie jestem pewien... – Wyjął ręce z kieszeni i zapalił kolejnego papierosa. Wyciągnął paczkę w stronę Curta, który kiwnął głową i wziął jednego.

– Czego nie jesteś pewien? – zapytał, kiedy Rebus podawał ogień. Rebus najpierw długo przypalał swojego papierosa, potem zaciągnął się głęboko i z westchnieniem wypuścił dym.

– Chcę go zapamiętać takim, jaki był dla mnie za życia – powiedział. – Jeśli tam pójde, to będę musiał wysłuchiwać mów i wspomnień innych. I wtedy to nie będzie już taki Conor, jakiego znałem.

– Z tego, co wiem, kiedyś byliście sobie dość bliscy – rzekł Curt. – Ja go prawie wcale nie znałem.

– Gates też tu będzie?

Curt potrząsnął przecząco głową.

– Miał jakieś wcześniejsze zobowiązania.

– Zrobiliście sekcję?

– Tak. Wylew krwi do mózgu.

Pojawiało się coraz więcej uczestników pogrzebu. Niektórzy przychodzili piechotą, inni podjeżdżali samochodami. Podjechała kolejna taksówka i wysiadł z niej Donald Devlin. Rebusowi wydało się, że pod ciemną marynarką od garnituru dostrzega szary blezer. Devlin różnym krokiem pokonał schody prowadzące do kościoła i zniknął we wnętrzu.

– Wyszło coś z jego pomocy? – zapytał Curt.

– Czyjej?

Curt kiwnął głową w stronę odjeżdżającej taksówki.

– Naszego emeryta.

– Nie bardzo. Ale zrobił, co było można.

– Czyli tyle, ile zrobiłby Gates albo ja.

– Pewnie tak. – Przypomniał sobie widok Devlina pochylonego nad biurkiem i ślęczącego nad protokołami, a obok Ellen Wylie, starającą się odsuwać od niego jak najdalej. – On kiedyś był żonaty, prawda? – zapytał.

– Tak, jest wdowcem – potwierdził Curt. – Dlaczego pytasz?

– Tak sobie, bez powodu.

Curt spojrział na zegarek.

– Chyba już trzeba iść. – Zdusił papierosa pod stopą. – No to jak, idziesz?

– Chyba nie.

– A na cmentarz?

– Chyba też dam sobie spokój. – Rebus spojrział w górę na ciężkie chmury. – Jak mawiają Amerykanie, „inną razą”.

Curt kiwnął głową.

– No to do zobaczenia przy jakiejś innej okazji – powiedział.

– Na przykład następnego zabójstwa – potaknął Rebus, a potem obrócił się i ruszył przed siebie. Przez myśl przesuwają mu się obrazy z kostnicy podczas autopsji. Drewniane klocki do podparcia głowy zmarłego. Rowki w płaszczyźnie stalowego stołu do odprowadzania płynów organicznych. Instrumenty i słoje na organy... A potem przypomniał sobie słoje widziane w Czarnym Muzeum i uczucie potworności zmieszanej z fascynacją. Pewnego dnia, może już niezbyt odległego, jego ciało też się znajdzie na tym stole, a Curt i Gates będą się przy nim szykować do swych codziennych czynności. Bo tym właśnie stanie się wtedy dla nich: obiektem codziennych czynności, równie codziennych jak ta, która dokonuje się teraz w kościele za jego plecami. Miał nadzieję, że choć część nabożeństwa odbędzie się po łacinie. Leary był wielkim miłośnikiem mszy po łacinie i miał zwyczaj recytować Rebusowi fragmenty łacińskiej liturgii, wiedząc, że ten nie rozumie ani słowa.

– No ale przecież w czasach twojej młodości chyba uczono łaciny? – zapytał kiedyś.

– Może w szkołach dla paniczyków – odparł Rebus. – Tam, gdzie ja chodziłem, uczono obróbki drewna i metalu.

– I wychowywano na wyznawców religii przemysłu? – spytał wtedy Leary i zaśmiał się głębokim śmiechem pochodzącym z głębi jego jestestwa. Takie dźwięki chciał pamiętać: głośne cmokanie, gdy uważał, że Rebus mówi coś szczególnie idiotycznego i ostentacyjnie głośne stękanie, kiedy przychodziło mu się podnieść z miejsca, by pójść do lodówki po następne guinnessy.

– Och, Conor – powiedział Rebus głośno i opuścił głowę, tak by nikt z przechodniów nie mógł dostrzec zbierających mu się w oczach łez.

Siobhan zadzwoniła do Farmera.

– To miło znów cię usłyszeć, Siobhan.

– Właściwie to dzwonię, żeby poprosić o przysługę, panie komisarzu. Przepraszam, że panu zakłócam wypoczynek i spokój domowy.

– Zapewniam cię, że istnieje coś takiego, jak wypoczynek i spokój domowy w nadmiarze. – Farmer zaśmiał się, by nie miała wątpliwości, że żartuje, jednak w jego głosie brzmiała też nutka smutku.

– Ważne jest, żeby człowiek na emeryturze starał się zachowywać aktywny tryb życia –

powiedziała i niemal ugryzła się w język, bo zabrzmiało to jak mądrzenie się psychologa w gazetowej rubryce porad.

– Wszyscy tak mówią. – Znów się roześmiał, a jego śmiech zabrzmiał jeszcze bardziej sztucznie. – Więc, jakie mi nowe hobby proponujesz?

– Nie wiem – powiedziała, nerwowo wierząc się na krześle. Rozmowa wcale nie rozwijała się tak, jak to sobie zaplanowała. Obok przy jej biurku zasiadł Grant, który przyciągnął sobie fotel od biurka Rebusa. Fotel był dziwnie podobny do dawnego fotela Farmera. – Może golf?

Teraz Grant zmarszczył twarz, zastanawiając się, o czym ona, do diabła, mówi.

– Zawsze byłem zdania, że machanie kijami psuje miły spacer po trawie – odpowiedział Farmer.

– No, spacerzy też się na pewno panu przydadzą.

– Tak sądzisz? Dziękuję wielkie, że mi przypominasz. – Głos Farmera zabrzmiał zgryźliwie, a ona zupełnie nie wiedziała, czym i kiedy go uraziła.

– A co do tej przysługi... – zaczęła.

– No właśnie – przerwał jej – mów szybko, nim wybiegnę na jogging.

– To coś w rodzaju hasła do zagadki.

– Chodzi o krzyżówkę?

– Nie, panie komisarzu. To sprawa, którą się aktualnie zajmujemy. Philippa Balfour miała kilka takich zagadek do rozwiązania, a my staramy się podążać jej śladem.

– I w czym mogę ci być pomocny?

– No więc ta wskazówka, panie komisarzu, brzmi: *A corny beginning where the mason's dream ended*. I tak się zastanawiamy, czy słowo mason może się odnosić do członka Łoży Masońskiej.

– I ktoś wam powiedział, że ja należę do łoży?

Przez chwilę zapadło milczenie.

– Poczekaj, wezmę coś do pisania – powiedział w końcu. Po chwili odezwał się i kazał jej powtórzyć hasło. – Mason przez duże „M”?

– Nie, panie komisarzu. A to ma jakieś znaczenie?

– Nie wiem. Ale na ogół członków łoży pisze się przez duże M.

– Więc to może po prostu oznaczać kamieniarza?

– Poczekaj, nie spiesz się. Nie powiedziałem, że się mylisz. Po prostu muszę pomyśleć. Możesz mi dać z pół godzinki?

– Naturalnie.

– Jesteś na St Leonard's?

– Tak jest, panie komisarzu.

– Siobhan, już nie musisz mnie tytułować „panem komisarzem”.

– Jasne... panie komisarzu. – Uśmiechnęła się. – Przepraszam, to jest silniejsze ode mnie.

Wydawało się, że Farmerowi zły humor już minął.

– No to pomyślę trochę nad tym i zadzwonię. Nie zbliżyliście się nic a nic do ustalenia, co się z nią stało, prawda?

– Wszyscy robią co mogą, panie komisarzu.

– Nie wątpię, Siobhan, nie wątpię. A jak Gill sobie radzi?

– Sądzę, że jest w swoim żywiole.

– Ona zajdzie bardzo daleko, Siobhan, wspomnisz moje słowa. Od Gill Templer można się naprawdę dużo nauczyć.

– Tak jest, panie komisarzu. To czekam na telefon.

– Na razie, Siobhan. Odłożyła słuchawkę.

– Będzie myślał – powiedziała do Granta.

– On będzie sobie myślał, a nasz zegar tyka.

– No dobra, mądralo, to posłuchajmy twoich genialnych pomysłów.

Patrzył na nią przez chwilę w zadumie, potem uniósł w górę palec.

– Po pierwsze, moim zdaniem brzmi to, jak fragment jakiegoś tekstu literackiego. Może coś z Szekspira albo coś w tym rodzaju. – W górę powędrował jego drugi palec. – Po drugie, czy słowo *corny* należy rozumieć w przenośni jako „wieśniacki” albo „kliwy”, czy też może odnosi się po prostu do miejsca, gdzie rośnie kukurydza.

– Czyli że *corny beginning* oznaczałoby miejsce, gdzie się zaczęła kukurydza?

Wzruszył ramionami.

– Albo to, że cały cykl życia zaczyna się od ziarna. Słyszałaś kiedyś powiedzenie „zasiać kukurydzę idei”?

Pokręciła przecząco głową, a on uniósł kolejny palec.

– Powiedzmy, że mason jest tu w sensie kamieniarz. Czy na przykład może chodzić o jakąś płytę nagrobną? W końcu tam przecież kończą się wszystkie nasze marzenia. Może chodzi o rzeźbę w kształcie kolby kukurydzy. – Zwinął wyprostowane palce w pięść. – Na razie tyle.

– Jakby to miała być nagrobna płyta, to musielibyśmy wiedzieć, na jakim cmentarzu jej szukać. – Siobhan wzięła kartkę z zapisanym hasłem. – A tu nic takiego nie ma, ani kwadratu na mapie, ani numeru strony...

Grant kiwnął głową.

– Bo to innego typu wskazówka. – Nagle coś jeszcze mu przyszło do głowy. – A może pierwsze słowa w *a corny beginning* należy czytać razem jako *acorny*, od słowa *acorn*, czyli „żołędź”, a więc „żołędziowy”.

Siobhan zmarszczyła twarz.

– No i co nam to daje?

– Dąb... może liście dębowe. Jakiś cmentarz ze słowem „żołędź” albo „dąb” w nazwie.

Siobhan wydeła policzki.

– I gdzie niby mamy szukać tego cmentarza? Może mamy odwiedzić każde miasto i miasteczko w całej Szkocji?

– Tego nie wiem – przyznał Grant, rozcierając sobie skronie. Siobhan rzuciła kartkę na stół.

– Czy mi się zdaje, czy te zagadki stają się coraz trudniejsze? – mruknęła. – A może to mój umysł już wysiada?

– Może po prostu musimy sobie zrobić przerwę – powiedział Grant, moszcząc się na fotelu. – Właściwie to możemy na tym ogłosić fajrant.

Siobhan spojrzała na zegar na ścianie. Grant miał rację, mieli już za sobą pełne dziesięć godzin pracy. Całe przedpołudnie stracili na bezowocną wycieczkę na Hart Fell. Jeszcze czuła w kościach tę wspinaczkę. Przydałaby się teraz długa kąpiel z dodatkiem soli aromatycznych i kieliszkiem zimnego chardonnay... Perspektywa była kusząca, wiedziała jednak, że kiedy obudzi się jutro rano, do upływu terminu rozwiązania zagadki zostanie bardzo mało czasu. Zakładając oczywiście, że Quizmaster będzie chciał egzekwować narzucone przez siebie reguły. Problem polegał na tym, że o tym, czy je będzie egzekwował czy nie, można było się przekonać w jeden tylko sposób: nie wykonując zadania w terminie. Wiązało się to jednak z ryzykiem, którego nie chciała podejmować.

A ta wizyta w banku Balfour... Zastanawiała się, czy ją też należy uznać za stratę czasu. Ten Randal Marr ze swoimi żołnierzami... Podpowiedział im to David Costello... i do tego ten uszkodzony żołnierz w jego mieszkaniu. Zastanowiła się, czy Costello próbował jej może powiedzieć coś więcej o Randalzie Marr. Jeśli tak, to nie wiedziała co. I jeszcze na dokładkę, gdzieś w jej podświadomości tkwiła myśl, że całe to ćwiczenie to jedna wielka strata czasu i że Quizmaster tylko się nimi bawi i owa gra nie ma nic wspólnego ze zniknięciem Flipy... Więc może jednak ten drink z dziewczynami to nie taki głupi pomysł... Kiedy zadzwonił telefon, gwałtownie szarpnęła słuchawkę.

– Posterunkowa Clarke, wydział śledczy – wyrecytowała do mikrofonu.

– Posterunkowa Clarke, tu oficer dyżurny. Ktoś tu przyszedł i mówi, że chce porozmawiać.

– Kto taki?

– Niejaki pan Gandalf. – Dyżurny ściszył głos. – Z wyglądu niezły cudak, jakby dostał udaru słonecznego podczas Lata Miłości w sześćdziesiątym ósmym i od tamtej pory jeszcze nie zdążył dojść do siebie...

Siobhan zeszała na dół. Gandalf ścisnął w ręce ciemnobrązowy kapelusz, a na głowie miał przepaskę z zatkniętym za nią wielobarwnym piórem. Ubrany był w brązową skórzaną kamizelkę założoną na tę samą koszulkę z nazwą zespołu Grateful Dead, którą miał w sklepie. Jasnoniebieskie sztruksowe spodnie pamiętały lepsze czasy, podobnie jak sandały na jego

stopach.

– Witam – powiedziała Siobhan.

Oczy rozwarły mu się szeroko, jakby jej w pierwszej chwili nie poznał.

– Siobhan Clarke – przedstawiła się, wyciągając rękę. – Poznaliśmy się w pańskim sklepie.

– Tak, tak – zamruczał. Spoglądał na jej wyciągniętą rękę, ale nie kwapił się z podaniem swojej, więc ją w końcu opuściła.

– Co pana sprowadza, panie Gandalf?

– Obiecałem, że popytam o tego Quizmastera.

– Tak, pamiętam – rzekła. – Zechce pan wejść na górę? Spróbuję zorganizować dla nas po filiżance kawy.

Popatrzył na drzwi, z których przed chwilą wyszła i wolno pokręcił głową.

– Nie lubię komisariatów policji – powiedział ponuro. – Czuję tu złe wibracje.

– To mnie nie zaskakuje – skinęła głową. – Woli pan porozmawiać na zewnątrz? – Wyjrzała przez drzwi na ulicę. Trwała godzina szczytu: samochody wlokły się, stykając się niemal zderzakami.

– Tu za rogiem jeden znajomy prowadzi sklep...

– I w nim są dobre wibracje?

– Doskonale – odparł Gandalf, po raz pierwszy reagując z widocznym ożywieniem.

– A nie będzie o tej porze zamknięty?

Potrząsnął głową.

– Jeszcze otwarty. Sprawdziłem.

– A więc dobrze, tylko niech mi pan da minutkę. – Siobhan podeszła do dyżurnego, który siedząc w samej koszuli za ochronną szybą, obserwował całą scenę. – Mógłbyś zadzwonić na górę do Granta Hooda i powiedzieć mu, że wrócę za dziesięć minut?

Dyżurny kiwnął głową.

– To proszę, idziemy – zwróciła się do Gandalfa – Jak się ten sklep nazywa?

– Namiot Nomadów.

Siobhan знаła to miejsce. Był to właściwie bardziej magazyn niż sklep i można w nim było kupić wspaniałe dywany i wyroby sztuki ludowej. Skusiła się tam kiedyś na kilim, bo dywan, którym się zachwyciła, był cenowo poza jej możliwościami. Dużo sprzedawanego tu towaru pochodziło z Indii i Iranu. Weszli do środka i Gandalf przyjaźnie pomachał na powitanie właścicielowi, który mu odmachnął, nie odrywając się od jakichś papierów.

– Dobre wibracje – rzekł Gandalf z uśmiechem, a Siobhan nie pozostało nic innego, jak też zareagować uśmiechem.

– Nie jestem pewna, czy mój bank byłby tego samego zdania – odparła.

– To tylko pieniądze – oświadczył Gandalf takim tonem, jakby wygłaszał jakąś wielką

mądrość.

Wzruszyła ramionami, oczekując niecierpliwie, by przeszedł wreszcie do rzeczy.

– A więc, co mi pan może powiedzieć o Quizmasterze?

– Niewiele poza tym, że może też używać innych imion.

– Mianowicie?

– Questor, Quizling, Myster, Spellbinder, OmniSent... Chce pani jeszcze więcej?

– I co one wszystkie znaczą?

– To pseudonimy używane przez tych, którzy w Internecie wymyślają zadania.

– W ramach gier, które się aktualnie toczą?

Wyciągnął rękę i dotknął dywanika wiszącego obok na ścianie.

– Latami można studiować ten wzór – powiedział w zadumie – i nigdy go do końca nie zrozumieć.

Siobhan powtórzyła pytanie i odczekała chwilę, jaką Gandalfowi zajął powrót do terażniejszości.

– Nie, to takie różne stare gry. Niektóre dotyczyły zagadek logicznych albo numerologii... w innych przydzielano role, na przykład rycerza albo ucznia czarnoksiężnika. – Spojrzał na nią. – Rozmawiamy o świecie wirtualnym, w którym Quizmaster może mieć do dyspozycji wirtualnie dowolną liczbę imion.

– I nie ma sposobu, żeby go wyśledzić?

Gandalf wzruszył ramionami.

– Może jakby się pani zwróciła do CIA albo do FBI...

– Będę o tym pamiętała.

Poprawił się płynnym węzowym ruchem.

– Ale za to dowiedziałem się czegoś innego – powiedział.

– Czego?

Z tylnej kieszeni spodni wyciągnął złożony kawałek papieru i podał jej, a Siobhan go rozłożyła. Był to wycinek z gazety sprzed trzech lat opisujący historię studenta, który zniknął z domu w Niemczech. Po jakimś czasie na zboczach wzgórz w bezludnym rejonie szkockiego pogórza na północy kraju znaleziono ciało. Musiało tam leżeć od wielu tygodni, a może nawet miesięcy, bo było mocno naruszone przez miejscowe dzikie zwierzęta. Ponieważ z ciała zostały już tylko fragmenty skóry i kości, identyfikacja ofiary była bardzo utrudniona. Tak było do czasu, gdy rodzice zaginionego studenta z Niemiec nie poszerzyli terenu swych poszukiwań na inne kraje i nie nabrali przekonania, że zwłoki znalezione na szkockim pogórzu należą do ich syna, Jurgena. Sześć metrów od zwłok znaleziono rewolwer, a w czaszce młodego człowieka znajdował się otwór po pojedynczej kuli. Policja uznała to za samobójstwo, położenie zaś rewolweru wytłumaczyła tym, że mógł on zostać przesunięty przez owcę lub jakieś inne zwierzę.

Siobhan musiała przyznać w duchu, że istotnie mogło tak być. Jednak rodzice studenta wciąż utrzymywali, że ich syn został zamordowany. Rewolwer nie należał do niego i był niewiadomego pochodzenia. Jeszcze trudniej było odpowiedzieć na pytanie, jak w ogóle młody Niemiec trafił w szkockie góry. Nikt nie umiał tego wyjaśnić. A potem Siobhan po raz drugi przeczytała ostatni fragment artykułu, marszcząc przy tym czoło: „Jurgen był zapalonym miłośnikiem interaktywnych gier fabularnych typu RPG i wiele godzin spędzał na surfowaniu po Internecie. Rodzice uważają, że ich syn mógł się wdać w jakąś grę, która skończyła się dla niego tragicznie”.

Siobhan uniosła w górę wycinek.

– To wszystko?

– Tylko ta jedna notatka, tak. – Kiwnął głową.

– Skąd pan to ma?

– Od jednego znajomego – wyciągnął rękę – który chciałby ją dostać z powrotem.

– Dlaczego?

– Bo pisze książkę o zagrożeniach w wirtualnym wszechświecie. A tak nawiasem mówiąc, to z panią też chciałby kiedyś porozmawiać.

– Może później. – Siobhan złożyła wycinek, nie kwapiąc się, by go oddać. – Muszę to zatrzymać, panie Gandalf. Pański znajomy dostanie to, kiedy mnie już nie będzie potrzebne.

Gandalf spojrział na nią z wyrzutem, jakby nie dotrzymywała zawartej umowy.

– Obiecuję, że mu to zwrócę najszybciej, jak to będzie możliwe.

– A nie moglibyśmy po prostu zrobić z tego fotokopii?

Siobhan westchnęła. Wciąż jeszcze miała nadzieję, że przed upływem godziny będzie już w wannie i to raczej z ginem z tonikiem zamiast wina.

– Dobrze – powiedziała. – Chodźmy na komisariat i...

– Tu też na pewno mają kpiarkę. – Gandalf wskazał na siedzącego w rogu właściciela.

– No dobrze, poddaję się.

Twarz Gandalfa pojaśniała, jakby te cztery krótkie słowa sprawiły mu nieklamana przyjemność.

Zostawiła Gandalfa w Namiocie Nomadów i wróciła do biura akurat w momencie, gdy Grant miał w kulę kolejną kartkę papieru i rzucał nią w kierunku kosza na śmieci, zresztą nie trafiając.

– Co się dzieje? – spytała.

– Zacząłem wymyślać anagramy.

– No i?

– No więc, jakby miasto Banchory nie miało w środku tego „h”, to mogłoby być anagramem od a *corny* b.

Siobhan parsknęła śmiechem, ale widząc minę Granta, zakryła usta dłonią.

– Nie, nie – powiedział – mną się nie krępuj, możesz się śmiać.

– Boże, przepraszam, Grant. Zdaje się, że zaczynam powoli popadać w paranoję.
– Może powinniśmy wysłać maila do Quizmastera i poinformować go, że utknęliśmy.
– Jeszcze poczekajmy. Może bliżej terminu. – Zajrzała mu przez ramię i stwierdziła, że próbuje ułożyć anagram ze słów *mason's dream*.

– Kończymy na dzisiaj? – spytał.

– Może.

Coś go zastanowiło w jej głosie, bo zapytał:

– A co, masz coś?

– Od Gandalfa – powiedziała i wręczyła mu kopię wycinka. Obserwując go, zauważyła, że podczas czytania lekko porusza wargami. Ciekawe, czy zawsze tak robi, pomyślała.

– Interesujące – stwierdził w końcu. – Włączymy to do śledztwa?

– Myślę, że powinniśmy, a ty?

– Przekaż to do wydziału. My już mamy dość na głowie z tą cholerną zagadką.

– Przekazać do wydziału...? – oburzyła się. – Ale to przecież nasze, Grant. A jak się okaże, że to coś ważnego?

– Jezu, Siobhan, zastanów się! To jest wydział śledczy, mnóstwo ludzi w nim pracuje. To nie jest tylko nasza sprawa. W takiej sprawie jak ta nie można być indywidualistą.

– Ja tylko nie chcę, żeby nam ktoś inny wykradł nasze zdobycze.

– Nawet wtedy, gdyby to pozwoliło odnaleźć Philippę Balfour żywą?

Zawahała się i wykrzywiła twarz.

– Nie bądź idiotą.

– To wszystko szkoła Johna Rebusa, co?

Policzki jej się zarumieniły.

– Co wszystko?

– To, że próbujesz wszystko zachować dla siebie, jakby całe śledztwo opierało się na tobie i tylko tobie.

– Gówna prawda.

– Sama wiesz najlepiej. Wystarczy na ciebie spojrzeć.

– Nie chce mi się wierzyć, że coś takiego możesz mówić.

Wstał i stanął z nią twarzą w twarz. Dzielili ich odległość nie większa niż trzydzieści centymetrów.

– Bo ty wiesz najlepiej – powtórzył cicho.

– Słuchaj, ja chciałam tylko powiedzieć, że...

– ...że nie chcesz się z nikim dzielić i jeśli to nie jest styl Rebusa, to już nie wiem czyj.

– Wiesz, co jest z tobą nie tak?

– Nie, ale podejrzewam, że zaraz się dowiem.

– Jesteś zbyt ostrożny i zawsze starasz się grać zgodnie z regułami.

– Jesteś gliną, nie prywatnym detektywem.

– A ty jesteś tchórz i mięczak. Klapki na oczach i równać w szeregu.

– Mięczaki nie mają kłapek na oczach – warknął ze złością.

– Widocznie mają, skoro ty je masz! – odwarknęła.

– Tak jest – powiedział nieco spokojniej, kiwając głową. – Tak jest. A więc zawsze wszystko robię tylko zgodnie z zasadami, tak?

– Chciałam tylko powiedzieć...

Chwycił ją za ramiona i przyciągnął ku sobie, szukając ustami jej ust.

Siobhan zeszywniała i odwróciła twarz. Trzymał ją za ramiona tak mocno, że nie mogła się ruszyć. Spróbowała się cofnąć, ale stojące za nią biurko ograniczało jej ruchy.

– To się nazywa ścisła współpraca w zespole – zadudnił głos od drzwi. – I to mi się podoba.

Na widok Rebusa wchodzącego do sali Grant puścił jej ramiona.

– Nie zwracajcie na mnie uwagi – ciągnął Rebus. – To, że sam nie stosuję takich nowoczesnych metod w pracy policyjnej, nie znaczy wcale, że ich nie pochwalam.

– Myśmy tylko... – zaczął Grant i zamilkł. Siobhan obeszła biurko i niepewnie opadła na krzesło. Rebus podszedł bliżej.

– To już niepotrzebne? – zapytał, wskazując fotel Farmera. Grant skinął głową, a Rebus odciągnął fotel z powrotem do swojego biurka. Po drodze zauważył, że leżące na biurku Ellen Wylie protokoły z autopsji zostały zebrane w stosik i obwiązane sznurkiem, co zapewne znaczyło: „przejrzane, przeanalizowane, do oddania”. – Farmer wam jakoś pomógł? – spytał.

– Jeszcze nie oddzwonił – odpowiedziała Siobhan, próbując opanować drżenie głosu. – Właśnie miałam do niego dzwonić.

– I tylko migdałki Granta pomyliły ci się ze słuchawką, co?

– Inspektorze – zaczęła. – Nie chciałabym, żeby powstało fałszywe wyobrażenie o tym, co tu zaszło...

Rebus przerwał jej, unosząc rękę do góry.

– To nie ma nic wspólnego ze mną, Siobhan. Więc masz absolutną rację. Kończymy rozmowę na ten temat.

– Chyba coś jednak należy wyjaśnić – powiedziała nieco podniesionym głosem, spoglądając na Granta, który stał odwrócony bokiem i unikał jej wzroku.

Wiedziała, że pewnie się w duchu modli. Ten „grzeczny chłopczyk”, ten „nieszkodliwy nudziarz” z tymi jego elektronicznymi zabawkami i tym szpanerskim sportowym samochodzikiem!

Więc już lepiej niech to będzie cała butelka ginu, a jeszcze lepiej skrzynka. I po cholere jej do tego kąpiel.

– Doprawdy? – zapytał Rebus, teraz już wyraźnie zaintrygowany.

„Mogłabym teraz jednym ruchem zakończyć twoją karierę, kolego Grant”.

– Nieważne – rzekła w końcu.

Rebus przez chwilę się w nią wpatrywał, a gdy nie podniosła wzroku z nad papierów, spojrzał na Granta.

– A u ciebie coś się dzieje? – zapytał beztrąsco, rozsiadając się na fotelu.

– Co? – Policzki Granta spłaszczyły.

– Pytam o to ostatnie hasło. Zbliżyłeś się do rozszyfrowania go?

– Niestety nie, panie inspektorze. – Grant stał przy jednym z biur i kurczowo trzymał się jego krawędzi.

– A co u ciebie? – spytała Siobhan, poprawiając się na krześle.

– U mnie? – Przejechał długopisem po kłobocach palców. – Myślę, że dzisiaj udało mi się osiągnąć wynik równy pierwiastkowi kwadratowemu z minus jeden. – Rzucił długopis na biurko.

– Więc ja stawiam.

– Wypiłeś już parę drinków, co? – spytała Siobhan.

Rebus zmrużył oczy.

– Parę. Pochowali dziś mojego starego przyjaciela. Zaplanowałem prywatną stypę, więc jeśli ktoś z was chce się przyłączyć, to zapraszam.

– Muszę wracać do domu... – powiedziała Siobhan.

– Nie wiem, czy...

– Chodź, Grant. Dobrze ci to zrobi.

Grant spojrzał w kierunku Siobhan, jakby oczekując od niej jakiegoś sygnału, a może i pozwolenia.

– Może mógłbym jednego... – zaczął niepewnie.

– Grzeczny chłopiec – oświadczył Rebus. – Zatem na jednego.

Grant wciąż jeszcze sączył pierwsze piwo – choć Rebus zdążył już w tym czasie wypić dwie podwójne whisky i dwa duże piwa – kiedy ze zgrozą zauważył, że barman dolewa do jego kufła małe piwo, nie czekając, aż dopije pierwsze.

– Przyjechałem samochodem – zaprotestował.

– Cholera jasna, Grant – jęknął Rebus. – Przez cały wieczór o niczym innym nie mówisz.

– Przepraszam.

– A jak już coś mówisz, to tylko przepraszasz. Nie widzę żadnego powodu, żebyś miał przepraszać za obściskiwanie Siobhan.

– Sam nie wiem, jak do tego doszło.

– I nie próbuj dociekać.

– Myślę, że ta nasza sprawa trochę się... – Przerwało mu elektroniczne brzęczenie. – To pańska, czy moja? – zapytał i sięgnął do kieszeni marynarki. Tym razem dzwoniła komórka Rebusa, który kiwnął głową w stronę drzwi, dając Grantowi do zrozumienia, że wychodzi na zewnątrz.

– Halo? – Na zewnątrz było chłodno, mroczno i wokół kręciły się taksówki w poszukiwaniu klientów. Jakaś kobieta potknęła się o wystającą płytę chodnikową i omal nie upadła. Młody człowiek z głową ogoloną na zero i z kolczykiem w nosie pomógł jej pozbierać wysypane z torby pomarańcze. Ot, odruchowy gest grzeczności... Mimo to Rebus nie spuszczał wzroku z chłopaka, dopóki ten nie odszedł. Tak na wszelki wypadek.

– John? Tu Jean. Jesteś jeszcze w pracy?

– Prowadzę obserwację podejrzanego – odrzekł Rebus.

– O mój Boże, czy chcesz żebym...?

– Nie, wszystko w porządku, żartowałem. Wskoczyłem tylko na drinka.

– Jak było na pogrzebie?

– Nie poszedłem. To znaczy, poszedłem, ale nie mogłem się przemóc.

– A teraz pijesz?

– Nie próbuj tylko wyciągać ku mnie pomocnej dłoni.

Roześmiała się.

– Nie miałam zamiaru. Tylko, że siedzę tu teraz przed telewizorem z butelką wina i...

– I co?

– I przydałoby się jakieś miłe towarzystwo.

Rebus wiedział, że jego obecny stan nie pozwoli mu prowadzić ani robić jeszcze paru innych rzeczy, gdyby zaszła taka potrzeba.

– Sam nie wiem, Jean. Nie widziałaś mnie jeszcze po drinku.

– A co? Przekształcasz się w pana Hyde'a? – Znów się roześmiała. – Przeszłam to już z moim mężem. Wątpię, żebyś mi mógł pokazać coś nowego. – Starła się to mówić lekko, jednak w jej głosie brzmiały nowe tony. Może była spięta, dlatego, że zaproszenie wyszło od niej. Nikt przecież nie lubi się spotykać z odmową. Ale może było w tym też coś więcej...

– Mógłbym wziąć taksówkę. – Przyjrzał się sobie. Wciąż jeszcze był ubrany jak na pogrzeb, tyle że zdążył już zdjąć krawat i rozpiąć dwa górne guziki od koszuli. – Tylko przedtem powinienem pojechać do domu i się przebrać.

– Jak chcesz.

Spojrzał na drugą stronę ulicy. Kobieta z torbą z zakupami stała teraz na przystanku i czekała na autobus. Co chwilę zaglądała do torby, jakby upewniając się, że jest w niej wszystko. Oto życie w wielkim mieście: nieufność jako stały element pancerza ochronnego, jaki się nosi; brak wiary w istnienie czegoś takiego jak bezinteresowny odruch i dobry uczynek.

– Będę niedługo – powiedział i rozłączył się.

Wrócił do pubu i zastał Granta nad pustym kuflem. Na widok wchodzącego Rebusa uniósł rękę do góry na znak, że już ma dosyć.

– Muszę już iść – oznajmił.

– Tak, ja też – stwierdził Rebus.

Grant wyglądał na zawiedzionego, jakby liczył na to, że Rebus tu zostanie, będzie pił dalej i coraz bardziej się upijał. Rebus popatrzył na pusty kufel Granta i zastanowił się, czy udało mu się może namówić barmana, by ten wylał zawartość do zlewu.

– Możesz prowadzić? – zapytał.

– Tak, bez problemu.

– To świetnie. – Rebus klepnął go w ramię. – Wobec tego podrzucisz mnie do Portobello...

Przez ostatnią godzinę Siobhan starała się uwolnić od myśli o sprawie, jednak nadaremnie. Nie pomogła jej ani kąpiel, ani gin. Muzyka – Mutton Birds, *Envy of Angels* – też nie zadziałała jak ochronny kokon, którym zwykle się otaczała. Ta ostatnia wskazówka Quizmastera uporczywie kołatała jej się po głowie, co chwilę wracając i absorbując myśli... i znowu... i jeszcze raz... a do tego wciąż jej stawał przed oczyma obraz Granta trzymającego ją za ramiona i Rebusa – akurat musiał to być on! – obserwującego tę scenę od drzwi. Zastanawiała się, co by się stało, gdyby Rebus się nie odezwał. Ciekawa była, jak długo tam stał, nim się odezwał, i czy słyszał coś z ich kłótni.

Zerwała się z kanapy i ze szklanką w dłoni zaczęła krążyć po pokoju. Nie, nie, nie... tak jakby powtarzanie tego słowa mogło sprawić, że wszystko zniknie i że będzie tak, jakby się nic nie stało. Bo na tym właśnie polega cały problem. Jak się coś stanie, to nie można nic zrobić, żeby się odstało.

– Głupia suka – powiedziała głośno śpiewnym tonem, a potem zaczęła to powtarzać tak długo, aż słowa straciły swój sens.

Głupiasukagłupiasukagłupiasuka...

Nie, nie, nie, nie, nie, nie...

Sen kamieniarza...

Flipa Balfour... Gandalf... Randal Marr...

Grant Hood.

Głupiasukagłupiasuka...

Koniec utworu zastał ją przy oknie. W ciągu tych paru sekund naglej ciszy usłyszała, że w jej uliczkę wjeżdża samochód, a instynkt jej podpowiedział, kto w nim siedzi. Podbiegła do lampy i z impetem przydeptała wyłącznik u podstawy, co pograżyło pokój w ciemnościach. Światło paliło się w przedpokoju, jednak nie sądziła, by z ulicy było to widać. Bała się ruszyć z miejsca,

żeby ruchomy cień nie zdradził jej obecności. Samochód zatrzymał się pod domem. Następny utwór już się zaczął, sięgnęła więc po pilota i wyłączyła odtwarzacz. Słysząc było, jak silnik samochodu pracuje na wolnych obrotach. Serce jej waliło.

Zabrzęczał dzwonek, informując, że ktoś stoi pod drzwiami i chce wejść do środka. Czekala, tkwiąc w bezruchu. Palce miała tak mocno zaciśnięte na szklance, że poczuła w nich mrowienie. Przełożyła szklankę do drugiej dłoni. Dzwonek znów zabręczał.

Nie, nie, nie, nie...

Grant, daj sobie spokój. Wsiadaj do swojej alfy i wracaj do domu. A od jutra możemy zacząć udawać, że nic się nie stało.

Bzzz bzzz zzzz...

Zaczęła nucić pod nosem jakąś melodyjkę, którą właśnie wymyśliła. Może nawet nie tyle melodyjkę, ile pojedyncze dźwięki pomagające jej zagłuszyć dźwięk dzwonka i szum krwi w uszach.

Usłyszała dźwięk zatraskiwanych drzwi samochodu i nieco odetchnęła. I gdy zaczął dzwonić telefon, niemal upuściła szklankę.

W poświacie dochodzącej z latarni ulicznych widziała telefon leżący na podłodze koło kanapy. Po sześciu dzwonekach włączy mu się automatyczna sekretarka. Dwa... trzy... cztery...

A może to Farmer!?

– Halo? – poderwała słuchawkę, opadając na kanapę.

– Siobhan? Tu Grant.

– Gdzie jesteś?

– Właśnie przed chwilą dzwoniłem do twoich drzwi.

– Widać dzwonek nie działa. Czego chcesz?

– Na początek, żebyś mnie na przykład wpuściła na górę.

– Jestem zmęczona. Właśnie się wybierałam do łóżka.

– Tylko na pięć minut, Siobhan.

– Chyba nie.

– Aha. – Zapadło milczenie tak namacalne, jakby stanął między nimi ktoś trzeci, wielki i groźny, ze świadomością, że tylko przez jedno z nich jest mile widziany.

– Wracaj do domu, dobra? Zobaczymy się rano.

– Dla Quizmastera może być za późno.

– Ach, więc jesteś tu po to, żeby rozmawiać o pracy, tak? – Przesunęła wolną dłoń wzdłuż ciała i wcisnęła ją sobie pod pachę ręki trzymającej słuchawkę.

– Niezupełnie – przyznał.

– Tak też myślałam. Słuchaj, Grant. Umówmy się, że był to moment słabości i nic więcej. Myślę, że będę umiała się z tym pogodzić.

- Tak odbierasz to, co się stało?
- A ty nie?
- Czego ty się boisz, Siobhan?
- O co ci chodzi? – Jej głos nabrał twardości.
Chwilę trwało, nim się poddał.
- O nic. O nic mi nie chodzi. Przepraszam.
- Więc widzimy się w biurze.
- Tak jest.
- Dobrze się wyśpij. A jutro rozwiążemy tę zagadkę.
- Jeśli tak uważasz.
- Tak uważam. Dobranoc, Grant.
- Dobranoc, Shiv.

Rozłączyła się, nie mówiąc mu nawet, że nienawidzi tego zdrobnienia. Tak na nią wołały dziewczyny w szkole. Podobało się ono również jednemu z jej chłopaków na studiach. Powiedział jej wtedy, że w slangu słowo to oznacza nóż. Siobhan: nawet nauczyciele w jej angielskiej szkole mieli trudności z wymawianiem jej imienia. Wymawiali je „Sii-oban”, a ona musiała ich poprawiać.

Dobranoc, Shiv...

Głupiasuka...

Usłyszała odjeżdżający samochód i patrzyła, jak refleksy rzucane przez światła reflektorów tańczą po suficie i ścianie. Siedziała przez chwilę w zupełnej ciszy i ciemności, kończąc drinka i nie czując jego smaku. Kiedy telefon znów zadzwonił, głośno zaklęła.

– Słuchaj – ryknęła do słuchawki – odwal się wreszcie, dobra?!

– No cóż... jeśli sobie tego życzysz – odezwał się głos Farmera.

– O Boże, panie komisarzu, bardzo pana przepraszam.

– Spodziewałaś się kogoś innego?

– Nie, tylko... może kiedy indziej.

– Zgoda. Podzwoniłem po kilku znajomych, którzy są biegli w rzemiośle znacznie bardziej niż ja, bo pomyślałem, że im prędzej coś przyjdzie do głowy.

Ton, jakim to mówił, powiedział jej wszystko, co chciała wiedzieć.

– I nic z tego?

– W zasadzie nic. Ale czekam na jeszcze parę telefonów. Kilku osób nie było w domu, więc im zostawiłem wiadomość. Więc, jak to mówią, *nil desperandum*.

Uśmiechnęła się blado.

– Pewnie są tacy, którzy tak mówią. – Na przykład niepoprawni optymiści, dodała w duchu.

– Więc spodziewaj się jeszcze jednego telefonu jutro rano. O której masz ten termin?

- Przed południem.
- No to sam im się przypomnę z samego rana.
- Dziękuję, panie komisarzu.
- Miło znów czuć się potrzebnym. – Zawahał się. – Cała ta sprawa trochę cię gnębi, co?
- Poradzę sobie.
- O to jestem spokojny. Do usłyszenia jutro.
- Dobranoc, panie komisarzu.

Odłożyła słuchawkę. Jej szklanka była już pusta. „Wszystko szkoła Johna Rebusa”. Tak powiedział Grant podczas ich kłótni. No i proszę, siedzi teraz po ciemku z pustą szklanką w dłoni i gapi się w okno.

– Wcale nie jestem taka jak on – powiedziała na głos, potem podniosła słuchawkę i wybrała numer do niego. Odezwał się automat zgłoszeniowy. Wiedziała, że może spróbować złapać go na komórce. Może poszedł gdzieś chlać. Tak, na pewno gdzieś pije. Właściwie to mogłaby do niego dołączyć i połączyć z nim po nocnych spelunach, które mimo panującego w nich mroku chronią człowieka przed samotnością.

Tyle że na pewno będzie chciał z nią rozmawiać o Grancie i o tym miłosnym uścisku, w którym, jego zdaniem, ich zastał. O czymkolwiek by rozmawiali, ta sprawa bez przerwy będzie między nimi wisiała.

Przez chwilę się wahała, w końcu jednak zadzwoniła na jego komórkę. Telefon miał wyłączony i znów zgłosił się automat, a ona tak jak poprzednio nie zostawiła mu żadnej wiadomości. Ostatnią szansą był pager, jednak już jej ta nagła ochota zaczynała powoli przechodzić. Zrobi sobie kubek herbaty i weźmie go do łóżka. Włączyła czajnik i sięgnęła po herbatę, jednak pudełko z torebkami było puste. Jedyne, co jej zostało, to małe saszetki czegoś ziołowego, chyba rumianku. Zastanowiła się, czy o tej porze stacja benzynowa na Canonmills może być jeszcze otwarta... ewentualnie frytkarnia na Borough Street. Tak, to jest pomysł. Znalazła rozwiązanie dla swych problemów! Wsunęła stopy w pantofle i zarzuciła płaszcz. Upewniła się, czy ma pieniądze i klucze. Wyszła z mieszkania i sprawdziła, czy drzwi są dobrze zamknięte. Zbiegła po schodach i wyszła w nocny chłód w poszukiwaniu tego jednego, jedyne go sprzymierzeńca, na którego zawsze mogła liczyć.

Czekolady.

9

Telefon zbudził ją tuż po siódmej trzydzieści. Zwlokła się z łóżka i poczłapała do pokoju. Trzymając się jedną dłonią za czoło, drugą sięgnęła po słuchawkę.

– Halo?

– Dzień dobry, Siobhan. Chyba cię nie obudziłem, co?

– Nie. Właśnie szykowałam śniadanie. – Zamrugła, potem przeciągnęła dłonią po twarzy, starając się utrzymać otwarte oczy. Głos Farmera brzmiał tak rześko, jakby już od wielu godzin był na nogach.

– To nie chcę ci przeszkadzać, tylko że akurat miałem bardzo interesujący telefon.

– Ktoś z pańskich znajomych?

– Też ranny ptaszek. Właśnie jest w trakcie pracy nad książką o zakonie Templariuszy i ich powiązaniach z masonami. Pewnie dlatego od razu na to wpadł.

Siobhan tymczasem dotarła już do kuchni, sprawdziła czy w czajniku jest woda i włączyła go. W słoiku było dość rozpuszczalnej kawy na dwie lub trzy filiżanki. Trzeba będzie niedługo wybrać się do supermarketu, pomyślała. Na blacie leżały rozsypane okruszki czekolady. Docisnęła je palcem i podniosła do ust.

– Na co wpadł? – spytała.

Farmer zaczął się śmiać.

– Coś mi się zdaje, że jednak jeszcze się nie obudziłaś, co?

– Czuję się trochę otumaniona, nic więcej, panie komisarzu.

– Poszłaś późno spać?

– Pewnie o jeden batonik za dużo. Wpadł na co?

– Chodzi o tę wskazówkę. Dotyczy kaplicy Rosslyn. Wiesz gdzie to jest?

– Nawet niedawno tam byłam. – Było to przy okazji innej sprawy, nad którą pracowali razem z Rebusem.

– To może zwróciłaś na to uwagę: podobno jedno z okien jest ozdobione malunkami kolb kukurydzy.

– Nie pamiętam tego. – Czują jednak, że senność szybko jej mija.

– I to mimo iż kaplicę zbudowano, zanim kukurydza trafiła na Wyspy Brytyjskie.

– Stąd te kukurydziane początki – przypomniała sobie.

– Właśnie.

– A ten sen kamieniarza?

– Coś, co musiałaś zauważyć: dwie pięknie zdobione kolumny. Jedna nazywana jest Słupem Kamieniarza, druga Słupem Czeladnika. Według legendy, przed zabraniem się do dzieła mistrz kamieniarski postanowił udać się za granicę, by zapoznać się z różnymi stylami i sposobami

zdobienia kolumn. Podczas jego nieobecności jeden z czeladników miał sen, w którym ukazała mu się gotowa kolumna. Natychmiast zabrał się do pracy i w ten sposób powstał Słup Czeladnika. Po powrocie z podróży mistrz był tak zazdrosny o dzieło swojego ucznia, że kamieniarskim młotem zatłukł go na śmierć.

– A więc sen kamieniarza skończył się na słupie.

– Właśnie.

Siobhan szybko przebiegła w myśli cały tekst.

– Wszystko pasuje – wykrzyknęła. – Serdeczne dzięki, panie komisarzu.

– Zatem misja pomyślnie zakończona?

– No, jeszcze niezupełnie. Ale muszę pędzić.

– Zadzwoń kiedyś i opowiedz, jak się to wszystko skończyło.

– Zadzwonię. I raz jeszcze dziękuję.

Przezesłała sobie włosy dłońmi. *Kukurydziane początki tam, gdzie skończył się sen kamieniarza.* Kaplica Rosslyn mieściła się w wiosce Roslin, jakieś dziesięć kilometrów na południe od miasta. Siobhan chwyciła słuchawkę, by zadzwonić do Granta... potem ją jednak odłożyła. Z laptopa wysłała maila do Quizmastera:

Słup Czeladnika w kaplicy Rosslyn.

A potem zaczęło się czekanie. Wypiła filiżankę słabej kawy, która pomogła jej przełknąć dwa paracetamole. Potem poszła do łazienki i wzięła prysznic. Wycierając włosy ręcznikiem, powędrowała do pokoju, jednak odpowiedzi od Quizmastera wciąż nie było. Usiadła i w zamyśleniu zagryzła dolną wargę. Nie musieli się wcale wspinać na Hart Fell – wystarczyło tylko podać nazwę. Termin na rozwiązanie zagadki upływa za niecałe trzy godziny. Czy jego milczenie oznacza, że tym razem powinna pojechać do Roslin? Wysłała jeszcze jedną wiadomość.

Mam czekać, czy mam jechać?

I dalej czekała. Druga filiżanka kawy była słabsza niż pierwsza. Słoik z kawą był już pusty. Jeżeli będzie chciała jeszcze coś wypić, to została już tylko herbatka rumiankowa. Przyszło jej na myśl, że może Quizmaster gdzieś wyjechał. Ale jeśli nawet, podejrzewała, że należy do tych, którzy nigdzie się nie ruszają bez laptopa i telefonu komórkowego. Może nawet trzyma je włączone na okrągło, tak jak ona. Na pewno chce mieć szybki dostęp do nadchodzących wiadomości.

Więc skoro tak, to o co mu chodzi?

– Nie mogę ryzykować – powiedziała na głos. Wysłała jeszcze końcową wiadomość: *Jadę do kaplicy* i poszła się ubrać.

Wsiadła do samochodu i położyła laptopa na siedzeniu pasażera. Znów się zawahała, czy powinna zadzwonić do Granta, i znów zdecydowała, że nie. Da sobie sama radę, a on niech

myśli, co chce...

„...nie chcesz się z nikim dzielić i jeśli to nie jest styl Rebusa, to już nie wiem czyj”. Tak jej wtedy powiedział. A teraz jedzie samotnie do Roslin, nikt jej nie ubezpiecza i w dodatku o swoim zamiarze powiadomiła Quizmastera. Nim dotarła do końca Leith Walk, podjęła decyzję. Skręciła i pojechała w kierunku mieszkania Granta.

Dzwonek telefonu obudził Rebusa dokładnie o ósmej piętnaście. Dzwoniła jego komórka. W ostatniej chwili przypomniał sobie, by ją podłączyć do gniazdka i przez noc naładować baterię. Zsunął się z łóżka i zaplątał w rzeczy porozrzucane po dywanie. Na czworakach dotarł do telefonu i przystawił słuchawkę do ucha.

– Rebus – powiedział. – I mam nadzieję, że to coś naprawdę ważnego.

– Już przespałeś – odezwał się głos. Głos Gill Templera.

– Przespałem co?

– Ważne wydarzenie.

Wciąż jeszcze klęcząc na czworaka, rzucił okiem w stronę łóżka. Ani śladu Jean. Czyżby już poszła do pracy?

– Co za ważne wydarzenie?

– Pożądana jest twoja obecność w Holyrood Park. Na Arthur’s Seat znaleziono ciało.

– Jej ciało? – Rebus poczuł, jak skóra nagle zaczyna mu się lepić.

– Na tym etapie trudno to ocenić.

– O Chryste Panie. – Wygiął szyję do tyłu i spojrzał na sufit. – Jak zginęła?

– Ciało leżało tam już od pewnego czasu.

– Gates i Curt już są?

– Spodziewamy się ich lada chwila.

– Pojadę wprost na miejsce.

– Przykro mi, że ci przeszkadzam. Jesteś może u Jean?

– To taki strzał w ciemno?

– Nazwijmy to kobiecą intuicją.

– Cześć, Gill.

– Cześć, John.

W chwili, gdy kończył rozmowę, drzwi się otwarły i do pokoju wkroczyła Jean. Miała na sobie szlafrok frotte, a w rękach trzymała tacę: sok pomarańczowy, tosty i pełen dzbanek kawy.

– O kurczę – powiedziała. – Ale ponętnie wyglądasz. – A potem dostrzegła jego minę i uśmiech zamarł jej na ustach. – Co się stało?

Powiedział jej.

Grant ziewnął. W sklepiku po drodze kupili dwa kubki z kawą, ale wciąż się jeszcze nie rozbudził do końca. Włosy na karku mu sterczały i widać było, że mu to przeszkadza, bo co chwilę próbował je przygładzić.

– Źle spałem tej nocy – powiedział, zerkając w jej stronę, ale Siobhan nie odrywała wzroku od drogi.

– Piszą coś ciekawego?

Miał na kolanach poranne wydanie lokalnego tabloidu, które kupił wraz z kawą.

– Nic specjalnego.

– Jest coś o naszej sprawie?

– Chyba nie. Pewnie poszła już w zapomnienie. – Nagle coś sobie przypomniał, bo zaczął nerwowo obmacywać kieszenie.

– Co jest? – Przemknęło jej przez myśl, że może zapomniał jakiegoś ważnego lekarstwa.

– Komórka. Musiałem ją zostawić na stole.

– Mamy moją.

– Tak, tylko że podłączoną do laptopa. A co, jeśli ktoś będzie chciał zadzwonić?

– To zostawi wiadomość.

– Pewnie tak... Słuchaj, jeśli chodzi o wczoraj...

– Udawajmy, że to się wcale nie wydarzyło.

– Kiedy jednak się wydarzyło.

– No więc, ja bym wolała żeby nie, zgoda?

– To przecież ty wciąż narzekałaś, że ja...

– Grant, zamykamy ten temat. – Zwróciła ku niemu głowę. – Mówię poważnie. Albo zamykamy, albo idę z tym do szefowej. Wybieraj.

Otworzył usta, by coś powiedzieć, potem się zreflektował i założył ręce na piersiach. Radio było nastawione na stację Virgin AM. Lubiła ją, bo pomagała jej się rozbudzić. Grant wolałby coś z częstymi serwisami wiadomości, coś jak Radio Scotland czy Program Czwarty.

– Mój samochód, moje radio – oświadczyła wcześniej w odpowiedzi na jego uwagę.

Poprosił ją więc, by mu jeszcze raz opowiedziała o rozmowie z Farmerem, a ona to chętnie zrobiła, zadowolona, że odchodzą od tematu wczorajszego starcia. Siobhan mówiła, a Grant powoli sączył kawę. Choć nie było śladu słońca, miał na nosie okulary przeciwsłoneczne – ray-bany w szylkretowej oprawie.

– Brzmi nieźle – powiedział, gdy skończyła opowieść.

– Też tak myślę – potwierdziła.

– Aż za łatwo.

– Tak łatwo, że się niemal na tym wyłożyliśmy – parsknęła.

Wzruszył ramionami.

– Chodzi mi o to, że nie było tu nad czym kombinować. To coś takiego, co się albo wie, albo nie, i koniec.

– Tak jak mówiłeś. Innego rodzaju wskazówka.

– Ilu twoim zdaniem masonów mogła znać Philippa Balfour?

– Co?

– Przecież ty w ten sposób doszłaś do tego. A jak jej się to udało?

– Studiowała historię sztuki, nie?

– To prawda. Myślisz, że mogła mieć do czynienia z kaplicą Rosslyn na zajęciach?

– Niewykluczone.

– I myślisz, że Quizmaster o tym wiedział?

– Jakim cudem?

– Może mu powiedziała, co studiuje.

– Może.

– Bo inaczej nie zdołałaby chyba rozwiązać tej zagadki. Rozumiesz do czego zmierzam?

– Chyba tak. Chodzi ci o to, że do rozwiązania potrzebna była specjalistyczna wiedza, której poprzednie wskazówki nie wymagały.

– Coś w tym rodzaju. Oczywiście istnieje jeszcze inna możliwość.

– Mianowicie?

– Że Quizmaster orientował się, że ona coś wie o kaplicy Rosslyn, i to niezależnie od tego, czy mu powiedziała co studiuje, czy nie.

Siobhan od razu domyśliła się, do czego zmierza.

– Bo ją zna osobiście? Sugerujesz, że Quizmaster to ktoś z grona jej znajomych?

Zmierzył ją wzrokiem znad swych ray-banów.

– Wcale by mnie nie zdziwiło, gdyby Ranałd Marr okazał się masonem. Ktoś z jego pozycją...

– Prawda, mnie też nie. – Siobhan zamyśliła się. – Może trzeba będzie do niego wrócić i zapytać.

Zjechali z głównej drogi, wjechali do wioski Roślin i Siobhan zaparkowała obok sklepu z pamiątkami. Brama w murze otaczającym kaplicę była zamknięta na głucho.

– Otwierają dopiero o dziesiątej – powiedział Grant, odczytując informację z tablicy. – Ile mamy jeszcze czasu, twoim zdaniem?

– Jeśli przyjdzie nam czekać do dziesiątej, to niewiele. – Siedząc w samochodzie, Siobhan sprawdziła na laptopie, czy nie ma nowych wiadomości.

– Ktoś tu musi być – stwierdził Grant i walnął pięścią w bramę. Siobhan wysiadła z samochodu i przyjrzała się muirowi otaczającemu dziedziniec kaplicy.

– Potrafisz się wspinać? – spytała.

– Możemy spróbować – odparł. – Tylko co nam to da, jeśli kaplica też się okaże zamknięta?

– A może ktoś tam akurat sprząta?

Kiwnął głową i w tym momencie usłyszeli szcęk odsuwanej zasuw. Brama się otwarła i stanął w niej jakiś mężczyzna.

– Jeszcze zamknięte – oświadczył surowym tonem.

Siobhan wyciągnęła legitymację.

– Jesteśmy z policji, proszę pana. Niestety nie możemy czekać.

Podążyli za nim do bocznego wejścia do kaplicy. Cały budynek był pokryty ogromną płachtą. Ze swej poprzedniej bytności tutaj Siobhan wiedziała, że istnieją jakieś problemy z dachem i przed przystąpieniem do remontu próbowano najpierw osuszyć ściany. Kaplica sprawiająca od zewnątrz wrażenie niewielkiej, dzięki niezwykle bogatemu zdobnictwu, od środka wydawała się znacznie większa. Już samo sklepienie budziło zachwyt, mimo iż było mocno zawilgocone i miejscami pokryte pleśnią. Grant stał w środkowej nawie i tak jak ona podczas pierwszej wizyty, oniemiały rozglądał się wokół.

– To niewiarygodne – powiedział cicho, ale jego słowa i tak wróciły echem odbitym od ścian. Wszędzie wokół widać było mnóstwo płaskorzeźb, jednak Siobhan wiedziała dokładnie, czego szukać, i podeszła wprost do Słupa Czeladnika. Stał obok schodów wiodących w dół do zakrystii. Miał jakieś dwa i pół metra wysokości i opleciony był wokół wijącymi się płaskorzeźbami.

– To ten? – spytał Grant.

– Tak, ten.

– No to czego teraz szukamy?

– Jak znajdziemy, to się dowiemy. – Siobhan przesunęła dłonie po zimnej powierzchni kolumny, potem ukucnęła. U podstawy kolumny wiły się jeden za drugim splecione smoki. Ogon jednego z nich raptownie się zaginał, tworząc niewielkie zagłębienie. Siobhan wsadziła w nie palec i wydłubała kawałek papieru.

– O jasna cholera – mruknął Grant.

Nie próbowała nawet zakładać rękawiczek czy chować karteczkę do plastikowej osłonki. Wiedziała z góry, że Quizmaster nie zostawił na niej żadnych śladów, które mogłyby się przydać w laboratorium. Kartka pochodziła z notesu i była trzykrotnie złożona. Siobhan ją rozprostowała, Grant się przysunął i oboje równocześnie odczytali wiadomość.

Jesteś Poszukiwaczem. Twoim następnym celem jest Pieklisko. Wkrótce otrzymasz dalsze instrukcje.

– Nic nie rozumiem. Tak dużo trudu i zawracania głowy i tylko tyle? – powiedział Grant podniesionym głosem.

Siobhan raz jeszcze przeczytała wiadomość, potem obejrzała odwrotną stronę, jednak ta była

zupełnie pusta. Grant obrócił się na pięcie i wymierzył kopniaka w powietrze.

– Skurwiel! – warknął i wywołał tym grymas zgorzienia na twarzy przewodnika. – Założę się, że ten bydlak świetnie się bawi, jak nas tak przegania z miejsca na miejsce.

– Myślę, że generalnie o to w tym chodzi – odparła Siobhan cicho.

Zwrócił się ku niej.

– O co mianowicie?

– Żeby się nami bawić. Sprawia mu przyjemność, że kręcimy się w kółko.

– Dobrze, ale przecież on tego chyba nie widzi, nie?

– No właśnie nie wiem. Czasami mi się zdaje, że on cały czas nas obserwuje.

Grant spojrzął na nią, potem podszedł do przewodnika.

– Pana nazwisko? – zapytał.

– William Eadie.

Grant wyciągnął notatnik.

– I gdzie pan mieszka, panie Eadie? – Skrupulatnie zanotował wszystkie dane.

– To nie Quizmaster – uspokoiła go Siobhan.

– Kto? – zapytał Eadie drżącym głosem.

– Nieważne – odparła Siobhan i pociągnęła Granta za ramię. Wrócili do samochodu i Siobhan wystukała maila: *Czekam na wskazówkę do Piekliska.*

Wysłała go i oparła się do tyłu.

– I co teraz? – spytał Grant, a ona wzruszyła ramionami. Jednak chwilę później laptop zasygnalizował nadejście nowej wiadomości. Kliknęła na skrzynkę odbiorczą.

Gotowa do poddania? To będzie pewniejsze coś. Grant ze świstem wypuścił powietrze.

– To ma być wskazówka, czy tylko się z nami drażni? – zapytał.

– Może jedno i drugie.

Potem przysłała kolejna wiadomość: *Pieklisko dziś do szóstej wieczorem.*

Siobhan pokiwała głową.

– Jedno i drugie – powiedziała.

– Do szóstej? Daje nam tylko osiem godzin?

– Więc nie traćmy czasu. Co może być pewniejsze?

– Nie wskazówka.

Spojrzała na niego.

– Myślisz, że to nie jest wskazówka?

– Nie o to mi chodzi – powiedział, lekko się uśmiechając. – Popatrzmy na to jeszcze raz. –

Siobhan ściągnęła wiadomość na ekran. – Wiesz, na co mi to wygląda?

– Na co?

– Na hasło do krzyżówki. Zwróć uwagę, że nie jest to napisane zbyt gramatycznie, prawda?

Tak jakby miało sens, ale niezupełnie.

– Myślisz, że trochę naciągane?

– Bo gdyby to było hasło krzyżówkowe... – Grant wydał usta, a między brwiami pojawiła mu się niewielka pionowa bruzda. – Gdyby to było hasło, to na przykład „poddanie” mogłoby znaczyć „danie”, tak jak w „dać pod rozwagę” zamiast „podać pod rozwagę”. Rozumiesz, o co mi chodzi?

Sięgnął do kieszeni i wyciągnął notes i długopis.

– Muszę to mieć przed oczami – wyjaśnił, przepisując wiadomość. – To klasyczna konstrukcja krzyżówkowa: część hasła mówi ci, co masz zrobić, druga część podaje znaczenie, jakie uzyskasz, kiedy to coś zrobisz.

– Ciągnij dalej. Może w którymś momencie zacznę coś z tego rozumieć.

Uśmiechnął się, nie odrywając wzroku od przepisanej wiadomości.

– Załóżmy, że to jest anagram. *Gotowa do poddania? To będzie pewniejsze coś*. I teraz jeśli poddasz – w znaczeniu zrezygnujesz – słowa w zdaniu *to będzie pewniejsze*, to zostanie ci *coś*.

– Jakie coś? – Siobhan czuła, że zaczyna ją łupać w głowie.

– Tego właśnie musimy się dowiedzieć.

– O ile jest to anagram.

– O ile jest to anagram – potwierdził Grant.

– A jaki to wszystko ma związek z Piekłiskiem, wszystko jedno, co to Piekłisko znaczy?

– Tego nie wiem.

– Czy anagram nie byłby czymś zbyt łatwym?

– Tylko dla tych, którzy umieją odczytywać hasła krzyżówkowe. W przeciwnym razie próbowałabyś to czytać dosłownie i nic by z tego nie wynikało.

– No cóż, wszystko mi to pięknie wyjaśniłeś, ale dla mnie wciąż nic z tego nie wynika.

– Widzisz, jakie to szczęście, że masz mnie. Spróbuj. – Wydarł czystą kartkę z notatnika i podał jej. – Pomęcz się nad anagramem ze słów *to będzie pewniejsze*.

– Żeby powstało słowo, które oznacza jakieś coś?

– Słowo lub słowa – poprawił ją Grant. – Masz do dyspozycji wiele liter.

– A nie ma jakiegoś programu komputerowego, który moglibyśmy tu zastosować?

– Może i jest. Ale byłoby to z naszej strony oszustwo.

– Jeśli o mnie chodzi, nie mam nic przeciwko temu.

Ale Grant już jej nie słuchał, bo zabrał się do pracy.

– Byłem tu nie dalej jak wczoraj – powiedział Rebus. Bill Pryde zostawił swój nieodłączny plik notatek na Gayfield Square i teraz, dysząc ciężko, wspinał się z Rebusem pod górę. Wszędzie wokół kręcili się policjanci w mundurach i z rolkami pasiastej policyjnej taśmy

w rękach czekali na decyzję, czy i w którym miejscu mają ją rozciągnąć. Na drodze u stóp wzgórza stało wiele zaparkowanych samochodów: reporterzy, fotoreporterzy, co najmniej jedna ekipa telewizyjna. Wiadomość rozeszła się lotem błyskawicy i natychmiast zjechał na miejsce cały medialny cyrk.

– Ma pan dla nas jakieś wiadomości, inspektorze Rebus? – zaczął go Steve Holly, gdy tylko zdążył wysiąść z samochodu.

– Tylko taką, że działasz mi na nerwy.

Po drodze Pryde poinformował go, że ciało znalazła jakaś spacerowiczka.

– Leżało w kolczastych zaroślach i właściwie nie było schowane.

Rebus milczał. Dwóch ciał nie odnaleziono nigdy... dwa inne znalezione w wodzie. A teraz to: ciało w zaroślach na zboczu wzgórza, więc to też oznacza odejście od schematu.

– Czy to ona? – spytał.

– Sądząc po koszulce Versace, należy przyjąć, że tak.

Rebus zatrzymał się i rozejrzał wokół. Dzikie ostępy w samym sercu Edynburga. Wzgórze zwane Arthur's Seat było wygasłym wulkanem otoczonym rezerwatem ptaków i trzema jeziorami.

– Trzeba by się nieźle namęczyć, żeby tu na górę wciągnąć zwłoki – zauważył.

Pryde pokiwał głową.

– Więc pewnie zamordowano ją tu na miejscu.

– Czyli, że ją tu zwabiono?

– Albo może po prostu wybrała się tu na spacer.

Rebus pokręcił głową.

– Tylko że z niej nie był typ spacerowiczki – powiedział. Ruszyli w kierunku pochyłonych nad zboczem ludzi odzianych w białe kombinezony z kapturami. Ochronne stroje miały zapobiegać zatarciu śladów na miejscu przestępstwa, o co nietrudno. Rebus rozpoznał profesora Gatesa z twarzą purpurową z wysiłku, jakiego wymagało od niego wspięcie się tak wysoko. Obok stała Gill Templer i, milcząc, przyglądała się i przysłuchiwała rozmowom. Ekipa techników badających miejsce przestępstwa prowadziła wstępne przeszukanie. Potem, już po zabranii stąd ciała, dołączają do nich policjanci mundurowi i wszyscy razem podejmą szczegółowe oględziny. Nie będzie to zresztą proste zadanie, bo trawa w tym miejscu była wysoka i gęsta. Policyjny fotograf walczył z obiektywem.

– Lepiej dalej już nie idźmy – odezwał się Bill Pryde i zarządził, by im dostarczono dwa kombinezony ochronne. W trakcie przeciągania przez buty cienki materiał nogawek rozdarł się i potem z łopotem powiewał Rebusowi na wietrze.

– Czy wiadomo, co się dzieje z Siobhan Clarke? – zapytał.

– Próbowałem się skontaktować i z nią, i z Hoodem – odparł Pryde – ale jak dotąd bez

rezultatu.

- Doprawdy? – zdziwił się Rebus, starając się jednocześnie ukryć uśmiech.
- Jest coś, o czym powinienem wiedzieć? – zapytał Pryde, ale Rebus potrząsnął tylko głową.
- Ponure miejsce na umieranie, co?
- A są inne? – Pryde zasunął suwak na kombinezonie i ruszył w kierunku zwłok.
- Udużona – poinformowała ich Gill Templer.
- Na tym etapie to jedynie domysły – poprawił ją Gates. – Dzień dobry, John.

Rebus kiwnął głową na powitanie.

- A doktora Curta nie ma?

– Zadzwoił, że jest chory. Ostatnio dość dużo choruje. – Gates mówił to bez przerywania oględzin. Ciało ułożone było w nienaturalnej pozycji, z nogami i rękami rozrzuconymi pod dziwacznymi kątami. Rosnące wokół krzewy kolcolistu musiały stanowić niezłą kryjówkę, pomyślał Rebus. W połączeniu z wysoką bujną trawą powodowały, że dopiero z odległości jakichś dwóch metrów można było dojrzeć, co kryją. Ubiór ofiary dodatkowo ją maskował: jasnozielone bojówki, koszulka w kolorze khaki i szara marynarka. Czyli dokładnie to, w co Flipa ubrana była w dniu zaginięcia.

- Rodzice już wiedzą?

Gill kiwnęła głową.

- Wiedzą, że znaleziono jakieś ciało.

Rebus zaszedł od drugiej strony, by lepiej się przyjrzeć. Twarz ofiary była odwrócona. We włosach były liście i połyskliwy ślad po ślimaku, a skóra miała barwę fioletowo-siną. Gates zapewne poruszył nieco ciało i to, na co teraz patrzył, to wybroczyny, które powstają, kiedy po śmierci krew spływa i zbiera się w częściach ciała znajdujących się najniżej. W ciągu swej pracy w policji Rebus widział już kilkadziesiąt zwłok, jednak kolejne nie stawały się przez to mniej żalosalne lub mniej przygnębiające. Przejawem życia każdej żywej istoty jest ruch i dlatego tak trudno było się pogodzić z bezruchem. Był świadkiem jak krewni ofiar leżących na stole w kostnicy wyciągali ręce i potrząsali zwłokami, jakby poruszanie nimi mogło im przywrócić życie. Philippie Balfour przywrócić życia już się nie dało.

– Palce ofiary zostały obgryzione – powiedział Gates, bardziej do mikrofonu podłączonego do magnetofonu niż do stojących wokół słuchaczy. – Zapewne dzieło tutejszych zwierząt.

Łasice lub lisy, pomyślał Rebus. Coś, o czym milczą filmy przyrodnicze puszczone w telewizji.

– To fatalnie – dodał Gates, a Rebus wiedział, co ma na myśli. Jeśli Philippa próbowała walczyć ze swym napastnikiem, to końce palców dużo by im powiedziały – na przykład pod paznokciami mogły pozostać ślady jego naskórka lub krwi.

- I wszystko na marne – odezwał się nagle Pryde, a Rebus pomyślał, że pewnie chodzi mu

nie tyle o młode życie Philippy, ile o ogromny wysiłek, jaki został włożony w poszukiwania – w sprawdzanie lotnisk, promów i pociągów w nadziei, że może jednak gdzieś żyje – a który teraz w całości szedł na marne. A przez ten cały czas ona leżała tu i każdy upływający dzień zacierał ślady i zmniejszał szansę na złapanie zabójcy.

– Szczęście, że tak szybko ją znaleźliśmy – zauważył Gates, pewnie by pocieszyć Pryde’a. I to też była prawda. Kilka miesięcy temu w innym miejscu tego samego parku znaleziono zwłoki kobiety. Leżały tuż obok uczęszczanej ścieżki, a mimo to przeleżały ponad miesiąc, nim je znaleziono. Jak się później okazało, chodziło o „konflikt domowy”, jak eufemistycznie nazywano zabójstwa popełniane przez członków najbliższej rodziny.

Rebus zauważył podjeżdżający szary furgon z miejskiej kostnicy. Ciało zapakują teraz w plastikowy worek i zabiorą do Western General, gdzie Gates zajmie się autopsją.

– Na obcasach ślady wleczenia. – Gates kontynuował swą wyliczankę do mikrofonu. – Niezbyt intensywne. Wybroczyny zgodne z ułożeniem ciała, zatem w chwili, gdy ją tu przywleczono, albo jeszcze żyła, albo dopiero co zmarła.

Gill Templer rozejrzała się po terenie.

– Jak duży teren powinniśmy przeszukać? – zapytała.

– W promieniu pięćdziesięciu, najwyżej stu metrów – odparł Gates.

Spojrzała na Rebusa, a on wyczytał w jej wzroku, że nie wierzy w powodzenie tej akcji. Było mało prawdopodobne, by udało mi się dokładnie określić miejsce, z którego ją tu przywleczono, chyba że coś jej tam wypadło.

– W kieszeniach nic nie ma? – spytał Rebus.

Gates potrząsnął głową.

– Tylko pierścionki na palcach i dość drogi zegarek na rękę.

– Cartier – dodała Gill.

– Więc przynajmniej możemy wykluczyć motyw rabunkowy – mruknął Rebus i wywołał tym uśmiech na twarzy Gatesa.

– Ubranie jest w stanie nie naruszonym – uzupełnił – więc skoro o tym mowa, to motyw seksualny też chyba można wykluczyć.

– No to coraz lepiej – powiedział Rebus i spojrzał na Gill.

– Czyli czeka nas łatwizna.

– I stąd mój uśmiech od ucha do ucha – odparła z kamienną miną.

Na St Leonard’s panowało ogólne podniecenie, jednak Siobhan czuła tylko otępiające zniechęcenie. Uczestniczenie w grze z Quizmasterem – tak jak to zapewne robiła Philippa – wytworzyło u niej poczucie więzi duchowej z zaginioną studentką. Teraz dziewczyna przestała już być kimś z listy osób poszukiwanych i potwierdziły się najgorsze przypuszczenia.

– My to czuliśmy od początku, prawda? – powiedział Grant.

– Cały czas chodziło tylko o to, kiedy znajdzie się ciało. – Rzucił notes na biurko. Kilka stron wypełniały jego przymiarki do ułożenia anagramu. Otworzył na kolejnej pustej stronie i wziął długopis do ręki. W sali byli też George Silvers i Ellen Wylie.

– W ostatni weekend byłem z dziećmi na Arthur's Seat – poinformował ich Silvers. Siobhan spytała, kto znalazł ciało.

– Jakaś spacerowiczka – odparła Wylie. – Kobieta w średnim wieku, podczas swojej codziennej przechadzki.

– Pewnie minie trochę czasu, nim się tam znów wybierze – mruknął Silvers.

– Czy Flipa leżała tam od chwili zniknięcia? – spytała Siobhan, zerkając na Granta, który nie przestawał kombinować z przestawianiem liter. Może i słusznie, że się nie poddaje, nie mogła się jednak pozbyć uczucia niesmaku. Jak on może nad tym siedzieć jakby nigdy nic? Przecież nawet George Silvers – największy cynik z nich wszystkich – wydawał się trochę przejęty.

– No, na Arthur's Seat – powtórzył – w ostatni weekend.

Wylie uznała, że Siobhan należy się odpowiedź.

– Zdaje się, że pani komisarz tak uważa. – Mówiąc to, spojrzała na biurko i przejechała po nim dłonią, jakby ścierała kurz.

Ale ją to boli, pomyślała Siobhan... Samo wypowiedzenie słów „pani komisarz” od razu przypomina jej ten nieszczęsny występ w telewizji i wzmaga zapiekłą niechęć.

Kiedy zadzwonił jeden z telefonów, Silvers wstał, by go odebrać.

– Nie, tu go nie ma – powiedział do słuchawki, po czym dodał: – Chwileczkę, zaraz się dowiem. – Zasłonił dłonią słuchawkę. – Ellen, nie wiesz, gdzie jest Rebus?

Wylie potrząsnęła przecząco głową. Siobhan nie miała wątpliwości, że na pewno jest na Arthur's Seat... a Wylie, która podobno jest jego partnerką, mówi, że nie wie. Była pewna, że Gill Templer go zawiadomiła, a on popędził tam jak na skrzydłach, nie zawiadamiając Wylie. Pomyślała, że to może być celowy prztyczek w nos ze strony Templer, która wiedziała doskonale, jak Wylie to zaboli.

– Przykro mi, nie wiemy – powiedział Silvers do słuchawki, a potem dodał: – Tak, chwileczkę. – Wyciągnął słuchawkę w stronę Siobhan. – Jakaś pani chce z tobą rozmawiać.

Idąc przez salę, Siobhan bezgłośnie spytała: „Kto?”, jednak Silvers wzruszył tylko ramionami.

– Halo, posterunkowa Clarke przy telefonie.

– Siobhan, tu Jean Burchill.

– Cześć Jean, czym ci mogę służyć?

– Czy już ją zidentyfikowano?

– W stu procentach jeszcze nie. A skąd się dowiedziałas?

– John mi o tym powiedział, a potem wyskoczył i popędził jak szalony.

Wargi Siobhan ułożyły się bezwiednie w nieme: „O”. A więc John Rebus i Jean Burchill...
proszę, proszę.

– Mam mu powtórzyć, że dzwoniłaś?

– Próbowałam już na komórkę.

– Może mieć wyłączoną. Często nie chce, żeby go odrywano w trakcie wizji.

– W trakcie czego? – spytała Jean ze śmiechem.

– Wizji lokalnej na miejscu przestępstwa.

– To na Arthur’s Seat, prawda? Byliśmy tam z Johnem wczoraj rano.

Siobhan spojrzała w stronę Silversa. Wyglądało na to, że pół miasta odwiedzało ostatnio Arthur’s Seat. Potem przeniosła wzrok na Granta i zobaczyła, że ten jak urzeczony wpatruje się w rozłożony przed nim notes.

– Czy wiesz może, w którym dokładnie miejscu na Arthur’s Seat? – spytała Jean.

– Po drugiej stronie drogi od jeziora Dunsapie Loch i troszkę dalej na wschód.

Siobhan nie spuszczała wzroku z Granta, który też na nią spojrzał, a potem wstał z miejsca i wziął do ręki notes.

– Zaraz, to gdzie to może być...? – Pytanie było retoryczne, bo Jean próbowała sobie tylko wyobrazić to miejsce. Grant wyciągnął notes w jej kierunku, jednak stał zbyt daleko, by mogła coś odczytać. Widziała tylko plątaninę liter i dwa słowa zakreślone kółkiem. Spróbowała wyteńczyć wzrok. – Ach – wykrzyknęła nagle Jean – już wiem! O ile się nie mylę, nazywają to miejsce Pieklisko.

– Pieklisko? – powtórzyła głośno Siobhan, tak by i Grant to usłyszał, jednak on wydawał się całkowicie zaabsorbowany czymś innym.

– Takie dość urwiste zbocze – mówiła dalej Jean – więc może stąd się bierze nazwa, choć oczywiście ludowe legendy wolą to przypisywać czarownicom i diabłom.

– Taak – powiedziała Siobhan, przeciągając słowo. – Jean, posłuchaj, muszę już kończyć. – Patrzyła na słowa zakreślone kółkiem w notatniku Granta. Udało mu się rozwiązać anagram, a litery słów *That’s a surer* ułożyły się w Arthur’s Seat.

Siobhan odłożyła słuchawkę.

– On nas cały czas do niej prowadził – powiedział Grant cicho.

– Może.

– Co to znaczy „może”?

– Zakładasz, że wiedział, że Flipa nie żyje, ale pewności nie mamy. Może po prostu prowadził nas tam tak samo jak Flipę.

– Tyle że ona tam znalazła śmierć. A kto poza Quizmasterem wiedział, że się tam wybiera?

– Ktoś mógł za nią iść albo nawet natknąć się na nią przypadkowo.

– Sama w to nie wierzysz – powiedział Grant z przekonaniem.

– Występuję tylko w roli adwokata diabła, nic więcej.

– To on ją zabił.

– To dlaczego miałby nas wciągać w tę grę?

– Żeby nam zrobić wodę z mózgu. Nie, żeby tobie zrobić wodę z mózgu. A może i coś więcej.

– Gdyby tak było, to już by mnie do tej pory zabił.

– A to dlaczego?

– Dlatego, że nie muszę już grać dalej. Doszłam do tego miejsca co Flipa.

Pokręcił wolno głową.

– Chcesz powiedzieć, że kiedy przyśle ci wskazówkę do... jak się nazywa ten następny etap?

– Rygory.

Kiwnął głową.

– Więc jeśli ci ją przyśle, to już cię nie będzie korciło?

– Nie.

– Nie wierzę ci.

– Cóż, po tym, co się stało, nie ma już mowy, żebym się gdzieś ruszyła bez ochrony, a on musi sobie zdawać z tego sprawę. – Nagle coś jej przyszło do głowy i powtórzyła: – Rygory?

– A co?

– Przecież przysłał Flipie tego maila już po jej zabójstwie. Więc gdyby to on był zabójcą, to po co, na litość boską, miałby do niej pisać?

– Bo jest psychopata.

– Nie sądzę.

– Powinnaś się z nim połączyć i zapytać.

– Zapytać, czy jest psychopata?

– Powiedzieć mu, co wiemy.

– Przecież on może po prostu zniknąć. Zastanów się, Grant. Możemy go minąć na ulicy i nawet o tym nie wiedzieć. Dla nas jest tylko imieniem i nawet to jego imię jest zmyślane.

Grant walnął pięścią w biurko.

– No ale coś musimy zrobić, nie?! Lada chwila dowie się z radia czy telewizji o odnalezieniu ciała. Więc będzie też oczekiwał naszej reakcji.

– Masz rację. – Laptop w jej torbie wciąż był jeszcze podłączony do telefonu komórkowego. Wyciągnęła oba i podłączyła do gniazdek sieciowych dla podładowania baterii.

Ta chwila zwłoki wystarczyła, by Granta opadły wątpliwości.

– Zaczekaj – powiedział – musimy najpierw uzyskać zgodę komisarz Templera.

Obrzuciła go spojrzeniem.

– Wracamy do postępowania według reguł i stania na baczność, co?

Twarz mu poczerwieniała, ale kiwnięciem głowy przytaknął.

– Coś w tym rodzaju. Musimy ją najpierw zawiadomić.

Silvers i Wylie przysłuchujący się cały czas rozmowie zorientowali się, że wydarzyło się coś ważnego.

– Ja jestem po stronie Siobhan – oświadczyła Wylie. – Kuć żelazo póki gorące, i tak dalej.

Silvers był innego zdania.

– Wiecie, czym ryzykujecie? Pani komisarz skórę z was zedrze, jak się dowie, że robicie coś poza jej plecami.

– Niczego nie robimy poza jej plecami – mruknęła Siobhan, wpatrując się w Wylie.

– Właśnie, że tak – zaperzył się Grant. – Siobhan, od tej chwili to jest śledztwo w sprawie morderstwa. Czas na uprawianie gier już się skończył. – Oparł się rękami o jej biurko. – Więc jeśli wyślesz tego maila, to od tej chwili działasz beze mnie.

– I może właśnie o to mi chodzi – odburknęła i od razu pożałowała.

– Miło słuchać, jak ktoś szczerze mówi, co myśli – powiedział Grant.

– Ja to też popieram z całego serca – odezwał się Rebus od drzwi. Na jego widok Wylie wyprostowała się i złożyła ręce na piersiach. – Ellen, to mi przypomina, że winien ci jestem przeprosiny. Powinienem zadzwonić.

– Nieważne – mruknęła Wylie, jednak dla wszystkich obecnych było jasne, że wcale tak nie myśli.

Rebus wysłuchał relacji Siobhan na temat wydarzeń dzisiejszego poranka – przerywanej wtrącanymi przez Granta uwagami i poprawkami – a potem wszyscy popatrzyli na niego, w oczekiwaniu na to, co powie. Przeciągnął palec po krawędzi ekranu laptopa.

– Wszystko, co opowiedziałas – rzekł w zamyśleniu – należy przedstawić komisarz Templer.

Siobhan pomyślała, że wyraz satysfakcji na twarzy Granta nie bierze się stąd, że ktoś mu przyznał rację, tylko że czuje się tak, jakby został pogłaskany i pochwalony. Wylie z kolei wyglądała jak gotowa do walki z kimkolwiek i na jakikolwiek temat. Nie ulegało wątpliwości, że nie prezentują się najlepiej jako zespół mający wspólnie prowadzić śledztwo w sprawie morderstwa.

– No dobra – powiedziała, trochę ustępując – chodźmy pogadać z komisarz Templer. – Jednak kiedy Rebus kiwnął głową, dodała: – Ale jestem gotowa się założyć, że ty sam byś tak nie postąpił.

– Ja? – odparł. – Ja bym nawet nie dotarł do tej pierwszej wskazówki. A wiesz dlaczego?

– Dlaczego?

– Bo cała ta poczta elektroniczna to dla mnie czarna magia.

Siobhan uśmiechnęła się, jednak coś jej w tym momencie zaświtało: czarna magia... trumny

używane przez czarownice do rzucania czarów... śmierć Flipy w miejscu zwanym Piekłisko.

Czyli co, czary i magia?

Zebrali się w szóstkę w ciasnym pomieszczeniu na Gayfield Square: Gill Templer i Bill Pryde, Rebus i Ellen Wylie, Siobhan i Grant Hood. Jedyne miejsce siedzące zajęła Gill. Siobhan wydrukowała całą korespondencję z Quizmasterem i teraz komisarz Templer w milczeniu ją przeglądała. W końcu uniosła głowę.

– Czy jest jakiś sposób, żeby zidentyfikować tego Quizmastera?

– Jeśli jest, to ja go nie znam – odparła Siobhan.

– To jest możliwe – wtrącił Grant. – To znaczy, nie bardzo wiem, w jaki sposób, ale wydaje mi się, że jest to możliwe. Na przykład w przypadku tych wszystkich wirusów, Amerykanie zawsze jakoś potrafią dojść do ich źródła.

Templer kiwnęła głową.

– Tak, to prawda – powiedziała.

– W stołecznej mają komputerowy wydział kryminalny, prawda? – ciągnął dalej Grant. –

Więc może mają też dostęp do systemu FBI.

Templer wbiła w niego wzrok.

– Myślisz, że dałbyś sobie z tym radę? – spytała.

Pokręcił przecząco głową.

– Lubię komputery – powiedział – ale to już nie moja liga. Oczywiście chętnie mogę się tym zająć jako łącznik...

– Rozumiem. – Templer zwróciła się do Siobhan. – A jeśli chodzi o tego studenta z Niemiec, o którym mi mówiłaś...

– Tak?

– Chciałabym poznać nieco więcej szczegółów.

– Myślę, że to nie będzie trudne.

Templer niespodziewanie przeniosła wzrok na Wylie.

– Możesz się tym zająć, Ellen?

Wylie wyglądała na zaskoczoną.

– Chyba tak – odpowiedziała z wahaniem w głosie.

– To znaczy, że nas rozdzielasz? – spytał Rebus.

– Chyba, że mnie przekonasz, że nie powinnam.

– W Kaskadach podrzucano laleczkę, teraz znaleziono ciało. Cały czas funkcjonuje ta sama prawidłowość.

– Jeśli wierzyć twojemu trumniarzowi, to nie. Jeśli dobrze pamiętam, stwierdził różnych wykonawców.

– Więc co, uznajesz to za zbieg okoliczności?

– Niczego nie uznaję i jeśli pojawią się jakieś nowe poszlaki, które wskażą na istnienie związku, to będziesz mógł do tego wrócić. Ale od teraz mamy do czynienia ze śledztwem w sprawie morderstwa, a to zmienia wszystko.

Rebus spojrział na Wylie. Wyraźnie aż się w środku gotowała – propozycja zastąpienia starych protokołów autopsji odległą sprawą tajemniczej śmierci studenta nie mogła jej wprawić w zachwyt. Ale jednocześnie nie miała zamiaru popierać Rebusa – zbyt silnie odczuła niesprawiedliwość, jaka ją dotknęła.

– No więc tak – oświadczyła Templer, przerywając ciszę, która zapadła. – Jak na razie wracasz do głównego nurtu śledztwa i dołączasz do innych. – Zebrała w stosik rozrzucone na biurku wydruki i wyciągnęła je w stronę Siobhan. – Możesz jeszcze przez chwilę zostać?

– Oczywiście – odparła Siobhan. Wszyscy z przyjemnością opuścili duszne pomieszczenie i rozeszli się, by zaczerpnąć czystszego i chłodniejszego powietrza. Jedyne Rebus pozostał w pobliżu drzwi i stał, rozglądając się wokół. Ktoś zabrał się już do usuwania z tablicy na ścianie większości przyczepionych do niej biuletynów, faksów i fotografii. Śledztwo w sprawie osoby zaginionej dobiegło końca i atmosfera wyraźnie oklapła. I to nie dlatego, że wszyscy tak się przejęli jej losem czy chcieli ciszą uczcić pamięć zmarłej. Po prostu zmieniły się okoliczności i nie było już powodu, by się spieszyć. Nie było już tego kogoś, komu dzięki pośpiechowi mogliby uratować życie...

Kiedy zostały same, Templer ponownie złożyła Siobhan propozycję objęcia stanowiska rzeczniczki prasowej.

– Dzięki – odparła Siobhan – ale chyba jednak nie.

Templer oparła się plecami o oparcie fotela.

– Zechciałabyś podzielić się ze mną powodami?

Siobhan w milczeniu rozejrzała się wokół, jakby na ścianach szukając podpowiedzi, jak ma to najlepiej wyrazić.

– Właściwie to nie ma żadnych – odparła w końcu, lekko wzruszając ramionami. – Po prostu w tej chwili nie widzę siebie w tej roli.

– Tylko że później ja mogę nie widzieć powodu, żeby ci to jeszcze raz proponować.

– Wiem o tym. Może chodzi o to, że w tej chwili zbyt mocno siedzę w tej sprawie i chciałabym ją kontynuować.

– Jassne – powiedziała Templer, przeciągając nieco „s”. – Myślę, że między nami to już wszystko.

– Oczywiście – odparła Siobhan, chwytając klamkę i starając się nie zastanawiać, co Gill jeszcze mogła mieć na myśli.

– Aha, czy mogłabyś poprosić tu Granta?

Siobhan przez moment zawahała się, stojąc w uchylonych już drzwiach, potem kiwnęła głową i wyszła. W drzwiach pojawiła się głowa Rebusa.

– Masz dwie sekundy, Gill?

– Nie bardzo.

Mimo to wszedł do środka.

– Zapomniałem ci o czymś powiedzieć.

– Zapomniałeś? – zareagowała ironicznym uśmiechem.

Miał w ręku trzy kartki papieru faksowego.

– Dostaliśmy to z Dublina.

– Z Dublina?

– Od naszego człowieka nazwiskiem Declan Macmanus. Zwróciłem się do niego o informacje na temat rodziny Costello.

Podniosła głowę i przyjrzała mu się badawczo.

– Z jakiegoś konkretnego powodu?

– Tylko tak na nosa.

– Przecież już sprawdzaliśmy tę rodzinę.

Kiwnął głową.

– Oczywiście. Wykonujemy krótki telefon i w odpowiedzi dostajemy informację, że nie są notowani. Ale wiesz równie dobrze jak ja, że często to dopiero początek.

I w przypadku rodziny Costello tak właśnie było: początek długiej historii na tyle interesującej, że kiedy Grant zapukał do drzwi, Gill poleciła mu przyjść za pięć minut.

– Bezpieczniej będzie za dziesięć – rzucił Rebus, porozumiewawczo mrugając. Potem zdjął trzy segregatory z krzesła i usiadł.

Macmanus stanął na wysokości zadania. Okazało się, że David Costello ma za sobą burzliwą młodość, jako młodzieniec mający według określenia Macmanusa „za dużo pieniędzy i za mało opieki”. Były więc i szybkie samochody, i niezliczone mandaty za prędkość, i ustne napomnienia udzielane w sytuacjach, w których inni trafiliby za kratki. Zdarzały się bójkki w pubach, porozbijane szyby, zdemolowane budki telefoniczne i co najmniej dwa incydenty z oddawaniem moczu w miejscu publicznym – w biały dzień na moście O’Connella. Ten ostatni zarzut zaskoczył nawet Rebusa. Mówiło się także, że mając osiemnaście lat, David pobił swoisty rekord liczby pubów, w których wydano mu zakaz wstępu, i to we wszystkich równocześnie. Były wśród nich Stag’s Head, J. Grogan’s, Davie Byrnes, O’Donoghue’s, Doheny i Nesbitt’s, Shelbourne... łącznie jedenaście. Rok wcześniej jego ówczesna dziewczyna złożyła na policji skargę, że zbił ją po twarzy przed jakimś nocnym klubem na bulwarze nad Liffey. Templer doszła do tego miejsca i uniosła głowę.

– Była nieźle wstawiona i nie pamiętała nazwy klubu – wyjaśnił Rebus. – W końcu sprawie

nie nadano biegu.

– Podejrzewasz, że poszły w ruch jakieś pieniądze?

– Czytaj dalej – powiedział, wzruszając ramionami.

Macmanus pisał, że w pewnej chwili szaleństwa się skończyły i David Costello się uspokoił. Wiązał zmianę w jego postępowaniu z wypadkiem podczas imprezy z okazji jego osiemnastych urodzin, kiedy jeden z jego kolegów próbował dla zakładu przeskoczyć między dachami dwóch budynków, nie dał rady i spadł kilka pięter niżej na ulicę.

Nie zabił się, ale odniósł trwałe obrażenia głowy i kręgosłupa, w wyniku których stał się niemal rośliną wymagającą stałej opieki. Czytając to, Rebus przypomniał sobie wizytę w mieszkaniu Davida i tę piersiówkę whisky Bell's... Nie należy do pijących, pomyślał wtedy.

„W jego wieku był to prawdziwy szok”, napisał Macmanus. „Te kilka sekund otrzeźwiło i odmieniło Davida, inaczej groziło mu, że jako nieodrodny syn swego ojca nie tyle pójdzie, co popędzi tą samą drogą co on”.

Jaki syn, taki tatuś. Thomas Costello miał na sumieniu osiem skasowanych samochodów, a mimo to nigdy nie utracił prawa jazdy. Jego żona Theresa musiała dwukrotnie wzywać do domu policję z powodu napadów szału męża. Za każdym razem znajdowano ją zamkniętą w łazience z drzwiami podziabanyimi przez niego nożem. „Chciałem tylko otworzyć to cholerstwo”, wyjaśnił policjantom za pierwszym razem. „Myślałem, że poszła tam ze sobą skończyć”.

„To nie ze mną trzeba skończyć!”, wrzasnęła wtedy Theresa w odpowiedzi. (Na marginesie Macmanus dopisał odręcznie uwagę, że Theresa już dwukrotnie próbowała się otruć i że całe miasto jej współczuło: ciężko i uczciwie pracująca żona i agresywny próżniak mąż dysponujący ogromnymi pieniędzmi, zdobytymi w dużej mierze bez własnej zasługi).

W Curran zrobił kiedyś dziką awanturę jakiemuś turyście i został przez obsługę wyrzucony na ulicę. Kiedy jego bukmacher, który przez wiele miesięcy cierpliwie czekał na wyrównanie poniesionych strat, ostatecznie zwrócił się z pytaniem, czy pan Costello zechciałby je uregulować, ten zagroził mu obcięciem penisa.

I tak dalej, i tak dalej. W tych okolicznościach ich oddzielne pokoje w Caledonian nabierały sensu.

– Uroczą rodzinką – zauważyła Templer.

– Dublińska śmietanka.

– I wszystko to policja zatuszowała.

– Cyt, cyt – cmoknął Rebus. – U nas coś takiego nigdy by się nie mogło zdarzyć, nieprawdaż?

– Ależ skąd – odparła z ironicznym uśmiechem. – I co, twoim zdaniem, wynika z tego wszystkiego...?

– Wynika, że istniał też inny David Costello, o którym do tej pory nie mieliśmy pojęcia. I że to samo dotyczy jego rodziny. Oni wciąż tu jeszcze są?

– Kilka dni temu wrócili do Irlandii.

– Ale wybierają się tu znowu?

– Pewnie tak – kiwnęła głową. – W związku z odnalezieniem Philippy.

– Davida Costello już poinformowano?

– Pewnie już się dowiedział. Jeśli nie od rodziców Philippy, to na pewno z mediów.

– Szkoda, że mnie przy tym nie było – powiedział Rebus, bardziej do siebie samego.

– Nie możesz być wszędzie.

– Pewnie nie.

– No dobrze, to porozmawiaj z jego rodzicami, kiedy się tu zjawią.

– Aż nim?

Kiwnęła głową potakująco.

– Byle nie za ostro... To nie wyglądałoby zbyt dobrze wobec kogoś, kto oplakuje stratę bliskiej osoby.

Rebus uśmiechnął się.

– A ty jak zawsze masz media na uwadze, co?

Obrzuciła go spojrzeniem.

– Czy możesz teraz poprosić tu Granta? – zapytała chłodnym tonem.

– Już się robi: młody i gorliwy funkcjonariusz, sztuk jedna – rzekł Rebus i otworzył drzwi. Grant stał tuż pod nimi i niecierpliwie kołysał się z pięt na palce i z powrotem. Rebus minął go bez słowa i tylko znów porozumiewawczo mrugnął.

Dziesięć minut później Grant dołączył do Siobhan, stojącej akurat pod automatem z kawą.

– No i czego chciała? – spytała, nie mogąc opanować ciekawości.

– Zaproponowała mi biuro prasowe.

Siobhan zamilkła i zajęła się mieszaniem kawy.

– Tak myślałam – mruknęła po dłuższej chwili.

– Będę się pokazywał w telewizji!

– To wstrząsające.

Spojrzał na nią z ukosa.

– Mogłabyś się trochę bardziej wysilić – powiedział.

– Masz rację, mogłabym. – Ich spojrzenia skrzyżowały się. – Dzięki za pomoc przy tych zagadkach. Bez ciebie bym sobie nie poradziła.

Chyba dopiero w tym momencie zdał sobie w pełni sprawę, że ich współpraca definitywnie się kończy.

– Ach... no tak – powiedział. – Siobhan, posłuchaj...

– Tak?

– Jeśli chodzi o to, co się wydarzyło wtedy w biurze... naprawdę jest mi bardzo przykro.

Pozwoliła sobie na kwaśny uśmieszek.

– A co, zląkłeś się, że cię zakabluję?

– Nie... wcale nie o to mi chodzi...

Jednak chodziło właśnie o to i oboje o tym wiedzieli.

– To co, w sobotę do fryzjera i po nowy garnitur, nie? – powiedziała.

Popatrzył po sobie.

– Bo jak masz być w telewizji, to pamiętaj: gładka koszula bez żadnych pasków ani kratek.

Aha, Grant, i jeszcze jedno...

– Tak?

Wyciągnęła dłoń i wsadziła palec pod jego krawat.

– Krawat też gładki. Postaci z filmów rysunkowych nie bawią.

– Komisarz Templer też mi to powiedziała – bąknął i zdziwiony wyciągnął szyję, by przyjrzeć się głowom Homera Simpsona zdobiącym jego krawat.

Pierwszy występ Granta Hooda w telewizji miał miejsce jeszcze tego samego popołudnia. Grant siedział obok Gill Templer, która odczytała krótki komunikat prasowy informujący o znalezieniu ciała. Ellen Wylie obserwowała transmisję na jednym z biurowych monitorów. Tym razem jego rola była niema, jednak Wylie zwróciła uwagę, że kiedy po odczytaniu komunikatu przedstawiciele mediów zaczęli strzelać pytaniami, Grant kilkakrotnie nachylał się i szeptał coś do ucha komisarz Templer, która reagowała kiwnięciem głową. Po drugiej stronie pani komisarz siedział Bill Pryde i to on odpowiadał na większość pytań. Wszyscy chcieli wiedzieć, czy znalezione ciało to na pewno ciało Philippa Balfour i wszyscy pytali o przyczynę zgonu.

– Niestety obecnie nie możemy jeszcze w stu procentach potwierdzić tożsamości – oświadczył Pryde, często pokaszując. Wyglądał na stremowanego i Wylie wiedziała, że to pokaszanie jest niczym innym jak nerwowym tikiem. Ona wtedy też bez przerwy odchrząkiwała. Gill Templer rzuciła Pryde'owi spojrzenie, a Hood potraktował to jako zachętę i zaczął mówić.

– Przyczynę zgonu też dopiero ustalamy. Na dzisiejsze popołudnie zaplanowaliśmy przeprowadzenie autopsji. Jak państwo wiedzą, o siódmej wieczorem planujemy jeszcze jedną konferencję prasową, mamy więc nadzieję, że do tej pory będziemy dysponować większą liczbą szczegółów.

– Ale traktujecie to jako śmierć w podejrzanych okolicznościach, czy tak? – wykrzyknął któryś z dziennikarzy.

– Na obecnym wstępnym etapie tak, traktujemy to jako śmierć w podejrzanych okolicznościach.

Wylie wsadziła sobie długopis do ust i zagryzła zęby. Nie ulegało wątpliwości, że Hood zachowuje się swobodnie i pewnie siebie. Zmienił na tę okazję cały swój ubiór i wyglądał jak spod igły. I nawet włosy zdążył umyć, pomyślała.

– Niestety, obecnie nie mamy wiele do przekazania – ciągnął – co zapewne nie jest dla państwa zaskoczeniem. Jeśli uda nam się zidentyfikować ofiarę, to w pierwszej kolejności będziemy musieli zawiadomić rodzinę i poprosić ich o potwierdzenie.

– Chciałabym spytać, czy obecność rodziny Philippy Balfour jest spodziewana w Edynburgu? – padło następne pytanie.

Hood spojrzał na pytającą z wyrzutem.

– Pozwolę sobie pozostawić to pytanie bez odpowiedzi – oświadczył sucho, a siedząca obok niego Gill Templer pokiwała głową, co miało świadczyć o jej zdegustowaniu.

– Chciałabym zapytać inspektora Pryde’a, czy śledztwo w sprawie zaginięcia Philippy Balfour będzie kontynuowane? – zapytał ktoś inny.

– Śledztwo jest kontynuowane – odparł Pryde z większą pewnością w głosie, jakby wystąpienie Hooda pomogło mu otrząsnąć się z tremy.

Wylie miała już dosyć i chętnie wyłączyłaby monitor, ponieważ jednak konferencję oglądali też inni, wyszła na korytarz i podeszła do automatu z napojami. Kiedy wróciła, konferencja już się skończyła. Ktoś z oglądających wyłączył monitor i zakończył jej udawkę.

– Fajnie wyglądał, co?

Spojrzała podejrzliwie na mundurowego, od którego pochodziła ta uwaga, ale w jego twarzy nie dopatrzyła się złośliwości.

– Tak – potwierdziła – dobrze wypadł.

– Lepiej niż co poniektórzy – doszedł ją inny głos. Odwróciła głowę, jednak stało tam aż trzech policjantów z Gayfield Square i żaden z nich nie patrzył w jej stronę. Wyciągnęła rękę po kubek z kawą, jednak cofnęła ją w obawie, że jej drzenie zostanie przez wszystkich zauważone. Opuściła głowę i w milczeniu zajęła się przeglądaniem notatek Siobhan w sprawie niemieckiego studenta. Musiała jak najszybciej czymś się zająć, coś zacząć robić, do kogoś dzwonić...

I zrobi to, gdy tylko słowa: „Lepiej niż co poniektórzy” przestaną jej huczeć w głowie.

Siobhan napisała kolejną wiadomość do Quizmastera. Siedziała nad nią pełne dwadzieścia minut, nim w końcu uznała, że tak może być.

Pieklisko rozwiązane. Odnaleźliśmy tam ciało Flipy. Czy chcesz porozmawiać?

Na odpowiedź nie musiała długo czekać.

Jak ci się udało to rozwiązać?

Z anagramu Arthur 's Seat. Piekliko jako nazwa fragmentu zbrocza.

To ty znalazłaś ciało?

Nie. To ty ją zabiłaś?

Nie.

Ale zginęła w związku z grą. Czy nie myślisz, że ktoś jej pomógł?

Nie wiem. Czy chcesz kontynuować?

Kontynuować?

Rygory czekają.

Z niedowierzaniem patrzyła na ekran. Czyżby śmierć Flipy nic dla niego nie znaczyła?

Flipa nie żyje. Ktoś ją zabił na Piekliku. Chcę, żebyś się ujawnił.

Trwało chwilę, nim nadeszła odpowiedź.

Nic na to nie poradzę.

Sądzę, że tak.

Przejdź poziom Rygory. Może tam się spotkamy.

Przez chwilę zastanawiała się.

Jaki jest cel gry? Kiedy gra się skończy?

Tym razem odpowiedź nie nadeszła. Poczowała, że ktoś stoi za jej plecami. Rebus.

– No i co ci twój kochaś napisał?

– „Mój kochaś”?

– Wygląda na to, że spędzacie ze sobą mnóstwo czasu.

– Taką mam pracę.

– Pewnie masz rację. No więc, co ci napisał?

– Chce, żebym kontynuowała grę.

– Powiedz mu, żeby się odpieprzył. Już go nie potrzebujesz.

– Jesteś tego pewien?

Zadzwonił telefon i Siobhan podniosła słuchawkę.

– Tak... w porządku... oczywiście. – Obejrzała się na Rebusa, ale on odszedł parę kroków dalej. Kiedy skończyła rozmowę, podszedł znów i pytająco uniósł brwi.

– Komisarz Templar – wyjaśniła. – Ponieważ Grant przeszedł teraz do biura prasowego, chce, żebym się zajęła tematem komputerowym.

– To znaczy?

– To znaczy, żebym się dowiedziała, czy jest jakiś sposób na wyśledzenie Quizmastera. Jak myślisz – zacząć od biura kryminalnego?

– Myślę, że ci frajerzy nie wiedzą nawet, jak się pisze słowo „modem”, nie mówiąc już o posługiwaniu się nim.

– Ale za to mają doświadczenie do służb specjalnych.

Skwitował to lekkim wzruszeniem ramion.

– A druga sprawa, jaką mam się zająć, to ponowne rozmowy z rodziną i przyjaciółmi Flipy.

– Dlaczego?

– Bo ja bym nie potrafiła o własnych siłach dojść do poziomu Piekłiska.

Rebus pokiwał głową.

– I myślisz, że ona też nie?

– Musiałaby w tym celu znać londyńskie metro, geografię i język szkocki, kaplicę Rosslyn i umieć rozwiązywać hasła krzyżówek.

– Myślisz, że to dla niej za trudne?

– Tak mi się zdaje.

Rebus zamyślił się.

– Kimkolwiek jest ten Quizmaster, on też to wszystko musiał wiedzieć.

– Zgoda.

– I wiedzieć, że Flipa ma przynajmniej szansę na odgadnięcie tych wszystkich zagadek.

– Podejrzewam, że w grze uczestniczyli też inni gracze... może nie teraz razem ze mną, ale kiedy grała Flipa. A to by znaczyło, że musieli walczyć nie tylko z czasem, ale także wzajemnie ze sobą.

– Ale Quizmaster nie chce tego potwierdzić?

– Nie.

– Ciekawe dlaczego?

Siobhan wzruszyła ramionami.

– Pewnie ma swoje powody.

Rebus oparł się o biurko dłońmi zwiniętymi w pięści.

– No to się myliłem. Nadal go jednak potrzebujemy.

Spojrzała na niego zdziwiona.

– My?

Uniósł ręce do góry.

– Chciałem tylko powiedzieć, że jest nadal potrzebny w sprawie.

– To dobrze, bo już mi się zdawało, że próbujesz swoich starych sztuczek.

– To znaczy?

– Podbierania wszystkiego innym i traktowania jak swoje.

– Uchowaj, Boże, Siobhan. – Zawiesił głos. – Tylko, że skoro masz wrócić do rozmów z jej przyjaciółmi...

– No to co...?

– To będzie wśród nich także David Costello.

– Z nim już rozmawialiśmy. Powiedział, że nic na temat gry nie wie.

– Ale masz zamiar i tak z nim porozmawiać, prawda?

Prawie się uśmiechnęła.

– Tak łatwo mnie przejrzeć?

– Nie, tylko że może mógłbym do ciebie dołączyć. Ja też mam do niego jeszcze parę pytań.

– Jakich pytań?

– Pozwól się zaprosić na kawę, a wszystko ci opowiem.

Tego wieczoru John Balfour w towarzystwie przyjaciela rodziny dokonał oficjalnej identyfikacji zwłok córki, Philippy Balfour. Żona czekała na niego na tylnym siedzeniu służbowego jaguara należącego do banku Balfour, za kierownicą którego siedział Randal Marr. Nie chcąc tkwić w jednym miejscu na parkingu, Marr objechał w koło kilka ulic i zgodnie z sugestią Pryde'a, który czekał na Balfoura, by mu towarzyszyć w smutnej wizycie w kostnicy, wrócił po dwudziestu minutach.

Na miejscu znalazło się też kilku zawziętych reporterów, jednak bez aparatów fotograficznych – szkocka prasa wciąż jeszcze respektowała pewne zasady. Nikt też nie męczył pogrążonej w smutku rodziny pytaniami – reporterom chodziło tylko o uchwycenie ogólnego nastroju towarzyszącego tej smutnej powinności, tak by móc to później opisać w reportażach. Po skończonej identyfikacji Pryde zadzwonił na komórkę Rebusa i poinformował go o wyniku.

– No to po wszystkim – powiedział Rebus na głos po skończonej rozmowie. Siedzieli w czwórce w barze Oxford: Siobhan, Ellen Wylie, Donald Devlin i on. Grant Hood też był zaproszony, ale wymówił się, tłumacząc, że musi przejść błyskawiczny kurs z dziedziny „kto jest kim” w mediach, tak, by umieć wiązać twarze z nazwiskami. Termin konferencji przesunięto na dziewiątą w nadziei, że do tej pory znane już będą wyniki sekcji zwłok i można będzie wyciągnąć pierwsze wnioski.

– Mój Boże – szepnął Devlin. Wcześniej zdjął marynarkę i wetknął teraz dłonie zwinięte w pięści w kieszenie swego przepastnego blezera. – Taka okropna strata.

– Przepraszam za spóźnienie – rzuciła Jean Burchill, podchodząc do stołu i ściągając z ramion płaszcz. Rebus wstał z miejsca, wziął od niej płaszcz i zapytał, czego się napije.

– Pozwólcie, że to ja postawię kolejkę – zaproponowała Jean, ale on przecząco potrząsnął głową.

– Ja zapraszałem, więc do mnie należy przynajmniej pierwsza rundka.

Zawładnęli całym głównym stołem w tylnej salce baru. W lokalu nie było zbyt tłoczno, a włączony w przeciwległym rogu salki telewizor gwarantował, że nikt ich nie będzie podsłuchiwał.

– Coś w rodzaju narady wojennej? – spytała, kiedy Rebus poszedł do baru po drinka dla niej.

– Albo stypy – poprawiła Wylie.

– Więc to jednak ona, tak? – Za odpowiedź wystarczyło jej ich milczenie.

– Ty się zajmujesz historią czarów i takich innych, prawda? – zapytała Siobhan.

– Historią wierzeń – poprawiła ją Jean. – Ale tak, czary też się w tym mieszczą.

– Chodzi mi o to, że biorąc pod uwagę te trumienki i znalezienie ciała Flipy w miejscu zwanym Piekłisko... sama kiedyś mówiłaś, że to może mieć jakiś związek z odprawianiem czarów.

Jean kiwnęła głową.

– To prawda, nazwa Piekłisko może się właśnie z tego wywodzić.

– Jak również prawdą jest, że trumienki znalezione na Arthur's Seat też mogły mieć związek z odprawianiem czarów, prawda?

Jean spojrzała na Devlina, który z napięciem przysłuchiwał się rozmowie. Wciąż jeszcze zastanawiała się nad odpowiedzią, kiedy wyręczył ją, mówiąc:

– Bardzo wątpię, by trumienki z Arthur's Seat miały jakkolwiek związek z praktykowaniem czarów. Ale mimo to pani hipoteza brzmi szalenie interesująco, oznacza bowiem, że niezależnie od tego, za jak bardzo oświeconych się wszyscy uważamy, zawsze jesteśmy gotowi dopuścić istnienie czynnika irracjonalnego, jakiegoś hokus-pokus. – Uśmiechnął się do Siobhan. – Jestem podbudowany tym, że detektyw policyjny może mieć takie zapatrywania.

– Wcale nie powiedziałam, że je mam – obruszyła się Siobhan.

– Czyli co: próbujemy się chwytać brzytwy?

Rebus wrócił ze szklanką wody sodowej z limonką dla Jean i zastał przy stole grobową ciszę.

– No to – zaczęła Wylie niecierpliwie – skoro wszyscy już jesteśmy...

– Skoro wszyscy już jesteśmy... – powtórzył Rebus, unosząc kufel – ...to za nasze zdrowie.

Odczekał, aż wszyscy podniosą do ust drinki, dopiero wtedy zrobił to samo. Byli w Szkocji, a w Szkocji toast to rzecz święta, której się nie odmawia.

– A więc – powiedział, odstawiając kufel – mamy do rozwiązania zagadkę morderstwa i na mój własny użytek chciałbym się upewnić, na czym każde z nas stoi.

– Czy nie do tego służą oficjalne poranne odprawy?

Spojrzał na Wylie.

– Więc potraktuj to jako nieoficjalną wieczorną odprawę.

– Z gorzałą dla zachęty?

– Zawsze byłem zwolennikiem stosowania zachęt i premii – powiedział i zmusił ją tym do bladego uśmiechu. – Więc tak. Oto, jak moim zdaniem obecnie wyglądamy. Chronologicznie, mamy najpierw zabójstwa dokonane przez Burke'a i Hare'a i wkrótce potem na Arthur's Seat pojawia się kilkanaście trumienek. – Spojrzał na Jean i dopiero teraz zauważył, że choć na kanapie obok Devlina było wolne miejsce, ona przysunęła sobie krzesło od innego stołu i usiadła obok Siobhan. – Potem, w powiązaniu z tym lub nie, mamy dalsze podobne z wyglądu trumienki

pojawiające się w różnych miejscach, w których w tym samym czasie znikają lub ponoszą śmierć kolejne kobiety. Jedną taką trumienką pojawia się ostatnio w Kaskadach, tuż po zniknięciu Philippy Balfour. Następnie znajdujemy jej zwłoki na Arthur's Seat, tam, gdzie znaleziono pierwsze trumienki.

– Czyli kawał drogi od Kaskad – wtrąciła Siobhan. – Chodzi mi o to, że wszystkie poprzednie trumny znajdowano w pobliżu miejsc zdarzeń, prawda?

– Oraz że trumna z Kaskad różni się od pozostałych – dodała Wylie.

– Ja nie twierdzę, że jest inaczej – powiedział Rebus. – Ja tylko próbuję ustalić, czy jestem w tym towarzystwie jedyny, który dostrzega w tym wszystkim jakąś prawidłowość.

Spojrzeni po sobie, ale nikt się nie odezwał. Dopiero po chwili Wylie, obracając w palcach szklankę z Krwawą Mary, przypomniała o niemieckim studencie.

– Zajmuje się grami z dziedziny Dungeons & Dragons, bierze udział w grach fabularnych typu RPG i znajduje śmierć na szkockim pogórzu.

– Właśnie.

– Tyle – dodała Wylie – że trudno to dopasować do tych wszystkich zniknięć i utonięć.

Devlin sprawiał wrażenie przekonanego.

– Jak również i to – dodał – że te utonięcia, wtedy gdy się wydarzyły, u nikogo nie wzbudziły żadnych podejrzeń, a moje analizy wszystkich dostępnych mi danych zdają się to potwierdzać. – Wyjął dłonie z kieszeni blezera i położył je na wyświeconych kolanach swych workowatych szarych spodni.

– W porządku – odezwał się Rebus. – Czyli wynika z tego, że jestem jedyny, który choć trochę w to wierzy, czy tak?

Tym razem nawet Wylie się nie odezwała. Rebus pociągnął kolejny długi łyk piwa.

– No cóż – powiedział – zatem dziękuję za okazanie mi zaufania.

– Posłuchaj – odezwała się Wylie, kładąc dłonie na stole – a właściwie, to po co nas tu zebrałeś? Chcesz z nas zrobić jeden zespół?

– Twierdzę jedynie, że te wszystkie kawałki mogą się w końcu okazać częściami jednej większej całości.

– Zaczynając od Burke'a i Hare'a, a kończąc na poszukiwaniu skarbów pod wodzą Quizmastera?

– Otóż to. – Jednak zachowanie Rebusa świadczyło, że sam ma coraz większe wątpliwości. – Chryste, sam już nie wiem... – Przeczesał sobie włosy palcami.

– No cóż, dzięki za drinka... – Szklanka Ellen była pusta, a ona podniosła torebkę i zaczęła się szykować do odejścia.

– Ellen...

Spojrzała na niego.

– Jutro mam ważny dzień, John. Pierwszy dzień prawdziwego śledztwa w sprawie morderstwa.

– Do czasu ogłoszenia wyników sekcji przez patologa nie może być jeszcze mowy o morderstwie – przypomniał jej Devlin. Wyglądało, jakby chciała mu coś odpowiedzieć, potem jednak zrezygnowała i obdarzyła go tylko lodowato zimnym uśmiechem. Następnie precyzyjnie się między krzesłami, rzuciła ogólne „do widzenia” i wyszła.

– Jest coś, co to wszystko łączy – rzekł Rebus półgłosem, prawie do siebie. – Nie mam zielonego pojęcia co, ale coś jest...

– Może być niedobrze – oświadczył Devlin – kiedy człowiek zaczyna, jak mawiają nasi kuzyni zza wielkiej wody, czymś się obsesjonować. I to niedobrze dla niego, jak i dla sprawy.

Rebus spróbował powtórzyć uśmiech, jaki wcześniej zademonstrowała Ellen Wylie.

– Teraz chyba pora na pańską kolejkę – powiedział.

Devlin rzucił okiem na zegarek.

– Jeśli o mnie chodzi, to nie będę mógł niestety dłużej wam towarzyszyć. – Wydawało się, że wstawanie od stołu sprawia mu poważną trudność. – Pewnie żadna z młodych dam nie zechce mnie podwieźć?

– Mieszka pan po drodze do mnie – powiedziała Siobhan.

Wrażenie, że wszyscy go opuszczają, zostało nieco złagodzone, gdy zauważył, że Siobhan rzuca porozumiewawcze spojrzenie w stronę Jean. Po prostu nie chce im przeszkadzać i zostawia ich samych, nic więcej.

– Ale zanim pójdę, to postawię jeszcze kolejkę – dodała Siobhan.

– To już może innym razem – odparł Rebus i puścił do niej oko. Po ich odejściu siedzieli przez chwilę w milczeniu, a gdy Rebus właśnie otwierał usta, by się odezwać, nagle przy stole znów pojawił się Devlin.

– Czy mam rozumieć, że moja przydatność w sprawie już się skończyła? – zapytał, a Rebus kiwnął głową. – Czy w związku z tym wszystkie akta zostaną odesłane z powrotem do miejsc pochodzenia?

– Poinstruję sierżant Wylie, by jutro z samego rana się tym zajęła – odparł Rebus.

– Zatem serdeczne dzięki. – Uśmiech Devlina skierowany był do Jean. – Było mi bardzo miło panią poznać.

– Mnie również – odparła.

– Może kiedyś odwiedzę panią w muzeum. Mam nadzieję, że zechce mnie pani zaszczyścić i posłużyć za przewodniczkę...

– Z przyjemnością.

Devlin uroczyście skłonił głowę i ponownie ruszył w kierunku schodków.

– Mam nadzieję, że tego nie zrobi – mruknęła pod nosem, kiedy był już wystarczająco

daleko.

– Dlaczego?

– Na jego widok dostaję dreszczy.

Rebus spojrział na oddalającą się sylwetkę patologa, jakby ten ostatni rzut oka mógł mu to potwierdzić.

– Nie pierwsza to mówisz – powiedział i zwracając ku niej głowę, dodał: – Ale nic się nie martw. Ze mną jesteś najzupełniej bezpieczna.

– Och, mam nadzieję, że nie – odparła i rzuciła mu spojrzenie znad szklanki.

Leżeli już w łóżku, kiedy nadeszła wiadomość. Rebus odebrał telefon, siedząc nagi na krawędzi materaca i z niepokojem myśląc o tym, jaki widok przedstawia sobą dla Jean. Dwie zbędne opony w pasie, a na karku i ramionach więcej tłuszczu niż mięśni. Jediną pociechą było to, że od przodu widok byłby jeszcze gorszy...

– Uduszona – poinformował ją, wślizgując się z powrotem pod kołdrę.

– Czyli długo się nie męczyła?

– Zdecydowanie. Jest wyraźne zasinienie tuż obok arterii szyjnej. Najprawdopodobniej najpierw pozbawił ją przytomności, a potem udusił.

– Dlaczego w taki sposób?

– Bo łatwiej jest zabić kogoś, kto jest bezwładny. Nie stawia oporu.

– Jesteś w tych sprawach prawdziwym ekspertem, co? Zdarzyło ci się kiedyś kogoś zabić, John?

– Nie tak, by to zauważyć.

– To wykręt, prawda?

Spojrzał na nią i powoli kiwnął głową, a ona pochyliła się i pocałowała go w ramię.

– Nie chcesz o tym rozmawiać. Ale ja to rozumiem.

Objął ją ramieniem i ucałował jej włosy. W sypialni stało lustro, jedno z tych wielkich, sięgających do samej podłogi i pozwalających na obejrzenie się od stóp do głowy. Stało odwrócone tyłem do łóżka, a Rebus już się wcześniej zastanawiał, czy stoi tak celowo, czy przypadkowo, nie miał jednak zamiaru o to pytać.

– W którym miejscu jest ta arteria szyjna? – zapytała.

Przytknął palec do swojej szyi.

– Jak w tym miejscu naciśniesz, to ofiara w ciągu paru sekund traci przytomność. Nazywają ją też kariotyda.

Obmacywała sobie szyję tak długo, aż ją znalazła.

– Interesujące – powiedziała. – Czy poza mną wszyscy o tym wiedzą?

– Wiedzą o czym?

– Gdzie jest i co może spowodować?

– Nie, myślę że chyba nie. A do czego zmierzasz?

– No bo ten, który to zrobił, musiał wiedzieć.

– Wszyscy gliniarze to wiedzą – przyznał. – Ze względów oczywistych w dzisiejszych czasach nie wykorzystuje się tej wiedzy zbyt często. Ale kiedyś w ten sposób można było obezwładnić niesfornego więźnia. Nazywaliśmy to „chwytem śmierci Vulcana”.

– Jakim chwytem? – spytała z uśmiechem.

– No wiesz, pan Spock ze *Star Trek*. – Uszczypnął ją w łopatkę, a ona wywinęła się, klepnęła go w piersi i pozostawiła tam dłoń. A Rebus wrócił pamięcią do czasów szkolenia w wojsku i tego, jak go wtedy uczono technik ataku, łącznie z uciskiem arterii szyjnej.

– A lekarze też o tym wiedzą? – spytała.

– Myślę, że każdy, kto przeszedł jakiegokolwiek przeszkolenie medyczne, musiał się z tym zetknąć.

Wyglądała na zamyśloną.

– A bo co? – zapytał w końcu.

– Bo coś mi się przypomniało z artykułu w gazecie. Czy jednym z przyjaciół Philippy, jednym z tych, z którymi miała się wtedy spotkać w barze, nie był czasem student medycyny...?

Nazywał się Albert Winfield i przez przyjaciół był nazywany „Albie”. Wydawał się zaskoczony tym, że policja raz jeszcze chce z nim rozmawiać, jednak zjawił się na St Leonard’s następnego dnia rano punktualnie o umówionej godzinie. Rebus i Siobhan przetrzymali go najpierw przez pełne piętnaście minut na dole, potem zadbali, by do sali przesłuchań doprowadzili go dwaj gburowaci policjanci w mundurach, po czym kazali mu tam czekać przez kolejny kwadrans. Przed wejściem do sali Siobhan i Rebus popatrzyli na siebie porozumiewawczo, po czym Rebus z hukiem otworzył drzwi.

– Dziękuję, że nas pan raczył odwiedzić, panie Winfield – warknął.

Młody człowiek niemal zerwał się na równe nogi. Okno było zamknięte na głucho i w salce panowała duchota. Przy niewielkim stoliku ustawiono trzy krzesła – dwa po jednej stronie, trzecie po drugiej. Winfield usiadł na pojedynczym krześle i wlepił wzrok w dwa puste krzesła. Stolik stał pod ścianą, na której tuż nad nim przymocowano na stałe magnetofon i magnetowid. Jacyś delikwenci brani na męki przy tym stoliku próbowali widać zabić nudę, wyżynając w blacie swe ksywy: Szmaja, Jazz i Bombiarz. Na ścianie wisiała pomazana długopisem tabliczka ZAKAZ PALENIA, a w rogu pod sufitem umieszczono kamerę wideo i skierowano na przesłuchiwanego, w razie gdyby trzeba było coś uwiecznić na taśmie wideo.

Rebus starał się narobić jak najwięcej hałasu i przysuwając krzesła do stolika, głośno szurał ich nóżkami. Potem na stół rzucił z impetem gruby segregator na akta, na którym nie było żadnych nazwisk. Winfield siedział jak skamieniały. Nie mógł oczywiście wiedzieć, że w segregatorze znajdują się jedynie czyste kartki papieru, wyjęte na tę okazję z pojemnika jednej z kopiarek.

Rebus położył dłoń na segregatorze i spojrzał na Winfielda.

– Musiał to być dla pana straszny szok – odezwał się głosem cichym i pełnym zjadliwości. Siobhan przysiadła się do swego groźnego kolegi.

– Przy okazji, jestem śledcza Clarke. A to jest inspektor Rebus.

– Co? – bąknął młody człowiek. Całe czoło miał pokryte kropelkami potu. Krótkie ciemne włosy miał wysoko podgolone na bokach, a na brodzie widać było wypryski młodzieńczego trądziku.

– Wiadomość o śmierci Flipy – przejęła pałeczkę Siobhan. – Musiał to być dla pana okropny szok.

– Ta-ak... oczywiście. – Mówił z akcentem angielskim, choć Rebus wiedział, że jest Szkotem, tyle że uczęszczanie do prywatnych szkół po angielskiej stronie granicy wyplenilo z niego szkockie naleciałości. Jego ojciec był biznesmenem, który dopiero trzy lata temu powrócił z Hongkongu. Matka Albiego po rozwodzie z mężem zamieszkała w Pertshire.

– Zatem znał pan ją dobrze?

– Chyba tak. – Winfield nie spuszczał wzroku z Siobhan. – Znaczący, właściwie to była przyjaciółka Camille.

– A Camille to twoja dziewczyna, tak? – spytała Siobhan.

– Jakaś obca, co? – mruknął niechętnie Rebus.

– Nie... – Rzucił spłoszone spojrzenie na Rebusa, ale zaraz odwrócił wzrok. – Nie, pochodzi ze Staffordshire.

– No też mówię, że obca.

Siobhan rzuciła na Rebusa ostrzegawcze spojrzenie, by nie przeszarżował.

Kiedy Winfield wbił wzrok w stolik, Rebus uspokajająco do niej mrugnął.

– Trochę tu gorąco, Albert, co? – Siobhan zawiesiła głos.

– Pozwolisz, że będę ci mówiła po imieniu?

– Tak... jasne, proszę. – Znów na nią zerknął, ale ile razy na nią spoglądał, jego wzrok nieodmiennie ześlizgiwał się na jej sąsiada.

– Chcesz, żeby otworzyć okno?

– Tak, bardzo proszę.

Siobhan spojrzała na Rebusa, który wstał, pamiętając, by narobić przy tym jak najwięcej hałasu. Okna były wąskie i umieszczone dość wysoko. Rebus wspiął się na palce i uchylił na kilka centymetrów jedno z nich. Powiał lekki wietrzyk.

– Teraz lepiej? – spytała Siobhan.

– Tak, dziękuję.

Rebus stał po lewej stronie Winfielda. Założył ręce na piersiach i oparł się o ścianę bezpośrednio pod kamerą wideo.

– Mamy tylko kilka uzupełniających pytań – odezwała się Siobhan.

– Jasne, oczywiście. – Winfield z zapalem pokiwał głową.

– A zatem powiadasz, że nie znałeś Flipy aż tak dobrze?

– Spotykaliśmy się razem... znaczy, w jednej grupie. Czasami na jakiejś kolacji...

– U niej w domu?

– Parę razy. U mnie też.

– Mieszkasz gdzieś w pobliżu ogrodu botanicznego?

– Tak jest.

– Elegancka dzielnica.

– To mieszkanie mojego ojca.

– I on tam mieszka?

– Nie, on teraz... To znaczy, on to kupił dla mnie.

Siobhan rzuciła spojrzenie na Rebusa.

- Niektórym to dobrze – burknął, wciąż stojąc z założonymi rękami.
- Nie moja wina, że ojciec ma pieniądze – odparł płaczliwie Winfield.
- Oczywiście, że nie – uspokoiła go Siobhan.
- A co z chłopakiem Flipy? – zapytał Rebus.

Winfield wbił wzrok w buty Rebusa.

- Z Davidem? To znaczy co?

Rebus pochylił się i pomachał ręką w stronę chłopaka.

– Jestem tu wyżej, synu. – Wyprostował się, a Winfield rzucił na niego spojrzenie, które nie trwało dłużej niż trzy sekundy. – Pytam tylko, czy może jego uważasz za przyjaciela? – zapytał Rebus.

– To jest trochę krępujące... znaczy, było trochę krępujące. Bo oni się bez przerwy rozstawali i znów schodzili...

- A ty brałaś stronę Flipy? – domyśliła się Siobhan.

– Musiałem, ze względu na Camille, no i w ogóle...

- Powiadasz, że się bez przerwy rozstawali. A czyja to była wina?

– Myślę po prostu, że oni do siebie nie pasowali charakterami... Wie pani, mówią, że przeciwieństwa się przyciągają. No więc czasami bywa też odwrotnie.

– Niestety, panie Winfield, nie miałem szczęścia studiować na uniwersytecie – wtrącił Rebus – więc może zechce mi pan to wyjaśnić dokładniej.

– Chodzi mi o to, że pod bardzo wieloma względami byli do siebie podobni, a to powodowało, że ich związek nie należał do łatwych.

- Dużo się kłócili?

– Bardziej polegało to na tym, że żadne nie chciało odpuścić. Zawsze musiał być zwycięzca i pokonany, nic pośrodku.

- A te ich sprzeczki doprowadzały czasem do ostrzejszych scysji?

– Nie.

- Ale przecież z Davida jest nerwus, nie? – nie ustępował Rebus.

– Nie bardziej niż z innych.

Rebus podszedł do stołu i pochylił się tak, że jego cień padał na Winfielda.

- Ale był pan przy tym, jak mu kiedyś puściły nerwy?

– Właściwie to nie.

– Nie?

Siobhan odchrząknęła, co miało znaczyć, że jej zdaniem Rebus dotarł już do ściany.

– Albercie – odezwała się głosem łagodnym jak balsam – czy wiedziałaś, że Flipa lubi grywać w gry komputerowe?

- Nie – odparł, a w jego głosie słychać było zdziwienie.

– A ty w nie grywasz?

– Na pierwszym roku grywałem w Doom... i jeszcze w związku studentów na fliperach.

– Na fliperach komputerowych?

– Nie, prawdziwych.

– Flipa uczestniczyła w komputerowej grze online, czymś w rodzaju poszukiwania skarbu. –

Siobhan rozłożyła kartkę papieru i przesunęła ją w jego stronę. – Czy te hasła coś dla ciebie znaczą?

Przeczytał je uważnie, potem z sykiem wypuścił powietrze.

– Zupełnie nic.

– Pan studiuje medycynę, tak? – wtrącił się Rebus.

– Tak, jestem na trzecim roku.

– I pewnie masz mnóstwo pracy? – zauważyła Siobhan, zabierając kartkę.

– Nawet pani nie wie ile – zaśmiał się Winfield.

– Myślę, że wiemy – znów wtrącił Rebus. – W naszej pracy wciąż mamy do czynienia z lekarzami. – Choć, powinien dodać, że niektórzy robią wszystko, by ich unikać...

– Zakładam więc, że wiesz, co to takiego karotyda? – spytała Siobhan.

– Wiem, gdzie się mieści – odparł Winfield zaskoczony.

– I jakie ma funkcje?

– To arteria znajdująca się w szyi. A właściwie jedna z dwóch.

– Dostarczająca krew do mózgu, tak? – dodała Siobhan.

– A ja musiałem zajrzeć do słownika – oświadczył Rebus. – To słowo pochodzenia greckiego, oznaczające sen. Czy wie pan dlaczego?

– Dlatego, że naciśnięcie na arterię szyjną powoduje omdlenie.

Rebus kiwnął głową.

– Tak jest, zapada się w głęboki sen. A jeśli się nie zwolni ucisku...

– O Boże, czy ona tak właśnie zginęła?

Siobhan potrząsnęła głową.

– Uważamy, że najpierw pozbawiono ją przytomności, a potem dopiero uduszono.

Zapadło milczenie, podczas którego Winfield najpierw z przerażeniem przenosił wzrok z jednego na drugie, potem zaczął wstawać z krzesła, kurczowo przytrzymując się palcami o krawędź stołu.

– Jezu Chryste, przecież chyba nie myślicie...? Rany boskie, wy myślicie, że to ja?

– Siadaj – warknął Rebus. Polecenie było właściwie zbyt ciche, bo kolana same mu odmówiły posłuszeństwa.

– Wiemy, że to nie ty – powiedziała Siobhan zdecydowanym tonem.

Chłopak opadł na krzesło tak raptownie, że niewiele brakowało, by runął do tyłu.

– Wiemy, że to nie ty, bo ty masz alibi. Tamtego wieczoru siedziałeś z innymi w barze i czekałeś na Flipę.

– Tak jest – wybuchnął – no właśnie.

– Więc nie masz się czym martwić – dorzucił Rebus, odchodząc od stołu. – Chyba, że ty wiesz lepiej.

– Nie, ja... ja tylko...

– A może ktoś inny z waszej grupy lubi gry? – spytała Siobhan.

– Nikt. To znaczy, wiem, że Trist ma w komputerze parę gier. Tomb Raidera i inne tego typu, ale to chyba tak jak każdy.

– Chyba tak – przyznała Siobhan. – A ktoś inny z waszej paczki studiuje na medycynie?

Winfield potrząsnął głową, jednak Siobhan dostrzegła, że coś mu jednak zaświtało w głowie.

– Jest taka dziewczyna, Claire – powiedział po chwili. – Claire Benzie. Spotkałem ją tylko raz czy dwa na jakichś imprezach, ale wiem, że przyjaźniła się z Flipą... Chyba się znały jeszcze z liceum.

– I ona jest na medycynie?

– Tak.

– A ty jej nie znasz?

– Nie, jest rok niżej ode mnie i jest na innej specjalności. O rany, tak... – Spojrzał najpierw na Siobhan, potem na Rebusa. – Wymyśliła sobie, ni mniej ni więcej, że chce być patologiem...

– Tak, znam Claire – oświadczył doktor Curt, prowadząc ich korytarzem. Znajdowali się na wydziale medycznym uniwersytetu, w budynku za audytorium McEwana. Rebus już tu kiedyś był, bo tu znajdowały się gabinety Curta i Gatesa, jednak nigdy wcześniej nie zaglądał do sali wykładowej, a tam właśnie teraz zmierzali. Rebus zapytał Curta, czy już się lepiej czuje, a ten wyjaśnił, że miewa problemy gastryczne. – Bardzo sympatyczna dziewczyna – dodał – i bardzo zdolna studentka. Mam nadzieję, że się nie rozmyśli.

– Nie rozumiem.

– Jest dopiero na drugim roku, więc może jeszcze zmienić zdanie.

– Czy wśród kobiet jest wielu patologów? – spytała Siobhan.

– Nie, niezbyt wielu... w każdym razie nie w naszym kraju.

– To dość odważna decyzja, nie sądzisz? – zapytał Rebus.

– Szczególnie, gdy się ma tak mało lat.

– Niekoniecznie – odparł Curt. – Mnie zawsze na lekcjach biologii pasjonowało krojenie żab – powiedział i rozpromienił się. – No i wolę mieć do czynienia z pacjentami martwymi niż z żywymi, bo nie muszę się martwić o trafność diagnoz, nie użeram się z namolną rodziną, mam znacznie mniej skarg od niezadowolonych pacjentów... – Zatrzymali się przed jakimiś drzwiami

i Curt zajął do środka przez oszkloną górną połowę. – Tak, tutaj.

Sala wykładowa była niewielka i dość staroświecka. Ściany pokryte były drewnianą boazerią, półokrągłe ławki amfiteatralnie wznosiły się stromo do góry. Curt rzucił okiem na zegarek.

– Jeszcze parę minut – stwierdził.

Rebus zajął do środka. Ktoś nieznanemu mu osobiście prowadził wykład dla studentów. Wykładowca stał na katedrze i otrząsał sobie dłonie z pyłu kredowego, a na tablicy za jego plecami widniały jakieś wykresy.

– Nie widzę tu żadnych zwłok – zauważył Rebus.

– Zajęcia ze zwłokami odbywają się podczas ćwiczeń w prosektorium – wyjaśnił Curt.

– I wciąż musicie korzystać z kostnicy w Western General?

– Musimy i cholernie nam to komplikuje życie ze względu na korki.

Sala przeznaczona do ćwiczeń z patologii w uniwersyteckim prosektorium była wciąż nieczynna. Z obawy przed zakażeniem z powodu przestarzałego systemu wentylacyjnego salę zamknięto i jak dotąd, brak było widoków na zdobycie funduszy potrzebnych na modernizację systemu. W związku z tym jeden z miejskich szpitali zmuszony był udostępniać swoje pomieszczenia na cele dydaktyczne.

– Ciało ludzkie to zdumiewająca maszyna – mówił dalej Curt – ale tak naprawdę widać to dopiero w pełni podczas sekcji. Szpitalny chirurg koncentruje się jedynie na wybranym niewielkim fragmencie ludzkiej maszyny, natomiast my mamy dostęp nieograniczony i możliwość oglądania całości.

Z miny Siobhan można było wyczytać, że wołałaby, żeby już przestał z takim entuzjazmem o tym opowiadać.

– To stary budynek – zauważyła.

– W porównaniu z całym uniwersytetem, to nie taki znów stary. Kiedyś, w dawnych czasach, wydział medyczny mieścił się w Starym Kolegium.

– I to tam właśnie trafiły zwłoki Burke'a? – upewnił się Rebus.

– Tak, po jego egzekucji. Wtedy do Starego Kolegium prowadził tunel. Nim transportowano wszystkie zwłoki, często pod osłoną nocnych ciemności. – Spojrzał na Siobhan. – Wie pani, chodzi o Rezurekcyjistów.

– To fajna nazwa na zespół muzyczny.

Skrzywił się z niesmakiem na taką beztroskę.

– Złodzieje zwłok – powiedział.

– I to wtedy obdarto Burke'a ze skóry – uzupełnił Rebus.

– Widzę, że wiesz coś na ten temat.

– Dopiero od niedawna. A ten tunel wciąż jeszcze istnieje?

– Częściowo.

– Chętnie bym go kiedyś zobaczył.

– Pogadaj z Devlinem.

– Naprawdę?

– Jest nieoficjalnym kustoszem wczesnej historii wydziału medycznego. Jest nawet autorem paru broszurek na ten temat. Wydanych własnych sumptem, ale całkiem pouczających.

– Nie wiedziałem. Wiem natomiast, że dość dobrze orientuje się w sprawach dotyczących Burke'a i Hare'a. Ma nawet własną teorię, że to doktor Kennet Lovell był tym, który zostawił trumienki na Arthur's Seat.

– Ach, te, o których ostatnio pisały gazety? – Curt zmarszczył czoło i zamyślił się. – Lovell? No cóż, kto mu udowodni, że jest inaczej? – Przerwał i znów zmarszczył czoło. – Ale to zabawne, że akurat wspomniałeś o Lovellu.

– Dlaczego?

– Bo niedawno właśnie Claire mi mówiła, że jest z nim spokrewniona. – Za drzwiami dał się słyszeć narastający gwar. – Oho, doktor Easton skończył. Wszyscy będą teraz wychodzić, więc jak nie chcesz, żeby cię stratowali, to lepiej się odsuń.

– Tak im się spieszy? – spytała Siobhan.

– Spieszy im się, żeby się jak najszybciej wyrwać na powietrze.

Tylko kilkoro studentów zaszczyliło ich przelotnymi spojrzeniami. Ci, którzy to zrobili, wydawali się znać doktora Curta, bo do spojrzeń dodawali ukłony i uśmiechy lub rzucali pod jego adresem krótkie powitania. Gdy sala już prawie opustoszała, Curt nagle wspiął się lekko na palce.

– Claire? Masz minutkę?

Była wysoka i szczupła, z krótkimi blond włosami i długim, prostym nosem. Jej oczy miały kształt niemal orientalny i przypominały skośnie ułożone migdały. Pod pachą trzymała dwie aktówki, a w dłoni telefon komórkowy. Wychodząc z sali, wpatrywała się w wyświetlacz – sprawdzała pewnie otrzymane wiadomości. Podeszła z uśmiechem na twarzy.

– Dzień dobry, panie doktorze – powiedziała niemal radośnie.

– Claire, ci państwo są z policji i chcieliby z tobą porozmawiać.

– Chodzi o Flipę, prawda? – Twarz jej się wyciągnęła, uśmiech zniknął, a głos przybrał poważne brzmienie.

Siobhan kiwnęła głową.

– Tak, tylko kilka uzupełniających pytań.

– Ciągłe mi się zdaje, że to może nie ona, że to jakaś pomyłka... – Spojrzała na patologa. – Czy to może pan...?

Curt pokręcił przecząco głową, co jednak bardziej oznaczało odmowę odpowiedzi niż

odpowieź przeczącą. Rebus i Siobhan wiedzieli, że Curt był jednym z patologów obecnych przy sekcji zwłok Philippy Balfour. Drugim był profesor Gates.

Claire Benzie też musiała o tym wiedzieć, bo nie spuszczała wzroku z Curta.

– Czy musiał pan kiedyś... no wie pan... na kimś znajomym?

Curt spojrział na Rebusa, a ten domyślił się, że przypomniał sobie Conora Leary.

– Nie ma takiej konieczności – powiedział wymijająco. – Jeżeli coś takiego się zdarzy, to można być zwolnionym ze względów emocjonalnych.

– A więc przyznaje nam się prawo do ludzkich odczuć?

– Tak, ale tylko wybrańcom. – Uwaga ta przywołała przelotny uśmiech na jej twarzy.

– Więc, w czym mogę pomóc? – zwróciła się do Siobhan.

– Wie pani, że traktujemy śmierć Flipy jako zabójstwo?

– Usłyszałam to dziś rano w wiadomościach.

– Potrzebna nam jest pani pomoc w wyjaśnieniu kilku spraw.

– Możecie przejść do mojego gabinetu – powiedział Curt.

Ruszyli parami korytarzem i, idąc, Rebus przyglądał się plecom Claire. Trzymała aktówki przed sobą i rozmawiała z Gurtem o dzisiejszym wykładzie. Siobhan spytała go wzrokiem, o co mu chodzi, a Rebus tylko lekko potrząsnął głową, że nic takiego. Naprawdę pomyślał jednak, że Claire Benzie to interesująca osobka. W dniu, w którym ogłaszają morderstwo jej przyjaciółki, ona jakby nigdy nic idzie na wykład, a potem spokojnie o nim rozmawia, wiedząc jednocześnie, że tuż za plecami ma dwójkę policjantów...

Może dlatego, że potrafi się wyłączyć. Postanowiła odsunąć od siebie wszelkie myśli o Flipie i zastąpić je codzienną rutyną. Znajdować sobie jak najwięcej zajęć, by nie wybuchnąć płaczem.

A może co innego: jest totalnie zapatrzona w siebie, a śmierć Flipy to jedynie drobny incydent w jej prywatnym wszechświecie.

Rebus wiedział, którą z tych wersji wolałby wybrać, nie wiedział tylko, czy okazałaby się prawdziwa...

Doktor Curt dzielił sekretarkę z profesorem Gatesem. Przeszli przez sekretariat, z którego prowadziło dwoje drzwi do ich gabinetów. Curt otworzył jedno z nich i puścił ich przodem.

– Mam parę spraw do załatwienia – powiedział. – Jak skończycie, to po prostu wyjdźcie i zamknijcie za sobą drzwi.

– Dzięki – odparł Rebus.

Zdawało się jednak, że nagle przestało mu się spieszyć i że nie ma ochoty zostawić swej studentki samej w towarzystwie dwójki detektywów.

– Wszystko w porządku, panie doktorze, dam sobie radę – zapewniła go Claire, jakby czytając w jego myślach. Curt kiwnął głową i wyszedł.

Pokój był ciasny i zagracony. Jedną ścianę zajmowała wypełniona po brzegi, oszklona szafa

biblioteczna. Wszystko było tak zawałone książkami i papierami, że choć Rebus nie miał wątpliwości, że gdzieś tu musi być komputer, na pierwszy rzut oka nie potrafił go zlokalizować. Niemal wszystko pokrywały papiery, teczki z aktami, segregatory, fachowe pisma, puste koperty...

– Zdaje się, że pan doktor nie lubi niczego wyrzucać, prawda? – odezwała się Claire. – Ironia losu, jak się pomyśli, co robi z ludzkimi ciałami.

Obojętny ton, jakim to powiedziała, zaskoczył Siobhan.

– O Boże, przepraszam – wykrzyknęła Claire, zasłaniając sobie usta dłonią. – Powinni na tym wydziale dawać też dyplom z niedelikatności.

A Rebusowi przyszyły na myśl obrazy z sekcji, w których uczestniczył: wnętrzności ludzkie wyrzucane do wiadra, poszczególne organy krojone i kładzione na wagę...

Siobhan stała oparta o biurko. Claire opadła na krzesło przesączone dla gościa, które wyglądało tak, jakby w latach siedemdziesiątych było częścią kompletu jadalnego. Rebus miał do wyboru: stać na środku lub zająć fotel Curta. Wybrał to drugie.

– No to – powiedziała Claire, kładąc aktówki koło nóg na podłodze – co chcieliby państwo ode mnie usłyszeć?

– Chodziłyście razem z Flipą do szkoły?

– Tak, przez kilka lat.

Wcześniej przejrzyli protokół z pierwszego przesłuchania Claire Benzie. Rozmawiała z nią dwójka policjantów z Gayfield Square, ale niewiele z tego wynikało.

– Potem straciłyście kontakt?

– W zasadzie tak... może parę listów i e-maili. A potem ona zaczęła studia na historii sztuki, a ja dostałam się na medycynę.

– I wtedy nawiązałyście kontakt?

Claire kiwnęła głową. Siedziała z jedną nogą podwiniętą pod siebie i bawiła się bransoletką na lewym nadgarstku.

– Wysłałam jej maila i spotkałyśmy się.

– I od tego momentu często się spotykałyście?

– Nie za często. Byłyśmy na różnych wydziałach, miałyśmy różny układ zajęć.

– I różne grupy przyjaciół? – spytał Rebus.

– Tak, częściowo – potwierdziła Claire.

– Czy utrzymywałaś kontakty z kimś innym z czasów szkolnych?

– Z kilkoma osobami.

– A Flipa?

– Chyba nie.

– Czy wiesz, w jaki sposób poznała Davida Costello? – Rebus znał odpowiedź na to pytanie

– poznali się na prozowanej kolacji – był jednak ciekaw, jak dobrze zna Davida.

– Zdaje się, że mówiła coś o jakimś przyjęciu...

– Lubiałaś go?

– Davida? – Zastanowiła się. – Arogancki pętaś, niezwykle pewny siebie.

Rebus miał niemal na końcu języka uwagę: „Czyli zupełnie nie to, co ty”, powstrzymał się jednak i rzucił spojrzenie Siobhan, która sięgnęła do kieszeni i wyciągnęła złożoną kartkę papieru.

– Claire – spytała – czy Flipa lubiła gry?

– Gry?

– Gry typu RPG z podziałem na role... fabularne gry komputerowe... ewentualnie internetowe?

Zamyśliła się. W porządku, pomyślał Rebus, tyle że takie przerwy można też wykorzystywać na szybkie wymyślanie odpowiedzi...

– W szkole mieliśmy klub miłośników *Dungeons & Dragons*.

– Obie należałyście do niego?

– Tylko do czasu, kiedy zdałyśmy sobie sprawę, że to właściwie jest tylko dla chłopaków. – Zmarszczyła nos. – A przy okazji, David chyba też w to grał w szkole.

Siobhan podała jej kartkę z hasłami.

– Widziałaś to już kiedyś?

– A co to jest?

– To hasła z pewnej gry, w którą Flipa grała. Dlaczego się uśmiechasz?

– *Siedem płetw w górę...* Pamiętam, jaka była uradowana.

Siobhan szeroko rozwarła oczy.

– Słucham?

– Pamiętam, jak wpadła na mnie w jakimś barze... Boże, już nie pamiętam, gdzie to było. Chyba w Barcelonie. – Spojrzała na Siobhan. – To taki bar na Buccleuch Street.

Siobhan kiwnęła głową.

– Mów dalej.

– No więc pamiętam, jak... jaka była wtedy roześmiana... i właśnie wtedy to powiedziała. – Claire wskazała na kartkę. – *Siedem płetw w górę czyni króla*. Spytała, czy wiem, co to znaczy, a ja odpowiedziałam, że nie mam pojęcia. „Chodzi o linię Victoria”, odparła i wyglądała na strasznie dumną z siebie.

– Nie powiedziała ci wtedy, co to znaczy?

– Właśnie mówię, że...

– Chodzi mi, czy ci nie powiedziała, że to jedno z haseł w jakiejś zgadywance?

Claire potrząsnęła głową.

– Myślałam, że... właściwie, to nawet nie wiem, co myślałam.

– Czy był przy tym jeszcze ktoś inny?

– Tam w pubie, nie. Właśnie kupowałam jakieś drinki przy barze, kiedy mnie dopadła.

– Sądzisz, że powiedziała o tym jeszcze komuś innemu?

– Nic mi o tym nie wiadomo.

– A czy mówiła ci też o tych pozostałych hasłach? – Siobhan wskazała na kartkę. Czuła ogromną ulgę. Ta opowiadka o siedmiu płetwach oznaczała, że Flipa miała do rozwiązania te same hasła, z którymi ona się borykała. Dotychczas chwilami nękała ją myśl, że może Quizmaster daje jej nowe zagadki, wymyślone specjalnie dla niej. Teraz poczuła się związana z Flipą jeszcze bardziej niż dotąd...

– Czy ta gra ma coś wspólnego z jej śmiercią? – spytała Claire.

– Tego jeszcze nie wiemy – odparł Rebus.

– I nie macie żadnych podejrzanych, żadnych... poszlak?

– Poszlak mamy mnóstwo – zapewnił ją Rebus z przekonaniem w głosie. – Powiedziałaś, że uważasz Davida Costello za aroganckiego pętaka. Czy dochodziło też do czegoś więcej?

– Jak to?

– Słyszeliśmy, że między nim a Flipą zdarzały się ostre spięcia.

– Flipa nie pozostawała mu dłużna i potrafiła odplacić tym samym. – Przerwała raptownie i zamyśliła się, a Rebus nie pierwszy raz w życiu pożałował, że nie umie czytać w ludzkich myślach. – Ją uduszono, prawda?

– Tak.

– Z tego, co pamiętam z wykładów z medycyny sądowej, ofiary podejmują walkę. Próbują drapać, kopać, gryźć.

– Pod warunkiem, że są przytomne – odparł Rebus cicho.

Claire na moment przymknęła oczy. Kiedy je otworzyła, lśniły w nich łzy.

– Ucisk na arterię szyjną – dodał Rebus.

– Powodujący przedśmiertne zasinienie? – Powiedziała to tak, jakby cytowała podręcznik medycyny sądowej. Siobhan pokiwała głową. – Wydaje się, jakbyśmy jeszcze wczoraj chodziły razem do szkoły...

– Chodziłyście do szkoły w Edynburgu? – spytał Rebus i odczekał, aż potwierdzi kiwnięciem głowy. Podczas pierwszego przesłuchania nie zadawano jej żadnych pytań o przeszłość nie związaną bezpośrednio z Flipą. – Twój rodzice też tu mieszkają?

– Teraz tak. Ale wtedy mieszkaliśmy w Causland.

Rebus zmarszczył czoło.

– Causland? – Skądś znał tę nazwę.

– Taka mała wioska... właściwie nawet bardziej osada. Jakies dwa kilometry od Kaskad.

Palce Rebusa zacisnęły się kurczowo na poręczach fotela.

– A więc znasz Kaskady?

– Kiedyś znałam.

– I Jałowce, dom Balfourów?

Kiwnęła głową.

– Przez jakiś czas byłam tam nawet traktowana bardziej jak rezydentka niż jako gość.

– A potem twoja rodzina się stamtąd wyprowadziła?

– Tak.

– Dlaczego?

– Bo mój ojciec... – przerwała. – Musieliśmy się przeprowadzić ze względu na jego pracę.

Siobhan i Rebus wymienili spojrzenia: nie to chciała powiedzieć.

– Chodziłyście z Flipą do wodospadu? – spytał Rebus obojętnym tonem.

– Zna go pan?

Kiwnął głową.

– Tak, byłem tam parę razy.

Na jej twarzy pojawił się uśmiech, a oczy jej się lekko zamglily.

– Bawiliśmy się tam często. Udawaliśmy, że tam jest nasze zaczarowane królestwo. Nazywaliśmy je Życie Bez Końca. Gdybyśmy mogły wtedy przewidzieć...

I w tym momencie puściły jej nerwy i zaczęła szlochać, a Siobhan zbliżyła się, by ją pocieszyć. Rebus wyszedł do sekretariatu i poprosił sekretarkę o szklanekę wody, jednak, nim zdążył wrócić, Claire już się opanowała. Siobhan siedziała przykucnięta obok i trzymała rękę na jej ramieniu. Rebus podał jej wodę, a ona wytarła sobie nos papierową chusteczką.

– Dziękuję – powiedziała przez ściśnięte gardło, tak że zabrzmiało to bardziej jak „k-je”.

– Myślę, że i tak jesteś bardzo dzielna, nosząc taki ciężar na duszy – odezwała się Siobhan. Rebus, który w głębi serca zupełnie się z tym nie zgadzał, też pokiwał głową. – Bardzo nam pomogłaś, Claire.

– Naprawdę?

Tym razem Siobhan pokiwała głową.

– Jeżeli nie masz nic przeciwko temu, to może się jeszcze do ciebie odezwiemy.

– Jasne, nie ma sprawy.

Siobhan podała jej wizytówkę.

– Gdyby mnie nie było w biurze, to przez pager zawsze mnie odnajdziesz.

– Okej – powiedziała Claire i wrzuciła wizytówkę do jednej z aktówek.

– Na pewno dobrze się już czujesz?

Claire kiwnęła głową i wstała, przyciskając aktówki do piersi.

– Mam następne zajęcia. Nie chciałabym ich opuścić.

– Doktor Curt mówił nam, że jesteś spokrewniona z Kennetem Lovellem?

Obrzuciła go spojrzeniem.

– Tak, ze strony matki. – Zatrzymała się, jakby oczekując następnego pytania, jednak Rebus już go nie zadał.

– Raz jeszcze dziękuję – rzuciła Siobhan.

Patrzyli oboje, jak rusza do wyjścia. Rebus przytrzymał jej drzwi.

– Jeszcze jedno, Claire – rzekł.

Zatrzymała się obok niego i spojrzała mu prosto w twarz.

– Tak?

– Powiedziałaś nam, że kiedyś znałaś Kaskady. Czy to znaczy, że ostatnio tam nie byłaś?

– Mogłam tamtędy przejeżdżać.

Kiwnął głową na znak, że przyjmuje to do wiadomości. Znow ruszyła i znow ją powstrzymał pytaniem.

– Ale Beverly Dodds znasz, prawda?

– Kogo?

– Wydaje mi się, że ta bransoletka na twojej ręce pochodzi od niej.

Claire uniosła rękę.

– Ta? – Bransoletka była bardzo podobna do tej, jaką kupiła Jean. Tak jak tamta składała się z oszlifowanych kamyków, nawierconych i nanizanych na żyłkę. – Dostałam ją od Flipy. Mówiła wtedy coś o talizmanie białej magii, który przynosi szczęście. – Wzruszyła ramionami. – Ja w to oczywiście nie wierzę...

Rebus patrzył, jak wychodzi, potem zamknął za nią drzwi.

– No i co o tym myślisz? – spytał, zawracając do środka.

– Sama nie wiem – przyznała.

– Nie uważasz, że dała nam tu niezłe przedstawienie?

– Łzy wyglądały na prawdziwe.

– A czy nie na tym przypadkiem polega dobre aktorstwo?

Siobhan usiadła na krześle Claire.

– Jeżeli chowa się w niej zabójca, to jest on dobrze zakamuflowany.

– Weźmy to *Siedem płetw w górę*. A jeśli to nie Flipa przyszła z tym do niej w barze, tylko Claire sama wiedziała wcześniej, co to znaczy?

– Bo jest Quizmasterem? – Siobhan potrząsnęła głową.

– Albo uczestnikiem tej samej gry.

– To po co by nam miała cokolwiek mówić?

– Bo... – Ale żadna rozsądna odpowiedź nie przyszła mu do głowy.

– Powiem ci, co mnie zastanowiło.

– Sprawa jej ojca? – domyślił się Rebus.

Siobhan kiwnęła głową.

– Jest coś, co przed nami ukrywa.

– Więc dlaczego twoim zdaniem rodzina postanowiła się wyprowadzić?

Siobhan zamyśliła się, jednak nic jej nie przychodziło do głowy.

– Może dowiemy się tego w jej starej szkole – powiedział Rebus. Siobhan poszła poprosić sekretarkę o książkę telefoniczną, a Rebus zadzwonił w tym czasie do Bev Dodds. Odebrała po szóstym dzwonku.

– Mówi inspektor Rebus – przedstawił się.

– Inspektorze, jestem akurat dość zajęta...

W tle słychać było głosy. Pewnie turyści, pomyślał, debatują, co kupić.

– Wydaje mi się – powiedział – że nigdy przedtem nie pytałem, czy pani znała Philippe Balfour?

– Nie pytał pan?

– Więc, czy mogę teraz zapytać.

– Może pan. – Zrobiła przerwę. – I odpowiedź brzmi: nie.

– Nigdy jej pani nie spotkała?

– Nigdy. Dlaczego pan pyta?

– Przyjaciółka Philippy ma na ręku bransoletkę, którą według niej dostała od Philippy. A bransoletka wygląda mi na pani wyrób.

– To zupełnie możliwe.

– Ale skoro nie sprzedała jej pani Philippie?

– Moje wyroby można kupić w sklepach. Bierze ode mnie sklep z wyrobami rękodzieła w Haddington, a drugi taki jest w Edynburgu.

– Jak się nazywa ten w Edynburgu?

– Wyroby Rękodzielnicze Wiccan. Mieści się na Jeffrey Street, jeśli to pana interesuje. Ale teraz naprawdę, pozwoli pan, że... – Rebus nie usłyszał dalszego ciągu, bo sam odłożył słuchawkę. Siobhan wróciła z numerem telefonu do dawnej szkoły Flipy. Rebus wykręcił numer i włączył funkcję głośno-mówiącą, tak, by Siobhan mogła śledzić przebieg rozmowy. Obecna dyrektorka szkoły była za czasów Flipy i Claire jedną z nauczycielek.

– Boże, biedna, biedna Philippa, to okropna wiadomość... i wyobrażam sobie, przez co musi przechodzić jej rodzina – powiedziała dyrektorka.

– Jestem pewien, że wszyscy wokół bardzo im pomagają – odparł Rebus współczująco, starając się, by zabrzmiało to w pełni szczerze.

Po drugiej stronie dało się słyszeć głębokie westchnięcie.

– Ale tak naprawdę, dzwonię w związku z Claire.

– Claire?

– Claire Benzie. Zbieramy wszystkie informacje związane z przeszłością Philippy, bo próbujemy zbudować jej wierny portret. O ile mi wiadomo, Philippa i Claire były w szkole bliskimi przyjaciółkami.

– Dość bliskimi, tak, to prawda.

– I mieszkały niedaleko siebie?

– Zgadza się. W stronę Wschodniego Lothian.

Rebusowi coś przyszło do głowy.

– A jak dojeżdżały do szkoły?

– Och, zazwyczaj przywoził je ojciec Claire. Albo on, albo matka Philippy. Uroczą pani, tak strasznie mi jej żal...

– Ojciec Claire pracował wtedy w Edynburgu?

– O tak. Był kimś z branży prawniczej.

– I to dlatego cała rodzina się przeprowadziła? Ze względu na jego pracę?

– Mój Boże, skąd. Wydaje mi się, że ich wyeksmitowano.

– Wyeksmitowano?

– Nieładnie jest plotkować, ale skoro on już nie żyje, to pewnie można.

– Wszystko, co pani powie, zachowamy w ścisłej tajemnicy – powiedział Rebus, zerkając na Siobhan.

– No cóż, jeśli dobrze wiem, ten biedak wdał się w jakieś nieszczęśliwe inwestycje. Słyszałam, że zawsze był trochę hazardzistą i zdaje się tym razem go poniosło. Stracił pieniądze... dom... wszystko.

– A w jaki sposób zmarł?

– Sądzę, że już się pan domyślił. Wkrótce po tej historii wynajął pokój w jednym z nadmorskich hotelików i połknął masę jakichś tabletek. W końcu była to dla niego prawdziwa katastrofa: od adwokata do bankruta...

– Tak, to prawda – potwierdził Rebus. – Bardzo pani dziękuję.

– Tak, ja też już muszę kończyć. Mam za chwilę naradę w sprawie planu zajęć. – Ton, jakim to powiedziała, nie pozostawiał wątpliwości, że to nic nadzwyczajnego i że takie spotkanie nie są jej ulubionym zajęciem. – To takie smutne. Dwie rodziny tak boleśnie dotknięte tragediami.

– Do widzenia pani – powiedział Rebus i odłożył słuchawkę. Potem spojrzął na Siobhan.

– Inwestycje? – powtórzyła.

– A komu innemu miałyby zaufać, jak nie ojcu najlepszej przyjaciółki swojej córki?

Siobhan pokiwała głową.

– John Balfour właśnie się szykuje do pogrzebu swojej córki – przypomniała mu.

– To porozmawiamy z kimś innym w jego banku.

Siobhan uśmiechnęła się.

– Myślę, że nawet znam kogoś takiego...

Okazało się, że Ranald Marr jest akurat w Jałowcach, pojechali więc do Kaskad. Siobhan poprosiła, by po drodze mogli obejrzyć wodospad. Kilkoro turystów wpadło na ten sam pomysł. Jeden z nich najpierw zrobił zdjęcie żonie, potem zwrócił się do Rebusa z prośbą o sfotografowanie ich obojga. Mówił z edynburskim akcentem.

– A co tu państwa sprowadza? – spytał Rebus obojętnym tonem.

– Pewnie to samo, co was – odparł mężczyzna, ustawiając się obok żony. – Tylko niech pan uważa, żeby było widać ten wodospadzik.

– Chce pan powiedzieć, że przyjechali tu państwo ze względu na tę trumnę? – zapytał Rebus, szykując się do zdjęcia.

– No pewno, przecież ona już nie żyje, nie?

– Istotnie nie żyje – potwierdził Rebus.

– Jest pan pewien, że dobrze nas obejmuje? – upewnił się mężczyzna.

– Idealnie – odparł Rebus i nacisnął wyzwalacz. Pomyślał, że kiedy wywołają ten film, na zdjęciu nie znajdą niczego poza niebem i drzewami.

– Coś panu zdradzę – rzekł mężczyzna, odbierając aparat i kiwając głową w stronę kępy drzew. – To ona znalazła tę trumnę.

Na jednym z drzew wisiała nieporadnie wykonana tabliczka informująca o Garncarstwie Bev Dodds. Na odręcznie wykonanej mapce zaznaczona była chata i dopisana informacja o „kawie, herbacie i wyrobach garncarskich na sprzedaż”. Najwyraźniej Bev poszerzyła swój asortyment.

– A pokazała ją panu? – zapytał Rebus, z góry znając odpowiedź, jako że trumienka z Kaskad leżała wraz z pozostałymi w zamkniętej na klucz szafce na St Leonard’s. Bev już kilkanaście razy próbowała się do niego dodzwonić, wiedział jednak, o co chodzi, i na żaden z jej telefonów nie zareagował.

Turysta ze smutkiem pokiwał głową.

– Nie, policja położyła na tym łapę.

Rebus ze zrozumieniem pokiwał głową.

– To gdzie się teraz państwo wybierają?

– Pomyśleliśmy, że warto rzucić okiem na Jałowce – wtrąciła żona. – Oczywiście pod warunkiem, że uda nam się je odnaleźć. Pół godziny się tu kręciliśmy, nim trafiliśmy na wodospad. – Spojrzała porozumiewawczo na Siobhan. – Jeszcze tu nie wymyślili drogowskazów, co?

– Wiem dokładnie, gdzie są Jałowce – oświadczył Rebus z przekonaniem. – Trzeba się cofnąć tą samą dróżką i w wiosce skręcić w lewo. Po prawej stronie drogi zobaczycie osiedle

zwane Błonia. Trzeba wjechać w to osiedle i zaraz po jego drugiej stronie znajdziecie Jałowce.

Mężczyzna rozpromienił się.

– Rewelacja, wielkie dzięki.

– Nie ma sprawy – odparł Rebus. Para pomachała im na pożegnanie i z zapalonym ruszyła w drogę.

Siobhan podeszła do Rebusa.

– To wszystko nieprawda, co?

– Będą mieli szczęście, jak im się uda wyjechać z Błoni z kompletem opon na kołach. –

Uśmiechnął się. – To mój dobry uczynek na dziś.

Kiedy wsiedli znów do samochodu, Rebus zapytał:

– Jak to chcesz rozegrać?

– Przede wszystkim chcę się dowiedzieć, czy Marr jest masonem.

– Ja się tym zajmę – powiedział Rebus, kiwając głową.

– A potem, chyba przejdziemy od razu do sprawy Hugo Benziego.

Rebus nie przestawał kiwać głową.

– To które z nas zadaje pytania?

Siobhan odchyliła się do tyłu.

– Zdajmy się na wycucie, zobaczymy, kogo z nas Marr bardziej polubi. – Rebus spojrzał na nią. – A co, nie zgadzasz się?

Potrząsnął głową i odparł:

– Nie o to chodzi.

– A o co?

– Bo powiedziałaś niemal dokładnie to, co sam bym powiedział.

Zwróciła ku niemu głowę i spojrzała mu prosto w oczy.

– A to dla nas dobrze czy źle?

Twarz rozjaśnił mu uśmiech.

– Sam się jeszcze zastanawiam – odparł, włączając zapłon.

Bramy Jałowców strzegło dwoje policjantów w mundurach, z których jednym była Nicola Campbell, policjantka, którą poznał podczas pierwszej wizyty. Samochód jednego reportera stał na poboczu po drugiej stronie drogi. Reporter akurat popijał coś z termosu. Obrzucił spojrzeniem Siobhan i Rebusa, potem spokojnie wrócił do rozwiązywania krzyżówki. Rebus opuścił szybę.

– To z podsłuchem już koniec?

– Nie ma po co, skoro to już nie porwanie – odparła Campbell.

– A gdzie Bania?

– Wrócił do Pałacu. Wskoczyło coś nowego.

– Widzę, że jeden sęp już tu czatuje. A wampiry żadne krwi?

- Parę było.
- No i jeszcze parę może się pojawić. Kto jest w środku? – spytał, wskazując bramę.
- Komisarz Templer i detektyw Hood.
- Szykują następną konferencję prasową – domyśliła się Siobhan.
- I ktoś jeszcze? – spytał Rebus.
- Rodzice – odparła Campbell – służba... ktoś z firmy pogrzebowej. I jakiś przyjaciel

rodziny.

Rebus kiwnął głową i spojrzał na Siobhan.

– Ciekawe, czy pamiętali o przesłuchaniu służby. Czasami służba potrafi widzieć i słyszeć dużo więcej...

Campbell otworzyła im bramę.

– Sierżant Dickie z nimi rozmawiał – odparła Siobhan.

– Dickie? – Rebus włączył bieg i przetoczył się przez bramę. – Ten dureń wiecznie patrzący na zegarek?

Wbiła w niego wzrok.

– Zawsze chciałbyś wszystko robić po swojemu, co?

– Bo nie ufam, że ktokolwiek inny zrobi to dobrze.

– Uprzejmie dziękuję.

– Wyjątki się zdarzają – mruknął, na moment odrywając wzrok od drogi.

Na podjeździe przed domem – tym samym podjeździe, na który wybiegła wtedy Jacqueline Balfour, kiedy wzięła Rebusa za porywacza jej córki – stały cztery samochody.

– To alfa Granta – zauważyła Siobhan.

– Robi za kierowcę dla szefowej.

Rebus pomyślał, że zapewne czarne volvo S40 należy do firmy pogrzebowej, pozostawało więc jeszcze brązowe maserati i zielony aston martin DB7. Nie był pewien, który z nich przypisać Marrowi, a który Balfourowi, więc zapytał o to głośno.

– Aston należy do Johna Balfoura – powiedziała Siobhan.

Spojrzał na nią podejrzliwie.

– Tylko tak zgadujesz? – spytał.

Pokręciła głową.

– Jest to w protokole.

– Za chwilę mi jeszcze podasz jego numer butów.

Drzwi otworzyła im pokojówka. Wylegitymowali się i zostali wpuszczeni do holu. Pokojówka bez słowa odwróciła się i odeszła w głąb domu, a Rebus pomyślał, że po raz pierwszy w życiu widzi kogoś chodzącego na palcach. Wokół panowała głucha cisza.

– Tu jest zupełnie jak w tym domu z Cluedo [detektywistyczna gra planszowa, rozgrywana we wnętrzu rozległego

domostwa.] – zauważyła Siobhan, przyglądając się ścianom obłożonym boazerią i obwieszonym portretami przodków Balfourów. U stóp schodów stała nawet średniowieczna zbroja. Obok na stoliku leżała sterta nie otwartej korespondencji. Po chwili w drzwiach stanęła wysoka kobieta w średnim wieku, której mina i ubiór świadczyły, że jest tu służbowo i wie, co robi. Na jej twarzy nie było cienia uśmiechu.

– Jestem osobistą asystentką prezesa Balfoura – powiedziała głosem tylko o ton głośniejszym od szeptu.

– Chcieliśmy się widzieć z panem Marrem.

Z namaszczeniem skinęła głową.

– Zdają sobie jednak państwo sprawę, że jest to wyjątkowo niefortunny moment...

– Czy to znaczy, że nie chce z nami rozmawiać?

– Nie w tym rzecz, że „nie chce” – powiedziała z naciskiem.

Rebus wolno pokiwał głową.

– To wie pani co? Wejść tylko i powiadomię komisarz Templera, że pan Marr utrudnia nam śledztwo w sprawie morderstwa panny Balfour. Gdyby zechciała mi pani wskazać, gdzie mogę ją znaleźć...

Próbowała go zasztyletować wzrokiem, jednak Rebus nawet nie mrugnął powieką.

– Proszę tu zaczekać – odpowiedziała po dłuższej chwili. Dopiero teraz, po raz pierwszy błysnęła zębami. Bąknął grzeczne „dziękuję”, a ona wycofała się za drzwi.

– Coś wspaniałego – mruknęła Siobhan.

– Ona, czy ja?

– Cała potyczka.

Kiwnął głową.

– Jeszcze chwila i sięgnąłbym po tę zbroję.

Siobhan podeszła do stolika i zaczęła przeglądać korespondencję. Rebus do niej dołączył.

– Wydawałoby się – powiedział – że będą to natychmiast otwierać w nadziei, że trafią na list od porywaczy z żądaniem okupu.

– I pewnie to robili – odparła Siobhan, spoglądając na stemple pocztowe. – To wszystko jest z wczoraj i z dzisiaj.

– To listonosz ma tu co robić. – Kilka kopert w formacie pocztówkowym miało czarne ozdobne krawędzie. – Mam nadzieję, że pani asystentka nie zapomni ich otworzyć.

Siobhan kiwnęła głową. To też swoisty gatunek wampirów żądnych krwi, pomyślała. Ludzie, dla których śmierć kogoś znanego stanowi okazję do nurzania się w nieszczęściu. Nigdy nie wiadomo, od kogo takie kondolencje mogą pochodzić.

– Właściwie to my powinniśmy je otwierać – powiedziała.

– Słuszna uwaga. – Wampirem żądnym krwi mógł być sam morderca.

Drzwi się otworzyły i stanął w nich Ranałd Marr, ubrany w czarny garnitur i białą koszulę z czarnym krawatem. Wyglądał na mocno niezadowolonego.

– O co znów chodzi? – zapytał Siobhan szorstko.

– Pan Marr? Jestem inspektor Rebus. – Wyciągnął rękę na powitanie. – Chciałem tylko powiedzieć, że jest nam ogromnie przykro, że musimy zawracać panu głowę.

Marr kiwnięciem głowy przyjął przeprosiny i podał rękę. Rebus nigdy nie wstąpił do „rzemiosła”, ale kiedyś dawno temu, będąc jeszcze nastolatkiem, podczas jakiegoś alkoholowego wieczoru został przez ojca nauczony właściwego uścisku dłoni.

– Pod warunkiem, że to długo nie potrwa – mruknął Marr, korzystając ze swej chwilowej przewagi.

– Czy możemy gdzieś usiąść i porozmawiać?

– Proszę tędy – powiedział Marr i poprowadził ich przez jeden z dwóch westybuli.

Rebus uchwycił przelotne spojrzenie Siobhan i w milczeniu kiwnął głową: tak, Marr jest masonem. Wydęła usta i zamyśliła się.

Marr otworzył jakieś drzwi i wprowadził ich do ogromnego pomieszczenia z całą jedną ścianą wypełnioną książkami i z pełnowymiarowym stołem bilardowym na środku. Zapalił światło – tak jak w całym domu, również i tu okna były szczelnie zasłonięte na znak żałoby – i zielone sukno na stole rozbliło. Pod jedną ze ścian stał niewielki stolik z dwoma krzesłami. Na stoliku leżała srebrna taca z kryształową karafką z whisky i kilkoma kryształowymi szklankami. Marr usiadł i nalał sobie whisky, potem zrobił ruch głową w stronę Rebusa, który kiwnięciem głowy podziękował. Siobhan, nie pytana, zrobiła to samo. Marr uniósł szklankę.

– Za spokój duszy Philipppy – powiedział uroczyście i pociągnął duży łyk.

Rebus już wcześniej poczuł od niego woń whisky i wiedział, że to nie pierwszy jego drink dzisiaj. I pewnie nie pierwszy toast za Philippę. Gdyby byli sami, teraz nastąpiłaby wymiana informacji o ich rodzimych łóżach – co mogłoby postawić Rebusa w niezręcznej sytuacji – ale obecność Siobhan gwarantowała, że jest bezpieczny. Potoczył czerwoną bilę po stole, a ona odbiła się od bandy.

– No więc, słucham – odezwał się Marr. – Czego sobie tym razem życzyście?

– Hugo Benzie – powiedział Rebus.

Zupełnie nie był na to przygotowany. Uniósł brwi i łyknął whisky.

– Znał go pan? – spytał Rebus.

– Niezbyt dobrze. Wiem, że jego córka chodziła z Philippą do szkoły.

– Czy korzystał z pańskiego banku?

– Wie pan doskonale, że obowiązuje mnie tajemnica bankowa. Etyka zawodowa nie pozwala mi na takie rozmowy.

– Nie jest pan lekarzem – powiedział Rebus. – Pan tylko przechowuje ludziom pieniądze.

Oczy Marra zwięzły się.

– Jest pan w błędzie, robimy znacznie więcej – odpowiedział zimno.

– Doprawdy? To znaczy, że je również dla nich tracicie?

Marr zerwał się na równe nogi.

– Co to ma znaczyć? I jaki to ma, do cholery, związek z morderstwem Philippy?

– Proszę mi tylko powiedzieć: czy Hugo Benzie zainwestował u was swoje pieniądze?

– Nie u nas! Za naszym pośrednictwem.

– A pan mu w tym doradzał?

Marr ponownie nalał sobie whisky. Rebus rzucił okiem na Siobhan. Znała swoją rolę w tym starciu i milcząc, stała w półmroku za stołem bilardowym.

– Czy pan mu doradzał? – powtórzył pytanie Rebus.

– Doradzaliśmy mu, żeby zbytnio nie ryzykował.

– A on panów nie posłuchał?

– Hugo wyznawał zasadę, że życie bez ryzyka się nie liczy. Podjął ryzyko, zagrał... i przegrał.

– Czy winą za to obarczał bank Balfour?

Marr potrząsnął głową.

– Nie sądzę. Postanowił tylko skończyć z sobą.

– A co z jego żoną i córką?

– Co mianowicie?

– Czy one miały do was pretensje?

Znów potrząsnął głową.

– Znały go, wiedziały, kim jest. – Odstawił szklankę na krawędź stołu bilardowego. – Ale co to wszystko ma wspólnego...? – A potem widać coś mu zaświtało w głowie, bo powiedział: – Ach, rozumiem, wciąż szukacie motywów... i wyobrażacie sobie, że trup powstał z grobu i mści się na banku Balfour, tak?

Rebus w zamyśleniu potoczył kolejną bilę po stole.

– Zdarzały się już dziwniejsze rzeczy – stwierdził spokojnie.

Siobhan wyszła z mroku i podała Marrowi kartkę papieru.

– Pamięta pan, jak pytałam pana o gry?

– Tak.

– To hasło tutaj – wskazała na zagadkę odnoszącą się do kaplicy Rosslyn – mówi coś panu?

Z uwagą wpatrzył się w tekst wskazówki.

– Nic a nic – odparł po chwili, oddając jej kartkę.

– Czy mogę pana spytać, czy jest pan członkiem Łoży Masońskiej?

Marr popatrzył na nią wściekłym wzrokiem, potem rzucił przelotne spojrzenie na Rebusa.

– Nie zaszczycę pani nawet próbą odpowiedzi na to pytanie.

– Bo widzi pan, dano mi tę zagadkę do rozwiązania, podobnie jak Philippie. Więc kiedy znalazłam w niej słowa *sen masona*, postanowiłam zwrócić się do członka Łoży Masońskiej z prośbą o pomoc.

– No i co pani powiedział?

– To nieistotne. Istotne jest to, że może Philippa wpadła na ten sam pomysł.

– Już pani mówiłem. Nic mi na ten temat nie wiadomo.

– Ale mogła na przykład wspomnieć coś w trakcie rozmowy...?

– Niczego takiego nie było.

– A знаła też może innych masonów, panie Marr? – zapytał Rebus.

– Nie mam pojęcia. Słuchajcie, myślę, że poświęciłem wam już dość dużo czasu... i to akurat dzisiaj.

– Tak jest, panie prezesie – oświadczył Rebus. – Dziękuję, że nas pan przyjął. – Wyciągnął rękę, jednak tym razem Marr jej nie przyjął. W milczeniu podszedł do drzwi, otworzył je i wyszedł. Rebus i Siobhan podążyli za nim. W holu wejściowym natknęli się na komisarz Templera i Granta Hooda. Marr przeszedł obok nich bez słowa i zniknął za drzwiami.

– A wy co tu, u diabła, robicie? – spytała cicho Templer.

– Próbujemy złapać mordercę – odparł Rebus. – A wy?

– Dobrze wypadłeś w telewizji – powiedziała Siobhan do Granta.

– Dzięki.

– To prawda, Grant świetnie sobie poradził – wtrąciła Templer, przenosząc wzrok z Rebusa na Siobhan. – Jestem w pełni usatysfakcjonowana.

– I ja też – odparła Siobhan z uśmiechem.

Wyszli z budynku i wsiedli do swoich samochodów. Templer nie omieszkała rzucić jeszcze na pożegnanie:

– Oczekuję raportu wyjaśniającego waszą obecność tutaj. Aha, John – dodała, jakby po namyśle – a ciebie oczekuje lekarz...

– Lekarz? – spytała Siobhan, zapinając pas.

– Nieważne – odparł Rebus i włączył zapłon.

– Czy ona się na tobie wyżywa tak samo jak na mnie?

Rebus zwrócił się ku niej.

– Siobhan, Gill chciała cię mieć przy swoim boku. A ty jej odmówiłaś.

– Bo nie byłam na to gotowa. – I po przerwie dodała: – Wiem, że to zabrzmiało idiotycznie, ale wydaje mi się, że ona jest o ciebie zazdrosna.

– O ciebie?

Siobhan pokręciła głową.

– Nie, o ciebie!

– O mnie? – roześmiał się Rebus. – A dlaczego miałaby być zazdrosna o mnie?

– Dlatego, że ty możesz grać, nie przejmując się regułami, a ona nie może. Dlatego, że mimo wszystko zawsze ci się jakoś udaje namówić ludzi, żeby z tobą pracowali, nawet jeśli nie zgadzają się z tym, co robisz.

– Widać jestem lepszy, niż mi się wydaje.

Spojrzała na niego z ukosa.

– Och, sądzę, że wiesz doskonale, jaki jesteś dobry. Albo jak ci się wydaje.

Popatrzył na nią przeciągle.

– Czuję, że w tym, co mówisz, jest coś obraźliwego, tylko nie bardzo wiem co.

Siobhan rozsiadła się wygodnie.

– No to, co teraz? – spytała.

– Wracamy do Edynburga.

– I co dalej?

Rebus w milczeniu manewrował po podjeździe.

– Nie wiem – przyznał. – Tam w środku przez chwilę można było mieć wrażenie, że Marr utracił własne dziecko...

– Nie chcesz przez to powiedzieć...?

– A on jest w ogóle do niej podobny? Bo ja w tych sprawach jestem beznadziejny.

Siobhan zagryzła wargę i zamyśliła się.

– Dla mnie wszyscy bogaci są do siebie podobni. Podejrzewasz, że Marr i pani Balfour mogli mieć romans?

Rebus wzruszył ramionami.

– Trudno by to udowodnić bez badania krwi. – Rzucił jej spojrzenie. – W każdym razie trzeba dopilnować, żeby Curt i Gates zostawili próbkę.

– A Claire Benzie?

Rebus pomachał na pożegnanie posterunkowej Campbell.

– Claire to ciekawa postać, ale powinniśmy z nią uważać.

– A to dlaczego?

– Bo za rok, albo za trzy, może się okazać, że to ona będzie naszym zaprzyjaźnionym lokalnym patologiem. Mnie już wtedy może nie być, ale ty będziesz, więc powinno ci zależeć na tym, żeby...

– Żeby się jej nie narażać? – wtrąciła Siobhan z uśmiechem.

– Żeby się jej nie narażać – powtórzył Rebus.

Siobhan zamyśliła się.

– Ale jakkolwiek by na to patrzeć – powiedziała po chwili – to ona ma wszelkie prawo mieć

pretensje do Balfourów.

– Gdyby tak było, to jak mogłaby przyjaźnić się z Flipą?

– A może była to tylko gra z jej strony?

Jechali teraz dróżką koło wodospadu i Siobhan rozejrzała się w poszukiwaniu pary turystów, jednak nie było nikogo.

– Może powinniśmy podjechać do Błoni i sprawdzić, czy nic im się nie stało?

Rebus potrząsnął tylko głową i na dłuższą chwilę w samochodzie zapadło milczenie.

Dopiero, kiedy byli już daleko za Kaskadami, Siobhan odezwała się:

– Marr jest masonem. I w dodatku lubi się zabawiać gramami.

– Więc to teraz on jest Quizmasterem, już nie Claire Benzie?

– Myślę, że bardziej prawdopodobne jest to, że jest ojcem Flipy.

– Przepraszam, że się odezwałem – powiedział Rebus, który rozmyślał o Hugonie Benziem.

Przed wyjazdem do Kaskad zdążył zadzwonić do znajomego adwokata, któremu zadał kilka pytań. Benzie specjalizował się w prawie spadkowym i zakładaniu funduszy powierniczych. Uważano go za solidnego i skutecznego adwokata, który dobrze się wpasował w liczne środowisko prawnicze w mieście. Jego zamiłowanie do hazardu nie było powszechnie znane i nigdy mu nie przeszkodziło w karierze zawodowej. Krążyły pogłoski, że zainwestował duże pieniądze we wschodzące gwiazdy na Dalekim Wschodzie, zgodnie z radami i typami zamieszczanymi na finansowych kolumnach jego ulubionej gazety codziennej. Jeśli tak sprawy się miały, to rzeczywiście trudno było obciążać odpowiedzialnością bank Balfour. Najprawdopodobniej rola banku sprowadziła się do przelewania funduszy zgodnie z poleceniami Benziego i do zakręcenia kurka, gdy się okazało, że pieniądze rozpląnęły się gdzieś w żółtych wodach Jangcy. Dla Benziego utrata pieniędzy nie oznaczała straty wszystkiego – przecież jako adwokat mógł zawsze zarobić nowe pieniądze. Zdaniem Rebusa stracił natomiast coś znacznie cenniejszego: wiarę w siebie. A kiedy przestał wierzyć w siebie, to zapewne łatwo mu przyszło zastąpić to wiarą, że samobójstwo to dobre rozwiązanie. Skąd był już tylko krok do przeświadczenia, że jest to rozwiązanie jedyne. Rebus kilkakrotnie poznał takie myśli, mając za swych jedynych towarzyszy ciemności i butelkę. Wiedział, że nie potrafiłby skoczyć z dużej wysokości: miał lęk wysokości od czasu, gdy podczas służby w wojsku zrzucono go z helikoptera. Więc może ciepła kąpiel i żyletką po przegubach... tylko że wtedy problemem stawała się krwawa jątka; myśl, że ktoś, wszystko jedno: przyjaciel czy obcy, będzie musiał oglądać tak okropny widok... Więc jednak woda i prochy... zawsze się to kończyło na jakichś prochach. Tylko nie w domu, a w jakimś anonimowym pokoju hotelowym, w którym odnalazłaby go obsługa hotelowa. Dla nich byłby tylko jeszcze jednym samotnym denatem.

Takie tam sobie myśli. Ale będąc na miejscu Benziego... mając żonę i córkę... wydawało mu się, że nie potrafiłby się na to zdobyć, by zostawić po sobie zupełnie zdruzgotaną rodzinę. I do

tego jeszcze Claire, która wybrała karierę patologa i do końca życia będzie mieć do czynienia z trupami w chłodnych i pozbawionych okien pomieszczeniach. Czy każde ciało, z którym będzie miała do czynienia, będzie na obraz i podobieństwo jej ojca...?

– Dam grosik za twoje myśli – odezwała się Siobhan.

– Nie sprzedaję – odparł Rebus i ponownie skoncentrował się na drodze.

– Rozchmurz się – powiedział Hi-Ho Silvers – jest piątek po południu.

– No to co?

Wpatrywał się w Ellen Wylie.

– No nie mów mi, że nie jesteś umówiona na żadną randkę?

– Randkę?

– No wiesz: jakaś kolacyjka, tańce, a potem do niego... – Zaczął kusząco kręcić biodrami.

Wylie zrobiła ponurą minę.

– Jak na razie, nie mogę nawet zmęczyć lunchu – mruknęła.

Rzeczywiście, na jej biurku wciąż leżały resztki kanapki z tuńczykiem, majonezem i słodką kukurydzą. Tuńczyk leciutko zalatywał i jej żołądek zaczął się głośno buntować. Tyle że Silvers na pewno i tak tego nie zauważy.

– Ale przecież masz chyba jakiegoś faceta, nie?

– Dam ci znać, jak mnie przyciśnie potrzeba.

– Byle nie w piątek ani w sobotę wieczorem, bo wtedy siedzę w pubie.

– Będę o tym pamiętać, George.

– No i oczywiście niedziela po południu też odpada.

– Oczywiście. – Wylie pomyślała, że pewnie pani Silvers ten układ też odpowiada.

– No, chyba żeby nam się udało wydusić jakieś nadgodziny. – W toku myślenia Silvers nastąpił nagły zwrot. – Jak myślisz, mamy szansę?

– To zależy, prawda? – Wylie wiedziała, od czego to zależy: od tego, czy media będą wywierały odpowiednią presję. Wtedy szefom zacznie zależeć na szybkich rezultatach. Albo czy John Balfour pogada, z kim trzeba, i pociągnie za odpowiednie sznurki. Zdarzało się, że przy głośnych sprawach wydział śledczy potrafił pracować po dwanaście godzin dziennie przez siedem dni w tygodniu i być odpowiednio do tego opłacany. Jednak wszędzie teraz obowiązywały cięcia budżetowe i personalne. A nigdy w życiu nie widziała tylu szczęśliwych gliniarzy, niż kiedy na miasto zważyła się KSRWB – Konferencja Szefów Rządów Wspólnoty Brytyjskiej – zasypując ich prawdziwą lawiną nadgodzin. I choć od tej pory minęło już ładne parę lat, wciąż jeszcze spotykało się policjantów, a wśród nich także Silvers, którzy chodzili, sycząc pod nosem: „ksrawub”, jakby to było magiczne zaklęcie. Silvers westchnęła i odszedł, zapewne wciąż mając nadgodziny w głowie, a Wylie wróciła myślami do niemieckiego studenta,

Jurgena Beckera. Chwilę myślała o Borisie Beckerze, niegdyś jej ulubionym tenisście, i przez moment zastanowiła się nawet, czy Jurgen może być z nim spokrewniony. Pomyślała jednak, że to mało prawdopodobne, bo sławny krewniak na pewno spowodowałby znacznie większe zainteresowanie, tak jak to miało miejsce w przypadku Philippy Balfour.

Tyle że ten cały szum i tak niewiele pomógł. Tak naprawdę wyglądało na to, że tkwią w tym samym miejscu, w którym byli w chwili zgłoszenia zaginięcia Philippy. Rebus wyskakiwał wprawdzie z różnymi pomysłami, ale przecież tak naprawdę nic z nich nie wynikało. Było trochę tak, jakby wyciągał rękę i zrywał z gałęzi kolejne teoryjki, a potem oczekiwał, że ludzie to będą kupować. Ten jeden jedyny raz, kiedy pracowali razem – nad sprawą zwłok w Queensberry House znalezionych tam podczas przygotowań do generalnego remontu i przebudowy na budynek parlamentu – nie osiągnęli sukcesu. Właściwie to zaraz potem się na nią wypiął i nawet nie chciał rozmawiać o sprawie. A do sądu nic wtedy nie trafiło.

Jednak, mimo wszystko... wołałaby już być z Rebusem niż nigdzie. Czuła, że mosty między nią a Gill Templer zostały spalone i niezależnie od tego, co mówi Rebus, wiedziała, że to jej wina. Za bardzo się starała, tak bardzo, że zaczęła wtedy niemal nachodzić Gill Templer. Na swój sposób był to przejaw jej lenistwa: tak długo naciskać, aż człowieka zauważą, i mieć nadzieję, że jak go zauważą, to go awansują. I miała też świadomość, że Templer ją odrzuciła, bo dokładnie ją rozgryzła. Ona sama nie w ten sposób osiągnęła szczyt – musiała przez cały czas harować jak wół i jeszcze dodatkowo walczyć z uprzedzeniami wobec kobiet, o których nikt głośno nie mówił i do których nikt się nie przyznawał.

Ale które istniały.

Wylie zdawała sobie sprawę, że powinna siedzieć cicho i się nie wychylać. Tak jak to robi Siobhan Clarke – nigdy się nie narzuca, mimo iż jest karierowiczką... i w dodatku jej rywalką. Wylie nie potrafiła na nią inaczej patrzeć. Od samego początku była faworytką Gill Templer. Zresztą dlatego właśnie ona, Ellen Wylie, rozpoczęła tak namolną – jak się w końcu okazało, zbyt namolną – kampanię promowania samej siebie. A teraz zostawili ją samą sobie i to z gównem na talerzu w postaci historii Jurgena Beckera. I do tego w piątkowe popołudnie, kiedy na pewno nie dodzwoni się do nikogo, bo już nigdzie nikogo nie ma, by odpowiadać na jej pytania. Więc znalazła się w ślepych zaułku.

W ślepych i martwym zaułku.

Grant Hood miał za zadanie zorganizować kolejną konferencję prasową. Zdążył się już nauczyć kojarzyć twarze z nazwiskami i miał za sobą serię krótkich spotkań z „szychami” świata mediów – najważniejszymi dziennikarzami zajmującymi się tematyką kryminalną – które organizował pod hasłem: „Poznajmy się”.

– Bo rzecz w tym, Grant – zwierzyła mu się komisarz Templer – że niektórych pismaków

można uważać za swoich w tym sensie, że dają się nam prowadzić, tak jak chcemy. Trzymają się wytyczonej linii, zamieszczają artykuły, kiedy nam to jest na rękę, i nie piszą o tym, co chcemy zachować w tajemnicy. Daje to podwaliny do wzajemnego zaufania, tyle że ta wzajemność oznacza, że musimy się im odpłacać rzetelnymi informacjami, i to w dodatku godzinę lub dwie wcześniej niż konkukrom.

– Konkukrom, pani komisarz?

– Ich konkurencji. Bo widzisz, jak spojrzysz, jak tak siedzą na sali podczas konferencji prasowej, to wydaje ci się, że stanowią monolit, a tak wcale nie jest. Zdarza się nawet czasami, że podejmują ze sobą współpracę – na przykład, kiedy potrzebna jest czujka do pilnowania kogoś na okrągło. Wtedy dzielą się między sobą obowiązkami i zdobytymi informacjami.

Grant pokiwał głową na znak, że rozumie.

– Ale na ogół walczą ze sobą jak wściekłe psy. A ci z nich, którzy nie zaliczają się do „szych”, są najgorsi i pozbawieni wszelkich skrupułów. Mają zawsze w pogotowiu książeczkę czekową i próbują cię kupić. Może nawet nie za pomocą pieniędzy, ale stawiają ci drinki, czy zapraszają na kolacje. I starają ci się wmówić, że jesteś jednym z nich, równym koleśkiem, tak że w pewnym momencie zaczyna ci się zdawać, że wcale nie są tacy źli. I wtedy jesteś załatwiony, bo przez cały czas będą od ciebie wyciągać informacje, tak że nawet tego nie zauważysz. Może się zdarzyć, że rzucisz jakąś uwagę czy hipotezę tylko po to, by się pochwalić swoją wiedzą. I możesz być absolutnie pewny, że wszystko, co im powiesz, wydrukują tłustym drukiem. Zacytują cię jako „źródło policyjne” albo „anonimowego informatora z kręgów zbliżonych do śledztwa” – to oczywiście tylko wtedy, kiedy będzie im się chciało okazać ci wspaniałomyślność. A jeśli tylko będą coś na ciebie mieli, to natychmiast dokręcą śrubę. Zażądadają od ciebie wszystkich szczegółów, a jak nie, to rzucają cię na pożarcie. – Klepnęła go po ramieniu i dodała: – To tylko takie dobre rady.

– Tak jest, pani komisarz. Dziękuję, pani komisarz.

– To nie znaczy, że nie należy utrzymywać z nimi przyjacielskich stosunków. Wszystkim najważniejszym powinieneś się sam przedstawić i tylko nigdy nie zapominać, po czyjej jesteś stronie... ani o tym, że są dwie strony. Rozumiemy się?

Grant kiwnął głową, a Templer dała mu listę „szych”.

Podczas wszystkich spotkań zapoznawczych ograniczał się tylko do kawy i soku pomarańczowego i z ulgą stwierdził, że większość dziennikarzy postępowała podobnie.

– Czasami się zdarza, że starzy wyjadacze załapują się na whisky albo gin – powiedział mu jeden z młodszych reporterów – ale my nigdy.

Następne spotkanie odbył z jednym z najbardziej szanowanych „wyjadaczy”, który poprosił tylko o szklankę wody.

– Ci młodzi złopiają bez opamiętania – oświadczył – ale ja już niestety nie mogę. A pan, czym

się lubi truć, panie posterunkowy Hood?

– To nie jest formalne spotkanie, redaktorze Gillies. Proszę mi mówić po imieniu.

– Zatem i ty mów do mnie Allan...

Mimo to, słowa ostrzeżenia wypowiedziane przez komisarz Templer wciąż dźwięczały mu w uszach i Grant czuł, że podczas zapoznawczych spotkań wypada dość sztywno i niezręcznie. Niewątpliwie plusem było natomiast to, że komisarz Templer zorganizowała dla niego oddzielny pokój w komendzie na Fettes, który był do jego dyspozycji co najmniej do zakończenia śledztwa. Powiedziała, że wynika to z roztropności, z uwagi na konieczność codziennych kontaktów z dziennikarzami, których najlepiej trzymać z dala od pracy operacyjnej. Gdyby mogli wpadać do niego na pogawędki na St Leonard's albo na Gayfield Square, to nigdy nie wiadomo, co mogliby przypadkowo usłyszeć lub zobaczyć.

– Słuszna uwaga – powiedział, kiwając głową.

– I to samo dotyczy rozmów telefonicznych – ciągnęła Templer. – Jeśli chcesz zadzwonić do jakiegoś dziennikarza, to zrób to ze swojego pokoju i zamknij przedtem drzwi. W ten sposób nie zdarzy się, że twój rozmówca nagle w tle usłyszy coś, czego słyszeć nie powinien. Jeśli stanie się tak, że któryś zadzwoni i złapie cię w sali operacyjnej, zawsze mów, że jesteś zajęty i że oddzwonisz.

Grant znów pokiwał głową.

Wspominając teraz te rozmowy, Grant pomyślał, że pewnie wydał jej się takim pieskiem z kiwającą głową, jakie widuje się za szybą w niektórych frajerskich samochodach. Spróbował pozbyć się tego obrazu i skoncentrował uwagę na ekranie komputera. Pracował nad komunikatem prasowym, z kopiami dla Billa Pryde'a, Gill Templer i zastępcy komendanta Carswella, którzy mogli do niego dodać coś od siebie i którzy akceptowali ostateczną treść.

Gabinet Carswella, zastępcy komendanta policji, znajdował się w tym samym budynku, tylko na innym piętrze. Carswellowi już zdarzyło się zapukać do drzwi Granta i życzyć mu powodzenia. Kiedy Grant zameldował się jako detektyw posterunkowy Hood, Carswell powoli pokiwał głową, świdrując go na wylot swym policyjnym okiem.

– No cóż – powiedział – jak nie będzie żadnych wpadek i sprawa zakończy się pomyślnie, to może trzeba będzie pomyśleć o czymś lepszym dla was, co?

Co oczywiście mogło tylko znaczyć awans na sierżanta. Hood wiedział, że jest to w gestii Carswella. Kiedyś już wziął pod swe opiekuńcze skrzydła innego młodego funkcjonariusza z wydziału śledczego, detektywa inspektora Dereka Linforda. Rzecz w tym, że ani Carswell, ani Linford nie przepadali za Johnem Rebusem, a to znaczyło, że powinien zachować daleko posuniętą ostrożność. Raz już odmówił przyłączenia się do zbiorowego drinka z Rebusem i resztą jego grupy, miał jednak świadomość, że bardzo niedawno widziano go w barze sam na sam z Rebusem. Gdyby wiadomość o tym dotarła do uszu Carswella, mogłoby mu to bardzo

zaszkodzić. Przypomnił sobie znów słowa Templera: „A jeśli tylko będą coś na ciebie mieli, to natychmiast dokręcą śrubę...” Przez głowę przemknął mu też inny obraz: sprzeczka z Siobhan. Od tej chwili musi zachować ostrożność – uważać na to, z kim rozmawia i co mówi, uważać, z kim się zadaje i co robi.

Uważać, by się nikomu nie narazić.

Usłyszał pukanie do drzwi i do pokoju weszła pracownica cywilnej administracji.

– Coś dla pana – powiedziała, podając mu plastikową torbę. Potem uśmiechnęła się i wyszła. Otworzył torbę. W środku była butelka Jose Cuervo Gold z doczepioną do niej karteczką.

Z najlepszymi życzeniami pomyślności na nowym stanowisku. Proszę pamiętać, że jesteśmy jak senne dzieci, którym należy się codzienna bajka.

Pańscy nowi przyjaciele z Czwartej Władzy

Grant uśmiechnął się. Pomyślał, że chyba rozpoznaje w tym rękę Allana Gilliesa. A potem nagle sobie przypomniał, że nie odpowiedział mu na pytanie o ulubiony alkohol, a jednak jakimś cudem Gillies trafił bezbłędnie. Nie było wątpliwości: ktoś mu musiał powiedzieć. Uśmiech na twarzy Hooda zamarł. Ta butelka tequili to nie tylko zwykły prezent; to także demonstracja władzy i siły. A potem zadzwoniła jego komórka. Wyciągnął ją z kieszeni.

– Halo?

– Posterunkowy Hood?

– Przy telefonie.

– Chciałem się tylko przedstawić, bo jakoś ominęło mnie zaproszenie na jedno z pańskich spotkań.

– Kto mówi?

– Moje nazwisko Steve Holly. Zapewne widział je pan w druku pod moimi materiałami.

– Tak, widziałem. – Nazwisko Holly’ego z całą pewnością nie widniało na liście „szych” od Templera. Wyraziła się o nim krótko: „To gówniarz”.

– Więc skoro będziemy się często spotykać na konferencjach prasowych i przy innych okazjach, to pomyślałem, że dobrze będzie, jak się najpierw przedstawię. Butelkę pan już dostał?

Kiedy Grant nie odpowiedział, Holly zaśmiał się.

– Stary Allan zawsze robi taki numer. Jemu się wydaje, że to sprytne, ale obaj wiemy, że to tylko zwykła zmyłka.

– Czyżby?

– Jak pan widzi, mnie takie tanie chwytły nie są potrzebne.

– Co widzę? – powiedział Grant, marszcząc czoło.

– Niech pan pomyśli, panie posterunkowy – powiedział Holly i odłożył słuchawkę.

Grant przez chwilę w milczeniu gapił się na telefon, potem nagle mu się rozjaśniło. Wszyscy dziennikarze otrzymali od niego jedynie numer biurowy, numer faksu i numer jego pagera. Zaczął intensywnie myśleć i doszedł do wniosku, że żadnemu z nich na pewno nie podawał numeru swojej komórki. Była to zresztą kolejna z rad otrzymanych od Templera.

„Kiedy się już dobrze poznacie, to z jednym czy dwoma naprawdę się zaprzyjaźnisz – z którymi, to już sprawa indywidualna i każdy rzecznik ma swoich – i wtedy, tym specjalnym wybrańcom, możesz podać numer komórkowy. Dajesz im wtedy dowód zaufania. Jeśli chodzi o pozostałych, to nawet o tym nie myśl, bo inaczej twoje życie przestanie należeć do ciebie... a w dodatku, jak będą ci wiecznie blokować linię, to żaden z naszych nigdy się do ciebie nie dodzwoni. Bo są nasi i nie nasi, my i oni, i musisz zawsze o tym pamiętać”.

A teraz się okazuje, że jeden z „nie naszych” ma jego numer komórkowy. Jest tylko jedno wyjście: trzeba go zmienić.

A jeśli chodzi o tę butelkę tequili, to weźmie ją z sobą na konferencję prasową i odda Gilliesowi. Powie mu, że alkoholu już nie pije.

Przyszło mu do głowy, że to stwierdzenie może się okazać całkiem bliskie prawdy. Jeżeli chce się utrzymać na tym stanowisku, to będzie musiał bardzo dużo zmienić w swym dotychczasowym życiu.

Grant czuł, że jest gotów to zrobić.

Sala operacyjna wydziału śledczego na St Leonard's już opustoszała. Funkcjonariusze nie zaangażowani bezpośrednio w śledztwo kolejno wymykali się, rozpoczynając weekend. Niektórzy – ci, którym to zaproponowano – mieli tu wrócić na sobotnią zmianę. Inni mieli pozostawać pod telefonami w razie, gdyby pojawiły się nowe okoliczności wymagające pilnej akcji. Jednak dla większości zaczynał się po prostu wolny weekend. Ci poruszali się najbardziej dziarskim krokiem i nucili pod nosem refreny popularnych piosenek. Ostatnio w mieście panował spokój. Parę awantur domowych, kilku zatrzymanych dealerów narkotykowych. Członkowie brygady antynarkotykowej chodzili z nosami spuszczoneymi na kwintę po ostatniej wpadce – akcji podjętej na podstawie donosu w pewnym komunalnym szeregowcu w Gracemount, w którym okno na górze było przykryte srebrną folią i dzień i noc na głucho zamknięte. Urządzili nalot w przekonaniu, że trafili kolejne edynburskie źródło zaopatrzenia w konopie i wtedy okazało się, że w pokoju mieszka zwykły nastolatek. Pokój był świeżo po remoncie, a mama nastolatka zawiesiła w oknie koc laminowany folią zamiast firanki, bo uznała, że tak będzie oryginalnie...

Zdarzały się też inne odosobnione incydenty, ale z całą pewnością nie można ich było uznać za falę przestępczości. Siobhan spojrzała na zegarek. Wcześniej zadzwoniła do biura kryminalnego, by pogadać o komputerach. Nie zdążyła nawet dobrać do połowy swego pytania,

kiedy Claverhouse jej przerwał i oświadczył, że „już ktoś w tym temacie siedzi, to go wam podeślemy”. Teraz siedziała więc beczynnie i czekała. Zadzwoiła jeszcze raz do wydziału, ale tym razem nikt się nie odezwał. Pewnie poszli już do domu albo do jakiegoś pubu. Może przyślą tu tego kogoś dopiero w poniedziałek? Poczekaj jeszcze dziesięć minut. W końcu ona też ma swoje życie, prawda? Jutro może wybierze się na mecz, choć to mecz wyjazdowy. A w niedzielę może się wybrać na przejażdżkę – jest jeszcze tyle miejsc do zwiedzenia, gdzie nigdy dotąd nie była: pałac Linlithgow, pałac Falkland, Traquair. Koleżanka, z którą nie widziała się już od wielu miesięcy, zaprosiła ją w sobotni wieczór na urodziny. Nie miała specjalnej ochoty, ale jakby co, mogła to rozważyć...

– Czy posterunkowa Clarke?

Miał ze sobą teczkę, którą postawił na podłodze. Przez moment skojarzył jej się z domokrądcą, który nachodzi ludzi. Kiedy się wyprostował, stwierdziła, że ma dość dużą nadwagę, głównie w pasie. Miał krótko ostrzyżone włosy i sterczącego z tyłu koguta. Przedstawił się jako Eric Bain.

– Słyszałam o panu – stwierdziła Siobhan. – To pana nazywają Bania, prawda?

– Czasami, ale jak mam być szczerzy, to wolę Eric.

– No to niech będzie Eric. Proszę, rozgość się.

Bain przysunął sobie krzesło. Kiedy usiadł, materiał jego jasnoniebieskiej koszuli rozjechał się i pomiędzy guzikami pojawiły się okienka, przez które widać było jasnoróżową skórę brzucha.

– No to co my tu mamy? – zapytał.

Siobhan wyjaśniła, o co chodzi, a on słuchał z pełną koncentracją, nawet na chwilę nie spuszczał z niej wzroku. Zauważyła, że ma krótki, świszczący oddech i pomyślała, że pewnie w którejś kieszeni trzyma inhalator.

Próbowała utrzymywać z nim kontakt wzrokowy, odprężyć się, jednak jego potężna postura i bezpośrednia bliskość wytrącały ją nieco z równowagi. Palce miał obrzmiałe i pozbawione wszelkich ozdób. Zegarek na jego przegubie miał zdecydowanie zbyt wiele przycisków. Po porannym goleniu został mu pod brodą nietknięty fragment zarostu.

Podczas całej prezentacji nie zadał ani jednego pytania. Kiedy skończyła, poprosił o pokazanie e-maili.

– Na ekranie, czy wydruk?

– Wszystko jedno.

Wyjęła wydruki z torebki, a Bain przysunął się z krzeselkiem jeszcze bliżej. Wziął od niej maile, rozłożył je na biurku, a potem zgodnie z datami ułożył je chronologicznie.

– Ale to są tylko zagadki – powiedział.

– Tak.

– A ja chcę zobaczyć wszystkie maile.

Siobhan włączyła więc laptopa i podłączyła swoją komórkę.

– To może przy okazji sprawdzę, czy nie ma jakichś nowych wiadomości?

– Dlaczego nie – odparł. Były dwie, obie od Quizmastera.

Czas gry ucieka. Czy chcesz kontynuować, Poszukiwaczko?

Godzinę później przysłał jej następną wiadomość.

Komunikacja albo rezygnacja.

– Ona ma ciekawy dobór słów – powiedział Bain, a w odpowiedzi na pytające spojrzenie Siobhan, dodał: – Bo cały czas mówisz „on”, więc pomyślałem, że dobrze byłoby niczego z góry nie przesądzać

– W porządku – odparła, kiwając głową – nie ma sprawy.

– Chcesz jej odpowiedzieć?

Najpierw pokręciła głową, potem wzduszyła ramionami.

– Nie bardzo wiem, co odpowiedzieć.

– Łatwiej ją będzie namierzać, jeśli się nie rozłączy.

Spojrzała na Baina, potem napisała *Zastanawiam się* i kliknęła „wyślij”.

– Myślisz, że to wystarczy? – spytała.

– No cóż, z pewnością można to uznać za „komunikację” – uśmiechnął się Bain. – Daj mi tę resztę maili.

Podłączyła się do drukarki i stwierdziła, że skończył się papier.

– Cholera – syknęła. Szafa z materiałami biurowymi była zamknięta na klucz, a ona nie miała pojęcia, gdzie go szukać. A potem przypomniała sobie segregator Rebusa, ten którym się posłużył podczas przesłuchiwania studenta Albiego. Wypchał go wtedy specjalnie, by mu nadać odpowiednio groźny wygląd, i użył do tego papieru z fotokopiarki. Podeszła do jego biurka i zaczęła kolejno otwierać szuflady. Jest! Segregator leżał w jednej z nich, wciąż jeszcze wypchany połową ryzy papieru. Dwie minuty później miała już wydruk całej korespondencji z Quizmasterem. Bain porozkładał wszystkie kartki, zajmując nimi niemal całe biurko.

– Widzisz te wszystkie metryczki – powiedział, wskazując na dolne połowy niektórych kartek. – Pewnie w ogóle nie zwracasz na to uwagi, co?

Siobhan musiała przyznać, że istotnie nie. Poniżej słowa „nagłówki” widniało kilkanaście wierszy dodatkowych informacji: ścieżka powrotna, identyfikator wiadomości, x-mailer... nic jej to wszystko nie mówiło.

– I to właśnie – oznajmił Bain, oblizując sobie wargi – jest nasze mięsko, o które nam chodzi.

– I po tym możemy zidentyfikować Quizmastera? – spytała Siobhan.

– Nie od razu, ale to już jest coś.

– A jak to się dzieje, że na niektórych wiadomościach nie ma nagłówek?

– To niestety zły sygnał – odparł Bain. – Jeżeli wiadomość nie ma nagłówek, to znaczy, że wysyłający korzysta z tego samego prowajdera, co ty.

– Ale...

Bain pokiwał głową.

– Quizmaster ma więcej niż jeden adres.

– I zmienia prowajderów?

– To dość powszechne. Mam kolegę, który jest wrogiem płacenia za dostęp do Internetu. Zanim pojawiły się bezpłatne serwery, co miesiąc zmieniał prowajdera. Korzystał z tych wszystkich promocyjnych ofert pod hasłem „pierwszy miesiąc za darmo”. Kiedy zbliżał się koniec miesiąca, likwidował swoją skrzynkę i przenosił się do następnego prowajdera. Przez cały rok nie zapłacił ani grosza. A to, co robi Quizmaster, to inny wariant tego samego pomysłu. – Bain przejechał palcem po listach nagłówek, każdorazowo zatrzymując się na czwartym wierszu – W tym miejscu podana jest nazwa prowajdera usług internetowych. Widzisz? Trzech różnych.

– I o tyle będzie to trudniejsze do wyśledzenia?

– Trudniejsze, tak. Ale jednocześnie musiał przecież założyć... – Zauważył minę Siobhan i zapytał: – Co jest?

– Bo powiedziałeś „musiał”.

– Tak?

– Więc czy nie będzie jednak prościej, jeśli będziemy się tego trzymać? Oczywiście, pamiętając o tym, co powiedziałeś, żeby nie przesądzać niczego z góry.

Bain przez chwilę się zastanawiał.

– No dobra – orzekł. – Więc jak już powiedziałem, musiał – albo musiała – założyć osobiste konto na wnoszenie opłat u każdego z tych prowajderów. Tak przynajmniej sędzę. Bo nawet jeśli korzystasz z bezpłatnego serwisu przez pierwszy miesiąc, to i tak najpierw proszą cię o twoje dane: numer karty Visa albo numer konta w banku.

– Żeby w odpowiednim momencie móc zacząć wystawiać rachunki?

Bain kiwnął głową.

– Każdy zostawia po sobie jakiś ślad – powiedział cicho, wpatrując się w maile. – Tylko nie każdy zdaje sobie z tego sprawę.

– To zupełnie jak zdejmowanie śladów na miejscu przestępstwa, prawda? Tu włos, tam odrobina naskórka...

– Otóż to. – Bain znów się uśmiechał.

– Więc musimy porozmawiać z prowajderami i zażądać od nich wydania tych danych.

– Jeśli się zgodzą.

– To śledztwo w sprawie morderstwa. Będą musieli.

Spojrzał na nią.

– Istnieją pewne kanały, Siobhan.

– Kanały?

– Służby specjalne mają oddzielny wydział, który zajmuje się wyłącznie przestępstwami elektronicznymi. Przede wszystkim zajmują się twardą pornografią, wyłapywaniem odbiorców pornografii dziecięcej, tego typu rzeczy. Nie do wiary, co ludzie potrafią wymyślić: twarde dyski ukryte wewnątrz innych twardech dysków, wygaszacze ekranu zawierające obrazy pornograficzne...

– I co, musimy uzyskać ich zgodę?

Bain potrząsnął głową.

– Nie potrzebna nam ich zgoda, tylko pomoc. – Rzucił okiem na zegarek. – Ale dziś i tak już za późno, żeby coś zdziałać.

– Dlaczego?

– Dlatego, że w Londynie też już jest piątek wieczór. – Rzucił na nią spojrzenie. – Masz ochotę na drinka?

Nie miała zamiaru przyjmować jego zaproszenia i miała w zanadrzu moc dogodnych wymówek, jednak tak się dziwnie potoczyło, że nagle znaleźli się po drugiej stronie ulicy w The Maltings. Kiedy stanęli przy barze, Bain znów ustawił swoją teczkę na podłodze.

– Co ty tam trzymasz? – spytała.

– A jak myślisz?

Wzruszyła ramionami.

– Laptopa, komórkę... jakieś akcesoria i dyskietki... nie mam pojęcia.

– I o to chodzi, żeby tak myśleć. – Podniósł teczkę, położył ją na barze i już miał otworzyć, kiedy nagle się rozmyślił i pokręcił głową. – Nie – powiedział – może kiedy indziej. Może, jak się trochę lepiej poznamy. – Zdjął teczkę z baru i postawił ją na podłodze.

– Masz przede mną tajemnice? – zapytała Siobhan. – To ci dopiero początek koleżeńskiej współpracy.

Oboje się uśmiechnęli, a barman podał im zamówione drinki: piwo butelkowe dla niej i duże piwo z beczki dla niego. Nigdzie nie było wolnego stolika.

– Jak ci się pracuje na St Leonard's?

– Pewnie tak jak wszędzie indziej.

– Tylko że nie wszędzie jest John Rebus.

Spojrzała na niego.

– O co ci chodzi?

Wzruszył ramionami.

– O to, co mi Claverhouse powiedział przed wyjściem. Powiedział, że jesteś praktykantką Rebusa.

– Praktykantką! – Mimo ryczącej z głośników muzyki, jej podniesiony głos spowodował, że parę osób przy barze odwróciło się w ich stronę. – A to bezczelny!

– Spokojnie, spokojnie – rzucił Bain. – On tylko tak powiedział.

– To teraz ty powiedz jemu, żeby sobie łeb w dupę wsadził.

Bain zaczął się śmiać.

– Nie żartuję – powiedziała groźnie, jednak po chwili też się zaczęła śmiać.

Po następnych dwóch drinkach Bain oświadczył, że chętnie by coś zjadł i zaproponował, żeby zajrzeli do Howiego i sprawdzili, czy nie znajdzie się wolny stolik. Nie miała zamiaru się godzić – po piwach wcale nie czuła się taka głodna – ale jakoś nie potrafiła mu odmówić.

Jean Burchill ciągle jeszcze siedziała w muzeum. Zaintrygowała ją uwaga profesora Devlina o doktorze Lovellu i postanowiła na własną rękę przeprowadzić prywatne śledztwo i sprawdzić, czy teorię patologa da się jakoś dowieść. Wiedziała, że najprościej byłoby porozmawiać z samym Devlinem, jednak coś ją przed tym powstrzymywało. Zdawało się jej, że wciąż jeszcze czuje od niego formalinę, a dotykając go, czuje na jego skórze dotyk truposzy. Jej praca w muzeum obracała się wokół ludzi dawno już zmarłych i to na ogół w postaci wzmianek w książkach czy fragmentów wykopalisk. Kiedy zmarł jej mąż, protokół przeprowadzonej na nim sekcji stanowił wyjątkowo ponurą lekturę, a jednak ten, który go sporządził, zrobił to z wyraźną satysfakcją, lubując się w szczegółowych opisach zmian w jego wątrobie i rozwodząc nad jej rozdęciem i zwyrodnieniem. „Zwyrodnienie” było jego ulubionym słowem. Pomyślała, że pewnie to nietrudne, kiedy ma się pośmiertnie zdiagnozować alkoholika.

Przyszedł jej do głowy Rebus i jego picie. Jej zdaniem jego picie nie przypominało picia Billa, który siadał do śniadania, udawał że coś je, a potem wymykał się do garażu, gdzie trzymał ukrytą butelkę. Nim siadał za kierownicą, miał już za sobą kilka drinków. Bez przerwy znajdowała po nim jakieś ślady: puste butelki po burbonie poutykane w piwnicy i schowane na najwyższej półce w jego szafie. Nigdy nic nie mówiła, a Bill był cały czas „duszą towarzystwa”, „ostoją spokoju i pewności” i „świetnym kompanem” aż do momentu, gdy choroba uniemożliwiła mu dalszą pracę i zawiodła na szpitalne łóżko.

Nie sądziła, by Rebus pił, tak jak Bill, po kryjomu. On tylko lubił się napić, a jeśli nawet to robił w samotności, to dlatego, że nie miał zbyt wielu przyjaciół. Kiedyś zapytała Billa, dlaczego pije, a on nie umiał jej odpowiedzieć. Pomyślała, że Rebus pewnie znałby odpowiedź, choć trudno go było skłonić do rozmowy na ten temat. Pewnie powiedziałby coś o obmywaniu świata i wypłukiwaniu z głowy siedzących w niej problemów i pytań.

Co oczywiście wcale nie znaczyło, że był pijakiem sympatyczniejszym od Billa, choć

właściwie nie widziała jeszcze Rebusa pijanego. Podejrzewała, że należy do kategorii usypiaczy, którzy wypijają, ile się da, potem tracą świadomość i padają bez względu na to, gdzie się akurat znajdują.

Kiedy zadzwonił telefon, nie spieszyła się z podniesieniem słuchawki.

– Jean? – odezwał się głos Rebusa.

– Cześć, John.

– Myślałem, że już poszłaś do domu.

– Zostałam dziś dłużej.

– Tak sobie pomyślałem, czy może...

– Dziś nie, John. Mam jeszcze mnóstwo rzeczy do zrobienia. – Ścisnęła sobie palcami grzbiet nosa.

– W porządku – powiedział, wyraźnie zawiedziony.

– A co z weekendem? Masz jakieś plany?

– No właśnie, chciałem ci o tym powiedzieć...

– Co takiego?

– Lou Reed jutro wieczorem w Playhouse. Mam dwa bilety.

– Lou Reed?

– Może być świetny, może być okropny. Ale jest tylko jeden sposób, żeby się przekonać.

– Od lat już go nie słyszałam.

– Myślę, że przez ten czas nie pobierał lekcji śpiewu.

– Pewnie nie. Fajnie, to idźmy.

– Gdzie się spotkamy?

– Rano muszę pochodzić po sklepach... Może w porze lunchu?

– Świetnie.

– Jeśli nie masz nic innego, to od tego możemy zacząć weekend.

– Bardzo mi to pasuje.

– I mnie też. Będę na zakupach w mieście... może uda nam się zdobyć stolik w Cafe St Honore?

– Czy to jest zaraz obok baru Oxford?

– Tak – odparła, uśmiechając się. Dla niej Edynburg stanowił mapę restauracji, dla niego był mapą pubów.

– Zadzwonię i zrobię rezerwację.

– Zamów na pierwszą. Jeśli będą jakieś trudności, daj mi znać.

– Nie będzie. Szef kuchni jest stałym bywalcem Ox.

Spytała go, co nowego w sprawie, a on coś niechętnie bąknął, potem jednak przyszło mu coś na myśl.

– Pamiętasz tego anatoma, o którym opowiadał Devlin?

– Którego? Kenneta Lovella?

– Tak. Przesłuchiwałem pewną studentkę medycyny, przyjaciółkę Philippy. I okazało się, że jest z nim spokrewniona.

– Naprawdę? – Jean starała się nie okazać zbytniego podniecenia. – Ma to samo nazwisko?

– Nie, nazywa się Claire Benzie. Jest z nim spokrewniona przez matkę.

Porozmawiali jeszcze przez chwilę, potem odłożyła słuchawkę i rozejrzała się wokół. Jej „gabinet” był małą klitką, w której mieściło się biurko, jedno krzesło, szafka na dokumenty i regał na książki. Do wewnętrznej strony drzwi przyczepiła kilka pocztówek, wśród których była też pocztówka ze sklepika przedstawiająca trumienki z Arthur’s Seat. Za drzwiami znajdowało się znacznie większe pomieszczenie zajmowane przez sekretarki i personel pomocniczy, obsługujący pracowników muzeum. W tej chwili było puste, wszyscy poszli już do domu. Gdzieś dalej w budynku pracowały sprzątaczkę i kręcił się strażnik, robiący obchód wszystkich sal. Już zdarzało jej się chodzić po muzeum w środku nocy i nigdy nie wywoływało to u niej żadnych emocji. Stara część muzeum ze swą ekspozycją wypchanych zwierząt nawet wpływała na nią kojąco. Był piątkowy wieczór i wiedziała, że w restauracji na najwyższym piętrze jest na pewno tłoczno. Restaurację obsługiwała oddzielna winda i osobny portier na dole, pilnujący, by goście nigdzie się nie rozchodzili.

Przypomniała sobie swoje pierwsze spotkanie z Siobhan i jej uwagę o „złych doświadczeniach”. Na pewno nie chodziło o jedzenie, choć czasami wysokość rachunków mogła przyprawić o atak serca. Zastanowiła się, czy się później nie skusić. Ceny po dwudziestej drugiej stawały się znacznie niższe i może znajdzie się dla niej jakieś miejsce. Położyła rękę na brzuchu. Jutro lunch... więc właściwie nic się nie stanie, jeśli dziś daruje sobie kolację. Poza tym nie była pewna, czy dotrwa tu aż do dziesiątej. Podjęte przez nią próby grzebania w życiu Lovella nie dawały jak dotąd żadnych efektów.

Kennet. Początkowo myślała, że to pomyłka, ale imię konsekwentnie się powtarzało. Kennet, nie Kenneth. Urodzony w 1807 roku w Coylton, w hrabstwie Ayrshire, co znaczyło, że w chwili stracenia Burke’a miał zaledwie dwadzieścia jeden lat. Oboje rodzice pracowali na roli, a jego ojciec przez jakiś czas zatrudniał nawet ojca Roberta Burnsa. Kennet skończył wiejską szkołę prowadzoną przez miejscowego pastora, wielebnego Kirkpatricka...

W sekretariacie był czajnik elektryczny. Wstała i przeszła do pomieszczenia obok. Zostawiła drzwi otwarte, tak, że jej cień kładł się na podłodze. Nie zapaliła nawet światła. Włączyła czajnik i opłukała pod kranem kubek. Torebka z herbatą i mleko w proszku. Stała w półmroku z założonymi rękami, opierając się lekko o blat. Przez otwarte drzwi widziała swoje biurko i leżące na nim fotokopie wszystkich wzmianek o Lovellu, jakie udało jej się odnaleźć. Doktor Kennet Lovell, który uczestniczył w sekcji zwłok mordercy i który pomagał w obdzieraniu ze

skóry trupa Williama Burke'a. Pierwsze badanie po wykonanej egzekucji przeprowadził w obecności wybranej grupki świadków doktor Monro. Wśród nich znaleźli się frenolog i rzeźbiarz, jak również filozof sir William Hamilton i chirurg Robert Liston. Potem nastąpiła publiczna sekcja zwłok w wypełnionym po brzegi audytorium uniwersyteckim. Głodni wiedzy i sensacji hałaśliwi studenci medycyny zebrali się wokół niczym stado sępów, ci zaś, którym nie udało się zdobyć kart wstępu, dobijali się do zamkniętych drzwi i wdawali w utarczki z policją.

Swoje poszukiwania oparła na opracowaniach historycznych: część z nich dotyczyła sprawy Burke'a i Hare'a, inne zajmowały się historią medycyny w Szkocji. Dział Historii Edynburga w Bibliotece Centralnej jak zwykle okazał się kopalnią wiedzy. Pomogła jej również znajoma zatrudniona w Bibliotece Narodowej. W obu bibliotekach wykonano dla niej fotokopie odpowiednich fragmentów. Odwiedziła także Dom Lekarza i skorzystała z tamtejszej biblioteki i bazy danych. O żadnym z tych ruchów nie informowała Rebusa, bo martwiła się, że historia trumienek z Arthur's Seat okaże się ślepą uliczką, na której Rebus przez swą ciągłą pogoń za urojeniami może się pogubić. Pod tym względem profesor Devlin miał rację: poddawanie się jakiejś obsesji może łatwo zamienić się w pułapkę, w którą się bezwiednie wpada. Wszystko to już należało do historii – i to historii dawnej, jeśli porównać to ze sprawą Philippy Balfour. Wydawało jej się, że to, czyjej zabójca znał historię trumienek z Arthur's Seat, czy jej nie znał, nie miało teraz większego znaczenia. Injakiem nie można było tego ustalić. Zabrała się do poszukiwań wyłącznie dla własnej satysfakcji i nie chciała w to włączać Johna. I bez tego miał już dość na głowie.

Usłyszała jakiś hałas w korytarzu, ale chwilę potem czajnik się wyłączył z cichym pstryknięciem i przestała o tym myśleć. Nalała wody do kubka, potem kilkakrotnie zanurzyła torebkę z herbatą i wyrzuciła ją do kubła. Wzięła kubek i wróciła do swojego pokoju, zostawiając drzwi otwarte.

Kennet Lovell przybył do Edynburga w grudniu 1822 roku w wieku zaledwie piętnastu lat. Nie wiedziała, czy przyjechał dyliżansem, czy przyszedł pieszo. W tamtych czasach przebywanie pieszo nawet znacznych odległości nie było niczym nadzwyczajnym, szczególnie gdy w grę wchodziły pieniądze. Jeden z historyków piszący o sprawie Burke'a i Hare'a wysnuwał tezę, że za podróż Lovella zapłacił wielebny Kirkpatrick, który dodatkowo zarekomendował go swemu przyjacielowi, doktorowi Knoxowi. Knox niedawno powrócił z zagranicznych wojaży, w ramach których był między innymi lekarzem wojskowym podczas bitwy pod Waterloo i studiował w Afryce i w Paryżu. Przez mniej więcej pierwszy rok pobytu w Edynburgu, młody Lovell zamieszkał w domu Knoxa, jednak gdy rozpoczął studia na uniwersytecie, ich drogi chyba się rozeszły i Lovell przeniósł się na stację w West Port...

Popijając herbatę, Jean przeglądała kolejne fotokopie. Brak było jakichś odsyłaczy czy indeksów, które pozwalałyby ustalić pochodzenie podawanych „faktów”. Mając na co dzień do

czynienia z wierzeniami i przesądami, wiedziała, jak trudno czasami oddzielić obiektywną prawdę od plew historycznych. Do druku często trafiały teorie oparte na plotkach i zmyśleniach. Pojawiały się też błędy i pomyłki, czasami groźne lub zgubne dla prawdy historycznej. Irytowało ją, że nie ma żadnego sposobu, by to wszystko zweryfikować, że jak dotąd, musi się opierać wyłącznie na opiniach innych. Historia Burke'a i Hare'a spowodowała, że pojawiło się wielu współczesnych im „ekspertów”, którzy swoją wersję uważali za jedynie rzetelną i prawdziwą.

Ale to wcale nie znaczyło, że musi im wierzyć.

Co gorsza, w dramacie Burke'a i Hare'a Kennet Lovell był jedynie statystą i wystąpił tylko w tej jednej ponurej scenie, a jego rola w historii edynburskiej medycyny była jeszcze mniej znacząca. W rezultacie jego biografia zawierała liczne luki. Skończywszy czytać, wiedziała właściwie tylko tyle, że Lovell ukończył studia i rozpoczął zarówno praktykę, jak i pracę dydaktyczną. Był obecny podczas sekcji zwłok Burke'a. Potem, trzy lata później, pojawił się nagle w Afryce, gdzie łączył jakże potrzebną pracę lekarza z chrześcijańską działalnością misjonarską. Nigdzie nie znalazła informacji, jak długo tam przebywał. W Szkocji pojawił się ponownie pod koniec lat czterdziestych XIX wieku i zaczął praktykę lekarską na Nowym Mieście, gdzie jego klientela wywodziła się zapewne z zamożnej warstwy tej enklawy. Jeden z historyków dowodził, że Lovell odziedziczył podstawową część swego majątku po wielebnym Kirkpatricku, „pozostając z duchownym w bliskich kontaktach dzięki regularnej korespondencji prowadzonej przez te wszystkie lata”. Jean chętnie by zajrzała do tych listów, jednak żadne z opracowań nie zawierało nawet cytatów. Zrobiła notatkę, że trzeba ich poszukać. Może uda się znaleźć jakieś ślady w parafii w Ayrshire albo w archiwum Domu Lekarza. Istniało jednak duże prawdopodobieństwo, że nie uda się ich nigdy odnaleźć – albo dlatego, że je zniszczono po śmierci Lovella wraz z resztą jego dobytku, albo wywieziono gdzieś za granicę. Ogromne ilości wszelkiej dokumentacji historycznej trafiły do zbieraczy w innych krajach – zwłaszcza w Stanach i Kanadzie – a wielu spośród tych zbieraczy to osoby prywatne, co oznaczało, że dane o zawartości ich kolekcji były niezwykle skąpe.

Wielokrotnie już zetknęła się z sytuacją, że nagle jakiś ślad się urywał i nie można było sprawdzić, czy dany list lub dokument w ogóle jeszcze istnieje, co było szczególnie deprymujące. A potem przypomniawszy sobie profesora Devlina i jego stół jadalny wykonany przez Lovella. Tegoż Lovella, który według słów Devlina był też stolarzem-amatorem... Raz jeszcze przejrzała swoje fotokopie, choć była pewna, że nigdzie w nich nie ma ani słowa o jego hobby. Albo Devlin był w posiadaniu jeszcze jakiejś innej książki czy innego dowodu, albo sam to wszystko zmyślił. Z taką sytuacją też się często spotykała: ludzie „po prostu wiedzieli”, że posiadany przez nich antyk należał kiedyś do księcia Karola Nadobnego lub do sir Waltera Scotta. Jeśli jedynym dowodem na poparcie tezy, że Kennet Lovell zajmował się stolarstwem okaże się wiara profesora Devlina, to wówczas cała teoria związana z podrzuceniem przez niego trumienek na Arthur's

Seat zaczęła się rozłazić w szwach. Odchyliła się do tyłu i poczuła złość do siebie. Tyle czasu poświęciła na ślęczenie nad tą sprawą w oparciu o założenie, które może okazać się zmyślone. Lovell wyjechał z Edynburga w 1832 roku; chłopcy natknęli się na trumienki na Arthur's Seat w czerwcu 1836 roku. Czy to w ogóle możliwe, by przez tyle lat nikt ich tam nie zauważył?

Wzięła coś z biurka i podniosła na wysokość oczu. Było to zdjęcie wykonane w Domu Lekarza – portret Lovella. Nie wyglądał na nim na człowieka wymęczonego pobytem w afrykańskim buszu. Cerę miał bladą i gładką, twarz miała młodzieńczy wygląd. Na odwrocie zdjęcia zapisała sobie ołówkiem nazwisko malarza. Wstała z miejsca, wyszła z pokoju, otworzyła drzwi do gabinetu szefa i zapaliła w nim światło. W jego podręcznej bibliotece znajdował się duży zbiór wszelkiego rodzaju katalogów i encyklopedii. Wzięła jeden z nich i otworzyła na stronie z notką biograficzną malarza nazwiskiem J. Scott Jauncey. „Działał w Edynburgu w latach 1825-1835” przeczytała, „malując głównie krajobrazy, niekiedy także portrety”. Potem na wiele lat przeniósł się do Europy, by na starość osiąść w Hove na południu Anglii. A zatem Lovell musiał mu pozować do portretu w jego wczesnym okresie edynburskim, zanim malarz rozpoczął podróże. Ciekawa była, czy pozowanie do portretu należało uznać za luksus, na który stać było tylko ludzi zamożnych. A potem pomyślała o wielebnym Kirkpatricku... może ten portret wykonano na jego zamówienie, tak by wysłany potem na zachodnie wybrzeże do Ayrshire mógł przypominać duchownemu jego podopiecznego?

Również i w tej sprawie jakieś ślady mogą tkwić w archiwum Domu Lekarza, gdzie być może odnotowano historię portretu przed jego przejęciem.

– W poniedziałek – powiedziała do siebie na głos. To może spokojnie poczekać do poniedziałku. Ma przed sobą weekend, na który się cieszyła... i koncert Lou Reeda, który trzeba będzie jakoś przeżyć.

Gasząc światło w gabinecie szefa, znów usłyszała dźwięk, tym razem znacznie bliżej. Drzwi do sekretariatu otworzyły się na oścież i rozbłysły wszystkie światła. Jean odruchowo zrobiła krok do tyłu i dopiero potem zobaczyła, że to tylko sprzątaczką.

– Wystraszyła mnie pani – powiedziała, kładąc rękę na piersi.

Sprzątaczką, milcząc, uśmiechnęła się, położyła na podłodze worek na śmieci i cofnęła do korytarza po odkurzacz.

– Mogę robić? – spytała.

– Tak, proszę – odparła Jean. – I tak już skończyłam.

Sprzątając swe biurko, zauważyła, że serce jej wciąż wali, a ręce lekko drżą. Na tyle nocnych spacerów po muzeum po raz pierwszy coś ją zaskoczyło i wystraszyło. Z fotografii portretu patrzył na nią Kennet Lovell. Wydawało jej się, że chyba tym razem Jauncey nie upiększył swego modelu. Lovell wyglądał młodo, to prawda, ale spojrzenie miał zimne, usta zaciśnięte i wyraz przebiegłości na twarzy.

– Wraca pani prosto do domu? – spytała sprzątaczką, opróżniając kosz na śmieci.
– Może tylko po drodze wstąpię po jakąś butelczynę.
– Trza se jakoś pomóc, nie?
– Coś w tym rodzaju – odparła Jean, a przed oczyma nieoczekiwanie stanął jej na moment obraz męża. A potem nagle coś sobie przypomniała i zawróciła do biurka. Wzięła długopis i do listy dopisała jeszcze jedno nazwisko.

Claire Benzie.

11

– O Jezu, ale było głośno – powiedział Rebus. Stali znów na chodniku przed Playhouse, a niebo, które przed koncertem było jeszcze jasne, teraz zupełnie pociemniało.

– Czy to znaczy, że nie chodzisz często na takie imprezy? – spytała. W uszach jej dzwoniło i wiedziała, że przez to mówi zbyt głośno.

– Dawno już nie byłem – przyznał. Na widowni była mieszanina młodzieży, podstarzałych punków i starych wyjadaczy w wieku Rebusa... może nawet ciut od niego starszych. Reed zagrał dużo nowych utworów, których Rebus w ogóle nie znał, ale w repertuarze znalazło się także kilka klasycznych staroci. Playhouse – chyba po raz ostatni był tu na UB40, gdzieś w czasach, gdy ukazał się ich drugi album. Wolał się nie zastanawiać, ile to już lat temu.

– Wstąpimy gdzieś na drinka? – zaproponowała Jean. Z przerwami pili właściwie całe popołudnie i wieczór. Zaczęło się od wina do lunchu i potem jednego szybkiego drinka w Ox. Następnie był długi spacer do Dean Village i przechadzka nad brzegiem Water of Leith. Doszli aż do samego Leith, z przerwami po drodze na przysiadanie na ławce i pogaduszki. Kolejne dwa drinki w pubie na Nabrzeżu. Zastanawiali się, czy przed koncertem nie wstąpić gdzieś na wczesną kolację, ale oboje czuli się jeszcze syci po lunchu w Cafe St Honore. Zawrócili i przez Leith Walk dotarli do Playhouse. Było jeszcze za wcześnie, wstąpili więc na jednego do pubu Conan Doyle, a potem zajrzeli do baru w samym Playhouse.

W którymś momencie Rebusowi wyrwała się uwaga, iż myślał, że będzie unikała alkoholu. Natychmiast tego pożałował, ale Jean wzruszyła tylko ramionami.

– Masz na myśli Billa? To nie w tym rzecz. To znaczy, może na niektórych to tak działa i albo sami zostają alkoholikami, albo przysięgają sobie nigdy nie tknąć ani kropli. Ale to nie wina alkoholu. Chodzi o tego, kto go pije. I przez całe życie z Billem wcale się sama nie umartwiałam. Nigdy mu nie powiedziałam kazań i nigdy sama nie przestałam popijać... a to dlatego, że alkohol nie jest dla mnie taki ważny. – Przerwała. – A dla ciebie?

– Dla mnie? – Rebus tak jak ona wzruszył ramionami. – Ja piję tylko dla dobrego samopoczucia.

– No i przy którym to zaczyna działać?

Roześmiali się oboje i zmienili temat. Ale teraz, parę minut po jedenastej w sobotni wieczór, cała ulica pulsowała alkoholem.

– Co proponujesz? – spytała Jean, a Rebus znacząco spojrzął na zegarek.

Znał mnóstwo barów, które można by odwiedzić o tej porze, ale do żadnego z nich nie chciał zabierać Jean.

– Wytrzymasz jeszcze trochę muzyki? – zapytał.

Wzruszyła ramionami.

– Jakiego rodzaju?

– Akustycznej. Tylko uprzedzam, że nie będzie gdzie usiąść.

Zastanowiła się.

– Czy to gdzieś po drodze do ciebie?

– Tak – kiwnął głową – to takie wyjątkowe miejsce, gdzie...

– Wiem, widziałam. – Spojrzała mu prosto w oczy. – No to jak... masz mnie zamiar poprosić?

– Chcesz zostać u mnie na noc?

– Chcę, żebyś mnie poprosił.

– Ale mam tylko materac na podłodze.

Roześmiała się i ścisnęła go za rękę.

– Specjalnie to robisz?

– Co?

– Próbujesz mnie zniechęcić?

– Nie, tylko... – Wzruszył ramionami. – Tylko nie chcę, żebyś...

Zamknęła mu usta pocałunkiem.

– Nie obawiaj się – powiedziała.

Przesunął dłoń po jej rękę i zatrzymał ją na ramieniu.

– Wciąż chcesz najpierw na drinka?

– Chyba tak. Jak to stąd daleko?

– Zaraz koło mostów. Pub nazywa się Royal Oak.

– Zatem prowadź.

Szli, trzymając się za ręce, a Rebus usilnie próbował opanować ogarniające go skrępowanie. Z niepokojem przyglądał się twarzom mijanych ludzi i sam nie był pewien, kogo bardziej obawiał się spotkać: kogoś z pracy czy dawnego przestępcę.

– Czy ty w ogóle potrafisz się rozluźnić? – spytała Jean w pewnej chwili.

– Zdawało mi się, że stwarzam niezłe pozory.

– Poczulałam to w czasie koncertu. Część ciebie przebywała zupełnie gdzie indziej.

– Tak to już jest w tej pracy.

– Nie sądzę. Na przykład Gill potrafi się wyłączyć. Myślę, że większość twoich kolegów z wydziału śledczego też.

– Może nie aż tak, jak ci się zdaje. – Pomyślał o Siobhan, która zapewne siedzi teraz samotnie w domu i gapi się w ekran laptopa... i Ellen Wylie, która siedzi gdzieś spięta i nabuzowana... i Hoodzie, który obłożony papierami próbuje się nauczyć na pamięć nazwisk i twarzy. A Farmer? Co on może teraz robić? Po raz setny przeciera szmatką czyste meble? Byli też oczywiście inni – Hi-Ho Silvers albo Joe Dickie – którzy po skończonej pracy nie musieli się

nawet wyłączać, bo nigdy się do niej nie włączali. Jeszcze inni, tacy jak Bill Pryde czy Bobby Hogan, pracowali uczciwie, ale wychodząc do domu, zostawiali pracę w biurze. Ci posiadli trudną sztukę oddzielania życia prywatnego od zawodowego.

I na końcu tej listy był on sam, od dawna stawiający pracę na pierwszym miejscu, głównie dlatego, że pozwalało mu to unikać stawiania twarzą w twarz z pewnymi faktami z jego życia osobistego.

Jean przerwała mu te rozmyślenia pytaniem, czy jest gdzieś po drodze jakiś nocny sklep.

– Oczywiście, nie jeden. A bo co?

– Śniadanie na jutro. Coś mi mówi, że twoja lodówka nie wygląda jak grota Aladyna.

W poniedziałek rano Ellen Wylie zasiadła przy swym biurku w budynku nazywanym przez wszystkich West Endem, pod którą to nazwą krył się posterunek policji na Torphichen Street. Uznała, że stąd łatwiej jej będzie podjąć działania, jako że było tu znacznie luźniej i spokojniej. W czasie weekendu miały miejsce dwa napady z użyciem ostrego narzędzia, jeden rabunkowy, trzy domowe awantury i jedno podpalenie... więc jej koledzy mieli co robić i tylko w przelocie spytali ją o sprawę Balfour. Ze szczególnym niepokojem czekała na moment, kiedy Reynolds i Shug Davidson – tworzący wyjątkowo wredny duet – skomentują jej telewizyjny występ, jednak nie powiedzieli ani słowa. Może nawet trochę jej współczuli, najpewniej jednak był to z ich strony wyraz swoistej solidarności. Nawet w tak niedużym mieście jak Edynburg istniała rywalizacja pomiędzy komisariatami. Więc jeżeli śledztwo w sprawie Balfour obryzgało głównym sierżant Ellen Wylie, to cały West End czuł się tym znieważony.

– Przenieśli cię, tak? – domyślił się Shug Davidson.

Pokręciła głową.

– Nie, mam jeden temat do rozpracowania. Ale tu mi będzie wygodniej.

– No tak, ale tu będziesz daleko od splendoru.

– Od czego?

Uśmiechnął się.

– Od rozgłosu, od sławnego śledztwa, od bycia w środku akcji.

– Za to tu jestem w środku West Endu – odparła – i to mi wystarczy.

Davidson skwitował to mrugnięciem, a Reynolds dał jej brawko. Uśmiechnęła się. Poczula, że znów jest w domu.

Przez cały weekend ją to dręczyło – to, jak ją odstawiono na boczny tor, wykopano z biura rzeczownika i wrzucono w strefę mroku, w której poruszał się inspektor Rebus. A potem kolejny kopniak i wpuszczenie jej w samobójstwo turysty sprzed wielu lat.

I dlatego podjęła tę decyzję: jeśli jej tam nie chcą, to ona ich też nie potrzebuje. Chętnie wróci na West End. Zabrała stamtąd wszystkie papiery i rozłożyła je teraz na swoim biurku,

którym nie będzie musiała się dzielić z nikim innym. I telefon też tu nie dzwoni bez przerwy, a Bill Pryde nie miota się z miejsca na miejsce z podkładką na dokumenty w ręku i gumą antynikotynową w ustach. Tutaj czuła się bezpieczna i tu mogła spokojnie dochodzić do wniosku, że znów traci czas na uganianie się za urojeniami.

Pozostawało jej tylko przekonać o tym Gill Templera.

Zaczęła całkiem udanie. Zadzwoiła na posterunek policji w Fort William i natknęła się na sympatycznego i uczynnego sierżanta nazwiskiem Donald Maclay, który doskonale pamiętał całą sprawę.

– To było w górnej partii zbocza Ben Dorchory – powiedział. – Ciało leżało tam już od kilku miesięcy. To bardzo niedostępne miejsce. Trafił tam przypadkiem chłopak z nagonki podczas polowania, inaczej ciało mogłoby tam jeszcze leżeć latami. Podjęliśmy wszystkie rutynowe czynności. Przy zwłokach nie było niczego, co pozwoliłoby je zidentyfikować. Kieszenie były puste.

– Nie miał nawet pieniędzy?

– Żadnych nie znaleźliśmy. Naszywki firmowe na ubraniu i na koszuli też nam nic nie dały.

Pytaliśmy w okolicznych pensjonatach i hotelach, sprawdzaliśmy wykazy osób poszukiwanych.

– A co z rewolwerem?

– Co mianowicie?

– Znaleźliście jakieś odciski?

– Po tak długim czasie? Nie, niczego nie znaleźliśmy.

– Ale sprawdziliście?

– O tak.

W czasie rozmowy Wylie robiła notatki.

– A proch?

– Słucham?

– Pytam o ślady prochu strzelniczego na skórze. Strzał był w głowę, tak?

– Zgadza się. Patolog nie znalazł śladów opalenia ani drobin prochu na skórze.

– Czy to trochę nie dziwne?

– W sytuacji, kiedy odstrzelił sobie pół głowy, a pozostałością żywiły się dzikie zwierzęta, to nie.

Wylie przestała pisać.

– Wyobrażam to sobie – powiedziała.

– Prawdę powiedziawszy nie przypominało to wcale zwłok, a bardziej straszdyło na wróble.

Skóra wyglądała jak pergamin. Tam w górach wieją często piekielne wiatry.

– I nie uznaliście, że śmierć nastąpiła w podejrzanych okolicznościach?

– Opieraliśmy się na wynikach sekcji.

– Moglibyście mi podesłać akta tej sprawy?

– Jak dostaniemy prośbę na piśmie, to oczywiście.

– Dzięki. – Postukała długopisem w biurko. – W jakiej odległości od ciała leżała broń?

– Mniej więcej sześć metrów.

– I uważacie, że mogło ją tam odwlec jakieś zwierzę?

– Tak. Albo zwierzę, albo odskoczyła pod wpływem odrzutu. Jak się przystawia spluwę do głowy i pociąga za spust, to musi być odrzut, prawda?

– Pewnie tak. – Zrobiła pauzę. – I co było dalej?

– Cóż, najpierw spróbowaliśmy zrekonstruować rysy twarzy, potem to rozesłaliśmy.

– No i?

– No i niewiele. Problem polegał na tym, że uważaliśmy go za kogoś znacznie starszego... człowieka po czterdziestce, więc portret to uwzględniał. Bóg raczy wiedzieć, skąd ci Niemcy się o tym dowiedzieli.

– Jego rodzice?

– Właśnie. Ich syn zaginął niemal rok wcześniej... może nawet jeszcze dawniej. Nagle dostaliśmy telefon z Monachium i początkowo nie mogliśmy się wcale dogadać. Ale wkrótce zjawili się u nas na posterunku z tłumaczem. Pokazaliśmy im ubranie i wtedy rozpoznali parę szczegółów... jego marynarkę i zegarek.

– Sądząc z tonu, zbyt to wtedy nie przekonało.

– I jeśli mam być szczery, to mnie nadal nie przekonuje. Ci ludzie przez rok stawali na głowie, żeby go odnaleźć. Ta zielona marynarka wyglądała zupełnie pospolicie, niczym specjalnym się nie wyróżniała. Podobnie jak zegarek.

– Podejrzewacie, że sami siebie oszukiwali, bo tak bardzo chcieli w to wierzyć?

– Tak, chcieli, żeby to był on. Ale ich syn miał zaledwie dwadzieścia lat... Nasi eksperci twierdzili, że mamy do czynienia z kimś dwukrotnie starszym. A potem wywęszyły to cholerne gazety i wszystko opisały.

– A skąd się wzięły te bajki o jakichś czarach i klątwach?

– Zaraz, przepraszam na chwilę.

Wylie usłyszała stuknięcie odkładanej słuchawki i głos Maclaya, przekazującego komuś instrukcje: „Jak tylko miniesz włóki... to zobaczysz szopę, z której Aly korzysta, gdy wynajmuje komuś łódź...” Wyobraziła sobie Fort William: spokojną rybacką wioskę z widocznymi na zachodzie wyspami. Tylko rybacy i turyści, a wokół głowy mewy i powietrze przesycone wonią morskich wodorostów.

– Przepraszam za przerwę.

– Dużo macie pracy?

– Och, tu zawsze się mnóstwo dzieje – odparł ze śmiechem, a Wylie pomyślała, że chętnie by

tam do niego dołączyła. Po skończonej rozmowie mogłaby zrobić spacer do portu, mijając po drodze te włóki. – To przy czym byliśmy? – zapytał.

– Przy czarach i klątwach.

– Po raz pierwszy przeczytaliśmy o tym w gazetach. To też spowodowali rodzice, bo opowiedzieli o tym jakiemuś reporterowi.

Wylie miała przed sobą fotokopię z gazety. Tytuł artykułu brzmiał: GRA KOMPUTEROWA WINNA TAJEMNICZEJ ŚMIERCI OD KULI W GÓRSKIM PUSTKOWIU? Autor: Steve Holly.

Jurgen Becker był dwudziestoletnim studentem, mieszkającym z rodzicami na przedmieściach Hamburga. Studiował na miejscowym uniwersytecie, na wydziale psychologii. Jako zagorzały miłośnik gier komputerowych był członkiem drużyny startującej w internetowej lidze międzyuczelnianej. Jego koledzy ze studiów zeznali, że w tygodniu poprzedzającym zniknięcie sprawiał wrażenie „spiętego i podenerwowanego”. Wychodząc z domu po raz ostatni, wziął ze sobą plecak. Zdaniem rodziców, wewnątrz znajdował się paszport, dwie zmiany odzieży, aparat fotograficzny, przenośny odtwarzacz płyt CD i kilkanaście kompaktów.

Oboje rodzice pracowali zawodowo – ojciec był architektem, matka wykładała na uczelni – jednak rzucili pracę, w całości poświęcając się poszukiwaniom syna. Ostatni akapit artykułu wydrukowano wyfluszczoną czcionką. „A teraz zrozpaczeni rodzice odnaleźli wreszcie syna. Jednak dla nich tajemnica jeszcze bardziej się zagmatwała. Jak to się stało, że Jurgen poniósł śmierć na jałowym pustkowiu w szkockich górach? Kto jeszcze z nim tam był? Do kogo należała broń?... I kto się nią posłużył, by pozbawić życia młodego studenta?”

– A ten plecak i jego zawartość nigdy się nie odnalazła? – spytała Wylie.

– Nigdy. Tyle że jeśli to nie on, to trudno się dziwić.

Wylie uśmiechnęła.

– Bardzo mi pomogliście, sierżancie Maclay.

– Przyślijcie prośbę na piśmie, to wam wyślę wszystko, co mamy w tej sprawie.

– Dzięki, zrobię to na pewno. – Zawiesiła głos. – W Edynburgu mamy jednego Maclaya.

Pracuje w sekcji śledczej w Craigmillar...

– Tak, to mój kuzyn. Spotkałem się z nim parę razy na jakichś ślubach i pogrzebach. Craigmillar to dzielnica, gdzie mieszkają sami bogacze?

– Tak wam powiedział?

– A co, lał wodę?

– Przyjeźdź kiedyś, kolego, to sam zobaczysz.

Wylie odłożyła słuchawkę i wybuchła śmiechem, po czym musiała Smugowi opowiedzieć dlaczego. W trakcie rozmowy podszedł do niej do biurka. Salka wydziału śledczego nie była zbyt duża: raptem cztery biurka i kilkoro drzwi wiodących do wnętrza zabudowanych szafami,

w których trzymali archiwum starych spraw. Shug wziął do ręki fotokopię artykułu i przeczytał w całości.

– Brzmi tak, jakby Holly wszystko to zmyślił – zauważył.

– Znasz go?

– Miałem już z nim parę zderzeń. Jego specjalnością jest rozdymanie wszystkiego.

Wzięła od niego artykuł. Istotnie, wszystkie jego uwagi na temat interaktywnych gier typu fantasy sformułowane były bardzo mgliście i upstrzone stwierdzeniami w trybie warunkowym: „być może”, „niewykluczone, że byłoby”, „o ile...”, „Jak się sądzi...”

– Muszę z nim pogadać – oświadczyła, biorąc znów do ręki słuchawkę. – Masz może jego numer?

– Nie, ale pracuje w edynburskim biurze gazety. – Davidson ruszył do swojego biurka. – Znajdziesz go w książce na żółtych stronach w rozdziale „kolonie trędowatych”...

Telefon komórkowy zadzwonił, kiedy Steve Holly był w drodze do pracy. Mieszkał na Nowym Mieście, ledwie trzy przecznice od miejsca, które w swoim reportażu nazwał niedawno „apartamentem tragicznej śmierci”. Nie znaczyło to oczywiście, że jego mieszkanie należało do tej samej kategorii, co mieszkanie Flipy Balfour. Mieszkał na najwyższym piętrze starej, nie zmodernizowanej kamienicy – jednej z niewielu, jakie jeszcze zostały na Nowym Mieście. Również nazwa ulicy, przy której mieszkał, nie kojarzyła się tak dobrze jak adres Flipy. Ale nawet tu z radością obserwował, jak teoretyczna wartość jego mieszkania błyskawicznie rośnie. Cztery lata wcześniej zdecydował, że chce zamieszkać w tej części miasta, jednak nawet wtedy ceny mieszkań w tych okolicach wykraczały poza jego możliwości. Na planach by się pewnie skończyło, gdyby nie wpadł na pomysł studiowania nekrologów w codziennych gazetach. Kiedy pojawiał się w nich jakiś adres z Nowego Miasta, natychmiast pędził tam z kopertą zaadresowaną do „Właściciela” i opatrzoną dopiskiem „PILNE”. Wewnątrz znajdował się krótki i zwięzły list, w którym informował adresata, że urodził się i wychował na tej właśnie ulicy i że od czasu wyprowadzenia się jego rodzinę spotykają same nieszczęścia. Ponieważ oboje rodzice już nie żyją, on sam chciałby powrócić i zamieszkać przy ulicy, która kojarzy mu się ze szczęśliwymi wspomnieniami z dzieciństwa, gdyby więc właściciel rozważył ewentualnie sprzedaż, to on...

Aż trudno uwierzyć, ale zadziało. Zmarła pewna staruszka, od dziesięciu lat przykuta do łóżka, i siostrzenica, będąca jej najbliższą żyjącą krewną, otrzymawszy list, zadzwoniła do Holly’ego jeszcze tego samego popołudnia. Natychmiast pojechał obejrzeć mieszkanie – czteropokojowe, dość cuchnące i zapuszczone, wiedział jednak, że takim rzeczom da się zaradzić. Niewiele brakowało, by wpadł na kłamstwie, gdy siostrzenica zapytała go, pod którym numerem kiedyś mieszkał. Udało mu się jednak tak zamotać, że się nie zorientowała. A potem wykonał swój stały numer: wszyscy agenci nieruchomości i notariusze to złodzieje, którzy tylko

patrzają, jakby zdrzeć z nich skórę... więc będzie dużo lepiej jeśli sami uzgodnią rozsądną cenę i nie dopuszczą żadnych pośredników.

Siostrzenica mieszkała w Borders i wyglądała na niezorientowaną w edynburskich cenach mieszkań. Dorzuciła nawet za darmo całe umeblowanie po staruszcze, za które Holly wylewnie podziękował, po czym, podczas pierwszego weekendu po przeprowadzce, w całości wyrzucił na śmietnik.

Gdyby zdecydował się je sprzedać dzisiaj, mógłby zainkasować równe sto tysięcy, czyli zupełnie niezłą sumkę. Nawiasem mówiąc, nie dalej jak dziś rano zastanawiał się nad wycięciem podobnego numeru z mieszkaniem po małej Balfour... tyle że coś mu mówiło, że jej rodzina będzie dokładnie znała rzeczywistą wartość tego mieszkania. Zatrzymał się w połowie drogi w górę Dundas Street i odebrał komórkę.

– Steve Holly przy telefonie.

– Panie Holly, tu detektyw sierżant Wylie, wydział śledczy policji okręgu Lothian i Borders.

Zaraz, Wylie? Próbował ją sobie umiejscowić. Ależ tak! Wylie od tej sławetnej konferencji prasowej.

– Tak, pani sierżant. Czym mogę służyć z samego rana?

– Chodzi mi o pański artykuł mniej więcej sprzed trzech lat... na temat śmierci niemieckiego studenta.

– Czy chodzi pani może o tego studenta z sześciometrowymi ramionami? – zapytał z uśmiechem. Stał przed wystawą niewielkiej galerii sztuki i skorzystał z okazji, by zajrzeć do środka, nie tyle interesując się obrazami, ile ich cenami.

– Tak, o tego – odparła.

– Nie chce mi pani powiedzieć, że złapaliście jego zabójcę?

– Nie.

– Więc co?

Zawahała się, a on zmarszczył czoło w oczekiwaniu.

– Być może natknęliśmy się na nowe dowody w sprawie...

– Co za nowe dowody?

– W chwili obecnej nie mogę panu wyjawić...

– Jasne, jasne. Niech pani wymyśli coś nowego, coś czego nie słyszę co drugi dzień. Wy zawsze chcecie coś za nic.

– A wy nie?

Odwrócił wzrok od wystawy akurat w porę, by dostrzec ruszającego spod świateł zielonego astona martina. Za dużo się ich nie widzi, więc to pewnie pogrążony w żałobie tatuś...

– A co to ma wspólnego ze śmiercią Philippy Balfour? – zapytał.

Po chwili milczenia Wylie zapytała:

– Słucham?

– To nie najlepsza odpowiedź, pani sierżant. Ostatni raz, kiedy panią widziałem, zajmowała się pani sprawą tej Balfour. Chce mi pani wmówić, że nagle dano panią do sprawy, która nie leży nawet na terenie okręgu Lothian i Borders?

– Ja...

– Tak, wiem. Pewnie nie wolno pani wyjawić co? W przeciwieństwie do mnie, bo mnie wolno mówić, co mi się żywnie podoba.

– I zmyślać, tak jak pan zmyślił tę historię o czarach i klątwach, tak?

– Niczego nie zmyślałem. Wszystko opowiedzieli mi jego rodzice.

– To, że lubił grywać w komputerowe gry, wierzę. Ale ten pomysł, że w Szkocji znalazł się w związku z jakąś dziwną grą...?

– Były to moje własne przemyślenia w oparciu o dostępne dowody.

– Ale przecież nie było żadnych dowodów na istnienie takiej gry?

– Szkockie pogórze pełne celtyckich bredni i mitów... czyli idealne miejsce, gdzie ktoś taki jak Jurgen może trafić. Wysyłają go tam w ramach jakiegoś zadania, tyle że na miejscu czeka wycelowany rewolwer.

– Wiem, czytałam pański artykuł.

– I w jakiś sposób wiąże się to z historią Philippy Balfour, tylko nie chce mi pani powiedzieć w jaki. – Holly oblizał wargi. Zaczynało mu się to podobać.

– No właśnie – odparła Wylie.

– Musiało to panią zboleć, co? – zapytał niemal z troską w głosie.

– Co takiego?

– To, że wycofali panią z biura prasowego. Ale to nie pani wina, prawda? Czasami jesteśmy jak banda dzikusów. Powinni lepiej panią przygotować. Chryste, ta Gill Templer siedziała przecież w biurze prasowym od stu lat... więc powinna wiedzieć.

Po stronie Wylie znów zapadło milczenie. Holly jeszcze bardziej złagodniał.

– A na dokładkę powierzają to stanowisko jakiemuś żółtodziobowi i posterunkowemu! Posterunkowy Grant Hood! To ci dopiero wybitna postać. Najbardziej nadęty, zarozumiały palant, jakiego w życiu widziałem. Więc jak mówię, musiało to panią niezłe zboleć. I co z panią robią, pani sierżant? Zsyłają panią w dzicz i teraz musi się pani zwracać do reportera – do kogoś z wrogiego obozu – żeby pani pomógł się z tego wykaraskać.

Myślał, że zdążyła się rozłączyć, jednak po chwili usłyszał coś na kształt westchnienia.

Oho, dobry jesteś, Stevie, mój chłopcze, pomyślał w duchu. Pewnego dnia będziesz miał i dobry adres na wizytówce, i dobre obrazy na ścianach, a ludzie będą się tylko gapić...

– Pani sierżant?

– Co?

– Przykro mi, jeśli sprawiłem pani ból. Ale może powinniśmy się spotkać. Myślę, że mógłbym coś wymyślić, żeby pani pomóc, choć odrobinę.

– W jaki sposób?

– Dopiero, kiedy się zobaczymy.

– Nie, teraz. – Głos jej nieco stwardniał. – Niech pan powie teraz.

– No cóż... – Holly obrócił twarz do słońca. – Powiedzmy, że ta sprawa, nad którą pani pracuje, jest... poufna, prawda?

– Nabrał powietrza. – Proszę nie odpowiadać. Oboje znamy odpowiedź. I powiedzmy, że ktoś... dajmy na to jakiś dziennikarz... dowiaduje się szczegółów. Szefowie natychmiast chcą wiedzieć, skąd się o tym dowiedział, i wie pani, kogo w pierwszej kolejności biorą pod lupę?

– Kogo?

– Rzecznika prasowego, detektywa posterunkowego Granta Hooda. Bo to on ma dostęp do mediów. A jeśli dodatkowo ten przykładowy dziennikarz – ten, do którego trafił przeciek – dałby do zrozumienia, że jego źródło informacji nie jest oddalone o tysiące kilometrów od biura prasowego... przepraszam, pewnie wszystko to brzmi w pani uszach dość perfidnie. Pewnie nie ma pani ochoty patrzeć, jak coś obryzguje świeżo wykrochmaloną koszulę kolegi Hooda albo jak gromy spadają na głowę pani komisarz Templer. Tylko że jak już czasami wpadnę na jakiś pomysł, to go muszę doprowadzić do końca. Rozumie pani, o czym mówię?

– Tak.

– Więc mimo wszystko moglibyśmy się jednak spotkać. Całe dzisiejsze przedpołudnie jestem wolny. Wprowadzie wszystko już pani powiedziałem o tym chłoptasiu z gór, ale i tak moglibyśmy pogadać...

Rebus musiał stać przed jej biurkiem od dobrej pół minuty, nim w ogóle zdała sobie z tego sprawę. Siedziała ze wzrokiem wbitym w papiery leżące na biurku, jednak Rebus pomyślał, że ich w ogóle nie widzi. A potem napatoczył się nagłe Shug Davidson, klepnął Rebusa w plecy, mruknął: „Dobry, John” i dopiero wtedy Wylie uniosła głowę.

– Aż taki okropny weekend? – zapytał Rebus.

– Co ty tu robisz?

– Szukam ciebie, chociaż zaczynam mieć wątpliwości, czy potrzebnie.

Postarała wziąć się w garść, przeczesła sobie palcami włosy i bąknęła nawet coś na kształt przeprosin.

– Więc co, zgadłem? Weekend był nieudany?

Znów pojawił się Dayidson, przechodzący obok z plikiem papierów w dłoni.

– Jeszcze dziesięć minut temu była wesola. – Zatrzymał się. – Czy to przez tego kutasa Holly’ego?

- Nie – odparła Wylie.
- A ja się założę, że tak – rzucił Davidson i ruszył w dalszą drogę.
- Steve Holly? – zapytał Rebus.

Wylie postukała palcem w fotokopię artykułu.

- Musiałam z nim pogadać.

Rebus pokiwał głową.

- Tylko radzę ci, Ellen, uważaj na niego.
- Dam sobie radę, nie bój się.

Rebus, nie przestając kiwać głową, powiedział:

- No i tak jest dużo lepiej. A teraz, czy masz ochotę wyświadczyć mi przysługę?
- Zależy co?

– Pomyślałem sobie, że dostaniesz kota od tej historii niemieckiego studenta... Czy to dlatego przeniosłaś się na West End?

– Uznałam, że tu będę miała więcej spokoju. – Rzuciła długopis na biurko. – Ale wygląda na to, że się myliłam.

– Przyjechałem, żeby ci zaproponować coś ciekawszego. Muszę przeprowadzić parę przesłuchań i potrzebny mi ktoś drugi.

- Kogo chcesz przesłuchiwać?
- Davida Costello i jego ojca.
- I dlaczego mnie to proponujesz?
- Zdawało mi się, że już to wyjaśniłem.
- Robisz za dobroczyńcę?

Rebus westchnął.

- Jezu, Ellen, czasami naprawdę ciężko się z tobą dogadać.

Spojrzała na zegarek.

- O wpół do jedenastej mam spotkanie.

– Ja też: wizytę u lekarza. Ale to długo nie potrwa. – Zawiesił głos. – Słuchaj, jeżeli nie chcesz, to...

- W porządku – powiedziała. – Może rzeczywiście masz rację.

Ale chyba już za późno, dopowiedział sobie w duchu Rebus. Sprawiała wrażenie, jakby odeszła jej woła walki. Sądził, że wie dlaczego, ale wiedział też, że niewiele może zrobić.

- Świetnie – odparł.

Reynolds i Davidson obserwowali całą scenę zza swych biurka.

- Popatrz, Shug – mruknął Reynolds. – Duet Dynamit na występach!

Ellen sprawiała wrażenie, jakby nie miała siły wstać z krzesła.

Wprowadził ją w szczegóły w czasie jazdy samochodem. O nic nie pytała i zdawała się bardziej interesować przechodniami na chodnikach niż jego opowieścią. Rebus postawił saaba na parkingu hotelowym i ruszył do hotelu. Wylie szła kilka kroków za nim.

Hotel Caledonian – ogromna budowla z czerwonej cegły na zachodnim krańcu Princess Street, przez edynburszyków zwana pieszczotliwie Caley – stanowił prawdziwą instytucję w życiu miasta. Rebus nie miał pojęcia, ile kosztuje wynajęcie pokoju. Raz zdarzyło mu się jeść w tutejszej restauracji, jeszcze z żoną i parą jej przyjaciół, którzy spędzali w Edynburgu miesiąc miodowy. Przyjaciele uparli się, że rachunek za kolację dopiszą do swego rachunku hotelowego, tak że nie miał okazji poznać ostatecznej kwoty. Przez cały tamten wieczór wiercił się niespokojnie, będąc akurat w trakcie kolejnej sprawy i chcąc jak najprędzej do niej powrócić. Rhona zdawała sobie z tego sprawę i praktycznie wyłączyła go z rozmów przy stole, które obracały się wokół wspomnień jej i przyjaciół. Młodzi małżonkowie trzymali się za ręce w przerwach między daniami, a chwilami nawet podczas jedzenia. A obok nich Rhona i Rebus niemal sobie obcy, małżeństwo w stanie ostatecznego rozkładu...

– Teraz widzisz, jak żyje ta druga połowa – powiedział Rebus do Wylie, czekając, aż recepcjonistka zaanonsuje ich państwu Costello. Rebus zadzwonił wcześniej do mieszkania Davida Costello, ale nikt się nie odezwał. Popytał wtedy w biurze i dowiedział się, że państwo Costello przylecieli do Edynburga w niedzielę wieczorem i ich syn spędza z nimi cały dzień.

– Chyba nigdy tu w środku nie byłam – odparła Wylie. – Ale w końcu to tylko hotel.

– Nie byliby zachwyceni, gdyby to usłyszeli.

– Ale to przecież prawda, nie?

Rebus odnosił wrażenie, że Wylie myślami jest zupełnie gdzie indziej, a słowami jedynie wypełnia pustkę. Recepcjonistka uśmiechnęła się do nich.

– Pan Costello państwa oczekuje.

Podawała im numer pokoju i wskazała drogę do wind. Zjawił się portier w liberii, ale jeden rzut oka na Rebusa powiedział mu, że nie ma tu czego szukać. Kiedy winda zaczęła bezszelestnie sunąć do góry, Rebusowi przypomniała się piosenka *Bell-Boy*, pełna warczenia i jęków Keitha Moona.

– Co pogwizdujesz? – spytała Wylie.

– Mozarta – skłamał Rebus, a ona kiwnęła głową, jakby rozpoznawała utwór.

Pokój nie był pokojem, tylko apartamentem z wewnętrznymi drzwiami łączącymi go z apartamentem sąsiednim. Nim pan Costello zdążył je zamknąć, Rebusowi mignęła za nimi sylwetka Theresy Costello. Salonik był niewielki: kanapa, dwa fotele, niski stolik, telewizor... Z saloniku prowadziły drzwi do sypialni, a z korytarzyka było wejście do łazienki. Rebus czuł w powietrzu zapach mydła i szamponu mieszający się z wonią obecną czasami w nie przewietrzanych pomieszczeniach hotelowych. Na stoliku stał kosz z owocami i siedzący obok

David Costello zajęty był właśnie jedzeniem jabłka. Zdążył się ogolić, ale włosy miał brudne, przetłuszczone i posklejane w strąki. Miał na sobie wyglądający na nowy szary T-shirt i nowe czarne dżinsy. Nie wiadomo, czy przez zapomnienie, czy celowo, sznurowadła obu tramppek na jego stopach były rozwiązane.

Thomas Costello był niższy, niż go sobie Rebus wyobrażał, a chodząc, kręcił ramionami jak bokser. Miał na sobie fioletową koszulę rozpiętą pod szyją i ciemne spodnie podtrzymywane jasnoróżowymi szelkami.

– Prosimy, prosimy – powiedział. – Siadajcie państwo. – Wskazał ręką kanapę. Mimo to Rebus wybrał fotel, a Wylie została na stojąco. Costello nie pozostało nic innego jak samemu zasiąść na kanapie, co też uczynił, rozkładając ramiona na jej oparciu. Nie na długo, bo sekundę później złożył je razem i wydając jedno głośnie klaśnięcie, wykrzyknął, że trzeba się czegoś napić.

– My dziękujemy, panie Costello – oświadczył Rebus.

– Na pewno? – Costello spojrzał pytająco na Ellen, która z wysiłkiem wolno pokręciła głową.

– No to skoro tak... – Costello senior ponownie szeroko rozłożył ręce na oparciu kanapy. – To czym możemy państwu dzisiaj służyć?

– Przykro nam, że musimy panu zawracać głowę w takim momencie – powiedział Rebus i rzucił okiem na Davida, który co do okazywanej obojętności mógł walczyć o palmę pierwszeństwa z Ellen Wylie.

– Doskonale to rozumiemy, panie inspektorze. Ma pan swoje obowiązki, a my wszyscy chcemy pomóc w złapaniu tego bydlaka, który zrobił coś takiego Phillipie. – Mówiąc to, Costello zacisnął pięści na dowód, że jest gotów osobiście policzyć się z tym zbirem. Twarz miał niemal szerszą niż dłuższą, a włosy na głowie były przycięte krótko i zaczesane gładko do tyłu. Mówiąc, lekko mrużył oczy i Rebus pomyślał, że pewnie używa soczewek kontaktowych i wciąż pilnuje, by mu nie wypadały.

– Mamy tylko kilka pytań uzupełniających do syna, panie Costello...

– Macie coś przeciwko temu, że się będę przysłuchiwał?

– Zupełnie nie. Może nawet będzie pan nam mógł w coś pomóc.

– No to zaczynajmy. – Odwrócił gwałtownie głowę. – Davey! Słuchasz?

David Costello w milczeniu kiwnął głową i ugryzł kolejny kęs jabłka.

– A więc scena należy do pana, inspektorze.

– No cóż, w takim razie zacznę od kilku pytań do Davida. – Rebus urządził całe przedstawienie z wyciąganiem i wertowaniem notesu, choć pytania miał gotowe w głowie i nie sądził, by trzeba było notować odpowiedzi. Wiedział jednak także, że widok wyciągniętego notesu czasami czyni cuda, świadkowie mają bowiem zwykle skłonność do wierzenia w słowo

pisane: jeżeli coś zostało zapisane w notesie to znaczy, że zostało to zapewne wcześniej sprawdzone. A ponadto, kiedy widzą, że ich odpowiedzi są notowane, bardziej się skupiają lub przeciwnie, dają się ponieść i zaczynają wszystko z siebie wyrzucać.

– Na pewno nie chce pani usiąść? – spytał raz jeszcze Costello, zwracając się do Wylie i klepiąc dłonią kanapę obok siebie.

– Tu mi dobrze – odparła chłodno, jednak ta krótka wymiana zdań spowodowała, że efekt został zaprzepaszczony. David Costello wyglądał na zupełnie nie przejętego widokiem notesu.

– Niech pan strzela – rzucił w kierunku Rebusa.

Rebus nie dał się prosić, wycelował i wypalił.

– David, pytaliśmy cię już o tę grę internetową, w którą naszym zdaniem Flipa grała...

– Tak.

– I powiedziałeś wtedy, że nic ci o niej nie wiadomo i że ty sam nie jesteś miłośnikiem gier komputerowych.

– Tak.

– Ale teraz dowiadujemy się, że za czasów szkolnych byłeś prawdziwym specem od *Dungeons & Dragons*...

– Pamiętam – wtrącił Thomas Costello. – Ty i twoi koledzy całe dni i noce spędzaliście w twoim pokoju. – Uniósł wzrok na Rebusa. – Nie uwierzy pan, panie inspektorze, dosłownie całe noce.

– Słyszałem, że takie nocne sesje zdarzają się nawet dorosłym mężczyznom – powiedział Rebus. – Wystarczy talia kart do pokera i odpowiednio duża pula...

Costello skwitował to porozumiewawczym uśmiechem: „My hazardziści to rozumiemy”.

– Kto panu powiedział, że byłem „specem”?

– Wyszło w rozmowach z innymi – odparł Rebus, wzduszając ramionami.

– No więc nie byłem. Całe to szaleństwo z D&D trwało może miesiąc.

– W czasach szkolnych Flipa też w to grywała. Wiedziała o tym?

– Chyba nie.

– Przecież coś by ci powiedziała, prawda? Skoro oboje się tym zajmowaliście.

– Kiedy się poznaliśmy, to już nie. Chyba nigdy o tym nie rozmawialiśmy.

Rebus spojrzał Davidowi prosto w oczy. Były przekrwione i mocno podkrążone.

– Wobec tego, jakim cudem mogła o tym wiedzieć przyjaciółka Flipy, Claire?

Młodzieniec parsknął pogardliwie.

– To ona panu powiedziała? Ta cholerna krowa Claire?

Thomas Costello uspokajająco cmoknął na syna.

– Kiedy to prawda. Zawsze próbowała nas skłócić, udając „przyjaciółkę”.

– Nie lubiła cię?

David przez chwilę się zastanawiał.

– Myślę, że to bardziej polegało na tym, że nie mogła ścierpieć widoku szczęśliwej Flipy. Ale kiedy to Flipie powiedziałem, to w twarz mi się roześmiała. Ona tego nie dostrzegała. O ile wiem, między jej rodziną a rodziną Claire coś zaszło i wydaje mi się, że Flipa miała coś w rodzaju poczucia winy. Claire wszystko było wolno...

– Dlaczego nam o tym nie powiedziałeś wcześniej?

David spojrzął na Rebusa i roześmiał się.

– Bo Claire nie zabiła Flipy.

– Nie?

– Chryste, chyba nie chce pan powiedzieć... – Potrząsnął głową. – Kiedy mówię, że Claire była podła, to mam na myśli jej różne intrygi... ale tylko słowne. – Po chwili dodał: – Ale może ta cała gra też tylko na tym polegała. Do tego pan zmierza?

– Niczego nie przesądzamy ani nie wykluczamy – odparł Rebus.

– Jezu, Davey – odezwał się ojciec Davida – jeżeli jest coś, co masz do powiedzenia tym funkcjonariuszom, to zrób to teraz!

– Na imię mi David! – warknął młodzieniec z naciskiem. Ojciec zrobił wściekłą minę, ale nie odezwał się już ani słowem. – Nadal uważam, że to nie Claire – dodał, zwracając się do Rebusa.

– A jak z matką Flipy? – spytał Rebus. – Jak się układało między wami?

– W porządku.

Rebus pozwolił, by na chwilę zapadła cisza, potem powtórzył za Davidem jego słowa, dodając tylko znak zapytania.

– Wie pan, jak matki traktują córki – dodał David. – Chcą je chronić przed wszystkim.

– I wiedzą, co robią, prawda? – Thomas Costello mrugnął porozumiewawczo do Rebusa, który z kolei spojrzął na Wylie, sprawdzając, czy może na to zareaguje. Wylie wpatrzona w okno nawet nie drgnęła.

– Chodzi o to – powiedział Rebus cicho – że mamy informacje, iż nie wszystko było w porządku i że zdarzały się wam scysje.

– Jak to? – zapytał Thomas Costello.

– Może niech David sam odpowie – odparł Rebus.

– No to jak, David? – Costello zwrócił się do syna. – Nie mam pojęcia, o czym on mówi.

– Mówię o tym – odezwał się Rebus, udając, że sprawdza coś w notesie – że pani Balfour uważała, że masz zły wpływ na Flipę i że ją buntujesz.

– Chyba nieuważnie pan słuchał i źle ją pan zrozumiał – odezwał się Thomas Costello i ponownie zwinął dłonie w pięści.

– Nie sądzę, proszę pana.

– Niech pan pomyśli, przez co ona musiała przejść... pewnie sama nie wie, co mówi.

– Sądzę, że dobrze wiedziała – Rebus nie spuszczał wzroku z Davida.

– To prawda – powiedział w końcu David, który zdążył tymczasem zapomnieć o jabłku. Nadgryzione tkwiło w jego dłoni, a biały miąższ zaczynał powoli brązowieć. Ojciec spojrział na niego pytająco. – Jacqueline wbiła sobie do głowy, że ja podsuwam Flipie jakieś dziwne pomysły.

– Co za pomysły?

– Że miała nieszczęśliwe dzieciństwo. Że źle zapamiętała swoje wspomnienia.

– A tak nie było? – zapytał Rebus.

– Kiedy to sama Flipa, nie ja – odparł David. – To ją nawiedzał ten sen. Śniło jej się, że znów jest w Londynie, w ich starym domu, i że biega po schodach tam i z powrotem i próbuje przed czymś uciec. Ten sam sen powtarzał jej się niemal co noc przez jakieś dwa tygodnie.

– I co zrobiliście?

– Pogrzebałem w paru książkach i powiedziałem jej, że to może mieć związek z jakimiś jej wspomnieniami, stłumionymi i tkwiącymi w podświadomości.

– Nic z tego nie rozumiem – stwierdził Thomas Costello, a syn zwrócił ku niemu głowę.

– Chodzi o jakieś złe wspomnienie, które umysł celowo wyrzuca z pamięci i nie pozwala o tym myśleć. Pamiętam, że pomyślałem wtedy, że jej nawet zazdrozczę. – Przez chwilę patrzyli na siebie w milczeniu, a Rebus pomyślał, że chyba chłopaka rozumie. Dorastanie pod okiem Thomasa Costello nie mogło należeć do rzeczy łatwych. Może w tym tkwiła przyczyna jego nastoletnich ekscesów...

– I nigdy ci nie powiedziała, co to mogło być? – zapytał Rebus.

David potrząsnął głową.

– Pewnie nic takiego. Sny można tłumaczyć na wiele różnych sposobów.

– A Flipa wierzyła w to wyjaśnienie?

– Przez jakiś czas tak.

– I powiedziała o tym matce?

David pokiwał głową.

– Tak, a matka winą obarczyła mnie.

– A to cholerna baba – warknął Thomas Costello i przetarł dłonią czoło. – Tylko że ona tyle ostatnio przeszła, tyle przeszła...

– To wszystko działa się, zanim Flipa zniknęła – przypomniał Rebus.

– Nie o to mi chodzi. Chodzi mi o bank Balfour – mruknął Costello. Złość na syna wciąż w nim buzowała.

Rebus zmarszczył brwi.

– A o co chodzi z bankiem?

– W Dublinie jest mnóstwo ludzi z pieniędzmi. Więc słyszy się różne rzeczy.

– O banku Balfour?

– Sam nie bardzo to wszystko rozumiem: przekroczona granica bezpieczeństwa... indeks płynności gotówkowej... dla mnie to tylko słowa...

– Twierdzi pan, że bank Balfour ma kłopoty?

Costello pokręcił przecząco głową.

– Nie, ale mówi się, że jak szybko nie zmienią polityki, to mogą wpaść w tarapaty. Podstawowy problem bankowości polega na tym, że wszystko opiera się na zaufaniu, prawda? Kilka negatywnych opinii może wyrządzić ogromne szkody...

Rebus odnosił wrażenie, że Costello nie miał zamiaru o tym mówić i dopiero pretensje pani Balfour pod adresem syna zmieniły to postanowienie. Rebus zrobił sobie pierwszą notatkę z rozmowy: „sprawdzić bank Balfour”.

Rebus też odszedł od pierwotnego zamiaru. Początkowo chciał poruszyć sprawę dzikich ekscesów ojca i syna w Dublinie, jednak teraz David wyglądał na mocno uspokojonego i jego młodzieńcze szaleństwa należały już chyba do przeszłości. A jeśli chodzi o ojca, Rebus był już świadkiem jego wybuchów złości i pomyślał, że więcej przykładów mu nie potrzeba. W saloniku zapadła cisza.

– To co, czy to już wszystko, panie inspektorze? – spytał Costello, który ostentacyjnie wyciągnął z kieszonki w spodniach wielki kieszonkowy zegarek, otworzył go i ponownie zatrzasnął.

– Mniej więcej – przyznał Rebus. – Czy wiecie panowie, kiedy będzie pogrzeb?

– W środę – odparł Costello.

W przypadku śledztwa w sprawie morderstwa często bywało tak, że z pogrzebem ofiary zwlekano możliwie jak najdłużej w nadziei, że na światło dzienne wyjdą jeszcze jakieś nowe ślady. Rebus pomyślał, że widać w tym przypadku pociągnięto za właściwe sznurki: John Balfour wie, jak postawić na swoim.

– To będzie pogrzeb na cmentarzu?

Costello potwierdził, a Rebus pomyślał, że to dobrze. W przypadku kremacji, w razie potrzeby nie da się już ekshumować zwłok...

– No cóż, jeśli nie macie już nic do dodania od siebie...?

Nie mieli i Rebus podniósł się z miejsca.

– Wszystko w porządku, pani sierżant? – zapytał.

Wylie wyglądała jak wyrwana ze snu.

Costello uparł się, że ich odprowadzi do drzwi i obojgu potrząsnął rękę na pożegnanie. David nie ruszył się z miejsca. Gdy Rebus żegnał się z jego ojcem, ręka z jabłkiem znów powędrowała do ust.

Wyszli na korytarz i usłyszeli zatrzasnąte się za nimi drzwi. Stali przez chwilę

w milczeniu, jednak spoza drzwi nie dochodziły żadne dźwięki. Zauważył, że sąsiednie drzwi są lekko uchylone, a w szparze pojawiła się głowa Theresy Costello.

– Wszystko w porządku? – spytała, zwracając się do Ellen Wylie.

– Wszystko w porządku, proszę pani – odparła Wylie.

Zanim Rebus zdołał coś powiedzieć, drzwi się zatrzasnęły. Mógł się tylko zastanawiać, czy Theresa Costello naprawdę jest tak zgnębiona, czy tylko tak wygląda...

W windzie zaproponował Wylie, że ją odwiezie do biura.

– Nie trzeba – odparła. – Przejdę się.

– Na pewno? – Kiwnęła głową, a on rzucił okiem na zegarek. – Masz to spotkanie o wpół do jedenastej? – domyślił się.

– Zgadza się – odpowiedziała, a głos jej się załamał.

– No cóż, dziękuję za pomoc.

Zamrugła, jakby nie rozumiejąc sensu tych słów. Stojąc w holu hotelowym, obserwował, jak idzie w stronę drzwi obrotowych. Chwilę później wyszedł za nią na ulicę. Trzymając torebkę przy piersiach, niemal biegiem przedzierała się na drugą stronę Princess Street. Potem ruszyła wzdłuż domu towarowego Frasera w kierunku Charlotte Square, gdzie mieściła się siedziba banku Balfour. Był ciekaw, dokąd zmierza: George Street, a może Queen Street? W stronę Nowego Miasta? Mógł pójść za nią i się dowiedzieć, nie sądził jednak, by ją to jego wścibstwo ucieszyło.

– A co mi tam – mruknął pod nosem i ruszył w kierunku przejścia. Musiał odczekać na zmianę świateł i ujrzał ją ponownie dopiero po dojściu do Charlotte Square. Była już po drugiej stronie placu i szła różnym krokiem. Nim dotarł do George Street, stracił ją z oczu. Uśmiechnął się do siebie: co z ciebie za detektyw? Przeszedł do Castle Street, potem zawrócił. Mogła wejść do jednego ze sklepów albo do którejś kawiarni. No i bardzo dobrze, pomyślał. Wrócił na parking i wsiadł do saaba.

Wiedział, że ludzie czasami zmagają się ze swymi osobistymi demonami i podejrzewał, że Ellen Wylie do takich należy. Miał w tej sprawie dużo do powiedzenia. W końcu, nie ma to jak osobiste doświadczenia.

Po powrocie na St Leonard's zadzwonił do znajomego dziennikarza zatrudnionego w dziale ekonomicznym niedzielnej gazety.

– Jaką opinią cieszy się Balfour? – zapytał, nie bawiąc się w żadne wstępki.

– Rozumiem, że chodzi ci o bank?

– Tak.

– A coś słyszałeś?

– Po Dublinie krążą plotki.

Dziennikarz zachichotał.

– Mój Boże, plotki. Gdzie by świat bez nich był?

– Więc nic się nie dzieje?

– Tego nie powiedziałem. Na papierze Balfour jest zdrow jak zawsze. Ale każdy papier ma margines, na który różne liczby da się wyrzucić.

– No i?

– No i ich półroczna prognoza została skorygowana w dół. Nie na tyle, żeby wystraszyć wielkich inwestorów, ale bank Balfour to cała rodzina mniejszych inwestorów. A tacy mają skłonności do hipochondrii.

– I co z tego wynika, Terry?

– Balfour powinien przetrwać, nawet jeśli dojdzie do wrogiego przejęcia. Ale jeśli bilans na koniec roku będzie wyglądał nieciekawie, to można oczekiwać, że polecą czyjeś głowy.

Rebus zamyślił się.

– I wtedy, czyja głowa byłaby zagrożona?

– Myślę, że pewnie Ranalda Marra. Choćby tylko po to, żeby pokazać, że Balfour ma dość determinacji i bezwzględności niezbędnych w dzisiejszych czasach.

– I że nie kieruje się sentymentem do starych przyjaciół?

– Bo tak naprawdę dla sentymentów nigdy nie było miejsca.

– Dzięki Terry. Wielki gin z tonikiem już na ciebie czeka w Ox.

– Może tam dość długo poczekać.

– A co, zostałeś abstynentem?

– Z polecenia lekarza. Jesteśmy już do odstrzału, jeden po drugim.

Przez chwilę jeszcze Rebus poużalał się nad losem kolegi, cały czas myśląc o własnej wizycie u lekarza, której terminu znów nie dotrzymał, i to z powodu tej właśnie rozmowy telefonicznej. Odłożył słuchawkę i wpisał do notesu nazwisko Marr, a potem zakreślił je kółkiem. Ranald Marr z jego maserati i zabawą żołnierzami. I zachowujący się tak, jakby to on dopiero co stracił córkę... Rebus pomyślał jednak, że może trzeba będzie tę opinię zrewidować. Był ciekaw, czy Marr zdaje sobie sprawę z niebezpieczeństwa, jakie nad nim zawisło; z tego, że wystarczy, by zdeponowane w ich banku oszczędności dostały kataru, a wystraszeni inwestorzy mogą zażądać złożenia kogoś w ofierze...

Potem wrócił myślą do Thomasa Costello, człowieka, który przez całe swe życie nie musiał pracować. Jak to jest być kimś takim? Rebus nie umiał nawet wyobrazić sobie odpowiedzi na to pytanie. Jego rodzice byli zawsze biedni i nigdy nie dorobili się nawet własnego domu. Kiedy zmarł jego ojciec okazało się, że zostawił im do podziału z bratem czterysta funtów. Koszty pogrzebu pokryto z polisy ubezpieczeniowej. Pamiętał, że już wtedy, siedząc w gabinecie dyrektora banku i chowając do kieszeni swoją część odziedziczonej kwoty, nie mógł się uwolnić od myśli, że połowa oszczędności całego życia jego rodziców równała się jego tygodniowemu

zarobkowi.

Teraz sam miał już jakieś oszczędności w banku: właściwie nie bardzo miał na co wydawać swą miesięczną pensję. Mieszkanie było w całości spłacone, Rhona i Samantha zdawały się nie oczekiwać od niego żadnych pieniędzy. Wydawał więc tylko na jedzenie, picie i serwis swojego saaba. Nigdy nie wyjeżdżał na wakacje, od czasu do czasu kupował po kilka płyt długogrających lub kompaktów. Parę miesięcy temu zdecydował się na kupno nowego systemu hi-fi marki Linn, ale w sklepie go zawiedli, oświadczając, że aktualnie nie mają niczego na składzie i że dadzą mu znać, kiedy będzie nowa dostawa. Po czym nie dotrzymali słowa i nie zadzwonili. Koszt biletów na Lou Reeda nie był znów takim wielkim wydatkiem... zwłaszcza że Jean się uparła, że zapłaci za siebie... i do tego jeszcze przygotowała mu śniadanie następnego dnia rano.

– Oto wizerunek „uśmiechniętego policjanta”! – wykrzyknęła Siobhan od swego biurka, przy którym siedziała z Banią z Fettes, i dopiero wtedy Rebus zdał sobie sprawę, że uśmiecha się od ucha do ucha do swoich myśli. Wstał od biurka i przeszedł w ich stronę.

– Poddaję się! Wycofuję tę głupią uwagę! – zawołała Siobhan, unosząc ręce do góry.

– Cześć, Bania – powiedział Rebus.

– Nazywa się Bain – poprawiła go Siobhan – i woli, jak się do niego mówi Eric.

Rebus zignorował tę uwagę.

– Wygląda tu jak w statku kosmicznym Enterprise. – Spoglądał na płataninę przewodów łączących komputery: dwa laptopy i dwa pecety. Wiedział, że jeden z pecetów należy do Siobhan, drugi zabrali z mieszkania Flipy Balfour. – Powiedz mi – zwrócił się do Siobhan – co wiemy na temat wczesnego dzieciństwa Philippy w Londynie?

Zmarszczyła nos.

– Niewiele. A bo co?

– Bo chłopak twierdzi, że miewała koszmary senne, w których biegała po schodach w londyńskim domu i przed czymś uciekała.

– Jesteś pewien, że to w domu w Londynie?

– Jak to?

Wzruszyła ramionami.

– Tak sobie tylko pomyślałam, że ja w Jałowcach cały czas czułam ciarki na plecach: stare zbroje i stare zakurzone sale bilardowe... Wyobrazasz sobie dorastanie w takim domu?

– Costello powiedział wyraźnie, że chodziło o dom w Londynie.

– Podświadoma transpozycja? – odezwał się Bain, a oni spojrzeli na niego. – Tak mi tylko przyszło do głowy – dodał.

– Bo naprawdę bała się czegoś w Jałowcach, tak? – zapytał Rebus w zamyśleniu.

– Najlepiej weźmy tablicę *ouija* [jedno z akcesoriów używanych podczas seansów spirytystycznych.] i spytajmy ją samą. – Siobhan uświadomiła sobie, jak to zabrzmiało i aż syknęła. – Głupia uwaga w fatalnym

guście. Bardzo przepraszam.

– Słyszałem już gorsze – orzekł Rebus. Istotnie tak było. Słyszał, jak na miejscu zbrodni jeden z mundurowych, rozciągając taśmę policyjną wokół ofiary, powiedział do kolegi: „Założę się, że kolorki by jej się spodobały, co nie?”

– Trochę to jak z Hitchcocka, prawda? – odezwał się Bain. – Wiecie, jak w *Marnie*, albo coś w tym rodzaju...

Rebus przypomniał sobie tomik wierszy w mieszkaniu Davida Costello: *Sen o Alfredzie Hitchcocku*: „Nie dlatego umierasz, boś zasłużył / Umierasz, boś był akurat pod ręką...”

– Pewnie masz rację – powiedział.

Ale jego ton nie pozostawił Siobhan wątpliwości.

– Mimo wszystko chciałbyś dostać raport o jej dzieciństwie w Londynie, czy tak?

Rebus już chciał przytaknąć, potem jednak zreflektował się i powiedział:

– Nie, masz rację... to już zbyt wydumane.

Kiedy odszedł, Siobhan powiedziała do Baina:

– Zazwyczaj musi być tak, jak on chce. A im bardziej wydumane, tym bardziej mu się podoba.

Bain uśmiechnął się. Znów miał ze sobą teczkę i wciąż jeszcze ani razu jej nie otworzył. Po kolacji w piątek wieczorem pożegnali się i rozeszli, każde w swoją stronę. W sobotę rano Siobhan wsiadła w samochód i pojechała na północ na mecz. Nikomu nie proponowała podwiezienia. Wzięła podręczną torbę i znalazła jakiś dom z pokojami gościnnymi. Poszła na mecz, który Hibs wygrał, potem trochę się pokręciła po okolicy i gdzieś po drodze zjadła lekką kolację. Zabrała ze sobą walkmana, kilka taśm i dwie książki w wydaniach kieszonkowych. Laptopa zostawiła w domu. Weekend bez Quizmastera, według zaleceń lekarza. Tyle że nie mogła o nim przestać myśleć i zastanawiała się cały czas, czy czeka na nią jakaś wiadomość. Celowo przeciągała powrót, wróciła dopiero w niedzielę późnym wieczorem i od razu zabrała się do prania.

Teraz laptop leżał przed nią na biurku, a ona niemal bała się go włączyć, bała się znów wpaść w jego sidła...

– Udany weekend? – zapytał Bain.

– Niezły. A u ciebie?

– Bardzo spokojnie. Właściwie głównym wydarzeniem była ta nasza kolacja w piątek wieczór.

Uśmiechnęła się, przyjmując tę uwagę jako komplement.

– No to, co robimy teraz? Atakujemy służby specjalne?

– Musimy pogadać z biurem kryminalnym. Oni się w to włączą.

– A nie możemy zrezygnować z pośrednika? – spytała.

– Pośrednikowi by się to nie spodobało.

Siobhan pomyślała o Claverhousie. Bain pewnie ma rację.

– No to do dzieła – powiedziała.

Bain wziął słuchawkę i odbył długą rozmowę z detektywem inspektorem Claverhousem z Pałacu. Siobhan przejechała palcami po klawiaturze laptopa, który był już podłączony do jej komórki. Kiedy w piątek wieczorem wróciła do domu, w poczcie głosowej zastała wiadomość od operatora jej sieci komórkowej, który chciał się upewnić, że zdaje sobie sprawę z tego, iż korzystanie przez nią z telefonu komórkowego ostatnio raptownie wzrosło. Owszem, zdawała sobie z tego sprawę. Ponieważ Bain wciąż jeszcze rozmawiał z Claverhousem i wyjaśniał mu całą sytuację, postanowiła załogować się do sieci, ot tak, żeby zająć czymś ręce...

Czekały na nią trzy wiadomości od Quizmastera. Pierwsza przyszła w piątek wieczorem, mniej więcej w porze jej powrotu do domu.

Poszukiwaczko – moja cierpliwość jest na wyczerpaniu. Lada chwila twoje poszukiwania zostaną zakończone. Oczekuję natychmiastowej odpowiedzi.

Druga pochodziła z sobotniego popołudnia.

Siobhan? Zawiodłaś mnie. Twoje dotychczasowe wyniki były doskonałe. Z tą chwilą gra zostaje zamknięta.

Mimo to odezwał się ponownie, punktualnie o północy w niedzielę.

Czy chodzi o to, że próbujesz mnie namierzyć? Czy nadal chcesz się ze mną spotkać?

Bain skończył rozmowę, odłożył słuchawkę i spojrzał na ekran.

– Trochę go wystraszyłaś – powiedział.

– A co, zmienił prowadzera? – spytała Siobhan.

Bain rzucił okiem na nagłówki i potwierdził.

– Nowe hasło, nowe wszystko. I mimo to zaczyna mieć wątpliwości, czy jest na pewno niewykrywalny.

– To dlaczego się po prostu nie rozłączy?

– Tego nie wiem.

– Myślisz, że gra jest naprawdę zamknięta?

– Jest tylko jeden sposób, żeby się przekonać... Siobhan zasiadła więc do klawiatury i zaczęła pisać: *Przez cały weekend byłam nieobecna, nic więcej. Śledztwo posuwa się do przodu. Niezależnie od tego nadal chcę się spotkać.*

Wysłała wiadomość i poszli oboje po kawę. Po powrocie nie zastali żadnej odpowiedzi.

– Myślisz, że się dąsa? – spytała Siobhan.

– Albo go nie ma przy komputerze.

Spojrzała na niego.

– Czy u siebie w sypialni masz sprzęt komputerowy?

– A co, wpraszasz się do mojej sypialni?

Uśmiechnęła się.

– Nie, tylko tak się zastanawiam. Bo są tacy zapaleńcy, którzy potrafią dzień i noc siedzieć przed monitorem, prawda?

– Oczywiście. Ale ja do nich nie należę. Mam trzy kluby czatowe, które odwiedzam regularnie i może godzinkę albo dwie surfowania, jak mi się nudzi.

– Co to są kluby czatowe?

– Grupy dyskusyjne. – Przysunął krzesło do biurka. – Skoro i tak czekamy, to może rzucimy teraz okiem na wykasowane pliki panny Balfour. – Zauważył jej minę. – Wiedziałaś, że można odzyskiwać wykasowane pliki?

– Jasne. Dzięki temu przejrzelśmy jej korespondencję.

– A sprawdziliście też jej e-maile?

Siobhan musiała przyznać, że tego nie zrobili. A ściślej mówiąc, Grant nie wiedział, że jest to w ogóle możliwe.

Bain westchnął i zasiadł do peceta Flipy. Nie trwało to długo. Już po chwili mieli przed sobą listę usuniętych wiadomości, zarówno wysłanych, jak i otrzymanych.

– Jak daleko w czasie to sięga? – spytała Siobhan.

– Trochę ponad dwa lata. Kiedy ona kupiła ten komputer?

– Dostała go na osiemnaste urodziny – odparła Siobhan.

– Niektórym to dobrze.

Siobhan pokiwała głową.

– Mieszkanie zresztą też – dodała.

Bain spojrział na nią i z niedowierzaniem pokręcił głową.

– Ja na swoją osiemnastkę dostałem zegarek i aparat fotograficzny – powiedział.

– Ten zegarek? – spytała, wskazując na jego przegub.

Ale myśli Baina były już gdzie indziej.

– Zatem mamy e-maile sięgające do samych początków jej działalności. – Kliknął na wiadomość z najwcześniejszą datą, ale komputer zasygnalizował, że nie może jej otworzyć. – Musimy to rozpakować – dodał. – Pewnie twardy dysk dokonał kompresji.

Siobhan próbowała śledzić jego poczynania, ale jak dla niej poruszał się o wiele za szybko. Wkrótce mieli przed oczyma pierwszą wiadomość e-mailową, jaką Flipa wysłała ze swego nowego komputera. Wiadomość była adresowana do jej ojca w biurze.

Tylko testuję. Mam nadzieję, że to przejdzie. Pecet jest super! zobaczymy się wieczorem. Flipa.

– Przypuszczam, że chcesz przeczytać wszystkie, co? – odezwał się Bain.

– Chyba tak – odparła. – Czy to znaczy, że będziesz je musiał kolejno rozpakowywać?

– Niekoniecznie. Jakbyś mi zorganizowała herbatę – z mlekiem, bez cukru – to ja w tym czasie zobaczę, co da się zrobić.

Nim wróciła z herbatą, Bain był już w trakcie drukowania kilkunastu stron z odzyskaną korespondencją e-mailową Flipy.

– W ten sposób możesz je czytać w czasie, kiedy ja będę rozpakowywał następną porcję.

Siobhan zaczęła przeglądać wiadomości chronologicznie i już po chwili natknęła się na coś bardziej interesującego niż ploteczki Flipy z przyjaciółkami.

– Popatrz na to – trąciła Baina.

Odczytał wiadomość.

– Wysłana z banku Balfour – powiedział – przez kogoś imieniem RAM.

– Jestem gotowa się założyć, że to Randal Marr – powiedziała Siobhan, zabierając od niego kartkę.

Flipo, to świetnie, że wreszcie dołączyłaś do wirtualnego świata! Mam nadzieję, że przyniesie Ci to bardzo wiele radości. Przekonasz się też, że Internet to kopalnia wiadomości i że przyda Ci się w twoich studiach... Tak, masz rację, wiadomości można usuwać – dzięki temu zostaje więcej miejsca w pamięci, a komputer działa szybciej. Tylko pamiętaj, że usunięte wiadomości dają się odzyskać, chyba że podejmiesz odpowiednie kroki. Oto jak można definitywnie usuwać wiadomości raz na zawsze.

Po czym następował opis specjalnej procedury trwałego kasowania wiadomości. Na koniec podpisał się jedną literką R. Bain przejechał palcem po brzegu ekranu.

– To wyjaśnia, dlaczego są takie duże dziury w wykazie – powiedział. – Od czasu, kiedy się dowiedziała, jak można definitywnie kasować wiadomości, zaczęła z tego korzystać.

– I dlaczego brakuje całej korespondencji z Quizmasterem – dodała Siobhan, przeglądając kolejne strony. – Nie ma nawet jej pierwszego maila do RAM.

– Jak i wszystkich następnych.

Siobhan rozmasowała sobie skronie.

– Dlaczego tak jej zależało, żeby to wszystko usuwać?

– Nie wiem. Większość użytkowników tego nie robi.

– Przesuń się – powiedziała Siobhan, przysuwając sobie krzesło i zasiadając do klawiatury. Napisała kolejnego maila, tym razem adresując go do RAM w banku Balfour.

Tu detektyw posterunkowa Clarke. Proszę o pilny kontakt.

Dopisała swój numer telefonu na St Leonard's i wysłała wiadomość. Potem podniosła słuchawkę i zadzwoniła do banku.

– Proszę z sekretariatem pana Marra. – Połączono ją z jego sekretarką. – Chodziło mi o pana Marra – powiedziała, patrząc jak Bain popija herbatę – ale może pani będzie mi mogła pomóc. Mówi posterunkowa Clarke, wydział śledczy komisariatu na St Leonard's. Przed chwilą

wysłałam do pana Marra e-maila i chciałam się tylko upewnić, że go otrzymał. Mamy tu u siebie jakieś kłopoty z wysyłaniem poczty elektronicznej... – Odczekała chwilę, aż sekretarka sprawdzi. – Aha, nie ma go? A może mi pani powiedzieć, gdzie jest? – Znów przerwała, słuchając odpowiedzi. – Tylko że to dość ważne. – Uniosła brwi. – Prestonfield House? To niedaleko stąd. Czy jest szansa, żeby pani mogła się z nim skontaktować i poprosić, by po spotkaniu zechciał wstąpić na St Leonard's? Zajmie mu to tylko pięć minut. Tak będzie chyba wygodniej i szybciej, niż gdybyśmy mieli złożyć wizytę w banku... – Znów przez chwilę słuchała. – Dzięki. I ten e-mail też przeszedł, tak? Świetnie, dziękuję.

Odłożyła słuchawkę, a Bain wysączył ostatni łyk herbaty, wyrzucił kubek do kosza i bezgłośnie zaklaskał.

Czterdzieści minut później Marr zjawił się w komisariacie. Siobhan poleciła jednemu z mundurowych policjantów, by go wprowadził na górę do wydziału śledczego. Rebusa już nie było, ale na sali panował ruch. Policjant przyprowadził Marra do biurka Siobhan, która kiwnęła głową na powitanie i poprosiła bankiera, by usiadł. Marr rozejrzał się i stwierdził, że nigdzie nie ma wolnego krzesła. Obecni podnieśli głowy i zaciekawieni spojrzenia na intruza. W swym nienagannie uszytym garniturze w prążki i białej koszuli z cytrynowożółtym krawatem wyglądał na kosztownego adwokata.

Bain wstał i przesunął krzesło na drugą stronę biurka, pozwalając Marrowi usiąść.

– Mój kierowca stoi na żółtej linii – oświadczył Marr i znacząco spojrzał na zegarek.

– To nie potrwa długo, panie prezesie – powiedziała Siobhan. – Poznaje pan ten komputer?

– Słucham?

– Należał kiedyś do Philipppy.

– Tak? A skąd miałbym to wiedzieć?

– Pewnie znikąd. Ale wysyłaliście do siebie e-maile?

– Co takiego?

– RAM to pan, prawda?

– A jeśli nawet to co?

Bain podszedł i wręczył mu kartkę z e-mailem.

– To, że to pan jej to wysłał – powiedział. – I to, że panna Balfour skorzystała z pańskich rad.

Marr podniósł wzrok znad kartki i popatrzył na Siobhan. Skrzywiła się na słowa Baina, a on to zauważył.

Straszny błąd, Eric, miała ochotę zakrzyknąć. Teraz Marr już wie, że to jedyny e-mail między nim a Flipą, jakim dysponujemy. Gdyby nie to, można by go podpuścić i dać mu do zrozumienia, że mamy też inne. I zobaczyć, jak bardzo się tym przejmie.

– No i co? – odezwał się po przeczytaniu wiadomości.

– Nic, tylko troszkę to dziwne, że pański pierwszy e-mail do niej w całości dotyczy sposobu

trwałego usuwania wiadomości.

– Philippa była osobą niezwykle dyskretną – wyjaśnił Marr. – Lubiła strzec swojej prywatności. Pierwszą rzeczą, o jaką mnie spytała, to jak kasować wiadomości. I to była moja odpowiedź na jej pytanie. Nie chciała, żeby ktoś obcy mógł czytać jej korespondencję.

– Dlaczego?

Marr dystyngowanie wzruszył ramionami.

– Wszyscy mamy różne osobowości, nieprawdaż? Osoba pisząca do starszego wiekiem krewnego, to nie ta sama osoba, która pisze do bliskiego przyjaciela. Wiem z własnego doświadczenia, że kiedy wysyłam wiadomość do zaprzyjaźnionego uczestnika gier wojennych, to nie chciałbym, żeby moja sekretarka ją czytała. Dojrzałaby w niej kogoś zupełnie innego niż jej szef.

Siobhan pokiwała głową.

– Tak, rozumiem, o co panu chodzi.

– Ponadto w moim zawodzie dyskretność – tajemniczość, jeśli wolicie – jest sprawą podstawowej wagi. Podstępne zdobywanie informacji handlowych zawsze stanowi problem. Dlatego niszczymy niepotrzebne dokumenty, usuwamy z pamięci e-maile i tak dalej, a wszystko po to, by chronić interesy naszych klientów i nas samych. Więc kiedy Flipa spytała mnie o usuwanie wiadomości, to przede wszystkim to miałem na myśli. – Przerwał i spojrzał na Siobhan, potem na Baina. – Czy to już wszystko, co chcieliście wiedzieć?

– A o czym jeszcze pisaliście do siebie w tych e-mailach?

– Nasza korespondencja długo nie trwała. Flipa dopiero się wprawiała. Miała mój adres e-mailowy i wiedziała, że jestem w tym starym wygą. Początkowo miała do mnie mnóstwo pytań, ale była pojętną uczennicą.

– Wciąż jeszcze trwa przeszukiwanie pamięci pod kątem skasowanych wiadomości – rzuciła beztrząsowo Siobhan – ale od razu zapytam, kiedy, według pana, urwała się wasza korespondencja?

– Myślę, że jakiś rok temu – Marr zaczął się szykować do powstania z miejsca. – Więc jeśli to już wszystko, to ja naprawdę muszę...

– Gdyby nie nauczył jej pan usuwać plików, to może już byśmy go mieli.

– Kogo?

– Quizmastera.

– Tego, z kim rozgrywała tę grę? Wciąż myślicie, że to miało jakiś związek z jej śmiercią?

– Chciałabym to wiedzieć.

Marr wstał z miejsca i obciągnął sobie marynarkę.

– A to możliwe bez pomocy ze strony tego... tego Quizmastera?

Siobhan spojrzała pytająco na Baina, który jednak dostrzegł w jej wzroku coś więcej niż pytanie.

– O tak – powiedział z przekonaniem. – Potrwa to trochę dłużej, ale na pewno do niego dotrzemy. Zostawił po sobie wystarczająco dużo śladów.

Marr popatrzył na jedno, potem na drugie.

– To doskonale – odparł z uśmiechem. – Jeśli będę mógł jeszcze w czymś pomóc...

– Już i tak bardzo nam pan pomógł – oznajmiła Siobhan, nie spuszczać z niego wzroku. – Poproszę któregoś z policjantów, żeby pana wyprowadził...

Po jego odejściu, Bain przestawił krzesło na drugą stronę biurka i usiadł obok Siobhan.

– Myślisz, że to on, prawda? – zapytał cicho.

Kiwnęła głową, wpatrzona w drzwi, za którymi zniknął Marr. Potem jednak nagle oklapła, zamknęła oczy i zaczęła pocierać powieki.

– Właściwie prawda jest taka, że nie mam pojęcia – powiedziała cicho.

– Nie masz też żadnych dowodów.

Pokiwała głową, nie otwierając oczu.

– Masz tylko przeczucie?

Otworzyła oczy.

– Nauczyłam się już nie ufać przeczuciom.

– To mnie cieszy. – Uśmiechnął się do niej. – Fajnie byłoby zdobyć jakieś dowody, nie?

Kiedy zadzwonił telefon, Siobhan wyglądała na nieobecną duchem, odebrał go więc Bain. Dzwonił funkcjonariusz służb specjalnych nazwiskiem Black i w pierwszym rzędzie chciał się upewnić, czy rozmawia z właściwą osobą. Kiedy Bain zapewnił go, że tak, Black zapytał, czy zna się na komputerach.

– Trochę się znam – odparł Bain.

– To dobrze. Siedzi pan teraz przed pecetem? – Kiedy Bain potwierdził, Black wyjaśnił mu, co ma zrobić. Kiedy pięć minut później odłożył słuchawkę, Bain najpierw wyduł policzki, a potem ze świstem wypuścił powietrze.

– Nie wiem, na czym to polega – powiedział – ale ile razy rozmawiam z kimś ze służb specjalnych, to od razu się czuję jak pięciolatek w pierwszym dniu szkoły.

– Nieźle sobie poradziłeś – zapewniła go Siobhan. – No i czego potrzebują?

– Kopii wszystkich e-maili między tobą a Quizmasterem, plus danych dotyczących twoich i jego prowajderów, jak i wszystkich haseł Philippy Balfour i twoich.

– Tyle że to komputer Granta – odparła Siobhan, kładąc rękę na laptopie.

– No to dane jego prowajdera. – Zrobił pauzę. – Black mnie pytał, czy mamy jakichś podejrzanych.

– I powiedziałaś mu?

Potrząsnął głową.

– Ale zawsze możemy mu podrzucić nazwisko Marra. Możemy nawet dodać jego adres

e-mailowy.

– A to by pomogło?

– Niewykluczone. Wiesz o tym, że Amerykanie potrafią odczytywać e-maile za pomocą satelitów? Dowolne e-maile na całym świecie... – Patrzyła na niego w milczeniu, a on się roześmiał. – Nie twierdzę, że nasze służby specjalne dysponują już taką techniką, ale nigdy nic nie wiadomo, prawda?

Siobhan zamyśliła się.

– No to dajmy im to, co mamy – powiedziała w końcu. – Dajmy im Rinaldo Marra.

Laptop zasygnalizował, że nadeszła nowa wiadomość. Siobhan kliknęła na skrzynkę odbiorczą. Wiadomość od Quizmastera.

Poszukiwaczko. Spotkamy się po rozegraniu Rygorów. Zgoda?

– Oho – powiedział Bain. – Zaczyna cię prosić.

Więc gra nie jest zamknięta? – napisała odpowiedź Siobhan.

Dostałaś specjalną dyspensę.

Napisała kolejną wiadomość. *Ale na pewne pytania muszę uzyskać odpowiedzi od razu.*

Odpowiedź nadeszła natychmiast. *Pytaj, Poszukiwaczko.*

Zacząła więc pytać. *Czy oprócz Flipy ktoś inny grał w tę grę?*

Na odpowiedź czekali całą minutę.

Tak.

Siobhan spojrzała na Baina.

– A przedtem mówił, że nie.

– Więc albo kłamał wtedy, albo kłamie teraz. Skoro znowu go o to pytasz, to wygląda, że za pierwszym razem mu nie uwierzyłaś.

Ile osób? – napisała Siobhan.

Trzy.

Czy współzawodniczyły ze sobą? Czy wiedzieli o sobie?

Wiedzieli.

Wiedzieli, kim są ich konkurenci?

Odpowiedź nadeszła po trzydziestosekundowej przerwie. *Absolutnie nie.*

– Prawda czy kłamstwo? – spytała Siobhan, zwracając się do Baina.

– Na razie obliczam, czy pan Marr miał dość czasu, żeby zdążyć dotrzeć do biura.

– Przy jego profesji, wcale by mnie zdziwiło gdyby laptopa i komórkę trzymał na stałe w samochodzie, tak żeby w grze być zawsze o krok do przodu. – Uśmiechnęła się na myśl, że zabrzmiało to dwuznacznie.

– Mogę zadzwonić do niego do biura... – Bain sięgnął po słuchawkę, a Siobhan podała mu numer do banku. – Z sekretariatem pana Marra proszę – powiedział do słuchawki i po chwili

spytał: – Czy rozmawiam z asystentką pana Marra? Tu sierżant Bain z policji Lothian. Czy mogę rozmawiać z panem Marrem?

– Spojrzał na Siobhan. – Jest spodziewany lada chwila? Dziękuję pani. – I jakby mu nagłe przyszło coś do głowy, dodał: – A jest może jakiś sposób, żeby się z nim skontaktować w samochodzie? Może można mu tam wysłać e-maila? – Chwilę słuchał. – Nie, nic nie szkodzi, dziękuję. Zadzwoń później. – Odłożył słuchawkę. – W samochodzie nie odbiera poczty elektronicznej – poinformował Siobhan.

– O ile wiadomo pani asystentce – odparła.

Bain pokiwał głową.

– Bo w dzisiejszych czasach – dodała Siobhan – wystarczy tylko telefon.

Z WAPem, taki jak ten Granta, uzupełniła w myśli. Z jakiegoś powodu stanął jej przed oczyma ten poranek w kawiarni Pod Słoniem... Grant rozwiązujący krzyżówkę, którą już wcześniej rozwiązał, popisujący się przed kobietą przy sąsiednim stoliku... Zaczęła pisać następną wiadomość:

Czy możesz mi powiedzieć, kim byli ci gracze. Czy wiesz, kim byli?

Odpowiedź była natychmiastowa: *Nie.*

Nie możesz, czy nie wiesz?

Nie na oba. Rygory czekają.

Ostatnie pytanie. W jaki sposób wybrałaś Flipę?

To ona wybrała mnie, tak samo jak ty.

Ale jak cię znalazła?

Wkrótce otrzymasz wskazówkę do Rygorów.

– Zdaje się, że ma już dosyć – powiedział Bain. – Pewnie nie przywykł do tego, że mu się niewolnicy mądrzą.

Siobhan jeszcze przez chwilę zastanawiała się, czy kontynuować ten dialog, potem bez słowa kiwnęła głową.

– Obawiam się, że z Grantem nie mogę się równać – dodał Bain. Zmarszczyła czoło, nie rozumiejąc, o co mu chodzi. – W temacie rozwiązywania zagadek – wyjaśnił.

– Poczekamy, zobczymy – odparła.

– Tymczasem mogę wyekspediować materiały do służb specjalnych.

– Ekspediuj – powiedziała z uśmiechem. Jej myśli znów powędrowały do Granta. Bez jego pomocy nie byłoby jej tu, gdzie jest. A mimo to, od chwili, gdy go przenieśli, nie wykazał najmniejszego zainteresowania sprawą, nawet do niej nie zadzwonił, żeby zapytać, czy nie ma jakiejś nowej zagadki do rozwiązania... Zdumiewała ją taka umiejętność całkowitego przedstawienia się. Ten Grant, którego widywała teraz w telewizji, różnił się zasadniczo od Granta, który kiedyś nerwowo krążył po jej mieszkaniu, a także od Granta, który przeżył

załamanie nerwowe na szczycie Hart Fell. Nie miała wątpliwości, która wersja jej bardziej odpowiada, i nie sądziła, by wynikało to jedynie z zawodowej zawiści. Pomyślała, że przy okazji dowiedziała się też paru rzeczy o Gill Templer. Ona się po prostu wystraszyła, a lęk przed odpowiedzialnością związaną z jej nowym stanowiskiem powodował, że próbowała przerzucać ją na swych podwładnych. Starła się otaczać ludźmi chętnymi i pewnymi siebie, może dlatego, że jej samej tej pewności brakowało. Siobhan miała nadzieję, że to tylko sprawa przejściowa. Modliła się, by tak było.

Miała też nadzieję, że gdy nadejdzie wskazówka do Rygorów, Grant znajdzie w swym pełnym zajęć dniu minutkę dla swej dawnej partnerki, i to niezależnie od tego, czy jego nowej mentorce to się spodoba, czy nie.

Grant Hood całe przedpołudnie spędził na użeraniu się z prasą, na pisaniu nowej wersji komunikatu prasowego na dzisiejsze popołudnie – w nadziei, że tym razem znajdzie uznanie w oczach komisarz Templer i zastępcy komendanta Carswella – i na opędzaniu się od telefonów od ojca ofiary, niezadowolonego, że media elektroniczne nie poświęcają więcej czasu na apele do społeczeństwa o pomoc w zbieraniu informacji.

– A co z *Crimewatch* [program telewizji BBC typu *Ktokolwiek widział, ktokolwiek wie...*] – zapytał kilkakrotnie Balfour.

W głębi duszy Grant uznał, że *Crimewatch* to świetny pomysł, zadzwonił więc do BBC w Edynburgu, gdzie podano mu numer do biura w Glasgow. Z Glasgow odesłano go do Londynu, gdzie centrala połączyła go z redakcją programów publicystycznych, a tam redaktor dyżurny poinformował go – tonem, z którego niezbitnie wynikało, że rzecznik prasowy mający choć odrobinę oleju w głowie powinien sam o tym wiedzieć – że program *Crimewatch* został czasowo zdjęty z anteny i nie wróci na nią wcześniej niż za kilka miesięcy.

– Ach, no tak, oczywiście, dziękuję – powiedział Grant i odłożył słuchawkę.

Nie miał czasu na lunch, a śniadanie składało się tylko z bułki z bekonem z miejscowego bufetu i zostało skonsumowane całe sześć godzin temu. Miał świadomość, że tkwi w samym środku ścierających się interesów – wewnętrznej polityki różnych frakcji w komendzie policji. Carswell i Templer mogli się ze sobą zgadzać w niektórych sprawach, ale na pewno nie we wszystkich, on zaś tkwił pomiędzy nimi, starając się, by zbyt mocno nie podpaść żadnemu z nich. Carswell reprezentował sobą prawdziwą władzę, ale Templer była jego bezpośrednią przełożoną i jednym ruchem mogła go znów zesłać na margines. Jego zadaniem było, nie dać jej ku temu ani powodu, ani okazji.

Wiedział, że jak dotąd radzi sobie nieźle, ale odbywało się to w dużej mierze kosztem rezygnacji z jedzenia, snu i wolnego czasu. Po stronie plusów należało natomiast zapisać to, że sprawą zaczynały się interesować media spoza Edynburga, i to nie tylko w Londynie, ale i dużo

dalej: w Nowym Jorku, Sydney, Singapurze i Toronto. Międzynarodowe agencje prasowe zwracały się do niego z prośbą o komentarz do posiadanych informacji. Zaczęto przebąkiwać o przysłaniu do Edynburga własnych ekip i upewniano się, że Hood będzie osiągalny w celu przeprowadzenia z nim krótkiego wywiadu do kamery.

Za każdym razem Grant odpowiadał twierdząco. Pamiętał też, by za każdym razem notować sobie dane rozmówców, ich telefony kontaktowe, a nawet istniejącą różnicę czasu.

– Nie ma przecież sensu, żeby wysyłać faksy w środku nocy – wyjaśnił jednemu z dziennikarzy dzwoniącemu z Nowej Zelandii.

– Ja i tak, koleś, wolę e-maile – odparł dziennikarz.

Tę uwagę Grant też sobie zanotował. Przyszło mu do głowy, że będzie musiał odebrać swojego laptopa od Siobhan. Albo to, albo zainwestować w coś nowszego. Właściwie przydałoby się dla tej sprawy założyć oddzielną witrynę. Trzeba będzie wysłać notatkę służbową do Carswella, z kopią do Templera, i złożyć taką propozycję.

Jeśli tylko czas mu na to pozwoli...

Siobhan i jego laptop: od kilku dni nawet o niej nie pomyślał. Jego zauroczenie nią długo nie potrwało. Całe szczęście, że do niczego więcej między nimi nie doszło. Jego nowe stanowisko musiałyby się wbić między nich klinem. A jeśli chodzi o ten pocałunek, to wiedział, że stopniowo będą o nim zapominać, aż wreszcie będzie można uznać, że to się wcale nie wydarzyło. Jedynym naocznym świadkiem był Rebus, ale jeśli oboje będą konsekwentnie zaprzeczali i twierdzili, że kłamię, to on też zacznie w końcu o tym zapominać.

Dwie rzeczy były teraz dla Granta najważniejsze: chciał zostać w biurze prasowym na stałe i wiedział, że w tym, co robi, jest dobry.

Postanowił wypić szóstą tego dnia kawę i wracając z nią korytarzem, kiwał przyjaźnie głową zupełnie obcym sobie ludziom. Wszyscy wokół zdawali się wiedzieć, kim jest, i sprawiać wrażenie, że zależy im, by i on wiedział, kim są. Kiedy wrócił do swego pokoju, telefon na biurku znów dzwonił. Pokój był maleńki – w niektórych komisariatach bywały tej wielkości szafy – i pozbawiony światła dziennego. Mimo wszystko, było to jego królestwo. Usiadł na krześle, podniósł słuchawkę i odchylił się do tyłu.

– Posterunkowy Hood.

– Ma pan zadowolony z życia głos.

– Kto mówi?

– Steve Holly. Pamięta mnie pan?

– Jasne, Steve, czym mogę służyć? – Jego ton stał się natychmiast bardziej oficjalny.

– No cóż... Grant – powiedział Holly z nie ukrywanym szyderstwem w głosie. – Chodzi mi o oficjalną wypowiedź, którą chciałbym zacytować w moim nowym materiale.

– Tak, słucham – odparł Grant, pochylając się lekko do przodu. Poczul, że pewność siebie

nieważnie go opuszcza.

– W całej Szkocji giną kobiety... za każdym razem znajdują się lalczki... odbywają się jakieś tajemnicze gry internetowe... zwłoki studentów na górskich zboczach... Czy może coś ci to mówi?

Grant chętnie zdusiłby słuchawkę w dłoni. Biurko, ściany wokół – wszystko spowiła nagle lekka mgiełka. Zamknął oczy i starał się otrząsnąć.

– W takich sprawach jak ta – odpowiedział w końcu, starając się, by jego ton brzmiał lekko i obojętnie – do reporterów docierają różne dziwaczne historie.

– Słyszałem, że niektóre z zagadek internetowych rozwiązałeś osobiście. Więc jak myślisz? Muszą być jakoś powiązane z tym morderstwem, prawda?

– W tej sprawie nie mam żadnego komentarza, redaktorze Holly. Proszę posłuchać, niezależnie od tego, co się człowiekowi wydaje, że wie, trzeba pamiętać, iż takie historie – wszystko jedno, prawdziwe czy fałszywe – mogą wyrządzić śledztwu niepowetowane straty, szczególnie w tak newralgicznym momencie.

– To znaczy, że śledztwo w sprawie Balfour jest w newralgicznym momencie? Nikt mi tego przedtem nie powiedział...

– Ja tylko staram się wytłumaczyć, że...

– Słuchaj, Grant, przyznaj się, że spierdoliłście sprawę – przepraszam za dwuznacznik. Więc najlepiej będzie, jak mi teraz powiesz, co jest grane.

– Nie sądzę.

– Na pewno? Bo masz tam teraz fajną, ciepłą posadkę... więc nie chciałbym widzieć, jak wylatujesz z niej na zbity pysk.

– Coś mi się zdaje, Holly, że nic nie sprawiłoby ci większej przyjemności.

Słuchawka przy uchu Granta wybuchła rechotem.

– Najpierw Steve, potem redaktor Holly, a teraz po prostu Holly, co?... Jeszcze chwila i pewnie zaczniesz rzucać wyzwiskami.

– Kto ci powiedział?

– Tak głośnej sprawy nigdy nie daje się utrzymać w pełnej tajemnicy.

– Więc kto uchylił jej rąbka?

– Ktoś coś szepnął tu, ktoś inny tam... wiesz, jak to jest. – Holly przerwał. – Chociaż nie, właściwie to ty nie wiesz, jak to jest. Wciąż zapominam, że siedzisz na tym stołku dopiero od pięciu zasranych minut, a już ci się zdaje, że możesz wykołować kogoś takiego jak ja.

– Nie mam pojęcia, o czym...

– Te twoje indywidualne spotkania, tylko ty i twoje ulubione pieski. Daj spokój, Grant. To z takimi jak ja powinieneś się zadawać. I możesz to rozumieć, jak ci się żywnie podoba.

– Dzięki, tak właśnie zrobię. O której wysyłacie materiały do druku?

– A co, chcesz mi zaserwować zetesa? – Grant się nie odezwał i Holly znów wybuchnął śmiechem. – Kurwa, ty nawet nie znasz naszego żargonu.

Ale trafił na pojętnego ucznia.

– Chodzi ci o zakaz sądowy – domyślił się Grant, czując, że trafił. Zetes: zakaz sądowy tymczasowo zabraniający publikacji. – Posłuchaj – powiedział, trąc sobie grzbiet nosa – oficjalnie cię informuję, że nie ma pewności, czy którekolwiek z wymienionych przez ciebie zdarzeń ma jakikolwiek związek z prowadzoną sprawą.

– Ale to i tak będzie sensacja.

– I na pewno naciągana.

– No to podaj mnie do sądu.

– Nie zapominam ludzi, którzy biją poniżej pasa.

– To, kurwa, ustaw się z innymi w kolejce.

Grant postanowił odłożyć słuchawkę, ale Holly go ubiegł. Wstał z miejsca i ze złością wymierzył kopniaka w biurko, potem kopnął je jeszcze raz. Potem przysła kolej na koszt do śmieci, skórzaną walizeczkę (kupioną podczas ostatniego weekendu) i narożnik pokoju. Oparł głowę o ścianę.

Muszę z tym pójść do Carswella, muszę zawiadomić o tym Gill Templer, huczało mu w głowie. Najpierw Templer... trzeba zachować drogę służbową. Potem ona zapewne pójdzie z tym do zastępcy komendanta, który z kolei będzie musiał tym zawrócić głowę samemu komendantowi. Wczesne popołudnie... Grant gorączkowo dumał, jak długo może z tym zwlekać. A może Holly sam zadzwoni bezpośrednio do Templer albo do Carswella. Więc jeśli będzie z tym zwlekał do końca dnia, to może sobie narobić jeszcze więcej kłopotów. A może jest jeszcze czas na wydanie tego zetesa.

Wziął słuchawkę do ręki i znów zacisnął powieki, tym razem by odmówić krótką modlitwę.

A potem wybrał numer.

Było późne popołudnie i od dobrych pięciu minut Rebus w milczeniu przyglądał się trumienkom. Co jakiś czas brał jedną z nich do ręki, uważnie badał jej wykonanie i porównywał z resztą. Najnowszym pomysłem, jaki mu przyszedł do głowy, było zwrócić się do kryminologa, specjalisty od antropologii. Narzędzia, za pomocą których wykonano te trumienki, musiały zostawić na powierzchni jakieś mikroślady, jakieś rowki i nacięcia, które jedynie specjaliście mogą coś powiedzieć. Może na przykład będzie można udowodnić, że do wykonania użyto tego samego dłuta. Może da się odnaleźć jakieś włókienka albo odciski palców... Albo te strzępy materiału na laleczkach: może da się ustalić ich pochodzenie? Wziął listę ofiar i położył przed sobą na biurku: 1972... 1977... 1982 i 1995. Pierwsza ofiara, Caroline Farmer, była z nich wszystkich najmłodsza, i to znacząco. Pozostałe miały po dwadzieścia parę lub trzydzieści parę

lat i były młodymi kobietami w kwiecie wieku. Utonęły lub zniknęły. Kiedy nie było ciała, nie było też sposobu, by udowodnić popełnienie przestępstwa. A jeśli chodzi o te utonięcia... Patolodzy umieli stwierdzić, czy w momencie zetknięcia się z wodą ofiara żyła, czy już nie, ale poza tym... Powiedzmy, że ogłusza się kogoś, a następnie wrzuca do wody. Nawet jeśli sprawa trafi do sądu, to obrona będzie miała pole do popisu, a zarzut morderstwa z premedytacją zastąpiony zostanie nieumyślnym zabójstwem. Rebus pamiętał, jak kiedyś pewien strażak opisał mu sposób na popełnienie idealnej zbrodni: najpierw trzeba delikwenta upić w jego własnej kuchni, a potem zostawić na pełnym gazie patelnię z olejem.

Proste i pomysłowe.

Rebus wciąż jeszcze nie wiedział, na ile zmyślny był jego przeciwnik. Fife, Nairn, Glasgow i Perth – więc z całą pewnością działał na dużym terenie. Był kimś, kto dużo podróżuje. Przyszedł mu do głowy Quizmaster i wycieczki, jakie z jego powodu musiała odbyć Siobhan. Czy jest szansa, by połączyć Quizmastera z tym kimś, kto zostawiał trumienki? Do zapisanych już w notesie słów „kryminolog antropolog” dodał następne dwa: „profil psychologiczny”. Wśród psychologów uniwersyteckich istniała grupa specjalizująca się w profilowaniu przestępców. Na podstawie zachowań i sposobów działania potrafili oni sporządzić psychologiczny portret przestępcy. Rebus nigdy w to specjalnie nie wierzył, ale znalazł się teraz w sytuacji człowieka walącego głową w mur i czuł, że bez dodatkowej pomocy nigdy tego muru nie rozwali.

Kiedy Gill Templer z impetem wpadła do sali wydziału śledczego, w pierwszej chwili Rebus pomyślał, że w ogóle go nie zauważyła. Jednak ruszyła wprost do jego biurka i stanęła nad nim z twarzą wykrzywioną wściekłością.

– Zdawało mi się – warknęła – że ci już wyraźnie powiedziałam.

– Co mi powiedziałaś? – spytał niewinnym tonem.

Wskazała ręką na trumienki.

– Że to tylko strata czasu. – Głos aż jej drżał ze złości, a całe ciało miała napięte jak struna.

– Jezu, Gill, co się stało?

Nie odezwała się ani słowem i jednym zamaszystym ruchem ramienia zgarnęła trumienki z biurka i rozrzuciła je po podłodze. Rebus wstał z krzesła i zaczął je zbierać, każdą po kolei troskliwie oglądając. Kiedy podniósł głowę, Gill była już przy drzwiach, jednak nim wyszła, obejrzała się jeszcze do tyłu.

– Dowiesz się jutro – rzuciła i trzasnęła drzwiami. Rebus rozejrzał się. Hi-Ho Silvers i jakiś gość przerwali prowadzoną rozmowę i unieśli głowy.

– Chyba się zaczyna gubić – zauważył Silvers.

– O co jej chodziło z tym jutrem? – zapytał Rebus, ale Silvers wzruszył tylko ramionami.

– Mówię ci, że się gubi – powtórzył.

Może ma rację, pomyślał Rebus.

Wrócił do biurka i zamyślił się nad tym sformułowaniem. Wiedział, że się można „gubić” na wiele różnych sposobów. I że jemu też grozi, że może coś „zgubić”... cokolwiek by to nie było.

Jean Burchill większość dnia spędziła na próbach dotarcia do korespondencji między Kennetem Lovellem a pastorem Kirkpatrickiem. Rozmawiała z różnymi ludźmi w Alloway i w Ayr – z pastorem z tamtejszej parafii, z miejscowym historykiem, z jednym z potomków Kirkpatricka. Ponad godzinę rozmawiała telefonicznie z biblioteką Mitchella w Glasgow. Odbyła krótki spacer z muzeum do Biblioteki Narodowej, a stamtąd na wydział адвоkatury. Na koniec przeszła wzdłuż Chambers Street i udała się do Domu Lekarza. W tamtejszym muzeum długo stała, wpatrując się w portret Kenneta Lovella, namalowany przez J. Scotta Jaunceya. Lovell musiał być wtedy młodym urodziwym mężczyzną. Zdarzało się często, że portrecista umieszczał na swym dziele drobne wskazówki związane z malowaną osobą: jej zawód, stan rodzinny, ulubione hobby... Jednak w tym przypadku portret pozbawiony był wszelkich takich dodatków i przedstawiał jedynie głowę i tors modela. Tło było gładkie i czarne, kontrastując z jasnymi plamami żółci i różu na twarzy Lovella. Inne portrety wiszące w muzeum Domu Lekarza w większości ukazywały postacie dzierżące w rękach uczone książki lub co najmniej papier i pióro. Inni pozowali na tle swych bibliotek lub otaczając się rekwizytami swego zawodu w rodzaju ludzkich czaszek, piszczelei czy diagramów anatomicznych. Prostota i surowość portretu Lovella zaskakiwała ją i niepokoiła. Albo malarz przystąpił do tego zadania bez zbytniego entuzjazmu, albo też model nie chciał, by jego portret zbyt wiele o nim mówił. Przyszedł jej do głowy pastor Kirkpatrick, który być może najpierw opłacił malarza, a potem za swoje pieniądze dostał nijaki obraz. Zastanowiła się, czy portret celowo odzwierciedlał jakieś zasady Lovella, czy też może stanowił po prostu ówczesną wersję dzisiejszej pocztówki i służył mu jedynie do celów promocyjnych. Przecież ten młody człowiek, ledwie po dwudziestce, uczestniczył w sekcji Burke’a, najsłynniejszej autopsji tamtych czasów. Zgodnie z jedną z ówczesnych relacji „obfitość krwi, jaka chlusnęła z ciała zbrodniarza, była niezwykła i nim wykład dobiegł końca, sala wyglądała jak rzeźnia skąpana w potokach krwi, która rozlewała się po podłodze i w której wszyscy brodzili”. Opis był tak plastyczny, że przy pierwszym czytaniu zrobiło jej się niedobrze. O ileż lepszą śmierć poniosły ofiary Burke’a, które najpierw upijał do nieprzytomności, a potem dusił. Jean raz jeszcze wpatrzyła się w oczy Kenneta, których czarne źrenice, mimo wszystkich oglądanych potworności, zdawały się lśnić jakimś dziwnym blaskiem.

Nie mogła się uwolnić od natrętej myśli: mimo wszystkich potworności, czy może dzięki nim?

Kustosz muzeum nie potrafiła odpowiedzieć na jej pytania, Jean poprosiła więc o kontakt z kuratorem. Ale major Bruce Cawdor, choć starał się, jak mógł, nie zdołał wiele dodać do tego,

co już wiedziała.

– Niestety nie posiadamy żadnej dokumentacji – powiedział, kiedy usiedli w jego gabinecie – z której wynikałoby, w jaki sposób portret Lovella do nas trafił. Podejrzewam, że był to dar, być może w ramach rozliczeń podatku spadkowego. – Major był niewysokiego wzrostu, ale trzymał się prosto i godnie, a elegancki garnitur i twarz promieniejąca dobrym zdrowiem dopełniały całości. Zaproponował jej herbatę – Darjeeling – a ona propozycję przyjęła. Każda filiżanka miała własne srebrne siteczko.

– Interesuje mnie także korespondencja Lovella.

– Nie dziwię się. Nas też.

– Niczego tu nie macie? – spytała zdziwiona.

Major potrząsnął głową.

– Albo doktor Lovell nie był wielkim miłośnikiem pióra, albo jego listy gdzieś zaginęły, albo trafiły do jakiejś nikomu nieznanej kolekcji. – Westchnął. – To wielka szkoda. Tak mało wiemy o jego pobycie w Afryce...

– I w Edynburgu właściwie też.

– Został tu pochowany. Ale nie sądzę, by jego grób specjalnie panią interesował?

– A gdzie on jest?

– Na cmentarzu Calton. Jego kwatera znajduje się w pobliżu grobu Davida Hume’a.

– Może tam zajrzę.

– Przykro mi, że nie potrafię bardziej pani pomóc. – Przez chwilę nad czymś myślał, potem nagle się rozpromienił. – Podobno Donald Devlin ma stół wykonany przez Lovella.

– Tak, słyszałam, choć w literaturze nie znalazłam żadnej wzmianki o jego stolarskich zainteresowaniach.

– Jestem pewien, że gdzieś jest o tym mowa. Wydaje mi się, że coś na ten temat czytałem... – Jednak mimo wysiłków, major Cawdor nie zdołał przypomnieć sobie ani co, ani gdzie.

Tego wieczoru siedzieli razem z Rebusem w jej domu w Portobello. Na kolację zjedli chińszczyznę na wynos, którą ona popiła zimnym chardonnay, a on piwem z butelki. Z wieży hi-fi płynęła muzyka: Nick Drake, Janis Ian, *Meddle* Pink Floydów. Przez cały czas Rebus wydawał się zatopiony we własnych myślach, ale Jean nie próbowała narzekać. Po jedzeniu poszli na spacer promenadą. Wokół kręciły się tłumy nastolatków na deskorolkach, wyglądających po amerykańsku, ale mówiących – a szczególnie soczyście klnących – z czysto lokalnym akcentem. Minęli jedną otwartą frytkarnię budzącą wspomnienia z lat dzieciństwa, związane z wonią gorącego oleju i octu. Wciąż głównie milczeli, czym zbytnio się nie różnili od reszty spacerowiczów. Skrytość była zawsze znakiem rozpoznawczym edynburczyków. Należało skrywać uczucia, a swoje sprawy zachowywać dla siebie. Niektórzy dopatrywali się przyczyn

takich zachowań w naukach Kościoła i wpływach takich postaci jak John Knox. Jean zetknęła się z tym, że przyjezdni nazywali Edynburg „Fortem Knox”, jednak jej zdaniem w większym stopniu wynikało to z otoczenia i z klimatu, z urwistych ścian skalnych i ołowianego nieba nad głową, z porywistych wiatrów wiejących znad Morza Północnego, pędzących ulicami niczym górskimi kanionami. Na każdym kroku człowiek czuł się tłamszony tym, co go otacza. Wystarczyło tylko przejechać się z Portobello do centrum, by tego doświadczyć.

John Rebus też myślał o Edynburgu. Gdzie ma być jego następny dom, kiedy się wreszcie wyprowadzi z obecnie zajmowanego mieszkania. Czy jest jakiś rejon, który podoba mu się bardziej od innych? Portobello jest sympatyczne, dość luzackie. Ale może się wynieść gdzieś na wieś, dalej na południe albo na zachód? Niektórzy z jego kolegów dojeżdżali aż z Falkirk i Linlithgow. Nie był jednak pewien, czy tak długie dojazdy by mu odpowiadały. Portobello byłoby chyba w sam raz. Jedynym problemem było to, że co chwilę jego wzrok wędrował w stronę plaży, jakby w obawie, że dostrzeże gdzieś drewnianą trumienkę, taką, jaką znaleziono w Nairn. Bo wiedział, że nieważne, gdzie się przeprowadzi – jego głowa przeprowadzi się razem z nim, a tkwiące w niej obrazy skazą jego nowe otoczenie. Nie mógł się pozbyć myśli o trumience z Kaskad. Miał tylko słowo trumniarza, że została wykonana przez kogoś innego, kogoś nie będącego autorem pozostałych czterech. Tyle że jeśli morderca jest naprawdę wyjątkowo sprytny, to mógł to przewidzieć i celowo zmienić sposób wykonania i narzędzia, tylko po to, by go wyprowadzić w pole...

Och, Chryste, znów się zaczyna... wciąż ten upiorny kołowrotek wirujący mu w głowie. Usiadł na murku, a Jean zapytała, czy może źle się poczuł.

– Trochę mnie boli głowa – odparł.

– A myślałam, że to kobieca przypadłość. – Powiedziała to z uśmiechem, ale widział, że nie jest rozbawiona.

– Powinienem wracać – rzekł. – Nie nadaję się dziś do towarzystwa.

– Chcesz się pozwierać? – Podniósł wzrok i ich oczy się spotkały, a ona parsknęła śmiechem. – Przepraszam, głupie pytanie. Jesteś typowym szkockim samcem i oczywiście nie chcesz o tym rozmawiać.

– To nie to, Jean. Ja tylko... – zawahał się. – Może jednak ta terapia nie byłaby taka zła.

Starął się to powiedzieć żartobliwie, więc nie podjęła tematu.

– Wracajmy – powiedziała. – I tak robi się już paskudnie zimno.

Wsunęła mu rękę pod ramię i ruszyli w drogę powrotną.

12

W drodze na Gayfield Square wściekłość zastępcy komendanta Colina Carswella systematycznie rosła i, gdy w ten ponury wtorkowy poranek dotarł na miejsce, pałał już prawdziwą żądzą krwi.

John Balfour na niego nawrzeszczał, a jego adwokat dołożył swoje, choć zrobił to znacznie subtelniejszym tonem głosu, który nawet na moment nie odbiegł od normy przynależnej profesjonalnemu i dobrze ułożonemu prawnikowi. Mimo wszystko Carswell czuł się sponiewierany i musiał się na kimś odegrać. Komendant policji był ponad to, a jego nietykalność była wartością, której należało chronić ponad wszystko. Cały ten pasztet leżał teraz na talerzu Carswella, a on przez wczorajszy wieczór próbował go przetrawić. Jednak równie dobrze mógłby starać się posprzątać za pomocą śmietniczki i pęsetki po wybuchu bomby.

Najtęższe głowy w prokuraturze pochyliły się nad zaistniałą sytuacją, po czym doszły do wniosku, przekazanego irytująco spokojnym i obojętnym tonem (co wyraźnie miało mu dać do zrozumienia, że to nie ich problem), że nic się nie da zrobić, by nie dopuścić do ukazania się artykułu. W końcu nikt nie potrafił dowieść, że laleczki w trumnach czy śmierć niemieckiego studenta, miały jakikolwiek związek z zabójstwem Philippy Balfour. Większość szefów policji zdawała się uważać, że związek tych spraw ze sobą jest w najlepszym razie mało prawdopodobny, i dlatego przekonanie sędziego, że artykuł Holly'ego może zaszkodzić śledztwu było praktycznie niemożliwe.

Pretensje ze strony Balfoura i jego adwokata sprowadzały się do pytania, dlaczego policja nie uznała za stosowne podzielić się z nimi informacjami na temat trumienek, niemieckiego studenta czy internetowej gry.

Komendant życzył sobie wiedzieć, co Carswell ma zamiar z tym wszystkim zrobić?

Carswell życzył sobie czyjejś krwi.

Oficjalna służbowa limuzyna Carswella z jego pupilkiem, inspektorem Derekiem Linfordem za kierownicą, zajęła przed główne wejście komisariatu wypełnionego już licznym tłumem oficerów. Na poranną odprawę „zaproszono” wszystkich – funkcjonariuszy mundurowych, pracowników wydziału śledczego, a nawet kryminologów z laboratorium w Howdenhall – którzy w przeszłości lub aktualnie mieli jakąkolwiek styczność ze sprawą Balfour. W rezultacie sala odpraw była wypełniona po brzegi i bardzo duszna. Świat na zewnątrz wciąż jeszcze próbował się otrząsnąć z nocnego opadu deszczu ze śniegiem, a płyty chodnika były wciąż mokre i przenikliwie zimne, co Carswell, mający na nogach buty na cienkich skórzanych zelówkach, wyraźnie odczuwał na własnych stopach.

– Idzie! – zwołał ktoś, widząc jak Linford wysiada, otwiera Carswellowi drzwi, zamyka je za nim, a potem lekko utykając, okrąża samochód i wraca na miejsce kierowcy. W sali rozległ się

szelest składanych i odkładanych na bok gazet – wcześniej niemal wszyscy mieli rozłożone przed sobą egzemplarze tego samego tabloidu. Pierwsza wkroczyła komisarz Gill Templer, ubrana jak na pogrzeb i z mocno podkrążonymi oczami. Pochyliła się i szepnęła coś do ucha inspektora Billa Pryde'a, który kiwnął głową, wydarł z notesu kawałek papieru i wypluł do niego gumę do żucia, nad którą przez ostatnie pół godziny intensywnie pracował. Kiedy chwilę później na salę wszedł zastępca komendanta Carswell, wśród uczestników odprawy dał się słyszeć szmer sadowienia się na krzesłach i niemal podświadomego poprawiania postawy i wyglądu.

– Brakuje kogoś? – odezwał się Carswell. Żadne „dzień dobry” czy „dziękuję za przybycie”, żadnych zwyczajowych grzeczności.

Templer przedstawiła krótką listę nieobecności usprawiedliwionych z powodu zwolnień lekarskich czy drobnych niedomagań. Carswell obojętnie kiwnął głową, tak jak by go to w ogóle nie interesowało i nie odczekał nawet, by skończyła odczytywanie listy.

– Mamy w naszym gronie kreta! – zawołał na tyle głośno, że słyhać go było na drugim końcu korytarza. Ze smutną miną pokiwał głową i omiół wzrokiem twarze wszystkich obecnych. Kiedy zauważył, że z tyłu siedzą jeszcze inni, których ze swego miejsca nie może przyszpilić wzrokiem, wstał i przespacerował się między stolikami. Siedzący musieli się trochę odsuwać, tak by mógł między nimi przejść bez konieczności dotykania kogokolwiek. – Kret to wstrętne stworzenie. Jest ślepy i nic nie widzi. Czasami ma ostre, chciwe pazury. I nie lubi, jak się go wydobywa na światło dzienne. – W kącikach ust pojawiły mu się drobiny śliny. – Kiedy u mnie w ogrodzie pojawia się kret, to wykładam truciznę. Niektórzy z was mogą powiedzieć, że to nie wina kretów. Że krety nie wiedzą, że znalazły się w czyimś ogrodzie, w którym panuje ład i porządek, a one swoją obecnością wszystko to psują. Ale niezależnie od tego, czy o tym wiedzą, czy nie, tak wygląda prawda. I dlatego należy się ich pozbywać. – Przerwał i w grobowej ciszy wrócił na miejsce.

Derek Linford niemal ukradkiem wśliznął się do sali i stanąwszy obok drzwi, poszukał wzrokiem Johna Rebusa, od niedawna swego wroga numer jeden...

Pojawienie się Linforda zdawało się wpływać na Carswella mobilizująco. Odwrócił się na pięcie i stanął twarzą do słuchaczy.

– Może było to niedopatrzenie. Wszyscy popełniamy omyłki i na to nie ma rady. Ale, na Boga, wygląda na to, że wyciekło na zewnątrz mnóstwo najświeższych informacji! – Znów zawiesił głos. – Więc może chodzi tu o szantaż? – Teraz na odmianę wrzucił ramionami. – Ktoś taki jak Steven Holly jest czymś gorszym od kreta i stoi od niego niżej na drabinie ewolucyjnej. On jest jak robak wijący się w błotnistym dnie stawu. – Wolno przesunął rękę, jakby rozgarniał wodę w tym stawie. – Jemu się zdaje, że nas załatwił, a to nieprawda. Gra jeszcze nie skończona i wszyscy o tym wiemy. Stanowimy jedną drużynę. Bo my tak działamy! I każdy, komu się to nie podoba, może poprosić o przeniesienie do innych obowiązków. To dziecinnie proste, proszę

państwa. Przez chwilę o tym pomyślcie. – Zniżył głos. – Pomyślcie o ofierze i pomyślcie o jej rodzinie. I pomyślcie, jaki ból jej to sprawi. Bo to dla niej tu harujemy, nie dla czytelników szmatławej prasy i nie dla pismaków, którzy dostarczają im codziennej porcji pomysł.

– Może ktoś z was ma żal do mnie albo do innych członków naszej drużyny. Tylko na litość boską, dlaczego to oni mają na tym cierpieć: rodzina i przyjaciele ofiary szykujący się do jutrzejszego pogrzebu. Dlaczego ktoś miałby tych ludzi tak potwornie krzywdzić? – Zamilkł, czekając, by pytanie zawisło w powietrzu i jednocześnie powoli prześlizgując się wzrokiem po twarzach i patrząc na głowy zwieszane w poczuciu zbiorowej winy. Potem zaczerpnął powietrza i znów podniósł głos. – Znajdę tego kreta, kimkolwiek by był. Niech wam się nie zdaje, że mu się uda. Niech jemu się nie zdaje, że go ochroni pan Steven Holly. On was wszystkich ma gdzieś. Jeżeli kret będzie chciał pozostać w ukryciu, będzie musiał go karmić coraz to nowymi donosami i robić to już zawsze! On już mu nie pozwoli wrócić do tego świata, jaki znał przedtem. Już jesteś kimś innym. Jesteś kretem, i to jego kretem. I on ci już nigdy nie pozwoli spocząć, nigdy ci nie pozwoli zapomnieć.

Zerknął w stronę Gill Templer, która stała pod ścianą z założonymi rękami i też świdrowała wzrokiem twarze obecnych.

– Wiem, że dla niektórych brzmi to jak przemowa belfra w szkole. Jacyś niesforni uczniowie wybili szybę albo wysmarowali bohomy na ścianie szopy na rowery. – Potrząsnął głową. – Przemawiam do was tym językiem, bo to ważne, byśmy wszyscy mieli jasność, o jaką stawkę idzie gra. Ceną za gadulstwo może nie być czyjeś życie, ale to nie znaczy jeszcze, że można sobie na nie pozwalać. Trzeba uważać, co się mówi i do kogo. Jeżeli osoba odpowiedzialna za ten przeciek chce się przyznać, proszę bardzo. Może to zrobić teraz albo później. Będę tu jeszcze przez jakąś godzinę i zawsze można mnie znaleźć w biurze na Fettes. I niech się ten kret zastanowi, jaką zapłaci cenę, jeśli tego nie zrobi. Przystanie być członkiem drużyny i przestanie stać po stronie dobra. Znajdzie się w kieszeni dziennikarzyny. I to na tak długo, jak to tamtemu będzie odpowiadać. – Przerwa, którą teraz zrobił, zdawała się trwać wieczność. Nikt nie zakasłał, nikt nie odchrząknął. Carswell wsunął ręce do kieszeni i stał ze zwieszoną głową, jakby go nagle zainteresował wygląd własnych butów. – Komisarz Templer? – powiedział w końcu.

Teraz na środek wyszła Gill Templer, a obecni wyraźnie odetchnęli.

– Nie cieszcie się przedwcześnie – powiedziała ponuro – bo to jeszcze nie koniec! Więc tak, nastąpił przeciek do prasy i teraz naszym głównym zadaniem jest ograniczenie do minimum wynikających stąd szkód. Od tej chwili nikt nie ma prawa rozmawiać z kimkolwiek, jeśli wcześniej nie uzyska mojej akceptacji, jasne? – Przez salę przetoczył się pomruk, mający znaczyć, że jasne.

Templer mówiła dalej, jednak Rebus przestał już jej słuchać. Nie miał też ochoty słuchać Carswella, jednak trudno się było zupełnie wyłączyć. Godne podziwu wystąpienie. Obmyślił

sobie nawet analogię z ogrodowym kretem, dzięki czemu osiągnął swoje, nie przekraczając jednocześnie granicy śmieszności.

Ale główną uwagę Rebus poświęcił obserwowaniu ludzi wokół. Gill i Bill Pryde praktycznie nie wchodzili w rachubę i okazywane przez nich zdenerwowanie można było pominąć. Dla Billa świetna okazja, żeby zabłysnąć; dla Gill pierwsze poważne śledztwo na stanowisku komisarza. Żadne z nich nie pozwoliłoby sobie na coś takiego...

No i ludzie z bliższego kręgu: Siobhan, która z wielką uwagą słuchała przemówienia Carswella, może starając się czegoś z niego nauczyć. Miała oczy i uszy wiecznie otwarte na wszelkie nowe lekcje. Grant Hood – ten też miał wiele do stracenia. Siedział bez ruchu z wyrazem przygnębienia na twarzy, z rękami ułożonymi na piersiach i żołądku, jakby chcąc je osłonić przed niespodziewanym ciosem. Rebus wiedział, że Grant znalazł się w tarapatkach. W przypadku przecieku do prasy, wszystkie oczy w pierwszej kolejności zwracały się na rzecznika. To on przecież miał najszersze kontakty z mediami: jakieś nieostrożne słowo, jakieś niewinne żarciki po alkoholu na koniec wystawnej kolacji. I nawet jeśli to nie jego wina, to rolą dobrego rzecznika prasowego była „minimalizacja szkód”, o czym wspomniała Gill Templer. Mając odpowiednie doświadczenie, można było ustawić dziennikarzy po swojemu, nawet jeśli w tym celu trzeba by się uciec do swoistego przekupstwa, na przykład obietnicą przekazania informacji w pierwszej kolejności na temat jakiejś innej sprawy w przeszłości...

Rebus zastanawiał się nad rozmiarem wyrządzonych szkód. Quizmaster dowie się z artykułu czegoś, co pewnie i tak cały czas podejrzewał: że gra nie ograniczała się tylko do niego i Siobhan, i że informowała o wszystkim swoich kolegów. Wyraz jej twarzy nie zdradzał niczego, ale Rebus czuł, że już myśli, ja z tego wybrnąć i jak sformułować następną wiadomość dla Quizmastera, o ile oczywiście będzie chciał grać dalej... Historia trumienek z Arthur's Seat zirytowała go tylko o tyle, że artykuł wymieniał z nazwiska Jean, nazywając ją „wtyczką policji w muzeum”. Przypomniawszy sobie, że Holly dzwonił do niej wielokrotnie i z uporem próbował się z nią skontaktować. Czy coś jej się może wymknęło przez nieuwagę? Osobiście był przekonany, że nie.

Nie, winowajczynię miał już na celowniku. Ellen Wylie wyglądała jak przepuszczona przez wyżymaczkę. Miała lekko skołtunione włosy, a na twarzy zamarł jej wyraz rezygnacji. Podczas całego przemówienia Carswella siedziała ze wzrokiem wbitym w podłogę i nie uniosła głowy nawet na zakończenie. Teraz nadal miała głowę opuszczoną i wyglądała, jakby zbierała siły i jakiegoś działania. Rebus wiedział, że wczoraj rozmawiała telefonicznie z Hollym. Najpierw chodziło o jego artykuł o niemieckim studencie, ale potem sprawiała wrażenie zupełnie oklapniętej. Wtedy Rebusowi zdawało się, że to dlatego, iż jej śledztwo znów zabrnęło w ślepią uliczkę. Jednak teraz wiedział już, że chodziło o coś innego. I kiedy wyszła z hotelu Caledonian, pobiegła albo do biura Holly'ego, albo do jakiegoś baru czy kawiarni na spotkanie z nim.

Czyli ją omotał.

Może Shug Davidson też na to wpadnie. Może jej koledzy z West Endu zwrócili uwagę na zmianę, jaka w niej zaszła po tej rozmowie telefonicznej. Rebus wiedział jednocześnie, że jej nie wydadzą. Nie robi się takich rzeczy. Nie wydaje się kogoś swoich.

Widać było, że już od wielu dni Wylie rozłązi się w szwach. Poprosił o przydzielenie jej do sprawy trumienek w nadziei, że to jej pomoże się pozbierać. Tyle że może miała rację, może istotnie traktował ją trochę protekcjonalnie jak „niepełnosprawną”, jak kogoś niepełnowartościowego, kto podda się jego woli i weźmie na siebie wszystkie niewdzięczne i uciążliwe zadania w ramach śledztwa, które i tak będzie się liczyło jako jego.

Może rzeczywiście kierowały nim ukryte motywy.

Wylie zapewne potraktowała to jako okazję, by się na nich wszystkich odegrać: na Gill Templer, która ją publicznie upokorzyła; na Siobhan, której akcje u Templer wciąż stały tak wysoko; na Hoodzie, nowej gwiazdzie radzącej sobie świetnie tam, gdzie jej się nie udało... i na nim też, za to manipulowanie nią, wykorzystywanie i pomiatanie.

Widział dwa możliwe wyjścia: albo przyzna się do wszystkiego, albo będzie dusić w sobie złość i frustrację. Gdyby wtedy przyjął propozycję wspólnego drinka po pracy... może by się otworzyła i posłuchała jego rad. Może właśnie tego jej było trzeba. Ale nie zrobił tego, wolał samotnie wyniknąć się do pubu.

No pięknie, John, ładnie rozegrane. Niespodziewanie wyobraził sobie dziwaczny obraz: jak jakiś znany bluesman śpiewa *Bluesa dla Ellen Wylie*. Na przykład John Lee Hooker albo B.B. King... Przyłapał się na tym i szybko się go pozbył. Niewiele brakowało, by sam nie zapadł się w muzykę i nie zaczął układać tekstu tego bluesa.

Jednak teraz Carswell przystąpił do odczytywania listy nazwisk i usłyszał wśród nich własne. Posterunkowy Hood... posterunkowa Clarke... sierżant Wylie... Trumienki, niemiecki student – to przecież oni pracowali nad tymi sprawami i teraz zastępca komendanta życzył sobie z nimi porozmawiać. Carswell oświadczył, że rozmowa odbędzie się w „gabinecie szefa”, co oznaczało pokój szefa komisariatu, czasowo oddany Carswellowi do dyspozycji.

Wychodząc z sali odpraw, Rebus próbował uchwycić wzrok Billa Pryde’a, ponieważ jednak Carswell już wyszedł, Bill zajął się obmacywaniem kieszeni w poszukiwaniu kolejnej gumy do zucia. Rozejrzał się też dookoła za nieodłączną podkładką na papiery. Rebus zamykał jako ostatni smętny wąż kolegów, mając przed sobą Hooda, a dalej z przodu Wylie i Siobhan. Głowę węża stanowili Carswell i Templer. Derek Linford stał pod drzwiami pokoju szefa i na ich widok usłużnie otworzył im drzwi, po czym usunął się na bok. Wbił w Rebusa wzrok, starając się zmusić go do odwrócenia głowy, ale ten się nie dał. Wpatrywali się w siebie bez słowa, aż Gill zamknęła za nimi drzwi i zakończyła ten niemy pojedynek.

Carswell przysunął sobie krzesło do biurka.

– Słyszeliście, co miałem do powiedzenia – oświadczył – więc nie będę was nudził powtarzaniem wszystkiego od nowa. Jeśli nastąpił przeciek, to jego sprawcą było jedno z was. Ten gówniarz Holly dysponuje zbyt wieloma szczegółami. – Zamilkł i po raz pierwszy spojrzął im prosto w twarz.

– Panie komendancie – odezwał się Hood, robiąc pół kroku do przodu i składając ręce za sobą – moim obowiązkiem rzecznika prasowego było zduszenie tego artykułu w zarodku. Chciałbym więc teraz publicznie przeprosić, że...

– Tak, tak, synu, wszystko to już mówiłeś wczoraj wieczorem. Teraz chcę usłyszeć krótkie przyznanie się do winy.

– Z całym szacunkiem, panie komendancie – odezwała się Siobhan – ale nie jesteśmy przestępcami. Prowadząc śledztwo, musieliśmy zadawać pytania i ujawniać pewne szczegóły, żeby wyciągnąć od ludzi inne. Steve Holly mógł po prostu złożyć to wszystko razem bez niczyjej pomocy...

Carswell bez słowa przewiercił ją wzrokiem, potem burknął:

– Komisarz Templer?

– Steve Holly nie działa w ten sposób, jeśli nie musi. Nie należy do najbystrzejszych w całej wsi, jest natomiast bardzo przebiegły i bezwzględny. – Pewność, z jaką mówiła te słowa, miała dać Siobhan do zrozumienia, że całą sytuację już dokładnie przemyślała i przeanalizowała. – Myślę, że niektórzy inni pismacy potrafiliby poskładać razem dostępne fragmenty i wyciągnąć z tego jakieś wnioski, ale nie Holly.

– Ale to przecież on opisał tę historię niemieckiego studenta – przypomniała Siobhan.

– Ale nie miał prawa wiedzieć o grze internetowej – powiedziała Templer bez zastanowienia. Widać było, że ten argument też już został przedyskutowany w gronie szefostwa.

– Wierzcie mi, mamy za sobą długą noc – odezwał się Carswell. – Wszystko to wielokrotnie wałkowaliśmy i nieodmiennie nam wychodziło, że to ktoś z waszej czwórki.

– Pomagali nam też ludzie z zewnątrz – odezwał się Hood. – Pani kustosz z muzeum, emerytowany patolog...

Rebus mu przerwał, kładąc rękę na ramieniu.

– To ja – oświadczył, a wszystkie głowy zwróciły się ku niemu. – Myślę, że to mogłem być ja.

Starł się nie patrzeć w stronę Ellen Wylie, czuł jednak, że ona wwierca się w niego wzrokiem.

– Jakiś czas temu byłem w Kaskadach i rozmawiałem z mieszkanką nazwiskiem Bev Dodds. To ta, która znalazła trumienkę obok wodospadu. Steve Holly już wcześniej się koło niej kręcił i pewnie mu wszystko opowiedziała...

– No i co z tego?

– Wygadałem się, że wcześniej też były inne trumienki... to znaczy, wygadałem się przed nią. – Pamiętał dokładnie ten moment, tyle że zrobiła to Jean. – Więc jeśli ona puściła to dalej i powiedziała Holly’emu, to był to dla niego doskonały punkt zaczepienia. Była wtedy ze mną Jean Burchill, kustosz z muzeum. To z kolei mogło go naprowadzić na ślad wiodący do Arthur’s Seat...

Carswell patrzył na niego zimno.

– A ta gra internetowa? – zapytał.

Rebus pokręcił głową.

– Tego nie potrafię wytłumaczyć, tyle że nie robiliśmy z tego tajemnicy. Pokazywaliśmy hasła niemal wszystkim przyjaciółom ofiary i pytaliśmy, czy nie zwracała się do nich o pomoc... Każda z tych osób mogła o tym opowiedzieć Holly’emu.

Nie spuszczać wzroku z Rebusa, Carswell zapytał:

– Więc bierzecie na siebie pełną odpowiedzialność?

– Mówię tylko, że to może być moja wina. Tylko to jedno potknięcie... – Zwrócił się do pozostałych. – Nawet nie wiem, jak mam wyrazić, jak bardzo mi przykro. Wszystkich was zawiodłem. – Jego wzrok prześlizgnął się po twarzy Wylie i trzymał na jej włosach.

– Panie komendancie – odezwała się nagle Siobhan. – To, do czego inspektor Rebus przed chwilą się przyznał, może właściwie dotyczyć nas wszystkich. Jestem pewna, że mnie te się zdarzyło powiedzieć więcej, niż należało...

Carswell lekceważąco machnął na nią ręką, żeby była cicho.

– Inspektorze Rebus – powiedział. – Z tą chwilą zawieszam was w czynnościach aż do zakończenia śledztwa w sprawie.

– Pan nie może tego zrobić! – wybuchła Ellen Wylie.

– Milcz, Wylie! – syknęła Gill Templer.

– Inspektor Rebus doskonale zna konsekwencje swojej postępowania – dodał Carswell.

Rebus pokiwał głową.

– Wiem, kogoś trzeba ukarać – zawiesił głos. – Dla dobra całej drużyny.

– Otóż to – powiedział Carswell, kiwając głową. W przeciwnym razie wkrada się brak zaufania i drużynę od środka zaczyna zżerać korozja. A chyba nikt z nas sobie tego nie życzy, prawda?

– Nie, panie komendancie – rozległ się samotny głos Hooda

– Idźcie do domu, inspektorze Rebus – oznajmił Carswell. – Napiszcie raport i opiszcie swoją wersję wydarzeń, niczego nie pomijając. Porozmawiamy później.

– Tak jest, panie komendancie – powiedział Rebus, obrócił się na pięcie i otworzył drzwi. Linford stał tuż za nimi i zdrową połową twarzy uśmiechał się. Rebus nie miał wątpliwości, że podsłuchiwał. Przyszło mu nagle do głowy, że teraz Carswell i Linford będą mogli razem się

postarać, by zarzuty wobec niego wypadły jak najgorzej.

Stworzył im właśnie idealną okazję, by mogli raz na zawsze się go pozbyć.

Jego mieszkanie było gotowe do sprzedaży, zadzwonił więc do agencji, by ją o tym poinformować.

– Czwartki wieczorem i niedziele po południu na oględziny, może być? – spytała szefowa biura.

– Chyba tak – odparł. Siedział na swym ulubionym fotelu i wyglądał przez okno. – Czy można to jakoś tak zorganizować, żeby... żeby mnie przy tym nie było?

– Chce pan, żeby ktoś za pana pokazywał mieszkanie?

– Właśnie.

– Mamy ludzi, którzy za niewielką opłatą mogą się tego podjąć.

– To dobrze. – Nie chciał być świadkiem tego, jak obcy ludzie będą się tu panoszyć i wszystkiego dotykać... Obawiał się, że mógłby się okazać nie najlepszym sprzedawcą.

– Dysponujemy fotografią – powiedziała szefowa agencji – więc ogłoszenie w Informatorze Nieruchomości może się ukazać już w następny czwartek.

– A nie pojutrze?

– To niestety niemożliwe...

Po skończonej rozmowie przeszedł do holu. Wszędzie zainstalowano nowe wyłączniki i nowe gniazdka. Dzięki malowaniu, w całym mieszkaniu zrobiło się dużo jaśniej. Zrobiło się też przestronniej, a to dzięki trzem wycieczkom na zwałowisko śmieci: stojący wieszak, który po kimś odziedziczył, kartony pełne starych czasopism i gazet, dwuspiralowy grzejnik elektryczny z przetartym kablem, komoda z dawnego pokoju Samantha wciąż jeszcze oklejona zdjęciami gwiazd muzyki pop z lat osiemdziesiątych... Wykładziny dywanowe też już wróciły na miejsce. Jeden z kompanów od kieliszka z baru Swany's pomógł mu je ułożyć. Zapytał przy tym, czy chce, żeby je na krawędziach przymocować do podłogi, ale Rebus uznał, że to nie ma sensu.

– Nowi właściciele i tak je wymienią.

– Powinieneś te podłogi przeszlifować. Byłyby wtedy dodatkowym atutem...

Rebus tak długo pozbywał się gratów, aż zostało ich mniej niż na potrzeby dwupokojowego mieszkania, które planował, nie mówiąc już o czterech, jakie posiadał obecnie. Tyle że wciąż jeszcze nie miał się dokąd wyprowadzić. Wiedział, jak wygląda rynek nieruchomości w Edynburgu. Jeżeli jego mieszkanie na Arden Street trafi na rynek w następny czwartek, tydzień później może już być po wszystkim. Czyli za dwa tygodnie może się stać człowiekiem bezdomnym.

Nie mówiąc o tym, że także bezrobotnym.

Spodziewał się, że ktoś do niego zadzwoni i nie zawiódł się. Zadzwoniła Gill Templer.

- Ty głupi kretynie! – zaczęła.
- Cześć, Gill.
- Nie mogłeś trzymać gęby na kłódkę?
- Pewnie mogłem.
- Zawsze szlachetny kozioł ofiarny, co? – W jej głosie była złość, zmęczenie i napięcie.

Potrafił sobie wyobrazić przyczyny wszystkich trzech.

- Powiedziałem tylko prawdę.
- Chyba pierwszy raz w życiu. Tyle że ci nic a nic nie wierzę.
- Nie?
- Daj spokój, John. Przecież Wylie miała na czole wypisane: „To ja”.
- I myślisz, że chciałem ją specjalnie kryć?
- Akurat nie mam cię za wcielenie sir Galahada. Musiałeś w tym mieć jakiś swój interes.

Choćby tylko to, żeby wkurzyć Carswella. Przecież wiesz, że cię serdecznie nienawidzi.

Rebus nie miał ochoty przyznawać jej racji.

- A co poza tym? – zapytał.

Złość jej trochę zelżała.

- Na biuro prasowe runęła lawina pytań. Muszę się sama w to włączać.

Rebus nie miał wątpliwości, że nie próżnuje. Wszystkie pozostałe gazety i inne media próbują teraz na gwałt pójść tropem Holly’ego.

- A u ciebie?
- Co u mnie?
- Co masz zamiar zrobić?
- Jeszcze się nie zastanowiłem.
- No cóż...
- Nie chcę ci zabierać czasu, Gill. Dzięki za telefon.
- Na razie, John.

Ledwo odłożył słuchawkę, telefon znów zadzwonił. Grant Hood.

- Chciałem tylko podziękować, że nas pan wszystkich wyratował.
- Nie byłeś niczym zagrożony, Grant.
- Właśnie, że byłem, proszę mi wierzyć.
- Słyszałem, że masz dużo roboty.
- Skąd...? – Grant zrobił przerwę. – Ach, dzwoniła do pana komisarz Templer.
- Czy ona ci pomaga, czy cię wyręcza?
- Właściwie to trudno powiedzieć.
- Nie ma jej tam obok ciebie?
- Nie, jest u siebie. Kiedy wychodziliśmy z tego spotkania z zastępcą komendanta...

wyglądało tak, jakby z nas wszystkich jej najbardziej ulżyło.

– Może dlatego, że ona z was wszystkich ma najwięcej do utracenia. Możesz tego w tej chwili nie dostrzegać, ale taka jest prawda.

– Ma pan na pewno rację – powiedział Grant, choć nie bardzo mógł się pogodzić z tym, że to nie jego kariera była w tym wszystkim najważniejsza.

– Leć do roboty Grant i dzięki, że znalazłeś chwilę, by zadzwonić.

– Do zobaczenia. Mam nadzieję, że wkrótce.

– Nigdy nic nie wiadomo...

Rebus odłożył słuchawkę i przez chwilę wpatrywał się w telefon, jednak ten już nie zadzwonił. Poszedł do kuchni, by zrobić sobie herbatę, i stwierdził, że skończyły mu się zarówno torebki z herbatą, jak i mleko. Nie wkładając nawet marynarki, zbiegł po schodach do miejscowego sklepiku, gdzie zakupy uzupełnił jeszcze paroma plasterkami szynki, bułkami i musztardą. Po powrocie do domu zastał pod drzwiami kogoś, kto jednocześnie naciskał dzwonek i mówił do kratki domofonu.

– No dalej, nie udawaj, wiem, że tam jesteś...

– Cześć, Siobhan.

Gwałtownie odwróciła się w jego stronę.

– Chryste, ale mnie prze... – Chwyciła się za gardło.

Rebus wyciągnął rękę i kluczem otworzył drzwi.

– Dlatego, że cię zaszedłem od tyłu, czy dlatego, że już myślałaś, że siedzę na górze z podciętymi żyłami? – Przytrzymał jej drzwi.

– Co? Nie, wcale tak nie myślałam. – Ale widać było, jak rumieniec wykwitła jej na policzkach.

– Więc, żebyś się więcej nie martwiła, to ci powiem, że jeśli kiedykolwiek zdecyduję się z sobą skończyć, to zrobię to za pomocą morza gorzały i garści tabletek. A dla mnie „morze” to sesja co najmniej dwu – albo trzydniowa, więc będziesz miała kupę czasu, żeby zadziałać. – Wyprzedził ją na schodach i otworzył drzwi do mieszkania. – To twój szczęśliwy dzień – powiedział. – Nie tylko nie leżę martwy, ale mogę cię jeszcze poczęstować bułką z szynką i musztardą.

– Tylko herbatę, dzięki – rzekła, odzyskując wreszcie równowagę. – Słuchaj, ten hol wygląda teraz rewelacyjnie!

– Rozejrzyj się po całym mieszkaniu. Muszę zacząć przyzwyczajając się do oglądaczy.

– Chcesz powiedzieć, że mieszkanie jest już oferowane do sprzedaży.

– Będzie od przyszłego tygodnia.

Otworzyła drzwi do sypialni i wsadziła głowę do środka.

– No proszę, wyłącznik z przyciemniaczem – zauważyła i wypróbowała, jak działa.

Rebus przeszedł do kuchni, nastawił czajnik i wyciągnął z szafki dwa czyste kubki. Na jednym z nich widniał napis: NAJLEPSZY TATUŚ NA ŚWIECIE. Nie należał do niego, pewnie musiał go tu zapomnieć któryś z elektryków. Uznał, że dla Siobhan będzie akurat. Dla siebie wybrał kubek nieco wyższy z wyszczerbioną krawędzią i obrazkiem przedstawiającym maki.

– Nie dałeś pomalować salonu – powiedziała, wchodząc do kuchni.

– Był nie tak dawno malowany.

Kiwnęła głową. Czuła, że nie mówi jej całej prawdy, ale nie miała zamiaru z niego wyciągać.

– Ty i Grant wciąż ze sobą kręcicie? – zapytał.

– Nigdy nie kręciliśmy. I ten temat jest zamknięty.

Wyjął z lodówki mleko.

– Musisz uważać, bo inaczej możesz trafić na jakiegoś frajera.

– Słucham?

– Kogoś niegodnego ciebie. Już jeden taki mnie dziś sztyletował wzrokiem.

– Mój Boże, Derek Linford. – Zamyśliła się. – Ależ on dziś okropnie wyglądał, co?

– A bywa inaczej? – Rebus umieścił po torebce herbaty w obu kubkach. – To jak, przyszedł tu na przeszpiegi, czy żeby mi podziękować za nadstawienie karku?

– Za to ci na pewno nie podziękuję. Mogłeś trzymać język zębami i sam wiesz o tym najlepiej. Wpakowałaś się w to wyłącznie na własne życzenie. – Zamilkła.

– No i? – powiedział, zachęcając ją do dalszego ciągu.

– No i to znaczy, że masz w tym jakiś zamysł.

– Właściwie, to nie... nic konkretnego.

– To dlaczego to zrobiłeś?

– Bo tak było najszybciej i najprościej. Gdyby mi się chciało przez chwilę pomyśleć, to może trzymałbym język za zębami.

Dolał do kubków wrzątku i zimnego mleka i podał jeden Siobhan. Spojrzała na pływającą po wierzchu torebkę z herbatą. – Wyciągnij ją sobie jak będzie dość mocna – zaproponował.

– Pychota.

– Na pewno nie masz ochoty na bułkę z szynką?

Potrząsnęła głową.

– Ale mną się nie krępuj – dodała.

– Może trochę później – powiedział i poszedł pierwszy do pokoju. – W robocie spokój?

– Mów sobie, co chcesz, ale Carswell potrafi nieźle trafić do ludzi. Wszyscy są przeświadczeni, że to dzięki jego przemówieniu ruszyło cię sumienie i postanowiłeś się przyznać.

– A sami się teraz jeszcze bardziej starają niż dotąd, tak? Odczekał aż przytaknęła. – Drużyna szczęśliwych ogrodników i żadnych wstrętnych kretów, które by im psuły robotę.

Siobhan uśmiechnęła się.

– Trochę to prostackie, nie uważasz? – Rozejrzała się po pokoju. – To gdzie się stąd wyniesiesz, jak to sprzedasz?

– A masz może wolny pokój gościnny?

– Zależy na jak długo.

– Żartuję, Siobhan. Dam sobie radę. – Pociągnął łyk herbaty. – A właściwie, co cię tu sprowadza?

– Poza przeszpiegami, tak?

– Domyślam się, że musi być coś poza.

Wyciągnęła rękę i postawiła kubek na podłodze.

– Dostałam następną wiadomość.

– Od Quizmastera? – spytał, a gdy kiwnęła głową, dodał – A co dokładnie?

Wyciągnęła z kieszeni kilka kartek i mu podała. Biorąc je, końcami palców dotknął jej dłoni.

Na pierwszej był jej e-mail do Quizmastera:

Wciąż czekam na Rygory.

– Wysłałam to dziś z samego rana – wyjaśniła. – Pomyślałam sobie, że może jeszcze nic nie wie.

Na drugiej kartce była odpowiedź od Quizmastera.

Rozczarowałaś mnie, Siobhan. Zabieram zabawki i idę do domu.

Potem wiadomość od Siobhan: *Nie wierz we wszystko co piszą. Nadal chcę grać.*

Quizmaster: *Po to, żeby donosić wszystko szefom?*

Siobhan: *Tym razem tylko ty i ja. Obiecuję.*

Quizmaster: *Jak mogę ci ufać?*

Siobhan: *Ja ci zaufałam, prawda? I wiesz, gdzie możesz mnie znaleźć. A ja wciąż nic o tobie nie wiem.*

– Po wysłaniu tej wiadomości musiałam dość długo czekać na jego odpowiedź. Wreszcie nadeszła jakieś – spojrzała na zegarek – czterdzieści minut temu.

– I wtedy od razu tu przyjechałaś?

– Mniej więcej – powiedziała, wzruszając ramionami.

– I nie pokazałaś tego Bani.

– Wysłali go z biura kryminalnego w jakiejś sprawie.

– A komuś innemu? – Potrząsnęła głową. – To dlaczego ja?

– Jak już się tu znalazłam – odparła – to właściwie sama nie wiem dlaczego.

– To przecież Grant ma głowę do zagadek, nie ja.

– W tej chwili na głowie ma ważniejszą zagadkę: jak się utrzymać na swoim stołku.

Rebus pokiwał wolno głową i przeczytał treść ostatniej kartki.

Dodaj Camusa do ME Smitha i patrz, jak boksują tam, gdzie słońce nie dociera, a Frank

Finlay im sędziuje.

– No dobra, przeczytałem – wyciągnął ku niej kartkę – i nic z tego nie rozumiem.

– Nic?

Potrząsnął głową.

– Był kiedyś taki aktor – Frank Finlay – może nawet wciąż jeszcze żyje. Zdaje się, że grał w telewizji Casanovę i wystąpił też w czymś, co się nazywało *Drut kolczasty i kwiaty...* czy jakoś tak.

– *Bukiet kolczastego drutu.*

– Możliwe. – Ponownie rzucił okiem na tekst. – Camus był francuskim pisarzem. Myślałem, że się go wymawia „kamus”, póki nie usłyszałem kogoś w radio czy w telewizji.

– A to boksowanie? Przecież musisz coś o tym wiedzieć.

– Marciano, Dempsey, Cassius Clay nim stał się Alim... – Wzruszył ramionami.

– *Tam gdzie słońce nie dociera* – powiedziała Siobhan. – To chyba amerykańskie wyrażenie, nie?

– I znaczy „w dupie” – potwierdził Rebus. – A co, twój Quizmaster robi nagle za Amerykanina?

Uśmiechnęła się, ale w jej uśmiechu nie było radości.

– Posłuchaj mojej rady, Siobhan. Przekaż to do biura kryminalnego albo do służb specjalnych, albo tam, gdzie się zajmują namierzaniem tego dupka. Albo mu wyślij maila, żeby się wypchał. – Zrobił pauzę i dodał: – Powiedziałas, że on wie, gdzie cię szukać?

Kiwnęła głową.

– Zna nazwisko i wie, że pracuję w wydziale śledczym edynburskiej policji.

– Ale nie wie, gdzie mieszkasz? I nie ma twojego numeru telefonu? – Zaprzeczyła, a on kiwnął głową uspokojony. Przypomniawszy sobie listę numerów przypiętą do ściany w boksie Holly’ego. – To go sobie odpuść – powiedział cicho.

– Ty byś też tak zrobił?

– Usilnie bym to sobie perswadował.

– Więc nie chcesz mi pomóc?

Spojrzał na nią.

– Jak ci mogę pomóc?

– Przepisać tekst i zacząć główkować.

Roześmiał się.

– Chcesz mnie jeszcze bardziej narazić Carswellowi?

Spojrzała na rozłożone kartki.

– Masz rację – powiedziała. – Nie pomyślałam. Dziękuję za herbatę.

– To zostań i ją dokończ. – Patrzył, jak się zbiera do wyjścia.

– Muszę wracać. Mam mnóstwo rzeczy do zrobienia.

– A pierwszą będzie oddanie komuś tej zagadki?

Spojrzała mu prosto w oczy.

– Wiesz, że twoje rady zawsze są dla mnie bardzo cenne.

– Czy to znaczy „tak”, czy „nie”?

– Potraktuj to jako „może”.

Sam też wstał.

– Dziękuję, że wpadłaś.

Ruszyła w stronę drzwi.

– Linford się na ciebie zawziął, prawda? On, razem z Carswellem.

– Nie przejmuj się tym.

– Ale notowania Linforda rosną. Za jakiś czas awansuje na starszego inspektora.

– A skąd wiesz, że moje nie rosną?

Odwróciła głowę i obrzuciła go spojrzeniem, ale się nie odezwała. Nie musiała. Wyszedł za nią do holu i otworzył drzwi. Stojąc już na klatce schodowej, odwróciła się i rzekła:

– Wiesz, co powiedziała Wylie po naszym spotkaniu z Carswellem?

– No?

– Nic. Nie powiedziała ani słowa. – Z jedną ręką na poręczy schodów znów na niego spojrzała. – To dziwne. Spodziewałam się po niej długiego wywodu na temat twojego kompleksu cierpiętnika...

Rebus stał przez chwilę w holu i słuchał jej cichnących kroków. Potem przeszedł do pokoju i stanął przy oknie. Wspiął się na palce i z wyciągniętą szyją patrzył, jak wychodzi z budynku i zatrząskuje za sobą drzwi. Przyszła, by go o coś prosić, a on jej odmówił. Jak jej mógł wytłumaczyć, że to dlatego, że nie chce, by stała jej się jakaś krzywda, tak jak w przeszłości wielu ludziom z jego bliskiego otoczenia? Jak jej wytłumaczyć, że musi się sama uczyć od życia i nie oglądać na niego, bo dzięki temu stanie się lepszą policjantką i lepszym człowiekiem.

Odwrócił się od okna. Jego demony nie nękały go, ale były obecne. Ludzie, których skrzywdził i którzy skrzywdzili jego, ludzie, którzy ponieśli niepotrzebną i bolesną śmierć. Ale już niedługo. Jeszcze parę tygodni i może zdoła się od nich uwolnić. Wiedział, że telefon już nie zadzwoni, a Ellen Wylie nie przyjdzie go odwiedzić. Rozumieli się wystarczająco dobrze, by uznać takie demonstracje za zbyteczne. Może kiedyś w przyszłości usiądą razem i porozmawiają. Ale równie prawdopodobne było to, że już nigdy nie odezwie się do niego słowem. On jej skradł ten moment, a ona mu na to pozwoliła. Raz jeszcze porażkę wydarło z gardła zwycięstwa. Ciekaw był, czy po tym wszystkim zostanie w kieszeni u Steve’a Holly’ego... oraz, jak ciemna i głęboka okaże się ta kieszeń.

Przeszedł do kuchni i wylał do zlewu herbatę Siobhan i resztkę swojej. Nalał sobie do czystej

szklanki na dwa palce słodowej whisky i wyjął z szafki butelkę IPA. Wrócił do pokoju, zasiadł w swoim fotelu, wyciągnął z kieszeni notes i długopis i z pamięci napisał ostatnią wskazówkę Quizmastera...

Całe przedpołudnie Jean Burchill spędziła, uczestnicząc w serii spotkań i konferencji, w tym jednej poświęconej wysokości dotacji dla muzeów, która z gorącej przerodziła się w niemal wybuchową, kiedy to jeden z kustoszy opuścił salę, trzaskając drzwiami, a inna pracownica omal nie dostała hysterii.

W porze lunchu czuła się już zupełnie wyczerpana, a zaduch panujący w pokoju jeszcze dodatkowo wzmagał pulsujący ból głowy. Steve Holly zostawił jej kolejne dwie wiadomości, wiedziała więc, że jeśli zostanie przy biurku z kanapką w dłoni, to jej telefon znów zadzwoni. Wyszła z biura i dołączyła do exodusu pracowników tymczasowo wypuszczonych z niewoli na czas potrzebny, by stanąć w kolejce w piekarni po kanapkę lub zapiekankę. Szkoci mogą się pochwalić niechlubnym rekordem w statystyce chorób serca i próchnicy zębów, co wynika z ich diety opartej na nasyconych tłuszczach, soli i cukrze. Często się zastanawiała, skąd się to bierze, że Szkoci tak chętnie sięgają po gotowe produkty, czekoladę, frytki i napoje gazowane? Czy wynika to z ich klimatu? Czy może odpowiedź leży głębiej, w ich cechach narodowych? Jean postanowiła złamać tradycję i kupiła owoce i kartonik soku pomarańczowego. Ruszyła w kierunku centrum drogą przez mosty. Mijała sklepiki z taną odzieżą, knajpki z jedzeniem na wynos. Szła wzdłuż rzędu autobusów i ciężarówek czekających na zmianę świateł przy kościele Tron. W niektórych bramach siedzieli żebracy, smętnie spoglądając na tłumy. Doszła do skrzyżowania i spojrzała w głąb High Street, wyobrażając sobie, jak tu musiało być kiedyś, nim powstała Princess Street: przekupnie zachwalający swe towary; mroczne speluny, gdzie handlowano; rogatki, gdzie pobierano myto i bramy zamykane na noc, by odizolować miasto od świata zewnętrznego... Była ciekawa, czy ktoś przeniesiony cudownym sposobem z lat siedemdziesiątych XVIII wieku uznałby, że dużo się tu zmieniło? Pewnie światła i ruch samochodowy wywołałyby u niego szok, ale panująca tu atmosfera raczej nie.

Raz jeszcze stanęła na Moście Północnym i spojrzała na wschód, w stronę wciąż ciągnącej się jeszcze budowy nowej siedziby parlamentu, która zdawała się stać w miejscu. Redakcja „Scotsmana” przeniosła się już do lśniącego nowością budynku przy Holyrood Road, *vis a vis* nowego parlamentu. Nie tak dawno była tam na jakimś przyjęciu i stała na wielkim balkonie z tyłu budynku, skąd roztaczał się widok na Salisbury Crags. Z mostu widać też było stary budynek „Scotsmana”, który przechodził teraz gruntowną przebudowę pod następny nowy hotel. Nieco dalej, tam gdzie Most Północny łączy się z Princess Street, wznosił się opuszczony i zakurzony budynek zajmowany niegdyś przez Poczta Główną. O jego dalszych losach najwyraźniej jeszcze nie zdecydowano – choć mówiło się, że ma tu powstać kolejny hotel.

Skręciła w prawo w Waterloo Place i pogryzając drugie już jabłko, starała się nie myśleć o chipsach i wafelkach w czekoladzie. Wiedziała, gdzie zmierza: na cmentarz Calton. Weszła na teren cmentarza przez kutą żelazną bramę i stanęła przed obeliskiem znanym jako Pomnik Męczenników i poświęconym pamięci pięciu mężczyzn, „Przyjaciół ludu”, którzy w 1790 roku ośmielili się agitować za reformą parlamentarną. Podjęli tę akcję w czasach, kiedy w całym mieście mieszkało mniej niż czterdziestu uprawnionych do udziału w ówczesnych wyborach parlamentarnych. Całą piątkę skazano na banicję, wręczając bilety w jedną stronę do Australii. Jean spojrzała na jabłko. Przed chwilą zdjęła z niego małą nalepkę, z której wynikało, że jabłko pochodzi z Nowej Zelandii. Pomyślała o piątce zesłańców i o losie, jaki im zgotowano. Ale Szkocja nie miała zamiaru dopuścić do rodzimej wersji rewolucji francuskiej, w każdym razie nie w latach dziewięćdziesiątych osiemnastego stulecia.

Przypomniała sobie o przepowiedni któregoś z myślicieli i przywódców komunistycznych – bodaj samego Marksa – głoszącej, że rewolucja w Europie Zachodniej zacznie się od Szkocji. Jeszcze jedna, kolejna mrzonka...

Jean nie wiedziała zbyt wiele o Davidzie Hume, jednak stanęła przed jego grobowcem i otworzyła kartonik z sokiem. Filozof i eseista... Kiedyś któryś z jej przyjaciół powiedział, że największym osiągnięciem Hume'a było to, że umożliwił zrozumienie koncepcji filozoficznych Johna Locke'a. Tyle że o Locke'u też zbyt wiele nie wiedziała.

Były też inne słynne grobowce: Blackwooda i Constable'a, wydawców i przywódców „Zamętu”, ruchu, który doprowadził do powstania Wolnego Kościoła Szkocji. Od wschodu, tuż za murem cmentarnym, widać było niewielką wieżę zwieńczoną blankami. Jean wiedziała, że była to jedyna pozostałość po starym więzieniu Calton. Widywała stare ryciny przedstawiające więzienie widziane od drugiej strony, ze wzgórza Calton. Na wzgórzu zbierały się rodziny i przyjaciele uwięzionych, wykrzykując do nich pozdrowienia i wiadomości. Zamykając oczy, potrafiła niemal zastąpić odgłosy ruchu ulicznego, niosącym się po Waterloo Place, chórem pisków i krzyków, kakofonią rozmów między więźniami i ich bliskimi...

Otworzyła oczy i zobaczyła to, po co tu przyszła: grób doktora Kenneta Lovella. Tablicę nagrobną wmurowano we wschodni mur cmentarny. Z biegiem lat popękała i pokryła się patyną, jej krawędzie zaś pokruszyły się, ukazując znajdujący się pod spodem piaskowiec. Tablica była niewielka i umieszczona nisko nad ziemią. DR KENNET LOVELL, WYBITNY LEKARZ TEGO MIASTA – głosił napis. Zmarł w roku 1863 w wieku pięćdziesięciu sześciu lat. Wyrastające z ziemi kępy chwastów zasłaniały część napisu. Jean kucnęła i zaczęła je kolejno wyrwać, natykając się przy tym na zużyty kondom, który odrzuciła liściem szczawiu. Wiedziała, że ludzie odwiedzają Calton Hill nocą i wyobraziła sobie, jak pary kryją się za tym murem dla odbycia igraszek miłosnych i przy okazji tłamszą kości doktora Lovella. Ciekawe, co on by na to powiedział? Przez chwilę przemknęła jej przez głowę myśl o innej parze: ona i John

Rebus. Właściwie był zupełnie nie w jej typie. W swoim czasie spotykała się z naukowcami i wykładowcami uniwersyteckimi. Miała też za sobą krótki romans ze znanym w mieście żonatym rzeźbiarzem. To on właśnie zabierał ją na cmentarze, będące jego ulubionym miejscem spacerów. Pomyślała, że John Rebus też pewnie lubi cmentarze. Kiedy się poznali, uznała go za ciekawostkę i nowe doświadczenie. Nawet jeszcze teraz musiała walczyć ze sobą, by nie myśleć o nim jak o eksponacie. Było w nim, tak wiele tajemnic, tak wiele spraw, które wolał ukrywać przed światem. I wiedziała, że czekają ją jeszcze dalsze prace odkrywkowe...

Po usunięciu chwastów doczytała się, że Lovell był aż trzykrotnie żonaty i że wszystkie trzy żony zmarły przed nim. Nie było natomiast mowy o żadnych dzieciach... Zastanowiła się, czy dzieci pochowano gdzie indziej, czy też może nie było ich w ogóle. Tyle że John coś mówił o jakimś potomku... Przyjrzała się wypisanym datom i stwierdziła, że wszystkie żony zmarły młodo. Przyszło jej na myśl, że może umierały podczas porodu.

Pierwsza żona: Beatrice, z domu Alexander, lat dwadzieścia dziewięć.

Druga żona: Alice, z domu Baxter, lat trzydzieści trzy.

Trzecia żona: Patricia, z domu Addison, lat dwadzieścia sześć.

Dopisek u dołu brzmiał: „Odeszły, lecz jakże słodko będzie się spotkać w królestwie Pana”.

Jean nie mogła się opędzić od myśli, że musiało to być niezłe spotkanie: Lovell i jego trzy żony. Miała w kieszeni długopis, lecz ani skrawka papieru. Rozejrzała się po cmentarzu i znalazła starą kopertę, którą rozdarła. Oczyszczyła ją z brudu i piasku, i na odwrocie zapisała sobie wszystkie daty i nazwiska.

Siobhan wróciła do biura i przystąpiła do prób ułożenia anagramu z liter w słowach *Camusa* i *ME Smitha* i przy tej czynności zastał ją Eric Bains.

– Wszystko w porządku? – zapytał.

– Jakoś zipię.

– To dobrze. – Położył teczkę przy nogach, wyprostował się i rozejrzał wokół. – Ze służb specjalnych już się odezwali?

– Nic mi o tym nie wiadomo. – Zliczała literki końcem długopisu. Pomiędzy *M* i *E* nie było spacji, więc może należało je odczytywać jako jedno słowo *me*, a więc „ja” albo „mnie”? Czy Quizmaster chciał przez to powiedzieć, że nazywa się Smith? Skrót ME używany był też na określenie jakiejś choroby. Nie pamiętała, od jakich słów był to skrót... pamiętała tylko, że gazety nazywały ją „grypą yuppies”. Bain podszedł do faksu, wziął do ręki plik kartek i zaczął je przeglądać.

– Nie wpadłaś na to, żeby sprawdzić? – powiedział, odkładając dwie kartki na bok i wkładając resztę do korytka faksu.

– A co to? – spytała Siobhan, podnosząc głowę.

W drodze do jej biurka czytał.

– Ale bomba! – sapnął. – Nie pytaj mnie jak, ale się im udało.

– Co?

– Namierzili jeden z adresów.

Siobhan tak gwałtownie zerwała się z krzesła i wyciągnęła rękę po faks, że włosy zupełnie jej się rozsypały. Oddając kartkę, Bains zapytał:

– A kto to jest Claire Benzie?

– Nie jesteś zatrzymana, Claire – oświadczyła Siobhan – ale jeśli sobie życzysz adwokata, to twoja sprawa. W każdym razie proszę o wyrażenie zgody na nagrywanie.

– Brzmi to strasznie poważnie – powiedziała Claire Benzie. Zabrali ją z mieszkania w Bruntsfield i przewieźli na St Leonard's. Zachowywała się potulnie i nie zadawała żadnych pytań. Miała na sobie dżinsy i jasnoróżowy golf. Twarz bez makijażu. Siedziała w sali przesłuchań, czekając, aż Bain założy taśmy na oba magnetofony.

– Będziemy mieli dwa oryginały – odezwała się Siobhan – jeden dla ciebie, drugi dla nas, w porządku?

Benzie obojętnie wzruszyła ramionami.

Bain powiedział: „No to jedziemy”, uruchomił obie taśmy i usiadł na krześle obok Siobhan. Dla porządku Siobhan przedstawiła siebie i Baina oraz podała czas i miejsce nagrania.

– Claire, czy mogłabyś podać swoje pełne imię i nazwisko? – zwróciła się do dziewczyny.

Claire to zrobiła, dodając swój adres w Bruntsfield. Siobhan na moment odchyliła się do tyłu, jakby zbierając siły, potem pochyliła do przodu i oparła łokciami o krawędź wąskiego stołu.

– Claire, czy pamiętasz naszą wcześniejszą rozmowę? Było to w obecności mojego kolegi, w gabinecie doktora Curtisa?

– Tak, pamiętam.

– Zapytałam cię wtedy, czy wiesz coś na temat gry, w którą grała Philippa Balfour?

– Jutro jest jej pogrzeb.

Siobhan kiwnęła głową.

– Ale czy to pamiętasz?

– *Siedem płetw w górę czyni króla* – powiedziała Benzie. – Mówiłam wam o tym.

– Zgadza się. Powiedziałeś, że Philippa podeszła do ciebie w jakimś barze...

– Tak.

– ...i powiedziała ci, o co w tym chodzi.

– Tak.

– Ale o całej grze nie wiedziałeś?

– Nie. Nie miałam pojęcia, póki mi nie powiedzieliście.

Siobhan odchyliła się do tyłu i założyła ręce identycznie jak Claire, jakby była jej lustrzanym odbiciem.

– To jak to możliwe, że ten, kto wysyłał Flipie zagadki, korzystał z twojego adresu internetowego?

Benzie w milczeniu wpatrywała się w Siobhan, która równie intensywnie świdrowała ją wzrokiem. Eric Bain podrapał się kciukiem po nosie.

– Chcę adwokata – powiedziała cicho Benzie.

Siobhan wolno pokiwała głową.

– Przesłuchanie zakończono o piętnastej dwanaście – wyrecytowała. Bain wyłączył magnetofony, a Siobhan zapytała Claire, czy ma kogoś konkretnego na myśli.

– Chyba naszego rodzinnego adwokata.

– A kto nim jest?

– Mój ojciec – odparła, a widząc zdumienie na twarzy Siobhan, skrzywiła usta w uśmiešku i dodała: – Mam na myśli ojczyrna, pani posterunkowa. Proszę się nie bać, nie będę wywoływała duchów...

Wiadomość o przesłuchaniu rozniosła się lotem błyskawicy i kiedy Siobhan wyszła z sali przesłuchań i minęła w drzwiach wezwaną policjantkę, na korytarzu czekał na nią zwarty tłumek kolegów, którzy zarzucili ją pytaniami.

– No i co?

– To ona to zrobiła?

– Co ci powiedziała?

– Przyznała się?

Siobhan nie odpowiedziała i podeszła do Gill Templera.

– Chce adwokata i tak się składa, że ma takiego w rodzinie.

– To dobrze.

Siobhan kiwnęła głową i przeciskając się przez tłumek, weszła do sali detektywów i wyciągnęła z gniazdka wtyczkę pierwszego z brzegu telefonu.

– Prosi też o coś do picia, najchętniej dietetyczną pepsi, jeżeli to możliwe.

Templer rozejrzała się wokół i zatrzymała wzrok na Silversie.

– Słyszałeś, George?

– Tak jest, pani komisarz – odparł Silvers, jednak wcale się nie kwapił, by odejść, aż go musiała pogonić gestem ręki.

– No i co? – spytała, zagradzając drogę Siobhan.

– No cóż – odparła Siobhan – musi nam parę rzeczy wyjaśnić, ale to jeszcze nie znaczy, że jest morderczynią.

– Ale byłoby niezłe, gdyby była – odezwał się ktoś obecnych.

Siobhan pamiętała uwagę Rebusa na temat Claire Benzie i spojrzała teraz Gill Templer prosto w oczy.

– Jeśli nie zmieni zdania i zostanie przy patologii – powiedziała – to za dwa, trzy lata może się okazać, że będziemy z nią współpracować ramię w ramię. Więc nie powinniśmy się teraz na niej wyzywać. – Nie była pewna, czy dosłownie cytuje wypowiedź Rebusa, ale wiedziała, że jest blisko.

Templer spojrzała na nią z uznaniem i wolno pokiwała głową.

– Posterunkowa Clarke ma absolutną rację – stwierdziła, zwracając się do otaczającego je tłumku. A potem usunęła się na bok i do mijającej ją Siobhan mruknęła coś w rodzaju: „Dobra robota, Siobhan”.

Po powrocie do sali przesłuchań, Siobhan wetknęła wtyczkę telefonu do gniazdka na ścianie i poinformowała Claire, że wyjście na miasto jest przez 9.

– Ja jej nie zabiłam – powiedziała studentka głosem spokojnym i pewnym siebie.

– Wobec tego, nie masz się czym martwić. Musimy tylko ustalić, co się naprawdę stało.

Claire kiwnęła głową i podniosła słuchawkę. Siobhan dała znak Bainowi i oboje wyszli z sali, zostawiając na straży policjantkę.

Tłumek na korytarzu już się rozszedł, ale z sali detektywów dochodził głośny i ożywiony gwar.

– Załóżmy, że to nie ona – Siobhan półgłosem zwróciła się do Baina.

– Okej – kiwnął głową.

– To jak to możliwe, żeby Quizmaster mógł korzystać z jej adresu?

Pokręcił głową.

– Nie wiem. Pewnie technicznie jest to możliwe, ale to jednocześnie bardzo mało prawdopodobne.

Siobhan spojrzała na niego badawczo.

– Więc myślisz, że to ona?

– Chciałbym się najpierw dowiedzieć, do kogo należą te pozostałe adresy.

– Czy ci ze służb specjalnych powiedzieli, jak to długo potrwa?

– Może będą coś mieli jeszcze dziś pod koniec dnia, a może dopiero jutro.

Ktoś idący korytarzem poklepał oboje po ramionach i uniósł w górę oba kciuki, po czym bez słowa poszedł dalej.

– Oni wszyscy myślą, że rozwiązaliśmy zagadkę – powiedział Bain.

– Tym gorzej dla nich.

– Ale ona miała motyw, sama to mówiłaś.

Siobhan pokiwała głową. Przypomniała sobie wskazówkę do Rygorów i spróbowała

wyobrazić, że jej autorką jest kobieta. Tak, to możliwe. Oczywiście, że to możliwe. W całym tym wirtualnym świecie można udawać, kogo się chce, bez względu na płeć i wiek. W gazetach pełno było doniesień o pedofilach w średnim wieku, wdzierających się do dziecięcych klubów czatowych i udających nastolatków albo jeszcze młodszych. Główną atrakcją sieci była jej anonimowość. Pomyślała o Claire Benzie i długim, zmyślnym planowaniu, jakie musiałyby podjąć, i o gniewie, który musiałby kipieć i narastać w niej od czasu samobójstwa ojca. Może zaczęło się od tego, że chciała ponownie nawiązać kontakt z Flipą, by się z nią pogodzić, i dopiero potem wzięła w niej górę nienawiść. Nienawiść do łatwego i beztronskiego świata, w jakim się Flipa obracała, nienawiść do jej przyjaciół w sportowych samochodach, do barów i nocnych klubów, do których chodzili, do ich proszonych kolacji i przyjęć – do tego całego życia ludzi, którzy nigdy nie zaznali bólu i którzy nigdy nie utracili czegoś, czego nie da się już odkupić.

– Nie wiem – powiedziała i przeczesała sobie włosy palcami tak gwałtownie, że aż ją zapiekła skóra na głowie. – Po prostu nie wiem.

– I dobrze – odezwał się Bain. – Do przesłuchania należy podchodzić z otwartą głową i bez wstępnych przekonań. W każdym podręczniku to piszą.

Uśmiechnęła się blado i ścisnęła go za rękę.

– Dzięki, Eric – powiedziała.

– Poradzisz sobie – zapewnił ją.

Miała nadzieję, że się nie myli.

Może miejscem dla Rebusa była właśnie Biblioteka Centralna. Wielu jej użytkowników sprawiało wrażenie ludzi zagubionych, zmęczonych i niezdolnych do pracy. Niektórzy siedzieli rozparci w wygodnych fotelach i drzemali, traktując rozłożone na kolanach książki jako niezbędny rekwizyt. Jakiś starzec z otwartymi szeroko bezzębnymi ustami siedział przy stoliku z książkami telefonicznymi i bez słowa wodził palcem po kolejnych stronicach. Rebus zapytał o niego kogoś z obsługi.

– Przychodzi tu od lat i nigdy nic innego nie czyta – powiedziano mu.

– Mógłby się zatrudnić w informacji telefonicznej.

– Albo go stamtąd właśnie wyrzucano.

Rebus kiwnął głową na znak, że uwaga jest trafna i wrócił do własnych poszukiwań. Jak dotąd ustalił, że Albert Camus był francuskim pisarzem i myślicielem, autorem takich dzieł jak *Dżuma* i *Upadek*. Dostał Nagrodę Nobla i w wieku czterdziestu kilku lat zmarł. Na prośbę Rebusa bibliotekarka przeszukała katalog, ale nie znalazła w nim śladu innego znanego Camusa.

– No, chyba, że mówi pan o nazwach ulic.

– Co?

– O nazwach ulic w Edynburgu.

I rzeczywiście okazało się, że w mieście istnieje nie tylko Camus Road, ale także Camus Avenue, Camus Park i Camus Place. Nikt nie umiał powiedzieć, czy nazwy nawiązują do francuskiego pisarza, ale zdaniem Rebusa było to całkiem prawdopodobne. Poszukał nazwiska Camus w książce telefonicznej – szczęśliwym trafem starzec akurat jej nie czytał – i stwierdził, że jest tylko jedno. Postanowił zrobić sobie przerwę, przejść się do domu, wziąć samochód i udać na przejażdżkę po Camus Road. Jednak gdy wyszedł z biblioteki, akurat podjechała wolna taksówka, zmienił więc plan i wsiadł. Camus Road, Avenue, Park i Place stanowiły kwartał cichych uliczek w bok od Comiston Road w Fairmilehead. Kiedy po ich objechaniu Rebus polecił się zawieść z powrotem na wiadukt Jerzego IV, taksówkarz spojrzał na niego podejrzliwie. Gdy zatrzymał ich korek w pobliżu kościoła Franciszkanów, Rebus zapłacił za kurs, wysiadł i ruszył wprost do pubu Sandy Bella. W środku było spokojnie, gdyż nie zwały się jeszcze tłumy robotników zaglądających tu w drodze do domu. Zamówił duże piwo i malucha. Barman, który go znał i który nieraz snuł przed nim różne opowieści, opowiedział mu, że gdy pobliski szpital przeniesiono na Petty France, ich obroty spadły o połowę. Nie z powodu utraty klientów wśród lekarzy czy pielęgniarek, ale wśród pacjentów.

– Przychodzili tu w pizamach i kapciach. Nic nie zmyślam: wymykali się ze szpitala i walili prosto tutaj. Był nawet jeden, który przychodził z wenflonami wkłutymi w ramiona.

Rebus uśmiechnął się i dopił drinki. Kościół Franciszkanów znajdował się tuż za rogiem, poszedł więc na spacer po przykościelnym cmentarzu. Pomyślał, że pewnie duchy Ojców Kościoła muszą cierpieć na myśl, że miejsce to zdobyło sobie sławę nie dzięki nim, a za sprawą małego psiaka. Organizowano tu nocne wycieczki i opowiadano, że czasami turyści czuli na ramionach lodowaty uścisk czyichś palców. Przypomniał sobie jak Rhona, jego była żona, uparła się, by ich ślub odbył się w tym właśnie kościele. Wokół widać było stare groby ogrodzone płótkami z żelaznych prętów, by chronić zmarłych przed zakusami Rezurekcyjistów. Można było odnieść wrażenie, że Edynburg zawsze był przesycony okrucieństwem, a stulecia kwitnącego tu barbarzyństwa maskowano jedynie zewnętrzną powłoką powagi, bądź to rygorystycznej surowości...

Rygory... nie potrafił odnaleźć związku między tą nazwą a otrzymaną wskazówką. Słowo to kojarzyło mu się z dyscypliną i ograniczeniami, ale nawet tego nie był pewien. Wyszedł z dziedzińca, skierował się na wiadukt Jerzego IV i skręcił ponownie biblioteki. Dyżur miała wciąż ta sama bibliotekarka.

– Dział słowników? – zapytał, a ona wskazała mu właściwy regał.

– Sprawdziłam to, o co pan prosił – dodała. – Znalazłam kilka książek autorstwa Marka Smitha, ale nigdzie nie ma śladu i o nazwisku M.E. Smith.

– W każdym razie dziękuję – powiedział, odwracając się, by odejść.

– I wydrukowałam panu wykaz wszystkich pozycji Camusa jakie mamy.

Wziął od niej kartkę z listą.

– To wspaniale. Bardzo pani dziękuję.

Uśmiechnęła się, jakby nienawykła do takiej uprzejmości, ale zaraz, potem się zawahała, czując woń alkoholu w jego oddechu. Idąc do działu ze słownikami, zauważył, że stolik przy książkach telefonicznych jest wolny. Zastanowił się, czy to znaczy, że staruszek skończył już na dziś swą działalność. Może traktował to jak swoją pracę, od dziewiątej do siedemnastej. Zdjął z półki pierwszy z brzegu słownik i otworzył go na hasło „rygor”. Słownik wymieniał wiele pokrewnych znaczeń, takich jak: surowość, karność, ograniczenia, dyscyplina, sztywność; ale także: przymus prawny, sankcje. Sztywność i ograniczenia wywołały w nim skojarzenie z kimś okutanym jak mumia, z rękami związanymi do tyłu i pozbawionym swobody...

Posłyszał za sobą chrząknięcie. Odwrócił głowę i ujrzał bibliotekarkę stojącą tuż za nim.

– Czas się zbierać? – zapytał.

– Jeszcze nie – odparła i ruchem głowy wskazała swoje biurko, przy którym siedział teraz ktoś nowy i ich obserwował – Mój kolega... Kenny... twierdzi, że wie, o kogo chodzi.

– O kogo? – Rebus przyjrzał się mężczyźnie imieniem Kenny. Wyglądał na niewiele ponad dwadzieścia lat, miał na nosie okrągłe okulary w drucianej oprawce i ubrany był w czarny T-shirt,

– Ten M.E. Smith – odparła bibliotekarka, więc Rebus wstał, podszedł do biurka i kiwnął Kenny’emu głową na powitanie.

– To wokalista – powiedział Kenny bez żadnego wstępu – W każdym razie, jeśli to ten, o którym myślę: Mark E. Smilh. Pewno nie każdy by go nazwał wokalistą.

Bibliotekarka obeszła biurko dookoła i wróciła na swoje miejsce.

– Muszę przyznać, że nigdy o nim nie słyszałam – powiedziała.

– Czas, Bridget, żebyś poszerzyła horyzonty – orzekł Kenny. A potem przeniósł wzrok na Rebusa, zaskoczony wyrazem jego szeroko otwartych oczu.

– Wokalista zespołu Spad? – powiedział cicho, niemal do siebie.

– Zna ich pan? – Kenny wyglądał na zaskoczonego, że ktoś w wieku Rebusa może coś na ten temat wiedzieć.

– Widziałem ich ze dwadzieścia lat temu. W jakimś klubie w Abbeyhill.

– Nieźle grzeją, co? – stwierdził Kenny.

Rebus pokiwał głową, ale myślami był już gdzie indziej. A potem bibliotekarka Bridget ubrała te myśli w słowa.

– To zabawne – rzekła i wskazała głową na listę w ręku Rebusa. – Bo oryginalny tytuł powieści Camusa – *La chute* – można tłumaczyć jako *Upadek*, ale też jako *Spad*. Mam jej egzemplarz w dziale beletrystyki, jeśli pan sobie życzy...

Ojczy mem Claire Benzie okazał się mecenas Jack McCoist, jeden z bardziej znanych obrońców sądowych w mieście. Przed dalszym przesłuchiwaniem poprosił o dziesięć minut rozmowy z Claire w cztery oczy. Potem na salę wkroczyła znów Siobhan, tym razem w towarzystwie Gill Templer, która ku widocznemu niezadowoleniu Erica Baina, postanowiła go zastąpić.

Puszka po pepsi przed Claire była pusta, McCoist miał przed sobą pół filizanki letniej herbaty.

– Nie sądzę, żebyśmy musieli to nagrywać – oświadczył McCoist. – Najpierw porozmawiajmy i zobaczymy, dokąd nas to prowadzi. Zgoda?

Spojrzał na Gill Templer, która po chwili zastanowienia kiwnęła głową.

– Możecie zaczynać, posterunkowa Clarke – zwróciła się do Siobhan.

Siobhan próbowała uchwycić wzrok Claire, ale ta siedziała ze wzrokiem wbitym w puszkę po pepsi, którą przetaczała sobie dłońmi.

– Claire – zaczęła – jedną ze wskazówek, które Flipa otrzymała w trakcie gry, wysłano z adresu e-mailowego założonego przez ciebie.

Przed McCoistem leżał blok A4, w którym kilka stron pokryte było notatkami napisanymi tak nieczytelnym charakterem, że równie dobrze mógłby służyć za jego osobisty szyfr. Teraz otworzył go na świeżej stronie.

– Czy mógłbym zapytać, w jaki sposób zdobyliście te maile?

– Zostały... Myśmy ich właściwie nie zdobywali. Ktoś ukrywający się pod pseudonimem Quizmaster wysłał wiadomość do Flipy Balfour, która trafiła do mnie.

– W jaki sposób? – McCoist nawet nie podniósł głowy znad notatek.

Siobhan widziała jedynie jego ramiona odziane w granatową marynarkę w prążki i wierzchołek głowy z mocno przerzedzonymi włosami.

– Sprawdzalam zawartość dysku w komputerze panny Balfour, szukając czegoś, co by nam pomogło wyjaśnić jej zniknięcie.

– A więc stało się to już po jej zniknięciu? – Dopiero teraz podniósł głowę i Siobhan ujrzała okulary w grubej czarnej oprawie i pełne powątpiewania usta zaciśnięte w cienką kreskę.

– Tak – przyznała.

– I to tę wiadomość zidentyfikowaliście, jako wysłaną z komputera mojej klientki?

– Jako pochodzącą z serwera jej prowajdera, tak. – Siobhan zwróciła uwagę, że na słowa „moja klientka” Claire po raz pierwszy podniosła wzrok i spojrzała badawczo na ojczy ma. Pewnie go nigdy wcześniej nie widziała w akcji.

– Pod słowem „prowajder” rozumie pani dostawcę usług internetowych, czy tak?

Siobhan kiwnęła głową. Wiedziała, że McCoist chciał jej tylko pokazać, że żargon

internetowy też nie jest mu obcy.

– Czy były jeszcze dalsze wiadomości tego typu?

– Tak.

– Czy również pochodziły z tego samego adresu?

– Tego jeszcze nie wiemy. – Siobhan uznała, że nie musi mu mówić, iż w grę wchodzi większa liczba prowajderów.

– Doskonale. – McCoist zamasyście postawił kropkę po ostatnim słowie i w zamyśleniu odchylił się do tyłu.

– Czy mogę teraz zadać pytanie Claire? – spytała Siobhan.

McCoist spojrział na nią znad krawędzi okularów.

– Moja klientka wołałaby najpierw złożyć krótkie oświadczenie.

Claire sięgnęła do kieszeni dzinsów i wyciągnęła złożoną we czworo kartkę, która najwyraźniej pochodziła z bloku ojczyma. Pismo na niej było inne niż w jego notatkach, ale Siobhan dostrzegła poprawki zrobione jego ręką.

Claire odchrząknęła.

– Dwa tygodnie przed zniknięciem Flipy pożyczyłam jej swojego laptopa. Miała do napisania jakąś pracę i uznałam, że jej się przyda. Wiedziałam, że nie posiada własnego laptopa. Nie miałam potem okazji poprosić o jego zwrot. Czekałam na jej pogrzeb, by zwrócić się do rodziny z prośbą o przeszukanie jej mieszkania.

– Czy ten laptop jest twoim jedynym komputerem? – przerwała jej Siobhan.

– Nie – potrząsnęła głową Claire – ale korzysta z tego samego serwera, do którego podłączony jest mój pecet.

Siobhan spojrzała na nią, ale Claire nadal unikała kontaktu wzrokowego.

– Ale w mieszkaniu Philippy Balfour nie było żadnego laptopa – powiedziała.

Ich oczy nareszcie się spotkały.

– To gdzie on jest? – spytała Claire.

– Zakładam, że masz jakiś dowód zakupu albo gwarancję, albo coś w tym rodzaju?

Odezwał się McCoist.

– Czy pani oskarża moją córkę o kłamstwo? – Nagle nie była już tylko jego klientką.

– Myślę tylko, że Claire powinna nam o tym powiedzieć nieco wcześniej.

– Nie wiedziałam, że to może być... – zaczęła Claire.

– Pani komisarz Templer – przerwał jej McCoist wyniośle – Nie przypuszczałem, że policja okręgu Lothian i Borders ucieka się do rzucania pod adresem potencjalnych świadków oskarżeń o dwulicowość.

– Póki co – odparła Templer równie wyniośle – pańska pasierbica występuje tu w charakterze podejrzanej, nie świadka.

– Podejrzaney o co? O zorganizowanie quizu? Od kiedy to się liczy jako przestępstwo?

Gill zabrakło dobrej odpowiedzi i rzuciła spojrzenie na Siobhan, która pomyślała, że odczytuje w nim myśli szefowej: „On ma rację... wciąż nie mamy pewności, czy Quizmaster ma jakikolwiek związek ze sprawą... wychyłam się tylko w oparciu o twoje przeczucia, więc lepiej o tym pamiętaj...”

McCoist czuł, że spojrzenia wymienione między dwiema kobietami mają istotne znaczenie, postanowił więc iść za ciosem.

– Nie wyobrażam sobie, żebyście na tej podstawie mogli coś przedstawić prokuraturze. Przecież by was wyśmiali... szanowna pani komisarz. – Ostatnie słowa powiedział z wyraźnym naciskiem. Wiedział, że niedawno ją awansowano i że musi sobie dopiero wyrobić pozycję.

Ale Gill już odzyskała pewność siebie.

– Musimy, mecenasie McCoist, uzyskać od Claire jasne odpowiedzi na pytania, jej wersja bowiem wygląda dość blado i w przeciwnym razie będziemy zmuszeni kontynuować nasze śledztwo.

Zapadło milczenie, podczas którego McCoist zdawał się zastanawiać nad słowami Gill, a Siobhan układała sobie w głowic listę argumentów. Claire Benzie niewątpliwie miała motyw: rolę jaką odegrał bank Balfour w samobójstwie jej ojca. Gra internetowa dostarczyła jej możliwości, zwabienie zaś Philippy Balfour na Arthur's Seat stanowiłoby okazję. Wymyśliła sobie nagle ten pożyczony laptop, który – co było jej na rękę – gdzieś się tajemniczo zawieruszył... Siobhan zaczęła obmyślać analogiczną listę argumentów wobec Ranalda Marra, który od razu na początku nauczył Flipę, jak pozbywać się niewygodnych e-maili. Randal Marr na czele armii swych żołnierzyków, drugi co do starszeństwa w banku. Tyle że wciąż nie potrafiła wymyślić, jaką korzyść mógłby odnieść ze śmierci Flipy...

– Claire – powiedziała cicho – czy kiedy bywałaś w Jałowcach, spotkałaś tam kiedyś Ranalda Marra?

– Nie rozumiem, jaki to może mieć...

Ale Claire przerwała ojczymowi.

– Randal Marr, tak. I nigdy nie rozumiałam, co ona w nim widzi.

– Kto?

– Flipa. Była w nim zadurzona. Pewnie tylko takie dziewczęce fanaberie.

– Czy spotkała się z wzajemnością? Czy przerodziło się to w coś więcej niż tylko dziewczęce zadurzenie?

– Wydaje mi się, że trochę odbiegamy od...

Ale Claire uśmiechnęła się do Siobhan.

– Dopiero dużo później – powiedziała.

– Kiedy później?

– Wydawało mi się, że do końca, do chwili zniknięcia była mocno zaangażowana...

– Dlaczego wszyscy są tacy podekscytowani? – zapytał Rebus.

Bain podniósł głowę znad biurka, przy którym coś pisał.

– Przesłuchują Claire Benzie.

– Dlaczego? – Rebus pochylił się i sięgnął do jednej z szuflad biurka.

– Przepraszam – przerwał Bain – czy to może twoje...?

Zrobił ruch, jakby chciał wstać, ale Rebus go powstrzymał.

– Jestem zawieszony, pamiętasz? Tylko nie pozwól, żeby mi miejsce wystygło. – Zamknął szufladę, nic z niej nie wyjmując. – A skąd się wzięła Benzie?

– Przez jeden z maili. Służby specjalne go namierzyły.

Rebus aż gwizdnął.

– I wysłała go Claire Benzie?

– W każdym razie wysłano go z jej adresu.

Rebus przez chwilę się zastanawiał.

– A to nie to samo? – zapytał w końcu.

– Siobhan ma wątpliwości.

– I teraz jest tam z Benzie? – Rebus poczekał, aż tamten przytaknie. – Ale ty jesteś tutaj?

– Komisarz Templer.

– Aha – powiedział Rebus, kiwając głową, jakby to wszystko wyjaśniało.

Gill Templer wpadła z impetem do sali detektywów.

– Trzeba sprowadzić na przesłuchanie Marra. Kto się tym zajmie?

Zgłosiło się od razu dwóch ochotników: Hi-Ho Silvers i Tommy Fleming. Pozostali próbowali najpierw dojść, o kogo chodzi i jaki to może mieć związek z Claire Benzie i Quizmasterem. Kiedy Gill się odwróciła, tuż za nią stała Siobhan.

– Dobra robota – oznajmiła Templer.

– Naprawdę? – odrzekła Siobhan. – Bo ja nie jestem taka pewna.

– Jak to?

– Jest jakoś tak, że kiedy jej zadaję pytanie, mam wrażenie że ona chce, żebym ją właśnie o to zapytała. Zupełnie, jakby wszystko zaplanowała.

– Ja tego nie zauważyłam. – Gill dotknęła jej ramienia. – Zrób sobie przerwę. Do Marra weźmiemy kogoś innego. – Rozejrzała się po sali. – A reszta niech wraca do roboty. – Jej wzrok spoczął na Rebusie. – A ty co tu robisz?

Rebus otworzył kolejną szufladę i wyciągnąwszy z niej paczkę papierosów, potrząsnął nią triumfalnie.

– Wpadłem tylko na chwilę, pani komisarz, po swoje osobiste rzeczy.

Gill wydeła usta i zamaszystym krokiem opuściła salę. Na korytarzu stali jeszcze McCoist i Claire, a Gill zatrzymała się i zaczęła z nimi rozmawiać. Siobhan podeszła do Rebusa.

– Co ty tu, do diabła, naprawdę robisz? – spytała.

– Wyglądasz na zdenerwowaną.

– Widzę, że jak zwykle ignorujesz pytania.

– Szefowa kazała ci zrobić przerwę. Masz wyjątkowe szczęście, bo ja zapraszam. Podczas gdy ty zajmowałaś się straszaniem studentek, ja miałem naprawdę ważne sprawy...

Siobhan ograniczyła się tylko do soku pomarańczowego i przez cały czas nerwowo obracała w palcach telefon komórkowy. Bain musiał jej solennie przyrzec, że zadzwoni natychmiast, jak tylko pojawią się jakieś nowe wiadomości.

– Muszę wracać – powiedziała po raz kolejny. A potem raz jeszcze rzuciła okiem na wyświetlacz komórki i upewniła się, że bateria nie wymaga doładowania i sygnał jest wystarczająco silny.

– Jadłaś coś? – zapytał Rebus, a kiedy pokręciła przecząco głową poszedł do baru i wrócił z dwiema paczkami chipsów krewetkowych. Zabrała się do jedzenia, a on powiedział:

– I właśnie wtedy na to wpadłem.

– Kiedy i na co wpadłeś?

– Chryste, Siobhan, obudź się!

– Czuję się, jakby głowa miała mi za chwilę eksplodować. Naprawdę mam takie wrażenie.

– Rozumiem, że uważasz Claire Benzie za niewinną. A na dodatek ona teraz twierdzi, że Flipę Balfour coś łączyło z Ranaldem Marrem.

– A ty w to wierzysz?

Zapalił następnego papierosa i wydmuchnął dym z dala od Siobhan.

– Nie wolno mi wyrażać opinii: jestem zawieszony w obowiązkach aż do odwołania.

Rzuciła mu złe spojrzenie i łyknęła ze szklanki.

– Ale szykuje się niezła scena, co? – zauważył Rebus.

– Jaka scena?

– Kiedy Balfour będzie pytać swojego zausznika, czego chciała policja.

– Myślisz, że Marr mu się przyzna?

– Nawet jeśli nie, to Balfour i tak się dowie. Na tym jutrzejszym pogrzebie może być całkiem wesoło. – Wydmuchnął kolejny kłęb dymu w stronę sufitu. – Wybierasz się?

– Mam zamiar. Wiem w każdym razie, że idą Carswell i Templer... i jeszcze paru innych.

– Jeśli dojdzie do rękoczynów, to mogą się przydać.

Spojrzała na zegarek.

– Powinnam wracać, sprawdzić, co Marr powiedział.

– Kazano ci zrobić sobie przerwę.

– Już miałam przerwę.

– Jak naprawdę musisz, to zadzwoń.

– Może rzeczywiście tak zrobię. – Siobhan dopiero teraz zauważyła, że z jej komórki wciąż zwisa kabelek, którym mogłaby się włączyć do sieci, gdyby nie to, że laptop został na St Leonard's. Spojrzała na telefon, potem na Rebusa. – Coś zacząłeś mówić? – spytała.

– O czym?

– O Rygorach.

Rebus uśmiechnął się szeroko.

– Jak to miło, że znów jesteś z nami. Zacząłem mówić, że całe popołudnie spędziłem w bibliotece i rozwiązałem pierwszą część zagadki.

– Tak od razu?

– Masz do czynienia ze specem, kochana. Chcesz posłuchać?

– Jasne. – Zauważyła, że jego szklaneczka jest pusta. – Może teraz ja...?

– Najpierw posłuchaj. – Pociągnął ją i siłą usadził na kanapce. Pub był wypełniony w połowie w większości przez gości wyglądających na studentów. Rebus pomyślał, że on jest chyba najstarszy w całym pubie. Gdyby stali przy barze, pewnie by go wzięto za właściciela lokalu. Siedząc z Siobhan przy ustronnym stoliku, musiał wyglądać na starego podrywacza, który próbuje upić swoją młodą sekretarkę.

– Zamieniam się w słuch – oświadczyła.

– Albert Camus – zaczął z namaszczeniem – napisał po wieść pod tytułem *Upadek*. – Wyciągnął z kieszeni marynarki kieszonkowe wydanie, położył na stoliku i postukał w nie palcem. Książka nie pochodziła z biblioteki. Kupił ją po drodze na St Leonard's, w księgarni Thin's Bookshop. – Mark E. Smith jest wokalistą w zespole o nazwie Spad.

Siobhan zmarszczyła czoło.

– Chyba miałam kiedyś ich singla – powiedziała.

– Tak więc mamy powieść *Upadek*, której oryginalny tytuł można by też przetłumaczyć jako „spad”, i mamy zespół Spad. Robi nam się z tego liczba mnoga i co mamy...?

– Spady... wodospady, kaskady – powiedziała Siobhan, a Rebus z powagą pokiwał głową. Wzięła książkę do ręki i rzuciła okiem na notę wydawcy na okładce.

– Myślisz, że to tam Quizmaster chce się ze mną spotkać?

– Myślę, że chodzi o następną wskazówkę.

– A co z resztą tej wskazówki, z tym meczem bokserskim i Frankiem Finlayem?

Rebus wzruszył ramionami.

– W odróżnieniu od Simple Minds ja ci cudów nie obiecywałem.

– Tak, to prawda... – Zawiesiła głos i spojrzała na niego. – Odniosłam wrażenie, że w ogóle

nie byłeś specjalnie zainteresowany.

– Zmieniłem zdanie.

– Dlaczego?

– Zdarzyło ci się kiedyś siedzieć w domu i patrzeć, jak schnie farba?

– Zdarzały mi się takie randki, że z dwojga złego bym to wolała.

– No to może mnie zrozumiesz.

Kiwnęła głową i zaczęła przerzucać stronicę książki. Po chwili przestała, zmarszczyła czoło i znów na niego popatrzyła.

– Właściwie – zaczęła – naprawdę nie wiem, o co ci chodzi.

– To dobrze. To znaczy, że się uczysz.

– Czego się uczę?

– Osobistej, autorskiej odmiany egzystencjalizmu Johna Rebusa. – Pokiwał na nią palcem. –

Do dzisiaj nie znałem nawet tego słowa i poznanie go zawdzięczam tobie...

– Więc co to znaczy?

– Nie powiedziałem wcale, że wiem, co to znaczy. Myślę tylko, że w dużej mierze polega to na niepatrzeniu jak schnie farba...

Wrócili na St Leonard's, jednak wciąż nie było żadnych wiadomości. Ludzie snuli się i objali o ściany. Wszyscy oczekiwali na jakiś przełom w sprawie. I wszyscy chcieli też uwolnić się od niej. W męskiej toalecie wybuchła nagle bójka między dwoma mundurowymi policjantami, którzy później nie potrafili wyjaśnić, od czego się zaczęło. Rebus przez jakiś czas obserwował Siobhan, która kręciła się od jednej grupki do drugiej w nadziei, że dowie się czegoś nowego. Widział, że z trudem nad sobą panuje. W głowie miała gonitwę myśli i teorii, a oczy błyszczały jej niezdrowym blaskiem. Jak inni, chciała, by wreszcie nastąpił jakiś przełom i by mogła od tego wszystkiego odetchnąć. Rebus podszedł do niej, chwycił ją za ramię i wyprowadził na zewnątrz. W pierwszej chwili próbowała stawiać opór.

– Kiedy ostatni raz jadłaś? – zapytał.

– Kupiłeś mi przecież chipsy krewetkowe.

– Mam na myśli prawdziwy ciepły posiłek.

– Zachowujesz się jak moja mama...

Po krótkim spacerze dotarli do hinduskiej restauracji na Nicolson Street. W środku panował mrok, a schody prowadzące na górę zawiodły ich do niemal pustej sali. Wtorki stały się teraz nowymi poniedziałkami – martwymi wieczorami na mieście. Weekendy zaczynały się już w czwartki od planowania, na co tym razem wydać pieniądze, i kończyły szybkim drinkiem w poniedziałki po pracy, kiedy to można było podsumować najważniejsze wydarzenia minionych dni. Ale we wtorki najrozsądniej było iść prosto do domu, żeby zaoszczędzić to, co jeszcze zostało w kieszeni.

– Znasz Kaskady lepiej ode mnie – powiedziała Siobhan. – Więc mi powiedz, co tam jest ciekawego?

– No cóż, przede wszystkim sam wodospad, ale to już widziałeś, no i może Jałowce, ale tam też już byłeś. – Wzruszył ramionami. – I to mniej więcej tyle.

– Jest tam też jakieś osiedle mieszkaniowe, prawda?

– Tak, Błonia – kiwnął głową. – A kawałek dalej stacja benzynowa. Jest jeszcze chata Bev Dodds i parę domów edynburskich „dojeżdzaczy”. Nie ma nawet kościoła ani poczty.

– Ani ringu bokserskiego?

Rebus potrząsnął głową.

– Ani żadnych bukietów drutu kolczastego albo domu Franka Finlaya.

Wyglądało, że Siobhan straciła apetyt i przestała jeść, ale Rebus się tym nie przejął. Na przystawkę spałaszowała porcję *tandoori*, a potem większość curry *biryani*. Patrzył, jak wyciąga z torebki telefon komórkowy i znów dzwoni do komisariatu. Już wcześniej próbowała to zrobić, ale nikt się nie odezwał. Teraz jednak ktoś odebrał telefon.

– Eric? Tu Siobhan. Co się tam dzieje? Jest już Marr? Co powiedział? – Przez chwilę słuchała, potem jej wzrok spoczął na Rebusie. – Naprawdę? – powiedziała głosem o ton wyższym. – No to nie najlepiej, co?

Rebus momentalnie pomyślał o samobójstwie i przeciągnął sobie palec po gardle, ale Siobhan przecząco pokręciła głową.

– Dobra, Eric. Dziękuję za wiadomości. Do zobaczenia. – Rozłączyła się i bez pośpiechu schowała telefon do torebki.

– Mów! – zachęcił ją Rebus.

Nabrała na widelec kolejną porcję jedzenia.

– Jesteś zawieszony, pamiętasz? Odsunięty od sprawy.

– Mów, bo cię zaraz zawieszę na tym suficie.

Uśmiechnęła się i odłożyła widelec z nietkniętym jedzeniem na talerz.

Podszedł kelner, by posprzątać ze stołu, jednak Rebus odesłał go gestem ręki.

– No więc tak – zaczęła Siobhan. – Pojechali po Marra i jego willi w Grange i wtedy się okazało, że go tam nie ma.

– No i co?

– A nie było go dlatego, bo go uprzedzono. Gill Templer zadzwoniła do Carswella i zameldowała, że jadą po Marra, bo chcą go przesłuchać. No i wtedy zastępca starego „zasugerował”, żeby „kurtuazyjnie” zadzwonić do Marra i go o tym uprzedzić.

Wzięła do ręki dzbanek z wodą i wysączyła z niego ostatnie krople do szklanki. Kelner znów ruszył w ich kierunku, by napełnić dzbanek i Rebus znów go powstrzymał ruchem ręki.

– Czy to znaczy, że Marr zwiął?

Siobhan kiwnęła głową.

– Na to wygląda. Jego żona oświadczyła, że odebrał telefon i dwie minuty później już nie było ani jego, ani jego maserati.

– Lepiej zabierz stąd parę serwetek – powiedział Rebus. – Wygląda na to, że trzeba będzie wytrzeć resztki z twarzy pana Carswella.

– Nie chciałabym być w jego skórze, kiedy pójdzie się tłumaczyć staremu – przytaknęła Siobhan, patrząc, jak radosny uśmiech rozlewa się po twarzy Rebusa. – Tego ci było trzeba, co?

– Może teraz trochę odpuści.

– Będzie zbyt zajęty chronieniem własnej dupy, żeby myśleć o kopaniu twojej, tak?

– Obrazowo to ujmując.

– Moje akademickie wykształcenie.

– No to co się teraz dzieje w sprawie Marra? – Rebus skinął głową na kelnera, który z wahaniem podszedł, niepewny, czy nie zostanie znów odesłany. – Dwie kawy – rzucił, a kelner lekko się skłonił i oddalił.

– Nie jestem pewna – odparła Siobhan.

– Zważywszy, że jutro jest pogrzeb, sytuacja jest dość niezręczna.

– Pościg samochodowy z piskiem opon... zatrzymanie i aresztowanie zbiega... – Siobhan zaczęła konstruować cały scenariusz. – Zrozpaczeni rodzice nie rozumieją, dlaczego ich najbliższy przyjaciel zostaje zatrzymany przez policję...

– Jeśli Carswell potrafi myśleć logicznie, to przed końcem pogrzebu nie wykona żadnego ruchu. Zresztą może się okazać, że Marr się tam jednak pojawi.

– By pożegnać swą potajemną kochankę?

– Jeśli Claire Benzie mówi prawdę.

– A z jakiego innego powodu miałby uciekać?

Rebus popatrzył na nią.

– Myślę, że na to możesz sobie sama odpowiedzieć.

– Myślisz, że to on mógł ją zabić?

– Zdawało mi się, że to ty go masz na celowniku.

Zamyśliła się.

– Tak, ale to było, nim się to stało. Nie sądzę, żeby Quizmaster uciekał.

– Ale może Quizmaster nie ma nic wspólnego ze śmiercią Philippy?

Siobhan pokiwała głową.

– Właśnie w tym rzecz. Miałam na celowniku Marra jako Quizmastera.

– A to by znaczyło, że zabił ją ktoś inny.

Kelner przyniósł im kawy wraz z nieodłącznymi czekoladkami miętowymi. Siobhan wzięła swoją, na moment zanurzyła ją w gorącym płynie i włożyła do ust. Kelner nieproszony przyniósł

także rachunek.

– Dzielimy po połowie? – zaproponowała Siobhan, a Rebus skinął głową i wyciągnął z kieszeni trzy piątki.

Po wyjściu z restauracji zapytał ją, jak się dostanie do domu.

– Mam na St Leonard's samochód. Chcesz, żeby cię podwieźć?

– Pogoda akurat na spacer – odparł, spoglądając na zachmurzone niebo. – Obiecuj mi tylko, że pojedziesz prosto do domu i odpoczniesz...

– Obiecuję, mamusiu.

– No i teraz, kiedy doszłaś do wniosku, że Quizmaster nie zabił Flipy...

– Tak?

– ...już nie musisz zawracać sobie głowy tą grą, prawda?

Zamrugła i przyznała, że pewnie ma rację, widział jednak, że jej nie przekonał. Uważała uczestnictwo w grze za swój wkład w rozwikłanie całej sprawy, więc teraz nie mogła się z niej tak po prostu wycofać... Wiedział zresztą, że będąc na jej miejscu, czułby to samo.

Rozstali się przed restauracją i Rebus ruszył w kierunku domu. Z mieszkania zadzwonił do Jean, ale nie było jej w domu. Pomyślał, że może znów się zasiedziała w muzeum, jednak jej telefon biurowy też nie odpowiadał. Stał przed stołem w jadalni, na którym miał rozłożone papiery dotyczące trumienek. Przejrzał je i przyczepił do ściany notatki dotyczące czterech kobiet: Jesperson, Gibbs, Gearing i Farmer. Męczyło go pytanie, dlaczego zabójca miałby zostawiać trumienki. Zgoda, stanowiły jego swoisty „podpis”, tyle że wówczas nikt jeszcze tego podpisu nie kojarzył. Przecież minęło prawie trzydzieści lat, nim ktoś wpadł na pomysł, że mogą dotyczyć mordercy. Czy gdyby morderca chciał być identyfikowany ze swymi zbrodniami, to nie powtórzyłby ruchu wcześniej albo nie wysłałby jakiejś wiadomości do gazet lub do policji? Zatem nie chodziło tylko o podpis; chodziło mu o... Tylko o co? Rebus widział w nich coś w rodzaju pomników upamiętniających coś zrozumiałego i mającego znaczenie tylko dla tego, kto je zostawiał. Zatem, czy nie można powiedzieć tego samego o trumienkach porzuconych na Arthur's Seat? Dlaczego ten, kto to zrobił, w ten czy inny sposób nie ujawnił się? Odpowiedź: bo z chwilą znalezienia, trumienki traciły dla niego swe pierwotne znaczenie. Były pomnikami zostawianymi tam nie po to, by je ktoś znajdował lub wiązał z morderstwami popełnionymi przez Burke'a i Hare'a...

Tak, musiał istnieć jakiś związek między nimi a trumienkami odnalezionymi przez Jean. Gorzej było z dołączeniem do tej listy trumienki z Kaskad i tu Rebus był ostrożny, choć przeczuwał jakiś związek. Może związek nie tak bezpośredni, ale nadal wyraźny.

Sprawdził nagrania na sekretarce. Było tylko jedno: z agencji, informujące o znalezieniu pary emerytów, którzy zgodzili się wziąć na siebie obowiązek pokazywania jego mieszkania potencjalnym nabywcom. Wiedział, że zanim do tego dojdzie, musi zdjąć ze ściany swoją

wyklejanke i troche tu jeszcze posprzatac...

Ponownie zadzwonil do Jean i znów nikt się nie odezwał.

Polozył na talerzu gramofonu longplay Steve'a Earle'a *The Hard Way*.

Nigdy nie miał do czynienia z innymi.

– Ma pani szczęście, że nie zmieniłam nazwiska – oświadczyła Janine Benzie w odpowiedzi na wyjaśnienie Jean, że dzwoniła po kolei do wszystkich o nazwisku Benzie, wymienionych w książce telefonicznej. – Jestem teraz żoną Jacka McCoista.

Siedziały w salonie trzypoziomowego wolnostojącego domu w zachodniej części miasta, tuż obok Palmerston Place. Janine Benzie była chuda i wysoka. Była ubrana w czarną sukienkę do kolan z rzucającą błyski broszką przypiętą tuż nad prawą piersią. W pokoju także czuło się jej gust: antyki i drewno, grube ściany i puszyste dywany tłumiące wszelkie niepożądane dźwięki.

– Dziękuję, że znalazła pani dla mnie czas.

– Tyle że niewiele mogę dodać do tego, co już powiedziałam przez telefon. – Pani Benzie sprawiała wrażenie nieco rozkojarzonej, jakby częścią siebie przebywała gdzie indziej. Może dlatego tak łatwo zgodziła się na to spotkanie. – Mam za sobą dość trudny dzień, panno Burchill – dodała.

– Doprawdy?

Ale Janine Benzie nie podjęła tematu i tylko raz jeszcze zapytała, czy Jean na pewno nie ma ochoty czegoś się napić.

– Nie chcę zawracać pani głowy. Powiedziała mi pani, że jest spokrewniona z Patricia Lovell?

– Była moją praprababką... czy coś w tym rodzaju.

– Ale umarła w bardzo młodym wieku, prawda?

– Przypuszczam, że wie pani o niej więcej niż ja. Na przykład, nie miałam pojęcia, że jest pochowana na Calton Hill.

– A ile miała dzieci?

– Tylko jedno, dziewczynkę.

– Czy wie pani może, czy zmarła podczas porodu?

– Nie mam pojęcia – odparła Benzie i roześmiała się z dziwaczności tego pytania.

– Przepraszam – powiedziała Jean. – Zdaję sobie sprawę, że dla pani to wszystko musi brzmieć dość niesamowicie...

– Trochę tak. Mówiła pani, że zajmuje się historią Kenneta Lovella?

Jean skinęła głową.

– Czy w rodzinie zachowały się jakieś stare papiery z jego czasów?

Pani Benzie potrząsnęła głową.

– Żadne – odparła.

– I nie ma pani jakiegoś krewnego, kogoś kto może mógłby...?

– Naprawdę nie sędzę, nie. – Sięgnęła po paczkę papierosów i wytrząsnęła jednego. – Pani...?

Jean potrząsnęła przecząco głową i patrzyła, jak Benzie przypala papierosa wysmukłą złotą zapalniczką. Wydawało się, że jej wszystkie ruchy są mocno spowolnione. Przypominało to oglądanie filmu w zwolnionym tempie.

– Bo poszukuję korespondencji między doktorem Lovellem, a jego dobroczyńcą.

– Nawet nie wiedziałam, że miał jakiegoś dobroczyńcę.

– Pastora z Ayrshire.

– Doprawdy? – powiedziała Benzie, ale Jean czuła, że w ogóle jej to nie zainteresowało. W tej chwili papieros trzymany w dłoni znaczył dla niej więcej niż cokolwiek innego.

Jednak Jean postanowiła brnąć dalej.

– W Domu Lekarza wisi portret doktora Lovella. Podejrzewam, że mógł zostać namalowany na zamówienie tego pastora.

– Czyżby?

– Widziała go pani kiedyś?

– Nie sędzę.

– Doktor Lovell miał kilka żon. Wiedziała pani o tym?

– Zdaje się że trzy, prawda? Jak się zastanowić, to nie tak znowu wiele. – Wyglądało, że Benzie nagle się zamyśliła. – Sama mam już drugiego męża... a kto mi może zagwarantować, że na tym się skończy? – Przyjrzała się popiołowi na czubku papierosa. – Wie pani, że mój pierwszy mąż popełnił samobójstwo?

– Nie wiedziałam.

– No bo skąd? – Zrobiła przerwę. – Nie sędzę, by to samo mogło się przytrafić Jackowi.

Jean nie bardzo wiedziała, co Benzie chce przez to powiedzieć, jednak ta wpatrywała się w nią takim wzrokiem, jakby oczekiwała odpowiedzi.

– Pewnie mogłoby to wyglądać podejrzanie – powiedziała w końcu – gdyby w ten sposób straciła pani dwóch mężów.

– A Kennet, który stracił trzy żony...?

No właśnie. Jean też się nad tym zastanawiała.

Janine Benzie wstała z miejsca i podeszła do okna. Jean raz jeszcze rozejrzała się po salonie. Czuła, że ten cały artystyczny wystrój, te obrazy, antyki, świeczniki i kryształy... że nie była to spuścizna rodziny Benziech i że znalazło się to w tym domu wraz z Jackiem McCoistem.

– No cóż, chyba już pójdę – odezwała się. – Raz jeszcze przepraszam za najście.

– Nie ma za co. Mam nadzieję, że znajdzie pani to, czego szuka.

Nagle z holu dały się słyszeć głosy i dźwięk zatrząskiwanych drzwi. Potem głosy wkroczyły na schody i zaczęły się zbliżać.

– To Claire i mój mąż – powiedziała Janine, siadając ponownie na fotelu i moszcząc się na nim niczym modelka szykująca się do pozowania.

Drzwi otworzyły się z impetem i stanęła w nich Claire Benzie. Jean pomyślała, że wcale nie jest podobna do matki, choć wrażenie to mogło się brać nie tyle z wyglądu, ile z jej zachowania, jakże odmiennego od Janine. Claire Benzie tryskała energią.

– I gównu mi na tym zależy! – wykrzyknęła, energicznie wkraczając do salonu. – Jak chcę, to mogą mnie zamknąć i wyrzucić zasrany klucz! – Zrobiła kilka szybkich kroków, a za nią w drzwiach pojawił się Jack McCoist. Poruszał się równie wolno jak żona, co brało się chyba jednak ze zmęczenia.

– Claire, chcę ci tylko uprzytomnić... – Pochylił się nad żoną i cmoknął ją w policzek. – Strasznie było – dodał w jej kierunku. – Gliny przyczepiły się do Claire jak pijawki. Czy jest szansa, kochanie, żeby ci się udało wpłynąć na twoją córkę? – Słowa zamarzyły mu na ustach, bo wyprostował się i dopiero teraz spostrzegł, że nie są sami.

Jean zaczęła podnosić się z miejsca.

– Naprawdę powinnam już iść – odezwała się.

– A to kto, do cholery? – warknęła Claire.

– Pani Burchill jest z muzeum – wyjaśniła Janine. – Rozmawialiśmy o Kennecie Lovellu.

– O Boże, jeszcze jedna – jęknęła Claire, odrzucając głowę do tyłu i opadając na sofę.

– Zajmuję się jego biografią – wyjaśniła Jean, zwracając się do McCoista, który tymczasem podszedł do barku, by nalać sobie whisky.

– O tej porze? – spytał, nie odwracając głowy.

– Jego portret wisi gdzieś w jakimś domu – odezwała się Janine Benzie do córki. – Wiedziałaś o tym?

– Jasne, cholera, że wiedziałam! Wisi w muzeum w Domu Lekarza. – Spojrzała na Jean i zapytała: – I pani jest z tego muzeum?

– Nie, prawdę powiedziawszy...

– Zresztą nieważne, skąd pani jest, najlepiej niech tam pani jak najszybciej wraca. Właśnie policja mnie wypuściła i...

– Nie waż się tak odzywać do gościa w moim domu! – syknęła Janine Benzie, zrywając się z fotela. – Jack, powiedz jej coś.

– Kiedy ja naprawdę powinnam... – zaczęła Jean, ponieważ jednak jej głos utonął we wrzawie na trzy głosy, która teraz wybuchła, bez słowa wycofała się ku wyjściu.

– Nie masz żadnego prawa...

– Jezu, ktoś mógłby pomyśleć, że to ciebie, cholera, przesłuchiwali...

– To nie jest żadne wytłumaczenie...

– Tylko jednego drinka w spokoju. Czy zbyt wiele wymagam od...

Wyglądało na to, że nawet nie zauważyli, kiedy Jean otworzyła drzwi i cicho je za sobą zamknęła. Na palcach zeszła po wyłożonych dywanem schodach i najciszej jak to było możliwe otworzyła sobie drzwi wejściowe. Dopiero na ulicy wypuściła z siebie głębokie westchnienie ulgi. Odwróciła się i spojrzała w kierunku okna salonu, jednak nic spoza niego nie dochodziło. Domy w tej okolicy miały tak grube mury, że z powodzeniem mogłyby służyć za więzienia. Jean poczuła się tak, jakby właśnie z jednego z nich uciekła.

No i należało uważać na humory panny Benzie.

W środę rano Ranalda Marra wciąż jeszcze nie było. Jego żona Dorothy zadzwoniła do Jałowców i trafiła na osobistą asystentkę Johna Balfoura. Asystentka kategorycznym tonem przypomniała jej, że rodzina ma dziś na głowie pogrzeb i w tej chwili nie widzi żadnej możliwości, by panu lub pani Balfour zawracać głowę czymkolwiek innym. Najwyżej dopiero po uroczystości pogrzebowej.

– Jak pani wiadomo, stracili córkę – powiedziała oschle.

– A ja, kurwa, straciłam męża, ty wiedźmo! – wrzasnęła Dorothy Marr i aż ją zatkało, kiedy sobie zdała sprawę, że był to chyba pierwszy przypadek w całym jej dorosłym życiu, kiedy w rozmowie posłużyła się wulgaryzmem. Ale na przeprosiny i tak już było za późno, bo pani asystentka odłożyła słuchawkę i poinstruowała podległy sobie personel domowy, by nie łączyć żadnych telefonów od pani Marr.

W Jałowcach były tłumy. Zebrali się liczni przyjaciele i członkowie rodziny. Niektórzy z nich przybyli z daleka i spędzili w Jałowcach poprzednią noc, a teraz snuli się po korytarzach w poszukiwaniu czegoś przypominającego śniadanie. Kucharka, pani Dolan, uznała, że w takim dniu nie wypada niczego pichcić, zabrakło więc tym razem typowej dla poranków w Jałowcach woni smażonych kiełbasek, bekonu i jajek. W jadalni wyłożyła jedynie kilka rodzajów płatków śniadaniowych i dżemy. Te ostatnie były jej własnej produkcji, jednak nie było wśród nich dżemu z jabłek i czarnej porzeczeki, który od dzieciństwa był ulubionym przysmakiem Flipy. Słoiki pozostały w spiżarni, a ostatnią osobą, która z nich jadła, była Flipa, podczas jednej ze swych nieczęstych odwiedzin w Jałowcach.

Pani Dolan właśnie opowiadała o tym swojej córce Catrionie, biorąc od niej co chwilę kolejną chusteczkę higieniczną. Jeden z gości, wysłany do kuchni z misją sprawdzenia, czy jest szansa na kawę i dzbanek zimnego mleka, wsadził głowę w drzwi, a zobaczywszy, w jakim stanie jest niezłomna zwykle pani Dolan, bez słowa się wycofał.

W bibliotece John Balfour podniesionym głosem oświadczył właśnie żonie, że nie życzy sobie na cmentarzu „żadnych cholernych pajaców z policji”.

– Ale, John, oni wszyscy tak bardzo się starali – odparła żona – i prosili, żeby mogli przyjść. Przecież chyba mają do tego takie samo prawo jak... – Głos jej zamarł.

– Jak kto? – Powiedział to już spokojniej, ale znacznie zimniej.

– No, jak ci wszyscy ludzie, których nawet nie znam...

– Chodzi ci o moich znajomych? Spotykałaś ich na przyjęciach i bankietach. Jackie, na litość boską, oni tu przyjechali, żeby oddać hołd.

Pani Balfour kiwnęła głową i zamilkła. Po pogrzebie przewidziano w Jałowcach stypę w postaci szwedzkiego stołu, na którą zaproszono nie tylko najbliższą rodzinę, ale także kolegów

i znajomych pana domu – łącznie około siedemdziesięciu osób. Jacqueline chciała zorganizować coś znacznie skromniejszego dla grupy, która pomieściłaby się w jadalni, jednak w tej sytuacji trzeba było zamówić wielki namiot, który ustawiono na trawniku za domem. Cateringiem zajęła się wyspecjalizowana firma z Edynburga, będąca niewątpliwie jednym z klientów banku Balfour. Właścicielka nadzorowała właśnie wyładunek stołów, obrusów, sztućców i naczyń z nie kończącej się kawalkady dostawczych furgonetek. Jedynym zwycięstwem odniesionym przez Jacqueline było zaproszenie na stypę grona przyjaciół Flipy, choć i to nie obyło się bez walki. Trzeba było na przykład zaprosić Davida Costello wraz z rodzicami, choć tak naprawdę nigdy nie lubiła Davida. Czowała zresztą, że i on na rodzinę Flipy patrzy niechętnym okiem. Miała nadzieję, że cała trójka albo się w ogóle nie zjawi, albo szybko wyjdzie.

– Bo to swego rodzaju przekupstwo – powiedział Balfour bardziej do siebie, niemal ignorując obecność żony w pokoju. – Taka okazja jeszcze mocniej ich wszystkich wiąże z bankiem i utrudnia decyzję o przeniesieniu się gdzie indziej...

Jacqueline zerwała się z fotela.

– To pogrzeb naszej córki, John! – krzyknęła z wyrzutem – Nie chodzi o twoje przekłete interesy. Flipa to nie część jakiejś... handlowej transakcji!

Balfour spojrział w stronę drzwi, upewniając się, że są zamknięte.

– Mów ciszej, kobieto. Ja tylko chciałem... Nie chodziło mi wcale... – Nagle opadł na sofę i ukrył twarz w dłoniach. – Masz rację, nie pomyślałem... Boże, zmiłuj się nade mną.

Jego żona usiadła obok, chwyciła jego dłonie i oderwała mu je od twarzy.

– Boże, zmiłuj się nad nami obojgiem – powiedziała.

Steve'owi Holly'emu udało się przekonać szefa w redakcji w Glasgow, że powinien znaleźć się możliwie jak najbliżej całego wydarzenia. Bazując na jego zupełnej nieznamomości rodzimej geografii, tak charakterystycznej dla Szkotów, dał mu do zrozumienia, że Kaskady znajdują się o wiele dalej od Edynburga niż w rzeczywistości i że w tej sytuacji hotel Greywalls będzie idealnym miejscem na nocleg po drodze. Zapomniał dodać, że Greywalls mieści się w Gullane, niewiele ponad pół godziny jazdy z Edynburga, i że Gullane z trudem można uznać za miejscowość leżącą po drodze do Kaskad. Ale czy to ważne? Najważniejsze, że uzyskał zgodę na nocleg, na który zaprosił także swoją dziewczynę, Ginę, która tak naprawdę nie była jego dziewczyną, a jedynie kimś, z kim w ciągu ostatnich trzech miesięcy kilkakrotnie się spotkał. Giną chętnie przyjęła zaproszenie, zależało jej tylko na tym, by następnego dnia rano nie spóźnić się do pracy, więc Steve musiał dla niej zamówić taksówkę. Wiedział jednak, jak to zrobić, żeby i ten koszt przerzucić na redakcję: wystarczy oświadczyć, że popsuł mu się samochód i że musiał wrócić do miasta taksówką...

Po wykwintnej kolacji i spacerze po hotelowym parku – zaprojektowanym, jak się okazało,

przez kogoś nazwiskiem Jekyll – Steve i Giną w pełni wykorzystali komfortowe królewskie łóżce, po czym oboje usnęli. Kiedy się obudzili, taksówka już czekała, Steve musiał więc samotnie udać się na śniadanie, co zresztą bardzo mu odpowiadało. W jadalni spotkało go pierwsze rozczarowanie: dla gości wyłożono wyłącznie poważne, wielkoformatowe gazety. Po drodze do Kaskad zatrzymał się więc w Gullane i zakupił wszystkie konkurencyjne tabloidy. Rzucił je na fotel pasażera i zaczął przeglądać, jadąc i ignorując błyskanie światłami i klaksony innych kierowców, niezbyt zachwyconych jego jazdą środkiem.

– W dupę się pocałuj! – wykrzykiwał od czasu do czasu i wystawiał palec w stronę czepiających się go wsioków. Zadzwoił z komórki, by się upewnić, że jego fotograf Tony pamięta o zjawieniu się na cmentarzu. Wiedział, że Tony już kilkakrotnie był w Kaskadach, by odwiedzać Bev, czyli „stukniętą skorupiarę”, jak ją Steve zaczął nazywać. Zdawało mu się, że Tony się koło niej kręci, dał mu więc prostą radę: „Ona jest walnięta, kolego – może nawet uda ci się ją przelecieć, ale idę o zakład, że jak się rano obudzisz, to znajdziesz swojego fiuta oderzniętego i ułożonego obok w łóżku”. Tony roześmiał się wtedy i oświadczył, że chce ją tylko namówić na sesję „artystycznego pozowania” do jego „kolekcji”.

Więc gdy tego ranka się do niego dodzwonił, jak zwykle zaczął od pytania:

– No i jak, kolego, przetrząnąłeś skorupiarę? – Po czym wybuchnął rechotem ze swojego żartu. Wciąż się jeszcze śmiał, kiedy przypadkiem rzuciwszy okiem w lusterko wsteczne, zauważył radiowóz policyjny błyskający światłami. Nie miał pojęcia, od jak dawna za nim jadą. – Zadzwoń do ciebie za chwilę – powiedział, przyhamował i zjechał na pobocze. – Pamiętaj tylko, żebyś był na czas w kościele. Dzień dobry panom – powiedział, wysiadając z samochodu.

– Witamy pana, panie Holly – odparł jeden z policjantów.

I w tym momencie Holly uzmysłowił sobie, że od pewnego czasu nie należy do ulubieńców policji okręgu Lothian i Borders.

Dziesięć minut później ruszył w dalszą drogę, mając jednak na ogonie radiowóz policyjny, którego zadaniem, według słów jednego z policjantów, było pilnowanie, by nie popełnił więcej „uchybień”. Kiedy zadzwoniła komórka, w pierwszej chwili chciał ją zignorować, jednak gdy wyświetlił się numer redakcji w Glasgow, dał sygnał policjantom i zjechał na pobocze, widząc w lusterku, że robią to samo i zatrzymują się dziesięć metrów za nim.

– Tak? – rzucił.

– Zdaje ci się, chłoptasiu, że kurewski z ciebie spryciarz, co?

Jego szef.

– Akurat w tym momencie nie za bardzo – odparł.

– Jeden mój znajomy grywa w golfa w Gullane. To jest faktycznie w Edynburgu, ty palancie. I to samo, jeśli chodzi o Kaskady. Więc te twoje pomysły, żeby całą wycieczkę wpisać w koszty, możesz sobie w dupę wsadzić.

– Nie ma problemu.

– A gdzie ty w ogóle jesteś?

Holly rozejrzał się po ciągnących się po horyzont i poprzedzielanych miedziami polach. Gdzieś w oddali słychać było warkot traktora.

– Stercę na cmentarzu i czekam na Tony'ego. Za parę minut wybieram się do Jałowców i pojedę za nimi do kościoła.

– Naprawdę? Możesz to jeszcze raz powtórzyć?

– Co mam powtórzyć?

– Te pieprzone brednie, które ci właśnie spłynęły z jęzora.

Holly oblizwał sobie wargi.

– Nie rozumiem – sapnął, myśląc jednocześnie: Co tu jest grane, do cholery? Doczepili mi do samochodu jakiś nadajnik, czy jak?

– Tony dzwonił do grafika nie dalej jak pięć minut temu. A tak się składa, że akurat grafik stał tuż obok mojego pieprzonego biurka. A może chcesz zgadnąć, skąd twój zaginiony fotoreporter zadzwonił?

Holly nic nie powiedział.

– No dalej, strzelaj, bo ja też to zrobię, jak cię tylko zobaczę.

– Z cmentarza? – powiedział Holly niepewnym głosem.

– To twoja ostateczna odpowiedź? Bo może chcesz skorzystać z telefonu do przyjaciela?

Holly poczuł, jak w nim zbiera wściekłość: najlepszą formą obrony jest atak, czyż nie?

– Posłuchaj – syknął. – Dopiero co dostarczyłem twojej gazecie sensację roku, załatwiłem odmownie calusienką konkurencję, wszystkich bez wyjątku, a ty tak mnie traktujesz? No to niech się ta twoja żalosna szmata wypcha, i ty się też wypchaj. Weź sobie kogoś innego, niech ci obstawi ten pogrzeb, kogoś, kto tak jak ja zna wszystkie detale. Ja w tym czasie wykonam parę telefonów do konkurencji, i to już w moim czasie i za moje pieniądze. Jeśli nie masz nic przeciwko temu, ty skąpy skurwielu A jak chcesz wiedzieć, dlaczego mnie teraz nie ma na cmentarzu to ci powiem. Dlatego, że dwa psy z Lothian się do mnie przyczepiły. A ponieważ ich obsmarowałem w gazecie, to mnie teraz nie spuszczają z oka. Mam ci podać numery rejestracyjne ich radiowozu? Poczekaj sekundę, może sami będą chcieli z tobą pogadać!

Holly zamilkł, pamiętał jednak, by nie przestawać ciężko dyszeć.

– Po raz pierwszy – odezwał się po dłuższej chwili głos z Glasgow – i może trzeba to będzie zapisać na moim nagrobku, wygląda mi na to, że usłyszałem, jak Steve Holly mówi prawdę. – Znow zapadło milczenie, po czym dał się słyszeć chichot. – Znaczy co, trochę żeśmy ich wkurwili, tak?

„My”. Holly wiedział, że zagrożenie już minęło.

– Wygląda na to, że mnie non stop pilnują, w razie gdyby mi przyszło do głowy zdjąć rękę

z kierownicy i podłubać w nosie.

– To w czasie tej rozmowy nie prowadzisz, tak?

– A skąd, stoję na poboczu z włączonymi awaryjnymi. I z całym szacunkiem, szefie, ale przez tę rozmowę straciłem już następne pięć minut... Nie znaczy oczywiście, że nie doceniam naszych pogawędek.

Kolejny chichot w słuchawce.

– Ach, gówno, nieważne, czasami trzeba sobie upuścić trochę pary, nie? Coś ci powiem, wpisz już ten rachunek hotelowy w koszty, okej?

– Jasne, szefie.

– A teraz zabieraj swój śmierdzący tyłek i w drogę.

– Tak jest, szefie. Nieustraszony bojownik o prawdę odmeldowuje się. – Holly rozłączył się, głęboko westchnął i zrobił, co mu kazano: zabrał swój śmierdzący tyłek i ruszył w drogę.

Wioska Kaskady nie miała własnego kościoła ani cmentarza, ale nieco dalej, przy drodze między Kaskadami a Causland, znajdował się mały, rzadko odwiedzany kościółek, do którego bardziej pasowałaby nazwa kaplica. Rodzina wybrała to miejsce i wszystko zorganizowała, jednak ci z przyjaciół Flipy, którzy się tu znaleźli, w cichości ducha uważali, że to straszne zadupie i spokój tu panujący zupełnie nie pasuje do jej charakteru. Nie mogli się uwolnić od myśli, że gdyby mogła, wybrałaby coś bardziej znanego i uczęszczanego, jakiś cmentarz w środku miasta, gdzie ludzie chodzą na spacer z psami czy na niedzielne przechadzki i gdzie po zmroku zdarzają się alkoholowe imprezy i potajemne spotkania par.

Tutejszy cmentarz był na to zbyt uporządkowany i zbyt mały, a groby zbyt stare i zadbane. Flipa na pewno wolałaby pnące się chaszczce i mech, płożące się kolczaste krzewy i wysoką wilgotną trawę. Potem jednak, po zastanowieniu dochodzili do wniosku, że właściwie jest jej już wszystko jedno, bo przecież nie żyje i na tym koniec. I może w tym dopiero momencie po raz pierwszy potrafili wyodrębnić poczucie straty z tępego przygnębienia i poczuć, jak to jest, kiedy kogoś zabraknie.

Kościół był zbyt mały, by wszystkich pomieścić, zostawiono więc otwarte drzwi, tak, by krótkiego nabożeństwa można też było wysłuchać na zewnątrz. Dzień był dość chłodny, a ziemia mokra od rosy. Ptaki na drzewach głośno świergotały, nienawykłe do takiego zamieszania. Wzdłuż głównej drogi stał sznurek samochodów, choć karawan już się dyskretnie wycofał i ruszył w drogę powrotną do Edynburga. Przy niektórych samochodach stali odziani w liberie szoferzy z papierosami w ustach. Obok rollsy, mercedesy, jaguary...

Formalnie rodzina należała do jednej z miejskich parafii i udało się namówić tamtejszego pastora, by przyjechał i odprawił nabożeństwo żałobne. Zrobił to, choć w swym kościele widywał Balfourów jedynie na Boże Narodzenie, a przez ostatnie dwa czy trzy lata nawet i to

nie. Pastor był człowiekiem skrupulatnym i obowiązkowym, przeprowadził więc wcześniej rozmowę z rodzicami i wypytał o życie Flipy, peszyła go jednak obecność przedstawicieli mediów. Przywykł do widoku aparatów i kamer jedynie podczas ślubów i chrztów, więc gdy któryś z obiektywów po raz pierwszy skierował się na niego promiennie się uśmiechnął i dopiero po chwili zdał sobie sprawę z niewłaściwości takiego zachowania. To nie krewni z goździkami w butonierkach tylko dziennikarze trzymający się nieco z boku i ukradkiem pstrykający zdjęcia. Mimo iż cmentarz był dobrze widoczny od szosy, na czas składania trumny do grobu obowiązywał zakaz fotografowania zarówno samej trumny, jak i rodziny stojącej wokół. Zrobiono tylko wyjątek i pozwolono zrobić po jednym zdjęciu trumny w chwili wynoszenia jej z kościoła.

Oczywiście natychmiast po opuszczeniu terenu cmentarza, wszyscy uczestnicy pogrzebu mieli od nowa stać się zwierzyną łowną dla fotoreporterów.

– Pijawki – syknął z pogardą jeden z uczestników, wieloletni klient banku Balfour. Mimo to miał zamiar jutro rano kupić kilka gazet i sprawdzić, czy nie znalazł się na którymś ze zdjęć.

Ławki i nawy boczne wypełnione były po brzegi rodziną i przyjaciółmi, więc obecni na uroczystości przedstawiciele policji trzymali się z tyłu, bliżej drzwi wejściowych. Z rękami złożonymi na piersiach i lekko przekrzywioną głową stał tam zastępca komendanta Colin Carswell. Tuż za nim stali ramię w ramię komisarz Gill Templer i inspektor Bill Pryde. Jeszcze bardziej z tyłu kręciło się kilku innych policjantów. Wszyscy mieli świadomość, że zabójca Flipy wciąż jest na wolności, podobnie jak Randal Marr, mogący nim być. Stojący w kościele John Balfour co chwilę odwracał głowę i rozglądał się po twarzach, jakby kogoś szukając. Nikt znający bank Balfour nie mógł mieć wątpliwości, o kogo mu chodzi...

Rebus stał pod tylną ścianą, ubrany w swój najlepszy garnitur i długi zielony prochowiec z postawionym kołnierzem. Nie mógł się pozbyć wrażenia, że to wyjątkowo posępna i nieciekawa okolica. Wszędzie wokoło widać było łyse zbocza pagórków, gdzieniegdzie upstrzone stadkami pasących się owiec i porośnięte bezbarwnymi zaroślami kolcolistu. Odczytał wcześniej tabliczkę na bramie dziedzińca kościelnego, z której wynikało, że kościół zbudowano w siedemnastym wieku ze składek miejscowych farmerów. W otaczającym dziedziniec kościelny niskim murze odkryto grobowiec templariusza, co pozwoliło historykom przypuszczać, że w tym miejscu kiedyś musiała się znajdować znacznie starsza kaplica oraz miejsca pochówku. „Płytę nagrobną z grobowca templariusza można obecnie obejrzeć w Muzeum Szkocji”, głosił napis.

Pomyślał o Jean, która w takim miejscu jak to potrafiła odnaleźć rzeczy, o których on nie miał pojęcia – wyraźne drogowskazy ku przeszłości. Ale potem podeszła do niego Gill z twarzą ponurą i rękami wsadzonymi głęboko w kieszenie płaszcza i spytała, co tu robi.

– Oddaję hołd zmarłej.

Zauważył, że Carswell lekko obrócił głowę i też go obrzucił spojrzeniem.

– Chyba, że jest jakiś przepis, który tego zabrania – dodał i odszedł.

Siobhan stała jakieś pięćdziesiąt metrów dalej, ale jak dotąd machnęła mu tylko z daleka dłonią odzianą w rękawiczkę. Omiatała wzrokiem okoliczne wzgórza, jakby oczekując, że pojawi się tam zabójca. Rebus miał co do tego wątpliwości. Po skończonym nabożeństwie wyniesiono trumnę przed kościół i aparaty fotograficzne ruszyły do krótkiej akcji. Przybyli reporterzy uważnie lustrowali tłum, układając sobie w głowach teksty. Niektórzy już wisieli na telefonach komórkowych i mówili coś cichymi głosami. Rebus pomyślał, że to ciekawe, z jakiego operatora korzystają, bo na jego telefonie wciąż nie było sygnału.

Przenośne kamery telewizyjne, które na chwilę ożyły, by zarejestrować moment wynoszenia trumny z kościoła, teraz już znów zwisały beczynnie z ramion kamerzystów. Wszędzie panowała uroczysta cisza, w której słychać było jedynie chrzęst stóp wolno kroczącej czwórki niosącej trumnę i czyjś pojedynczy szloch.

John Balfour jedną ręką obejmował żonę. Obejmowało się też kilkoro przyjaciół Flipy, idąc za trumną ze zwieszonymi głowami. Rebus rozpoznał niektórych: Tristram i Tina, Albert i Camille... Nigdzie ani śladu Claire Benzie. Rebus dojrzał też kilku sąsiadów Flipy, a wśród nich profesora Devlina, który zaczepił go jeszcze przed nabożeństwem i zaczął wypytywać o trumienki i postępy w śledztwie. Kiedy Rebus potrząsnął głową, Devlin zapytał, czy dobrze się czuje.

– Bo wyczuwam w panu jakieś napięcie – powiedział.

– Czasami tak bywa.

Devlin przyjrzał mu się uważnie.

– Zawsze brałem pana za pragmatyka, inspektorze – oznajmił.

– Zawsze uważałem, że pesymizm dobrze robi – odparł Rebus i odszedł.

Stał teraz, podpatrując pozostałych żałobników, wśród których widać było znane twarze polityków, między innymi twarz posłanki do szkockiego parlamentu, Seony Grieve. Z kościoła wyszedł David Costello, a tuż za nim jego rodzice. David zmrużył oczy przed nagłym blaskiem światła dziennego i sięgnął do kieszeni po okulary przeciwsłoneczne.

W oczach ofiary pozostaje obraz jej zabójcy...

Ale w okularach Davida Costello można było jedynie dostrzec własne odbicie. Czy o to mu właśnie chodziło? Tuż za nim szli jego rodzice wyraźnie osobno, posuwając się własnymi drogami i bardziej wyglądając na dalekich znajomych niż na małżonków. W tłumie podążającym bezładną masą za trumną, David znalazł się tuż obok profesora Devlina. Ten wyciągnął rękę na przywitanie, jednak David bez słowa patrzył na nią tak długo, aż Devlin ją w końcu cofnął i poklepał chłopaka po ramieniu.

Nagle zrobiło się jakieś zamieszanie... Podjechał samochód, trzasnęły drzwi i dróżką prowadzącą od szosy ku bramie zaczął biec mężczyzna ubrany po sportowemu, w wełniany

sweterek i szare spodnie. Miał nie ogoloną twarz i przekrwione oczy i Rebus rozpoznał w nim Ranalda Marra. Było jasne, że Marr musiał spędzić noc w swym maserati. Zauważył też, że Holly marszczy twarz i stara się zorientować, co się dzieje. Marr dołączył do konduktu w chwili, gdy ten docierał już do grobu. Bez wahania przepchnął się do przodu i stanął obok Johna i Jacqueline Balfour. John puścił ramię żony i objął Marra, który odwzajemnił uścisk. Templer i Pryde spojrzeli pytająco na Carswella, a ten wolno opuścił obie ręce dłońmi do dołu. Gest był jednoznaczny: spokojnie, mówił, zachowujemy spokój.

Rebus nie sądził, by któryś z reporterów zwrócił uwagę na Carswella. Wszyscy byli zbyt zajęci, starając się zorientować, co się dzieje przy grobie. A potem dostrzegł, że Siobhan zagłębia się w głąb grobu, patrzy na trumnę i znów na grób, jakby nagle coś tam dostrzegła. A potem obraca się na pięcie i rusza wzdłuż rzędu grobów z głową opuszczoną, jakby czegoś szukając.

– Albowiem jam jest zmartwychwstanie i życie wieczne – zaintonował pastor.

Marr stał obok Balfoura ze wzrokiem wbitym w trumnę i zdawało się, że niczego poza nią nie widzi. Siobhan oddalała się od grobu, energicznie krocząc między rzędami nagrobków. Rebus pomyślał, że chyba reporterzy jej nie widzą, bo przesłaniał ją tłumek stojący przy grobie. W pewnej chwili przy jednym z nagrobków kucnęła i wyglądało, jakby odczytywała widniejący na nim napis. Potem wyprostowała się i ruszyła w dalszą drogę, ale już znacznie wolniej, jakby nagle przestało jej się spieszyć. Potem odwróciła się i dostrzegła, że Rebus ją obserwuje. Posłała mu krótki uśmiech, który jednak wcale go nie ucieszył. Potem znów ruszyła w drogę i po chwili znikła mu z pola widzenia, zasłonięta przez tłumek przy grobie.

Carswell coś szeptał do ucha Gill Templer – zapewne dawał jej wskazówki, jak ma postąpić z Marrem. Rebus przypuszczał, że pozwoli mu spokojnie opuścić cmentarz, po czym zażądają, by im towarzyszył. Być może pojedą z nim do Jałowców i tam go przesłuchają, jednak bardziej prawdopodobne było, że Marr zamiast na stypę trafi do sali przesłuchań na Gaysfield Square, a w miejsce smakołyków ze stołu będzie się musiał zadowolić kubkiem szarobrunatnej herbaty.

– Z prochu powstałaś i w proch się obrócisz... To było silniejsze od Rebusa: w głowie zadźwięczało mu kilka pierwszych taktów przeboju Bowie'go.

Kilku reporterów już się zbierało, by wrócić do miasta albo ustawić się na drodze do Jałowców i tam dokonać przeglądu zjeżdżających się gości. Rebus wsadził ręce do kieszeni płaszcza i rozpoczął powolny spacer po obwodzie cmentarza. Na lśniących powierzchniach trumny Flipy spadły pierwsze krople deszczu – pierwsze i ostatnie, jakie kiedykolwiek na nią spadną. Jej matka wydała z siebie bolesny szloch, który wiatr poniosł ku pobliskim wzgórzom.

Rebus zatrzymał się przed niewielkim nagrobkiem. Pochowany tu człowiek żył w latach 1876 do 1937. Umarł, mając niespełna sześćdziesiąt jeden lat, i uniknął najgorszych lat hitleryzmu. Być może z racji wieku uniknął także frontów pierwszej wojny światowej. Był z zawodu cieślą i zapewne swym rzemiosłem obsługiwał okoliczne farmy. Rebus na moment

przypomniał sobie starego trumniarza, potem spojrział na nazwisko wykute na nagrobku – Francis Campbell Finlay – i z trudem opanował uśmiech. Siobhan stała nad pudłem trumny Flipy Balfour i wtedy ją olśniło: dotarło do niej podwójne znaczenie słowa box, znaczącego nie tylko „boks”, ale także „pudło”. A potem spojrzała w głąb grobu i uświadomiła sobie, że oto miejsce, do którego nie dociera słońce. Wskazówka Quizmastera prowadziła ją więc do jednego z tutejszych grobów, dotarło to jednak do niej dopiero tu na miejscu. A potem udała się na poszukiwania Franka Finlaya i znalazła jego grób. Rebus był ciekaw, co jeszcze znalazła, gdy tak siedziała przykucnięta i wpatrywała się w nagrobek. Spojrzął w stronę tłumu żałobników, którzy już zaczęli opuszczać cmentarz. Szoferzy gasili papierosy i zaczęli otwierać drzwi. Nie widział Siobhan, zauważył natomiast, że Carswell odciągnął Marra na bok i wdał się z nim w rozmowę. Wyglądało, że rozmowa jest jednostronna, bo mówi Carswell, a Marr tylko słucha i ze zrezygnowaniem kiwa głową. Potem Carswell wyciągnął rękę, a Marr położył mu na dłoni kluczyki od samochodu.

Rebus wyszedł z cmentarza jako ostatni. Samochody zwracały na szosie, kolejno wykonując klasyczny manewr na trzy. Traktor z przyczepą stał i czekał, aż się zwolni przejazd. Rebus nie rozpoznał twarzy kierowcy. Siobhan stała obok swego samochodu, opierając się rękami o dach. Widać było, że się jej nigdzie nie spieszy. Rebus podszedł bliżej i kiwnął głową na powitanie.

– Tak myślałam, że cię tu zobaczę – powiedziała tylko. Rebus stanął obok i też położył rękę na dachu samochodu. – Dostałeś opieprz, co?

– Powiedziałem Gill, że przepisy tego nie zabraniają.

– Widziałeś Marra?

Rebus przytaknął.

– I co się dzieje? – zapytał.

– Jedzie z Carswellem do Jałowców. Powiedział, że chce porozmawiać z Balfourem i coś mu wyjaśnić.

– Co mianowicie?

– Pewnie się w swoim czasie dowiemy.

– Nie sądzę, żeby się chciał przyznać do morderstwa.

– Pewnie nie – potwierdziła.

– Tak sobie pomyślałem... – Rebus zawiesił głos.

Odwróciła wzrok od maserati, którym Carswell starał się zawrócić na wąskiej szosie.

– Tak?

– O tej ostatniej wskazówce do Rygorów. Masz jakieś nowe pomysły? – Rygory, ograniczenia obowiązujące w miejscu odosobnienia. A przecież niewiele jest miejsc tak ścisłego odosobnienia jak grób...

Zamrugnęła kilka razy powiekami, potem potrząsnęła głową.

- A ty? – spytała.
- Tak się zastanawiałem, czy ten box mógłby znaczyć „pudło”.
- Mhmm – zamyśliła się. – Może.
- Mam dalej próbować?
- Nigdy nie zaszkodzi.

Maserati z rykiem ruszyło szosą. Carswell najwyraźniej zbyt gwałtownie nacisnął pedał gazu.

- Pewnie nie – kiwnął głową Rebus. – Wybierasz się do Jałowców?
- Nie, wracam na St Leonard’s.
- Masz coś pilnego do roboty?

Zdjęła rękę z dachu samochodu i wsunęła dłonie do kieszeni czarnej kurtki.

- No, tak jakby – potwierdziła.

Rebus zauważył, że kluczyki trzyma w lewej dłoni. Ciekawe, co ma w prawej, pomyślał.

- No to na razie pa, pa – powiedział.
- Do zobaczenia w firmie.
- Pamiętaj, że wciąż jestem na czarnej liście.

Wyciągnęła rękę z kieszeni i otworzyła drzwi samochodu.

- Jasne – odparła i wsiadła.

Rebus pochylił się, by zajrzeć do środka, jednak ona tylko przelotnie się uśmiechnęła. Silnik samochodu ożył, on zrobił krok do tyłu, a koła przez moment buksowały w miejscu, nim trafiły na twardą nawierzchnię asfaltu.

Zachowała się dokładnie tak, jak on by na jej miejscu zrobił: zatrzymała dla siebie to, co udało jej się znaleźć. Rebus podbiegi do swego samochodu i ruszył za nią.

W wiosce zwolnił nieco, przejeżdżając obok chaty Bev Dodds. Właściwie spodziewał się ją zobaczyć na pogrzebie. Uroczystości pogrzebowe ściągnęły trochę gawiedzi, mimo że samochody policyjne ustawione na drodze z obu stron cmentarza miały zniechęcać przypadkowych gapiów. Miejsce parkingowych w wiosce też było jak na lekarstwo, choć pomyślał, że pewnie w środy bywa tu trochę luźniej [Środa jest w Wielkiej Brytanii dniem wczesnego zamykania sklepów, już o godzinie 13.00.]. W miejsce koślawego, ręcznie malowanego szyldu reklamującego ceramikę pojawiła się elegancka, profesjonalnie wykonana tablica. Rebus przyspieszył, by nie stracić z oczu samochodu Siobhan. Trumienki wciąż jeszcze leżały w dolnej szufladzie jego biurka. Wiedział, że Dodds zabiega o zwrot trumienki znalezionej przy wodospadzie. Może w szlachetnym porywie zabierze ją dziś z biura i podrzuci tu w czwartek lub piątek. Da mu to pretekst do wizyty w biurze i jeszcze jednej próby wydobywania czegoś z Siobhan – o ile, oczywiście, w ogóle tam jedzie...

Przypomniał sobie, że pod fotelem ma pół butelki whisky. Naprawdę czuł potrzebę łyknięcia

alkoholu – w końcu to się przecież robi po pogrzebach. Alkohol pomaga człowiekowi uwolnić się od myśli, że śmierć jest czymś nieuniknionym.

– Kusząca perspektywa – powiedział do siebie, wsuwając kasetę do odtwarzacza. Wczesny Alex Harvey: *The Faith Healer*. Właściwie wczesny Alex Harvey, czy późny, to niewielka różnica. Ciekaw był, jak istotną rolę odegrał alkohol w upadku tego wokalisty z Glasgow. Gdy raz gorzała zacznie ci się kojarzyć ze śmiercią, to już nigdy się z tego nie wyzwolisz...

– Myślicie, że to ja ją zabiłem, prawda?

Siedzieli w sali przesłuchań w trójkę: Gill Templer, Bill Pryde i Randal Marr. Zza drzwi dochodziły uporczywe szmery: szepty, odgłos chodzenia na palcach i rozmowy prowadzone ściszonymi głosami przez telefony, które odbierano, niemal nim zdążyły zadzwonić.

– Niczego nie chcemy przesądzać, panie Marr – powiedziała Gill.

– A jednak to właśnie robicie, czyż nie?

– Mamy do pana jedynie parę dodatkowych pytań – wtrącił Bill Pryde.

Marr skwitował to pogardliwym parsknięciem.

– Od jak dawna znał pan Philippę Balfour?

Marr spojrzał na Gill Templer.

– Od urodzenia. Byłem jej ojcem chrzestnym.

Gill zrobiła notatkę.

– A od kiedy zaczęliście czuć do siebie pociąg fizyczny?

– A kto powiedział, że czuliśmy?

– Dlaczego pan tak wybiegł z domu?

– Bo to dla mnie bardzo stresujące chwile. Słuchajcie. – Marr poprawił się na krześle. – Czy nie uważacie, że powinienem wezwać adwokata?

– To zależy wyłącznie od pana.

Marr przez chwilę się zastanawiał.

– Jedźmy dalej – powiedział.

– Czy z Philippą Balfour łączyły pana jakieś stosunki?

– Jakiego rodzaju stosunki?

Bill Pryde niemal wrzasnął.

– Takie, za jakie jej ojciec powiesiłby pana za jaja.

– Tak, domyślam się, o co panu chodzi. – Przez chwilę wyglądało, że zastanawia się nad odpowiedzią. – Powiem tak; przeprowadziłem rozmowę z Johnem Balfourem, a on wykazał zrozumienie. I rozmowa ta – niezależnie od jej treści – nie ma żadnego związku ze sprawą. I to w zasadzie wszystko. – Odchylił się do tyłu i oparł plecami o oparcie krzesła.

– Różnaś własną córkę chrzestną – powiedział Pryde ze wstrętem.

– Inspektorze Pryde! – odezwała się Templer ostrzegawczo. I zwracając się do Marra, dodała: – Przepraszam za mojego kolegę.

– Przeprosiny przyjęte.

– Jemu trudniej przychodzi ukryć obrzydzenie i pogardę, niż mnie.

Marr niemal się uśmiechnął.

– Natomiast jeśli chodzi o to, co ma, a co nie ma związku ze sprawą, to o tym będziemy decydowali my, a nie pan, zgoda?

Policzki Marra poczerwieniały, ale nie podjął tematu. Wzruszył tylko ramionami, a potem założył ręce na piersiach na znak, że w jego rozumieniu rozmowa dobiegła już końca.

– Dwa słowa, inspektorze Pryde – odezwała się Gill, wskazując głową na drzwi. Oboje wyszli z sali, a w ich miejsce pojawiło się dwóch mundurowych policjantów. Na korytarzu natychmiast zebrała się wokół nich grupka ciekawskich, jednak Gill popchnęła Billa w kierunku drzwi z napisem DLA KOBIET, wepchnęła go do środka, weszła za nim i stanęła oparta plecami o drzwi, uniemożliwiając wejście komuś innemu. – No i co? – zapytała.

– Ładnie tu – rzekł Pryde, rozglądając się. Podszedł do umywalki, wyciągnął spod niej kosz na śmieci i wypluł potężną kluchę gumy do żucia, po czym natychmiast wsadził sobie do ust dwa nowe listki. – Oni coś razem ukrywają – stwierdził w końcu, wpatrując się w swoje odbicie w lustrze.

– Tak – oznajmiła Gill. – Trzeba go było od razu przywieźć tutaj.

– Kolejna plama Carswella – powiedział Pryde. – Jeszcze jedna.

Gill kiwnęła głową.

– Myślisz, że się przyznał Balfourowi?

– Myślę, że pewnie mu coś powiedział. Miał całą noc na obmyślenie, jak to zrobić. „John, to się tak jakoś samo stało... było to dawno temu i tylko jeden, jedyne raz... tak mi przykro”. Mężowie znają takie teksty na pamięć, wciąż je mówią.

Gill prawie się uśmiechnęła. Wyglądało tak, jakby przemawiało przez niego doświadczenie.

– I mimo to Balfour nie powiesił go za jaja?

Pryde wolno pokręcił głową.

– Im lepiej poznaję pana Balfoura, tym mniej mi się podoba. Wygląda na to, że bank tkwi w szambie, a po domu kręcą się jego klienci... Jego najlepszy przyjaciel mówi mu, że się zabawia z jego córką – i co na to pan Balfour? Wykazuje zrozumienie.

– Myślisz, że się dogadali, żeby zachować to w tajemnicy?

Teraz Pryde pokiwał głową.

– Tak, bo inaczej dochodzi do skandalu, dymisji, publicznej awantury i utraty tego, co dla nich najcenniejsze: chłodnego, szeleszczącego szmalu.

– Jeśli tak, to trudno nam będzie coś z niego wyciągnąć.

Pryde spojrział na nią.

– Chyba, że go naprawdę mocno przyciśniemy.

– Nie jestem pewna, czy Carswell byłby tym zachwycony.

– Z całym szacunkiem, pani komisarz, ale pan komendant Carswell nie potrafiłby znaleźć własnego tyłka, gdyby nie było na nim naklejki „Lizać tutaj”.

– Takiego języka nie mam zamiaru tolerować – powiedziała Gill z surową miną, w której jednak pojawił się cień uśmiechu. Ktoś ponownie spróbował otworzyć drzwi, a Gill zawołała, by się przestano dobijać.

– Ale ja muszę – jęknął jakiś damski głos.

– Ja też – powiedział Pryde, puszczając oko – ale chyba lepiej przeniosę się do męskiego prymitywu. – Gill kiwnęła głową i odsunęła się od drzwi, a on raz jeszcze tęsknie rozejrzał się wokół i dodał: – Ale wierz mi, że to już na zawsze zapadnie mi w pamięć. Żeby to człowiek miał takie luksusy...

Po powrocie do sali przesłuchań zastali Marra rozluźnionego i siedzącego z miną wyrażającą pewność, że za chwilę znów wsiądzie do swego maserati. Nie mogąc się pogodzić z jego bezczelną pewnością siebie, Gill postanowiła jeszcze raz spróbować.

– Pański romans z Philippą ciągnął się dość długo, prawda?

– O Boże, znów do tego wracamy? – powiedział Marr, przewracając oczami.

– W dodatku ludzie o nim wiedzieli. Philippa opowiedziała wszystko Claire Benzie.

– I to od niej te wiadomości? To już stara śpiewka. Ta młoda osóbką jest gotowa zrobić i powiedzieć wszystko, co może zaszkodzić bankowi.

– Nie sądzę – potrząsnęła głową Gill. – Gdyby chciała wykorzystać to, co wie, wystarczył jeden telefon do Johna Balfoura i cała sprawa by się wydała. A jednak tego nie zrobiła. Mogę więc jedynie przyjąć, że ma pewne zasady.

– Albo, że czekała na właściwy moment.

– To też możliwe.

– Czyli do tego się to teraz sprowadza: jej słowo przeciwko mojemu?

– Faktem jest, że zależało panu na nauczaniu Philippy, jak się pozbywać niepożądanych e-maili.

– To już też wyjaśniłem pani ludziom.

– Tak, tylko że teraz znamy prawdziwy powód, dlaczego pan to zrobił.

Marr próbował ją zgromić wzrokiem, jednak bezskutecznie. Nic mógł wiedzieć, że w trakcie swej kariery policyjnej Gill brała udział w przesłuchiowaniu kilkunastu morderców. Oni także wielokrotnie próbowali ją gromić wzrokiem pełnym nienawiści i szaleństwa. Marr odwrócił wzrok i opuścił ramiona.

– No więc dobrze – powiedział – jest jedna sprawa...

– Cały czas na to czekamy, panie Marr – warknął Pryde, wyprostowując się sztywno na krześle.

– Nie powiedziałem... całej prawdy w sprawie tej gry, w którą grała.

– Nie powiedział pan całej prawdy w żadnej sprawie – wtrącił Pryde ponuro, jednak Gill uciszyła go spojrzaniem. Zresztą Marr i tak nie słuchał.

– Nie wiedziałem, że chodzi o grę – ciągnął – wtedy nie. Dla mnie było to zwykłe pytanie... jak hasło do krzyżówki. Tak sobie wtedy pomyślałem.

– Więc zwróciła się do pana o pomoc?

Marr kiwnął głową.

– Tak, w sprawie snu masona. Myślała, że będę mógł jej pomóc.

– A dlaczego tak myślała?

Na jego twarzy pojawił się cień uśmiechu.

– Zawsze mnie przeceniała. Ona była... Myślę, że daleko wam do zrozumienia w pełni, kim naprawdę była. Wiem, jakie macie o niej zdanie: bogata rozpieszczona smarkuła, której studia polegają na oglądaniu starych malowideł, a która później wyjdzie za kogoś jeszcze bogatszego. – Potrząsnął głową. – Ale Flipa wcale taka nie była. Może sprawiała takie wrażenie, ale miała złożoną naturę, potrafiła w każdej chwili czymś zaskoczyć. I tak właśnie było z tą grą. Z jednej strony mnie to zdumiało, ale z drugiej... Pod wieloma względami była w tym cała Flipa. Miała skłonność do nagłych zachwyty nad czymś nowym, do nowych pasji. Całymi latami chodziła raz w tygodniu do zoo, niemal tydzień w tydzień, rok w rok, a ja się o tym do wiedziałem zupełnie przypadkowo dopiero kilka miesięcy temu. Tylko dlatego, że akurat wychodziłem ze spotkania w hotelu Posthouse, a ona wychodziła z bramy zoo tuż obok. – Spojrzał na nich. – Rozumiecie, o co mi chodzi?

Gill nie była taka pewna, ale potakująco kiwnęła głową.

– Proszę mówić dalej – powiedziała, ale jej głos jakby wytrącił go z transu i sprowadził na ziemię.

Zaczerpnął powietrza i wyglądało, że się otrząsnął.

– Ona była... – Otworzył usta i zamknął je, nie wydając żadnego dźwięku. Potem pokręcił głową i dodał: – Jestem zmęczony i chcę wrócić do domu. Muszę porozmawiać z Dorothy o pewnych sprawach.

– Może pan prowadzić? – spytała Gill.

– Absolutnie – odetchnął głęboko. Jednak, gdy znów na nią spojrzął, oczy miał pełne łez. – Chryste Panie – powiedział – ależ ja to wszystko pogmatwałem. A mimo to, za cenę chwili, które z nią spędziłem, zrobiłbym to jeszcze raz, i jeszcze raz, i jeszcze raz...

– Ćwicz pan sobie tekst dla małżonki? – zapytał Pryde zimno i dopiero wtedy Gill zdała sobie sprawę, że opowieść Marra tylko ją tak poruszyła. By to jeszcze mocniej podkreślić, Pryde

wydmuchnął coś na kształt balonika, który pękł mu na ustach z głośnym kłapnięciem.

– Mój Boże – odezwał się Marr, niemal z podziwem. – Mogę się jedynie modlić do Boga, by mnie nigdy nie obdarzył skórą równie grubą jak pańska.

– To pan, panie Marr, przez te wszystkie lata pieprzył córkę swojego kumpla. W porównaniu ze mną, pan jesteś jak jebany pancernik.

Tym razem Gill złapała go za ramię i wyciągnęła z sali przesłuchań.

Rebus snuł się smętnie pośród ogólnego ożywienia panującego na St Leonard's. Wszyscy byli przekonani, że przesłuchania Marra i Claire Benzie o czymś świadczą. No pewno, że o czymś.

– Żeby jeszcze wiedzieć o czym – mruknął, jednak nikt go nie słuchał. W szufladzie biurka znalazł trumienki, jakieś papiery i brudny papierowy kubek po kawie, który zostawił tu ktoś, komu nie chciało się poszukać kosza. Rebus zasiadł w starym fotelu Farmera, wyciągnął trumienki i rozłożył je na biurku, odsuwając na bok stertę papierów. Czuł, jak mu się morderca wymyka z rąk. Problem polegał na tym, że nowe dane można było uzyskać tylko za cenę nowej ofiary, a wcale nie był pewien, czy by tego chciał. Musiał sam przed sobą przyznać, że dowody, które wziął do domu i rozwiesił na ścianie, w rzeczywistości nie stanowiły dowodów. Były tylko mieszaniną poszlak i spekulacji, wiotką pajęczyną podejrzeń wziętych niemal z powietrza, na którą wystarczyło mocniej dmuchnąć, by zaczynała się rwać. Na podstawie zebranych dowodów można było równie dobrze przyjąć, że Betty-Anne Jesperson uciekła po kryjomu z tajemniczym kochankiem, a Hazel Gibbs w alkoholowym zamroczeniu wędrowała brzegiem White Cart Water, pośliznęła się, upadła i straciła przytomność. Może Paula Gearing umiała dobrze ukryć swą rozpacz i weszła do morza z własnej woli, a ta uczennica, Caroline Farmer, chciała tylko wyrwać się z małego szkockiego miasteczka i rozpocząć nowe życie w jakimś mieście w Anglii.

No to co, że ktoś w pobliżu zostawiał drewniane trumienki? Przecież nie było nawet pewne, że za każdym razem była to ta sama osoba. Jedynym na to dowodem była opinia stolarza. A protokoły autopsji nie wskazywały na to, by w ogóle popełniono jakieś przestępstwo... aż do czasu znalezienia trumienki w Kaskadach. To kolejne odstępstwo od dotychczasowej prawidłowości Flipa Balfour była pierwszą ofiarą, o której można z całą pewnością powiedzieć, że zginęła z rąk napastnika.

Objął głowę dłońmi, czując, że jeśli jej nie przytrzyma, to może mu za chwilę eksplodować. Zbyt wiele upiorów, zbyt wiele różnych „jeżeli” i „ale”. Zbyt dużo nagromadziło się smutku i bólu, poczucia straty i poczucia winy. To właśnie w takich chwilach miał zwyczaj składać nocne wizyty Conorowi Leary. Teraz nie było już nikogo, do kogo mógłby się zwrócić...

Pod numerem wewnętrznym Jean odezwał się jakiś męski głos.

– Przykro mi – powiedział – ostatnio trudno ją zastać.

– Macie dużo pracy?

– Niespecjalnie. Jean udała się znów na jakąś tajemniczą wycieczkę.

– Naprawdę?

Mężczyzna roześmiał się.

– Nie chodzi mi o wycieczkę autobusem, czy coś w tym rodzaju – wyjaśnił. – Od czasu do czasu podejmuje jakieś specjalne akcje. Wtedy mogliby w budynku zdetonować bombę, a ona i tak by nie zauważyła.

Rebus uśmiechnął się. Facet z muzeum mógłby równie dobrze mówić o nim. Tyle że Jean nic mu nie wspominała, że zajmuje się czymś poza normalną pracą. To oczywiście nie jego sprawa, ale...

– To co ją tym razem pochłonęło? – zapytał.

– Mmm, zaraz, niech sobie przypomnę... Burke i Harc, doktor Knox i całe to towarzystwo.

– Rezurekcyjniści?

– To dziwna nazwa, nie uważa pan? Bo w końcu trudno powiedzieć, żeby ich działalność prowadziła do zmartwychwstania. W każdym razie nie w chrześcijańskim sensie tego słowa.

– To prawda. – Mężczyzna przy telefonie irytował Rebusa swoim tonem i sposobem mówienia. Irytowało go również to, że tak łatwo udziela informacji o Jean. Nawet nie spytał go o nazwisko. Gdyby Steve Holly natknął się na tego faceta, mógłby się od niego wszystkiego dowiedzieć, pewnie łącznie z jej numerem telefonu i adresem domowym.

– Ale chyba najbardziej interesował ją ten lekarz, który robił sekcję zwłok Burke'a. Jak on się nazywał...?

Rebus przypomniał sobie portret w Domu Lekarza.

– Kennet Lovell? – zapytał.

– Właśnie. – Mężczyzna wydawał się nieco poirytowany tym, że Rebus wiedział. – Pan może pomaga Jean? Mam jej zostawić jakąś wiadomość?

– A nie wie pan przypadkiem, gdzie teraz jest?

– Nie zwierza mi się.

No i chwała Bogu, pomyślał Rebus i niemal powiedział to na głos. Ograniczył się jednak tylko do stwierdzenia, że nie zostawi żadnej wiadomości i rozłączył się. Jean dowiedziała się o Lovellu od Devlina, wtedy gdy snuł swoją teorię o tym, że to Lovell zostawił trumienki na Arthur's Seat. Najwyraźniej poszła tym tropem. Mimo wszystko to dziwne, że nic mu o tym nie powiedziała...

Wlepił wzrok w biurko naprzeciwko, to, przy którym przedtem siedziała Wylie. Całe było zarzucone papierzyskami. Przymrużył oczy, wstał z miejsca i podszedłszy do biurka, zaczął przekładać kartki.

Na samym dnie leżały protokoły autopsji Hazel Gibbs i Pauli Gearing. Miał zamiar je

odesłać. Wtedy w barze Ox profesor Devlin wyraźnie nalegał, by je zwrócić. I oczywiście miał rację. Nie były tu już do niczego potrzebne, a mogły się łatwo zawieruszyć lub trafić do niewłaściwych teczek wraz z masą dokumentów powstałych w trakcie śledztwa.

Rebus przeniósł je na swoje biurko, potem wszystkie inne papiery złożył na sąsiednie biurko. Trumienki wróciły do dolnej szuflady, z wyjątkiem tej pochodzącej z Kaskad, którą wsadził do reklamówki z jakiegoś sklepu. Z pojemnika fotokopiarki wyciągnął arkusz papieru A4 – było to jedyne miejsce w całym biurze, gdzie zawsze można było znaleźć kawałek czystego papieru – i napisał na nim: CZY KTOŚ BYŁBY ŁASKAW WYSLAĆ TE DOKUMENTY NA PODANE ADRESY, JEŻELI TO MOŻLIWE NAJPOŹNIEJ DO PIĄTKU. DZIĘKI, J.R.

Rozejrzał się i dopiero teraz dotarło do niego, że wprawdzie na parking komisariatu wjechał za samochodem Siobhan, lecz teraz nigdzie jej tu nie ma.

– Powiedziała, że jedzie na Gayfield Square – wyjaśnił któryś z kolegów.

– Kiedy?

– Pięć minut temu.

A więc podczas jego rozmowy telefonicznej z facetem z muzeum.

– Dzięki – rzucił i biegiem ruszył do samochodu.

Z St Leonard's na Gayfield Square nie da się szybko przejechać, więc Rebus musiał popełnić szereg wykroczeń na kolejnych światłach i skrzyżowaniach. Przed komisariatem nie było jej samochodu, ale kiedy wparował do środka, od razu się na nią natknął. Stała na korytarzu, spokojnie gawędząc z Grantem Hoodem ubranym w kolejny podejrzanie nowy garnitur i świecącym świeżą opalenizną.

– Siedzisz twarzą do słońca, Grant? – zapytał Rebus. – Zdawało mi się, że ten twój pokój w Pałacu nie ma nawet okna.

Hood machinalnie dotknął ręką policzka.

– Może mnie troszkę chwyciło. – Po czym udając, że dostrzega kogoś w drugim końcu korytarza, dodał pospiesznie: – Przepraszam, ale muszę... – I już go nie było.

– Zaczynam się martwić o naszego Granta – mruknął Rebus.

– Jak myślisz: samoopalacz czy solarium?

Rebus wolno pokręcił głową na znak, że sam nie wie. Grant rzucił przez ramię spojrzenie w ich kierunku i wdał się z kimś w ożywioną rozmowę, jakby od dawna na to czekał. Rebus przysiadł na biurku.

– Coś nowego? – zapytał.

– Marra już wypuścili. Wszystko, co udało się z niego wyciągnąć to tyle, że Flipa go rzeczywiście pytała o masonów.

– A jak wyjaśnił to, że nas okłamał?

Wzruszyła ramionami.

– Mnie tam nie było, to nie wiem. – Sprawiała wrażenie trochę rozdrażnionej.

– Może usiądziesz? – zaproponował, ale potrząsnęła głową. – Masz coś pilnego do załatwienia? – domyślił się.

– Zgadza się.

– Co na przykład?

– Co?

Powtórzył pytanie, a ona wbiła w niego wzrok.

– Nie gniewaj się – powiedziała – ale czy jak na zawieszzonego gliniarza nie spędzasz przypadkiem za dużo czasu w biurze?

– Zapomniałem coś, więc wpadłem. – Mówiąc to, zdał sobie sprawę, że istotnie o czymś zapomniał: o trumience z Kaskad, którą zostawił na biurku w plastikowej reklamówce. – A ty o czymś nie zapomniałaś?

– O czym mianowicie?

– O podzieleniu się swoim odkryciem z resztą ekipy.

– Nie sądzę.

– Więc jednak coś znalazłaś? Na grobie Francisa Finlaya, tak?

– John... – Starala się teraz unikać jego wzroku. – Zostałaś odsunięta od tej sprawy.

– Być może. Ty się nią zajmujesz, ale cię poniosło.

– Nie masz prawa tak mówić. – Nadal na niego nie patrzyła.

– Myślę, że mam.

– To mi to udowodnij!

– Inspektorze Rebus! – dał się słyszeć władczy głos. W drzwiach kawałek od nich stał Colin Carswell. – Pozwólcie na chwilę...

Rebus spojrzał na Siobhan.

– Dalszy ciąg nastąpi – powiedział, po czym wstał i wyszedł z sali.

Carswell czekał na niego w ciasnym pokoiku Gill Templer. Obok stała Gill z ramionami splecionymi na piersiach. Carswell już się mościł na krześle za jej biurkiem, z niesmakiem spoglądając na stosy nowych papierzyk, jakie przybyły tu od czasu jego ostatniej wizyty.

– A więc, inspektorze Rebus, czym wam możemy służyć? – zapytał.

– Wpadłem tylko po coś.

– Obyście nie wpadli tym razem na dobre.

– Dobrze, panie komendancie – powiedział Rebus zimno

– John – wtrąciła się Gill – powinieneś siedzieć w domu.

Rebus kiwnął głową.

– To nie takie proste, kiedy się dzieje tyle ciekawych rzeczy. – Nie spuszczał wzroku z Carswella. – Na przykład, kiedy uprzedzają Marra, że po niego jadą, a teraz jeszcze słyszę, że

przed przesłuchaniem pozwolono mu na dziesięć minut rozmowy w cztery oczy z Balfourem. Tylko pogratulować, panie komendancie.

– Strachy na lachy, Rebus – powiedział Carswell.

– Jestem do dyspozycji, proszę mi tylko wyznaczyć miejsce i czas.

– John... – znów wtrąciła się Gill. – W ten sposób do niczego nie dojdziemy, nie uważasz?

– Chcę, żeby mnie przywrócono.

Carswell tylko parsknął, a Rebus zwrócił się do Gill.

– Siobhan wdała się w ryzykowną grę. Wydaje mi się, że się znów kontaktuje z Quizmasterem. Być może umawiają spotkanie.

– Skąd wiesz?

– Nazwijmy to umiejętnością dedukcji. – Spojrzał na Carswella. – I zanim pan zrobi jakąś dowcipną uwagę na temat mojego niskiego poziomu inteligencji, z góry mówię, że się z panem zgadzam. Ale myślę, że w tej sprawie się nie mylę.

– Przekazał jej następną wskazówkę? – Gill wyraźnie się ożywiła.

– Dziś rano na cmentarzu.

Oczy jej się zwęziły.

– Ktoś z konduktu żałobnego?

– Mógł to zostawić wcześniej. Chodzi o to, że Siobhan od dawna go namawia na spotkanie.

– No i co dalej?

– No i sterczy teraz w sali operacyjnej i wyczekuje na właściwy moment.

Gill wolno pokiwała głową.

– Ale przecież, gdyby chodziło o nową zagadkę, to by teraz siedziała i próbowała ją rozwikłać.

– Zaraz, zaraz – wtrącił się Carswell. – A skąd my mamy wiedzieć, że to wszystko prawda? Widzieliście, jak odbierała tę wiadomość?

– Poprzednia wskazówka prowadziła do konkretnego grobu na cmentarzu. Widziałem, jak przy nim ukucnęła...

– No i co z tego?

– No i myślę, że właśnie wtedy przejęła tę wiadomość.

– Ale nie widzieliście tego?

– Kucnęła przy grobie...

– Ale nie widzieliście tego?

Czując, że zbliża się następna konfrontacja, Gill wkroczyła do rozmowy.

– Może najprościej będzie ją wezwać i zapytać.

Rebus kiwnął głową.

– Pójdę po nią. – Zawahał się. – Za pozwoleniem, panie Komendancie.

Carswell westchnął.

– Dobrze, idźcie.

Ale w sali Siobhan już nie było. Rebus ruszył korytarzem, wypytując o nią wszystkich napotkanych. Ktoś stojący przy automacie z napojami oświadczył, że widział, jak przed chwilą tędy przechodziła. Rebus przyspieszył kroku i dotarł do drzwi prowadzących na zewnątrz. Nie było ani śladu jej samochodu, ani jej samej. Pomyślał, że może zaparkowała gdzieś dalej i rozejrzał się na boki. W lewo ciągnęła się ruchliwa Leith Walk, w prawo wąskie uliczki wschodnich krańców Nowego Miasta. Stamtąd było zaledwie pięć minut do jej mieszkania, jednak zawrócił i wszedł do środka.

– Już jej nie ma – poinformował Gill. Zauważył, że zniknął też Carswell. – A komendant gdzie?

– Wezwali go do Pałacu. Zdaje się, że stary coś od niego chciał.

– Gill, musimy ją znaleźć. Wydeleguj paru ludzi. – Kiwnął głową w stronę sali operacyjnej. – Nie mają teraz zbyt wiele do roboty.

– Dobrze, John, znajdziemy ją, nie martw się. Może Bania wie, gdzie się wybierała. – Podniosła słuchawkę. – Zacznijmy od niego...

Ale odnalezienie Erica Baina okazało się równie trudne. Wiadomo było, że jest gdzieś w Pałacu, ale nikt nie potrafił powiedzieć gdzie. Jednocześnie Rebus spróbował się dodzwonić do Siobhan do domu i na komórkę. W domu zgłosiła się automatyczna sekretarka, na komórce automat poinformował go, że telefon jest zajęty. Spróbował ponownie pięć minut później, ale telefon wciąż był zajęty. Tym razem dzwonił już ze swojej komórki, będąc w drodze do jej mieszkania. Nacisnął przycisk domofonu, jednak bez rezultatu. Przeszedł na drugą stronę ulicy, wpatrzył się w jej okna i stał tam tak długo, aż przechodnie zaczęli zadzierać głowy do góry, ciekawi, co też takiego zobaczył, czego oni nie widzą. Jej samochodu nie było ani pod domem, ani na żadnej z sąsiednich uliczek.

Gill zostawiła jej wiadomość na pagerze, prosząc o pilny kontakt, ale Rebus upierał się, że to za mało. W końcu się zgodziła i zarządziła nadanie komunikatu do radiowozów policyjnych, z poleceniem poszukiwania jej samochodu.

Teraz, stojąc pod jej domem, Rebus pomyślał nagle, że przecież może być gdziekolwiek, niekoniecznie w obrębie miasta. Quizmaster już ją wysłał na Hart Fell i do kaplicy Rosslyn. Więc skąd można wiedzieć, jakie miejsce wybrał na ich spotkanie. A im bardziej odosobnione, w tym większym była niebezpieczeństwie. Miał ochotę stłuc się po głębie. Należało zaciągnąć ją ze sobą na to spotkanie i nie pozwolić jej się wymknąć... Jeszcze raz zadzwonił na jej komórkę i ponownie usłyszał, że zajęte. To niemożliwe, nikt tak długo nie rozmawia przez telefon komórkowy – to zbyt kosztowne. A potem nagle zrozumiał, co to oznacza. Zapewne jej telefon komórkowy jest podłączony do laptopa Hooda, a to znaczyło, że może właśnie w tej chwili

informuje Quizmastera, że jest już w drodze...

Siobhan zaparkowała samochód. Zostały jej jeszcze dwie godziny do spotkania wyznaczonego przez Quizmastera. Pomyślała, że najlepiej będzie, jeśli do tej pory gdzieś się schowa. Wiadomość od Gill Templer na pagerze oznaczała dwie rzeczy: po pierwsze, że Rebus wszystko Gill powiedział; po drugie, że jeśli zignoruje jej polecenie, to potem będzie się musiała tłumaczyć.

Tłumaczyć? Z trudem potrafiła to sobie samej wytłumaczyć. Wiedziała tyle, że ta gra – choć miała świadomość, że to już nie jest tylko gra, że potencjalnie jest to coś znacznie groźniejszego naprawdę ją wciągnęła. Quizmasterowi, kimkolwiek był, udało się ją w to wciągnąć do tego stopnia, że z trudem mogła myśleć o czymś innym. Brakowało jej codziennej porcji łamigłówek i z przyjemnością zajęłaby się rozwiązywaniem następnych. Ale nie tylko. Teraz gnała ją już zwykła ciekawość, chciała się dowiedzieć wszystkiego o Quizmasterze i o samej grze. Etap nazwany przez niego Rygory jej zaimponował, bo Quizmaster musiał przewidzieć, że będzie na tym pogrzebie i że cała zagadka nabierze dla niej sensu dopiero nad grobem Flipy. No rzeczywiście, niezłe rygory... Czowała jednak, że słowo to odnosi się także do niej samej, bo czuła na własnej skórze rygory narzucone jej przez grę, rygory zmuszające ją do tego, by kontynuować grę i starać się zidentyfikować jej autora. A jednocześnie czuła się przez nią niemal stłamszona. Czy Quizmaster był tam na cmentarzu? A jeśli tak, to czy widział (lub widziała, bo wciąż pamiętała uwagę Baina, by podchodzić do Quizmastera bez uprzedzeń), jak Siobhan podnosi z grobu karteczkę. A może... Na samą myśl poczuła dreszcze. Tyle że informacje o pogrzebie były w prasie, więc Quizmaster mógł się dowiedzieć tą drogą. Był to cmentarz położony najbliżej domu Flipy, można więc było przypuszczać, że tam właśnie zostanie pochowana...

Jednak żadna z tych wątpliwości nie usprawiedliwiała tego, co teraz robi, tego, że się tak samotnie naraża. Było to zachowanie równie idiotyczne jak to, o co wiecznie miała pretensje do Rebusa. Może pchnął ją do tego Grant pozujący na „gracza drużynowego”, z tymi swoimi garniturami i tą opalenizną tak świetnie wypadającą w telewizji i zapewniającą właściwy wizerunek funkcjonariusza policji.

Wiedziała już, że ta gra jest nie dla niej.

Wielokrotnie zdarzało jej się w przeszłości wyjść poza szereg, jednak zawsze szybko do niego wracała. Czasami łamała jakiś przepis – nic poważnego, nic co mogłoby zagrozić jej przyszłej karierze – i szybko wskakiwała na powrót w utarte koleiny. Nie była urodzoną buntowniczką tak jak Rebus, jednak wielokrotnie już stwierdziła, że bardziej jej się podoba po jego stronie barykady niż po stronie takiego Granta czy Dereka Linforda... czyli tych, którzy rozgrywali własne gry, mając na uwadze jeden tylko cel: zawsze trzymać z tymi, od których coś zależy, czyli takimi jak Colin Carswell.

Był czas, że zdawało jej się, że będzie mogła się czegoś nauczyć od Gill Templer, jednak Gill bardzo szybko dobiła do innych. Musiała dbać o własne interesy, niezależnie od ceny, jaką przyszło jej płacić. By awansować, Gill musiała przemykać oko na najpaskudniejsze cechy takich ludzi jak Carswell i własne odczucia chować do jakiejś wewnętrznej pancernej kasetki.

Jeśli awansować równało się rezygnować z części samej siebie, Siobhan nie była tym zainteresowana. Wyczuła to już podczas tamtej kolacji u Hadriana, kiedy Gill dała jej wyraźnie do zrozumienia, czego od niej oczekuje.

Więc może teraz, tkwiąc na tym samotnym posterunku, właśnie to robiła: starała się udowodnić coś samej sobie. Może naprawdę nie chodzi o Quizmastera i jego gry, a tylko o nią samą.

Poprawiła się na fotelu, by lepiej widzieć ekran laptopa. Załogowała się do sieci od razu, gdy tylko wsiadła do samochodu i od tej chwili była cały czas podłączona. Brak było nowych wiadomości, napisała więc sama: *Spotkanie aktualne. Do zobaczenia. Siobhan.*

I kliknęła przycisk „wyślij”.

Potem wyłączyła komputer, odłączyła od niego telefon i podłączyła zasilacz. Bateria i tak wymagała doładowania. Wsadziła jedno i drugie pod fotel pasażera, upewniając się, że nie są dla przechodniów widoczne: nie chciała, by ktoś włamał się do samochodu. Wysiadła z samochodu i sprawdziła, czy wszystkie drzwi są pozamykane i czy miga czerwona kontrolka alarmu.

Zostały jeszcze niecałe dwie godziny, więc trzeba jakoś ten czas zabić...

Jean Burchill wielokrotnie próbowała się dodzwonić do profesora Devlina, ale wciąż nikt nie odpowiadał. W końcu napisała krótki liścik, w którym prosiła go o kontakt, i postanowiła doręczyć go osobiście. Siedząc w taksówce, zastanawiała się, skąd się u niej wziął ten pośpiech i doszła do wniosku, że chyba chce się jak najszybciej uwolnić od Kenneta Lovella. Zajmował jej ostatnio zbyt dużo czasu w ciągu dnia, a ostatniej nocy nawiedził ją nawet we śnie, w którym tak długo okrawał szkielet z mięśni, że pod spodem ukazała się nagle drewniana konstrukcja stołu. Wokół stali jej koledzy z pracy i bili brawo, a coś, co zaczęło się jako autopsja, przerodziło się nagle w występ estradowy.

Jeśli zgłębianie życia Lovella miało się posunąć do przodu, potrzebowała jakiegoś dowodu na jego stolarskie zainteresowania. Bez tego tkwiła w ślepym zaułku. Zapłaciła za taksówkę i z liścikiem w ręku stanęła przed drzwiami kamienicy profesora. Okazało się, że przy drzwiach nie ma skrzynki na listy. Widocznie każde mieszkanie miało własną skrzynkę, a listonosz tak długo naciskał kolejne przyciski domofonu, aż go ktoś wpuścił do środka. Pomyślała, że mogłaby wsunąć list przez szparę pod drzwiami, obawiała się jednak, że zawieruszy się wśród zalewu reklamówek i pozostanie niezauważony. Przyjrzała się tabliczce z przyciskami. Obok przycisku profesora było tylko napisane D. DEVLIN. Pomyślała, że może jednak już wrócił i nacisnęła

przycisk. Kiedy nikt się nie odezwał, zaczęła czytać pozostałe nazwiska, zastanawiając się, do kogo zadzwonić. I wtedy nagle domofon zachrypiał.

– Halo?

– Doktor Devlin? Tu Jean Burchill z muzeum. Czy moglibyśmy zamienić słowo...?

– Panna Burchill? Jakaż miła niespodzianka.

– Próbowałam telefonować, ale...

Przerwał jej brzęczyk sygnalizujący, że drzwi zostały odblokowane.

Devlin czekał na nią na klatce schodowej przed swoimi drzwiami. Miał na sobie białą koszulę z podwiniętymi rękawami i spodnie na szerokich szelkach.

– Proszę, proszę – powiedział, podając jej rękę.

– Przepraszam za najście.

– Nic podobnego, młoda damo. Proszę do środka. Obawiam się, że uzna pani moje gospodarstwo za nieco bałaganiarskie... – Wprowadził ją do salonu zawalonego kartonami i książkami. – Zajmuję się właśnie oddzielaniem ziarna od plew – poinformował ją.

Podniosła jakąś walizeczkę i otworzyła ją. W środku były stare narzędzia chirurgiczne.

– Mam nadzieję, że pan tego nie wyrzuca. Może muzeum byłoby zainteresowane...

Devlin skinął głową.

– Jestem w stałym kontakcie z kuratorem Domu Lekarza. On też jest zdania, że w ich ekspozycji może się znaleźć miejsce na kilka moich rzeczy.

– Major Cawdor?

Devlin uniósł brwi.

– Zna go pani?

– Rozmawiałam z nim o portrecie Kenneta Lovella.

– A więc traktuje pani serio moją teorię?

– Pomyślałam, że warto się temu bliżej przyjrzeć.

– Doskonale. – Devlin klasnął w dłoń. – No i do czego pani doszła?

– Do niczego. Właśnie dlatego tu jestem. Nie udało mi się znaleźć żadnej wzmianki na temat stolarskich zainteresowań Lovella.

– Och, zapewniam panią, że jest to udokumentowane, choć zetknąłem się z tym wiele lat temu.

– Pamięta pan gdzie?

– W jakiejś monografii czy rozprawie naukowej... doprawdy nie pamiętam. A może to była jakaś praca dyplomowa?

Jean pokiwała głową. Jeśli to praca dyplomowa, to można jej szukać tylko w archiwum uniwersyteckim. W żadnej innej bibliotece nie będzie po niej śladu.

– Powinnam sama na to wpaść – przyznała.

– Ale czy nie uważa pani, że to niezwykła postać? – zapytał Devlin.

– Z całą pewnością żył pełnią życia... w odróżnieniu od jego żon.

– Była pani na jego grobie? – Aż się uśmiechnął z naiwności tego pytania. – Oczywiście, że pani była. I wynotowała sobie pani jego małżonki. No i, co pani sobie pomyślała?

– W pierwszej chwili nic szczególnego... ale potem, kiedy się nad tym zastanowiłam...

– Zaczęła się pani zastanawiać, czy przypadkiem ktoś im nie pomógł w ostatniej podróży? – Znów się uśmiechnął. – To się samo narzuca, prawda?

Do Jean dotarł nagle zaduch panujący w mieszkaniu: woń starego potu. Czoło Devlina było zroszone, a jego okulary wyglądały jak zaparowane. Zdumiało ją, że coś przez nie widzi.

– Bo któż łatwiej niż anatomopatolog może zatuszować morderstwo?

– Myśli pan, że on je zamordował?

Pokręcił głową.

– Nie da się tego po tylu latach stwierdzić ani wykluczyć, To jedynie moje spekulacje.

– Ale dlaczego miałyby to zrobić?

Devlin wzruszył ramionami, a jego szelki naprężyły się.

– Może dlatego, że mógł. A jak pani myśli?

– Tak się zastanawiałam... W sekcji Burke'a uczestniczył jako bardzo młody człowiek. Młody i pewnie wrażliwy. To by mogło tłumaczyć, dlaczego potem uciekł do Afryki...

– I Bóg jeden wie, jakie potworności musiał tam oglądać – dodał Devlin.

– Bardzo by nam pomogło, gdybyśmy odnaleźli jego korespondencję.

– Chodzi pani o listy między nim a pastorem Kirkpatrickiem?

– Nie wie pan przypadkiem, gdzie mogą być?

– Pewnie odeszły w niepamięć. Rzucone na stos przez jakiegoś potomka dzielnego pastora...

– A pan robi to samo ze swoją przeszłością.

Devlin rozejrzał się po panującym wokół bałaganie.

– Istotnie – powiedział. – Selekcjonuję to, po czym historia będzie sądzić moje skromne dokonania.

Jean wzięła do ręki fotografię kobiety w średnim wieku, w wieczorowym stroju.

– To pańska żona – domyśliła się.

– Tak, moja Anne. Odeszła latem tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego drugiego.

I zapewniam panią, że z przyczyn naturalnych.

Jean spojrzała na niego zdziwiona.

– Dlaczego musi mnie pan zapewniać?

Uśmiech zniknął z jego twarzy.

– Była dla mnie całym światem... więcej niż światem... – Klasnął w dłonie. – Ależ ze mnie gospodarz, nawet nie zaproponowałem pani nic do picia. Może herbaty?

– Z przyjemnością.

– Niestety bez żadnych rarytasów, zwykle torebki herbaty PG – powiedział z wymuszonym uśmiechem.

– A potem może zechce mi pan pokazać ten stół zrobiony przez Lovella.

– Ależ oczywiście. Stoi w jadalni. Kupiłem go w markowym sklepie z antykami, choć muszę przyznać, że nie mieli stu procentowej pewności co do jego pochodzenia – był to, jak mawiają, tak zwany *caveat emptor* – ale oni umieli przekonywać, a ja chciałem im wierzyć. – Zdjął okulary i przetarł je chusteczką. Kiedy je znów włożył, jego oczy zdały się powiększone. – Aha, herbata – powtórzył i ruszył do kuchni. Jean poszła za nim.

– Długo pan tu mieszka? – spytała.

– Od kiedy Anne odeszła. W naszym dawnym domu zbyt wiele mi ją przypominało.

– Więc już trzydzieści lat?

– Prawie – dotarł do kuchni. – Zajmie mi to moment.

– Oczywiście. – Zawróciła do salonu. Latem 1972 roku umarła mu żona... Minęła otwarte na oścież drzwi do jadalni. Niemal całą powierzchnię pokoju zajmował ogromny stół. Na blacie leżała skończona układanka... chociaż nie, nie do końca: brakowało w niej jednego kawałka. Układanka przedstawiała widok Edynburga z lotu ptaka. Sam stół miał dość prostą konstrukcję. Podeszła bliżej i przyjrzała się wypolerowanemu drewnu stołu. Nogi były masywne i pozbawione wszelakich ozdób. Czysta funkcjonalność, pomyślała. Ułożenie puzzli musiało mu zająć wiele godzin... może nawet dni. Rozejrzała się wokół za brakującym kawałkiem i dostrzegła go – leżał niemal całkowicie schowany za jedną z nóg. Kucnęła, by go podnieść, i zauważyła, że stół ma zmyślną skrytkę. W miejscu, gdzie schodziły się dwie połowy blatu znajdowała się wstawka, a w nią wbudowano niewielką szafkę. Spotkała się już z podobnymi konstrukcjami, nigdy jednak nie pochodziły z dziewiętnastego wieku. Zastanowiła się, czy czasem profesor nie dał się nabrać na kupno mebla znacznie młodszego niż z czasów Lovella... Wcisnęła się pod stół i spróbowała otworzyć skrytkę. Drzwiczki nie ustępowały i już chciała zrezygnować, gdy nagle odskoczyły, a jej oczom ukazała się zawartość skrytki.

Hebel, ekierka i dłuta.

Mała ręczna piłka i trochę gwoździ.

Narzędzia stolarskie!

Kiedy obejrzała się, w drzwiach stał profesor Devlin.

– O, znalazła pani ten brakujący kawałek – powiedział.

Ellen Wylie słyszała o pogrzebie, o pojawieniu się na nim Ranalda Marra i o serdecznym powitaniu go przez Balfoura. W komisariacie West End komentowano też to, jak go potem przywieziono na przesłuchanie i zaraz wypuszczono.

– To jakiś przekręt – stwierdził Shug Davidson. – Ktoś gdzieś pociąga za sznurki.

Mówiąc to, nie patrzył na nią, bo nie musiał. Wiedzieli oboje bez słów. Czyż nie to samo chciała zrobić, wchodząc w układy ze Steve'em Hollym? Tyle że tak się jakoś porobiło, że to on stał się lalkarzem, a ona jego marionetką. Mowa Carswella, wygłoszona wtedy na odprawie, była jak nóż, który przecina nie tylko naskórek, ale wbija się głęboko w ciało i sprawia nieznośny ból. Kiedy potem wezwali ich do gabinetu, miała niemal nadzieję, że zdradzi się swym zachowaniem. Tylko że wtrącił się Rebus i wszystko wziął na siebie, a ona poczuła się jeszcze gorzej.

Shug Davidson najwyraźniej znał prawdę... i wprawdzie był jej kolegą z pracy i kumplem, to był też zaprzyjaźniony z Rebusem. Znali się obaj od bardzo dawna. I teraz w każdej jego uwadze doszukiwała się podtekstu. Nie potrafiła się otrząsnąć i jej rodzimy komisariat, który jeszcze tak niedawno stanowił dla niej azyl, teraz stał się miejscem obcym i wrogim.

I dlatego właśnie wybrała się znów na St Leonard's, gdzie okazało się, że sala operacyjna wydziału śledczego świeci pustkami. Torba z ubraniem wisząca na wieszaku oznaczała, że przynajmniej jeden z tutejszych funkcjonariuszy udał się na pogrzeb i wróci, by się przebrać w zwykłe ubranie. Pomyślała, że to pewnie Rebus, ale nie była pewna. Na jego biurku leżała reklamówka, a w niej jedna z trumienek. Tyle włożyli w to pracy i żadnych efektów. Obok leżały teczki z protokołami sekcji i czekały, aż ktoś wykona polecenie wypisane na przypiętej do nich kartce. Wzięła pierwszą z brzegu teczkę i usiadła na fotelu Rebusa. Niemal bezwiednie rozwiązała tasiemkę, wzięła do ręki pierwszy z wierzchu protokół i zaczęła czytać.

Oczywiście robiła to już wcześniej. Ściślej mówiąc, robił to profesor Devlin, a ona siedziała obok i notowała jego wszelkie uwagi. Było to powolne i żmudne zajęcie, jednak dopiero teraz zdała sobie sprawę, że sprawiało jej satysfakcję – dawało poczucie, że w tej masie zapisanych na maszynie kartek może się kryć jakaś tajemnica; że uczestniczy w czymś ważnym, choć ściślej mówiąc, nie było to śledztwo; że współpracuje z Rebusem, który podchodzi do pracy z największą z nich wszystkich pasją i który w skupieniu ogryzał koniec ołówka albo marszczył czoło, albo nagle gwałtownie się przeciągał, że aż mu trzeszczały kości. Miał opinię samotnika, a mimo to włączył ją do pracy, dawał jej samodzielne zadania i dzielił się z nią odpowiedzialnością. Oskarżyła go, że robi to z litości, jednak tak naprawdę w to nie wierzyła. Na pewno miał zwyczaj się umartwiać, ale chyba było mu z tym dobrze... i innym wokół niego też.

Przewracając kolejne kartki, zdała sobie nagle sprawę, po co tu w ogóle przyszła: chciała wyrazić wobec niego żal w sposób, jaki on zrozumie... A potem uniosła głowę i zobaczyła, że stoi kilka kroków od niej i patrzy na nią w milczeniu.

– Od jak dawna tam stoisz? – spytała, upuszczając kilka stron.

– Co ty tu robisz?

– Nic. – Podniosła kartki. – Tak tylko... sama nie wiem, taki ostatni rzut oka, nim to wróci do archiwum. Jak było na pogrzebie?

– Pogrzeb jak pogrzeb, wszystko jedno, kogo grzebią.
– Słyszałam historię z Marrem.
Kiwnął głową i podszedł bliżej.
– Coś się stało? – spytała, widząc jego minę.
– Miałem nadzieję, że zastanę tu Siobhan. – Podszedł do jej biurka w nadziei, że może znajdzie na nim jakąś wskazówkę, cokolwiek.
– Przyszłam się z tobą zobaczyć – powiedziała Wylie.
– Tak? – Odwrócił się do niej. – A to dlaczego?
– Może żeby ci podziękować.
Ich oczy spotkały się i porozumiały bez słów.
– Nie przejmuj się, Ellen – odparł w końcu. – Serio.
– Ale przeze mnie masz kłopoty.
– Nie, nie przez ciebie. Przez siebie samego, a niewykluczone, że tobie też skomplikowałem życie. Gdybym siedział cicho, sądzę, że byś się odezwała.
– Może – przyznała. – Ale i tak mogłam się odezwać.
– Ale ja ci tego nie ułatwiłem i za to przepraszam.
Stłumiła uśmiech.
– No i proszę, znów wszystko wywracasz do góry nogami. To ja miałam przeprosić.
– Prawda, ale nic na to nie poradzę.
Na biurku Siobhan niczego nie było.
– To co ja mam teraz zrobić? – spytała Wylie. – Powinam porozmawiać z Templer?
Pokiwał głową.
– Tak, jeśli tego chcesz. Ale możesz też to przemilczeć.
– I pozwolić, żeby wszystko było na ciebie?
– A kto ci powiedział, że ja tego nie lubię? – Zadzwoił telefon i Rebus szarpnął słuchawkę.
– Halo? – Wyraz napięcia na twarzy mu zelżał. – Nie, w tej chwili go tu nie ma. Chce pan zostawić...? – Odłożył słuchawkę. – Ktoś do Silvera, ale nie zostawił wiadomości.
– Czekasz na jakiś telefon?
Potarł brodę z jednodniowym zarostem
– Siobhan gdzieś się zawieruszyła.
– W jakim sensie?
Opowiedział jej całą historię. W chwili, gdy kończył opowiadać, zadzwonił telefon na innym biurku. Podszedł i podniósł słuchawkę. Tym razem ktoś chciał zostawić wiadomość. Wziął długopis, kawałek papieru i zaczął pisać.
– Tak... tak – zapewnił – zostawię mu na biurku. Ale nie wiem, kiedy to przeczyta. – W czasie jego rozmowy Ellen wróciła do przeglądania protokołów. Odkładając słuchawkę,

zauważył, że pochyliła głowę nad jedną ze stroniczek i próbuje coś odczytać. – Stary Hi-Ho cieszy się dziś popularnością – powiedział, kładąc kartkę na biurku Silversa. – Coś znalazłaś?

Ellen wskazała na dół stronicy.

– Potrafisz odczytać ten podpis?

– Który?

Na dole protokołu sekcji widniały dwa podpisy oraz data: poniedziałek, 26 kwietnia 1982 – Hazel Gibbs, „ofiara” z Glasgow. Zmarła w piątkowy wieczór... Obok jednego z podpisów widniał tytuł napisany na maszynie: „Patolog pomocniczy”. Drugi podpis, obok którego było napisane „Główny patolog miasta Glasgow”, też był nieczytelny.

– Nie bardzo – powiedział Rebus, przyglądając się zakrętasom. – Ale oba nazwiska powinny się znajdować na karcie tytułowej do protokołu.

– I w tym rzecz – odparła Wylie. – Brak karty tytułowej. – Przewróciła kilka stronic do tyłu, by się jeszcze raz upewnić. Rebus przeszedł na jej stronę biurka, stanął obok niej i pochylił się.

– Może pomyłono kolejność stronic – zastanowił się.

– Może – zaczęła je kolejno przerzucać. – Ale nie sądzę.

– A kiedy to do nas przyszło, wtedy też już brakowało tej strony?

– Nie wiem. Jednak profesor Devlin nic mi na ten temat nie mówił.

– Wydaje mi się, że w tamtych latach głównym patologiem Glasgow był Ewan Stewart.

Wylie wróciła do stronicy z podpisami.

– Tak – powiedziała – można się z tym zgodzić. Ale bardziej mnie zastanowił ten drugi podpis.

– Dlaczego?

– Cóż, może mi się zdaje, ale jak tak przymrużyć oczy i wpatrzeć się w ten podpis, to czy nie wygląda to jak Donald Devlin?

– Co takiego? – Rebus jeszcze raz się przyjrzał, zamrugał i ponownie wyteżył wzrok. – W tamtych latach Devlin pracował w Edynburgu – powiedział i zamilkł. W oczy rzuciło mu się słowo „pomocniczy”. – Sprawdzalas ten protokół wcześniej?

– Robił to Devlin. Jeżeli pamiętasz, ja byłam bardziej jego sekretarką.

Rebus sięgnął ręką i rozmasował sobie kark.

– Nic nie rozumiem – powiedział. – Dlaczego Devlin miałby się nie...? – Chwycił słuchawkę, nacisnął 9 i wybrał miejski numer. – Z profesorem Gatesem, proszę. To pilne. Mówi inspektor Rebus. – Odczekał, aż go sekretarka połączy. – Sandy? Tak, wiem, że zawsze mówię, że to pilne, ale tym razem być może nie przesadzam. Kwiecień tysiąc dziewięćset osiemdziesiąty drugi. Wydaje nam się, że Donald Devlin uczestniczył w sekcji w Glasgow. Czy to możliwe? – Przez chwilę słuchał. – Nie, Sandy, w osiemdziesiątym drugim. Tak, w kwietniu. – Kiwnął głową, spojrzał na Wylie i zaczął głośno powtarzać słowa Gatesa. – Kryzys w Glasgow... braki

personelu... twoja pierwsza szansa na objęcie szefostwa tutaj. Mhm... Czy chcesz mi powiedzieć, że w kwietniu osiemdziesiątego drugiego Devlin był oddelegowany do Glasgow? Dzięki, pogadamy później. – Rzucił słuchawkę na aparat. – Devlin tam był!

– Nie rozumiem – rzekła Wylie. – Dlaczego nic nam nie powiedział?

Rebus już przerzucał kartki protokołu sekcji z Nairn. Nie, tym razem żaden z podpisanych pod protokołem patologów to nie Donald Devlin. Jednak mimo wszystko...

– Nie chciał, żebyśmy o tym wiedzieli – odpowiedział w końcu na pytanie Wylie. – I może dlatego sam usunął kartę tytułową.

– Ale dlaczego?

Rebus myślał gorączkowo... Przypomniał sobie, jak Devlin wrócił wtedy do niego w barze Ox, nalegając, by niezwłocznie odesłać dokumentację do archiwum... trumienka z Glasgow wykonana z drewna balsowego w sposób mniej staranny niż pozostałe. Tak jakby wykonujący ją nie miał dostępu do swych zwykłych źródeł zaopatrzenia lub do swych zwykłych narzędzi... zainteresowanie Devlina postacią Kenneta Lovella i trumienkami z Arthur's Seat...

Jean!

– Czuję, że coś mi tu śmierdzi – powiedziała Ellen Wylie.

– Zawsze poważnie traktowałem kobiecą intuicję... – Tyle że akurat tym razem postąpił inaczej i zupełnie zignorował sygnały zgłaszane mu przez kobiety stykające się z Devlinem. – Jedziemy twoim czy moim?

Jean wyprostowała się. Devlin stał nieruchomo w otwartych drzwiach. Jego niebieskie oczy patrzyły na nią lodowato, a źrenice zmalały do małych kropek.

– To pańskie narzędzia, profesorze Devlin? – zapytała.

– No chyba nie Lovella, droga pani, nieprawdaż?

Jean głośno przełknęła ślinę.

– Chyba lepiej już sobie pójdę.

– Niestety, nie mogę się na to zgodzić.

– A to dlaczego?

– Bo myślę, że pani już wie.

– Co wiem? – Nerwowo rozejrzała się wokół, ale nie dostrzegła niczego, czym mogłaby się posłużyć.

– Że to ja zostawiałem te trumienki – oświadczył. – Widzę to w pani oczach. Nie ma sensu zaprzeczać.

– Pierwszą zrobił pan po śmierci żony, prawda? I zabił pan tę biedną dziewczynę w Dunfermline.

Uniósł w górę palec.

– Nieprawda: przeczytałem jedynie o jej zniknięciu i pojechałem, by zostawić symbol, takie *memento mori*. Potem były jeszcze inne... Bóg raczy wiedzieć, co się z nimi stało. – Patrzyła, jak Devlin robi krok w jej kierunku. – Widzi pani, trochę potrwało, nim pogodziłem się ze stratą i mogłem zacząć myśleć o czymś innym. – Na jego połyskujących wilgocią ustach błąkał się uśmiezek. – Życie Anne po prostu... zgasło... po wielu miesiącach męczarni. Było to takie niesprawiedliwe: brak jakiegoś motywu i kogoś winnego... Te zwłoki, którymi się potem zajmowałem... po śmierci Anne... chciałem, żeby im też było przypisane cierpienie. – Dotknął dłońmi krawędzi stołu. – Nie powinienem się wygadać o Lovellu... sumienny historyk nie mógł nie pogrzebać głębiej w moich teoriach i wtedy musiał zauważyć niepokojące podobieństwa między przeszłością a dniem dzisiejszym, czyż nie tak, panno Burchill? I to właśnie pani... jedyna, która potrafiła to powiązać w jedną całość... wszystkie trumienki przez ten cały czas...

Jean starała się zapanować nad oddechem. Postanowiła, że spróbuje się puścić stołu i zwolniła palce zaciśnięte na jego krawędzi.

– Nie rozumiem. Przecież pan pomagał w śledztwie...

– Raczej utrudniałem. Któż oparłby się takiej okazji? W końcu brałem udział w śledztwie na swój temat, mogłem patrzeć, jak to robią...

– To pan zabił Philippę Balfour?

Devlin z niesmakiem wykrzywił twarz.

– Nic podobnego.

– Ale to pan zostawił tę trumienkę...?

– Oczywiście, że nie! – mruknął gniewnie.

– Więc minęło już pięć lat od pańskiej ostatniej... – Zawahała się, szukając właściwego słowa. – Od pańskiej ostatniej działalności?

Zrobił kolejny krok w jej stronę. Nagle zdało jej się, że słyszy jakieś dźwięki i dopiero po chwili dotarło do niej, że to on. Nucił jakąś melodię.

– Poznaje to pani? – zapytał. W kącikach ust zebrały mu się białe drobiny śliny. – To *Swing Low, Sweet Chariot* [Pieśń z gatunku *spirituals* opowiadająca o rydwanie, który nisko się kołysząc, przybywa wysłany przez anioły, by zabrać śpiewającego do niebiańskiego domu]. Organista grał to na pogrzebie Anne. – Pochylił głowę i uśmiechnął się. – Proszę mi powiedzieć, panno Burchill, co trzeba zrobić, jeśli rydwan nie dość nisko się kołysze?

Pochyliła się i sięgnęła do skrytki po dłuto. Nagle chwycił ją za włosy i pociągnął do tyłu. Krzyknęła, wciąż próbując wymacać dłonią coś, co mogłoby jej posłużyć za broń. Dotknęła chłodnej drewnianej rękojeści. Skóra na głowie ją piekła jak poparzona. Straciła równowagę i upadając, wbiła mu dłuto w nogę koło kostki. Nawet nie drgnął. Dźgnęła go ponownie, jednak on już zaczynał ją ciągnąć za włosy w stronę drzwi. Uniosła się nieco i całym ciężarem runęła na niego, tak że oboje uderzyli o framugę drzwi, wytoczyli się z jadalni i znaleźli w holu. Dłuto

wypadło z jej dłoni. Klęczała na czworakach, kiedy wymierzył jej pierwszy cios. Cios był tak silny, że aż jej rozbłysło w oczach. Spiralny wzór na dywanie zdawał się układać w znaki zapytania.

Jakież to idiotyczne, pomyślała, że coś takiego musiało się jej przytrafić... Wiedziała, że musi wstać i podjąć walkę. Przecież to stary człowiek... Kolejny cios aż ją podrzucił. Widziała leżące obok dłuto... do drzwi wyjściowych było niecałe pięć metrów... Devlin chwycił ją za nogi i zaczął wlec w stronę salonu... Jego dłonie zacisnęły się na jej kostkach z siłą imadła. O Chryste, pomyślała, o Chryste, o Chryste... Jej dłonie ślizgały się po dywanie, szukając jakiegokolwiek chwytu, jakiegoś narzędzia obrony... Znowu krzyknęła. W uszach huczała jej krew i wcale nie była pewna, czy w ogóle wydaje z siebie jakiś dźwięk. Żabka jednej z jego szelek puściła i poła koszuli wyszła ze spodni.

Tylko nie tak... tylko nie tak...

John nigdy by jej tego nie wybaczył...

Okolice Canonmills i Inverleith uważane były za łatwy rewir: nie było tu osiedli mieszkaniowych, a za to na każdym kroku czuło się dyskretną zamożność tej okolicy. Patrolujący te strony radiowóz zawsze stawał pod bramą ogrodu botanicznego, *vis a vis* parku Inverleith. Ulica Arboretum Place miała podwójną szerokość i niewielkie natężenie ruchu, dzięki czemu była ulubionym miejscem na krótką przerwę na przekąskę. Posterunkowy Anthony Thompson miał zawsze ze sobą termos z herbatą, a jego partner, Kenny Milland, kupował dla nich herbatniki w czekoladzie – Orange Club Jacobsa albo, tak jak dziś, wafle z nadzieniem karmelowym Tunnocka.

– Pycha – powiedział Thomson, choć jego zęby były wyraźnie innego zdania. Na każdy kontakt z czymś słodkim jeden z jego zębów trzonowych reagował głuchym pobolewaniem. Jako że od Pucharu Świata w 1994 roku nie spojrział nawet w stronę dentysty, o czekającej go wizycie myślał z rosnącą niechęcią.

Milland sładził herbatę, Thompson nie. Z tego właśnie powodu Milland miał zawsze przy sobie kilka jednorazowych porcji cukru w saszetkach i łyżeczkę. Saszetki pochodziły z restauracji jednej z hamburgerowych sieci, w której pracował jego starszy syn. Praca nie była fascynująca, ale miała swoje zalety, a ponadto mówiło się głośno o czekającym Jasona awansie.

Thompson kochał wszystkie amerykańskie filmy o gliniarzach – od *Brudnego Harr'ego* począwszy, a na *Siedem* skończywszy – więc kiedy robili przerwę, czasami wyobrażał sobie, że stoją gdzieś pod nowojorską pączkarnią, z nieba leje się żar, słońce oslepia, a radio odzywa się z wezwaniem do akcji. Oni wtedy wyrzucają kubki z nie dopitą kawą i paląc opony, ruszają w pościg za bandytami, którzy właśnie obrabowali bank, albo za bandą jakichś krwawych morderców...

Niestety Edynburg nie dawał większych szans, by można było liczyć na jednych czy na drugich. Raz strzelanina w pubie, raz młodociani włamywacze samochodowi (jednym z nich okazał się syn znajomego) i raz ludzkie zwłoki w kontenerze na gruz – tak wyglądały najważniejsze wydarzenia w jego dwudziestoletniej karierze policyjnej. Kiedy więc radio nagle ożyło, podając szczegóły samochodu i kierowcy, Anthony Thompson aż podskoczył.

– Ty, Kenny, a czy ten nie pasuje do tego opisu?

Milland obrócił się i spojrział przez okno na samochód zaparkowany tuż obok.

– Bo ja wiem – powiedział niepewnie. – Tak naprawdę, to nie słuchałem – dodał i ugryzł kolejny kawałek wafelka. Ale Thompson już się połączył z dyspozytorem i poprosił o powtórzenie numerów rejestracyjnych. Potem wysiadł z radiowozu, obszedł go wokół i przyjrzał się tablicy rejestracyjnej samochodu obok.

– Stoimy tuż obok niego – oznajmił partnerowi, a potem ponownie połączył się z dyspozytorem.

Dyspozytor przekazał wiadomość Gill Templer, która natychmiast wysłała w ten rejon kilku funkcjonariuszy z ekipy śledczej pracującej dotąd nad sprawą Balfour. Potem połączyła się z posterunkowym Thompsonem

– Thompson, jak myślicie, czy ona może być w ogrodzie botanicznym, czy w parku Inverleith?

– Mówi pani, że chodzi o spotkanie?

– Tak przypuszczamy.

– No cóż, w parku są wielkie puste przestrzenie, gdzie łatwo kogoś zauważyć. Natomiast w ogrodzie botanicznym są różne zakamarki, gdzie można usiąść i pogadać.

– Zatem uważacie, że chodzi o ogród botaniczny?

– Tylko że go niedługo zamykają... więc może jednak nie.

Gill Templer westchnęła głęboko.

– Bardzo mi pomogliście, posterunkowy.

– Ogród botaniczny jest ogromny, pani komisarz. Można by tam posłać paru ludzi i poprosić obsługę o pomoc. W tym czasie my z kolegą moglibyśmy sprawdzić park.

Gill zastanowiła się nad tą propozycją. Nie chciała spłoszyć Quizmastera, Siobhan zresztą też nie. Chciała mieć ich oboje na Gayfield Square. Funkcjonariusze z ekipy śledczej, którzy byli już w drodze, ubrani po cywilnemu, mogli uchodzić za spacerowiczów. Policjanci w mundurach nie.

– Nie – powiedziała – nie trzeba. Zaczniemy od ogrodu botanicznego. Wy zostańcie na miejscu, w razie gdyby wróciła do samochodu...

Miliard z rezygnacją wzruszył ramionami.

– Ale przynajmniej się starałeś, Tony – powiedział, kończąc wafelka i gniotąc papierek.

Thompson milczał ponuro. Jego chwila chwały skończyła się, nim się nawet zaczęła.

– Znaczący siedzimy tu na dupie, tak? – dodał jego partner i wyciągnął ku niemu kubek. – Zostało tam jeszcze trochę herbaty?

W herbaciarni Du The nie nazywali tego herbatą. Tam się to nazywało „napar ziołowy”: dokładnie z czarnej porzeczki i korzenia żeń-szenia. Siobhan pomyślała, że wprawdzie smakuje to całkiem nieźle, jednak kropla mleka nieco złagodziłaby ostrość. Herbata ziołowa i kawałek ciasta marchewkowego. W kiosku obok kupiła wczesne wydanie gazety popołudniowej. Na trzeciej stronie było zdjęcie trumny Flipy niesionej na ramionach żałobników. Obok znajdowały się małe fotografie rodziców Flipy i kilku znanych osobistości, których obecności na pogrzebie nawet nie zauważyła.

Miała za sobą spacer przez całą długość ogrodu botanicznego. Początkowo nie zamierzała iść aż tak daleko, ale nim się spostrzegła, była już obok bramy wschodniej, od strony Inverleith Row. W prawo, w stronę Canonmills, ciągnął się rząd sklepów i kawiarni. Wciąż jeszcze miała czas... Pomyślała, czy nie przestawić samochodu, jednak zdecydowała, że go zostawi. Nie była pewna, jak wygląda sytuacja z parkowaniem tam, gdzie zmierzała. A potem przypomniała sobie, że zostawiła telefon pod fotelem pasażera. Ale było już za późno: gdyby teraz poszła z powrotem przez cały ogród botaniczny, a potem chciała tu wrócić lub nawet podjechać, mogłaby się spóźnić na spotkanie. Nie wiedziała, na ile Quizmaster okaże się cierpliwy.

Podjęła więc decyzję – zostawiła gazetę na stoliku w herbaciarni i ruszyła z powrotem w stronę ogrodu botanicznego. Tym razem jednak minęła wejście i poszła dalej wzdłuż Inverleith Row. Tuż przed boiskiem do rugby na Goldenacre skręciła w prawo, a uliczka stopniowo przemieniła się w dróżkę. Kiedy minęła narożnik i znalazła się obok bramy cmentarza Warriston, zaczynało się już robić ciemno.

Nikt nie zareagował na naciskanie przycisku domofonu Devlina, więc Rebus zaczął po kolei naciskać inne przyciski w nadziei, że ktoś się odezwie. Przedstawił się i został wpuszczony, Ellen Wylie wcisnęła się tuż za nim. Na schodach go nawet wyprzedziła, pierwsza dotarła na podest przed drzwiami Devlina i zaczęła równocześnie naciskać przycisk dzwonka, walić pięścią w drzwi i potrząsać klapką na szparze na listy.

– Niedobrze – powiedziała.

Rebus, który złapał już oddech, ukucnął pod drzwiami, odchylił klapkę na szparze na listy i zajrzał do środka.

– Profesorze Devlin? – zawołał. – Tu John Rebus. Muszę z panem porozmawiać.

Piętro niżej uchylły się drzwi i wyjrzała zza nich czyjaś głowa.

– Wszystko w porządku – uspokoiła Wylie nerwowego lokatora. – Jesteśmy z policji.

– Cii! – syknął Rebus i przystawił ucho do szpary.

– Co jest? – szepnęła Wylie.

– Coś słyszę... – Brzmiało to jak ciche miauczenie kota. – Devlin chyba nie ma żadnych zwierząt, prawda?

– Nic mi o tym nie wiadomo.

Rebus znów przytknął oko do szpary na listy. Hol był pusty. Drzwi prowadzące do salonu były lekko uchylone. Wyglądało na to, że zasłony na oknach są zaciągnięte, bo wewnątrz pokoju było ciemne. A potem wytrzeszczył oczy ze zgrozy.

– Boże Święty – szepnął i podniósł się na nogi. Zrobił krok do tyłu, a potem z całej siły kopnął w drzwi, raz, drugi, trzeci. Drewno zajęczało, ale nie puściło. Walnął w drzwi ramieniem, ale wciąż bez skutku.

– Co jest? – powtórzyła Wylie.

– Tam ktoś jest.

Już brał rozpęd do następnego ataku na drzwi, ale Wylie go powstrzymała.

– Razem – zaproponowała.

Tak też zrobili. Policzyli do trzech i jednocześnie runęli na drzwi. Zamek zaskrzypiał. Za drugą próbą puścił i drzwi stanęły otworem. Wylie z rozpędu wpadła do środka i wylądowała na czworakach. Kiedy uniosła głowę, dostrzegła to, co wcześniej widział Rebus. Niemal przy samej podłodze, ze szpary w uchylonych drzwiach salonu wystawała czyjaś ręka starająca się szerzej otworzyć drzwi.

Rebus skoczył do drzwi, pchnął je i ujrzał Jean. Leżała na podłodze z twarzą posiniaczoną, pokrytą skorupą krwi i śluzu, z włosami rozwichrzonymi i sklejonymi potem i krwią. Jedno oko miała opuchnięte i niemal zupełnie zamknięte. Wraz z oddechem z jej ust wydobywała się różowa piana ze śliny i krwi.

– Chryste Panie! – wykrzyknął Rebus, opadając na kolana i przelatując jej ciało wzrokiem w poszukiwaniu ran. Nie chciał jej dotykać w obawie, że może mieć jakieś złamania. Pomyślał, że dość się już wycierpiała.

Wylie też już dotarła do salonu i rozejrzała się. Wokół było prawdziwe pobojuwisko, jakby na podłodze leżała połowa zawartości całego mieszkania. Widać też było krwawy ślad wyznaczający drogę, po której Jean doczołgała się do drzwi.

– Wezwij karetkę – powiedział Rebus drżącym głosem i zwracając się do Jean, dodał: – Jean, co on ci zrobił? – A potem patrzył, jak jej zdrowe oko wypełnia się łzami.

Wylie zadzwoniła po karetkę. W trakcie rozmowy zdawało jej się, że z holu słyszy jakieś odgłosy. Może nerwowy lokator z dołu postanowił sprawdzić, co się tu dzieje, pomyślała. Wyjrzała, ale hol był pusty. Podała do słuchawki adres, raz jeszcze powtórzyła, że to sprawa nie

cierpiąca zwłoki i rozłączyła się. Rebus pochylił głowę tuż obok twarzy Jean i Wylie zdała sobie sprawę, że ranna stara się mu coś powiedzieć. Wargi miała opuchnięte, a jej zęby zdawały się ruszać.

Rebus spojrział na Wylie oczami rozszerzonymi ze zdumienia.

– Pyta, czy go mamy – powiedział.

Jednak Wylie natychmiast zrozumiała pytanie, podbiegła do okna i rozsunęła kotarę. Donald Devlin właśnie przemykał na drugą stronę ulicy, ciągnąc za sobą jedną nogę i trzymając wyciągniętą przed sobą zakrwawioną lewą rękę.

– Skurwiel jeden! – wrzasnęła Wylie i runęła w stronę drzwi.

– Nie! – głos Rebusa bardziej przypominał ryk zwierzęcia, zerwał się na nogi. – Zostaw go mnie.

Pędząc w dół po dwa schody, pomyślał, że Devlin musiał się ukryć w jednym z pozostałych pokoi. Odczekał, aż oboje zajęli się Jean i wtedy się wymknął. Swoim przyjściem przerwali mu znęcanie się nad nią. Rebus wolał nie myśleć, co by się stało, gdyby nie zjawili się w porę...

Kiedy wyskoczył na chodnik, Devlina już nigdzie nie było widać, jednak świeże ślady krwi były tak wyraźne, że stanowiły trop nie do zgubienia. Dojrzał go, gdy przeprowadzał się na drugą stronę Howe Street, kierując ku St Stephen Street. Rebus szybko nadrabiał dystans, jednak w pewnej chwili potknął się o jakąś nierówność na chodniku i wywrócił, lekko skręcając sobie nogę w kostce. Devlin był wprawdzie po siedemdziesiątce, ale zdawało się to nie mieć większego znaczenia: napędzała go determinacja człowieka opętanego. Rebus miał już wcześniej do czynienia z takimi sytuacjami. Desperacja i adrenalina potrafią stworzyć piorunującą mieszanicę...

Krople krwi na ulicy wciąż wskazywały mu drogę. Rebus zwolnił, starając się nie forsować skręconej kostki. Przed oczyma miał obraz umęczonej twarzy Jean. Wprowadził numer na klawiaturze telefonu komórkowego, pomylił kolejność cyfr i musiał zacząć od nowa. Kiedy ktoś się zgłosił, wykrzyczał do słuchawki prośbę o wsparcie.

– Nie rozłączam się – powiedział na koniec. W ten sposób będzie mógł ich zawiadomić, jeśli Devlin wsiądzie nagle do taksówki czy autobusu.

Devlin znów się pojawił w polu widzenia, by po chwili zniknąć za rogiem, po skrócie w Kerr Street. Nim Rebus dotarł do narożnika, Devlin zniknął. Na wprost ciągnęły się Deanhaugh Street i Raeburn Place, pełne przechodniów i samochodów, jako że zaczęła się już pora wieczornych powrotów do domów. Podążanie po śladach krwi Devlina stało się wśród tłumu przechodniów dużo trudniejsze. Rebus przeszedł na światłach na drugą stronę i znalazł się na ulicy prowadzącej na most nad Water of Leith... Rozchodziło się stąd kilka dróg, którymi Devlin mógł się udać, a ślady krwi nagle się urwały. Czy przeszedł na drugą stronę w kierunku Saunders Street, czy może zawrócił w stronę Hamilton Place? Rebus oparł się o poręcz, by choć na chwilę odciążyć

bolącą kostkę i przypadkiem spojrzął w dół na leniwy nurt rzeki.

I wtedy dojrzał Devlina, jak ten przemyka chodnikiem wzdłuż brzegu rzeki i kieruje w stronę Leith.

Rebus podniósł telefon do ucha i podał nowe namiary. W tym momencie Devlin obejrzał się, dojrzał Rebusa i przyspieszył kroku, potem jednak nagle zwolnił i po chwili zatrzymał się. Ludzie idący chodnikiem omijali go, z wyjątkiem jakiegoś mężczyzny, który zatrzymał się i najwyraźniej zaoferował swą pomoc, jednak Devlin odesłał go ruchem ręki. Odwrócił się i patrzył na Rebusa, jak ten dochodzi do końca mostu i zaczyna schodzić schodami. Devlin stał bez ruchu. Rebus raz jeszcze podał swoją pozycję i schował telefon do kieszeni. Chciał mieć obie ręce wolne.

Zbliżając się do Devlina, dojrzał krwawe bruzdy na jego twarzy i zdał sobie sprawę, że Jean też nie próżnowała. Zatrzymał się jakieś dwa metry od Devlina i patrzył, jak ten ogląda zakrwawioną rękę.

– Wie pan, że ludzkie ugryzienie może być całkiem jadowite? – odezwał się Devlin. – Tyle że w przypadku panny Burchill nie muszę się przynajmniej martwić o takie sprawy jak HIV, czy inne zakaźne paskudztwa. – Podniósł głowę i spojrzął na Rebusa. – Kiedy tak patrzyłem na pana tam na moście, nagle coś sobie uprzytomniłem: przecież wy nic na mnie nie macie.

– To znaczy co?

– Żadnych dowodów.

– No cóż, zawsze możemy wyjść od próby zabójstwa. – Rebus wsunął dłoń do kieszeni i wyciągnął telefon.

– Gdzie pan chce dzwonić?

– Nie chce pan, żeby zadzwonić po pogotowie? – Rebus uniósł telefon i zrobił krok do przodu.

– To tylko parę szwów – powiedział Devlin, przyglądając się zranionej ręce. Krople potu kapały mu z włosów i spływały po twarzy. Oddech miał ciężki, świszczący.

– Nie ma pan już aspiracji na seryjnego mordercę, prawda profesorze?

– Trochę czasu już minęło – potwierdził.

– Czy Betty-Anne Jesperson była ostatnia?

– Nie miałem nic wspólnego ze śmiercią tej małej Philippy, jeśli o to panu chodzi.

– Ktoś podkradł panu pomysł?

– No cóż, po pierwsze pomysł tak naprawdę nie był mój.

– A były jeszcze jakieś inne?

– Co inne?

– Ofiary, o których nie wiemy.

Uśmiechnął się tak szeroko, że bruzdy na jego twarzy otworzyły się.

– A co, cztery to mało?

– Wolę to usłyszeć od pana.

– Wydawało się to... zadowolające. I wie pan, brak powtarzalnego schematu. Dwóch ofiar nawet nie odnaleziono.

– Tylko same trumienki.

– Mógł tego nikt nigdy nie powiązać...

Rebus w milczeniu pokiwał głową.

– Czy to przez tę autopsję? – zapytał w końcu Devlin, a Rebus znów pokiwał głową. – Wiedziałem, że w tym tkwi ryzyko.

– Gdyby pan nam od początku powiedział, że uczestniczył w sekcji zwłok w Glasgow, przeszlibyśmy nad tym do porządku dziennego.

– Ale wtedy nie wiedziałem, na co jeszcze możecie się natknąć. Na jakie inne moje powiązania z tą sprawą. A kiedy się zorientowałem, że niczego nie znajdziecie, było już za późno. Wtedy już nie mogłem powiedzieć: „Ach tak, a przy okazji to byłem tam jednym z patologów”, po tym jak wspólnie omawialiśmy protokoły...

Przejechał palcami po twarzy i stwierdził, że skaleczenia wciąż jeszcze krwawią. Rebus wyciągnął do niego telefon.

– To jak z tym pogotowiem? – zapytał.

Devlin potrząsnął głową.

– Wszystko w swoim czasie – powiedział. Obok przeszła kobieta w średnim wieku i na jego widok na jej twarzy odmalowało się przerażenie. – Spadłem ze schodów – uspokoił ją. – Ale pomoc już jedzie.

Oddaliła się, przyspieszając kroku.

– Myślę, że już dość powiedziałem, inspektorze Rebus, nie sądzi pan?

– Nie mnie to oceniać, profesorze.

– Mam nadzieję, że sierżant Wylie nie będzie miała kłopotów.

– Z jakiego powodu?

– Że mnie lepiej nie pilnowała przy czytaniu tej dokumentacji.

– Nie sądzę, by miała się czym martwić.

– Niczym nie poparte oskarżenia, czyż nie taką mamy teraz sytuację, inspektorze? Słowo pracownicy muzeum przeciwko słowu profesora, prawda? Jestem pewien, że potrafię znaleźć wiarygodne wytłumaczenie awantury z panną Burchill. – Przyjrzał się swojej ręce. – A właściwie, to można mnie nawet uznać za ofiarę napaści. A poza tym, czym pan jeszcze dysponuje? Dwa utonięcia, dwie osoby zaginione i żadnych dowodów.

– No cóż – poprawił go Rebus. – Żadnych dowodów poza tym jednym. – Uniósł telefon nieco wyżej. – Był włączony, zanim go wyjąłem z kieszeni, cały czas połączony z naszym

stanowiskiem dowodzenia w Leith. – Przyłożył telefon do ucha. Przez ramię widział, że na schodach prowadzących z mostu pojawili się umundurowani policjanci. – Macie wszystko? – zapytał do słuchawki. Potem spojrzął na Devlina i uśmiechnął się. – Bo wie pan, nagrywamy wszystkie rozmowy.

Twarcz Devlina zmieniła wyraz, a ramiona mu opadły. Obrócił się na pięcie, wyraźnie szykując się do ucieczki. Jednak ręka Rebusa błyskawicznie wysunęła się do przodu i chwyciła go za ramię. Próbuąc się uwolnić, Devlin pośliznął się, omsknął z chodnika i zaczął zsuwać po stromym nabrzeżu, pociągając za sobą Rebusa. Obaj z impetem runęli do wody Water od Leith. W tym miejscu nie było głęboko i Rebus poczuł, jak uderza ramieniem o kamień na dnie. Starając się wstać, poczuł, że obie jego stopy zapadają się do kostek w muliste dno. Wciąż jeszcze trzymał Devlina za ramię i kiedy jego łysa czaszka wynurzyła się z wody bez okularów, Rebus nagle ujrzał przed sobą potwora, który znęcał się nad Jean. Wolną ręką chwycił profesora za kark i wcisnął mu głowę ponownie pod wodę. Profesor zaczął wymachiwać rękami i bić nimi w wodę, walcząc o powietrze. Jego palce zacisnęły się najpierw na ramieniu Rebusa, potem na klapie marynarki.

Rebusa opanował całkowity spokój, jak nigdy dotąd. Woda bryzgała wokół niego, lodowato zimna, ale na swój sposób łagodząca. Na moście zebrał się tłumek obserwujący całą scenę. W wodzie brodzili już policjanci i zbliżali ku nim, a nad głową blade-cytrynowe słońce wyglądało spoza sinej chmury. Woda zdawała się mieć działanie usmierzające. Nie czuł bólu w skręconej kostce, właściwie nie czuł już niczego. Jean się z tego wyliże i on też. Wyprowadzi się z Arden Street i znajdzie sobie gdzieś nowe miejsce, o którym nikt nie będzie wiedział, może właśnie gdzieś w pobliżu wody...

Ktoś wykręcił mu rękę do tyłu. To jeden z policjantów.

– Puść go!

Ten krzyk wszystko zburzył. Rebus zwolnił uścisk i Devlin wynurzył się z wody, charcząc i prychnając. Po brodzie płynęły mu wodniste wymiociny...

Komórka Rebusa zaczęła dzwonić w chwili, gdy nosze z Jean ładowano do karetki. Jeden z ubranych na zielono sanitariuszy wyjaśnił, że nie mogą wykluczyć urazu kręgosłupa lub kręgów szyjnych i dlatego przymocowali ją na noszach pasami i usztywnili głowę i szyję.

Rebus stał nieruchomo, wpatrując się w Jean i próbując zrozumieć, co o niej mówią.

– Nie powinien pan tego odebrać? – zapytał sanitariusz.

– Co?

– Telefonu?

Rebus podniósł komórkę do ucha. Podczas siłowania się z Devlinem upadła mu na chodnik. Miała obudowę porysowaną i w jednym miejscu pękniętą, ale mimo to wciąż działała.

– Halo?

– Inspektor Rebus?

– Tak.

– Tu Eric Bain.

– Tak?

– Czy coś się stało?

– Nawet dość dużo. – Nosze wsunięto już do wnętrza karetki i Rebus spojrział na swoje przemoczone ubranie. – Są jakieś wiadomości o Siobhan?

– Dlatego właśnie dzwonię.

– Co się stało?

– Nic się nie stało. Tylko nie mogę się do niej dodzwonić. Podejrzewają, że jest gdzieś w ogrodzie botanicznym. Szuka jej tam paru ludzi.

– No i co?

– Bo są nowe wiadomości o Quizmasterze.

– I nie możesz się doczekać, żeby komuś o tym powiedzieć?

– Pewnie tak.

– Nie trafiłeś najlepiej. Jestem teraz trochę zajęty.

– Aha.

Rozmawiając, Rebus wszedł już do wnętrza karetki i usiadł na ławeczce obok noszy. Jean leżała z zamkniętymi oczami, jednak kiedy Rebus lekko uściskał jej dłoń, odpowiedziała tym samym.

– Słucham? – powiedział, bo niedosłyszał ostatniego zdania Baina.

– To komu mam powiedzieć? – powtórzył Bain.

– Nie wiem – westchnął Rebus. – No dobra, mów, o co chodzi.

– Mam wiadomość ze służb specjalnych – powiedział Bain podnieconym tonem. – Jeden z adresów e-mailowych, z jakich korzystał Quizmaster, należał do Philippy Balfour.

Rebus pomyślał, że nic z tego nie rozumie. Czy Bain próbuje mu wmówić, że Flipa Balfour to Quizmaster...?

– Myślę, że to się układa w jedną całość – dodał Bain. – Łącznie z tym adresem Claire Benzie.

– Nic z tego nie rozumiem – oznajmił Rebus. Powieki Jean zatrzepotały. Pewnie nagłe ukłucie bólu, pomyślał. Zwolnił uścisk jej dłoni.

– Jeżeli Benzie rzeczywiście pożyczyła laptopa Philippie Balfour, to mamy w jednym miejscu dwa komputery, oba używane przez Quizmastera.

– Tak?

– No i jeżeli z kręgu podejrzanych wykluczemy pannę Balfour...

– To zostaje nam ktoś, kto miał dostęp do nich obu, tak?

Przez chwilę zapadło milczenie, które przerwał Bain.

– Chyba powinniśmy jeszcze raz przyjrzeć się temu jej chłopakowi, nie uważasz?

– Sam już nie wiem. – Rebus miał trudności z koncentracją. Przeciągnął dłonią po czole i starł pot.

– Moglibyśmy go zapytać...

– Siobhan poszła na spotkanie z Quizmasterem – przerwał Rebus i zrobił pauzę. – Mówiłeś, że jest w botaniku? – dodał.

– Tak.

– A skąd to wiemy?

– Bo jej samochód stoi zaparkowany pod bramą.

Rebus zastanowił się. Siobhan na pewno się domyśla, że jej szukają. Zostawienie samochodu w takim miejscu byłoby zbyt oczywistą wskazówką...

– A jeśli jej tam nie ma? A jeśli spotyka się z nim gdzie indziej?

– To jak to możemy sprawdzić?

– Może w mieszkaniu Costello... – Znów popatrzył na Jean. – Słuchaj Bain, naprawdę nie mogę się tym teraz zająć... nie w tej chwili.

Jean otworzyła jedno oko i poruszyła ustami.

– Zaczekaj – rzucił Rebus i pochylił głowę ku twarzy Jean.

– Dobrze... – usłyszał jej szept.

Chciała mu powiedzieć, że da sobie radę; że powinien pójść pomóc Siobhan. Rebus odwrócił twarz i jego wzrok padł na Ellen Wylie, stojącą na chodniku i czekającą, aż zamkną drzwi karetki. Ellen powoli kiwnęła głową na znak, że tak, zostanie przy Jean.

– Bain? – powiedział do słuchawki. – Spotkamy się pod domem Costello.

Zanim tam dotarł, Bain zdążył już wspiąć się na górę po spiralnej klatce schodowej i teraz czekał pod drzwiami mieszkania Costello.

– Chyba go nie ma w domu – powiedział Bain, kucając i zaglądając do środka przez szparę na listy. Po plecach Rebusa przebiegł dreszcz, kiedy przypomniał sobie widok, jaki zobaczył, zaglądając przez taką samą szparę w drzwiach Devlina. Bain podniósł się na nogi. – Ani śladu... Chryste Panie, człowieku, a tobie, co się stało?

– Uczyłem się pływać. Nie miałem czasu się przebrać. – Rebus popatrzył na drzwi, potem na Baina. – Razem?

Bain spojrzał na niego niepewnie.

– Czy to nie jest wbrew prawu?

– Dla Siobhan – odparł jedynie Rebus.

Policzyli do trzech i wspólnie runęli na drzwi.

Bain wiedział, czego ma w środku szukać: komputera. Znalazł w sypialni dwa, oba laptopy.

– Jeden Benzie – domyślił się Bain – drugi jego albo kogoś innego.

Jeden z laptopów był włączony i migał na nim wygaszacz ekranu. Bain włączył program obsługi poczty elektronicznej i otworzył skrzynkę.

– Nie ma czasu bawić się z hasłem – powiedział bardziej do siebie – więc możemy odczytać tylko stare wiadomości. – Jednak w obu skrzynkach nie było żadnych wiadomości do ani od Siobhan. – Wygląda na to, że je kasuje na bieżąco – oznajmił Bain.

– Albo obwąchujemy niewłaściwe drzewo.

Rebus rozejrzył się po sypialni. Niezasłane łóżko, porozrzucane po podłodze książki. Obok komputera notatki do referatu. Komoda z nie domkniętymi szufladami i wyglądającymi z nich skarpetkami, majtkami i T-shirtami. I jedna tylko szuflada zasunięta do końca. Rebus pokuśtykał do komody i powoli wyciągnął szufladę. W środku były mapy i przewodniki turystyczne, wśród nich jeden dotyczący Arthur's Seat. Pocztówka z widokiem kaplicy Rosslyn wsadzona w przewodnik po niej.

– A jednak właściwe... – powiedział tylko.

Bain wstał i podszedł zobaczyć.

– Wszystko, czego elegancki Quizmaster mógł potrzebować – rzekł Bain i wyciągnął rękę, by sięgnąć do szuflady, jednak Rebus klepnął go po dłoni.

– Bez dotykania – ostrzegł. Spróbował bardziej wysunąć szufladę, ale się nie dawała. Wyciągnął z kieszeni pióro i wydłubał to, co ją trzymało: atlas *Od A do Z* Edynburga.

– Otwarty na ogrodzie botanicznym – powiedział Bain z ulgą w głosie. Jeżeli Costello tam poszedł, to już go mają.

Ale Rebus nie był pewien. Przebiegł wzrokiem po całej stroniczce, potem spojrzął na łóżko Costello. Pocztówki ze zdjęciami starych nagrobków... na stoliku małe, oprawione w ramkę zdjęcie Costello z Flipą Balfour. Na brzegu kadru widać było fragment nagrobka. Poznali się na jakimś przyjęciu... następnego dnia rano po śniadaniu poszli na spacer na cmentarz Warriston. Tak mu Costello powiedział. Cmentarz Warriston znajdował się po drugiej stronie ulicy, naprzeciwko ogrodu botanicznego. Na tej samej stroniczce atlasu *Od A do Z*.

– Wiem, gdzie jest – powiedział cicho Rebus. – Wiem, gdzie się spotykają. Chodź. – Ruszył z sypialni, sięgając jednocześnie po telefon komórkowy. Policjanci przeszukujący ogród botaniczny mogą dotrzeć na cmentarz w ciągu dwóch minut.

– Witaj, David.

Wciąż jeszcze był ubrany jak na pogrzeb, łącznie z okularami słonecznymi. Uśmiechnął się do niej, patrząc jak się zbliża. Siedział nieruchomo na murku, lekko kołysząc zwisającymi

nogami. Potem jednak zeskoczył i stanął tuż przed nią.

– Domyśliłaś się?

– Coś jakby.

Spojrzał na zegarek.

– Jesteś przed czasem.

– Ty jeszcze bardziej.

– Musiałem sprawdzić teren, przekonać się, czy nie kłamiesz.

– Obiecałam, że przyjdę sama.

– No i przysłałaś. – Rozejrzał się wokół.

– Łatwo się tu zgubić i zniknąć – powiedziała Siobhan, zaskoczona swoim spokojem. – Czy dlatego wybrałaś to miejsce?

– To tu po raz pierwszy poczułem, że kocham Flipę.

– Tak bardzo ją kochałeś, że aż musiałeś ją zabić?

Twarz mu spochmurniała.

– Nie wiedziałem, że to się tak skończy.

– Nie?

Potrząsnął głową.

– Aż do chwili, gdy ją złapałem za gardło... nawet wtedy chyba jeszcze nie wiedziałem.

Głęboko wciągnęła powietrze.

– Ale jednak to zrobiłeś.

Kiwnął głową.

– No więc tak, zrobiłem to. – Spojrzał na nią. – To chciałaś usłyszeć, prawda?

– Chciałam poznać Quizmastera.

Rozłożył ramiona.

– Jestem do usług.

– Chciałam również dowiedzieć się dlaczego.

– Dlaczego? – Wydął wargi. – Ile chcesz powodów? Jej okropni przyjaciele? Jej ciągłe fochy? Jej wieczne czepianie się i wszczynanie awantur? Szukanie pretekstu do zerwania tylko po to, żeby potem patrzeć, jak się do niej czołgam z powrotem?

– Mogłeś przecież odejść.

– Ale ja ją kochałem! – Roześmiał się, jakby utwierdzając się we własnej głupocie. – Wciąż jej to powtarzałem i wiesz, co mi na to mówiła?

– Co?

– Że nie ja jeden.

– Ranałd Marr?

– Tak, ten stary cap. Jeszcze z jej czasów szkolnych. I wciąż to trwało, nawet kiedy już

byliśmy razem! – Przerwał i przełknął ślinę. – Wystarczy ci tych powodów, Siobhan?

– Dałeś upust wściekłości na Marra, niszcząc mu tego żołnierzyka, jednak Flipę... Flipę musiałeś aż zabijać? – Czuła zupełny spokój, niemal odrętwienie. – To chyba niezbyt sprawiedliwe.

– Ty tego nie zrozumiesz.

Spojrzała na niego.

– A ja myślę, że tak. Jesteś po prostu tchórzem. Twierdzisz, że tamtego wieczoru nie miałeś zamiaru zabijać Flipy, ale to kłamstwo. Miałeś wszystko dokładnie zaplanowane... a potem przez cały czas zachowywałeś lodowaty spokój, rozmawiałeś z jej przyjaciółmi niewiele ponad godzinę po jej zabiciu. A więc wiedziałeś dokładnie, co robisz. Byłeś przecież Quizmasterem. – Przerwała. Stał, słuchając jej, wpatrzony gdzieś w dal. – Tylko jednego nie rozumiem... wysłałeś do Flipy wiadomość już po jej śmierci?

Uśmiechnął się.

– Wtedy u niej w domu, kiedy Rebus mnie wypytywał, a ty tkwiłaś przy jej komputerze... Powiedział wtedy coś ważnego. Powiedział mi, że jestem jedynym podejrzanym.

– I w ten sposób chciałeś odwrócić od siebie uwagę?

– Miała być tylko ta jedna wiadomość... Ale potem, kiedy na nią odpowiedziałeś, nie mogłem się powstrzymać. Wciągnęło mnie to tak samo jak ciebie, Siobhan. Gra zaczęła rządzić nami obojgiem. – Oczy mu zaiskrzyły. – Czy to nie coś?

Wyglądało, że oczekuje odpowiedzi, więc wolno pokiwała głową.

– Mnie też masz zamiar zabić? – spytała.

Gwałtownie potrząsnęła głową, jakby oburzony, że coś takiego mogło jej w ogóle przyjść do głowy.

– Przecież znasz odpowiedź – rzucił. – Inaczej byś tu nie przyszła. – Zrobił kilka kroków i oparł się o jakiś nagrobek. – Może nic by się nie wydarzyło – dodał – gdyby nie ten profesor.

Siobhan pomyślała, że musiała się przesłyszeć.

– Jaki profesor?

– Devlin. Kiedy mnie spotkał po tym wszystkim, od razu się domyślił, że to ja. Dlatego wymyślił tę historyjkę o kimś kręcącym się pod domem. Próbował mnie osłaniać.

– Ale dlaczego miałby coś takiego robić, Davidzie? – Czuła się dziwnie, mówiąc mu po imieniu. Dla niej był Quizmasterem.

– Przez te nasze wszystkie rozmowy... o popełnianiu morderstw i o unikaniu odpowiedzialności.

– Z profesorem Devlinem?

Spojrzał na nią.

– O tak. On też zabijał, wiesz? Ten staruch praktycznie mi to powiedział, a potem mnie

podpuszczał, żebym poszedł w jego ślady... Może był z niego zbyt dobry nauczyciel? – Przepięła dłonie po nagrobku. – Prowadziliśmy długie rozmowy na klatce schodowej. Chciał o mnie wszystko wiedzieć, o moim dzieciństwie, o moich czasach buntu. Byłem u niego raz w mieszkaniu. Pokazał mi wtedy wycinki z gazet... o ludziach, którzy utonęli lub zaginęli. Był tam nawet jeden o studencie z Niemiec...

– I to stąd się wziął ten pomysł?

– Może. – Wzruszył ramionami. – A kto to wie, skąd się biorą pomysły? – Zamilkł na chwilę. – Pomagałem jej, wiesz? Strasznie ją to fascynowało, te zagadki... Rwała sobie włosy z głowy i wtedy ja się zjawiałem... – Roześmiał się. – Flipa nigdy nie była za dobra w komputerach. To ja jej nadałem ksywę Flipaja, a potem wysłałem jej pierwszą wskazówkę.

– Poszedłeś do niej wtedy powiedzieć, że rozwiązałeś zagadkę dotyczącą Piekłiska...

Costello pokiwał głową.

– Oświadczyła, że mnie z sobą nie weźmie, więc musiałem jej obiecać, że ją tylko podwożę i zostawię... Znów mnie wykopała – tym razem na dobre, bo mi złożyła ciuchy na krzesło – a po wizycie na Piekłisku wybierała się na drinka z tymi swoimi koszmarnymi znajomymi... – Zamknął na chwilę oczy, potem je otworzył, zamrugał i spojrzał na Siobhan. – Jak się raz zacznie, to potem trudno przestać... – Wzruszył ramionami.

– To znaczy, że wcześniej nie było Rygorów?

Wolno pokręcił głową.

– Całość wymyśliłem tylko dla ciebie, Siobhan...

– Nie wiem, dlaczego wciąż do niej wracałeś ani co tą grą chciałeś osiągnąć, ale jedno wiem na pewno: nigdy jej nie kochałeś. Tobie chodziło tylko o to, żeby ją kontrolować. – Pokiwała głową, utwierdzając się w słuszności swych słów.

– Niektórzy lubią być kontrolowani. – Nie spuszczał z niej wzroku. – A ty, Siobhan, nie?

Przez moment zastanowiła się... a może tylko tak jej się zdawało. Otworzyła usta, by coś powiedzieć, jednak przeszkodził jej jakiś hałas. Costello gwałtownie szarpnął głową: ścieżką zbliżało się ku nim dwóch mężczyzn. Pięćdziesiąt metrów dalej szło następnych dwóch. Wolno obrócił głowę i spojrzał na Siobhan.

– Okłamałaś mnie – powiedział z wyrzutem.

Siobhan potrząsnęła głową.

– To nie ja.

Costello odskoczył od nagrobka, dał susa na mur i chwyciwszy za jego krawędź, spróbował przetrząść przez nią nogi. Dwaj cywile zaczęli biec i jeden z nich zawołał: „Trzymaj go!” Jednak Siobhan nawet nie drgnęła, jakby przykuta do miejsca. Quizmaster... dała mu przecież słowo... Wymacał nogą jakiś występ w murze i opierając o niego stopę, podciągnął się w górę...

Dopiero teraz Siobhan zerwała się, skoczyła do muru, chwyciła go obiema rękami za drugą

nogę i pociągnęła. Próbował ją kopnąć, ale się nie dała i sięgnęła ręką do jego marynarki, starając się go ściągnąć. Potem oboje runęli do tyłu, a panującą ciszę rozdarł jego krzyk. Miała wrażenie, że jak na zwolnionym filmie jego okulary słoneczne przelatują jej obok głowy, za nimi spada on i ląduje na niej całym ciężarem, zapierając jej dech w piersiach. Boleśnie uderzyła głową o coś ukrytego w trawie. Costello już się zerwał i zaczął uciekać, ale dwaj mężczyźni go dopadli i rzucili z powrotem na ziemię. Udało mu się odwrócić głowę i spojrzeć na Siobhan. Był zaledwie kilka kroków od niej. Z twarzą wykrzywioną nienawiścią splunął w jej kierunku. Jego ślina trafiła ją w brodę i zawisła. Poczowała, że nie ma siły, by się wytrzeć...

Jean spała, a lekarz zapewnił Rebusa, że wszystko będzie dobrze: to tylko skaleczenia i stłuczenia, „nic, czego by czas nie uleczył”.

– Bardzo wątpię – odrzekł Rebus. Przy łóżku siedziała Ellen Wylie. Podeszedł i stanął obok. – Chciałem ci podziękować – powiedział.

– Za co?

– Choćby za pomoc w wywalaniu drzwi Devlina. Sam bym nie dał rady.

W odpowiedzi wzruszyła tylko ramionami.

– Jak twoja kostka? – spytała.

– Puchnie równo, dziękuję.

– To masz z tydzień albo dwa zwolnienia.

– Może nawet więcej, jeśli łyknęłam trochę wody z Water of Leith.

– Słyszałam, że Devlin nieźle się opił. – Spojrzała na niego. – Przygotowałeś sobie jakąś dobrą historyjkę?

Uśmiechnął się.

– Czy to znaczy, że chcesz mnie podeprzeć jakimiś kłamstewkami?

– Powiedz tylko słowo.

Pokiwał wolno głową.

– Problem w tym, że kilkunastu świadków może twierdzić co innego.

– Może mogą, pytanie, czy będą?

– Poczekamy, zobaczymy – odparł Rebus.

Pokuśtykał do ambulatorium pourazowego, gdzie na ranę na głowie Siobhan założono właśnie kilka szwów. Był z nią Eric Bain. Na widok Rebusa przerwali rozmowę.

– Eric właśnie mi opowiadał, jak doszedłeś do tego, gdzie jestem. – Rebus kiwnął głową. – I jakim sposobem dostaliście się do mieszkania Costello.

Rebus wydął usta w literę O.

– Pan Twardziel – ciągnęła – co to wyłamuje drzwi podejrzanego, nie mając śladu nakazu w kieszeni.

– Technicznie rzecz biorąc, byłem w tym momencie zawieszony, a to oznacza, że nie działałem jako funkcjonariusz policji.

– A to jeszcze gorzej. – Zwróciła się do Baina. – Eric, chyba będziesz musiał go kryć.

– Po przybyciu na miejsce stwierdziłem, że drzwi były otwarte – bez zająknięcia wyrecytował Bain. – Prawdopodobnie w wyniku spłoszenia złodziei...

Siobhan kiwnęła głową i uśmiechnęła się. A potem ścisnęła go za rękę...

Donald Devlin leżał pod nadzorem policji w jednej z izolatek szpitala Western General. Niewiele brakowało, by się utopił i znajdował się teraz w stanie nazywanym przez lekarzy śpiączką pourazową.

– Miejmy nadzieję, że już się z niej nie obudzi – oświadczył zastępca komendanta Colin Carswell. – Zaoszczędziłoby to nam kosztów związanych z formalnym wszczęciem postępowania.

Carswell ani słowem nie odezwał się do Rebusa, ale Gill powiedziała, że ma się tym nie przejmować.

– Ignoruje cię, bo nie potrafi przeproszać.

Rebus kiwnął głową.

– Właśnie przed chwilą byłem u lekarza – powiedział.

– No to co?

– Czy możemy to uznać za moją wizytę kontrolną...?

David Costello przebywał w areszcie na Gayfield Square. Rebus nawet tam nie poszedł. Wiedział, że opróżnił z tej okazji parę butelek whisky i puszek piwa, a odgłosy radości będą przenikać aż do sali przesłuchań. Przypomniał sobie rozmowę z Devlinem, kiedy go zapytał, czy jego młody sąsiad potrafiłby zabić, i uzyskał odpowiedź, że dla Davida byłoby to za proste. A jednak Costello się na to porwał, a Devlin próbował go chronić... Stary zbrodniarz osłaniający młodego.

Rebus wrócił do domu i obszedł wokół całe mieszkanie. Zdał sobie sprawę, że stanowi ono właściwie jedyny trwały punkt odniesienia w jego życiu. Nękały go tu sprawy, nad którymi pracował, i wszystkie monstra, z jakimi się zetknął... To tu, siedząc w fotelu i wyglądając przez okno, mógł się z nimi zmagać. W zakamarkach umysłu miał dla nich miejsce, a one się w tych zakamarkach gnieździły.

Jeśli się teraz tego pozbędzie, to co mu zostanie? Jego świat utraci punkt oparcia, a on pozbawi się klatek, w których trzyma swoje demony...

Jutro zadzwoni do agencji i powie im, że się nie wyprowadza.

To jutro.

Bo dziś musi jeszcze zasiedlić kilka nowych klatek...

Było niedzielne popołudnie, a słońce zawieszane nisko nad horyzontem rzucało nienaturalnie długie cienie i układało je w geometryczne wzory. Drzewa gięły się pod naporem wiatru, a po niebie pędziły chmury jak dobrze naoliwione pojazdy. Kaskady, miejscowość bliźniacza z Udręką... Rebus minął tablicę i rzucił okiem na Jean, skuloną na fotelu pasażera. Minął już tydzień od tamtych zdarzeń, a ona wciąż była bardzo wyciszona i jakby nieobecna, niechętnie odbierała telefon i niechętnie otwierała drzwi. Lekarz obiecywał: „nic, czego by czas nie uleczył...”

Zostawił jej wybór, ale powiedziała, że pojedzie z nim. Zaparkowali obok lśniącego czystością BMW. W rowie widać było jeszcze ślady mydlin. Rebus zaciągnął ręczny hamulec i spojrzał na Jean.

– To potrwa tylko chwilę. Chcesz tu zaczekać?

Po chwili namysłu skinęła głową. Sięgnął do tyłu po trumienkę. Owinięta była w kawałek gazety z wydrukowanym na nim reportażem Steve’a Holly’ego. Wysiadł, zostawiając drzwi otwarte, i zapukał do drzwi chaty Pod Kołem.

Otworzyła mu Bev Dodds. Miała na sobie fartuch z falbankami, a na twarzy przyklejony uśmiech.

– Przykro mi, ale tym razem nie turysta – powiedział Rebus, a jej uśmiech zamarł. – Dobrze idzie biznes herbaciano-buleczkowy?

– Czym mogę służyć?

Podniósł do góry paczuszkę.

– Pomyślałem, że się to pani przyda. W końcu to pani, prawda?

Odchyliła kawałek gazety.

– A, dziękuję – rzekła.

– Bo to naprawdę pani własność, prawda?

Nie patrzyła na niego.

– Co kto znalazł to jego, jak to mówią...

Ale Rebus pokręcił głową.

– Nie, chodzi mi o to, że to pani ją przecież zrobiła, prawda? I ten nowy szyld... – Wskazał głową tablicę. – Powie mi pani, kto to dla pani zrobił? Bo ja jestem gotów się założyć, że to też pani. Ładny kawałek drewna... Domyślam się, że ma pani parę dłut i innych narzędzi.

– Czego pan chce ode mnie? – Jej głos stał się nagle lodowaty.

– Kiedy przyjechałem tu z Jean Burchill – siedzi tam teraz w samochodzie i, nawiasem mówiąc, czuje się niezłe, miło, że pani pyta – no więc, kiedy tu z nią przyjechałem, mówiła nam pani o częstych wizytach w muzeum.

– Tak? – Spojrzała przez ramię i odwróciła wzrok, kiedy Jean na nią spojrzał.

– A mimo to nigdy nie zetknęła się pani z trumienkami z Arthur's Seat. – Rebus teatralnie zmarszczył twarz. – Powiniennem wtedy od razu na to wpaść. – Nie spuszczał z niej wzroku, a ona milczała. Kark jej tylko poczerwieniał i bezwiednie obracała w dłoniach trumienkę. – Cokolwiek to było – dodał – zwiększyło pani obroty, prawda? Ale coś pani powiem...

Podniosła na niego pusty wzrok.

– Co? – spytała niepewnie.

Rebus wycelował w nią palec.

– Ma pani szczęście, że nie wpadłem na to wcześniej, bo mógłbym coś napomknąć Devlinowi i wyglądałaby pani teraz jak Jean, albo i gorzej.

Odwrócił się i skierował w stronę samochodu. Idąc, odczepił szyld z napisem GARNCARSTWO i wrzucił go do rowu. Nie drgnęła, stojąc nieruchomo w otwartych drzwiach i patrząc, jak wsiada do samochodu i uruchamia silnik. Chodnikiem szła jakaś para niedzielnych turystów. Rebus pomyślał, że nie ma wątpliwości, dokąd zmierają i po co. Ruszając, tak skreślił kierownicę, by koła przejechały po wystającym z rowu szyldzie.

W drodze powrotnej do Edynburga Jean spytała, czy jadą do Portobello. Rebus odparł, że tak, oczywiście, jeśli nie ma nic przeciwko temu.

– Nie, skąd – odparła. – I tak ktoś mi musi pomóc wystawić to lustro z sypialni. – Spojrzał na nią. – Tylko dopóki mi nie zejną wszystkie sińce – wyjaśniła spokojnie.

Kiwnął głową ze zrozumieniem.

– A wiesz, czego ja potrzebuję?

Zwróciła ku niemu głowę.

– Czego?

– Właśnie miałem nadzieję, że ty mi to powiesz...

Historia Edynburga stoi wyzyskiem seksualnym i histerią.

Philip Kerr, *The Unnatural History Museum*

POSŁOWIE

Po pierwsze, ogromne dzięki dla Mogwai, których czterdziestka piątka *Stanley Kubrick* grała mi w tle podczas ostatecznej redakcji tekstu tej książki.

Poetycki zbiorek w mieszkaniu Davida Costello to *Śnię o Alfredzie Hitchcocku* autorstwa Jamesa Robertsona. Wiersz, z którego cytuję Rebus, nosi tytuł *Scena pod prysznicem*.

Już po napisaniu pierwszej wersji tej książki dowiedziałem się, że Muzeum Szkocji zaangażowało dwóch amerykańskich naukowców, doktora Allena Simpsona i doktora Sama Menefee z Uniwersytetu Wirginii do zbadania trumienek znalezionych na Arthur's Seat i wydania na ich temat naukowej ekspertyzy. Ich zdaniem trumienki zostały najprawdopodobniej zrobione przez pewnego szewca, bliskiego znajomego morderców Burke'a i Hare'a, który wystrugał je za pomocą szewskiego noża i wykonał mosiężne okucia z klamer do butów. Chodziło o symboliczny chrześcijański pogrzeb ofiar, jako że pokrojone ciało nie może zmartwychwstać.

Kaskady są oczywiście wytworem mojej bujnej wyobraźni. Doktor Kennet Lovell istnieje jedynie na kartach tej powieści.

W czerwcu 1996 roku pod wierzchołkiem Ben Alder znaleziono zwłoki mężczyzny. Zmarł od ran postrzałowych. Nazywał się Emmanuel Caillet i był synem francuskiego bankiera. Nigdy nie udało się ustalić, skąd się wziął w Szkocji. Protokół spisany na podstawie oględzin miejsca zbrodni i przeprowadzonej sekcji zwłok kończy się stwierdzeniem, że młody człowiek popełnił samobójstwo. Jednak okoliczności jego śmierci budzą tyle wątpliwości i tyle jest wokół nich niejasności, że jego rodzice nadal utrzymują, iż prawdziwa przyczyna jego śmierci była inna...